





109.601



67.01

PAMIĘTNIK
6
NAUKOWO-LITERACKI.

SYSTEMAS

MANUOW-LIBRARI



M. K. [illegible]

Dr. J. Neuwischel

Karol Józef Neuwischel.

<http://rcin.org.pl>

PAMIĘTNIK NAUKOWO-LITERACKI,

PISMO ZBIOROWE

UMIEJĘTNOŚCI, LITERATURY I SZTUKI.

POD REDAKCJĄ

ROMUALDA PODBERESKIEGO.

—o—o—o—

ZESZYT I.

Z portretem Karola Mujszela.



W I L N O.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

—o—o—o—

1 8 4 9.

PAMIĘTNIK

NAUCZOWO-PEDAGOGICZNY

WILNO

WYDAWCA: J. WABZKIEWICZ

WILNO

ROMUALDA PODBESKIEGO

Pozwolono drukować pod warunkiem, złożenia po wydrukowaniu
exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1848
r. 30 Października.

Cenzor, JAN WABZKIEWICZ.



P. I 601

LISTY POETYCZNE.

—•••••—
Do

DO

EUSTACHEGO HR. TYSZKIEWICZA.

•••••

Pracowniku przeszłości! ty, co z grobów nocy,
Z pod kurhanów Litewskich, z pod lodów Północy,
Odgrzebujesz promienie chwały twojej ziemi,
I sam w oczach twych zionków, oświecony niemi,
Zdasz się być jak Czarodziej, co z ziemnych rozłomów
Wydziera skarb zakłęty z mocy ciemnych Gnomów!
Hrabio z rodu, lecz z serca nasz szlachcicu bracie!
Nie ja, lecz kraj nasz cały przez mię woła na cię,
Zmiluj się, jeśli możesz, wśród dawnych pamiątek
Znajdź gdzie dla naszych panów, panków i paniątek,
Jaki z dawnych sekretów, czy snąc talizmanów,
Przez które Senatorów syny i Hetmanów,
(Gdy ojcowie ich w pełni potęgi i sławy
Dzierżyli rzeczywiście laski i buławy),
Zamiast gnusnieć w próżniactwie, a hardą postacią
Chcieć brać z zasługi ojców prym przed szlachtą-bracią,
Sami owszem do pracy kształcąc się od młodu,
Dla pożytku ojczyzny, dla czci swego rodu,
Ci w obradach ziemiańskich, ci w sztuce rycerskiej,
Dawali przykład mniejszym, w miłości braterskiej,
I stanąwszy w rząd z nimi, gonili do celów,
Po wieńce wojowników i obywatelów.

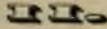
A jeśli z nich któremu Bóg mienia użyzył,
 Miał je nie na to tylko, by swe skarby liczył,
 By je trwonił dla pychy, albo jak Gnom ślepy
 Bez użytku w podziemne zakopywał sklepy,
 Na tę chyba z nich korzyść, by sam z podłą trwogą
 Drżał ciągle przed wszystkimi, co je wydrzeć mogą.

Że tak dawniej nie było, proste uczą dzieje.
 Lecz ty, co owych dziejów tajnie i koleje
 Badasz głębiej od innych, ty snąc wiesz dla czego
 Było inaczej dawniej, niż dnia dzisiejszego.
 A że dnia dzisiejszego inaczej, niestety!
 Któż i w tym sądzić lepiej może, jeśli nie ty,
 Jeżeli nie ow lekarz o Tureckiej dżumie,
 Co sam wśród niej żyć musi, a strzedz się jej umie.

Mów więc, w czym była wyższość paniąt staroświeckich:
 Czy w kańczuku ojcowskim? czy w szablach szlacheckich?
 W tym, że w domu do pracy napędzał młokosa;
 W tych, że w świecie hardego przycinały nosa.
 I co w nich zaszczerpiło jad zgubnej trucizny:
 Czy rozum Niemca Lutra, czy szal francuzczyzny?
 Ten, że w miejsce pokory, wmówił wiarę w pychę;
 Ta, że rozbiła serca na próżności lichę.
 A nadewszypatko powiedz, są li jeszcze środki,
 By jakoś na wzór przodków odkształcić odrodki?
 Bo to jest cel dziejowej, badaczój mądrości,
 Z czasów przeszłych wyciągać naukę przyszłości.

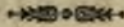
Mów więc, a nie brak jeszcze takich, co ochoczo
 Z ufnością i miłością na twój głos poskoczą.
 A jeśli Bóg litośny, co szalonych strzeże,
 Da wam naprawić ową Babilońską wieżę,
 Z okrzęsanych jej gruzów, pod same oblaki
 Dźwigniem tobie, Eustachy, obelisk wysoki,
 Co na wieki wśród naszych tkwić lędzie rozlogów,
 Cel cnci wdzięcznych spółziomków, dziw Archeologów.

— o o o o —



I N W I T A C Y A

Do Przyjaciół.



Febus utonął w slocie: dzień mgłami nawisły,
 Żądne blasku, sennością poobciążał zmysły.
 Nie czas dziś, ni ochota, krokiem uciekanym
 Biedz, a troski oddawać wiatrom napotkanym;
 Ani rzecz z próżnym sercem narzucać się komu,
 Jak z worem na pociechę, co dla się ma w domu.

Więc jak ptak, nim z piór jego deszcze się olaly,
 Tuląc się w ciemnym kątku, siedzę przez dzień cały,
 Czekaając, aż Hesper nawlokłszy ciemnice,
 Weźmie oczom niemilą pogody różnicę.

A wy, jasne naszego Parnassu Tryony,
 Z Astronomem, wszędziecie na mój próg urczony,
 By się jako gwiazd owych nieśmiertelnym granien,
 Duch się mój rozradował waszém rozmawianiem.

Izbo moja! o! gdyby mógł twój mur Niemiecki
 Wyrozumieć, co powie M.....cz, G...cki,
 Co G.....ski, D....ko, a słów tych wapomnienie
 Osadził, jako perły, między swe kamienie:

Nierazby tu potomne nasze pisorymy
 Przychodziły, jak owe pohożne pielgrzymy
 Do pieczar, gdzie przed wrogiem mieszkali Prorocy,
 Natchnień ich tajemniczej zasięgać pomocy,
 I rzekliby: „szczęśliwy był gospodarz, komu
 Tacy gośćmi, i tacy przyjaciółmi w domu!”—

Gospodarz sam to czuje, i gdy łaska wasza,
 Na war z Chińskiego liścia uprzejmie zaprasza.

Drezno. 1832 r.





OKOLNIK DO SĄSIADÓW.



Któż z nas nie kocha Pana Mateusza?
 W kim się weselój nie uśmiechnie dusza,
 Kto zapomniawszy o dziennych kłopotach,
 Gdy go przez okno obaczy we wrotach,
 Nie krzyknie wesół: -Pan Mateusz jedzie!
 -Proś duszko, żeby został na obiedzie?"
 Któraż z żon, słysząc ten głos gospodarza,
 Nie skoczy sama zawołać kucharza,
 Jeśli ją z krzykiem nie uprzedzą dzieci,
 I coś smacznego zrobić nie zaleci?
 I któryż nawet kucharz nie jest gotów
 Robić, nie mruczając na wielość kłopotów?

Bo Pan Mateusz jest wszystkich kochanek.
 Ledwie zajechał i wysiadł na ganek—
 Już śmiechy, żarty, i wesole fraszki
 Leczą w ślad za nim z jego karafaszki;
 Dom się ich gwarem napelnia wesoly,
 Jak ul, gdy po nim rozleczą się pszczoły.

Cóż gdy, jak w naszej nie nowość parafij,
 Jaka sąsiedzka biesiadka się trafi,
 A młodszy nawet, nad wiskiem jak kruki
 Siedzą dzień cały i milczą jak uruki
 Któż, jeśli niema Pana Mateusza,
 Biedne panienki do tańca rozrusza,

I nawet w braku muzykantów z Krewa,
 Uda basetkę i altem zaśpiewa;
 Lub w wielkim poście, gdy taniec przeciwny,
 Zaintonuje: „Ogrodzie oliwny?”
 Kto pończ tak wszystkim do gustu przyprawi?
 Kto gospodarzy tak wdzięcznie wysławi,
 Gdy przy wieczerzy, w patetycznej mowie,
 Zachęci gości wychylić ich zdrowie?
 Kto wszystkim zgola przypomni, że przecie
 Szczerza wesołość jest jeszcze na świecie,
 I gdy już damy kładą szuby lisie,
 W sieniach im jeszcze huknie: „Kochajmy się.”
 Kto, prócz naszego Pana Mateusza.—

Lecz Pan Mateusz z domu się nie rusza.
 Próżno go czekać będziecie, sąsiedzi!
 Ja wam opowiem dla czego tak siedzi,
 Lecz wy nie ścierpiecie, by się długo smucił,
 Kto wam tylekroć smutną chwilę skrócił.

Pomnicie pewno ekwipaż tak znany,
 W którym przyjeżdżał gość wasz pożądany;
 Tę karafaszkę z kształtnymi ozdoby,
 Jak raz dla jego jednego osoby,
 Choć w niej trzem chudym dość miejsca byłoby,
 I w której przeto, od Trab po Zabrzezie,
 Sam się gdzie może *in cognito* wiezie.
 Pomnicie tego dziarskiego kasztana,
 Co ztąd, że swego przywoził wam pana,
 Tak był wam wszystkim znajomy i miły,
 Że dzieci wasze chlebem go karmiły,
 A pan z radością widząc te pieśczęoty,
 Liczył wam jego zalety i cnoty,
 Z której najpięćwsza, jakieście słyszeli,
 Że go darował przyjaciel Marcelli.

Owoż słuchajcie sąsiedzi szanowni!
 Ta karafaszka jest dotąd w wozowni.
 Ale kasztanek— pożal się go Boże!
 Cygan gdzieś na nim wywija dziś może.—
 Bo dnia jednego, gdy jako zwyczajnie
 Pan jego z rana odwiedzić szedł stajnie,
 Ujrzał— wystawcie, co uczuł w tej dobie!—
 Uzdeczkę tylko wiszącą przy żłobie,

I choć ślad świeży znać było po bloni,
Nie miał już na czem przedsiębrać pogoni.

Odtąd się jego zasmuciła dusza,
Odtąd nie widzimy Pana Mateusza,
I nie zobaczymy, aż w dawnym zaprzęgu,
Nie stanie nowy rumak do pociągu,
Siłą przynajmniej podobny z kasztanem,
Aby mógł ruszyć karafaszkę z panem.

Ależ i wtedy, kochani sąsiedzi!
Chociaż was kiedy niekiedy odwiedzi,
Zważcie, jak smutny sprawi na was skutek,
Patrzeć na Pana Mateusza smutek,
I z ust tych, z których, jak z żywej krynicy,
Płynął źródół pociech całej okolicy,
Słyszeć dziś tylko skargi i westchnienia?
— Lecz słyszę zda się wasze zagadnienia:
Jakiż jest środek jego pocieszenia?

Otoż pozwólcie sąsiedzi szanowni,
Bym rzekł, co mi się zdaje najstosowniej.
Znane wam serce Pana Mateusza,
Jak łatwo każde uczucie je wzrusza;
Jak dla przyjaciół rad do poświęcenia,
Wzajem dowody przyjaźni ocenia.
I ów kasztanek— czem był mu tak miły?
Czy że tak kształtny, czy że pełen siły?
Nie— lecz jakeście to wyżej widzieli,
Że go darował przyjaciel Marcelli.
I stąd ta strata tak żal jego drażni,
Że stracił w koniu pamiętkę przyjaźni.
Koń za pieniądze łatwo się nagodzi,
Ale pamiętkę kto sercu nagrodzi?
Kto?— my sąsiedzi! Koń ten był dla niego
Darem przyjaźni, lecz tylko jednego—
My wszyscy razem kupmy dlań nowego.
Uczynmy składkę, która mu dowiedzie,
Że przyjaciela ma w każdym sąsiedzie.
Dowód przyjaźni duma nie obrusza,
Lecz nim szlachetna pociesza się dusza.
— Daj więc, kto kochasz Pana Mateusza!

A. E. O.

—**I**—

HISTORJA ZAPADŁA W PRZESZŁOŚĆ.



RZUT OKA

NA DZIEJE

Wielkiego Księstwa Litewskiego *).

PRZEZ

Żegotę ONacewicza.

E p o k i.

I. *Dzieje bajeczne.*

Od 1009 do 1183.

II. *Dzieje niepewne.*

Od 1183 to jest: od czasów ciągłych napadów Litwy na kraje ruskie, a mianowicie na Psków i Nowogród do 1240 czyli do panowania Mendoga.

*) Uważamy za powinność ostrzedz, iż krótkie to spójrzenie na dzieje litewskie było przeczytane przy końcu roku uniwersyteckiego (1827), w przeciągu kilku godzin, które się od kursów *Statystyki* i *Dyplomatyki* zna komitemu historykowi pozostawały. Umieszczamy je raczej jako *pamiątkę* po ONacewiczu, niżeli jako materiał, który po tylu nówszych pra-

III. *Dzieje pewniejsze.*

Od Mendoga to jest: od 1240 do 1386 przeszło lat 146; pierwsza połowa tej epoki zawiera Litwę w wielkich kłopotach od Krzyżaków; w drugiej zaś połowie od panowania Gedymina Litwa występuje z wielką mocą i siłą. Epoka ta rozciąga się do 1386, to jest, do czasów zupełnego zaprowadzenia Wiary Chrześcijańskiej na Litwie, gdy Jagiełło ożenił się z Jadwigą Królową Polską, sam przyjął Wiarę Chrześcijańską i lud swój do jej przyjęcia nakłaniał.

IV. *Litwa u szczytu potęgi.*

Od 1386 do 1447 to jest, do czasu w którym Litwa udzielnych Książąt mieć przestała. W tej Epoce Litwa najwyższego szczytu swęj potęgi używała, mianowicie pod panowaniem Witolda, który w r. 1392 po Skergëlle nastąpił.

V. *Przejsie pod panowanie Polski.*

Od 1447 do 1569 czyli do Sejmu Lubelskiego, to jest, do ostatecznego połączenia Litwy z Polską.

Tu się kończą osobne dzieje Litwy, a do dziejów Polskich wpływają.

Obręb Kraju.

Lubo w dzisiejszym stanie pod imieniem Litewskich Gubernij, zajmują tylko Wileńską i Grodzieńską, w ściślejszem jednak znaczeniu, Litwa rozciągała się od Dźwiny, Donu, Wołgi i Dniestru aż do morza Bałtyckiego. Lecz były to części nabyte orężem książąt litewskich. Sama właściwa Litwa, jest cała prawie gubernija Wileńska, większa część powiatu oszmiańskiego, aż po trakt *zapuszczański*, dziś składający część województwa augustowskiego. Żmudź po zabiciu Mendoga rządziła się demokratycznie; w wieku XIII i XIV miała swych Bojarów, potem Gedymin i Olgierd przyłączyli ją do Litwy, mocą dobrowolnej ugody.

Zródła do Dziejów.

Źródłami do dziejów wszelkich, równie też i do Dziejów Litewskich są mianowicie:

całch w tym przedmiocie, możeby się zbytecznym wydał. Jest to niby dopełnienie *Rzutu oka na pierwotne dzieje Litwy* przez ONaciewiczza, któryśmy w T. 3. *Rocznika literackiego*, zamieścili. (Wyd.)

1. *Traktaty pomiędzy narodami zawierane*; składając one kodex Dyplomatyczny, są t \acute{e} m w dziejach cz \acute{e} m obli \acute{g} i w sprawach. Takich traktat \acute{o} w zebranych w jedno miejsce, nie mamy. Znajdują się wprawdzie traktaty ksią \acute{z} ąt litewskich z ruskimi w *Starożytn \acute{e} j Bibliotece Nowikowa* po rusku pisan \acute{e} j (Tom \acute{o} w 25), lecz to są niekt $\acute{o$ re tylko wyjęte z dawnego archiwum spraw zagranicznych w Moskwie, zostaj \acute{a} cego pod zarząd \acute{e} m pana Malinowskiego *). W zbiorze tak \acute{o} ż s. p. kanclerza Rumiancowa znajduje się podobny kodex dyplomatyczny. Pr $\acute{o$ cz tych *Kodex Dyplomatyczny Dregiera* w Pomeranji, zawiera bulle papieżkie, listy do Mendoga pisane, i traktaty. Nadto jest jeszcze dzieło obsz \acute{e} rne *Bullarium*, zbi $\acute{o$ r list \acute{o} w papieżkich, w kt $\acute{o$ rym znajdują się listy do Mendoga i innych ksią \acute{z} ąt litewskich.

2. *Metryki litewskie i archiwa Koronne*, zawierają w sobie kopje przywilej \acute{o} w i list \acute{o} w, kt $\acute{o$ re ksią \acute{z} ęta wydawali; i to jest w \acute{l} asnie księ \acute{g} ą narodu, w kt $\acute{o$ rej wytknięte są jego czynności. Są one obecnie w Petersburgu przy Senacie w 3 \acute{e} m Departamencie pod dozorem Metrykanta Truszkowskiego (dziś Fr. Malewskiego) i w Warszawie pod dozorem Majewskiego, (dziś Feliksa Bentkowskiego). R \acute{o} żnica między nimi jest ta, że w Warszawie są pisane g $\acute{o$ skami polskimi, w Petersburgu zaś po s $\acute{o$ wiańsku.

Do czas \acute{o} w Jana Sobieskiego metryk takowych jest Tom \acute{o} w in folio majori 180. Znajduje się tam z wieku XIV (z 1386) tranzakt ho \acute{l} du Korybuta, danego Władysławowi Jagielle. Dalej list Swidrygie \acute{l} ty; z panowania tak \acute{e} ż Jana Kazimierza Jagiellończyka; zawarte są tam niekt $\acute{o$ re pisma z 1482 r. Metryki takowe dla braku mur \acute{o} w, po \acute{z} arów podlegały, znajdowały się te \acute{z} zawsze przy kr $\acute{o$ lu, i dla tego za kr $\acute{o$ lem na wojn \acute{e} wiezionemi były. Przyk \acute{a} d tego mamy w 1444 za Władysławem III, kt $\acute{o$ ry gdy w potyczce z Turkami pod Warną życie utracił, metryki w r \acute{e} ce Turk \acute{o} w poszły.

3. *Akta sądowe*, kt $\acute{o$ re charakter narodu i sprawy moralne zachowują, nie ma \acute{e} m są zród \acute{l} em do historii. Przywileje ksią \acute{z} ąt i kr $\acute{o$ l \acute{o} w, rozmaitym dawane osob \acute{o} m na urz \acute{e} d \acute{y} , miastom na utrzymanie postrzygalni, rozmaitych fabryk i zaprowadzeń ekonomicznych; przywileje stanowiące miasta, uwalniające je od op $\acute{o$ lat i t. d. Przywilej \acute{o} w takich na Podlasiu najwi \acute{e} cej znaleść można, nadawanych od Skirgie $\acute{l$ ty i Wit \acute{o} łda.

*) Kiedys, — bo dopiero jest nauczelnikiem X. *Michał Obolenski*, kt $\acute{o$ ry wydał *Zbornik historyczny*, z rzeczy do Historji Polski i Litwy sciągających się. (Wyd.)

4. *akta Kapitulne*, są także przydatne do historii, bo tam zawarte są podpisy urzędników, świadków i przytomnych.

Zwyczajne przywileje i listy książąt są bez ich podpisów, same tylko przy nich pieczęcie.

Te są fundamenta, na których historia wspierać się może, i źródła z których materiały do historii czerpać należy.

5. Patriarchą kronikarzy i historyków litewskich jest *Maciej Strykowski* rodem z Łęczyckiego, urodził się 1547 roku. Odbywał nauki w uniwersytecie lipskim. Zwiedził Turcję, Niemcy i Litwę w różnych kierunkach. Był naprzód żołnierzem, mieszkał zwykle w Witebsku. Pobyt jego w tych krajach dał mu powód do napisania ich kroniki, którą ogłosił 1582 r. in folio gotykiem drukiem, w Królewcu. Kiedy zaś umarł, nie wiadomo. Żył za czasów Batorego i po nim; zeszedł ze świata Kanonikiem żmudzkiem. Pisał na sposób kronikarzy bizantyńskich, Kronikę litewską, ruską i żmudzką. (Bohomolec Jezuita, wydał we 4^{ch} tomach kroniki: Bielskiego, Strykowskiego, Gwagnina i Kromera). Kronika Strykowskiego zaczyna się od potopu świata; wywodzi on pochodzenie Assyryjczyków, Greków, Rzymian, opisuje różne hordy barbarzyńskie, nakoniec przystępuje do narodu litewskiego, i powiada, że miał tyle kronik, iżby je na jednej furze zabrać nie można było. Lecz kto je pisał? skąd je miał? i co w nich było,— nie objawia. Lepiejby uczynił, gdyby takowe kroniki wprost przedrukował i nie kompilując, żywcem je do potomności przestał.

Każda jego litera ogrom jego erudycji udowadnia; znajdują się w nim kawałki Horacjusza i Wirgiliusza, co także dowodzi, że był człowiekiem uczonym; kronikę swą pisał i wierszem i prozą, niektóre ustępy zupełnie są wierszem pisane; polszczyzna jego czysta.

Powiada, że łatwiej mu było kilkanaście wierszy na papier przelać, niż kilka słów wymówić. Był bowiem zająkliwy z przyczyny, że mu dzwon upadł na głowę. Napisał xiąg 25, każda z nich dedykowana księciu lub magnatowi jakiemu. Doprowadza za rok 1580 do Batorego.

6. Rotmistrz jego *Gwagnin Włoch*, zachwyciwszy papiery Strykowskiego wydał dzieło: *Sarmacja europejska*. Ponieważ znajdujemy skargi w tej mierze Strykowskiego, przekonywamy się że nie był autorem dzieła tego, za jakiego u zagranicznych uchodzi.

7. Po Strykowskim w lat 100 blisko ukazał się w Litwie Jezuita pracowity, *Wojciech Kojalowiez*: pisał najlepszą liwiuszowską łaciną i pięknym stylem dzieje litewskie; wziął za fundament Strykowskiego, którego skracał i wydał swe dzieło we 2^{ch} tomach, pier-

wszy drukowany w Gdańsku 1648 r. nakładem Jerzego Forstera, dedykowany Leonowi Sapieżie podkanclerzemu; drugi w Antwerpij r. 1669, w 19 lat po pierwszym u Jakóba Mirza, dedykowany Kazimierzowi Sapieżie podskarbu. nadw., doprowadza do 1572, czyli do śmierci króla Zygmunta Augusta, ostatniego Jagiellończyka. Odrzucił wiele bałamuctw odwiecznych.

8. Lat temu 14, August Szlecer w wielkim zbiorze Historji Powszechnej w 50 tomach (w Hali drukowanej) wytłómaczył Kojatowicza, doprowadzając historją litewską aż do r. 1569, do unji Litwy z Koroną na Sėjmie Lubelskim.

9. Fragmenta Kroniki *Michala Litwina*; (z kąd rodea nie wiadomo) pisał 1556. na początku panowania Zygmunta Augusta: *De moribus Tartarorum, Litvanorum, Moschorum 1615 Basilea. Typis Conradi Waldkirch* (str. 64) bardzo rzadkie dzieło, dedykowane Octawiani Proński Dom. in Beresteczek et Razań. Wydawca Jan Jakób Graser powiada, że z oryginalnego rękopismu autora drukował. Autor uskarża się bardzo na zepsucie obyczajów w Litwie, osobliwie zaś rospawiając o obyczajach i zwyczajach litewskich, gniewa się na jurystów; przydrukowane jest do tego dzieła rzadkie bardzo u nas pismo Jana Łasicckiego o *boztwach Żmudzkich*.

10. *Kronikarz Wołyński* nie drukowany dotąd, pisał do 1290 roku, niektóre ułamki jego znaleźć można w historji Karamyzyna, z kąd wiele co do Litwy czerpać można.

11. *Archiwum tajne Krzyżackie w Królewcu*, poczynające się od roku 1220 aż do 1525 (to jest do ustania ich w Prusiech), ważnym jest źródłem do historji Litwy. Jest tam szuflad 414, w których zamknięte są oryginalne pisma, listy książąt litewskich, bulle papieżkie i przywileje, pisane na pergaminie; samej Żmudzi tyczących się 5 szuflad, Litwy 10 szuflad, bull papieżkich 18 szuflad. Prócz tego 33 tomy in folio majori kopij pism, których autentyki posłano do Berlina. Jest to źródło dotąd nie tknięte, z kąd możnaby wiele czerpać.

12. Waznemi są także *nieme pomniki*, jako rozwaliny zamków, których exystencja odnosi się do stażytności, i przy których był teatr dziełań wojennych; kto był panem zamków, był panem i władcą prowincji; dobywanie ich było celem wielokrotnych wypraw krzyżackich i innych narodów. Liczne sypane mogiły, które mężnych przodków pokrywają zwłoki, zachowują w sobie urny z popiołami ciał zmarłych spalonych; oprócz tego po dzień dzisiejszy dobywają jeszcze, maleńkie garnuszki, łyzy po zejściu znakomitych ludzi zawierające, takowych w archiwum tajemném krzyżackiem znajduje się kilkanaście. Nadto szczątki ubiorów i szczątki orężów do mo-

gił zakopywane były. Sama nawet denominacja uroczysk, do niemych pomników narodowych policzoną być może; i tak znajduje się pod Nowogródkiem góra tak zwana, *górá Mendoga*; być może, że w niej zachowane są zwłoki jego i żony jego Marty; powiadają, że znaleziono tam dwie trumny, ołowianą i miedzianą. Te uroczyska musiały być kiedyś siedliskiem zamków, których tylko dziś gruzy pozostały. Do niemych pomników odnieść jeszcze należy: *pieśni ludu wiejskiego* przy dożynkach, weselach i zaręczynach, jak mamy z podania Strykowskiego; w nich wyrażone są czyny bohaterów i książąt. Żeby kto takowe pieśni zebrał za czasów Mendoga i przesłał je do nas, moglibyśmy już dotąd mieć dobrą i dokładną wiadomość dziejów krajowych *).

Dzieje bajeczne.

Od ujścia Wisły aż do rzeki Zales, do morza Bałtyckiego wpa dającój, zaległo plemię litewskie, złożone z Prusów, Żmudzinów, Jadzwingów, Litwinów, Krywiczów z rodu sławiańskiego; arcy-

*) W czasie, kiedy ONacewicz ogłaszał to z katedry uniwersyteckiej, wyobrażenia o znaczeniu pieśni gminnych, były jeszcze w mgłę chaotycznej; były to owe czasy, kiedy rzucając naśladownictwo obczyzny, o własnych siłach mocować się zaczęliśmy; było to w powszechnym zwrocie młodego pokolenia od wydwarzania do natury. W pierwszych chwilach entuzjacji poczci gminnej, nawet jakąś wartość pod względem *historycznym* jej rokowali. Ale dziś rzecz ta wyjaśniła się i ma się wcale inaczej. Po zebraniu w pewną całość, pokazało się, że one nie objaśniły ani jednej epoki, ani jednej osoby, ani jednego faktu nawet. Przechodząc z ust do ust, lamały się i przekształcały w każdym wieku, że z mumijskiej egipskiej, przedźjby badacz doszedł jej wieku, niż z pieśni—epoki, do której ona należy. Jeżeli się kiedy przymieszwały do nich jakie imiona historyczne, to chyba w czasach daleko późniejszych. W naszych pieśniach nie masz ani *chronologii*, ani *osób historycznych*; lud nasz polski, ani tém więcej, litewski, nigdy ich nie opiewał. cała ich historyczność przejawia się chyba tylko w samych nazwach, w pojedynczych wyrazach, które pozostały wśród ludu: pieśni historyczne nie leżały w duchu naszego narodu. Zmiany polityczne mało, albo wcale nie u nas nie wpływały na zmiany stosunków ludowych, a przeto i pamięć tych zmian nie przechowała się w sercu narodu. Lud nasz mówi o naturze i istotach nadzmysłowych (np. *Witolorauda*, cała z podań gminnych powstała), o których w zeknięciu się z naturą, fantastyczne utworzył sobie pojęcie; mówi i śpiewa o stosunkach swoich do panów (jak większa część pieśni białoruskich), bo ludowi naszemu zmiana *stosunków miejscowych* dała się uczuć daleko więcej, niż zmiany *państwowe* czyli *polityczne* w innych narodach.

kapłan ich *Krywekrywejto* mieszkał w Romowlu, później zaś po przeniesieniu się z Romowła, nad Niewiażą: Krywiczanie od niego nazwisko swe mają.

Ale poezja gminu naszego inną ma ważność. Ona objaśnia zwyczaj i obyczaj jego; w jej przezroczu zwierciadła się uczucia domowe, myśl spokoju i cnoty, życia pracowitego i cichego. *Miłość i wojna*, (ale wojna, tylko jako porywająca członków rodziny) są głównym powodem pieśni ludu naszego: wylewają się w nich z pełnym wdziękiem uczucia żalu, radości, tęsknoty. Nie piękniejszego nad tę uczuciową, liryczną stronę pieśni naszego ludu, gdzie wszędzie sama natura zdaje się przemawiać? Z tego to umiętnie korzystali wiecej nasi Artyści-Poeci: Kochanowski, Karpiński, śpiewak *Grażyny*, i genialni nasi Artyści-Muzycy, jak Szopen, Moniuszko, i t. p.

Tam, gdzie zmiany *polityczne* wpływały silnie na zmiany stosunków towarzyskich, tam lud czuł dzieje ogółu, czuł swoją historję i dumal o niej, dumal o swojej doli, jak na Ukrainie, Rusi południowej; tam też powstały i przechowały się pieśni historyczne, nie sięgające wszakże dalej czasów Bohdana Chmielnickiego; nadzwyczajne zdarzenia w XVI i XVII w. trącając myśl narodu, dały początek *Dumom Ukraińskim*, wszakże i tu widać wiele oglady i sztuki, i zdają się być raczej tylko dowodem społeczenia wieszczów dla doli narodu... I tu jak u nas, duch religijny stanowi ich wybitne piętno.

U nas bowiem przyjęcie Wiary Chrześcijańskiej, ta wielka zmiana *socjałna*, zmieniając zupełnie wyobrażenia i sposób zapatrywania się na świat i życie, potrząsała silnie duszę narodu: wszakże pieśni tą zmianą natchnione, nie były *tworzone* wyłącznie przez lud prosty; były one raczej *pisane* przez ogladzonych oświatą poetów; więc nie *genjusz narodu* je tworzył: pisali je księża, a później szlachta, wędrujący pątnicy i kłechy. Lud uwieczniał swoje uczucia, dzieje swego serca, — a dzieje zewnętrzne, które ściągaly chwałę na naród, obchodziły tylko bojowniczą szlachtę. Lud przeto nie śpiewał o zwycięztwach, które go nie obchodziły. I tak dowody o istnieniu u nas pieśni historycznych, które przytacza P. Michał Wyszniwski w swojej *Historji Literatury*, upadają przy haczniejszém dotknięciu krytyki historycznej. Najdawniejsza niby pieśń historyczna, o *Zwycięztwie nad Kiryżakami* 1410, odkopana przez *Rzyszczewskiego*, okazała się daleko późniejszym (1510) utworem, i plodem sztuki, konceptem duszy pobożnej. Upadło też twierdzenie, zawołanego u nas zbieracza materiałów do rzeczy narodowych, jakoby u nas *eksystowały odwieczne pieśni historyczne*.

Właściwe pieśni historyczne, znalazły się tylko w innych narodach szczepu słowiańskiego; posiadają je Czesi i Serby: w pieśniach czeskich rapsodów, jak u *Skaldów islandzkich* przegląda się życie ludów... bohaterowie *krółodworskiego rękopisu* przypominają czasy homeryczne, olbrzymie typy wielkich wojowników i wielkiego ducha; a sprawa, za jaką walczą, przypomina *Eldę skandynawską* i wiejący z niej duch poganski. Było to bowiem starcie się na granicy dwóch

Twierdzą, i tak być może, że ród Litwinów jest zlewkiem Herulów, Gotów, Finnów, Sławian i Wandalów. O pobratymstwie Litwinów z Herulami przekonywamy się z podobieństwa ich dialektów, a więc, że niegdyś jeden naród składać musieli. Gotowie pod wodzem Jordanem, przeszli ze Skandynawji czyli z Norwegji i Szwecji do ujścia Wisły, później aż nad brzegi morza Czarnego, gdzie się rozdzielili na Westgotów i Ostgotów; Sławianie zaś niezawodnie zalegali południową Rossją i Polskę od wieków niepamiętnych. W wieku IV Hermanryk wódz Gottów, rozciągnął swoje panowanie od morza Czarnego do Bałtyckiego i tymi nie sklejonemi plemionami, władał przez czas długi, później zaś walcząc z Hunnami, poległ, a ci zajęli jego państwo. Lecz władza ich nie długo trwała; po śmierci bowiem Attyli, ich wodza, w lat czterdzieści kilka, rozsypała się Monarchja Hunnów. Czasy po Hunnach następne, grubą pomroką są okryte, tak, że wiedzieć co się tu w tej stronie działo, nie można.

Pierwszą wzmiankę o Litwie znajdujemy dopiero roku 1009 w kronikarzu meklemburskim, który mówi: że Apostoł do nawracania pogan w tę stronę wysłany, zabity był *in confinio Litwiae et Russiae*.

Dzieje niepewne.

Pierwszy raz Litwini w roku 1183 występują w działaniu wojenném i później od tego czasu widzimy ciągłe ich napady na Psków i Nowogród, lecz o ich wodzu i liczbie żadnej nie znajdujemy wzmianki, w pskowskich i nowogorodzkich kronikarzach. Toż samo potwierdzają kronikarze inflantscy; z nich odznacza się szczególniej Henryk Łotysz, który w 1224 opisywał wypadki nad Dzwina; od kawalerów Mieczowych był posłany do Niemiec na naukę, i

światów, pod czas wywrótu wyobrażeń starych; walczyły pogaństwo i miejscowość z kosmopolityzmem chrześcijaństwa czyli katolicyzmem.

Pieśni ludu, uważając je w ich całości, tę mają przedwzyskiem wartość, że przedstawują ducha i charakterystykę narodów. Tak w pokoleniu słowiańskiem, wzięwszy razem wszystkie pieśni oddzielnych szczepów, od Bałtyku do Czarnego morza, od Warty do Dniepru i Dzwiny: Czechów, Serbów, Słowaków, Górali Karpackich, Rusinów, Mazurów i t. d. wszystkie okazują myśl jedną: jak gdyby to było jedno serce, co rozmaitemi djalektami wyśpiewało uczucia swoje; jak gdyby to był jeden wieszcz, jeden Bojan, co tyła rozmaitemi językami, wyśpiewał jedno wielkie narodowe poema — ducha i uczuć ludów słowiańskich!...

(Przypis Redaktora).

tam zostając, napisał kronikę, w której o litewskich napadach zaświadcza.

Na początku wieku XIII u wodza tylko można było postrzegać oręż żelazny; całe wojsko uzbrojone było w kije, proce i siekiery z kamienia. Ale potem w roku 1240 gdy się przebrali przez Wilją, i zdobywali kraje od Tatarów spustoszone, zabrali Słonim, Grodno, Wołkowysk; znalazłszy tam lud rolniczy, z żelaza u nich zabranego robili dzidy, miecze, i dalsze wojenne oręża, i uzbroiwszy swe wojsko, od nich stali się mężniejszymi. Jako początkowe ich wyprawy były tylko dla zdobycia bydła, odzieży i t. d., tak później wzmocnieni na siłach i opatrzeni w amunicją wojskową, kraje zdobywać poczęli.

Najgłówniejszym i najsroższym nieprzyjacielem Litwy był Zakon Krzyżacki. W wieku XI Piotr, rodem z Amiens, uciekając od nieznośnej żony, pielgrzymował do Ziemi Świętej, i postanowił zostać mnichem. Tam widząc smutny stan Chrześcijan dręczonych od Saracenów, gdy powrócił do Rzymu, opowiedział Papieżowi, ile cierpią Chrześcijanie w miejscu pogrzebienia Zbawcy i skłonił go do wezwania królów chrześcijańskich dla połączenia sił przeciwko nieprzyjaciołom Chrześcijaństwa.

Udał się Papież do Francji i w Lugdunie nad Rodanem zwołał consilium, na które wielu książąt, hrabiów i baronów szukających sławy, przybyło. Jednogodnie wszyscy postanowili wyprawę uczynić, na czele której, stanął Gotfrid de Bouillon. Piotr także zebrał wielu towarzyszków, z którymi wędrował przez Węgry i cesarstwo bizantyńskie do Ziemi Świętej, lecz wielu z nich w tej wyprawie zginęło dla braku żywności i karności wojennej; Gotfrid zaś de Bouillon urządził swoją wyprawę porządniej, miała ona na celu nawracanie Żydów i uwolnienie Chrześcijan od ucisku. (Żydzi w tym czasie pod koniec XI wieku ukazali się w Polsce, uciekając od tych Apostołów. Do nas, że przybyli z Pruss, świadczy ich terazniejszy język). Doszedł on, mimo Konstantynopola przez Azję mniejszą w 1099 do Ziemi Świętej, gdzie wygrawszy stanowczą potyczkę, szturmem zdobył Jeruzalem i 1100 roku na króla Jerozolimskiego był koronowany. Wyprawy takowe przeszło lat 200 trwały.

Kupcy Bremeńscy i książęta Niemieccy, którzy assistowali w tych wyprawach, założyli szpital dla utrzymania chorych i pielgrzymów w Jeruzalem, i zostawili na utrzymanie jego liczne kapitały. Sam nawet Papież potwierdził tę instytucję. Królowie i książęta Niemieccy coraz bardziej zakonników do pilnowania szpitalu przeznaczonych uposażali tak, że wkrótce utworzył się z nich zakon

zbrojnych Mnichów, którzy przyjęli obowiązek walczenia z niewiernymi. Z tych powstał Zakon Krzyżaków; Mistrzem ich w r. 1220 był *Herman Salza*; za jego to czasów przybyli oni do Polski. Rozsypawszy się już wprzód po całej niemal Europie, wezwani byli do Polski przez Konrada Księcia Mazowieckiego na pomoc przeciw Litwinom i Prusakom, batwochowcom jeszcze w onczas. Prócz Krzyżaków, były i inne zakony, jako *Templarjuszów* i *Zakon Ś. Jana Jerozolimskiego*, który i dziś exystuje pod imieniem *Kawalerów Maltańskich*.

Kronikarze Ruscy świadczą, że Litwini ulegali Ruskim Hetmanom czyli wodzom, którzy prócz władzy w czasie wojny nad wojskiem, wpływali do rozsądzania spraw w pokoju. Mówią ciż Kronikarze, że w czasie tym podlegania Książętom Ruskim, Litwa tak była ubogą, że nie im więcej w daninę dostarczać nie mogła, prócz *wienników* (miotła) do łaźni i łyka na obowie, a niekiedy pewną ilość miodu. Ten stan uległości trwał dopóty, dopóki osłabienie sił Książąt Ruskich, przez wzajemne niezgody, rozdrobione podziały kraju, i jarzmo Tatarów, nie podało sposobności wybiecia się na wolność. Od 1183 ciągle na Psków i Nowogród nastąpiły Litwinów napady. I już w XIII wieku Słonim, Grodno, Nowogród, Lida uległy Litewskiemu orężowi, nie było ktoby się mógł im oprzeć; Litwini byli tolerujący nie bronili obrządków i owszem, Książęta Litewscy z Ruskimi zawierali związki pokrewieństwa.

Strykowski mówi, że Palemon, rycerz Rzymski, z 500 towarzyszami wylądował na Żmudzi, koło Połongi, i dał początek politycznemu znaczeniu Litwy. Lecz jakim sposobem, kiedy, i dla czego ta kolonia z Rzymu tu przybyła? żadnego śladu w Historji Rzymskiej nie znajdujemy. Jednakże Strykowski umieścić to zapewne z tradycji jakiej. W XII wieku kupcy Bremeńscy nawalnością zapędzeni do ujścia Dźwiny, wylądowali tam, i znaleźli lud zamożny, spokojny, rolniczy, wiele miodu mający; wosk od nich, jako od nieznanających jego użyteczności, nabywali, i dla tego wkrótce po odkryciu Infant poczęli częściej w tę stronę przybywać. Z niemi przybył *Meinhard* kapitan z Bremen, który począł ludom nad Dźwiną zamieszkałym, opowiadać wiarę Chrześcijańską. Najlepiej pomagały tym Apostołom nawracającym, umiejętność i znajomość rzemiosł, co na ludach wielkie czyniło wrażenie i powodowało łatwość uwierzenia. Zjawili się w tym czasie awanturnicy Niemieccy, którzy szukając zdobyczy, bronili także od napadów; przydatni oni byli bardzo Meinhardowi, bo go ocalali od tutejszych kapitanów. Meinhard atoli, padł ofiarą swojej

gorliwości, nie daleko Kircholma zabity został. Awanturnicy ciągłym napływem, coraz śmielej kraj okoliczny zajmowali. Powszechna bowiem była naówczas opinija, że ziemie pogańskie były wolnym polem zaborów dla Książąt i Królów Chrześcijańskich. Papieże mianowicie, przywłaszczyli sobie prawo rozdawania tych ziem.

To wylądowanie awanturników nad ujściem Dźwiny, dało powód pospólstwu do tradycji, którą to zapewne przelał w swęj kronice Strykowski. Palemon miał trzech wnuków, *Borkusa*, który założył Jurbork, *Kunos* założyciela Kowna i *Sperę* założyciela Wikomierza. Kunos przeżył swych braci, synowie jego *Gimbut* na Żmudzi, a *Kiernos* w Litwie panowali. Ten ostatni był założycielem *Kiernowa*, przez czas długi stolicy Litwy. Gimbut zawojował Braclaw i Księstwo Połockie pustoszył. Kiernos ojcem był *Żywibunda* i *Montwilly*,— ten był panem na Żmudzi, Żywibund zaś na Litwie. Wszystkie te jednak podania jeszcze się do historii niepewnej odnoszą. Żywibund bowiem był wprawdzie, lecz nie w tym czasie. Linija Montwilly na synie jego skończyła się. *Erdziwill* syn Żywibunda, zawojował Podlasie, Brześć i nad *Okoniówką*, pod Mozyrem *Kurdasa* wodza Tatarskiego zwyciężył, około roku 1250, co się jednak nie zgadza z najściem Tatarów, bowiem ich napad był w r. 1224 pierwszy, a drugi w r. 1237. Erdziwilla wnuczką była *Pojata*, córka *Kukowojta*, a żona *Giedrusa*; synami Giedrusa byli *Algimund* i *Minigajllo*, który poraziwszy Ruś pod *Grodkiem*, w Połocku panował. Od niego to poszli Książęta, wspomniani tylko przez Strykowskiego, z kądinąd zaś wcale niewiadomi, *Skirmunt* i *Ginwillo*, z synem *Borysem*. Od syna Pojaty *Ryngolda* pochyna się pewniejsza historia Litwy.

Całe to pokrewieństwo jest niepewne i zawikłane; podobnież i w Chronologii nie raz daje się Strykowski w błędzie ułować.

Z tej wielości Książąt, nic innego wnosić nie należy, jak tylko, że Litwa przed Ryngoldem była rozdrobiona i w różnych stronach różni *Kacykowie* (?) *) panowali, mordując się wzajemnie.

Mimo takiego jednak rozdrobienia, z jaką odwagą, siłą, i niezgiętą determinacją naród ten w XII i XIV wieku odpierał swych nieprzyjaciół, trudno jest gdzieindziej znaleźć podobne przykłady.

*) Kunigasowie chyba? ale za czasów ONacewicza znajomość historii krajowej tak mało była npowszechnioną w narodzie, iż więcej wiedzano o nazwaniu władców Mexykańskich, (bo czytano romans *Marmontela*), niż o swoich litewskich. Może dla tego Professor używał zrozumialszego języka.

Albowiem bez żadnej broni, siłą tylko swych ramion, przez sto lat przeszło, opierali się mężnie Krzyżakom.

Jeszcze za Erdziwitta, przeprawiali się Litwini przez Wilję na płytach, i zdobywali kraje od Tatarów spustoszone.

R Y N G O L D.

Ryngold, człowiek możny i przebiegły, to umową, to siłą, pozbywszy się drobniejszych Panów, pierwszy występuje w działaniu wojenném na większą skalę i broni się od Krzyżaków. *Konrad* Książę Mazowiecki, wezwawszy Krzyżaków na pomoc przeciwko Prussom i Litwie, ostateczną z nimi ugodę zawarł w r. 1230 i oddał im ziemię *Dobrzyńską* i *Michałowską*.

Pierwszy zamek dla siebie w Toruniu Krzyżacy zbudowali, później założyli miasto *Malborg*, stolicę Mistrza Krzyżackiego i w przeciągu 35 lat zawojowali Prussję, lubo się Prusacy z niezmierną mocą i stałością bronili. Zdobywszy Prussy, z wielką potęgą wdzierali się Krzyżacy do Litwy, od rzeki *Pregel*. Z drugiej strony zagrażali Litwie Kawalerowie Mieczowi, którzy w Inflanciech od następcy Meinhardta początek swój biorą; Litwini za Ryngolda zrobili przeciwko nim w r. 1238 wyprawę, i wszystkich prawie, z ich Mistrzem, w pień wycięli. Poczem Kawalerowie połączyli się z Krzyżakami i pod jednym mistrzem zostając, ciągle Litwę napadali i drapieżyli. Żmudź w owym czasie była najpierwszym celem pożądlivości Inflanczyków i Krzyżaków, a lubo na czas krótki Krzyżakom udało się nią zawładać, nigdy im jednak zupełnie podległą nie była. Ryngold brat Montwiłły, od którego pochyna się pewniejsza historia Litewska, żyć przestał r. 1238 lub 1240, jaką zaś śmiercią, niewiadomo. Po nim syn jego Mendog nastąpił.

M E N D O G

Panowanie Mendoga stanowi epokę w dziejach Litewskich. Miał on liczne stosunki z ościennymi państwami, listy obcych monarchów do Mendoga, znajdują się u *Dregera* i w *Bullarium*. Widząc uciśnione swe państwo od Krzyżaków i Kawalerów Mieczowych, oświadczył, że chce przyjąć wiarę Chrześcijańską sądząc, że z przyjęciem onę, skończą się napaści i nieszczęścia narodowe, i pisał oto do Papieża, który przysłał Nuncjusza dla

wyprobowania gorliwości Mendoga. Po przyjęciu wiary Chrześcijańskiej 1252 r. na Króla koronowany został na polach Nowogródzkich. Jakie imię na chrzcie otrzymał, nigdzie powziąć wiadomości nie można. Powieździeliśmy, że Ojciec jego Ryngold wypędziwszy drobniejszych Kacyków, utworzył niejaką całość do oporu zdolną; Mendog idąc za przykładem Ojca, synowców swych wygnał z ich dzierżaw, wskazując drogę szukania zdobyczy na nieprzyjaciółach; ci za jego pomocą zdobyli Połock, Witebsk i część Smoleńska. Byli oni obrządku Greckiego; Mendog podobnie mógł być pierwój obrządku Greckiego, bo miał za żonę *Martę*, Księżniczkę Twerską. Trudno jest bowiem wierzyć, żeby Książęta Chrześcijańscy wydali swą córkę za poganina.

Synowcowie Mendoga tak się wkrótce wzmogli w polegę, że ściągnęli zawiść stryja, który się lękał utraty kraju. Zdradliwi i pożądlivi Krzyżacy Pruscy, podsycali nawzajem synowców do nienawiści. Chcieli bowiem Mendoga w smutnym i kłopotliwym pozostawić położeniu, aby od nich tylko mógł się spodziewać pomocy, przy której dałoby się im coś skorzystać. Jakoż Mendog wkrótce po swęj koronacji, został oskoczony od synowców *Daniela* Księcia Ruskiego, który około tego czasu koronowany był na Króla Halickiego w Drohiczynie; z Krzyżakami, widząc się w niebezpieczeństwie, zawiera przymierze, że po śmierci jego bezpotomnej, mają zabrać sobie Litwę.

Widząc jednak i po tój ugodzie ciągle Krzyżaków napady, ponawiane zawichrzenia i bunty, nadto znając, że naród pogrążony w barbarzyństwie i ciemnocie, podsycany od swych Kapłanów, niechętnie spoglądał na odmianę wiary Mendoga,— aby poprawić błąd swój, zrzeka się wiary chrześcijańskiej, występuje z wojskiem i wkrótce Prussy i Polska stały się teatrem działań jego; na wszystkie strony drapieżył, chociaż dawano mu tu i ówdzie odpór.

Nakonieć znowu powrócił do wiary chrześcijańskiej; mamy bowiem dotąd bulle Papieżkie mianujące Mendoga Królem Litwy, powtórnie nawróconym. Religja w owym czasie była niejako tylko narzędziem politycznym. Mendog miał synów: *Wojsietka*, *Ruklisa*, *Repikasa* i *Gierstulla*, o którego exystencji z *archiwum tajnego Krzyżackiego*, nabrać można przekonania. Mendog uprosił u Papieża Biskupa dla Litwy, którym był jak powiadają *Wit* Dominikan. W kronikach zaś Polskich i dyplomatach znajdujemy, iż uprosił *Krystyna* Krzyżaka mieczowego na Biskupa Litewskiego. W owym czasie Arcybiskup Ryzki miał

metropolitalną władzę i ten wyświęcił Krystyna na Biskupa Litewskiego. Mendog nadał obszerne włości na Żmudzi na jego wyżywienie i opatrzenie; między innemi, należały tu *Rosienie*. Zostawał on z początku pod dependencją Arcybiskupa Ryzkiego, lecz Mendog później wyrobił, że od samego Papieża zależał.

Strojnät albo *Strojden* Książę Żmudzki i *Dowmunt* Książę *Naleszański* utworzyli spisek przeciwko Mendoga, i napadłszy nań w czasie snu w 1263 r. życie mu odebrali. Wojsiełk syn Mendoga był wówczas mnichem w *Ławryszowie*, w Nowogrodzkiem nad Niemnem, tam gdzie dziś jest klasztor XX. Bazylijanów. Postanowiwszy zemścić się za śmierć ojca, zemknął do *Pińska*, aby uniknąć nieprzyjaciół; tam otoczony gronem przyjaznych, włożył purpurę Książęcą, nie zdejmując habitu i poprzyściął przez lat trzy Litwę wojować.

Nasi kronikarze między innemi przyczynami zabicia Mendoga, naznaczają tę, że on po śmierci Marty, żony swój, zatrzymał przy sobie krewną swoją; to dać miało powód do spisku. Podobniejsza do prawdy, że Strojnät chcąc zagarnąć Księstwo Litewskie po zabicu synowców Mendoga, utworzył spisek na życie samego Mendoga.

Wojsiełk sroząc się przez trzy lata po ukaraniu zabójców ojca swego, zamyślał uczynić wyprawę na Wołyn. *Leon Daniłowicz* syn owego Daniela, zdradliwym sposobem zawarł z nim umowę i pod zaręczeniem *Swarna* Księcia na *Drohiczynie*, za rzetelność obietnicy Leona,— Wojsiełk przybył do niego na biesiadę; po tej biesiadzie na powtórna zaproszony, od zdradliwego Leona zabity został, który dla nadania powodu zabójstwu, wszczął był kłótnię, i tamże wymordował wielu znakomitych Litwinów.

Po Wojsiełku nastąpił *Swarno*, lecz ten wkrótce umarł, pochowany w Chełmie. Po nim *Trojden* nastąpił, lecz okrotnem i srogiem postępowaniem zgon swój przyśpieszył.

Dowmund z pięciuset familij Litewskich w r. 1266 do Pskowa umknął, przyjął wiarę chrześcijańską grecką i tam przez lat trzydzieści trzy panował, jako Książę, aż do 1299; tamże rozwinął dziedziczną swą waleczność.

Litwa po śmierci Trojdena stała się teatrem morderstw i zabójstw. Przez lat 20 od śmierci Mendoga, trapiły ją niezgody i mordy, aż do czasów *Litawora* czyli *Lutuwora*, i syna jego *Witenesa*, o których *Piotr Dusburg* powiada. Litawor zaczął panować r. 1283. Żmudzini tymczasem aż do r. 1280 opierali się pod *Majstą* i *Strugajdą*, najazdom Krzyżaków i Prusaków.

W tym czasie *Budegajde* na Żmudzi panował, nad *Dźwiną* zaś *Merecką* Książę *Mścisław*, — o których exystencji przekonujemy się z autentycznego pisma w tajnym Archiwum Krzyżackim znalezionej. W Strykowskiem o nich żadnej nie napotykaemy wzmianki. Współcześnie także *Germunt* na Litwie panował, na Wołyniu Swarno, Wojsielek od Grodna, przy *zapuszczańskim* zaś trakcie Trojden *okrótny*; ten córkę swą wydał za Księcia Mazowieckiego; wnuk jego nazywał się także *Trojden*, którego Rusini otruli. Strykowski zaś powiada, że Trojden przejeżdżając przez *Ejragołę*, miasto na Żmudzi, ujrzał na ulicy chłopca rzeźwego, który mu się podobał, wziął go z sobą i wychował przy swym dworze; ten został później Marszałkiem, a nareszcie po Trojdenie objął rządy Państwa pod imieniem *Witenesa*. Lecz Dusbürg wyraźnie mówi, że Witenes jest synem Księcia Litewskiego Litawora, „*Vitenes rex, filius regis Litaviae*.” Około 1283 Litawor objawia swe działania, które jednak syn jego Witenes bardziej rozwinał, jako współnik rządów ojca. Umarł Litawor 1292 r. Witenes do 1315 r. panował. Od śmierci Mendoga, przed Witenesem i po nim, ciągle boje z Krzyżakami czasy te wypełniają. Niema tego roku, w którymby Litwini na Polskę i Prussy nie napadali, i nie dowiedli na nich swęj zabójczej czynności.

Wyprawy Litewskie w ten sposób czynione były, że Litwini konno przez manowce napadali, a wpadłszy zniemacka na jakie miasto, w długie uderzali trąby, czém przerażając mieszkańców, łupieżyli, bez oporu zabierali w niewolę ludzi, i wszystko ogniem i mieczem niszczyli; po dwóch lub trzech dniach grabieży powracali z łupami do domów. Lecz gdy Krzyżacy mieli czynić wyprawę, Litwini tygodniem wprzód albo wcześniej, — mimo całej tajemnicy mając już wiadomość, — czém prędzej chronili się w lasy niedostępne, na trzęsawiska i pomiędzy liczne swego kraju jeziora, uprowadzając z sobą bydło i konie. Żywność bądź z sobą uwozili, bądź w miejscach bezpiecznych zakopywali. Dla tego to Krzyżacy wyprawiając się na Litwinów, musieli prowadzić za sobą wielkie magazyny i te częściowo po różnych miejscach na drodze zostawiali. Litwini zaś nie tyle chcąc swych nieprzyjaciół bitwą, jak raczej podstępami udźrczyć, starali się z zasadzek wypadać i magazyny odbierać; nieraz też wojsko Krzyżackie z głodu ginęło.

W wyprawach Litewskich ten jeszcze znajdujemy obyczaj, że Litwini pojmanny w potyczce znakomitego rycerza, Bogom go swoim w całkowitę zbroi, na koniu siedzącego, na ofiarę żyw-

cem palili. Gdy kilku takich jeńców pojмали, los rozstrzygał, który na ofiarę miał być poświęconym.

O przyszlém życiu, obszerną wiadomość podawała religija Litewska i wznagała męztwo w narodzie. Ciała Książąt i bohaterów palono; do grobu z niemi iść musiał najwierniejszy sługa. *Henryk Łotysz* powiada, że pięćdziesiąt niewiast po śmierci swych mężów w bitwie poległych, życie sobie odebrało dla prędszego złączenia się z niemi. Na stos do spalenia prowadzono konia; oręż i pazury rysie kładziono do grobu, mniemali bowiem, że wszyscy mieszkańcy Litwy po śmierci mieszkać mieli z Bogami na wysokiej górze, na którą za pomocą pazurów rysich wdzierać się będą. Oręż kładziono tym tylko, których śmierć wolnych zaszcza; według ich mniemania bowiem, kto za życia był niewolnikiem i po śmierci całą wieczność niewolnikiem miał pozostać, wolny zaś wiecznie miał być wolnym; i tój to opinji Litwini męztwo swe winni; woleli życie postradać z orężem w rękę, niż dostać się w niewolę. Litwini w ogólności nie łatwo do niewoli brać się dawali. Gdy córka Gedymina szła za Kazimierza syna Łokietka, Gedymin dał jój w posagu 24,000 więźniów, Polacy zaś nie mieli żadnego Litwina.

W tejsze epoce o której mówimy, znajdują się bardzo ważne wiadomości o narodzie Jadźwingów. Ojczyzną ich było Podlasie, ta część województwa Podlaskiego mianowicie, gdzie miasto *Siedlce*, i południowa część obwodu Białostockiego. Oświata u nich na niskim była stopniu. Lecz za to narod ten, po kronikach nawet nieprzyjaciół, o męztwie swoim ma świadectwa. *Kronikarz Wolyński* oddaje im tę sprawiedliwość, że byli ludem wielce mężnym. Jadźwingowie służyli Litwinom za przedmurze przeciwko Polakom. Bolesław dopiero *Wstydlivy*, połączywszy się z Ruskiemi książętami, wielką uczynił na nich wyprawę i we wstępnej bitwie, którą Jadźwingowie przeciwko nierównie większej sile wydali, wszyscy na placu boju polegli, nie chcąc przeżyć klęski swój Ojczyzny. Starcy, którzy w chałupach pozostali, mocą oręża zmuszeni byli do przyjęcia wiary chrześcijańskiej, wyznania Rzymskiego. Kraj ich zaś opustoszały, częścią przez Mazurów, częścią przez Rusinów, zaludnionym został.

Całe panowanie Witenesa przez lat 13 zajęte było wyprawami i napadami na Prussy, Inflanty i Polskę, często nie bez pomyslnego skutku, alhowie on odebrał od Krzyżaków większą część krajów przez Mendoga darowanych, które Krzyżacy jako swoje zagarnęli.

Jeszcze na początku panowania swego Witenes pragnęła dać polityczną ważność krajowi swemu, chciał go zaludnić i wtedy to 36,000 niewolnika z Łęczyckiego uprowadzono dla zasiedlenia Litwy.

Litwini zawsze nieprzyjaźni Krzyżakom, pomagali przeciw nim w Inflanciech. Krzyżacy poróżnili się z Arcybiskupem i mieszczanami Ryzkiami; Arcybiskup bowiem uważał Krzyżaków Inflanckich jako swą nadworną milicję. W roku tedy 1297 Arcybiskup i mieszczenie Ryzcy zawarli traktat z Witenesem, i dziewięć razy wspólnie w bitwie przeciw Krzyżakom stawali; podobnież i Biskup *Dorpacki* używał pomocy Litewskiej przeciwko Krzyżakom.

Wkrótce jednak 1299 Litwini z Mieczowymi Kawalerami wespół na Dowmunda napadli, lubo Dowmund w Pskowie panujący, wcale nie miał z Litwą związków; wszakże zostali odparci ze szkoda.

W r. 1298 ubiegli *Brodnicę* czyli *Strazburg*.

W r. 1301 sześć tysięcy Litwinów Chełm spustoszyło.

W r. 1302 pod Lublinem wspólnie z Rusinami przeciwko Polakom walczyli. Wacław Król Czeski wówczas w Polsce panował; Polacy pobili Litwę i Lublin odebrali.

Gdy tak Witenes odzyskiwał pomału darowiznę przez Mendoga Krzyżakom uczynioną, Wielki Mistrz Krzyżacki, ażeby bliżej miał Litwę na oku i częściej mógł na nią napadać, w roku 1300 przeniósł rezydencją z Marburga do *Malborga*; *Zygfried von Faichtwangen* tam swą stolicę założył.

Roku 1310 *Gwazeluta* Królewicz Litewski syn Witenesa, Inflanty pustoszył; Kronikarze Pruscy przytaczają, że Witenes był jednak z wielkim uszanowaniem dla kościołów i kapłanów.

W tym to czasie Krzyżacy zabrawszy część Żmudzi, która się ogranicza od Memla do rzeki Pregla, posuwali się brzegiem morza Bałtyckiego i usiłowali kraje te połączyć z Inflantami. Żmudzini od Połongi z tak wielką siłą i zapalczywością bronili się, że nawet przez trupy swych wojowników nieprzyjaciółom przejść niepozwalali. Zakładali tam Krzyżacy fortecę, któraby mogła być dla Żmudzi bardzo niebezpieczną, a Litwini kilkakrotnie ją dobywali.

W r. 1314 udało się Krzyżakom dopytać do Nowogródka, (jak pisze kronikarz Ruski) w ziemi Krywiczów, aż do Smoleńska się rozciągającej. W tej właśnie porze, kiedy Witenes zajęty był wyprawą przy Memlu, udało się im wprawdzie spalić przedmieście Nowogródka, lecz nie zupełnie szczęśliwie skończyli

ten napad, albowiem *Dawid*, Starosta Grodzieński, zabrał im żywność i tak mocno poraził, że zaledwie półowa ich, do swoich powróciła.

Po ostatniej wyprawie dla zburzenia zamku w Memlu, Witenes żyć przestał r. 1315.

G E D Y M I N .

Niema żadnej wątpliwości, że Gedymin był synem Witenesa, znajdujemy bowiem dowody, że *Woin* brat Gedymina syn Witenesa r. 1326 był Księciem Połockim. Długosz przeto błędnie twierdząc, że Gedymin był Koniuszym Witenesa.

Wstąpiwszy na tron Gedymin w r. 1315 znalazł wewnątrz i zewnątrz nieprzyjaciół w Prusach. *Pelus* syn Strojnata, wielce mu dokuczał; dowiedział się on, że jeden z Książąt około granic Pruskich odbywał wesele; napadł z Krzyżakami na weselących się, wszystkich wymordował i łupy znaczne im pozabierał, wicherzył aż do czasu, w którym Gedymin własną ręką trupem go położył. Nim jednak do tego przyszło, zrobił wprzód wyprawę dla odzyskania części Żmudzi od Krzyżaków zabraną. Przy pomocy Książąt Ruskich i Tatarów Krymskich (tych wystawił na czoło przeciw Krzyżaków, Litwinów we środku, Rusinów zaś z boku) stoczył bitwę r. 1316. nad rzeką *Zejewką* na Żmudzi, i zupełne nad nimi odniósł zwycięstwo. Żmudz odzyskaną została. Gasztold w tej bitwie dowodził Litwinami. Do 1319 ciągle Gedymin robił wyprawy na Krzyżaków, wtedy dopiero zawarł z nimi rozejm na dwa lata, zajęty był bowiem napadami Książąt Ruskich Włodzimierskich i Siewierskich na Nowogródek i część Województwa Trockiego. Krzyżacy zaś tymczasem zwrócili swój oręż i uwagę na Pomezanię.

Wraz po zawarciu rozejmu r. 1319 uderzył na Włodzimierz, gdzie w owym czasie panował potomek Daniela. Strykowski i inni kronikarze mówią, że Gedymin obrócił wprzód oręż swój na Brześć i tam dla skoncentrowania sił swoich, przezimował. Walna była rozprawa z Książętami Łuckim i Włodzimierskim pod Włodzimierzem. W tej potyczce piechota Litewska poprawiła błąd przez Kawalerję Żmudzką pierchającą, popełniony. Zwycięstwo zostało przy Litwinach. Książę Łucki legł na placu bitwy, a Włodzimierski uciekł do Księstwa Siewierskiego. Żytomierz zabrany został przez Litwinów. Gedymin posunął póź-

niej zwycięzki swój oręż do Kijowa, gdzie był Książęciem Stanisław, (o którym żadnej gdzieindziej niema wzmianki) i z wielką łatwością r. 1320 pod moc go swoją zajął. I tym sposobem po zawartym z Krzyżakami rozejmie, rozszerzył granice swego państwa na Wołyniu, Ukrainie, Rusi, i aż do brzegów morza Czarnego dosięgnął. Rozum wielki Gedymina w tém się pokazuje, że nad zawojowanemi krajami uczynił rządcą krewnego swego *Mindawa Ks. Olszańskiego*, który był wyznania greckiego. Po takich zwycięztwach Gedymin w r. 1321 z tryumfem wjechał do stolicy swojej Kiernowa, i odtąd począł zwać się *Królem Litewskim i Ruskim*.

Gedymin dla rozszerzenia oświaty i rzemioł na Litwie, wzywał majstrów z zagranicy; twierdzą, że około tego czasu założył miasto *Troki* (Stare); w roku zaś 1322 nastąpiło założenie Wilna. O dawniejszych dziejach tego miejsca, na którém teraz Wilno stoi, powiadają, że tu gdzie dziś się wznosi kościół Katedralny, dawniej stała świątynia *Perkuna*, w miejscu ujścia *Wilejki* do Wilji. W świątyni na Świętorozie, gorzał wieczny ogień *Znicz*, bóstwu temu poświęcony; do pilnowania jego były przeznaczone dziewice jakoby rzymskie Westalki. Na tém to miejscu niejaki *Germund*, którego genealogja wyświeca pochodzenie od Mendoga, kazał w r. 1280 ciało swe po śmierci spalić, wedle ówczesnych obrządków. Była to jedna z tych form religijnych pogaństwa, których źródła szukać trzeba w politycznych urządzeniach państw wschodnich.

O samém zaś założeniu miasta Wilna takie znajdujemy podanie:

Razu jednego Gedymin przy zbiegu rzek Wilejki i Wilji, na górze teraz zwanéj *Zankową*, zmordowany polowaniem, z dworem i Panami przepędzał noc najpiękniejszą, w téj saméj kniei, w której przed chwilą udało się mu ubić ogromnéj wielkości Turra. Nie było to wprawdzie rzeczą nadzwyczajną, szczęśliwemi w téj porze pochłubić się łowy: lasy przepęłnione zwierzem, i polowanie jedyna rozrywka Panów, wszelkiéj ku temu dostarczały łatwości. Ale Tur Gedymina nie był pospolitym Turem. Znany z piękności swych rogów, od dawna był celem czat i pościgów łowieckich, lecz ciągłemi niebezpieczeństwami wprawiony do ostrożności, z dziwną szybkością przenosząc się z jednéj puszczy do drugiéj, oszukiwał czujność najbieglejszych łowców i bezużytecznemi czynił wszystkie ich zasadzki. Widząc nakoniec, że jego piękność zgubna uzbroidła nań całą prawie Litwę, jakby szukał śimerci z ręki najgodniejszéj, wpadł na oszczep Gedymina, i legł

u nóg jego. Uradowany Książę tak szczęśliwą zdobyczą, na témże miejscu, kazał wspaniałą ucztę wyprawić. Była jesienna pora: zawieszono od jednych gałęzi do drugich kosztowne zapony, usłane zwierzęcemi skórami murawy, mnóstwo rozłożonych ognisk, psy, sokoły, łowczowie, cała myśliwska drużyna, osobliwszy na dzikiej puszczy dawały widok! Ożywiały go obfitość trunków, wesołość dworzan, a nadewszystko dobra myśl Pańska. Rozmowy po większej części toczyły się o sprawach dnia tego. Kto więcj ubił zwierzyny, komu tęższe dawał obróty Tur ścigany, który psów rodzaj lepiej się zastużył; przy tém rozliczne uwagi i żarty, były osnową wzajemnych powierzeń i często przesadnych dodatków, jak to zwykle między myśliwemi się zdarza. Wnosić należy, że i sen po dziennych trudach i wypróżnionych pucharach, powtarzać je musiał w dziwacznej postaci.

Nazajutrz u śniadania, Gedymin pełen troskliwej myśli, marzenia swoje opowiadał przed dworem, obiecując znaczną nagrodę temu, któryby najtrafniej sny jego wyłożył; sny bowiem w owym wieku uważane za przestrogi Bogów, były wyrocznią najważniejszych spraw ludzkich. Śniło się Księżciu, że widział wilka okrytego zbroją żelazną, a w gardle jego słyszał głosy stu wilków straszliwie wyjących.

Tak dziwne marzenie w zadumienie wprawiło dwór cały. Sądziło się Panowie na różne wykłady. Jedni przewidując klęski powietrza, radzili wczesne przedsięwzięcie środków: drudzy wrożyli pomyślność następnych łowów: inni głosili wojnę: zgoła każdy ciesząc lub przerażając, zdanie swoje objawiał. Lecz gdy żaden z dworzan nie był w stanie zaspokoić Pana, jeden ofiarnik od Znicza zabrał głos zapewniając Księżcia, że sen jego odkrywa wolę Bogów: żeby na tém miejscu, gdzie pod jego grotem poległ zwierz, potężne stanęło miasto, którego sława i zamożność rozchodzić się będzie po całym świecie, wilk bowiem w żelazie nie co innego, jak mówił, znaczy, tylko gród warowny, a głosy w nim wyjące, mnogość jego mieszkańców. Podobał się Gedyminowi takowy wykład, zaklaskał z radości w ręce, udarował wieszca, i niezwłocznie wydał rozkazy zakładania miasta. Natychmiast tysiące siekier łoskot roznosząc po puszczy, ruszyły zdziwione zwierzęta z ich odwiecznych siedlisk: padały z trzaskiem stoletnie dęby i jodły; a dzień jasny zajął nocy mieszkanie; knieja zgonem Tura pamiętna przyjęła zakresy warownego grodu. Taki jednak wywód początków miasta dla braku pismienych na to dowodów, niepewnym jest i bardzo mylnym być może.

Gedymin rezydował już w r. 1322 na zamku swym w Wil-

nie, zbudowanym na górze zamkowej, bo w tym czasie z tego zamku pisał do Papieża Jana XII.; zład w r. 1323 wyprawił się na spustoszenie Inflant, a mianowicie Dorpatu; uważając jednak, że mimo zwycięstwa i łupy, trudno mu będzie opierać się tym awanturnikom, którzy pod pozorem religijnym władać Litwą zamierzali, wysłała poselstwo do Arcybiskupa Ryskiego i do Papieża w 1323 oświadczając chęć przyjęcia wiary Chrześcijańskiej, a prosząc o przysłanie kapłanów spokojnych, nie takich jak Krzyżacy, co się nie mogą krwią pogan nasycić. Papież wysłał dnia 4 Junija 1323 r. Nuncjusza *Bartłomieja*, Elekteńskiego Biskupa i *Bernarda* Benedyktyna do Litwy, dla nawrócenia Gedymina, w skutek jego własnych żądań, nakazując przez bullę państwowi i kapitułom, przez które będą przejeżdżać, aby codzień pierwszemu dawano po dukatów 8, drugiemu zaś po dukatów 5, prócz tego wygod, i konie, pojazdy reperować, gdyby się te zepsuły. Tymczasem wiarołomni Krzyżacy zamiast zachęcenia Gedymina do przyjęcia wiary Chrześcijańskiej starali się przeszkodzić, mocniej mu jeszcze dokuczając; przejmowali pisma, łapali postów i pustoszyli Litwę, czem rozjuszony Gedymin wywarł swą zajądlność na Inflanty i Prussy i posłał Dawida Starostę Grodzieńskiego, który panował w Pskowie, na spustoszenie Estonji. Uskarża się też później przed Papieżem, że mu Krzyżacy przeszkadzają przyjąć wiarę Chrześcijańską o czem świadczą własne jego pisma w Archiwum Krzyżackiem znalezione. Do Lubeki dzisiejszój, czyli *Bukowicy* oskarżenia swoje na Krzyżaków posyłał, które w aktach są zamieszczone. Papież w skutek tych skarg upominał Krzyżaków, że są wiarołomni i powołaniu swemu nie odpowiadają. Krzyżacy nie dopuścić Gedymina do wiary Chrześcijańskiej ważnem dla siebie uważali, bo gdyby Gedymin został Chrześcijaninem, napaady ich na Litwę ustać by musiały.

Znajdujemy w pismach archiwum Krzyżackiego, że Kuztosz Bernardyński z Niemiec w r. 1324 pisał do Papieża uniewinniając Krzyżaków z uczynionych przez Gedymina zarzutów. Także *Eberhard* Biskup Warmiński 1325 usprawiedliwia zakon Krzyżaków przez Gedymina oskarżony, dowodząc, że Gedymin sam jest najzawziętym nieprzyjacielem chrześcijan, że on w 1323 Rewel i Dorpat spustoszył, że w tym czasie na Memel napadł, na ziemię Dobrzyńską targnął się, i tam 7 kapłanów, 40 kleryków, 2 Bernardynów, 60,000 ludu zamordował i 7 kościołów Chrześcijańskich spalił.

(Dalszy ciąg nastąpi).



WSPOMNIENIE

O

KAROLU MUYSCHELU *).



ZAPÓŹNO wprawdzie oddajemy hołd zasłudze i imieniowi, któreśmy wypisali u góry, wszakże łoż samo opóźnienie pamięci, tak długo przeciągające się po za grobem, powinny być najlepszym dowodem prawdziwości cnot i zasług zmarłego, a zarazem szczerości uczuć, piszącego.... Po innym człowieku spóźnione wspomnienie, ginie w niepamięci.... Gdyby to był tylko prosty uczo-ny, biograf jego zredukowałby się do wyliczenia erudycyjnych prac jego, któremi zadrukowałby jaką stronicę w jakiejś Encyklopedji niemieckiej, i na tém skończyłaby się cała powieść, niezbyt chlubnego zawodu na ziemi... Przypomniaby o nim ludziom, chyba kiedy jakaś książka wydobyta z pyłu bibliotecznego, lub przypadkiem spotkana na stole studującego młodzieńca, gdzieś tam w Akademji Medyko-Chirurgicznej, — i to dopóki nowa metoda nie zatarła znaczenia dawniej... życie jego pokryłoby się pajęczyną niepamięci, jak tyłu uczonych pedantów, którzy dla siebie tylko żyli, sądząc, że żyli dla ludzkości... żadne serce nie wspomniaby o nich nigdy!.. a po upływie lat tyłu, jak dodziśdnia od śmierci ś. p. Muyschela, jużby o nich ani wzmianki na ziemi nie było....

Ale Karol Muyschel nie był pedantem; był on w całym znaczeniu *człowiekiem*, i zauważcie, *człowiekiem* ducha wieku na-

*) Załączony na czele dzieła wizerunek, jest kopją z olejnego zrobionego w rok po śmierci, i dziwnym sposobem przez samą moc wspomnienia i opowiadanie brata młodszego Henryka malarzowi, wprowadzono z nicosei te rysy, w których znajomi nieboszczyka znajdują podobieństwo. (Wyd.)

szego. Gdybym był uczniem jego, do wspomnienia o nim powodowałyby mnie może wdzięczność za naukę, a następnie za jakie *zyskowne miejsce*, któreby dawało mi kawał chleba, z czém wdzięczny uczeń niezaniebdałbym wylać się, osobliwie przed tymi, co mogliby posądzić mię za niewdzięcznego, i złą opinią o mnie utworzyć, (coby uczyniło szcerbę w moich dochodach!);— ale dla mnie, com szedł sobie po świecie, nie mieszając się w niczyje drogi, nie wdając się w żadne *korzystne place*,— wszelkie jego uczone zasługi były rzeczą podrzędną: widziałem w nim *człowieka serca* i tylko jako do takiego, garnałem się do niego, lubiłem go, szanowałem, kochałem nawet jako najlepszego przyjaciela, i oto dla czego pamięć o nim przechowałem dotąd w nie-szakowanej czasem świeżości....

Dla tego właśnie, iż uczucie moje było tak żywém dla niego, biografia moja powinna być nacechowaną najczystsza prawdą, jak jest prawdą to wszystko, co z serca pochodzi,— bo ten tylko ocenić go był w stanie, kto go znał osobiście, i kto,— jak ja, patrzył mu prosto w serce. Uczeń wypisałby na czele szereg dzieł jego i odkryć w nauce, której swe życie poświęcił,— (ja to umieściłem, jako konieczność, bo też zarobił sobie na Europejską sławę: o nim wiedzieli uczeni weterynarze),— bo główną treścią mego wspomnienia jest jego osobisty charakter jako człowieka i ta dążność całego życia, aby wszelkimi środkami, jakimi obdarzyła go natura i głęboka nauka, przyczynić się do dobra ogółu. W nim bowiem było najbezinteresownaisze zaprzanie się samego siebie dla tych dwóch celów życia: dla nauki i ludzkości: z nich wyszedł, dla nich i przez nie życie utracił. Nie widziałem nigdy piękniejszego emblematu życia *uczonego*, jak śmierć Karola Mutschela!..

Dwa bowiem powyższe cele, najściślej połączone z sobą, *je-dynie tylko* odpowiadają wymaganiom, jakich dzisiejsza społeczność po uczonym oczekuje: jeden którykolwiek wyłącznie z tych dwóch celów, nie czyni kompletnym człowieka, tymbardziej odzianego poważnym tytułem *professora*; o takim prędko i uczniowie i ludzie zapominają...

Co piszę, to wszystkim i całemu światu wiadome, ale zatem nie idzie, aby nie przypomnieć o tém ludziom z powodu wspomnienia o znikłym z grona naszego, co tak umiał odpowiedzieć powinnościom żyjącego w towarzystwie człowieka, i tak piękną, a w rzeczy, nie tak trudną do naśladowania!— naukę zostawił.

Nie będę się wdawał w szumne frazy, jak ten, co sili się obudzić w sobie entuzjazm *na zimno*, nie mając prawdziwego przeko-

niania w sercu;— o tém co zrobił mój uczony, wiedzą wszyscy w Wilnie, co go znali lub słyszeli o nim: a zresztą czyny enolliego są tak ogołocone z charakteru oryginalności, iżby wyliczenie onych nie zaspokoilo ciekawości czytelników, co go osobiście nie znali, a tylko przez ciekawość dowiedzieć się o nim czegoś pragnęli,— dość tego o czém tu świadczy, i co przekazuje wdzięczne wspomnienie, i ta sługłowska fama wylewająca się z ust wszystkich tych, co go znali, byli z nim w stosunkach, lub poczerpali z niego naukę życia i stania się użytecznymi ogółowi.

Rzecz godna uwagi, i o czém rzadki biograf napisać może, iż wszyscy, co byli najlepszymi jego uczniami, w dalszym ciągu życia, w samodzielném przejawieniu się, w zastosowaniu nabytych wiadomości do życia, okazali się wiernymi przechowywaczami jego cnót i dążeń: tak duch wyptywający z głębi ducha prawego łatwo i prosto przenika duchy innych ludzi, osiedla się w nich, i nowe, płodne dla ludzkości owoce wydaje.... Oto— czém jego uczniowie właśnie najpiękniejszy pomnik dla pamięci swego nauczyciela zbudowali... takiego on oczekiwał i spodziewał się po nich....

Ale wyjdźmy z tych ogólników, które do każdego prawego człowieka zastosować się dadzą: spójrzmy na tabelę jego erudycyjnego życia, bo oto się już dawno, nawykli do dawnych form nekrologicznych, czytelnicy nasi dobijają:

Karol Justus Muyschel, zwyczajny Professor Medyko-Chirurgicznej Akademii Wileńskiej, Doktor Medycyny, członek Cesar. Towarz. lekarskiego w Wilnie, syn osiadłego w Litwie obywatela, ewangelickiego wyznania, urodził się 22 Lutego 1799 r. w Rydze. Początki wychowania wziął w Dorpacie, gdzie był w pensjonie starszego Nauczyciela greckiego języka *Karola Struve*, autora greckiej grammatyki, i brata rodzonego owego dziś tak sławnego Astronoma. Po wezwaniu tego uczonego pedagoga do Królewca, Rektor Dorpackiego Uniwersytetu *Fryderyk Rambach* zajmował się dokonaniem jego naukowego wychowania: był to uczony całą gębą, a przeto miewał w swym domu wieczorne zgromadzenie literackie, na które nie tylko uczeni, składający *corpus doctus* Uniwers., ale i świeccy uczeni z całego miasta zbierali się. Widok szacunku i poważenia, jakimi otoczone były owe poważne peruki, wywarł nie mały wpływ na jego sposób widzenia i obranie nauki za główny cel swego życia, a stopnie uczone za najpiękniejszą chlubę odróżniającą uczonego od prostaka. Skończywszy nauki gimnazjalne w r. 1818 w Dorpacie, stosując się do woli ojca, rozpoczął kurs Medycyny w h. Un. Wil. Wro-

dzone zdolności zwróciły uwagę poważnego zgromadzenia, a Professor *Weterynarji i Anatomji porównawczej*, Ludwik Bojanus, wezwał go na swego pomocnika spodziewając się, że Mutschel zostanie jego następcą; i dla tego kierował go na *Zootoma*. W r. 1823, otrzymał stopień Magistra Medycyny; później napisał rozprawę: *de synonymia myologica equini generis* 1829, dla otrzymania stopnia Dra Medycyny; od roku 1823 zajął się publicznym wykładem lekcji *Anatomji, Farmacji i Chirurgji zwierząt domowych*, przy nowo-utworzonej przez Bojanusa *Praktycznej Szkole Weterynarji* w Wilnie. W r. 1829, kosztem b. Un. Wileń. został wysłany zagranicę, i podróż tę odbywał przez Prussy, Saksonję, Danję, Hollandją aż do Anglii, a ztamtąd przez Szwajcarją do Włoch, i powrócił przez Austrią. Francji nie zwiedził z powodu zasztęj tam wówczas rewolucji lipcowej. Za granicą miał zrzęcnosć wejść w stosunki ze wszystkimi w jego przedmiocie uczonymi ludźmi, tam odwiedzał znakomitsze stada i owczarnie, przypatrywał się wzorowym zakładom, zbierał postrzeżenia potrzebne dla przyszłego rozszerzenia i udoskonalenia *Weterynarnej Szkoły* przy Un. Wil.

Po przeniesieniu Uniwersytetu do Kijowa, a utworzeniu w Wilnie zamożnej Akademji lekarskiej, w r. 1832, objął obowiązek Profesora *Anatomji i Chirurgji zwierzęcej*, i przyłożył się do uorganizowania kliniki praktycznej podług najstawniejszych zakładów, które widział za granicą. Urządził też gabinety, które jego dozorowi poruczone były. W r. 1833 Minister Spraw Wewnętrznych nagrodił go osobnym darem za wykład licznych lekcji nad obowiązek. Powtórna nagrodę otrzymał, w 1835, za gorliwość w obowiązkach służbowych.

Okolo tego czasu Akademia naznaczyła konkurs dla katedry *Chirurgji Weterynaryjnej*. Za przedmiot dyssertacji wyznaczono: «Exponere Med. Veterinariae, potissimum vero externae, duobus ultimis lustris *progressus* atque *conditionem*, qua nunc in Europa consistat.»

Takowe zadanie było ogłoszone w gazetach politycznych *berlińskiej* i *hamburskiej*; odpowiedź Karola Mutschela otrzymała pierwszeństwo; w r. 1838, była ona wydrukowaną w piśmie wydawanem przez Akademię, p. t. *Collectanea Medico-Chirurgica*, vol. 4. in 4to. Takim sposobem przez konkurs został obrany zwyczajnym Profesorem i przez Ministra utwierdzonym w 1836; w tymże roku obrany na członka *ekzaminacyjnego Komitetu Ak. Med. Chir.* W r. 1838 otrzymał od Ministra podziękowanie za wydrukowanie swój rozprawy konkursowej, pod tytułem: *de Medicinae veterinae ab anno 1825 ad annum 1835,*

conditione et incrementis, (Collectanea Medic. Chirur.) Później porobił do tej rozprawy dodatki i objaśnienia, wydrukowane po śmierci jego p. t. *Einige Worte zu meiner Abhandlung* *). Miał też i brylantowy pierścień, i znak 15-letni nieskażonej służby. Od roku 1824 zostawał pod jego dozorem, utworzony przez Bojanusa, gabinet anatomii zwierząt domowych, i staraniem jego znacznie pomnożony; w r. 1841 oddano jego pieczętowości chemiczny i farmakologiczny gabinety, i obrano na członka Komitetu, którego obowiązkiem było spisać cały inwentarz gabinetów zoologicznych. Spełnił on i wiele innych podobnych wyżej wspomnianym, czynów uczonych, których spis podałem tu jedynie dla ciekawości przyszłego wydawcy Konwersacyjnego Leksykonu, bo one nie mają ścisłego stosunku, ani z moją główną myślą, ani z tą stroną tego człowieka, którą tu przedstawić chciałem.

W pozostałych papierach u brata Henryka, znajduje się projekt, napisany z powodu skassowania Akad. Med. Chir. Wil., w której się nauka weterynarii wykładała w najobszerniejszym znaczeniu. Główną myślą Muyschela było, aby przy Uniwersytecie Dorpackim urządzić fakultet weterynarny w połączeniu ze szkołą agronomiczną ze szczególnem baczeniem na prowincje Ostzejskie, z których sam był rodem.

Znalazły się też w owych papierach poetyczne próbki jego młodości; między innymi ballada *Bekiesz*, (po niemiecku) z podania miejscowego o górze *Bekieszówce* w Wilnie, podług ówczesnych wyobrażeń szkoły romantycznej. Wszakże sam wybór przedmiotu, czyni zaszczyt z obcego kraju młodzieńcowi, i był niejako już wtedy skazówką jak Mujschel miał wszystkie swe zdolności poświęcić na użytek kraju, śród którego los go rzucił.

Pod względem nauczycielskim, odznaczał się jasnym, łatwym i pojętym wykładem, a szczególnież zamiłowaniem praktycznych operacji na zwierzętach, w których wykonaniu doszedł do niepopolitej biegłości. Od dzieciństwa bowiem do zajęć mechanicznych wielką okazywał ochotę i zdatność, co mu już wtedy przyznawał przyszły Astronom Struve w Dorpacie. Zajmował się niekiedy leczeniem swoich przyjaciół, i czynił to z prawdziwie ojcowską troskliwością; zręczność jego w leczeniu i opatrywaniu ran, dotąd błogostawia niektóre osoby... W ogólności ta jego dążność prak-

*) Obacz *Magazin für die gesammte Thierheilkunde*. IX. Jahrg. 4. Stück. p. 339—421.

tyczna, przyniosła nie małą przysługę dla Litwy, przygotowując biegłych operatorów w licznych jego uczniach, którzy dotąd imię jego z wdzięcznością wspominają. Niektórzy między nimi czynią prawdziwy zaszczyt jego pamięci, jak np. P. *Jerzy Witowicz*, adjunkt b. Akad. Wil., a teraz gubernski Weterynarz przy *Izbie Dóbr Państwa* w Wilnie, który razem z nim podróże odbywał; drugi P. *Edward Ostrowski*, Dyrektor Szkoły Weterynaryjnej Warszawskiej; P. *Emiljan Roemling*, Gubernski Weterynarz w Rydze, posiadający najpiękniejszą opinię i ufność u całego miasta.

Erudycja jego była przestronna; nie było przedmiotu naukowego, o którymby nie miał dokładnych wiadomości; szczególnie lubił nauki stosowane, był to bowiem w całym znaczeniu mąż czynu, a nie teorii tylko; lubił też w młodości Botanikę, o której, jako o *kochance*, wspominał: podróżując poznał się z wielą sławnymi ludźmi; przypatrzył się wielu rzeczom, nawet wcale obcym jego przedmiotowi: w poufałym gronie lubił o swych podróżach opowiadać, a wtedy dziwić się potrzeba było ogromnej pamięci miejscowości, raz tylko w życiu widzianych. Pamiętam, kiedyś z nim mieszkał czas niejaki, tak mi dał dokładne wyobrażenie o planach topograficznych Londynu, Wiednia i Berlina, iż kiedy później spotkawszy się w stolicy z turystami Niemieckimi i Angielskimi, zacząłem z nimi o ich stolicach rozmawiać, wierzyć nie chcieli, żem tam nigdy nie był!.. Do wytrawienia takiej pamięci, pomagał mu nie mało dziennik jego przez wiele lat pisany. Posiadał języki: francuzki, angielski, włoski, rossyjski, polski, prócz rodowitego niemieckiego, znał doskonale grecki i łaciński, którym pisywał rozprawy.

To jako uczony. Jako człowiek był Karol Muyschel nader miłego układu. Delikatność uczuć szlachetnej jego duszy, wryła się głęboko w sercach, które go bliżej znały; był obok tego silnej woli, co raz przedsięwziął—dokonać musiał; nie go nie odwiodło od raz obranego celu; pisząc rozprawy zamykał się na kilka miesięcy od ludzi, i wysychał jako szczepek. Surowego umysłu dla siebie i żartkiego dowcipu dla innych, człowiek ten umiał zastosować się do najrozmaitszych pojęć, stanów i wieków; był pobłażającym dla innych; w ustach jego obraza nigdy niepowstała; owszem, obok delikatnego atłycyzmu w dowcipie, zawsze się przebijał wzgląd na osobistość każdego: za nicby nie chciał urazić, najpoziomszego człowieka w towarzystwie. Ciągnął ku sobie serca uczniów i przyjaciół, swoim, że się tak wyrażę, *rycerskim* charakterem. Był to jeden z tych uczonych, który się nigdy nie kłócił ze swoją uczoną konfraternją. Widok rzadki zaiste! I tylko obustronną za-

nością dusz, szlachelnością dążeń i dobrém wychowaniem domowém dający się objaśnić, co wszystko niestety! przed niedawnym jeszcze czasem, było rzadkością pomiędzy uczonymi...

Po przeniesieniu Akademji do Kijowa, wyjechał na wieś do swego dziedzicznego majątku *Mokniun* w pow. Trockim położonego. Był więc *Troczaninem*. Tam lecząc lud wiejski, po chatach, w czasie grassującej w r. 1843 nerwowej gorączki, sam się zaraził, i w 44 roku życia, 7 Lutego, padł ofiarą swego poświęcenia się dla ludzkości.

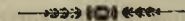
Zostawił wdowę, z domu P. *Emiljā Machnauer*, z dwójgiem dzieci, zostających pod opieką czutój i szlachetnej przyjaciółki Pani *Goehling*.

Duchu prawy, cóś z tak przykładaną godnością ewangelicznego człowieka spełniał wolę Opatrzności na tej ziemi, przyjm te słów kilka pamięci Twój poświęconych. Ani twój uczeń, ani kolega, ale człowiek prywatny, z ubocza przypatrujący się Twemu posłannictwu na tej ziemi, umiałem ja ocenić, młodzieniaszkiem będąc, Tve poświęcenie się dla nauki i ludzkości. Nie byłbym godzien przyjaźni, którą umiałeś we mnie wzniecić dla siebie, gdybym niechciał wyznać, iż w obłądnych moich usiłowaniach w tej ziemskiej pielgrzymce, przykład twój, niejednokrotnie wsparł duch mój, upadający w trudnej przygodzie życia. Dzięki składam Opatrzności, że mię w porę zetknęła z Tobą na drodze życia, przed puszczeniem się na burzliwy Ocean Świata. Mnie miło, z głębi ducha mojego, oddać ci to świadectwo, o tym błogim wpływie, jakiś na otaczających cię zbliżka wywierał. Dzieląc się w ówczas kęsem chleba, z rzuconym na los, młodzieńcem, samotnym na tym ogromnym świecie, aniś pomyślił, aniś przeczuwał, że kiedyś przybyły z dalekiej strony, złoży ci po za grobem tę łzę czułości na twój mogile. Twoje ojcowskie porady nie padły na bezpłodną ziemię, bo chociaż nie wywołały tych wielkich rezultatów, do których tęsknił mój duch od początku, to przecież dały to wewnętrzne przekonanie i uspokojenie z sumiennego dopełnienia obowiązków w szczupłej sferze mojej, a które podobno czy nie są czémś lepszym na tym padole, niż szeroko rozgłoszone brzmiącą sławą, imię!... Cześć ci i pokój!...

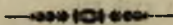
Romuald Podbereski.

Wilno. 1848.

w Listopadzie.



**NOWY BOGACZ, NOWY ŁAZARZ,
NOWA PIEŚN KANTYCZKOWA.**



(Na nótę dawniej Pieśni o Łazarzu Ewangelicznym)

*Był Pan pewny, bogaty,
W złoto, srebro, szkarlaty,
I zbyt kosztowne szaty."*

Był Pan pewny bogaty,
Miał krociove intraty,
Odwieczne antenaty.

I jeszcze nierad z tego,
Od rządu Niemieckiego
Kupił tytuł Hrabiego.

I stąd tak mu się było
We łbie coś przewróciło,
Jakby co przystąpiło.

Jakoż był głos sąsiedzki,
Że do pychy szlacheckiej
Właził w nim sknera Niemiecki.

Rzekł więc sobie samemu,
Że on światu całemu
Nie winien nic— a jemu
Świat wszystko.

— A toż czemu?

— Ha! pytaj!

— Czy że głupi,

Wory na wory kupi,
Które kiedyś ktoś złupi,
Jak go wrzucą w dół trupi:

A z których za żywota,
Ni Bóg, ni kraj, ni cnota,
Ni wdowa, ni sierota,

Ni lzy bliźnich, ni modły,
Szeląga nie wywodły?—

— Czy dla tego, że podły,

Plaszczy się, gdzie się boi;
Pochlebia, gdzie zysk roi;
A gdzie słabsi, lub swoi,
Dmie w nos, pnie się i broi?—

Czy że próżniak, wśród zgrań
Swych pochlebców, lokai,
(Z czym się chełpi, nie tai),
Całe życie hultai?—

Bo nie zgoła innego
Nic wspierało wielkiego
Tonu Pana Hrabiego.

On żył, dął się, i grzeszył,
Ziomków smucił lub śmieszył,
Djabeł się tylko cieszył.

Djabeł, co jak ptak, który
Siadł już na grzbiecie kury,
Topił w nim swe pazury.

Mysli pychy rodowej
Tchnął przez uszy do głowy,
Jak wiatr w pęcherz wołowy.

Egoizmem, có gluszy
Miłość bliźniego w duszy,
Zrobił z niej step w posuszy.

Serce przed skruchy żalem
Zatwardził jak metalem,
I pokrył jak medalem.

A gdy już miał bezpieczeństwo,
 Że go nabył na wieczność,
 Przyspieszył ostateczność.

Raz Pan w słodkiem dumaniu,
 Wpół we śnie, wpół w czuwaniu,
 Oddychał po śniadaniu.

Wzrok się iskrami żarzy,
 Krew co nie prysnie z twarzy,
 Pan o kochance marzy.

Nagle hałas przed drzwiami—
 Głos przerwany łkaniami,
 Certuje z lokajami.

I w tém, nakształt widziadła,
 Wynędziała, wybladła,
 Przez drzwi kobieta wpadła.

„Pan to jesteś Pan Hrabia?
 Pójdź Pan, patrz, co wyrabia
 Z nami Pański Murgrabia!”

„Mąż mój chory, ubogi,
 Stary żołnierz, bez nogi—
 On go wlecze przez progi!”

„Wszystkie nasze łachmany,
 Cały nasz sprzęt zabrany,
 Za co? Boże kochany!”

„Za dług?— jaki?— wszystkiego
 Sto złotych!— i dla tego
 Wygnać starca chorego!”

„Ale i to oddamy,
 Lecz niech wstydu nie mamy
 By nas psami szezwał z bramy!”—

— „A! holysze wy! chamy!”
 Wrzasnął Bogacz ze złością.
 „Mnie truć tą małością!
 „Hola! precz z tą Imością.”

Śludzy za tym rozkazem
 Wpadli wszyscy— i razem
 Skamienieli jak głazem.

Na środku sali ona,
 Wzniósłszy w górę ramiona,
 Rzekła jakby natchniona:

-Biada ci, dumny Panie!
 Jest Bóg, sąd i karanie,
 Coś wart, niech ci się stanie!"

Hrabia oczy wyszczerzył,
 Zakrzuszył się, zapierzyl—
 Pęd krwi w głowę uderzył.

Upadł— a w tejże porze,
 Omdlałego na dworze,
 Starca kładli na łoże.

I tegoż dnia, Pan w sali,
 Starzec w jednym z szpitali,
 Oba razem konali.

Lecz jak różne konanie!
 Pójdźcie i patrzcie na nie,
 Pobożni Chrześciance!

Tam w szpitalu ubogim,
 Nad słomianym barłogiem,
 Stoi xiądz z Panem Bogiem.

U stóp chorego żona,
 Tłumiąc płacz w głębi łona,
 Tuli go w swe ramiona.

W twarzy już śmierci bladeść,
 Lecz z ocz jego lśni radość,
 Bocu uczynił zadość.

I gdy xiądz go rozgrzeszył,
 Anioł Stróż wnet pośpieszył,
 Stanął przy nim, i cieszył.

Przywiódł, jedną po drugiej,
 Na myśl, wszystkie zasługi
 Przed Bogiem, przez wieki długi.

Wszystkie trudy i blizny,
Z młodości do siwizny,
Które zniósł dla ojezyny.

I za wszystkie cierpienia,
Za wszystkie poświęcenia,
Tchnął wien pewność zbawienia.

Aż z wdzięcznemi uśmiechy,
Obmył w łzach za grzechy,
Duszę pełną pociechy,

Uniósł— gdzie ją weseli,
Święci Pańscy Anieli,
Na wiek wieków przyjęli.

Jakże wszystko inaczej
W tej komnacie bogaczój,
Gdzie Pan kona w rozpacz!

Tuż doktorów gromada,
Pan w nich ufność pokłada,
A więc się nie spowiada.

Tam dziedzice zajęci
Przykładaniem pieczęci
Do skarbcu, co ich ęci.

A Djabel koło duszy
Skacząc, skrucę w niej głuszy,
Szepąc mu w obie uszy:

„A co? żal ci twych zbiorów?
Tyle skrzyń, tyle worów!
Wszystko to successorów!

„Patrz, jak siedząc w alkowie,
Siostrzany, Synowcowie,
Dzielią się po połowie,

„Patrz! worki rozrzuniają.
Patrz! kufry odbijają.
Patrz! z kassy wyciągają,

„Co aż na dnie leżały,
Same imperyały!!!” —
—Pan jęknął na gmach cały.

Bo to wszystko w malignie
Widzi:— serce w nim stygnie,
Rwie się— lecz się nie dźwignie.

Doktorzy się porwali,
Krew znów puścić kazali,
A Djabeł szeptał dalej.

•No cóż? już twoje zbiory
Zabrali sukcesory!—
Patrz, co z nich zrobi który.

•Patrz, ten gra w faraona.
No! ależ gra szalona,
Na raz pół miliona!

•Patrz, tamten daje bałę.
Co za mebl, co za sale!
Jak to wszystko wspaniale!

•Patrz, trzeci swj metressie
Część twych klejnotów niesie—
Patrz, patrz, jak ich jęj chce się?—

Pau na widok takowy,
Wskoczył, i włos rwąc z głowy,
Padł bez zmysłów i mowy.

Djabeł grzeczny dopóty,
Tu wrzasnął pelen buty:
•No! minął czas pokuty.

•Teraz tyś mój, Hrabiatku!
Zróbmyż z życia, z majątku,
Rachunek na początku.

•Głupcze! cóż ci się zdalo?
Że to wędzuc twe ciało
Z innęj gliny być miało?

•Żes je tak karmił, poil,
Tak pieścił, i tak stroił,
Tyle dlań rozpust broił?

•Żes się z nikim nie bratał,
Żes wszystkimi pomiatał,
Żes kogo mógł przygniatał?

«Cóż z tych pieszczót, przysmaków?
Wiesz?— przysmak dla robaków.
Zguijesz jak trup żebraków.

«Co z tej pompy, z tej pychy?—
Ciasna trumna, dół cichy,
Tchlnina, szkielet, proch lichy.

«A też twój szkatuły!
Te czeze twoje tytuły,
Co cię z czelka wyzuły!

«Jam to, ja wmawiał w ciebie,
Że wszystko masz dla siebie,
Nic ku bliźnich potrzebie.

«Ze wszystko dla użytku
Twój próżności lub zbytku,
Nic dla kraju pożytku.

«A tyś wierzył, nieboże!
Myślał tylko o zbiorze,
Wór ładował po worze.

«Sam nie dbał o nikogo,
O wszystkich myślał z trwogą,
Że o coś prosić mogą.

«I wolął doznać sromu,
Siedzieć sam jak wilk w domu,
Byle nie nie dać komu.

«Boś nie czuł nic wyższego,
Boś nie kochał bliźniego,
Tylko siebie samego.

«Gdy zaś ten i ów sztydził,
Ten i ow cię zawstydził,
Tyś wszystkich znienawidził.

«Za toż ja cię kochałem!
I jak ty sam nad ciałem,
Nad twą duszą czuwałem.

«A teraz co?— umierasz.
Z sobą nie zabierasz.
W wieczność z strachem spojerasz.

•Bo cożes dla niej zrobił?
 Jak się do niej sposobił?
 Czém duszę przyzдобił?

•A wieczność jest, jest, bratku!
 Summa życia wypadku—
 Lecz o tém na ostatku.

•Tymczasem ku téj summie,
 Dodaj, żeś w głupiej dumie
 Zbyt ufał w swym rozumie.

•Bo gdzież jego rachuba?
 Cel był— rozkosz i chluba;
 Skutek— hańba i zguba.

•Bo cóż z życia masz w ryzyku?
 Tam pamięć w pośmiewisku,
 Tu duch w naszym uścisku.

•Djabel ci jak xiądz gada,
 Bo wie, że dobra rada
 Już ci dziś nie nie nada.

•A nie byłoby piekła,
 Gdyby was w niem nie piekła
 Zgryzoty rozpacz wścickła.

•A teraz marsz! na sądzie,
 Co wnet na cię zasiądzie,
 Idź słuchać o wielbłądzie,

•I o uchu igielnym—
 O! i o nieśmiertelnym
 Naszym ogniu piekielnym.

•Tam już próżne twe płacze!
 Lecz ja wesół poskaczę,
 Gdy w nim z tobą zobaczę
 Wszystkie Sknery-Bogacze.”

AMEN.

Innocenty Staruszkiewicz.



ZABYTEK DAWNIEJSZÉJ BELLETRYSTYKI POLSKIEJ.



DWIE POWIASTKI

z Rękopismu

HRABINY Z MNISZCHÓW POTOCKIEJ *).

POWIASTKA PIĘRWSZA.

OŻENIENIE FILOZOFICZNE **).

HRABIA O... znakomitego urodzenia, spokrewniony z najpięrszemi domami w kraju, łączył do korzyści rodu i majątku, do wcię wykształcony przez wychowanie, naukę, znajomość świata, i dar niebezpieczny ale zabawny, satyryczności. Był to doskonały malarz ludzi i zdarzeń, ale rzadko cokolwiek upięknął; przeciwnie— celował karykaturą; nie tylko dopatrzył się każdej śmiesz-

*) Udzielił Andrzej Podbereski z biblioteki rękopismów *Michała Grabowskiego*, w Alexandrówce.

***) Przypadkiem dostał się nam oryginalny rękopism hrabiny Potockiej, zawierający pisane, jak widać dla sekretnej swojej zabawy, notaty, a szczególnie moralne portrety, w rodzaju sławnych Teofrasta i Labrujera, należących do towarzystwa i znajomości Autorki. Ażeby

ności, lecz nadto płodny jego geniusz stworzył, skoro mu się podobało, i przyswoił komu zechciał, nie prawdziwą ale prawdopodobną. Nigdy nie poświęcił dowcipnego słówka przyjaźni, często zaś depatł i przyjaźń i związki krwi dla roskoszy żartu lub złośliwości. Wszelako nie ściągało to nań tyle nienawiści na ile zarabiał: głupi nie poznawał się na jego sarkazmie, a człowiek z głową, przebaczał mu jego złośliwość dla niepojętego dziwactwa jego myśli i osobliwości wyrażen. Zresztą, znano już go takim i niejako przyzwyczajono się do niego. Dodajmy do tego twarz przeciągłą, oczy jednocześnie w dwie przeciwne strony strzelające, chudość niestychaną, właściwe jemu tylko jednemu poruszenia i mowę przez nos, którą w niektórych miejscach swych opowiadań umyślnie jeszcze powiększał. Jednem słowem, istota jedyna w swym rodzaju, chociaż zapewne nie należąca do rzędu najdoskonalszych tworów natury.

Hrabia O.. nie lubił kobiet i chociaż zapewne nie powiększył dziejów zgorzenia słabościami ich dla niego, miał wszelako o nich najgorsze wyobrażenie. Ojciec jego zacny człowiek ale sentyment-

sądzić o trafności i dowcipie tych wizerunków, trzeba by wiedzieć do kogo się stosują, co po upływie lat tylu staje się niepodobnem, zwłaszcza, że oryginały portretów nie wyrażnemi tylko cyframi są wskazane. Niemam, zdaje się, potrzeby mówić, że rękopism ten pisany jest po francusku, oprócz trzech kawalków po polsku, z których jeden w rodzaju epigrammatu wierszem, poprawiwszy nieco ortografię i parę wyrażen dostojnej Autorki, w całości przytaczamy:

Suchy, wymokły, wybladły i nudny

Pocziwy człowiek, lecz w postaci trudnej.

W książkach i w nosie zwykł jakby koleją

Gmyrać, niebacząc, że się wszysey śmieją.

Nie zwrza tego sobą zatrudniony,

Przez urojenia w niebiosą wzniesiony.

Zawsze się chwali mówiąc o swych zbiórkach

Jak o pięknego pawia pięknych piórkach.

Nie obnawiając, natura zmyliła,

Nadto mu dała, nadto odmówiła.

Widać, że satyra to na jakiegoś literata. W ogólności rękopism ten naprowadza na domysł, że było w zwyczaju u naszych pięknych Pań, równie jak tamtoczesnych Dam francuskich, utrzymywać tego rodzaju *Pamiętniki*. Gdyby się więcej takowych wynurzyło z ukrycia, ujrzelibyśmy zapewne ciekawe szczegóły towarzyskiego życia i wypadków. Zapewne takowe dzienniki pisane tylko były przez Panię najwyższego tonu i wychowania, co jednak wcale im wartości nie ujmując. Życie społeczne polskie, nie było nigdy skupione w jednem mieście; do dokładnego jego obrazu warto by mieć historje wszystkich wielkich u nas dworów pańskich; niczy do tego nie było

talny na zimno,— mała mała osoba, brzydka, ułomna, ruchawa, dowcipna i niespokojna; pragnęli oboje zarówno, żeby synalek przedłużył ich egzystencją w potomku. Pomimo więc, że ten nieokazywał wcale ochoty do małżeńskiego stanu, postanowili go ożenić. Majątek i urodzenie były głównym warunkiem ich zamysłów, rzucono więc oko na pannę M... jedynaczkę, dwónastoletnią panienkę. Żądania ściągające się ni mniej ni więcej, jak do ogołocenia rodziców z większej części majątku, przeszkodziły skutkowi projektów, skoro rzecz doszła do wyraźnych explikacji. Względę przyzwoitości zrodziły projekt, checiwość go zniszczyła. Dziecinny wiek Panny, nieprzychylnie wrażenie sprawione na nią przez człowieka, który już wcześniej przybierał względem niej ton rozkazujący, oziębłość kawalera, oszczędziły im przynajmniej romansowych dodatków, które z jednej strony wiekowi, z drugiej charakterowi, byłyby całkiem niewłaściwe. Trudno wyobrazić sobie radość Hrabiego O..., kiedy mu przestał zagrażać ten związek; ale ta radość nie długo trwała. Matka była jedna z tych kobiet, którym kiedy się co raz zachciało, nikt im tego nie wybił z głowy. Nowe projekta zajęły miejsce dawnych i na usta-

szacowniejszym materiałem jak dzienniki, o jakowych mówimy; na odwrót, znajomość dokładniejsza prywatnej, pojedynczych miejsc historii, byłaby nieraz kluczem do tej zagadki bezimiennych portretów. Zaledwie jednak przyjdzie kiedy do tego! Tymczasem więc w Pamiętniku Hr. Potockiej dwie tylko są anegdoly mające niejaki interes samej treści. Pierwsza jest to historia, ożenienia wielkiego Pana z jego poddanką. Już u nas wprowadzono ten wypadek w powieść, a nawet wydrukowano list pisany przez nowożeńca do siostr rozjątrzonych jego postępkiem. Autorka społeczna inaczej ten wypadek sądzi, niż powieściopisarz nowoczesny; daleka ona bardzo od idealizowania go sentymentalnego. Ona śmieje się z ożenienia i obmawia bardzo dowcipnie bohatera romansu. Był to zapewne sposób uważania całej ówczesnej arystokracji. Niepotępamy hynajmniej rzeczy samej w sobie; nie mamy ją koniecznie ani za zdrożną, ani za nie naturalną. Sądzymy, że prawdziwa miłość i cnota, mogą doskonale wytłómaczyć i usprawiedliwić wypadek; wszelako kiedy współczesna, i jak się zdaje, zbliżka świadoma rzeczy osoba, przypisuje ją całkowicie charakterowi excentrycznemu bohatera, modzie filozofizmu i równości, wkraczających już do kraju, nie i to niema w sobie niepodobnego, a świadectwo jako do historii obyczajów i wyobrażeń krajowych należące, szacownem się staje. Uważajmy przecie jedno: Rodowita Pani w śmieszność wypadek obraca, wtedy, kiedy między szlachtą krąży list Magnata, usprawiedliwiający swe zníženie się do ludu, niepodobienstwem znalezienia przywiązania i szczęścia w zloczystych warstwach. I to historia.

wieczne nalegania, syn musiał uleźć i ukazać się na dworze Hr. P... Ten ostatni był to Pan, którego wysoki stopień i dostatki nie nie zostawiały do życzenia, ale żona jego trochę wymagająca, zmuszała do wielkiej ostrożności w czasie pobytu w jej domu człowieka, który zwykł miewać na języku więcej dowcipu jak rozwagi. Panna, do której ręki kazano mu zmierzać była piękna, urodziwa, miłego charakteru, zajmująca; nikt nie był zdolniejszy od niej podobać się powszechnie i natchnąć tkliwymi i stałymi uczuciami, które piękność obudza, a cnota ustala. Pomimo to, nie zrobiła ona wrażenia na sercu Hr. O.. raczej Stoika jak Epikurejczyka. Po rocznym pobycie w domu Hrabów P.. spędzonym na nudzeniu się, obmawianiu, odgrywaniu roli przymuszonej, bez oszukania nią wszelako nikogo, odjechał jak przyjechał. Łatwo wyobrazić, że nie zostawił żalu po sobie. Jednakże daremnie sobie pochlebiał, że zostawił mu jego wolność. Jeżeli sam w bezżeństwie się kochał, matka nie roiła o niczym, jak o małżeńskich związkach dla niego. Po wielu więc utarczkach, zmuszono go pojąc krewnę i imienniczkę,— pannę okazałej i przyjemnej postaci, znacznego majątku, przyzwoitą i cnotliwą, chociaż może niedostatek edukacji nie dodał do tych zalet przyprawy wdzięku i przyjemności. Nic nie mogło być zabawniejszego jak ukontentowanie matki, a rozpacz syna, którego oporny charakter pokonano nareszcie. Śmiertelna bladeść, drżenie trwogi, nie wybawiły go od męczarni. Daremnie opierać się przeznaczeniu! Musiał wymówić straszną przysięgę, której serce jego przeczyło. Jednakże chociaż ożeniony, potrafił uniknąć dalszego przymusu. Uwolnił się od wszystkich względów, względem swjej żony i osadził ją w ogromnym samotnym zamku z kilką tylko egipskimi mumjami i wielą malowidłami, których był miłośnikiem. Tam młoda małżonka, nie miała innej zabawy, jak ślepą babkę.

Bez nadzwyczajnego nawet dowcipu kobieta dochodzi pewnego wieku, w którym rozwijający się umysł pobudza ją do rozwagi. Hrabina O... poznała się na nieprzyjemności swojego położenia; zapragnęła podobać się mężowi. Jako obowiązek stanu, i ze względu na nieujmującą figurę małżonka, był to zaiste projekt bardzo godny uwielbienia, ale te kobiece zabiegi, których niecierpiał, wydały się mu zapowiednią większych wymagań. Odpowiedział więc na jej czułość bardzo niegrzecznie i prawie wypędził z domu. Na szczęście był w wieku, w którym wszystko się robi za pieniądze; nie żałował więc takowych, użył wpływów, a wcale nie drażliwy na pretexta tego rozejścia się, uzyskał unieważnienie swoich szlubów i wolność. Osiadł na wsi, oddając się zatrudnie-

niom domowym i towarzystwu swoich sług i poddanych. Żył z nimi w tej poufałości, która nie wraca ani uszanowania, ani szacunku. Tymczasem umarł jego ojciec. Z podziału spadkowego majątku, wyniknęły kłótnie i nieporozumienia między nim, a siostrami. Egoista w najwyższym stopniu, zakochany w szczególnościach, zemsta, chęć żeby o nim mówiono i żeby śmiał się pierwszy z rozmów do których da powód, i jeżeliby mu kto uwierzył,— i miłość, przywiodły go do pomysłu ożenienia się z własną poddanką, niezależoną, według jego własnego przyznania, niczem nawet przyjemnym, ani ujmującym. Zawarł tylko z nią jakby wielki akt równości stanów. Szczególności szluby i wesela, które odbywał według zwyczaju Panny młodej, zachwyciły go także w wysokim stopniu, bo wydały mu się osobliwemi i śmieszniemi, a śmieszność była dawnym jego bóstwem. Głosi też swoje przekonania filozoficzne, dowiedzione tém małżeństwem, podeptanie enót udanych, a miłość prostych praw natury. Naśladowca Jana Jakóba Russa, chwali się z pokonanych przesądów, i na przekór historii matrony z Efezu pochlebia sobie, że z tej, która pojął, będzie nowa Artemiza.



POWIĄSTKA DRUGA.

P A N N A S...

Kobiety kochają się w romansach. Heroizm jakiegokolwiek bądź rodzaju, łatwo się im podoba; ale doszedłszy lat trzydziestu, mniej jesteśmy czułe na wrażenia; znajomość świata szkodzi urokowi ułudy, a szczególnież znając z postaci i z codziennego życia, aktorów jakiego interessującego drammatu, wydaje się nam zabawnym, lub nieprawdopodobnym wypadek coby nas roztkliwił, gdybyśmy go tylko znali z czytania lub słuchu. Tego rodzaju jest anegdota, którą opowiem. Mało jest w kraju rodzin znakomitszych od familji Książąt N. N. pochodzących z krwi dawnych Monarchów Rusi. Połączenie z nimi bardzo jest zaszczytne, co do świetności rodu, ale mniej korzystne pod względem majątku. Są oni w stanie wielkiej mierności. Nie wiem jak to było w dawniejszych czasach, ale w naszym wieku ustawiczne niezgody,

processa, nieprzyjaźnie familijne, niszczą ich. Może Opatrzność mszcząc się za znieważenie węzłów krwi temi sporami, karze ich widocznie, bo to pewna, że ani wdzięki postaci, ani rozum nie są w nich pospolite. Wychowanie zaś nie udziela im tego daru podobania się, który wynagradza niedostatek geniuszu i nie daje dostrzedz wad powierzchowności. Trudno więc wyobrazić, żeby ktoś z tych Panów mógł wzbudzić gwałtowną namiętność; jednakże tak było, i zdaje się, że los wybrał Książęcia Jana N. dla usprawiedliwienia zmyśleń poetów o zaślepieniu miłości.

Pan S.. obywatel znakomitego rodu i majelny, mieszkał tak samo jak Książę Jan N. w Województwie Braclawskiem. Rodzina jego składała się z córki i dwóch synów. Piérwsza, Pannienka szykownej i zajmującej postaci, łączyła do czulego serca najwyższą tkliwość uczuć, do jakiej płec jej jest zdolna. Zaeny i przywiązany do swych dzieci ojciec, dał jej wychowanie tak starowne jak tylko okoliczności mu pozwoliły. W kraju oddalonym od stolicy i prawie dzikim, o nauczycieli było trudno, jednakże zachwycił tych, których się dało spotkać i córka skorzystała z tego umiała. W szesnastu latach miała wielu uhigajających się o jej rękę; między nimi był i Książę Jan N., który został wybrany, bo ojciec nie miał przeciwko niemu i zastosował się do skłonności córki, której szczęście było mu nad wszystko drogie. Rzecz była ułożona i dzień szluby naznaczony, ale tymczasem wynikły zamieszkania krajowe w skutek wybuchu konfederacji barskiej. Hrabia Potocki Podczaszy Lit. stanął na czele konfederatów; łączyły go dawne związki przyjaźni z Panem S... który też przystąpił do jego partji. Książę Pan poszedł za przykładem swego przyszłego teścia. Zamiast wesela, trzeba było myśleć o wojnie i obronie, bo już zbliżały się wojska w celu rozproszenia konfederatów. Podczaszy Potocki przeszedł do Turcji; Pan S... był przy wojsku; został atakowany i w niewolę wzięty razem z Książciem N... Można wystawić sobie rozpacz Panny S... po stracie ojca i kochanka wtedy właśnie, kiedy się jej uśmiechało z tak bliska szczęście. Opuszczona, strapiona, widząc zresztą dobra ojcowskie zajechane i zniszczone, ucieka z rodzinnego domu i w górach Karpackich szuka schronienia. Samotność dla niej jedyną ulgą, ażeby mogła bez przeszkody opłakiwać swoje nieszczęście, bez niewczesnych pociech, któreby drażliwszemi jeszcze je robiły. O dwie mile od Liska, jest wysoka góra; tam osiada bez służących: krowa była jedynem żywem stworzeniem, które widziała obok siebie, wyjąwszy chyba ptaszki krążące nad nią w powietrzu; mléko téj krowy i łzy były jej pokarmem i na-

pojem. Ale i ta spokojność nie długo trwała: wykryta, badana, okupiła kilka klejnotami, które jeszcze miała przy sobie oswo-
 dzenia się od nieznosnych codziennych śledzeń i udała się na Wo-
 łyń, gdzie bliskość teatru wojny obiecywała jej częstsze wiado-
 mości. Zamieszkała w klasztorze, ale nadzieje jej zostały omyl-
 one: nie odbierała listów ani od ojca, ani od Księcia, którym nie-
 wolno było pisywać, a trwające zaburzenia nie pozwalały się spo-
 dziewać rychłej dla nich wolności. W tym położeniu ciągle ro-
 snąca jej rozpacz, mała ilość pokarmu, brak snu, który ją cał-
 kowicie opuścił, wprawiając krew w ciągłą gorączkę, a do tego
 strumienie też wylewane, pozbawiły ją nakoniec wzroku. Będą-
 cy na najwyższym szczeblu niedoli, słabo czuje nowy przybytek
 nieszczęścia. Rozpacz Panny S. zrobiła ją prawie nieczułą. Kil-
 ka lat od czasu postradania wzroku aż do powrotu ojca i narze-
 czonego, przeszły w jakimś stanie niepamięci, wycięczenia sił i zdro-
 wia, prawie w ciężkim smutnym letargu. Lecz nakoniec nade-
 szła chwila połączenia. Panna S... spotkała ją z radością zam-
 kniętą w duszy, bo już od dawna straciła przyzwyczajenie i wiarę
 w szczęście. Postrzegła wtedy dopiero okropność swego stanu
 ślepoty i przeczuła wrażenie, które sprawiać musi na swym nie-
 gdyś kochanku. Osoby nadzwyczaj tkliwe, łatwiej jak inne bio-
 rą postanowienie odważne. Książę proponował zimno wypełnić
 swoje zobowiązanie; Panna S... miała moc i wspaniałość odmó-
 wić tego związku. Nic nie rani bardziej jak przekonanie, że tkli-
 we uczucie niema wzajemności. Ofiara wzroku, którą przyniosła
 Panna S... miłości, (bo łzy to go jej odebrały), nadawał jej pra-
 wo do delikatności uczuć, której pocziwy Książę był obcy. Po-
 mogło to jej do powstania z nieszczęśliwej miłości. Nieczułość
 kochanka i ją wyleczyła; jakoż pocieszała się tem, że przynaj-
 mniej strata wzroku oświeciła ją o charakterze człowieka i od-
 wiodła od związków, w którychby zapewne szczęścia nie znalazła.

— o i c i —

Z PRZEKŁADU POETÓW
 POLSKO-ŁACIŃSKICH.

MACIEJA KAZIMIERZA SARBIEWSKIEGO,

ODA. XI. KS. I.

DO STEFANA PACA

Podskarbiego W. X. Lit.

Na wytworne zbytki stroju Rycerstwa Polskiego.

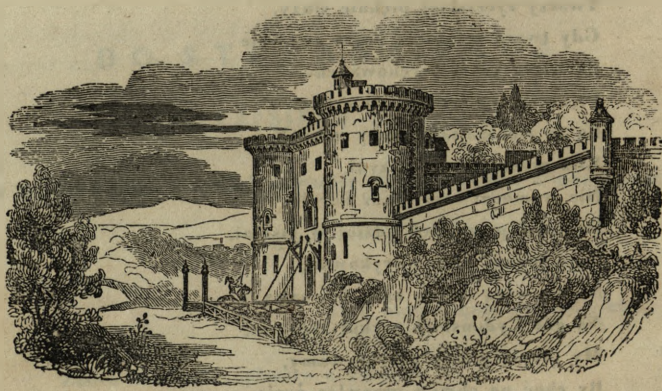
•Non auro neque tumulis... etc.

ZŁOTE brzękotki, płaszcz z purpury
 Niedoda bartu waszj zbroi—
 Wdziewać brylanty, sutę sznury
 Wojackim piersiom nie przystoi.
 Głowa żelazem przyodziana,
 Pocóż piórami jeszcze mży się?
 Po co ta kita rozczochrana,
 Na niedołącznym drga kirysie?

Nie będą straszne dla nikogo,
 Przyłbice ptasim pierzem wzdęte,
 Na jedno tylko służyć mogą—
 Zarłocznym sępóm na przynętę.
 Kule z warkotem świszczą w dali,
 Grzmocą rusznice,— oto słyszę
 Gromem, piorunem, działo pali—
 Blyszczą się włócznie, berdysze.
 Na nic ta kita nie wystarczy
 Na nic grzechotka brząkająca—
 Na nic ten polor, lustr na tarczy,
 Po której biega polysk słońca.
 Koleczancem wrogi się nie zgniotą,
 Gdy tępa strzala, zła cięciwa,
 Porzuć blyskotki, porzuć złoto,
 Niechaj ci ramion nie skowywa.
 Ucz się jak władać twojem łonem,
 Jak użyć ręki, serca, stali,—
 Będziesz trójcielnym Gerjonem,
 Że i sam Herkul cię nie zwali,
 Ni Mimas groźny i pochmurny,
 Ni Strateclus, olbrzym duży.
 Strój zaniedbany, helm bezpieczny,
 Twarzy rycerskiej pięknie służy.
 Gdy twarz wyzółkła przez swawole
 Barwi roskoszy wycławauck—
 Piękniejsza kresa co na czole,
 Bo to wczorajszej bitwy wianek.
 Kita rycerzem nie uczyni,
 Nie wzmocni szyi szuur koralu;
 Bojaźń i przestrah gdzieś w jaskini,
 Najpierwszą zbroję wykowali;
 Najpierwszą tarczę młot ten samy,
 Na gór Cydonskich wykul szczycie,
 My głupią głowę przykrywamy,
 By choć na chwilę przewlec życie.
 Lecz śmierć— co zda się na uboczu,—
 Pilnuje czleka okiem zmije,
 I promieniami żądnych oczu,
 Zatrute żądło w pierś mu wbije.
 Wbije powoli i nieznaczenie,
 Bo słabe miejsce okiem strzyże,

Kiedy się człowiek zbroić zaczyna,
 Kiedy chowamy twarz w wizyrze;
 Kiedy drży tarcza niespokojna,
 Najprędzej pod pociskiem pęknie.
 Dzielnego męża— sama wojna
 Sama przygoda się ulęknie!
 Gdy Hektor pod murami Troi
 Żelazne greckie łamał siły,
 Gdy cisnął grot z rzenicy swojej,
 Same się losy ukorzyły.
 Mąż od złych losów nie umiera;
 A jeśli padnie od bolesci—
 Śmierć wyprowadzi bohatera,
 Na złotą drogę świętej cześci.
 Gdy zejdziesz z wojowniczej błoi,
 Los w ciebie grzmotnie najdogodniej;
 A śmierci— droga się odsłoni,
 Którędy chciałeś uciec od niej.

Władysław Syrokomla.



P O D R Ó Ż E.



WYJĄTKI

Z O B R A Z Ó W I M Y Ś L I

Z PODRÓŻY DO TYFLISU W 1841 ROKU ODBYTÉJ

P R Z E Z

Leona Janiszewskiego.

IX.

PRZESTRZEŃ kilkuset wiorst od Nieżyna do Póltawy zalegają naprzemian obszérne pola i miasteczka, nagradzając nudną czasem pomiędzy niemi rozległość to obszérnością, to pięknem położeniem. Wsie po kilkaset dworów liczące, ozdobne cerkwiami, a nie rzadko i pięknymi domami dziedziców, z których w ślicznym guście pałacyk i zabudowanie dworskie Marszałka Horlenki między Nieżynem i Prylukami, najwięcej zwracają uwagę. Miasteczka Pryluky, Piriatyn, Łubny i Horol, środkowe punkta życia téj okolicy, choć nie wielkie i nie zupełnie zgrabne uprzyjemniają drogę. Jednak Łubny odznaczają się pomiędzy niemi wielkością i pięknnością położenia. Już od samego Nieżyna jednostajności równin

gdzieniegdzie urozmaicały skape gaje i laski; dojeżdżając do Łubien, miejscowość jakby zapominając się, że należy do krainy równin i stepu, staje w sprzecznej ze wszystkiem co ją otacza, szacie. Znudzona ziemia zaczyna kołysać się i burzyć, i ciekawymi wzgórzami za widnokrąg wyziera, i zaraz z różnych stron stęsknione laski biegną na spotkanie tych swawolnych dzieci ziemi i zdaleka miłe szumią im przywitanie. Tutaj i człowiek z odświeżoną myślą i żywszém spójrzeniem na około siebie spogląda, i zda się, że razem z niebem, powietrzem i całym przyrodzeniem cieszy się temi wdziękami, których pamięć już gubiła się w nudnej równin jednostajności. Miasteczko Łubny ślicznie wygląda w zielonych ramkach otaczających je lasków i ostateczną, a największą ozdobę miłemu krajobrazowi przydaje. Bo w samej rzeczy, najpoważniejsza i pełna cudów natura straci połowę wdzięku, jeśli jej nie ożywi najpiękniejsze dzieło Stwórcy,— człowiek. Łubny szczytą się upominkiem twórczej myśli, której potęga ogarnęła wszystko, co wielkie i co pożyteczne dla kraju. Jest tu ogród botaniczny założony z rozkazu PIOTRA W. Nie znajdziesz w nim rzadkich, exotycznych roślin, ale za to mnóstwo ziół i krzewów używanych w medycynie, których w wielkiej ilości wojennym aptekom dostarcza. Wyjeżdżając z miasta spuszczałem się nad rzekę Sułę z wysokiej i krętej góry. Widok ztąd daleko na okolicę usianą wioskami nadzwyczaj miły. Przejechawszy most obejrzałem się na miasto. Obraz prześlizny, zachwycający! Po nad krawędzie góry wyrastają piękne domki i cerkiewne wieże. Góra spuszczać się dwoma wielkimi ustępami na całej pochyłości dźwiga tysiące domków tu i ówdzie poprzyczepianych w zachwycającym nieładzie; u stóp góry rozestana łąka zielonym rąbkiem kapie się w wodach rokosznej Suły. Minawszy małe miasteczko Horol, także nad Sułą w pięknym położeniu, okolica dosyć urozmaicona ożywia się coraz więcej przy Siole Białocerkiewka przeszło 500 dworów liczącem. Wjazd do niego bardzo malowniczy. Po jednej stronie wznosi się góra, której pochyłość przekopana i zrównana stanowi wygodną drogę. Krawędź drogi opada urwiskiem w dolinę, gdzie szumią drzewa nad zieloną murawą, a z niej znowu nagle wysokie wyrastają wzgórze. Dalej, na płaszczyźnie jakby umyślnie piaskiem wysypanej, gdzie widać wyschłe koryto rzeczki, pomiędzy dwoma rzędami topoli wijącemi się w różne zakręty, wzniesiona wysoka grobla prowadząca do Białocerkiewki, na której progu spotykasz Cerkiew zgrabnej architektury. Ciemniało już, kiedy wyjechałem z Białocerkiewki. Śliczna ukraińska noc wiała rzeźwiącym

chłodem po dziennym upale. Na pogodnym niebie spokojnie tlały gwiazdy, jakby w zadumaniu patrząc na tę dziedzinę męźnych, w niezwykłej pograżonej ciszy; a dzieci tej ziemi dzienną znużoną pracą, wolne od burz co ich przeszłością miotały, spoczywały snem twardym pod dachem cichłej zagrody, i chyba sadzone ręką pradziadów topole, tajemniczym szumem nawiewały im niejasne, przelotne marzenia o tem co było, i co już nigdy nie wróci.

W głębokie pograżony zadumanie, przeniósłem się całą duszą w przeszłość tej pięknej ziemi, której opatrzność przeznaczyła płynąć mlekiem i miodem, a którą człowiek tylekroć razy krwi potokami zalewał. Myśli moje wybiegły daleko nad Dnieprowe fale, niosące lotne czajki pod Carogrodzkie mury, i ztamtąd powracały nad złote wieże Kijowa. To znowu zdało mi się słyszeć grzmiące nad sieżą wojownicze pieśni, w dzikiej harmonji z szumem dniewprowych progów niesione wiatrem daleko,— nad roskoszne brzegi Salgiry, nad strwożone Bachczyseraju haremy. I widzą jak narody ubiegają się o związek z tą straszną potęgą, która z marnotrawstwem dzikiej burzliwej swobody, to sprzedaje krew swoich dzieci w niestałych przymierzach, to znów straszliwy oręż na własnych sprzymierzeńców obraca. Jakież to jęk żalobny dolatuje do mego ucha? To smutne echo z nad żółtych wód, z pod Korsunia, gdzie kwiat rycerstwa ginie, a wódz do niewoli wleczony. Jakaż to straszliwa łuna pali się znamieniem Bożego gniewu nad nieszczęśliwą ziemią?— to przejście Hajdamaków z ogniem i nożem po trupach i zgliszczach. Mamże wyliczać tryumfy krwawych odwetów, jakby one zdolne były nagrodzić poniesione straty lub zniszczyć haniebne piętno wypalone fanatyzmem, prześladowaniem i zemstą na kartach dziejów ludzkości? Przekląstwo tym, którzy sprowadzili na własną ziemię plagi ukraińskich buntów, od Egipskich plag straszniejsze!— przekląstwo temu kto wylał pierwszą kroplę krwi wołającą o pomstę rzekami krwi nienasyconą. Lecz słyszysz? Ukraina płacze;— żałośnie dumki dźwięczą nad mogiłami poległych, jakby zapytując ich cienie o krwawej pracy owoce. W tych rzewnych dumkach zmartwychwstaje przeszłość, którą chwilowe obłąkanie napróżno w gruzach zniszczenia pogrzebać usiłowała. Ukraina płacze i tęskni, i jak znurowione dziecko potrzebuje pieśni by ją ukołysały. Niepokonana siła wyciska z piersi i z ust te smutne dźwięki, z których rodzinne dumki powstają. Śpiewa je wędrowny starzec bandurzysta dla braci

starców, dla niewiast i dzieci w osamotnionym futorze,— śpiewają je na wieczernicach czarnobrewie dziewczyni,— śpiewa je kozak w stepie goniący wiatry po falach burzanu,— śpiewa je przy teorbanie na ucztach starszyny,— śpiewa je starszyna dawne wspominając czasy,— śpiewa je Hetman, i sam rozpierzchłe przeszłości, oczarowane przyszłością myśli, w nowe dumki kojarzy. I nagle ostatnie głoski rodzinnych dumek, ostatnie brzmienia kobz i teorbanów łączą się z surm i bębnow odgłosem. Zastyszał wojenne hasło dziki latawiec stepu i pędzi z rozpuszczoną grzywą do znajomej slobody, staje u kozackiego kurzenia i radośnym rzeniem swoją gotowość obwieszcza. Jeżą się spisy— huczą janczarki— szumią proporce— powiewa buńczuk hetmański,— i jeszcze raz ukraina niesie krwawą ofiarę z swych dzieci, marzeniom dumek rodzinnych, myślom burzliwym jak kozackie życie, i namiętnej woli, szerokiej jak step rodzinny, rozpasanej jak wiatry tułające się po stepie. Tak marzyłem niesiony pędem po obszernej równinie pół oświeconej gasnącemi przed zorzą gwiazdami i błędem światłem księżyca. Przedmioty przybrały fantastyczną postać i olbrzymie rozmiary, a wzrok mój razem z myślą marzący, w kurhanach, przy-drożnych siołach i drzewach, widział tłumy najezdników, ściśnione szeregi piechoty i samotnych wodzów, jakby mających prowadzić zbrojne drużyny do boju. W szumie wiatru słyszałem dźwięki cudzoziemskiego gwaru, pomieszane z ukraińską mową. I nagle chmurzy się niebo, wiatr szumi,— mój fantastyczny obraz przybiera ruch i życie,— skaczą samotni męże,— nieruchome dotąd zastępy zrastają się w kolumny,— kolumny rozwijają się w nieskończone linije,— massy jazdy rozprysnęły się na skrzydła,— i oto grzmi pierwsze działo zwiastujące początek krwawego zapasu....

«Półtawa!» krzyknął mój *jamszczyk* nagle zatrzymując konie.

— Ach, tak! Półtawa!— zawołałem także mimowolnie,— Półtawa!— wszakże to koniec mojego marzenia!— I znikły jakby rozwijane zbrojne tłumy, co się niedawno przedemną roły,— umilkły jakby stłumione groźne hasła, imionami Karola i Mazepy dźwięczące. Przedemną stał tylko potężny pomnik wielkiego zwycięzcy, a księżyc wychylony z za chmury otaczał go wieńcem promieni, jakby aureolą nieśmiertelności. Snokojne miasto tuląc się do stóp olbrzyma, spało snem cichym pod jego opieką,— i tylko cudownej piękności półtawskie topole gęstemi rzędy rosnące, rozmawiały nieśmiałym szmerem z porannym wiatrem, co już rozbu-dzał ich listki.

XVI.

Po kilkudniowym spoczynku wyjechałem z Charkowa. Dzień był pochmurny. Całą poprzednią noc lał deszcz ulewny, a teraz postrzępione obłoki wytrząsały jeszcze jego ostatki drobnymi, lecz rzęsiastymi kroplami. Stan nieba sympatyzował niejako z okolicą nudną i jednostajną, w której tylko droga do Charkowa była dość ożywioną. Zbliżając się do Czugujewa, widać opodal od drogi słobody żołnierzy-rolników, którzy tu stanowią okręg wojenno-rolniczy. Czugujew główne miejsce małorossyjskiego wojennego okręgu, pomimo niejakiego podobieństwa do miasta, pomimo ścisłego porządku i czystości jaka w niem panuje, zresztą żadnych przyjemnych nie nastrocza myśli. Ulice jego szerokie, domy murywane, podługowate i wązkie, pobielane, pokryte słomą, jednostajne aż do najdrobniejszych szczegółów, stoją wyciągnięte w dwóch szeregach. Równe przedziały między domami, zamyka kamienna ściana z bramą w środku na dziedziniec dla dwóch domów wspólny; na dziedzincu stajnie i inne zabudowania. Gdzieśniedzie z otwartego okna wygląda blada twarzyczka kobiety, której piękne rączki widać zajęte robotką, łęskne spójrzenia krążą po ulicy, a myśli,— myśli daleko od słomianego dachu, latają po piękniejszych miastach, po miłszych stronach, w gronie rodzeństwa, przyjaciół, znajomych, wśród zabaw i pełnej weselszego świata.

XVII.

Wyjechałem z Czugujewa nie w osobliwszym humorze. Nademną, naokoło mnie, i we mnie było nudno i posepnie. Po drodze piaski,— naokoło step,— niebo zamierzchłe.

Zdało mi się, że ten dzień wieczorowi podobny nigdy się nie skończy, a gdy noc ciemna bez gwiazd i księżyca pochłonęła w sobie przestrzeń, ziemię i przedmioty, do tego smutku, co kamieniem ciężał na sercu, los przyrzucił jeszcze niezbyt przyjemne wypadki właściwe nocnej podróży. Dostyc powiedzieć, że po kilka razy błądząc po stepie i wracając na miejsce wyjazdu, więcej jechałem wstecz niż naprzód, i nareszcie po kilku wywrótach mojego ekwipażu, nie życząc sobie siać własne zęby po stepie, lub gorszej jakiej przygody, włókłem się pięchotą złorzeczając głupim gwiazdom, co nie śmiały wyjrzeć za obłoki i głupszemu księżycowi, co się wałęsał Bóg wie po jakich kątach nieba, gdzieby się może zupełnie bez niego obeszło, albo najpewniej z otwar-

tą gębą, w mazgajowatém zapamięnieniu słuchał kłóregokolwiek z moich wielce uprzejmych braci poełów, deklamującego do niego świeżo wykropkowaną ultra-sentymentalną apostrofę nie gorszą od znakomitej: «Księżycu, co się po ścianie...» Ołoż tedy podróżując pocztą na własnych nogach, sądziłem, że ta feralna noc składa się z tysiąca i jednej nocy, i już zacząłem szperać w rupiecicach mojej pamięci czy nie przypada czasem na ten niedoczekany ranek słoneczne zaćmienie. Aż nareszcie przez wyściężone szmaty obłoków, przedarł się do otchłani podniebieskiej brzask blady jakby przez sito do miecha. Dostrzegłem wtenczas, że mój nadwerżony ekwipaż, na stepie, zdaleka od drogi choć i równoodlegle do niej, kołysał się z grymasem człowieka mającego jedną nogę krótszą. Zmęczone konie drzemiąc przebierały nogami z przyzwyczajenia, a woźnica też nurkując nosem w *zapomnienia fali*, widocznie marzył o niebieskich migdałach, chociaż naturalniej byłoby marzyć o rozynkach, gdyż zbliżaliśmy się właśnie do rozynkowego miasta.

XVIII.

Izium znaczy rozynki, tak się nazywa lutejsze powiatowe miasto. Łatwo zgadnąć dla czego założyciel dał mu takie nazwisko. Piękna ta okolica obfituje w winnice i herb też miasta wyobraża trzy łodygi bluszczu z winogronami. Miasteczko, dosyć porządnie zabudowane, leży na brzegach rzeki Doniec i mniejszej rzeczki *mokrą Iziumicą* zwaną, w ładnym górzystym położeniu. Ma jakie takie kramy, a rynek zavalony owocami. Nad miastem wznosi się nie wielka góra, na której kilka wiatraków machając skrzydłami, zdają się opędzać owady lgnące do słodkiego miasta i jego ogrodów.

Miało być kiedyś obronne i wstrzymywało Tatarskie napady.

XIX.

W niedostatku koni pocztowych, uprosiłem sobie obywatelskie, tylko co ze wsi przypędzone. Można sobie wyobrazić jaka to była opłakana jazda, zwłaszcza, że droga szła ciągle pod górę. Z początku mniej zważałem na to zachwycając się prześliczną okolicą, daleko widoczną z wysokości, na którą wjeżdżałem. Miejscowość górzysta; między górami zieleniejące się doliny, a na nich futory i sioła strumieniami okrażone. Z jednej strony, na krańcu widnokręgu gęsty czarny las, poważnie miły krajobraz ocie-

nia. Lecz gdy po zmierzchu wieczornym nastąpił dalszy ciąg wczorajszej ciemnej i dżdżystej nocy, wtenczas dopiero przekonałem się powtórnie, że najdłuższa cierpliwość zawsze jest krótszą od kilku godzin nocnej podróży, włokącej się noga za nogą. Moje konie były to stoiki w najobszerniejszym znaczeniu tego wyrazu; ultra-stoiki, bo stawały, co kilka kroków, i wtenczas wszelkie sposoby zastosowane do ich końskiego pojęcia, aby je porużyć z miejsca, były nieskuteczne; chociaż po kilku minutach, z dziwactwem właściwem takiemu usposobieniu, tak w ludziach jak i w zwierzętach, te same konie dobrowolnie zaczynały ciągnąć, nie bryczkę moją, bo ta ledwo się chwiała od powolnego ruchu,— ale ciągnąć na tortury moją cierpliwość, bo po chwili, tej niemal na miejscu oscyllacji, zatrzymywały się na nowo. Mój woznica, także obywatelski mały chłopiec, nierozgarniony, co już dawno wędrował piechotą, idąc w nierówne zapasy z końskim uporem, bardziej do ludzkiego podobnym, nareście zmordowany, przyprorowadzony do furmańskiej rozpaczki, zrobił co mógł najlepszego,— to jest przeklął konie i gorzko zapłakał; w tym samym czasie i konie już nie stanęły, lecz wrosły w ziemię, i ja znalazłem się na noclegu na środku drogi, w nieprzeniknionej ciemności, w *Gołej Dolinie*, w towarzystwie lamentującego woznicy i trzech szkap sprzysiężonych na moje umęczenie. Jeżeli wówczas i ja nie zapłakałem to chyba dla tego, że już płakał mój furman; a czyż mogłem poniżyć siebie, aż do tak spopolitowanego rozrzewnienia?— Próżność ludzka,— jest to *perpetuum mobile*, wahałdło wiecznie czynne, jeśli nie wiecznie rządzące czynnościami ludzi. Ludzie w dobrej wierze uważając za szczególne wady lub cnoty to, co jest często tylko stopniowem łagodzeniem ruchu próżności, dają jej rozmaite miana stosownie do rozmachu jakim się ona w dziejach życia objawia. I tak:— najwyższa potęga ruchu próżności, ta potęga dla której rozmachu ziemia ciasną się zdaje, nazywała się oddawna *wojowniczą sławą*,— a jej olbrzymie dzieci— to Aleksander Macedoński, Cezar, Napoleon.

Równie silna, lecz więcej gwałtowna potęga ruchu próżności, ta potęga, co uderza w serce społeczeństwa i krwawi się jego ranami, oddawna nazywała się tyraństwem, a potwory nią wykołysane, to władcy już gnijącego Rzymu, których nazwisk nie wspominam, bo są urąganiem ludzkości. W nieco mniejszym zakresie, lecz równie haniebnym ruch próżności, uosobiony w Koryolanie, Werresie, Katylinie, nazywał się oddawna zdradą, łupieżstwem, rozpustą. Lecz w tych samych czasach próżność miotała polityczną nienawiścią, lub filozoficzną pretensją, przytłącała się

pod kształty zniewalające ogół, i ten niedostrzeżony ruch próżności nazwano miłością kraju w Brutusie, a srogą moralnością w Katonie.

Pomijam zamęt tego moralnego i dynamicznego rozprzężenia, gdy otwarte mieczem barbarzyńców żyły zgrzybiałego społeczeństwa, w zamianę krwi zepsutej, przyjmowały w siebie zdrową, kipiącą krew młodzieńczych ludów jako żywiół reakcji, a przechodzę do czasów burzenia się i przeradzenia,— bo zupełne zmartwychwstanie w duchu prawdziwej filozofji i dziś jest ledwie tylko przecuciem. Oto śladami prawdziwych rycerzy grobu Pańskiego, próżność popycha tłumy rozpustnych awanturników, a sama, przebierając różaniec, otrzymuje święte pobożności imię. Karol V. dobrze widzi, że już nic więcej osiągnąć, nie więcej zrobić dla wielkości i pamięci niezdolny,— więc abdykuje, kładzie się w trumnę i każe sobie za życia śpiewać: «wieczny odpoczynek» spodziewając się za to po śmierci choć jednej jeszcze, choć trochę dłuższej wzmianki; i oto próżność ochrzczona wielkiem zizeczeniem się światowego blasku....

Wolter najpróżniejszy z próżnych, jedynie przez próżność, bez wewnętrznego przekonania, usiłuje czynem potwierdzić wyrazy dowcipnego bluźnierstwa, potem wznosi świątynię z napisem próżności, i unieśmiertelnia próżność pod nazwiskiem bezbożności.

Fryderyk Wielki pomimo ogromnego geniuszu, choruje często na próżność i jej dziwactwa otrzymują patent na filozofją.

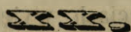
Russo spowiada się całemu światu, że był posługaczem i złodziejem, i wybiegiem czystej próżności dowodzi, że wolny jest od tej przywary.

Gete wytrząsa na świat próżność z szerokich kieszeni złotem szytego munduru Tajnego Radcy, a ludzie rozchwytyjąc ją krzyczą: «oto geniusz poetyczny!»

Bajron czując się upośledzonym od natury, skrzywdzonym od ludzi, zdradzonym w najmilszych roskoszach domowego szczęścia, upokarza niesprawiedliwość świata potęgą myśli;— lecz czasem próżność podaje mu tak dziwaczne orężę, że potomstwo dotąd w kłopotcie, nie może znaleźć dosyć dobitnego epitetu dla jego geniuszu.

Nakoniec— *si licet parva componere magnis*— ja sam, wyżej podpisany,— niepłaczący jedynie przez próżność, pomimo wszelkich do płaczu powodów, opierając się na mojej teorii historycznie rozwiniętej, domagam się dla mojej próżności zaszczytnego przydomku rezygnacji,— i owszem sam jęj ten przydomek z klejnotem

herbowym wyobrażającym z heraldyczną dokładnością «Gołą Dolinę» uroczyscie nadaje.



Szanowny czytelniku! nie gniewaj się na mnie, «że uwiążłem na progu» jak to mówi przypowieść Ks. Biskupa żartującego z Jezuity,— czyli bez ogródek, że stanąłem w podróży na drodze i zamiast dalszych kraju obrazów, częstuję cię myślami, które może i twoja własna głowa dawno już prznosiła, przelała i rzucała na użytek gminu razem z podszarganą czapką lub kapeluszem. Cóż robić? niema nic nowego na świecie, co by nie było stare; czyli raczej stosując do świata to, co pewien Niemiec powiedział o książce, (bo jestem w wenie erudycji): «na świecie wiele nowego i pożytecznego; szkoda tylko, że co nowe to nie pożyteczne, a co pożyteczne to nie nowe.» Otoż mój wielce szanowny czytelniku! wiadomo ci już, że stoję na miejscu;— więc następnie— kto stoi ten nie jedzie,— kto nie jedzie ten nie podróżuje dalej,— kto nie podróżuje ten nie widzi dalszej okolicy,— a nakoniec kto nie widzi dalszej okolicy, ten i opisywać jej nie może. W takim będąc właśnie przypadku uzbroiłem się rezygnacją, i przytuliwszy się do moich na ten raz nie ruchomych ruchomości, uczułem chętkę myśleć głośno lub po cichu tak sobie, o czemkolwiek,— o młodości, co już minęła,— o starości, której nie doczekam,— jednem słowem o wszystkim, co przyjdzie do głowy. A że niemam z kim myśleć głośno, to jest gawędzić,— więc będę gawędził z sobą po cichu,— to jest będę myślał czy marzył. Wzywam cię więc jeszcze raz i raz ostatni, najszanowniejszy czytelniku! uzbroj się podobną mojej rezygnacją, i jeśli masz upodobanie, społeczenie, lub co podobnego, marz wspólnie ze mną;— jeżeli zaś nie lubisz marzeń choćby one roły się po *Gołej Dolinie*, to ziewaj, bębnij po stole palcami, lub czytaj przemowę do poezji Pana Grotta Spasowskiego, póki mnie mój dobry genjusz z tego zakłętogo miejsca nie wyprowadzi.

Marzenia w Gołej Dolinie.

[.

W myślach smętno, ciemno, bardzo ciemno jak w tém miejscu piekła, gdzie ma być *densitas tenebrarum*— gęstość ciemnoty,

tak skoncentrowana, że można ją chwycić rękami. W tej ciemności, jak mary na brzegach Flegetonu, snują się stracone lata młodości,— choroba bez końca,— życie bez celu; i te wszystkie mary w dziwacznych postaciach wyteżają się, nadymają, rosną, rozpychają mi głowę, trują ostatek zdrowia duszy i ciała,— robią mię ciężarem sobie i społeczności, dziwakiem, egoistą, niewdzięcznikiem,— dalekoż do tego, żeby mię zrobiły występny?— Moja przeszłość, to obłąkane awanturnictwo,— szalone zatargi z przeznaczeniem, z chorowitą wyobraźnią;— podróż pełna dziwacznych urojeń Cerwantesowego bohatera. Moja terażniejszość— to jedna, jedyna, wszechmocna myśl o mojej rodzinie,— to jedyna modlitwa o złączenie z ukochanymi,— to pielgrzymka do ziemi Świętej przez wszystkie burze, co mnie jeszcze czekają,— przez wszystkie zatargi z losem, do których zwyciężenia moja miłość wystarczy. I oto już widzę rodzinne pola,— dom ojczysty,— i na jego progu matka i siostry i bracia wyciągają ręce do wędrowca z dalekiej powracającego podróży;— i nagle między mną i pożądanym celem stają morza i lądy, pasma gór i głębin przepaści. I tam— nad śnieżnym szczytem Elbrusa, nad gniazdem białego plemienia, zawieszonym między niebem i ziemią,— nad tym Kaukazem tak strasznym i tak rozkosznym,— gdzie każda kobieta jest huryską z Mohammeda raju,— każdy mężczyzna szatanem,— gdzie natura wskrzesza umierających z dobrocią Boga, a ludzie wytępiają się z wściekłością tygrysów,— tam to blada, niejasna wschodzi gwiazda moich nadziei. Tam czeka mię zupełne uzdrowienie,— czekają zasług nagrody, czeka rozkosz z młodzieńczym szatem marzona. A jednak cały wiek człowieczy silnym zasilany zdrowiem,— wszystkie cuda obiecaniej ziemi, z dziką rozkoszą bitew, z pieczętami namiętnych Odalisek,— to wszystko niech dziś będzie moją zdobyczą, i dziś to wszystko rzucę pod nogi temu, kto mnie na brzegi Proсны powróci!...

2.

Życie moje jest to dziwne zjawisko w zwyczajnym rzeczy ludzkich porządku,— jest to chaos wszystkich żywiołów istnienia i zarodów śmierci,— jest to całe piekło boleści, całe niebo rozkoszy. Przesycony i łaknący,— pieśczoney, uprzedzany w najdrobniejszych życzeniach aż do zbytku, i porzucany samemu sobie i nędzy swojej,— kochany namiętnie,— to znów z arystokratyczną o herby moje, zapytywany dumą,— szanowany jako człowiek z talentami i potrzebny, a wysługujący się jak wyrobnik za lichą

opłatę,— karmiony złotemi obietnicami i przy schyłku życia niemający przytułku,— oto moje rzeczywiste położenie.

Najpiękniejsze marzenia,— najbujniejsze popędy myśli i uczuć zdadzą się tylko dla poezji; do praktycznego życia zastosować się nie dają. I w samej rzeczy: łaknienie serca dręczące mię przy pierwszym na świat stapieniu, nasyciłem szaloną orgją młodości?— skryłem się od burzy uczuć pod suknią zakonnika w cichych murach klasztoru? grom bitew, widok zniszczenia i śmierci, krew, nędza, kajdany, tułactwo, męczarnie chorob i tortury poniżenia,— terazniejszość bez pewnej myśli o jutrze, jutro groźne jak widmo, wątpliwości szatanem z piekieł posłane, życie bez nadziei, śmierć bez garści ziemi rodzinnej,— ten ogrom gorzkiego doświadczenia i strasznego przeczucia, czyliż stłumił w piersi mojej dawniejszy zapach młodzieńczy? czyż poddał serce pod panowanie rozumu? czyż zrobił mię istotą praktycznie racjonalną?— I jakże to wytłumaczyć? Posłanie moje na świat, moje życie, moje nieszczęście i błędy, sąże bezwarunkowo zrzędzeniem przeznaczenia, lub też niezbędnym wypadkiem tego fizycznego usposobienia, w którym organy czucia zbyt rozwinięte, z krzywdą organów reflexji, rozwijają życie serca wyłącznie i przeważnie?— a życie serca i cierpienie— wszak to synonimy.

3.

Stoję w obliczu wieku samolubnego aż do zrzeczenia się uczuć ludzkości,— materialnego aż do oburzenia,— spekulującego aż na minuty życia,— odurzonego mańją industrjalności, napiętnowanego beczynnością handlarstwa. I ten wiek okopcony dymem, ledwo dyszący w tumanach pary, zasunąwszy ręce w pełne gwinej kieszenie, z hawańskim cygarem w ustach, z miną rzetelnego Naboba, mówi do mnie z przekąsem: «Mój Panie! masz pretensją do szczęścia lub przynamniej do jakiegoś celu twojej mizernej wegetacji; a szczęście, to pieniądze,— cel życia, jeszcze pieniądze. Jakież masz przywileje na to, czego potrzebujesz?— Jesteś literatem, filantropem, muzykiem, poetą?— i nic więcéj?— Lecz mój przyjacielu! złoto nie robi się z atramentu; natchnienie poety, jakby nie było gorące, nie poruszy parowozu; filantropiczne łzy nie utuczają plantacji; z genjuszem Kamoensa, Tassa, możesz umrzeć w szpitalu i doczekać się apoteozy po śmierci. Jednak chcę ci pomódz, i oto moja rada. Pomyśl tylko;— może masz w sobie jaką ciekawą chorobę; polipa w nosie, raka w piersiach, anewryzmę, skirr lub co podobnego. To wszystko czyste złoto, mój ko-

chany! przedaj za życia jakiemu medycznemu fakultetowi prawo ćwiertowania cię po śmierci,— lub pozwól zrobić sobie dziurę w żołądku dla uważania fenomenów trawienia; to czysty, pożywatni dochód. Lub może masz do zbycia tę zdalkową monetę, która w codziennym kursie nazywa się pocziwością?— przedaj ją— i to bez zwłoki— teraz podobne akcje poszły w górę niezmiernie; ręczę ci za ogromne zyski. Zresztą jeśliś zupełnie zdrow lub zbytecznie przesądny, to wyrzecz się wszelkiej chimery i pracuj, — pracuj braciszku! Nie może być, żebyś umarł z głodu, nie mówię w tych błogosławionych krajach, gdzie już praca rąk straciła cenę, ale tam, gdzie rękodzielnie jeszcze dawną barbarzyńską rutyną, zwolna dźwigają się na barkach roboczych.

4.

Zkąd to pochodzi, że człowiek marzy, tęskni, przeczuwa?— Nie może to być działanie ciała, tego prochu, co się w proch rozsypie,— bo marzenie, tęsknota, przecucie, są za obrębem materialnego życia, owszem wybiegają daleko za jego granice; ciało więc, ta materja, która umiera, nie może ani doświadczyć wrażeń, ani tworzyć uczuć zdolnych rozciągać się za jego własne granice; więc tęsknota, marzenie, przecucie, są to objawione czynności, innéj jakiejś cząstki człowieka, różnéj we wszystkim od ciała, nie umierającéj z ciałem i dla tego zdolnéj doświadczać wrażeń i tworzyć uczucia przenikające za granicę materji. Cóż jest ta druga cząstka, jeśli nie myśl Boga objawiona w człowieku,— jeśli nie dusza?— Działanie duszy rozciąga się za granice bytu materji;— więc jest drugi byt od bytu ziemskiego oddzielny, a ten byt jako wyłączny udział duszy, musi być duchowy. Nie znamy, ani pojąć, ani wyobrazić sobie możemy granic duchowego bytu, owszem pojęcie o duchu ściśle się wiąże z pojęciem nieskończoności; więc drugi byt musi być nieskończony. Dusza w działaniach swoich objawia się w tym drugim bycie, w nieskończoności,— a wszystko, co może być w nieskończoności, jest samo przez się nieskończone,— więc dusza jest nieśmiertelna.

5.

W myślach świta,— pojęcie przezroczyście jak oko; w co wpatrzy się to przenika i poznaje swoim widzeniem. Tak— dusza jest nieśmiertelna. Ja to czuję całą potęgą, ja to pojmuje całym jasnowidzeniem myśli. I od uroczystéj chwili tego poznania, blade

postaci moich chorowitych marzeń, niedawno tak odrażające, tak straszne, tłumią się, zrastają, przemieniają groźne rysy, i nagle na ich miejscu staje przedemną jasna niebiańska postać z promieniami świętości na czole, z godnością wiary w obliczu, z uśmiechem nadziei na ustach, z wdziękiem Ewanielicznej miłości. Ona stoi przedemną i przenikliwem okiem spogląda w kryjówki serca, gdzie oddawna leży się, krzewiły i w pieszczotach hodowały wszystkie moje słabości. Ale w tej chwili wszystkie moje słabości skurczone i w kłęb zwinięte leżały bez ruchu i życia, jak Cerber przy piekielnej jamie uspijony narkotyczną pigułką Sybilli. Spijcie! śpijcie snem wiecznym Syreny, Charybdy i Scylle!— Rozkosze i męczarnie, radości marnych błyskotek szczęścia i bole klęsk przecierpianych, przetłate żądze i lęgnące się chęci nieszlachetne, żale lub rozpaczające złorzeczenia i zjadliwe zemsty zamachy,— ty cała nikczemna drużyna na usługach niedołęzności lub egoizmu— spij snem wiecznym i nieprzebudzonym! Oto przedemną genjusz opiekuńczy, aby zachwianą stałość wiarą umocnić, rozpacz nadzieją przejaśnić, boleś miłością ukoić;— ten genjusz, co nad ludzkością czuwa w chwilach jej klęsk i chorób, i co ją przez wieki do celów odwieczną mądrością wytkniętych prowadzi. I zdaje mi się, że słyszę głos jakby z niebios płynący: «Ten tylko nędzarz, kto w biegu życia nie mógł przyłożyć palca do wielkiego dzieła, które Opatrzność wiekom, pokoleniom, całej ludzkości wykonać przeznaczyła. Ten tylko nikczemnik, kto zamknąwszy się w skorupie egoizmu przemknął się po świecie cichaczem, nie chcąc być uczestnikiem w powszechnej pracy ludzkości. Błogostawiony, kto do wspólnej pracowni przyniósł potęgę rozumu albo siłę muskułów,— kroplę krwi lub kroplę potu, łyż cierpienia lub pieśń szlachetnego zapału. Ludzkość tak jak Bóg, przyjmuje wszelką oliarę, która z serca pochodzi.»



Coraz bliżej odgłos dzwonka zwrócił uwagę nie tylko moją, ale i nieszczęśliwego woźnicy i koni obywatelskich. Dostrzegłem krzatanie jakby do dalszej drogi i z zadziwieniem przy rozrzedzonej wschodzącej zorzą ciemnocie, ujrzałem chłopca siadającego na swoje urzędowe miejsce.

«Cóż? zapytałem go,— myślisz, że konie pociągną?»

— «A może i pójdą za pocztą co nadjeżdża, wszakże stojemy na miejscu już Bóg wie jak długo; dawałem im siana i dobrze odpoczęły.»

Wtém przeleciała mimo, nie bez złorzeczenia za zajęcie drogi trójka pocztowa, i w samej rzeczy moje stoiki ruszyły za nią choć bardzo flegmatycznie. Ukołysany ładająką nadzieją wydobycia się z *Gołej Doliny*, tylko co zacząłem marzyć na nowo, gdy nagle ustał dźwięk dzwonka, co choć zdaleka przewodniczył naszej drodze, a wkrótce i moja taradajka zatrzymała się na miejscu.

«Cóż to? znowu nie idą?» zawołałem z przestachem.

— «Nie, Pani! to już stacja.»

— «Jak to stacja? więc nocowaliśmy na drodze pod samym nosem stacji, bo mniej niż o pół wiorsty! — przesłicznie! warto zapisać.» I pobiegłem do oświeconej już izby pocztowej, aby za świeżej pamięci zapisać w dzienniku podróży śmieszny przygodę, i marzenia na noclegu w *Gołej Dolinie*, choć tytlami oznaczyć, aby je później sumiennie, jakie i o czem były, rozwinięte w opowiadaniu, dobrym moim czytelnikom przedstawić.



Step równy, — nieprzejrany, — na nim tylko stogi czernieją, — tylko gdzieniegdzie odludna stacja pocztowa, — tylko przemijający ślad człowieka. Tu swobodnie hasają tabuny koni i pasą się ponure bawoły; tu nieposzone stada płastwa zdają się w tej porze odpoczywać w dalekiej na południe wędrówce. Tu jeszcze skowronek dzwoni piosnkę poranną, — jeszcze jaskółka na nieruchomych skrzydełkach pławi się w powietrzu, lub nieścignionym lotem wierzchołki burzanu zamiata. Zdaje się, że te stopy są pierwszym, czasowym stanowiskiem płastwa, przy schyłku jesieni ulatującego z północy w cieplejsze strony. Lecz wkrótce i tu, hymn skowronka, szczebiotanie jaskółki i krzyk dzikich gęsi ucichną. Długie, niezliczone stada we mgłę porannego tumanu pociągną na dalsze południe, — a po szerokim stepie tylko samotny wicher śniegową zamiecie powieje.



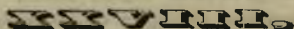
Ha! tu jeszcze nie wszystko wymarło! Step martwy rusza się, gwarzy i zalotnie do człowieka uśmiecha. Oto jego serdeczna arterja — szeroki malowniczy Don. Na jego brzegu rybołowny Rostow. Dalej Nachyczewan, stolica Ormian Europejskich. Miasto handlowe; jego ulice ludne, domy wspaniałe; ale postać domów i ludzi zdradziecka. Przy bramach żelazne rygle, w oknach żelaz-

ne kraty. Te rygle i kraty strzegą cnoty ormiańskich żon i dzie-
wic, i złota kupców Nachyczewania, droższego im nad cnotę. Ale
na odgłos pocztowego dzwonka, we wszystkich warownych oknach
podnoszą się skrzętnie i pośpiesznie atłasowe zazdrostki; zachwy-
cające główki, ubrane szytą perłami i złotem czapeczką, wyglą-
dają z po za kratek więzienia. Igoreją na gładkiej szybie dwie
gwiazdy ogniste— to promień oczu namiętnych; i zaścięła szybę
mglisty obłoczek— to grzeszna myśl, którą obwarowana cnota,
za kratę swojego więzienia razem z westchnieniem powstała. Bądź
przekłęte miasto bogactwa i upodlenia, w którym mężczyzna jest
handlarską cyfrą, kobieta sprzętem domowym, przebiegi zysku
jedynem życiem serca, żelazna krata, jedyną cnot familijnych
rękojmią.



Na wysokim brzegu Donu ścięle się i czepia Oksaj, bohater
stanie kozackich. Fantastyczna, dziwnie piękna i malownicza fi-
zjognomja tego kozackiego miasta. Domy murowane jedno i dwó-
piętrowe, opasane krużgankami, poprzyklepiane do siebie lub wi-
szące jedne nad drugimi jak gniazda dzikich ptaków po skałach.
Między domami uliczki kręte, spadziste i wązkie. Rozmaitość ar-
chitektury nadzwyczajna. Dachy płaskie i podniesione, frontony
z kolumnami, ciasne furty i obszerne bramy, okna i drzwi stoją-
ce otworem lub warowne kratami; dachy czerwone, ściany białe,
lub żółte. W ogóle miesznanina Azji z Europą. Cała ta nieska-
zitelna, lecz malownicza massa, spuszcza się po pochyłości wzgórza
na brzeg szerokiego Donu. Tu szum, tłok, wrzawa, obrazy go-
spodarskiej i handlowej skrzętności, lub burzliwego życia wojowni-
czego ludu. Kramy zamożne błyszczą gdzieniegdzie łupami Tur-
cji, Persji, albo zdobyczą krwawo, w rozbojniczych górach, ku-
pioną. Bazar zawalony stosami orzechów, daktyłów, winogron
i olbrzymich kawonów. Na samym brzegu rzeki składy towarów,
ogromne szopy, kabaki pod gołem niebem. Więcej kozackie ban-
dery na licznych statkach, nieskończonym pomostem na wodach Do-
nu leżących. Zgiełk, wrzawa, życie handlowego portu; bo Oksaj
jest istotnie najważniejszą kozacką na Donie przystanią. Z same-
go brzegu rzeki, jeszcze piękniejszy widok Oksaja. Z okien i kruż-
ganków domów stopniami z góry zstępujących, powiewają różno-
farbne kobierce, zielenią się tarasy, na które z dołu kamienne
wshody prowadzą. Don śliczna, wesola rzeka. Jak daleko oko
zasięga, widnieją po jej rozkosznych brzegach stannice; zdaleka

bieleją mury Nowoczerkaska; nad powierzchnią wody tysiące rybitw migają jak błyskawice. Przejeżdżam most pływający. Na drugiej stronie jeszcze ostatki śladów przemysłu, bazy, składy. Lecz z każdą chwilą wrzawa mniej wyraźna, życie mniej widoczne. Przedemną, naokoło mnie, step— znowu cisza, martwość, tęsknota. Myśli moja! cudowna moja postanko! ukochane wspomnienie! leć, leć w dalekie miejsca, z których tyle mi pociech przynosisz.



Jestem za Donem,— pierś moja wznosi się wysoko,— czuję, że jestem na woli. Step pod błękitnym niebios namiotem, to nieskończoność w miniatyrze. Ja jestem Noe— step, to oceany potopu,— myśli moje— to gołębice Korabia. Wypuściłem myśl jedną i ona nie powróciła do mnie. Ona była burzliwa i tajemnicza, a nazywała się «rozpacz»— poleciała w zatargi z wichrem i burzą; silniejszy wiatr zwichnął jęj skrzydła i ona utonęła w potopie. Wypuściłem myśl drugą i ona niepowróciła do mnie. Ona była smutna i tęskna, a nazywała się «miłość.» Poleciała między drogich sercu, na ukochane miejsca, i tam została na zawsze. Wypuściłem myśl trzecią, i ona powróciła do mnie. Była zaś wesołą i rzewną, fantastyczną, i rozumującą, śmieszna i zapłakana, swawolną i poważną, a nazywała się ta myśl «wspomnienie.» Nieścignionym lotem ona zwiedziła tysiące miejsc i powróciła do mnie obciążona drobnymi ale drogiemi dary. Gołębica Noego przyniosła mu jedną tylko gałązkę; moja gołąbka przyleciała z listkiem uszczknionym w Dobośnie, ze wstążeczką na szyi zawieszoną w Kryczynie, z motylkiem złowionym na błoniach Wołczyzna, z pieśnią Nimfy Lubowskich gajów, z kamykiem z mogiły Hipopolita, z ziarnkiem piasku z nad Proсны, z kroplą łzy tych, których nie zobaczę więcej!....

O myśli moja! cudowna moja postanko! czemuż i ja w jedną stronę z tobą nie lecę? Czemuż świat myśli moich nie jest już moim domowym światem? Czemuż wiecznie tracę co ukochałem?!... Jest-że los ślepy czy też ludzkie chcenie silniejsze od Najwyższej miłości?— a wszak Najwyższa Miłość— to Bóg;— a Bóg dał mi serce aby kochało.

.



HUMORYSTYKA.



KALEIDOSKOP

FAUSTYNA WSZEDOBYLSKIEGO.

O wszystkim, o wielu rzeczach i o niczym.

(Z notat podróży).

WILNO po Ś. Jerzym zupełnie puścieje; kto ma jaki kawał ziemi, lub domek przyjacielski na wsi, tam jedzie. Było pusto i smutno, jednakże siedziałem w mieście aż do północy, póki *paniczny* strach cholery wszędzie rozpostarty, i mnie wcześniej z miasta nie wygnał. Stuliwszy uszy, uciekałem do najzdrowszego kawałka na ziemi, jak dowodzą Doktorowie, to jest: do powiatu *Trockiego*, którego górzystość zapewna utrzymuje zdrowsze powietrze, i jedynego na ziemi, w którym,— mając tam ziemską posiadłość,— bez paszportu siedzieć mogę... I w rzeczy samej, kiedy cholera w powiatach na około grassowała, w Trokach—nikt prawie nie umarł. Oto— do jakiego kraju wyniosłem się czempredzój, i jak raz na samym wstępie, po nudach miastowych, wpadłem na najroskoszniejsze miejsce, jakie się w naszym powiecie znajduje...

Ale poczekajcie! powiem wam wprzód, jeżeli mię czytać zechcecie, o planie mojej podróży... często bowiem i ten, co bez celu jedzie, tworzy sobie plan swęj podróży. Co do mnie, po dzieściu latach niewidzenia miejsc, w których dziecinne moje dni ubiegły, i dla zaprobowania przejażdżki artystowskiej, to jest: bezcelowej, tak sobie, dla zobaczenia kraju, postanowiłem zwiedzić niedalekie od Wilna okolice. Chciałem przejechać się *en touriste*,— rodzaj podróży, którego u nas wcale nie znają, a który jest tak powszechny w Zachodniej Europie. I jakież u nas podróże? My jeździm po wielkim, choć kiepskim, gościńcu z Wilna do Mińska, do Grodna, do Kowna, czasem do Peterzburga, dla wystuchania sprawy w Senacie, jeździm z powodów służby, dla odebrania sukcesji, dla spotkania ideału... niestety! często arcyziemskiego!... dla widzenia się z bogatym Stryjaszkiem lub ciepłą Ciotunią. Ale któż u nas podróżuje dla samej przyjemności podróżowania? Taka podróż, o jakiej wspomniałem wyżej, jest tylko środkiem dla dopięcia czegoś. U nas właściwie nikt nie podróżuje, i oto dla czego tak mało znamy kraj własny, a obcych zgoła. Że jednak można i w naszych stronach robić miłe wycieczki, kiedy kto umie znaleźć zadowolenie w samym sobie, to niech służy za dowód następne sprawozdanie z mojej przejażdżki po okolicach Wilna.

Otoż wracając do mojej podróży,— zaraz na głodny ząb po nudach Wilna i djecie cholerycznej, wpadam do rozkosznych ...*girdziszek*. Wyobraźcie sobie mieszkanie feudalnego Barona. Wyspa, ze wszech stron jeziorem oblana, a na wyśpie złączonej ze stałą ziemią groblą i mostem (*prawie* zwodzonym!) piękny, włoskiej architektury, domek mieszkalny: zbliżając się i mając głowę nabitą tą wyspą i Baronem, wypatrywałem maurytańskich wieżyczek; tych nie było, ale za to znalazłem prawdziwego, w dobrém znaczeniu, średnio-wiecznego *Castellana*, w czcigodnym właścicielu Zamku i Wyspy. Pobyt tam nigdy mi z pamięci nie wyjdzie. Wszystko tam odycha wiejską błogością, ciszą, spokojem: wszystko zładza duszę szarpaną stosunkami miastowemi, napełnia ją spokojem, męztwem i nadzieją: oddzielony wodą, (i mostem *prawie* zwodzonym), choć raz odetchnąłem od ludzi, od *czapkowych przyjaciół*, od których, oby mię Bóg dobry, jak najdalej odniósł,— oni bowiem byli sroźsi względem mnie od samej *cholery azjatyckiej!!*.. Potwarca jaki, gdyby mię chciał tu dosięgnąć, musiałyby wprzód utopić się w jeziorze, nie trzebaby mu było nawet kamienia do szyi uwiązywać..., a gdyby i wypłynął,— bo są stworzeńka niepokonane ogniem i wodą,— to musiałyby staczać walkę zażartą z Baronem. Baron bowiem jest werydyk, ma pewne przekonanie, i każdemu

różnie prawdę w oczy... Jednakże oręż bezpardonnej ironji, Baron zawiesił w domu własnym: był arcy-uprzejmym gospodarzem, i całą swoją satyrę, cały swój attycyzm zwrócił ku wspomnieniom dalekiej strony..., gdzie kiedyś kilka lat życia swego mimowolnie spędził. W tém on był nie wyczerpany...

Ze wzgórków, górujących nad wyspą i jeziorem, przecudowny widok na barońskie mieszkanie! Piękniejszego i bardziej *litewskiego* pejzażu, jak ta wyspa przy zachodzie słońca, nie odmalowałby nasz *Wincenty Dmóchowski!*

U Barona w domu znajdziesz przedmioty sztuki (tak rzadkie na Litwie!) literatury,— muzyka, malarstwo, żurnaty,— wszystkie oznaki cywilizacji europejskiej. Wznosi się też i góruje nad innymi, ogromny *Herbarz Niesieckiego*, gdzie tak kompletnie dopisana rodzina *demokratycznego* Barona!.. Sama Pani Baronowa, która jest tak miłą jak *Pani Szkockiego Jeziora*, w obliczu straszliwej cholery, dokazywała cudów waleczności, z gruszkami, melonami, kawonami, ogórkami z miodem i t. d. My z Baronem tylko ściskaliśmy ramionami; są pewne chwile uprzywilejowane u kobiet, w których im wszystko uchodzi bezkarnie; sama natura ma ich w ówczas w opiece...

Ale nareście trzeba było opuścić Barona i jego miłe, wygodne pokoiki sypialne. Po dwóch dniach pobytu w domu zacnego Werydyka, nagadawszy się z nim do sytu *de omnibus rebus et nonnullis aliis*, bez śniadania wyjechałem do *Żup Stokliskich*; po drodze, i djeta choleryczna Wileńska, i sama myśl o *Żupach*, tak mi przeklecie wyźwirowały żołądek, że zajechawszy do *Wysokiego-Dworu*, ledwiem samego gospodarza nie pożarł, choć miał brodę tak ryżą, jak sam Cezar Bordzia! Szczęściem, że miał pod ręką tłustego kapłona,— uszedł sam z życiem, ale kapłón znikł ze stołu, jakby go nigdy nie było! Przekonałem się, że tłusty kapłón najlepsze lekarstwo na cholere; odtąd nie leczyłem się inaczej i zawsze dobrze mi z tém było. O tym kapłonie nie zapomnę nigdy, bo mi nazajutrz, dziwnie wyraźnie stanęła przed oczami jego pociągająca postać, w samychże *Żupach*; ja zup z przyrodzenia nie cierpię i zawsze zaczynam mój obiad od *bifstecku* lub kapłona. A to, wyobraźcie sobie, po całodziennym ciąganinie na wolnym powietrzu i wieczornej *modnej* herbacie, u pewnej kostycznej Jejmości pod Żupami, przybywam zgłodniały do *Żup*: aż tu nagle znowu napada mię straszliwy żywotny fenomen! wszystkie symptomata *cholery głodnej!*.. konwulsyjne ściąganie się trzewów i t. d.,— że lękać się zacząłem abym własne jelita nie

strawił; szalenie zakręciło mi w żołądku, jakoby *guzikiem*, jak się wyrażał w Wilnie jeden Wyrostek, którego z cholery *otarli*,— ale nie było czém leczyć się... żupy dobre, ale tylko dla kapania się,— tymczasem głód dawaj dalej skręcać wnętrzości... Gwałtu! ratujcie! pokażcie mi traktjer! A tu ani na pokaz!.. Otoż los człowieka, który Ocean przepłynął, a teraz może na *Dunajcu* zginąć! Wyrwawszy się z cholery *azjatyckiej*, *sporadycznej wileńskiej*, wyrwawszy się z życiem od *czapkowych przyjaciół*,— wpadłem na cholere *Stokliską*, *głodną*, jeszcze niebezpieczniejszą dla mnie! Otoż los autora, który tak piękne tworzył sobie plany! *Żupy Stokliskie* o mało nie straciły swego dziejopisarza! O mało nierozpłakały się *Ondyny Stokliskie!*.. Niech to posłuży za naukę przyszłym amatorom *wód*: tam ani herbaty, ani cukru, ani samowara! A wszystkiemu winien Pan Zawiadowca.— Z władzy najwyższej, centralnej na tej skibie ziemskiego globu,— jednoczącej władzę prawną i wykonawczą, która sprzęga całe to drobne zgromadzenie podlecządzających się panien i kawalerów, a skupiającej się w osobie szewca *Ferdynanda*,— wypływa też jedyna pomoc kuchenna: rosół z kury i jaja *à la coque!* i to tylko w pewnych godzinach dnia.... ale ja sądzę, jaja długo używane, mogłyby przerobić energicznego człowieka, w człowieczka *na miętko (à la coque)!* Co tu więc robić? na pomoc *przyjaciele!* i wy,— *czapkowi!* coście mię tylko co nie umorzyli wcale innym sposobem w Wilnie!.. Aż tu na szczęście znalazł się młodzieniaszek, dawny mój kolega szkolny, któremu matka z pobliskiego dworku przysłała kurczę i prosie pieczone; *Henryczek* jak raz w porę podsunął się z tym medykamentem,— (w którego skuteczność uwierzyłyby nawet sam Abicht i Rymkiewicz!)— dziwnie skutkującym, bo w pół godziny byłem zdrow jak ryba. Ztąd wniosłem tę mądrą uwagę, i zapisałem ją w pugillaresie, że ile razy zaczynają się objawiać choleryczne symptomata, jako to: burczenie, ściskanie pod tyżką, *guzik w brzuchu*,— (techniczne wyrażenie wyrostka, pamiątka z czasów cholery!) to zawsze najpewniejszym środkiem na to, jest suta mięsna wieczerza. Śmiem to podawać do publicznej wiadomości, jako nieoszacowany środek w świeżem, zdrowem powietrzu.

Prosięcinie tedy winien byłem moje ocalenie! Ale podobne symptomata, schwytyjące każdego przy wjeździe do Stokliskich wód, nigdy, nawet w czasach najzdrowszych od epidemji, powtarzać się nie przestaną, aż póki nie założą tam traktjeru. Niech Pan Zawiadowca, chcący ciągnąć korzyści z Łazienek, o tém niezapomni. Bo inaczej każdy wyniesie ztamtąd to przekonanie, że w Stokliskach można wyleczyć się ze skroful, ale umrzeć z głodu!

Z całego podłużnego domku, podzielonego na klatki, w których mieszczą się jak mogą i ścielą swoje gniazdzka przylatujące do wód płaszyny, dostała się mnie narożna komnata, z kuchnią (niestety! tak nadaremnie nazwaną!), łóżkiem i trzema stołkami. Rozlokowałem się jak Paulus Emiljus pod Kannami: i mnie jak jemu przychodziła z początku *pieczona rzodkiew* do głowy... wyśpawszy się wybornie w tém leśném zaciszu, obok tyłu wonnych technieniek zaściennych sąsiadeczek, nazajutrz pierwszą moją czynnością było zbież na dół i rzucić się do wanny: w godzinę poczułem siebie lekko i raźnie; pomimo że potniałem i na silny wiatr wystawiony byłem, zgoła nagłego zatrzymania transpiracji nie doznałem. Jeżeli już człowiek zmuszony jest koniecznie *leczyć się*, to chyba tylko *mineralnemi wodami*, jako jedynym skutecznym środkiem *naturalnym*. Zauważcie, że gatunki wód, które tuż pod bokiem z ziemi wytryskają, są najskuteczniejszymi: zadowolony w tej okolicy, i właściciel dziedzicznego majątku w odległości mili od źródeł, po kilkorazowém nawet użyciu, doznałem dobrego skutku wanien Stokliskich.

Gdy tak tedy wesóło skapawszy się w chłodnej *rodzinnéj* wodzie, biegnę do Administratora na herbatę (bo jak powiedziałem, tu ani słyhać o Samowarze!) aż oto na zawrócie jedzie Pan czterma końmi, w krytej ressorowej bryczce: furman dobywa z zapazucha trąbkę, i chociaż po tych drogach ani poczta nie chodzi, ani jest zwyczaj trąbienia;— trąbi na całe gardło, aby siaki taki chudy pachół z drogi ustępował: zwróciłem się na stronę, i pomyślałem sobie pokornie: «Co też to za wielki Pan być musi, co tak dokazuje po drogach starościńskich, w dziedzinie niegdyś mojego prapradziada Gedymina, którego ja *mam honor być* dziesiątą wodą na kisielu w prostéj linii po kądzieli...» A jak mię Pan Administrator potem objaśnił, to był ni mniej, ni więcej, tylko rodzoniuteński brat jego, który dla większej powagi, takiej krotochwili sobie w podróży pozwalał.

Żupy Stokliskie składają trzy źródła:

Pierwsze: *żelaznéj wody*, mało używane i opuszczone; pośród łąki jest zrab z dylów dębowych na parę sążni długi i tyleż szeroki: samo źródło gęstem zielskiem i trawą, *wodną korą*, jak lud nazywa, zarosła: powierzchnia wody koloru sinawego.

Drugie: *wody stonawéj*; tę do picia używają, ma zapach dość silny, jakoby od rozpuszczonych cząstek fosforycznych.

Trzecie: od niepamiętnych czasów znane, ma zapach silny i smak przykry, niby od jajgniłych: skutek wielkiej ilości rozpu-

szczonych cząstek siarczanych: z tego źródła woda sprowadza się do łaźniek dla kąpieli. Zwykle biorą po dwie wanny na dzień, rano i w wieczor, przepis każe zostawić po pół godziny w wodzie, której temperatura 29 stopni: zaczynają też od 26 do 35.

Łazienki, jest to drewniany dom, jeszcze przez *P. Sagajłę* niegdyś Administratora Stokliszek pobudowany, blisko największego źródła u stóp wzgórza. Dóm ten zbudowany na *przestrzał*, ma po obu stronach po trzy pokoiki: z jednej dla kobiet, z drugiej dla mężczyzn. Pierwszy pokoiik ochrania od ciągu, przy odemknięciu drzwi; drugi, w którym rozbierają się pacjenci; ostatni dla wanny przeznaczony: są trzy wanny, dwie drewniane w podłodze umieszczone, a trzecia blaszana na podłodze: tamtych cena po 1 zł., a tych po 40 groszy. Przy Łazienkach, od strony łąk, murowane horno pod daszkiem, w którym mieści się kocioł z gotującą się wiecznie źródlaną wodą; do horna prowadzą wodę dwie ryny z głównego źródła; w równych odległościach po obu stronach horna, są po dwa wielkie czopy, czyli w języku stróża miejscowego *czany*, jeden z zimną wodą, drugi z ciepłą; od horna idą bowiem dwie trąby blaszane, które wpuszczają gorącą parę do czanu, i takim sposobem woda nader prędko się ogrzewa: z tych czanów trąby znowu prowadzą wodę do wanien; przez trąby para z szumem i klekotem wpada do czanów.

Główne źródło znajduje się po prawej stronie od Łazienek, wycembrowane porządnym zrąbem i przykryte słomianym daszkiem.

Teraźniejszy dzierżawca Dóbr Skarbowych Starostwa Stoklińskiego, pobudował na wysokości górującej nad Łazienkami i całą okolicą, dom drewniany, długi, bez stylu, (chyba to może styl żydowski?) dla przybywających gości, oraz dwa po bokach, które dotąd nie są skończone. W ogólności mieszkań było bardzo mało tego lata, w stosunku przybywających gości. W tym domu są dwa *przestrzały*, niby korytarze w poprzek domu. Każdy z pacjentów ma pokoiik o jedném oknie, z koniecznym sprzętem, jako: dwa stoliki, trzy krzesła, dwa łóżka (ostróżność zbyteczna w cnotliwym kraju!) i kuchnię (słodkie imię, napróżno wezwane!) Przybywający z rodziną musi zajmować dwa numera: kwatery te są zupełnie *brzuchomowne (ventriloque)*, bo oddzielone tylko drzwiami nie szczelnie przypadającemi; zład kawalero wie znajdują się w nader ciasnej dystancji od płci pięknej: słyhać szelest sukni, każde szurechnięcie trzewiczka, melodyjny głoszek dziewiczego gardziołka, co sympatyczne czucia_wznieca, jak w oficerze w koszarach zamkniętym, lub świeckim człowieku mieszkającym w klasztorze.

Z domu gościnnego piękny i rozległy widok na pola, łąki i zarośle ku rzece *Wierzchni* rozciągające się, które przerywa kręty strumień *Obel*, czyli *Obetka* *); dalej za rzeką miasteczko Stokliszki z murowanym Kościołem. Od ganku, po spadzistości prowadzi do Łazienek ścieżka deskami wystana, z poręczami dla łatwiejszego spuszczenia się w czasie ślizgawicy od deszczu. Dookoła domu miejsce suche i zarosłe pysznymi dębami, pod którymi, nader czułe odbywają się przechadzki. Dąbrowa ta nader czysta, i jest podanie, że była kiedyś zwierzyńcem Królewskim, kiedy tu odbywały się łowy.

Do ogółu zabudowań dodać należy małą *altankę*, pośrodku dziedzińca stojącą; było to najpierwsze mieszkanie osób przybywających z samego początku do wód: altanka ta, wyklejona bibułą, przed ośmiu laty mieściła w sobie dwie wanny: w niej odzyskał zdrowie najpierwszy chory, niejaki młody P. Żyliński i schorzały mocno paraliżowemi cierpieniami P. Romer. Dziś cała postrzelana kulami, i zamazana celami, tak dobrze świadczy o ruchliwej czynności i razem umysłowym bezczynnie konwalescentów.

Tuż za domem stajnie i wozownie.

Prócz wspomnień w pisarzach, jak w *Rzeczyńskim*, którego cytuje Kraszewski w swojej Litwie, «że sol była wyparowywana w Trockim, w Stokliszkach, ale w XVIII w. już zaniedbano tego,»— znajdujemy dowody starożytności w samej miejscowości: znaleziono tu dawne bardzo fundamenta, z cegły twardej jak kamień i dziwnego kształtu, bo fugowanej w rówki: znaleziono tu dwie żelazne ostrogi i miedziane pieniążki z wizerunkiem i napisem Króla *Władysława*, którego?— niewiadomo; wiadomo tylko, że pod fundamenta przy zakładaniu domów sypano drobne monetki. Pieniążki te zabrał niejaki P. *Słomski*.

Jest kilka podań, wskazujących bliskość *żup solnych*; samo nazwanie tych miejsc *żupami*, oddawna utrzymujące się, dowodzi, że tu kiedyś za czasów polskich sól wywarzano. Podanie mówi, że jakiś starzec mieszkający dawno już temu, w tym miejscu, przynosił z lasu sól na swój użytek, ale nikomu miejsca nie odkrył, i tak umarł. Mówią, że o dwie wiorsty od terazniejszych łązienek jest *Góra*, w której sol jakoby ma się znajdować: poszuki-

*) Dziwne podobieństwo nazw starodawnych, niewielkich a krętych rzeczajów: tak na Białejrusi, w Połockim widziałem kilka *Obolów*, *Obetek*. Nad jednym z owych białoruskich *Obolów*, wiele moich westchnień uleciało, a nawet Drjady lesne białoruskie łzy moje widziały!...

wań nikt dotąd nie czynił: sama słoność wody niektórych źródeł, wskazuje na bliskie pokłady soli.

Nie ulega wątpliwości, że Litwa od najdawniejszych czasów, miała swoje wywarzalnie soli. Sol *warzonka* była dość pospolitą, i nie na jednym tylko wyrabiała się miejscu. Świadczą o tém liczne nazwania uroczysk do dziś dnia zachowanych: np. *Soleczniki*, *Solkieniki*, albo *Druskieniki* (tęj nazwy jest do czterech wsiów), *Draskuny* i t. d. z języka litewskiego. Już samo nazwanie *druskas* (sól) poufate w narodzie, dowodzi, że to był produkt miejscowy.

Z historycznych dokumentów świadczy o warzelniach przywilej Stefana Batorego, dany nadwornemu Królewskiemu lekarzowi *Mikołajowi Bucelli na wywarzanie soli kuchennój w warzelnicach litewskich*, co było z pożytkiem niemałym dla mieszkańców tego kraju.

Co do warzelnii Druskienickiej, P. Teodor Narbut znalazł w jakimś testamencie z r. 1745 świadectwo o zamordowaniu niejakiego *Micewicza*, który jadąc do *Przewałki* (pod Druskienikami) *dla zakupienia znacznej ilości soli warzonki*, zabity został przez zbójców.

Ale najlepszym dowodem o bytności warzelnii soli kuchennój w Druskienikach, jest dotąd exystujące w wioszczynie tamecznej nazwisko chłopka *Suruutis*. Jestto najdawniejsza rodzina, która w nazwisku swem przekazała historyczną powieść o *warzelni*; *surus* bowiem po litewsku znaczy: słony, a *utis* albo *wutis*,—przełożony,— co wszystko znaczy: *Żupnik*. Więc były tam źródła *słone*, oddzielne od *gorzkich* mineralnych, ale z czasem, z odmianą koryta Niemna i ślad ich zaginał.

Znany u nas protektor *zwierzęcego magnetyzmu P. Ign. Em. Lachnicki* przedstawił w r. 1826 rządowi plan poszukiwania źródeł słonych na powierzchni, i *soli kamiennój* wewnątrz ziemi. Śmierć przerwała zamiary Lachnickiego, a z nim i cała wiadomość o jego planie, który wszakże musiał mieć pewne podstawy.

Wszystkich źródeł na całej przestrzeni źródlanej, jest do dziesięciu, lecz trzy wyżej wyliczone są znajomsze: tradycja mówi, że lud się tam w czasie powietrza zgromadzał: i rzeczywiście zauważano, że gdzie są mineralne wody, tam rzadko epidemja grassuje. Lud zaś mówiąc: *od powietrza*, oznacza tém najdawniejszą epokę, najdawniejszą datę, jaką tylko wyobraźnia jego wystawić sobie jest w stanie.

U gminu okolicznego jest jeszcze następna tradycja:

Ze wsi sąsiedniej *Giejlakemie*, chłopek niósł czarną kurę na

sprzedaż do miasteczka, aby miał za co soli kupić: spotyka go w lesie jakiś nieznajomy:

— Co niesiesz? pyta.— Kurę.— Dokąd? Na sprzedaż, soli w domu nie ma.

— Daj mi kurę i zaczekaj.— Przyniósł ogromny wór soli, a kurę wzięwszy, ostrzegł, aby szedł nie oglądając się i żonie nic nie mówił o tém co zaszło. W domu, wór postawiwszy w kącie, żadną miarą potem z miejsca podźwignąć nie mógł. A żona nuż dopytywać,— zwyczajnie ciekawa białogłowa;— tak i siak, chłopek trzymał długo język za zębami; ale żonka podpoila *krupnikiem*, że wyznał. Z czasem wór z solą wypróżnił się i chłopek rusza znowu z kurą do miasteczka. A tu zachodzi drogę nieznajomy z lasu:— A co, soli chcesz, a na co żonie powiedziałaś?— I bez dalszej ceremonji, kurę wziął, a wytuzawszy chłopka za czub, z kwitkiem puścił do domu.

Główną zasadą tych wód jest sól kuchenna; we wszystkich gatunkach znajduje się *gaz wodorodny-siarczysty*, a w jednym, prócz tego, żelazo,— przeto w niektórych chorobach mogą być skuteczniejsze od Druskienickich, bo tam tylko jeden gatunek wody. Te choroby, które nie mogą być uleczone w Druskienikach, mogą się uleczyć w Stokliskach, i nawzajem: porównać je można z *Buskiemi* wodami; a przylém jakie skrócenie drogi? do Buska około sta mil, a do Stokliszek zaledwo ośm! Służą one na skrofuły, wysypki, reumatyzmy, paraliże i t. d., zdaniem uczonego Professora Adamowicza, który nad niemi czynił postrzeżenia.

Z dzieł dawniejszych, wspominających o *Żupach Stokliskich*, jest Łabęckiego: o *Górnictwie w Polsce*, i Księdza Professora Jundziłła rozprawa: o *źródłach stonych i soli Stokliskiej*, w której mówi: o *możliwości wywarzania soli na Litwie i w szczególności soli Stokliskiej*, 1792, Wilno. W r. 1792 Professor Chemji P. Sartorius spólnie z Dziekanem Wydziału Fizycznego Księdzem Mickiewiczem jeździli z Uniwersytetu Wileńskiego do źródeł Stokliskich. W r. 1846 Aptekarz Woelck i P. Kuszewicz przedstawili rozbiór ehemiczny tych wód, na posiedzeniu. Lekarsk. Towarz. w Wilnie: Rozprawka P. Kuszewicza będzie drukowaną w *zbiorze postrzeżeń* P. Professora Adamowicza, który pierwszy obudził myśl rozszerzenia użytku tych wód; skutkiem tego Dr Rynk, były Inspektor Lekarskiego zarządu w Wilnie, zrobiwszy opisanie wód Stokliskich, posłał je do Departamentu Lekarskiego w Peterzburgu, załączając prośbę o pomoc rządową, względem lepszego onych urządzenia.

Ale dość już tej uczoności, która nam tu tak potrzebna, jak piąte koło do wozu, nieprawdaż szanowny czytelniku? Oto lepiej udajmy się do *Kroniki plotek*, która jak przy każdych *wodach*, tak i tu, musi coś ciekawszego nam zakomunikować.

Z dość licznego towarzystwa, które się tu przez całe lato zbierało, była między innymi, na samym początku pory wód P. K*, która tam zasłynęła ze szczodroblewości, gościnności, dowcipu i umiejętności w ożywianiu wspólnych zabaw: jej mieszkanie było wspólnym miejscem *rendez-vous* wszystkich znajomych i nieznanym do wód przybyłych: ale co ważniejsza w tej miejscowości, to to, że wszyscy kawalerowie jadący do wód bez kucharza i samowara, znajdowali u niej codzienne przyjęcie, jak za rodzicielskim stolikiem. Wszystko się u niej kupiło, ona nadawała ruch całej kompanji gości, wszyscy ją lubili i dotąd odchwalić się nie mogą. Słucham o niej, myśląc o tych wszystkich pięknych rzeczach, jak gdyby mi kto bajkę o wszechwładnej Królownie mówił. Cześć osobie, która tak rozumnie umie pojąć życie i znaczenie darów fortuny. Żałowałem mocno, że jej nie poznałem, bo ona jest typem rzadkim u nas. Odwagę posunęła aż do śmiałości zapukania do drzwi pewnego Mizantropa w sąsiedztwie, człowieka wysoko ukształconego, który spędził młodość wśród wielkiego świata, a potem z powodów nie dla wszystkich pojętych, które ja jednak wysoko poważam, zamknął się przed ludźmi. Oryginalnej tej kobiecie udało się nasycić widokiem człowieka niepospolitego, na co by się może żadna z dam tej okolicy nie odważyła. Chodzi wieść o naszym filantropo-Mizantropie, że on wie o wszystkim, co się dzieje na świecie, a nawet u sąsiada i sąsiadki lepiej— niż jego ochmistrzyń, i chociaż z nikim się nie widuje... Odgadłszy kilkakrotnie myśli swego Ekonoma, tak trafnie, iż ów sądził, że chyba był w duszy jego, pozyskał sobie sławę człowieka mającego związek z *duchem*. Zapowiadam wcześniej, że kiedy się mi zdarzy na rok przyszyły być w Stokliszkach, to niezaniebam odwiedzić *Ustronia*, w którym mieszka mąż, którego uczucia, naukę i charakter wysoko poważam.

Do tych dwóch typów oryginalnych, napiętnowanych pod pewnym względem, cechą wyższości umysłowej, dodajcie trzeci, może oryginalniejszy, napiętnowany cechą śmieszności. Kobięcina wesoła, amatorka zabaw, ale w całym znaczeniu parodja Pani K*, której nawet lokal zajmowała, którą ja tu z innymi będę nazywał *Ciocią Witusną*, chociaż ma najśliczniejsze w świecie koligacje po mieczu i po kądzieli, z tą koczową i karetową arystokracją, której na nieszczęście nikt nigdy u nas nazwiska nie sty-

szał. Jest to uosobiona próżność w dobrym bycie!.. Robi też ruch na wodach: o niej wszyscy mówią, wszyscy świeżo przybyli odwiedzić ją muszą: nawet złożyła jej wizytę, (może dla *wzorków*, jak się dorozumiewają), pewna ważna Dama z blizkiego sąsiedztwa, mająca ostry język i też wielkie nagabanie do arystokracckiego tonu, i której *dżokėj* już w kamaszach chodzi....

Prócz młodzieży, było jeszcze kilka miłych, potulnych kotecek, rumianych jak wielkanocne jajeczka, które wszakże jako istotki mało umysłowie wykształcone, żadnego nie czyniły wrażenia, pomimo ich szesnastu latek; aby się dziewczyna podobała rozsądnemu mężczyźnie, który ma poważne zamiary, powinna być więcej rozsądną, niż piękną.

Ważnem byłoby dla zdrowia mieszkańców całej prowincji, i dla interesu materialnego miejscowości, podtrzymanie wód Stokliskich, ale potrzeba znacznego kapitału, na pierwiastkowe zaprowadzenie porządków, aby się mogli goście zjeżdżać, a któż to weźmie na siebie?..

Po kilkuniedniowym pobycie, puściłem się dalej po sławnych naszych drogach, których sława aż w przysłowie weszła, i po drodze odwiedziłem dóm rodzinny, ten mały kawałek ziemi, który w ogromnym podziale globu, dostał się na naszą dolę... do tego domku wiejskiego przywizały się najtkliwsze wspomnienia z lat mojej młodości: tu, oto z tego okna, siedząc już w powozie, widziałem ostatni raz twarz mojej Matki, która mię błogosławiła na daleką podróż... z nią znikła dusza tego domku, i dziś same tylko bolesne przypomnienia... przez te oto wrota wychodził żałobny kondukt,— ten oto stary sługa oddał ostatnią posługę zamogilną... na co okiem rzucę, dotkliwie przypomina się mi ostatnia chwila, której świadkiem nie byłem... bo byłem o wiorst kilka ty sięcy...

W domku wszystko pusto, głucho, smutno. Przy tym oto oknie, stało JEJ łóżko, na którym pozbawiona artrytyzmem władzy w nodze, spędziła kilka lat bez ruchu... ten wytarty znak na ścianie— to od JEJ ręki, którą wspierała stroskaną głowę swoją...

I ten Chrystus na Krzyżu otoczony różami, własną jej ręką i małych siostrzyczek moich, robionemi; te obrazki na ścianach, małe arcy-dziełka lat moich dziecinnych, tryumfy przed stryjaskami i wujaszkami, te ptaki piórkami wyklejane, z domalowanemi dziobkami i nóżkami, na kamuszkach przy strumieniach, jakże słodką przypomniały idyllę młodości, po burzliwem i roztargnionem życiu na wielkim świecie!...

W ogródku ani śladu tych róż, bzów i jażminów, ręką mej Matki sadzonych, które kiedyś zastaniały od skwaru, okna mojej małej pracowni... zrównane z ziemią grządki truskawek, i wymarżyły drzewka tak niegdyś troskliwie pielęgnowane... Za parkanem opuszczone *Źródło Bociana*, któregośmy, jako sąsiada dobrego poważali.

W domku, kędy cząstka mej duszy została, gmerzył się jakiś dzierżawca, obcy mi duchem człowiek!..

Przyszła mi na myśl smutna historia *Skowronka*, który chciał uciec od niedoli!... Poszedłem więc do ogródka, w którym dopiero dla mnie skupił się wszystek duch mojej Matki, i z tęsknotą w duszy, powtórzyłem elegję Poety, który już dawno przestał być poetą:

Czemuż siedząc śród kwiatów pod temi drzewami,
 Raz się zalewam łzami,
 Drugi raz wzdycham; znowu czoło zasmucone
 W różną obracam stronę?
 Czyliż w tej okolicy, gdzieś rósł, gdzieś chowany,
 Jakie widzę przemiany?
 Taż sama wieś, ten domek, co był moim światem,
 Łąka barwiona kwiatem.
 Tenże gaj, sady, drzewa, plenne kłosem niwy,
 Gdzieś ja nieuk szczęśliwy,
 Młode i niemysłane przepędzając chwile,
 Złociste łowił motyle.
 Tu garbaty ślimaczek spotkany śród drogi,
 Proszone wytykał rogi;
 Tu nieobaczny chrzobąszcz, otrząśniony z brzozy,
 Dźwigał młynki i wozy;
 Chyba mię ztąd spędziła, bawiącego z wdziękiem,
 Pszczółka straszliwym brzękiem.
 Tu w strumieniu, co zwolna toczy nurty małe,
 Niebo widziałem całe.
 Jakże głębokość jego zdała się bez granic!
 Nie wstąpię nóżką za nic,
 Aż kijkiem dna zmiarkuję; lecz napróżno mierzę,
 Oczóm złudzoną wierzę.
 A tu słowiczek przerwał moje zadumienie,
 Przez wdzięczne, słodkie pienie...
 Gdzież ten wiek, gdzie samotny, a szczęśliwy byłem?
 Niestety!... już przeżyłem!...

Nie masz mi już rodzeństwa i Matki kochanej,

Którym w chwili porannej,

Jagodki i kwiateczki małą rwałem ręką,

Uśmiech był mi podzięką...

Dziś ile razy okiem na wdzięki wsi rzucę,

Tyle razy się smucę.

Tyle żalonych wspomnień w sercu mem doznaję,

Wszystkiego tu nie staje!...

Po nocy dobiełem się do *Lelanc*, domu, który na równi z rodzicielskim cenilem, póki smutne doświadczenie życia, nie nauczyło mię widzieć *odwrotną* stronę stosunków ludzkich... dziś inne czasy, inne dzieje!... iluzje— odlatują od nas, jak złote motyle, aż do ostatniej.

W *Oławie* *)— starożytnej dziedzinie rodu Książąt Kiejstut-Gedyminów herbu *Pogoń Litewska*,— (którą dziś zamieszkuje gałąź téj rodziny, co jest mojem Wujowstwem), gdzie spoczywają popioły przodków naszych w Grobach familijnych, zaledwo mogłem dobić się klucza w Plebanji: ksiądz spoczywał snem błogim, choć to była godzina południowa; ani zakrystjana, ani organisty nie było; stary, ułomny dzwonnik, wydostawszy klucz zardzawiały, wązką ścieżką przez konopie i warzywo, poprowadził mię do Kościołka. Z prawej strony pod amboną, jest sklep, w którym spoczywa Serce, któremu jedynie wierzyłem na ziemi, i które mię nigdy nie zawiodło... Błogosławieństwo Jęj jak wpływ słońca wiosennego, jak dobroczynny wpływ wiary, i dotąd— po za grobem, dobroczynną swą opieką mię ochrania...

Po zbutwiałych wschodach, spuściłem się do sklepu: ostatnie stopnie zapadłe, i zgniłe drzewo zmieszało się z wilgotnym piaskiem grobowca; stopy moje pogrążyły się w miękką masę, ujrzałem się przy młtém światełku z góry, otoczony trumnami dookoła; po białym krzyżu, który położył krędą brat mój Andrzej na czarnej trumnie, poznaję.... MATKO! syn twój był tutaj znowu....

Nazajutrz, ku wieczorowi, pomimo ciężkich piasków, pędem błyskawicy wjechałem do Druskienik, w sąsiedztwie których mam kilka domów pokrewnych z linii matczynej i nie zatrzymałem się, aż przed gankiem pięknego domu Doktora *Wolfganga*.

Uprzejmy gospodarz wyznaczył mi kwaterę w Oranżerji. Cóż mogło być poetyczniejszego? Po kilkodniowej niewygodnej podró-

*) *Oła*, po litewsku znaczy dół, miejsce zapadłe, może dla tego, że Oława leży w nizinie, tuż obok jeziora.

ży i karczemych popasach wydała mi się rajem! Dość było stąpić krok przez szklane drzwi mego pokoiku, aby się ujrzeć śród szklistych ścian kwiatarni, ustawionych dokoła rozkwitłemi wazonami. Tak żyłem około tygodnia, prawie nikogo nie znając i z nikim w stosunki nie wchodząc, a zatem w najpożądanym osamotnieniu, robiąc tylko poranne wycieczki do źródła, do łaźni, — a wieczorne po nad parów *Rotniczanki*, lub na piaszyste wybrzeża Niemna. Wszyscy już prawie byli rozjechali się do domów, pozostałych kilka osób dokonywało kuracji.

W takim osamotnieniu badającemu umysłowi, otoczonemu naturą i kwiatami, przedstawia się tysiąc ciekawych pytań! Blask oto tych kwiatów, co w Augustcie nabył takiego wyteżenia, czyż nie jest toż samo, co rumieniec na pulchnych jagodach dziewicy? I jeżeli jest jaki stosunek między człowiekiem i rośliną, to czyż nie okazuje się on w tém, że jak kwiat, tak dziewica otrzymują swoją siłę i piękność od wpływu letniego słońca w powietrzu?.. Nie unikałem woni kwiatowej, pomimo pospolitego mniemania, iż szkodzi na zdrowie śpiącego. Kwas węglowy, mieszający się w zapachu kwiatów, jest wprawdzie trucizną, ale działanie jego zmniejsza się i prawie niknie przy rozproszeniu się w powietrzu, w którym, w stanie normalnym, stanowi bardzo małą cząstkę i rozkłada się za pomocą liści drzew i roślin, które go absorbują i pochłaniają, karmiąc się cząstkami węglorodu, a rozwijając w sobie kwasoród, czém oczyszczają otaczające powietrze. Przeznaczeniem bowiem roślinnego państwa jest utrzymanie stałej równowagi w składowych pierwiastkach atmosfery. Od patriarchy lasów, wspaniałego Dębu, aż do polnej trawki ubogiej, wszystkie drzewa, wszystkie rośliny, mają swoje przeznaczenie, spełniają swoją misję, naznaczoną im przez Przyrodę, czyli Opatrzność.

Zamknawszy roślinę do ciemnego pokoju, w kilka dni postrzeżemy, że pomimo dostatecznej ilości ciepła, powietrza i wody, znacznie słabnąć, liście jej zaczną blednąć. Wystawiwszy ją znowu na światło, w kilka godzin odzyskuje swój blask, zieloność i świeżość kolorów. Oddawna wiadomy jest wpływ słonecznego światła na rośliny, ale nie są poznane jeszcze, wszystkie tego wpływu, własności. Są np. liście, które mają smak kwaśny z rana, tracą go zupełnie w południe, a nabierają gorzkości wieczorem. Niektóre kwiaty bywają białe albo błękitne, w stosunku ilości padających na nie promieni światła. Są też owoce, które mają smak kwaśniejszy z rana niż ku wieczorowi. Są kwiaty, które rozwijają swe kielichy ku promieniom światła, są inne, przeciwnie, — które zwijają je w siebie. Bok brzoskwini wystawiony na słońce,

rumieni się i ciemnieje, gdy przeciwna strona pozostaje zieloną albo blado-żółtą: strona rumiana ma smak, bo światło przyczyniło się do rozwicia w niej większej ilości cukrowego pierwiastku: oto przyczyna słodkości, owoców stron południowych, tak wyraźnie wyższej od naszych. Są wszakże rośliny, które tracą smak, będąc w czasie roślinienia wystawione na zbytne światło. Łodygę np. Salery, aby zachowała białość i aromat, należy przykrywać ziemią. Część salery zostająca w ziemi, jest gorzka i niestrawna.

Tę dziwną analogję pod względem światła, zauważano pomiędzy roślinnym, a zwierzęcym Królestwem. Góral, silnego składu i rumianej twarzy, zamknięty w więzieniu, zblednie i ulegnie chorobliwym symptomatům, pomimo najobfitszego pokarmu; i przeciwnie,— chorobliwa bledość górnika w kopalni, zginie zupełnie, przy częstszem wystawianiu się na światło. To zbliżenie sięga dalej jeszcze: jedne i teź same truciznowe pierwiastki pozbawiają życia człowieka i roślinę. Rozwiódłszy w wodzie biały arsenik, sulimę, kuperwas, kwas pruski, albo opium, i polawszy tą wodą korzenie rośliny,— liść jej zwędnie i sama zamrze. Doświadczenie pokazało, że krzew *Bzu*, u nas pospolicie *Lilakiem* zwany, zupełnie usechł, kiedy zaciąwszy gałąź, w bliźnę włożono kawałek suchego arszenniku. Kwas pruski w jeden dzień zabił roślinę *bobową*; winny spirytus zabił takąż roślinę w przeciągu kilku godzin. Trucizna przenika w organa roślinne, służące do cyrkulacji soków pożywnych. Dowód tego w doświadczeniu czynionem z kuperwasem: rozerznawszy czystym nożem gałązkę zatrutej przezeń rośliny, ujrzymy na błyszczącej powierzchni stali, odbicie się niedokwasu miedzi.

Krażenie soków w roślinach dotąd niezupełnie rozjaśnione przez naukę, a nawet same soki dotąd nie wszystkie rozłożone przez Chemję: pochodzi to ztąd, że trudno je wydobyć z roślin, w ich pierwiastkowym, normalnym stanie. Znaczna ich część wyparowyywa czyli ulatnia się przez liście, przeszedłszy przez pień i gałęzie. Baczne doświadczenia odkryły, że Wielki Słonecznik, takim sposobem utracił więć funta ciężkości przez dobę: toż samo pokazał Kaczan Kapusty. W dzień parny rośliny więdną i łodygi słabną, gdyż ilość wody z liści ulatniającej się przewyższa ilość wody wciąganej przez korzenie; dodawszy wilgoci, roślina zaraz odzyska życie. Korzonki,— ciągnące z ziemi żywotną wodę, zamieniającą się w soki rośliny, za pomocą tajemnego dla nas processu,— są opatrzone niemi czyli włóknami tak delikatnemi, że je nie tylko gołym okiem, ale często za pomocą mikroskopu dojrzeć niepodobna. Można przypuścić, że w gorącą i suchą po-

godę, działanie ich zupełnie ustaje; ale ziemia jest złym przewodnikiem ciepła, i susza bywa tylko na jej powierzchni. Roskopawszy na kilka cali piaszczystą i suchą powierzchnię, zawsze pod nią znajdzie się wilgoć. Toż samo i atmosfera, jakkolwiek będzie suchą, nigdy zupełnie nie jest pozbawioną wilgoci pary. Podnoszące się z jednego miejsca mgły czyli para ziemi, skupiają się na drugim w kształcie obłoków, które unosząc się pomiędzy niebem i ziemią, tamują zbyt bezpośrednie udzielanie się słonecznego ciepła. Kiedy te obłoki zamieniają się w deszcz kroplisty i dopełniają swego dobroczynnego działania, z orzeźwionych wtedy roślin, ulatniają się upajające wonią Aromata.

Dotąd nie objaśniono dokładnie powstawania obłoków i padania deszczu: Meteorologija jednakże wniosła, że deszcz składa się nie z pełnych kropel, ale z tysiąca drobnutkich wodnych bąbelków, pustych wewnątrz, nakształt mydlanych baniek, które razem wzięte, stanowią parę wodną: inaczej chmury nie mogłyby się utrzymać nad naszymi głowami. Kropla wody, mająca w djametrze tysięczną część cala, uległaby podług praw ciężenia, bystrości 9 albo 10 stop na sekundę: tymczasem widzimy codziennie, że obłoki podnosząc się z morza i jezior, dążą ku szczytóm gór.

Ale zanadto się rozciągnąłem w sprawozdaniu z mojej tygodniowej rozmowy z naturą: mnie ona nigdy nie nudzi, i daje najbezpieczniejszy uchroniek od przewrotności podłych ludzi: ale nie każdy czytelnik mojej bazgraniay, zgodzi się na dziwaczny gust mój: i w rzeczy samej, przy całej potędze swego uroku, natura nie wystarcza dla człowieka: człowiek przedewszystkiem jest *zwierze towarzyskie*, (*est animal sociabile*). Zagłębiając się w najbardziej malownicze zakręty, romantycznego parowu nad Rotniczanką, pod domem *P. Haski*, niewypowiedzianą czułem tęsknotę, widząc przemykające się tu i ówdzie, wśród kwiatów i krzewin, milutkie grupy, zgrabniutkich stworzeń. Tu znowu byłem tak samotny, jak niegdyś, dobrowolny odludek, nad brzegami Newy, wśród szumnego tłumu stołecznego ludu. Ale dziś wspaniała natura, otaczała mię całą swoją uroczystą powagą. Na około pusto i głucho; okienice domów pozamykane, na ulicach nikogo, jak gdyby mór wymiotł miasto: wszyscy się rozjechali: ostatnia pocięcha beczynnych konwalescentów: szleje i uprząż wołyńska, znikły z horyzontu druskienickiego, razem z ową piękną gwiazdką, co spadła do nas z Wołynia...

U źródeł parodja zdrowego towarzystwa: tu schorzała, trzęsąca się kobieta na dwóch wspierająca się kijach; tam mąż jak galareta, opiera się na ramieniu swęj żony: ówdzie wspaniały żyd,

typ wschodniej piękności, śmiałym postępuje krokiem: z tak szlachetnym wejrzeniem i obliczem, jak ów starozakonny, bawiący w tym roku w wodach, nigdy niewidziałem żyda!.. Tu i ówdzie przesuwają się żydówki, których było tam mnóstwo: wszyscy mają pozor ludzi, którym świat obrzydł; ludzie się ciągną przez piaszczyste place i po krętych drożynach olszyny źródłowej; każdy dobywa z kieszeni szklankę, uczepia na kijku i zstąpiwszy po schodkach zanurza do źródła, przy którym zwykle stoi ku pomocy, ochędożnie odziana kobieta.

Komuż nieznajome te wody albo opisanie tego, że tak nazwę, *Mineralnego miasteczka*, bo do żadnej innej kategorii znanych w kraju naszym miasteczek policzyć go nie można: nie jest to, ani powiatowe, ani parafialne (parafja w Rotnicy), ani *zbutwiałe* czyli— jak w nowo-tworzącym się *urzędowym* języku zowią je,— *zaształne*, do których należą liczne miesciny Białoruskie przez żydów osiadłe. To osobliwszego rodzaju miasteczko, powstałe przed dziesięcią laty, obok kilku chałup wieśniaczych, dziś przedstawia wcale ładny widok porządnie zabudowanego i czysto utrzymanego miasteczka: sądziłbyś, że jest własnością jakiegoś prywatnego Magnata. Prywatne spółubieganie się pobudowało domy, których już jest aż nadto, bo wiele pustych, bez drzwi i okien stoi,— a korzyść ogólna zrobiła je centrem zgromadzenia się publiczności w letniej porze roku.

Cała ta miescina zajmuje piaszczysty kawał ziemi, tworzący prawie kąt rozwarty, i dzielący się na płaszczyznę piaszczystą i górę; od północy oddzielony głębokim wąwozem,— na dnie którego szumi, wre i kipi bystra Rotniczanka, tuż zaraz uchodząca do Niemna. Ten parów jest *najromantyczniejszą* stroną miasteczka: malowniczość położenia, wszystkie uczucia, wszystkie westchnienia tutaj skupiła: jeżeli półowa westchnień unosi się w sali resursowej, to pewno druga półowa, i to samych najsentymentalniejszych, tutaj ułuluje i rozprasza się... jak mgła w powietrzu... Każdego poranku, o godzinie 11 z rana dzwonek kościelny zwołuje gości na Mszę: nabożeństwo odbywa się przy muzyce; towarzysztwo zwykle modli się nader pobożnie, jak Lud na Litwie w ogólności modlić się umie: zawsze wychodziłem z kościoła przenikniony czcią dla obrzędu i modlących się.

Ostatki *zdrowych pacjentów* zebrały się do Kościoła, w ostatnią niedzielę, na N. P. *Zielną*. Szczęśliwy los pomieścił mię po prawej stronie ławek; obok mnie znalazła się błękitno-oka blondyna z nadzwyczaj skromnym łożeniem; dziewczica niewinność,

łagodność, anielska dobroć, malowały się w wejrzeniu, w całym układzie, we wszystkich poruszeniach tego Serafa; obwianą była mdłej, niebijającej barwy, gazami; w rękę trzymała dużą księgę, w błękitny aksamit oprawną, z odciskiem złotego krzyża na wierzchu. Księga ta była rękopisem: mógł to być zbiór nabożnych modlitw, na pamiątkę od osób życzliwych temu aniołowi wpisanych; modlitwa jój była bez wymusu, bez wysilenia; bez tych westchnień i ruchania potężnego wargami, któremi niektóre osoby brak ducha i uczucia starają się zastąpić; widać było, że poufna rozmowa z BOGIEM nic ją nie kosztowała,— i— że nie miała za co bardzo przeproszać Pana BOGA. Czy stała, czy usiadła, czy ukłękła,— dziwny wdzięk jój towarzyszył. Przewaga strony duchownej jasno odbijała się na jój rysach i całej postaci; widać było, że daleka od wyższych zdolności, które tak często wleką kobietę na niewłaściwą dla niej drogę,— posiadała przymioty, które zapowiadały dobrą córkę, żonę, matkę. W niej było to, co najwięcej zbliża dziewicę do bóstwa, na obraz i podobieństwo którego stworzona,— było to wszystko, co może uczynić z kobiety Królowę wiejskiego zakątka! Pobożne wzniesienie ducha, muzyka choru, piękność nieznamomej, zlewając się w wyobraźni mojej z pięknym wizerunkiem Matki Boskiej i białej Jój Lilji u Ołtarza, tworzyły nie ziemski ideał unoszący się przed oczami ducha mego....

W Kościele było kilku *Don-Żuanów*, ale *druskienickich*; mieli piękne, cieniste brodki i lakierowane bóty; widać, że na powierzchowność ich miała wpływ Warszawa: z pierwszego rzutu oka odróżnić można *faschion* Warszawski od Peterzburskiego. Patrząc na druskienickich *Don-Żuanów*, przyszło mi na myśl, jak niewłaściwie to imię marnotrawi się po białym świecie: u nas np. w Wilnie pospolicie nazywają tem mianem człowieka obrosłego szérokiemi bokiembrodami, z płaską fizjonomją, co prześwistawszy młodość i majątek, całe swe życie strawił na podbijaniu serduszek kobiecych, szczególnie mężatek, a pod starość zredukował się do wykwintnej manjery i podszył się pod *jaki taki* tytuł dobroczynnego zakładu... W ogólności mają go za *Lowelasa* i powszechnego zwodziciela kobiet; gdy tymczasem rzeczywisty *Don-Żuan* jest wysokim typem starożytnych Legend. *Don-Żuan* nie za sedukcją, lecz za niewiarę idzie do piekieł. Jego sedukcja jest pragnieniem znalezienia ideału prawdziwej, nieograniczonej miłości. Jedno co Faust. Ten szukał tajemnicy wszystkich nauk, ów tajemnicy pełnej, nieograniczonej miłości. Ani jeden, ani drugi nie znaleźli jój na ziemi: dla tego, że wyższa nauka, i wyższa miłość, chyba tylko w niebiosach! Bez wiary zaś, obu ich poszu-

kiwań koniec jednaki. Oto— dla czego jak jeden tak drugi, nie znaleźli zadowolenia na ziemi!...

Równie rzadko kto u nas pojmuje sławny typ *Cerwantesa*. *Don-Kichot*, czyli po dawnemu *Don-Kiszot*, nie jest ani błaznem, ani śmieszkiem. On tylko naczytał się Arjosta i innych pisarzy, którzy wystawiali wiek poetyczny i duch rycerstwa; jest on poważną i szlachetną istotą, której wzniosłość i szlachetność uczuć, nie passuje z zegoistniałym wiekiem, której przedwczesne porywy zasługują raczej na politowanie, a często nawet— na podziwienie! Nowożytnie *donkiszoctwo* (mówiąc językiem dynastyjnych dzienników) jeszcze niewiadomo, jaki koniec mieć będzie...

A propos. Pewien literat hiszpański, *P. de Kastro*, którego synowca znałem przy Poselstwie Portugalskiem w Peterzburgu, wynalazł zatracony od dawna rękopis *Cerwantesa El Buscapie*, mający być kluczem do jego *Don Kiszota*. Akademia Madrycka uznała rękopis za dzieło *Cerwantesa*, i rząd znaczną nagrodę dla *P. de Kastro* wyznaczył. Może to dzieło pojawi się jak raz w porę, z objaśnieniem i usprawiedliwieniem *donkiszoctwa*...

Byłem na obiedzie u *P. Wolfganga*. Zaraz na początku przypomnieliśmy, jakeśmy w roku przeszłym, w tej samej komnacie, za tym samym stołem, obiadowali z *Kraszewskim*. Oto właśnie na tym samym miejscu, siedział śpiewak *Witoloraudy*, tu gość świeżo z Peterzburga przybyły, tam Doktor, a tu Artysta *Moraczyński*. Teraz rozmowa smutną rozpoczęła się wiadomością o niezdrociu *Kraszewskiego*; biegały zatrważające wieści; jeszcze wówczas nie pewnego nie wiedziano; w ogólności na pochwałę średniej klasy naszego obywatelstwa powiedzieć można, iż szczerzy przyjmuje udział we wszystkiem, co się dotyczy tego zasłużonego pisarza. Głównym przedmiotem wszystkich prawie rozmów ukształceńszych obywateli, w czasie mego przejazdu, była troskliwość o zdrowie *Kraszewskiego*.

Za stołem wspominaliśmy jego interessowną rozmowę, w której złożył wyznanie swęj nieporównanej łatwości pisania powieści. Nic mu one nie kosztują, pisze je w każdej chwili, nawet w gronie przyjaciół, jak *Żanen* (*Jules Janin*) swoje feljetony, kiedy szum i gwar w komnacie: najczęściej jak tylko napisane, tak bez odczytania, rękopisy idą do typografji: inaczej jak wytłumaczyć taką płodność?... Szczerze, po przyjacielsku, od duszy i serca spełniliśmy toast za zdrowie zacnego *P. Józefa*.

Tymczasem, kiedyśmy rozweseleni i obyczajem staropolskim długo siedząc za stołem, przypatrywali się portretowi *Rozboja*, ogromnego psa *P. Wolfganga*, który dla lepszego efektu postawiliśmy na ziemi,

wszedł do pokoju sam oryginał, i spojrzawszy na drugiego *siebie*, czyli *sobowtóra*,— jakby się wyraził czeiciel P. *Bronistawa*,— zaczął szczeakać. Szczerszej pochwały dla Artysty, wyznam, od czasów Zeuksysa, który potrafił zatrzymać stado wróblów na gałęzi, nie słyszałem. Godna uwagi, że w tym razie P. *Moraczyński* powinien się więcej ucieszyć ze szczekania psa, niżeli pochwał niektórych gości, odwiedzających jego pracownię, którzy nader rzadko dają podobne dowody znawstwa...

I któż nie zna, kto choć raz był przejazdem w Druskienikach, poczciwego i rozumnego psa *Rozboja*? On jest codziennym *honorowym* gościem w każdym domu, gdzie tylko się kurzy z komina; we wszystkich dnia chwilach, na każdym miejscu, spotkasz tego *totumfackiego*, jak z wesołym grymasem,— machając włosistą swą kitą, podbiega i wita każdego, z poufałością blisko zażyłego. A trzeba wiedzieć, że pies ten jest arystokrackiego rodu, pochodzi bowiem od owej sławnej rassy psów na górze Ś. Gotharda, które były taką pomocą Zakonnikom Wielkiego Ś. Bernarda w ratowaniu zasypanych śniegiem w górach Alpejskich pielgrzymów *). Widzicie więc, że zwierze to, wysokie swoje pochodzenie, uzacnia swemi posługami dla cierpiącej ludzkości. Spotkałem tego przezacnego polentala psiego rodzaju, pierwszy raz w domu Pułkownika Ż., który go bardzo polubił i szanował za jego *ludzkie* przymioty. Nikomu on krzywdy nie robi, ze wszystkimi obchodzi się najłagodniej, chociaż ma pewną powagę w mia-

*) Wiadomo, że sławny ten zakład, ustanowiony w celu najczystszej ludzkości, zarządzany ze wzorową doskonałością, zakład, który był u wielbieniem Europy w ciągu kilku wieków, w którym młodzi kapłani, wzór wszystkich cnót chrześcijańskich, oddawali się ćwiczeniom heroicznego miłosierdzia, zakład, w którym nakoniec, wędrowiec w przypadkach największego niebezpieczeństwa i zropaczonego położenia znajdował przytułek najgościenniejszy i zawsze gotowy,— zakład ten upadł, przed kilką miesiącami, na Wielkiej Radzie Kantonu *Valais*, pod ciosami ludzi, którzy mają na usciech słowa: oświaty, postępu i ludzkości, a w rzeczy samej, są zuchwalcami nadużywającymi imienia chrześcijan!..

Przyczyną tego nowożytnego wandalizmu, miał być krnąbrny opór kilku zestarzałych mnichów, przeciwko nowemu porządkowi rzeczy, a skutkiem tego,— iż reszta braci zakonnych, którzy jedynie żyli dla dobra bliźniego, którzy się poświęcili praktyce najszczytniejszego miłosierdzia, na początku zimy, znaleźli się bez schronienia, zmuszeni iść pukać do drzwi swoich spół-braci, przedtém jeszcze wyzutyh ze wszelkiej własności. Oburzona Europa osądzi, z czyjjej strony zaszła przewaga niewdzięczności.....

steczku, i jeżeli szczeka— to tylko na swój portret! Za ten jego ostatni przymiot, to jest: wstrzemięźliwość w języku, i ja go szczerze polubiłem i zamieniłbym nie na jednego z *czapkowych* moich *znajomych*, których język, wjada się czasem w ranę głębiej od kłów wilczych... Otoż poczciwy psie *Rozboju*, (kto cię, tak niemiłosiernie *obierzmował!*) masz za swoje wcale nie psie cnoty, epizód w moich wspomnieniach...

Mówiliśmy z Wydawcą o losie *Ondyny Druskienickich Źródeł*. Przestała wychodzić dla braku czytelników: zdaje mi się, że wydawca, z usposobienia i natury więcej skłonny do nauk ścisłych, chybił celu z początku, czyniąc swoje pismo składem artykułów więcej naukowych już *belletrycznych*: chorującemu na wątrobę pacjentowi, jakąż ulgę przyniosą, suche, choć mające historyczną lub naukową wartość, artykuły? Postrzegł się później i nadał inny kierunek, ale już było za późno. Ondyna w ostatnim roku swjej exystencji bardzo się ożywiła. W niej znajdujemy mnóstwo nader interessownych humorystycznych utworów, pełnych treści i postrzeżeń, ale cóż? Wydawca znowu ulegając przyrodzonemu swemu usposobieniu, jako werydyk, rznął ostrą prawdę w oczy szanownej druskienickiej publiczności. Jak mogły się podobać płci pięknej, która, jak wszędzie, tak i w Druskienikach, (mówiąc w nawiasie) ma wielki wpływ na powodzenie książki, takie np. wierszyki:

Gdy więc nie można litością,
Natechnąć kamiennęj ich duszy,
To niech ich razem z miłością
Starość w panicństwie zasuszy! (!!)

Wyznać prawdę, to *gorzki komplement*. Albo owe częste posłania do *związanych druskienickich bukietów*? Albo poufne zeznania samego wydawcy, że publiczność,— która nieczytając *Ondyny*, kupuje jednak francuskie nowości,— czyni to jedynie dla ozdoby salonów i podtrzymania tonu, bo między nami mówiąc, i tych nawet książek nie czyta, naprzód, że nienawidzi wszelkiego zadrukowanego papieru (prócz *biletów wizytowych*), a powtóre, że wizyty, rewizyty, obiady i wieczory, cały jej dzień-Boży zajmują. *Karjerowicze* też, i *szulery*, o których tam częsta wzmianka, psuli prawdomównemu wydawcy. Wiedział o tém, że prawda niezapewni popularności jego książce, ale jako mąż niezłomny, wołał upaść, niż dla pochlebstwa fałszowi, skrewić własnemu przekonaniu. Sami też lekarze, poświęcający się praktyce w Druskienikach, nie okazali należnej powołaniu swemu gorliwości, w ogła-

szaniu przykładów pomyślnego działania wód druskienickich, jakich każdy dla dobra nauki lub dla wiadomości powszechnej, mógł i powinien był udzielić.

Jednym słowem, Wydawca robił co mógł, a często i nad możność swoją, aby uczynić *Ondynę* odbiciem umysłowego i towarzyskiego życia tych okolic i służyć ku rozrywce osób odwiedzających to dobroczynne dla cierpiącej ludzkości ustronie. Za jego sprawą, zaczął się tam objawiać ruch umysłowy, nawet nie w literatach z powołania.

Koniec końcem, w naszym kraju przyczyny upadku pism zbiorowych w ogólności, nienależy szukać w kierunku Wydawców, jako raczej w niczem niepokonanej obojętności w czytelnikach....

Prawdomówny Wydawca, rozstając się ze swoją *szanowną* i *łaskawą* publicznością, takie nareście dał jej pożegnanie:

«Możecie więc znowu bez przeszkody ze strony *Ondyny*, grać i przegrywać, trwoniąc ruble, których na kupienie książek poświęcić nie chcecie. Możecie, jak powiadają Włosi (*dolce far niente*), przy blasku złota i srebra spełniać pieniące się pułhary szampana, czynnie wpływając na wzrost i postępek sztuki gastronomicznej... A jeżeli dobrze poznana wyższość nauk nad przepych i beczynne życie, rozpędzi kiedyś tumany dotychczasowej obojętności, i kiedy dobrze oceniona godność przeznaczenia waszego, zniszczy zawzięty pochód upędzania się za obcej literatury płodami, wówczas może nie jeden wyda głos rzewnego żalu nad grobowcem *Ondyny*... ale już to będzie za późno!..»

Dodamy tu jeszcze, że imię Doktora Wolfganga ściśle jest połączone ze wzrostem i sławą *Wód Druskienickich*. On jest pierwiastkową dzwignią całego kołowrotu kąpieli tutejszych. Jako Doktor, w nauce swęj widzi środek przyniesienia ulgi cierpiącej ludzkości. Każdy u niego znajdzie uczoną informacją zachowania się i leczenia się temi wodami; postrzeżenia swe ogłosił w osobnym dziełku w r. 1841. wydanem pod tytułem: *O wodzie mineralnej solnej w Druskienikach*, oraz w świeżo wydanem, spólnie z P. Kraszewskim: *Druskieniki, szkic literacko-lekarski*, w którym odkrywa nowy środek dla cierpiącej ludzkości, w artykule: *O możliwości leczenia się za pomocą wód mineralnych druskienickich w porze zimowej*.

Między innem mówi tam Autor: «Nie ulega żadnej wątpliwości, że kąpiele z ciepłej zwyczajnej wody, jako środek lekarski, w niektórych zwłaszcza chorobach, zarówno w zimie jak w lecie zbawienne wywierają skutki, a w ogólności nawet częściej się zdarza zalecać je w zimowej porze, jako bardziej sprzyjającej

Wskazujących potrzebę zewnętrznego ciepłej wody użycia. Wiadomo także równie jak szkodliwym się staje najmniejsze zaziębienie po wewnętrznem rozgrzaniu się przez ruch mocniejszy i zmordowanie, przyspieszające czynność organów i ujmujące ciepłik wewnętrzny, tak też przeciwnie wpływ niższej nieco temperatury zewnętrznej, łagodnie i przyjemnie działając na rozgrzanie powierzchni ciała przez wodę, sprawującą jakby lekkie chwilowe zapalenie powierzchowne, bynajmniej szkodliwym nie bywa. Owszem nawet, stopniowe przyzwyczajenie może nas doprowadzić do bezkarnego wystawiania się na mroz lub zimną wodę, po mocnem rozgrzaniu się w łaźniach i gorących kąpielach, jak się to często między pospółstwem zwłaszcza, widzieć zdarza, kiedy przeciwnie każde zaziębienie po zmordowaniu się przez mocniejszy ruch i użycie sił fizycznych bezwarunkowie szkodliwym bywa, pomimo nawet najmocniejszy skład ciała i zachowanie się od dzieciństwa.”

Łazarek założony w Druskienikach dla włościan skarbowych przez Izbę Dóbr Państwa, dwóletniem doświadczeniem dowiódł, jak silnie i dobroczynnie w niektórych cierpieniach działa woda druskienicka w miesiącach zimowych, zwłaszcza w postaci kąpeli zastosowana.

W naszym kraju ta idea Doktora Wolfganga pokaże się nowością, ale za granicą, jak np. w Anglii, której klimat nie może się pochlubić większą od naszego łagodnością,— wody mineralne w zimie nierównie częściej, aniżeli w lecie, używane bywają. I tak np. w *Bath*, liczą corocznie w przeciągu całej zimy od Października do Marca, 8 lub 10 tysięcy osób do źródeł mineralnych przybywających. Według przyjętego tonu i upowszechnionego tam zwyczaju, zima uważa się za porę najstosowniejszą do wewnętrznego i zewnętrznego używania wody mineralnej.

Daléj Doktor Wolfgang jasno wykłada korzyście, wynikające z leczenia się porą zimową, przepisy dla chorych udających się do Druskienik w porze zimowej, i nareście choroby, w których najkorzystniej ta kuracja użyta być może, jako: w skrofulach, koftunie, chorobach skórnych, cierpieniach paralitycznych, reumatyzmach, artrytyzmach, chorobach wątrobowych, hemoroidalnych i nerwowych.

Użycia, coraz się upowszechniającego, soli wywarzanéj z wody mineralnéj, Doktor Wolfgang nie zaprzecza, ale zarazem robi uwagę, iż saméj wody zastąpić nie zdoła. Przypuściwszy bowiem, że przez gotowanie sole nierozłożą się, to koniecznie ulotnić się muszą gazy, i zginie owa elektryczno-galwaniczna siła,

wiążąca pomiędzy sobą pierwiastki i ożywiająca wodę mineralną,— kiedy przeciwnie, sztucznym sposobem otrzymana, stanowi tylko prosty roztwór.

Kończy następnem objawieniem:

«Nie wątpię, iż ta nowość (leczenie się zimową porą), jak wszystkie inne, znajdzie licznych przeciwników. Niezrażając się tém jednak, ogłaszam przekonanie moje w nadziei, że prędzej czy później, zjednać potrafi licznych zwolenników, a uprzedzenie dotąd powszechnie trwające, ustąpi istotnej prawdzie, z niemąłą dla dobra ogólnego korzyścią.»

Wesoły jest ogólny widok miasteczka. Domy drewniane ale porządnie zabudowane; z podwójnymi i potrójnymi oknami, jak w oranżeryjach, co daje jasność salonóm, i przypomina mi architekturę *podmiastową* wiejskich domków czyli *dacz* Moskiewskich Bojarów. Pośrodku miasteczka prawie, na obszernym piaszczystym placu, wznosi się podłużny dom *Łazienek*, wzdłuż którego idzie korytarz, po obu stronach sali, pośrodku umieszczonej: po każdej stronie, *męzkiej* i *żeńskej* po 17 numerów znajduje się: numer, jest to maleńki pokoik, ze zwierciadłkiem i stolikiem pod nióm; stółek oraz kanapka: wanna blaszana wprawiona w podłogę, z zastosowaniami do niej rynami wody zimnej i ciepłej: służąca w oczach gościa myje wannę i zanurza termometr; 26 stołpi służy dla tych, co nie mają zamiaru stałego leczenia się.

O skutkach powiem tylko, że po kilku wannach,— (choćaż to nikogo nie obchodzi) całe ciało pokryło się wrzodami; po znknięciu ich czułem siebie nader lekko..

Miasteczko przyparte jest do wioski z sześciu wieśniaczych chat złożonej, której gospodarze zasobnie powstałi na nogi. Za tą wioszczyną są na wzgórkach piaszczystych starożytne mogiły, które wiatr rozwiewając, odkrywa koście nadzwyczajnej, jakoby, wielkości, i różne kawałki orężnego żelastwa. Dorozumiewają się, że to mogiły jeszcze z czasów pogańskiej Litwy.

Z paradnej ulicy, na której rząd najokazalszych domów, do których liczby policzyć należy i dom pięknej architektury Marszałka *Borzęckiego*, (opuszczony w dziełku P. Kraszewskiego) odkrywa się rozległy i wspaniały widok na pola Za-Niemeńskie i piaszczyste wiszary stromych brzegów Niemna.

Z innej strony, za Kościołem w lewo, na smutnej płaszczyźnie wznosi się stodoła, zawałona materjałem dla budowli *Pałacu*

przeznaczonym. Ani właściciela, ani stróża tu niema. Znikł Pan i myśl pałacu!...

Ale za to nad parowem wznosi się wspaniały dom P. Hłaski, który nienadaremno lud *Pałacem Hłaski* nazywa, jakoby na drwi-
nę, tamtemu *niedokonanemu Pałacowi*. Ma pozór prawdziwie arystokratyczny: nie wypina się bowiem na czoło, usuwa się w głąb cienistych drzew i kłębów, ale ma w sobie niezaprzeczo-
ną wartość: trzeba się dobrze zbliżyć, aby go poznać; lekkiej, ozdobnej wiejskiej architektury, oddzielony od parowu mnóstwem krzewów i kwiatów, malw, astr i georgin: nad wązkimi drożkami poustawiane wahające się ławeczki, co mi tak przypomniały hojdające się Szwedki w wodach Helsingforskich w Finlandji: u stóp pieni się bystra Rotniczanka, której strome brzegi unizane pochyłymi jodłami. Nieznając samego P. Hłaski, nie mogłem się nasyć pięknym widokiem, jaki musi być z balkonu jego domu.

Te piękne widoki natury Druskienickiej, w roku przeszłym, pędzłem P. Kraszewskiego przeniesione zostały na papier, z prawdziwie poetyckiem poczuciem powabów tej okolicy. Widoki te dostały się w moje ręce, i pozostaną drogą dla mnie pamiątką: jeden z nich przedstawia z dołu z za Niemna, widok *paradnej* ulicy, drugi z góry, widok źródłowej olszyny i rzekę Niemen, trzeci najinteressowniejszy, widok urwisk nad parowem i mostku rzuczonego na Rotniczance przy samém jej ujściu do Niemna. Widoki te mają być drzeworytowane w Peterzburgu, i załączą się przy jakim nowym opisie Druskienik.

Porządek w miasteczku wzorowy: na pierwszy odgłos choroby, podejrzaną rybę z rynku, zaraz z wozu do wody wrzucono: terazniejszy naczelnik jest człowiek nader grzeczny: żadnej turbacji z paszportami, żadnej ciaganiny, jak po innych miastach: u-
przejmie stara się każdego przybywającego zadowolnić.

Dwa razy na tydzień, we Srodę i Niedzielę przychodzi Dyliżans z Grodna z rana, a wieczorem odchodzi; wozi listy i passażerów; szkoda, że może tylko dwie osoby pomieścić; od osoby płaci się po 4 r. sr. za 6 mil drogi do Grodna.

Wartoby aby P. Naczelnik ograniczył jakim certyfikatem sumiennosc żyda-pocztarza w dyliżansie, czyli po prostu w Budzie Żydowskiej: często daje się słyszeć utyskiwanie na ginienie listów: mógłby np. P. Naczelnik kłaść swój podpis na spisie listów odprawianych do Grodzieńskiego Pocztańtu, lub co podobnego.

Ale czas już wyjeżdżać z Druskienik. I czytelnik się znużył i mnie coś ciężko idzie ten przedmiot. Otoż sęk, jak tu wyjechać, kiedy kto własnych koni niema?.. Żydka z Budą nie ma,

użyłans jeszcze nie przybył, chłopiek nie ma pojazdu, a poczta aż z Grodna sprowadza się, i to rozumie się tylko dla pewnych uprzywilejowanych osób: przecież nikt piechotą powracać z *mineralnej* wędrówki nie może, choćby P. Wolfgang w niebogłosy ruch przechadzkowy zalecał... Na szczęście pod karczmą stała Buda Żydowska, jedyna ucieczka *feszioneblowych turystów* litewskich! Na pierwsze moje słowo, Żyd wyrzucił obrzydłe bebechy i zajechał pod moje poetyckie mieszkanie, po mantelzak; trzymając się za mój *saque de voyage*, o 10-tój w nocy, puściłem się do Grodna. Żyd pędził jak najęty, północny wiatr pejsy jego rozwiewał, utuliłem się w kąteczku budy. Razem widzę, że buda zwraca z drogi, i wjeżdża do jeziora: siedzę cicho, bo sądzę, że to jest w obyczajach furmanów frachtowych: ale napoiwszy konie, żyd zacina, krzyczy *wio! wio!* i— na zawrócie wywraca do jeziora!...

Co tu rozpisywać się o moim humorze; rozumie się, że byłem zły; w pierwszej nawet chwili,— kiedym wyciągał z wody mój *saque de voyage* elegancki, włóczkowy, Peterzburški, cały nafaadowany prowizją książek, teraz tak przemokłych, żem je ledwo mógł dźwignąć,— myślałem, że Żyd przez przesąd dla Goima, umyślnie to zrobił,— przykrość wyrządzona chrześcijaninowi ma przynosić korzyść żydowi, wszakże krótkie zastanowienie wywiodło mię z błędu, bo żyd sam leżał w błocie, i dźwigając budę mókł po pas w wodzie. A że to się zdarzyło wśród najpiękniejszych moich marzeń, przejście z nich było tak nagłe, że żadną miarą krzyżeć na niego nie mogłem i zacząłem się śmiać w duchu: dwie tylko rzeczy mię niespokoiły: naprzód, przyprowadzone do stanu pierwiastkowego massy papierowej, moje książki, powtóre, jak tu wytrzymać przemokłemu do nitki, w czasie cholerycznym, noc septembrową, na otwartym powietrzu, w budzie żydowskiej? Przyznam się, że ta chłodna łaźnia,— która mię z początku bawiła jako nowość, i że przecież znalazłem jakąś przygodę w tym kraju pasportów i najdoskonalszych porządków policyjskich,— zaczęła mię trochę markocić; bo gdyby np. wśród drogi, schwycił mię *choleryczny guzik w brzuchu*? Perspektywa była posępna,— a zatem dalej do sakw po krople miętowe, spirytus *wachalis* i pas flanelowy, któremi mię na drogę opatrzył zacny P. Professor Adamowicz, a dla nadania lepszego waloru tym wszystkim preparatom doktorskim, skropiłem je porządną dozą *Kelowskiej-Staruszki*... ten ostatni środek podobno poskutkował najdzielniej: błogie ciepło rozlało się po skrępyłych członkach, wrócił do bry, zwyczajny mój humor, i nawet śmiać się zacząłem, kiedym

sięgnawszy do sakw po jakiś medykament, wyciągnął garść masy papierowej z całego romansu *Kataleptyka!* pomimo dziwacznej choroby jego bohatera, zmókł biedak razem z *Listopadem*,— oba niedoczekawszy się listopada!.. Co do tego ostatniego pocieszyła mię pewność, że nim do Wilna powrócę, znajdę wygotowaną drugą edycją; nie bardzo żałowałem przeto tego bibulastego wydania, upstrzonego tysiącem omyłek... Zasnąłem.

Ale otoż i świta, otoż i Grodno. Któż nie zna Grodna, i kto w niem nie bywał? Trzeba takiego jak ja bywalca, co bywał i na lądzie i na morzu,— a nie był w Grodnie. Więc kiedy je znacie, w szczegółowe opisanie jego wdawać się nie będę, chyba tylko rzucę kilka rysów ogólnych, lub mniej znanych.

Przebrawszy się i osuszywszy wyszedłem z hotelu Negri. Żyd, który mię wywrócił do jeziora, wydziwić się nie mógł memu postępowaniu: wyznał: że spodziewał się albo być wybitym, albo nieotrzymać zapłaty za tyle przykrości: a tu jemu *tryngiell* się dostał; tak tedy, nisko kłaniając się żyd, na samym wstępie do Grodna, poniósł na miasto dobrą moją sławę. Ubogi i nędzny charakter grodzieński, wydał się mi mającym więcej uczucia ludzkiej słuszności, niż moi *czapkowi przyjaciele* gdzie indziej...

Zaraz na wstępie na rynku przed Ratuszem, uderzył mię widok straganów, zapelnionych najwyborniejszymi gruszkami. Wszak to tu stolica *sapieżanek!* To one były naprzód z Włoch sprowadzone i w dobrach Sapieżyńskich, w tej gubernji szeroko rozciągających się, rozmnożone. Potem dzięki Tyzenhauzowi, który u powszechnił umiejętność szczepienia drzewek po wioskach, dotąd żadna z prowineji naszego kraju nie ma tak wybornych owoców, jak grodzieńska. Zaraz, na samym wstępie ta drobnostka, dała mi poczuć dobroczynny wpływ tego człowieka. Ależ bo co to za widok roskoszny, tych żółtych jak воск, z pałającym karmazynowym rumieńcem, soczystych, mięsistych, ślinę z ust pędzących, gruszek. Że po niewygodnym noclegu w podróży miałem rodzaj gorączki, więc paliło mię straszliwe pragnienie: otoż z pierwszego abcugu zjadłem półkosza największych sapieżanek, ja, co bym w Wilnie, w cholerycznej trwodze, ani jednej nie dotknął. Skinienia natury zawsze są dobroczynne; bacznie ich słuchając, i pojmując je, nigdy się na nich nieomyliłem. Owszem, to dziwnie posłużyło mi na zdrowie i naprawiło wszelkie złe, z przygody nocnej mogące wyniknąć. Później codzien, przez trzy dni mego pobytu w Grodnie, jadłem bezkarnie jabłka i gruszki, jakich od lat dziesięciu, żyjąc w strefie północnej, niewidziałem.

Grodno ma pozor starożytny. Leży w pięknym położeniu, na wysokości górze, nad Niemnem. Widok z Zamku zachwycający na zaniemeńskie okolice. Góra, na której Zamek, dopiero przerebiony na koszary, tak stroma, że bez strachu spojrzeć z niej na dół ku Niemnowi, nie można: rzecz dziwna, że z takiej wysokości z wieży, jeszcze trudniej spojrzeć na dół: doznałem tego w wysokości kopule *Suderwiańskiego* Kościoła pod Wilnem: tu, na ziemi czujesz, że masz grunt pod sobą, że podstawą jest ład stały, tam zaś wszystko oparte na przezorności ludzkiej, której tak trudno dowierzać... Zamek Grodzieński, tyle razy wspomniany w historii, był miejscem obrad Sejmowych; wspaniała musiała być brama, na której jeszcze trzymają się urny i jakieś pobite posązki alegoryczne czy mitologiczne, trudno rozróżnić, niby pod czarny marmur podprowadzone. Obszerny dziedziniec obudza wspomnienie ogromnych zjazdów Sejmowych: malują się w wyobraźni złoczone kolebki, sobole czapki z brylantowemi spinkami, czaple pióra, kontusze i ferezje, liberje polskie, włoskie, niemieckie, ukraińskie, trzask z biczów, *Pani Pisarzowa jedzie!* Co tu się działo kiedyś, świadczy historia... teraz głucho;— kamienny most prowadzi do drugiej połowy zamku, wzniesionej na starożytnych fundamentach, dotąd sterczących ze stromych brzegów Niemna. Zład dziwnie romantyczny i sentymentalny widok na *Kotozę*, starożytny kościółek z wieżyczką, wśród drzew, nad samym brzegiem Niemna.

Początek tego monasteru sięga połowy XII. w., a nazwanie swe otrzymał około r. 1406, kiedy W. Ks. Lit. Witold zdobywszy na Pskowianach miasto ich *Kotozę* i zabrawszy w niewolę 10,000 ludzi, przyprowadził do Grodna i osadził w około Boryso-Hlebskiego Monasteru, to lud tu zagnany, przez wspomnienie swiej rodziny, nazwał to miejsce *Kotożą*. Kształt cerkwi jest podłużny czworogran; zewnątrz, u dołu wstawione są kamienie, różnego gatunku i barwy: wyżej z zielonych i żółtych taflí ułożone są wyobrażenia krzyża: na jednym z kamieni w ścianie jest starożytny, słowiański napis.

Kronikarz Monasteru, *Kulczyński* powiada, że w czasie wojny W. Ks. Lit. z Carem Janem III. część tej cerkwi była zbita i obróconą na baterję, z kąd strzelano do Zamku, po drugiej stronie *Horodniczanki*, która latem zupełnie wysycha, leżącego. W starych ścianach, są próżne otwory, do których wprawione są gliniane dzbany, dla lepszego odbicia pienia kościelnego, jak powiadają; okoliczność zasługująca zwrócić uwagę archeologów. W archiwum znajduje się wiele historycznych oryginalnych aktów od roku 1480, Królów Polskich i Wiel. Ks. Litewskich,

oraz osób prywatnych; między innymi przywilej Króla Alexandra z r. 1500, dwa Zygmunta I. z r. 1508, i jeden Zygmunta Augusta z r. 1568. na władanie posiadłości pobliskich Monasterowi.

Jednym z Archimandrytów tego monasteru był *Drucki-Sokołiński*, a naczelnikami świeccy Panowie, jak np. *Szymon Wołowicz*, naznaczony przez Króla Zygmunta Augusta, którego przodkowie zrobili znaczny zapis temu klasztorowi. Był tu także Archimandrytem i wspomniany wyżej *Kulczyński* pisarz *Kroniki* i historii własnego życia, z której się pokazuje, że był w Rzymie, z hołdem u Papieża. Monaster ten podtrzymywał się łaską i protekcją Królów naszych i okolicznych magnatów, i trudno pojąć, co oni w tym za interes mieli.

Dziś starożytny ten pomnik grozi zawaleniem się do Niemna, który zmieniawszy koryto, podmywa szczyt góry, na której stoi Monaster.

Rozbratawszy się z historycznością tej starożytnej osobliwości, zwracam się do Historji miasta Grodna, którą tu pokrótce przytoczę.

Dwaj Pruscy dziejopisarze, (jedyne tu źródła *Lukas Dawid* z *XVI* w. i za nim *Fojcht* (Voigt) *) świadczą, że niejaki *Litwo*, syn *Widewuda*, władcy pomorskich Prusaków, dostawszy tę ziemię we władanie, założył *Grodno* i dał nazwanie krajowi. W głębokiej starożytności, miejsca te zalegali *Jadźwingowie*, plemie lechickie, które nigdy nieprzyjęło religji chrześcijańskiej i było pokonane przez łupieżcze napady Słowiano-Rusów; wreszcie wygnani z Nowogródka i Brześcia, zamknęli się w granicach terazniejszego *Podlusia*; w okolicach zaś Grodna osiadło plemie słowiańskie *Dregowiczów*, które się w czasie późniejszym rozpostarło aż do terazniejszej *Augustowskiej* gubernji. Tych przyłączył do swoich posiadłości *Włodzimierz W.* i następnie panował tu *Włodzimierz Monomach*, którego rog łowiecki rozlegał się w puszczy Białowieżskiej, i który wspomina w swych *przestrogach* dla synów o turzym rogu (*tur bajwoł*). Po najściu i opustoszeniu tych miejsc przez hordy Batego, Litewscy i Żmudzcy Książęta, jak *Erdziwitł* i *Mendog* zagarnęli te ziemie pod swe panowanie. Później, około 1276 (podług *Kroniki Wołyńskiej*) Ruscy Książęta, jak *Wasil Wołyński* i *Roman Halicki*, probowali napróżno podbić Grodno. Tymczasem Prusacy uciekając od prześladowań Krzyżackich, przez Księcia Litewskiego Trojdena, byli osadzeni w Grodnie i Słonimie. (Starostwo *Borczańskie*, w powiecie Lidzkim, było ich stacją).*

*) *Geschichte Preussens*. Vol. 1. 269.

W r. 1284 Grodno szturmem było zdobyte przez Krzyżaków, i Prusacy, którzy się tam schronili, w pień wycięci. Nareszcie po częstych napadach Krzyżackich Grodno przeszło pod władzę Kiejstuta. W r. 1358 w Grodnie była Komissja do rozgraniczenia Litwy od Mazowsza.

Grodno miało dwa zamki: *górnny* czyli stary, przez *Witenesa*, i *dolny* w r. 1379 przez Kiejstuta zbudowany, który dziś nazywa się *nowym* i mieści w sobie szpital. Oba te zamki miały podziemne chody do Niemna dla dostawiania wody i dla robienia wycieczek w czasie oblężenia. W 1390 Grodno przeszło pod władzę Jagiełły; w następnym roku obległ go Witold z Krzyżakami, i zdobył; wtedy Krzyżacy, za pozwoleniem Witolda, wzniesli po drugiej stronie Niemna Zamek, i nazwali go *Neu Garthen* (Nowyogród, czyli *gród*, zład: nowe Grodno), zamek był zburzony przez Witolda i znowu Grodno zdobywane przez Krzyżaków. W r. 1398 w Grodnie był sejm jeneralny Komisarzy Krzyżackich z W. Ks. Witoldem i Panami Litwy: Krzyżakom ustąpiona Żmudź i oznaczono granice. Wówczas to zdarzył się pożar w komnatach sypialnych synów Witoldowych, od którego zginęliby niechybnie Książę z Księżną, gdyby nie *Kot morski*, który znajdując się wówczas w sypialni, rozbudził ich w samą chwilę pożaru. Zgorzała tylko bogata garderoba Księżny. W r. 1444 W. Ks. Litewski Kazimierz, przywilejem potwierdzonym na Sejmie Bielskim w r. 1564, nadał Grodnu Magdeburskie prawo i zaliczył go do pierwszego rzędu miast litewskich i polskich. W r. 1441. tenże Król Kazimierz mieszkał w Grodnie, które było wolne od panującej wówczas w Litwie *morowej zarazy*, i umarł tam w r. 1494. W tymże roku W. Ks. Aleksander pobudował parafialny Kościół *Wniebowstąpienia*, na miejscu drewnianego przez Witolda fundowanego, który dopiero obrócony został na *Cerkiew soborną*. Około tego czasu powstał Zakon Bernardynów.

W r. 1508, zdrajca kraju Ks. *Gliński*, osadzony na banicję, zamordował w Grodnie *Zabrzezińskiego* Marszałka Wiel. Lit. we własnym jego domu.

W r. 1550 dumna Włoszka *Bona*, żona Zygmunta I. fundowała Kościół Ś. Ducha ze Szpitalem, co dziś obrócono na dom *Dobroczyńności*.

W r. 1522 postanowiono na Sejmie Grodzieńskim niedopuszczać z obcych wyznań do urzędów państwa.

W r. 1566 na Sejmie Grodzieńskim przyłączone zostały Inflanty do Litwy. Stefan Batory lubił Grodno, przyczynił się niemało do jego wzrostu, i tamże umarł.

Na *starym* Zamku była Memnica, gdzie bito litewskie pieniądze.

W r. 1595. Zygmunt III. i rycerstwo wracając z wojny, fundowali Kościół i Klasztor XX. Bernardynów, z łupów zdobytych na nieprzyjacielu, i należących się poległemu rycerstwu. On także kazał wystawić most na Niemnie.

W r. 1625 *Kazimierz Sapieha* fundował Kościół i Klasztor Mniszek Bernardynek.

W r. 1632, *Fryderyk Sapieha*, i żona jego *Krystyna* z domu *Pociejów*, fundowali Kościół i Klasztor XX. Dominikanów, teraz obrócony na Gimnazjum. Dla Panien Brygidek fundowali w r. 1642. Kościół z Klasztorem, Marsz. W. Lit. *Wiesiołowski* z żoną z domu *Sobieską*. Za Niemnem, na górze Kościół XX. Franciszkanów fundowany przez stadło *Kurezów*. W r. 1663 wzniesiony ze składek i ołtar Kościół z Klasztorem XX. Jezuitów, pod nazwaniem Ś. Piotra i Pawła. W tejże epoce zaszło postanowienie, aby każdy *trzeci* Sejm obu narodów, zbierał się w Grodnie, co wiele dopomogło do podniesienia upadającego miasta. P.P. *Kotowiczowie* w r. 1676 fundowali Kościół i klasztor XX. Karmitów.

Ale opamiętuję się nareście. Stój weno poetycka! wstrzymaj twój zapał w wyliczaniu tylu fundacji kościelnych, z których składało się domowe życie przodków naszych; wypisałaś się tyle o Kościołach i Klasztorach, iż lękam się bardzo, aby łaskawi czytelnicy nie wzięli mię nieznanomego, razem z mojem nazwiskiem,— które jak widzicie, po raz pierwszy pojawia się przed *świątą publiczną*,— za jakiego księdza, mnicha, lub dewota. Jako żywo! kwituję was z reszty grodzieńskich fundacji; a nawet opuszczam ostatnią fundacją kościołka *Dobrych braci (Boni-fratrów)*, abyście mię za unudzenie was, do niego nie skazali na pomieszkanie....; a tylko pozwolicie mi dopełnić suchą nomenklaturę, kilką jeszcze historycznymi wspomnieniami.

W r. 1708. Piotr W. ufortyfikował się w Grodnie przeciwko Szwedom; dotąd dają się widzieć ślady szanców między smętarzem i gościńcem Wileńskim. Ale Karol XII. nagle przebywszy Niemen, po krótkiej bitwie, rozbił i zmusił wojska rossyjskie cofnąć się do *Jeziór*.

August III. kazał wznieść na miejscu *Niższego Zamku* piękną budowę, którą teraz zowią *Nowym Zamkiem*, i w której mieści się dopiero szpital. Stanisław August tu złożył koronę w roku 1797.

Jakkolwiek Grodno uposażone było nadaniami i przywilejami W. Ks. Litewskich i Królów Polskich, wszakże nie odznaczyło się

nieczém od innych miast litewskich, aż do połowy XVIII, (prócz większego ruchu w czasie zjazdów Sejmowych); w tej to epoce, około r. 1765. *Antoni Tyzenhauz*, Podskarbi Litewski i Starosta Grodzieński mąż z genjuszem i niezłomną wolą, sam jeden śród panujących przesądów i ciemnoty, dźwignął to miasto, i zrobił go ogniskiem nauk, szluk i przemysłu na Litwie.

On to wiekopomną dla tej strony zostawił pamiątkę. On za-budował całe przed-mieście *Horodnicę* czy *Horodniczanekę* i cały obszerny kawał dziś *Roskoszną* zwany, pięknymi symetrycznymi domkami, przeznaczwszy je dla fabrykantów, których z za granicy sprowadził. Zaprowadził wyższe zakłady naukowe i ogromną fabrykę w *Łosośnie*, nad rzeczką tegoż nazwania, o wiorst kilka od Grodna.

Obrawszy Grodno za punkt środkowy swoich działań, dążących ku ulepszeniu materialnego bytu kraju, utworzył Kantor handlowy, który pozyskał znaczny kredyt w stosunkach z zagranicą, założył Szkołę Weterynaryjną i Botaniczny Ogród, nad którym uczynił przełożonym sprowadzonego umyślnie z Montpellier, uczonego Professora Medycyny P. *Żyliberta*; założył wyborną szkołę komornictwa i wzorowy oddział administracyjny, dla przygotowania zdolnych rządców i oficyalistów, czyli po prostu *ekonomów* dla gospodarstwa wiejskiego. Zabudowawszy, jakżeśmy wspomnieli, przedmieście *Horodnicę* murowanymi domami, osadził w nich biegłych fabrykantów, których sprowadził z Niemiec i Hollandji, i pod dyrekcją cudzoziemca *Jakóba Bekiu*, zaprowadził różne rękodzieła i fabryki: wyrobów płóciennych, stołowej bielizny, wielką fabrykę *bielenia* nad *Łososną*, fabrykę cienkiego sukna, gazy, wyrobów jedwabnych, słarpolskich pasów szytych złotem, fabrykę instrumentów fizycznych i pojazdów na sposób paryski; założył Szkołę Architektury, a Weterynaryjną zamienił w Lekarski Instytut, w którym wspomniany Żylibert wykładał chirurgją i akuszerją: ten instytut nazywano *Akademją*, na której był taki napis: «TU SIĘ SAMA ŚMIERĆ NA KORZYŚĆ LUDZKOŚCI OBRACA;» tamże założył nowy Botaniczny Ogród, nieustępujący żadnemu ze spółczesnych europejskich; składał się nań *Pallas* z Peterzburga, *Jacquin* (starszy) z Wiednia, *Solander* z Hollandji; były rośliny z Edyburgu i t. d.; wszystko to sprowadzał przez zamianę na rośliny krajowe, litewskie. Założył Bibliotekę i Muzeum historii naturalnej. Tyzenhauz, prawy syn ojczyzny, założył w Grodnie *Korpus Kadecki* dla młodzi Litewskiej, który w przejeździe odwiedzał, jakoby, Józef II. Podniósł grodzieńską typografję, która się po Jezuitach została, i zaprowadził *gissernię* czyli officynę do odlewania liter, która przez czas tak długi potem dostarczała czczionek dla

drukarzów Wileńskich. Ulegając ówczesnym wyobrażeniom o wpływie sztuk plastycznych na umysł wydobywający się z ciemnoty, założył szkołę Baletu, Teatr, Maneż i t. p. zaprowadził stada koni, pod dozorem Koniuszego *Rode*; zdarzało się, że za jednego konia płacono mu po 600 czerwon. złotych: upowszechnił pomiędzy włościanami umiejętność szczepienia drzewek owocowych, i mnóstwo podobnie użytecznych wiadomości rozszerzył w narodzie.

Trudno oznaczyć granice ogromnej działalności tego genialnego człowieka, który położył sobie za prawidło w życiu, nigdy żadnej książki nie czytać; wszystko u niego było *czynem*: wszystko z siebie samego wysnuwał i dla tego każdy jego pomysł, każda jego czynność, była tak właściwą krajowi, była tak na swoim miejscu. W życiu mojem, jednego tylko człowieka znałem, który też wszystko snuł z siebie, który nieczytając zgoła wielkich spółczesnych Polityko-Ekonomów, objawiał niegdyś zdania i teorje, mające zupełne z ich pomysłami, podobieństwo; wyszedł on z tejże, co i Tyzenhauz strony: był to *Drucki-Lubecki* niegdyś Minister Skarbu.

Ale wracając do naszego Podskarbiego zjadliwa hydra zawiści, tchnęła zgubnym oddechem w chwili najświetniejszego rozwicia jego zamiarów: tajemnica dotąd okrywa podziemne przeciw niemu machinacje. Tyzenhauz, prawy syn ojczyzny, którego wieki w historii naszej za przykład stawiać potomnym będą, pozbawiony wszelkich godności, wyzuty z majątku, okryty potwarzą i dotknięty najczarniejszą niewdzięcznością Dworu, nowy Belizarjusz, stał się ofiarą zazdrośników i intrygantów przydwornych. Z upadkiem jego, upadły i te zakłady, których ślady tylko dziś pozostały w murowanych gmachach Łososny i Horodnicy. Chęci jego były tak prawe, tak szczerze, pomysły tak żywotne, iż nawet upadkiem swoim dawały życie innym: tak Instytut Medycyny, w którym wykładały się nauki od 1775 do 1781,— rozwiązując się, był powodem założenia Medycznego Fakultetu przy Uniwersytecie Wileńskim. Biblioteka dostała się Szkole Grodzieńskiej, potem przerobionej na Gimnazjum; a z reszty gmachów i zakładów,— nieudolna iść w ślady wielkiego założyciela, z niepowrótą dla kraju szkodą,— spanoszyła się prywatna chciwość.... Cześć i chwała mężowi, przed którego obliczem wszelkie usiłowanie późniejszych i dzisiejszych przedsiębiorców, jakże się pigmejskimi wydają!...

Ale od *Podskarbiego* przejdźmy do samych skarbów, które nam przekazała tradycyjna przeszłość, a których wszakże on *skarbnikiem* nie był; był to bowiem w całym znaczeniu *nowator*,— on nie strzegł narodowego pamiątek Kościoła! duch jego polityko-ekonomiczny nie sięgał do wysokości tradycyjnej poezji narodu. Oto wejdźmy do Fary,

po-Jezuickiego Kościoła, przy końcu placu, w którym ołtarz główny pracowicie i misternie wyrobioną drewnianą sztukaturą wyłożony, stawi cały pozór dawnych ozdób kościelnych, przez włoskich artystów w dawniej Polsce dokonanych: ale na ten raz nie o te sztukatury nam idzie, oto zwróćcie się na prawo od głównego ołtarza, do pilastru, otoczonego ławkami, przed cudownym Obrazem Najświętszej Panny, podobno pod wezwaniem: *Stuleńskiej*,— bo wszystkie cuda wymalowane olejno na drzewie nad ławkami pilastru, do tego świętego odnoszą się wizerunku. Otoż te to właśnie malowidła są prawdziwym *skarbem* do archeologa, historyka, pisarza historycznych powieści, i dla takiego jak ja, bezcelowego wprawdzie, ale w guście artystowskim, *turysty*. Rysunek tego malowidła jest gruby, bez najmniejszej znajomości sztuki: ani tu anatomji, ani perspektywy, ani efektów światło-cienia, wszystko sobie *poprostu z mostu*,— ale zato jak żywe i naturalne przedstawienie starych, podgolonych, kontuszowych Polonusów, w pasach i przy karabelach,— tych kobiet w robronach, z podniesionemi na wysokich korkach trzewiakami, z włosami w górę, w kształcie piramid zaczesanemi, tych giermków w starodawnych ubiorach, tych złocistych kolebek w kościelnej processji! malarz nagromadził tu wszystkie szczegóły sprzętów i ubrania starożytnych mieszkań naszych przodków: najdokładniejszy, z całą prawdziwością ówczesnego *du chic* w kroju sukien tamtocześniego kostiumu; wszystko to naprowadzone jaskrawemi, ale właściwemi kolorami; patrząc, przenosiłem się zupełnie w owe czasy, byłem obecny owym scenom pełnym dramatycznego interessu, do tego stopnia, że ulegałem zupełnie widzeniu mistycznemu, jaki twórca-prostaczek chciał ze swego przedmiotu na widza przelać. Malowidło to było dla mnie, jakoby okno, przez które na dawne czasy stariej Polski patrzyłem, jak gdyby mi one objaśniał, tuż za mną stojący, żywymi słowy, sam stary szlachcic Soplica!

Dla dania lepszego wyobrażenia czytelnikowi, póki nie uda się mi owego malowidła w litografji, przy którymkolwiek z następnych poszytów *Pamiętniku Naukowo-Literackiego* zamieścić, wypiszę tu naiwne, jak samo wyobrażenie, podpisy, znajdujące się pod każdą sceną cudownej tradycji świątobliwego Obrazu.

I. *Kazimierz Sapieha, Wojewoda Wileński, Helman W. Ks. Lit., szalę szczyroztłą ofiarował, któremu tej nocy, gdy okradziono Ołtarz, odartu we śnie pokazała się Najświętsza Panna.*

Wspaniały i opasty leży sobie Pan Wojewoda w sypialnej komnacie swego pałacu,— okutany w piernaty i aksamitne kołdry, z przewiązaną głową białą chustą, niby w szlafmycy,— na łóżku o-

ryginalnego kształtu; łożko w rakursie, Wojewoda nogami obrócony do widza; pomimo nieumiejętności rysunku, artysta nie lękał się poży dość trudnej, machał pędzlem jak mu wyobraźnia dyktowała, i dopiął celu; gmin nieznający się na rysunku, o który mu zgoła nie idzie, z całą prostotą duszy przenosi się na miejsce cudu, i po bożne wrażenie odbiera: bo Obraz Cudowny N. P. *Studeńskiej* spuszcza się u wężłowa Wojewody,— który, zda się, że widzisz i czujesz jak sapie,— i objawia świętokractwo popełnione w jego pałacowej kaplicy. Na tymże samym obrazie, nieco dalej po prawej stronie, niby na drugim planie, tenże sam Hetman, otoczony Panami, Dworzanami, rycerstwem i giermkami, jest zapewna w chwili uposażenia *sukienką* Obrazu.

II. *Jmci Pan Wojciech Żelazowski z innej szlachty dwódziesiątą, od Moskwy na Grodzińskim Zamku osadzeni, od Najświętszej Panny z więzienia o półtorej kopji wysokiego, przez wybitą we trzech godzinach sąźniowego muru dziurę, na dół, jako na Anielskich ręku, spuściwszy się wybawieni.*

Jeden z rycerzy, stary Polonus w paśowym kontuszu, z okna Zamkowego, z rozstawionemi rękami, głową na dół leci, skrzydlaty, niebieski Seraf go podtrzymuje; inni, już uwolnieni towarzysze czekają go na dole: na tym rysunku zachowany widok starego Zamku grodzińskiego, który przedstawia część ulicy z budowami.

III. *Stanisław Lubomirski, Marszałek Koronny, w drodze na Sejm do Grodna zapadłszy na oko, iż niemógł nic widzieć,— po uczynionym ślubie, iż najpierw obraz N. P. STUDEŃSKIEJ nawiedzi, pożądanę oko zdrowie odebrał.*

Marszałek odzyskawszy wzrok, tak mu do przewodniczenia Sejmowi potrzebny,— bo powinność przedewszystkiem była u naszych ojców,— u Ołtarza w pokorze ducha składa dziękczynienia.

IV. *JPan Stefan Grotkowski, Sekretarz J. Kr. Mości, ręki, którą niemógł władać, wziął zdrowie.*

V. *Solenna Processja introdukcji cudownego Obrazu N. P. RZYMSKIEJ (podobno później na STUDEŃSKĄ, zamienioną), po aprobachji od IV. N. J. X. Jen. Białozora Bisk. Wileńs. stu dwóch cudów, do Kościoła Soc. Jezu, przez X. Wojsznarowicza, Komisarza na to delegowanego, uczyniona r. 1664. 3 Sierpnia.*

Obraz ten przypomina kształtem swoim obszerne drzewo genealogiczne: płyną ludzkie po kondygnacjach od dołu do góry, żółtą drogą, wśród zielonej murawy: ogromny tłum pospólstwa wszelkich stanów Królewskiej Rzeczypospolitej: podgoleni kontuszowi Polonusy, szlachta, magnaci, mieszczanie, Rycerstwo, księża, hajduki, giermki,

poługacze; lizionomje nader rozmaite, oryginalne, pełne ekspresji staro-polskiej; otoż tu właśnie miał piękne pole malarz popisac się ze swoją znajomością mody ówczesnego kostiumu i krawieckiego rzemiosła: idą cugi koni, poczwórne i sześćcio-konne kolebki złociste; trębacze, muzyka, wielebny kapłan pod baldachimem, niosą Oflarz, gorą świece, zdaje się że słyszym uroczysty hymn, z tysiącem głosów ludu, biciem kotłów i litawrów.

VI. *Jmci Pan Jan Kotowicz, Kasztelan Wil., po uczynionym do tego N. P. Obrazu wotum, od chiragry i podagry, uwolniony.*

To osobliwsza, że we wszystkich tych malowidłach, figury są w całej postaci, od stóp do głowy malowane, i wszystkie we wnętrzach domostw, ze szczegółami ówczesnych sprzętów i architektury, oryginalnej formy. Oto np. ta dama wyniosłej postaci, w dystyngwowanym kostiumie, na wysokich korkach, żona, synowa czy córka, dość że wielką radość czuje i stoi przy łożu powracającego do zdrowa konwalescenta.

VII. *Jmci Pan Józef Tymiński, Pisarzewicz Ziemi Grodz., za przyczyną N. P. w tym Obrazie Matki żyjących, obumartych, cudownie do życia przywróconych.*

Tu też zgromadzeni starzy, z podgolonemi czuprynami, w sutych pasach, przy karabelach Polonusy otaczają cudownie ze snu śmiertelnego, powstającego Pisarzewicza. Na każdym obrazie, w jakiejkolwiek formie, zawsze musi się znajdować cudowny Obrazek N. P. *Studenskiej*, robiony grubo złotem malarskim na czarnym tle, na sposób bizantyńskich malowideł.

VIII. *Jmci Pan Krzysztof Zawisza, Starosta Miński,— cudownie, wezwawszy na pomoc N. P. STUDEŃSKIEJ z choroby powstał.*

Nie wiem jak się podoba czytelnikowi mojemu, ale co mnie to prawdziwie zajęły te malowidła, dokładne zwierciadła jednej chwili przeszłości naszej.

Oliaruję to opisanie zacnemu memu kolledze z pióra P. Krauszewskiemu, do jego *Ikonotheki*, którą się dopiero z taką gorliwością zajmuje, a do której mu ludzie, niestety! tak mało pomagają!....

Brodząc dalej bez celu po ulicach, szukając osobliwości grodzieńskich bez przewodnika, na *chybił trafił*, maszerowałem do Kościoła Dominikańskiego, gdy błysnął mi przed oczami dziwnie

piękny ekwipaż angielski, z czterema dziwniej piękności siwo-jabłkowitemi konikami. Był to cug P. Marszałka Niez..... Wyznam, że tak śliczny zaprząg i w Stolicy zwróciłby uwagę. Wszak i to jest postęp cywilizacji, równie jak wyborna kuchnia i wszelki *komfort* życia!... Nie prawdaż miły czytelniku?...

W Kościele XX. Dominikanów, kto ciekawy niech spójrzy na popiersie marmurowe Króla Stanisława Augusta, z napisem u spodu.

U XX. Bernardynów też jest po lewej ręce od wchodu tablica z herbami starożytnymi i napisem, którego wyczytać nie mogłem, ale upraszam, aby kto z Grodnianów z bystrzejszym wzrokiem spisał, i choćby na imie Redaktora tój książki przysłał,— za co ja, wypisany na tytule tego artykułu, podziękuję mu z wdzięcznością.

Razu jednego, dla poznania położenia miasta, poszedłem w nieznanne kwartały, i zabrąłem na *niższy rynek*, gdzie ledwie się przecisnąłem przez tłok żydowstwa i pospółstwa; taki rynek jest koniecznym dla każdego miasta; jak Palladium, jak Kreml, jak Zamek dawny obronny był niegdyś dla Rycerstwa, tak ten *tolkuczny rynek*, jest dla dzisiejszego pospółstwa koniecznym. Wybrnąwszy z błota i szturchańców,— kawaler stoliczny, chciałem użyć sentymentalnej przechadzki, zawróciłem więc na prawo ku Nieminowi, i ujrzałem się nagle pod wysokim, starym murem w zwaliskach, pod którym był skład wszystkich nieczystości miejskich; ale co za widok odkrył się po drugiej stronie głębokiego parowu, nad którego stromym brzegiem stanąłem: ostatnie promienie zapadającego słońca złociły wierzchołki krzewin otaczających ładniutki domek ubożego mieszkańca nad potokiem, który wił się w głębi parowu. Pomalowany na biało domek z zielonemi okienicami i czerwonym dachem, otoczony był małym ogródkiem, o ile dozwalała szczupła spadzistość pochyłej góry, u podnoża której stał domek. Ścieżki w ogródku wysypane były żółtym piaskiem, a po nich rażno biegała dziatwa: dym wesoło wił się z komina, i wszystko mi dawało wyobrażenie błogiego szczęścia i zadowolenia z życia mieszkańców tego małego domostwa. I cóż było ogniwem, łączącym ze światem i godzącym z ludźmi tego pracowitego robaka na bryle w głębi parowu, pod górą? Oto—nie więcej jak przestawanie na swoim, zgoda z wolą Bożą, myśl tylko: *daj nam dzisiaj*,—słowem, szczerę przekonanie o szczęściu w złotej mierności!... Cieszyło mię jego szczęście posiadania tego cichego domku, tego miłego, kwiatowego uchronku, dla jego miłej Bogu dziatwy, co wesoło igrała w ogródku. A czyż nie mógłbym ja sam tego wszystkiego posiadać, i to bez wielkich trudów i zabiegów?... Lecz fatalnym stęplem od kolebki naznaczyła natura ulubionych,—niewiem, czy przeklętych synów swoich!... od lat

młodzieńczych, jako *Wieczny Tułacz*, brną przez świat z niepohamowaną żądzą szczęścia, skrycie w duszach ich wrząca, lecz nieznajdując szczęścia w szczęściu istot pospolitych, wiecznie biega i biega do celu, który sili się osiągnąć potężny ich duch proroczy, a czego odwieczna walka z materją, osiągnąć im nie dozwala. W duszy ich goreje ideał który, jak ów ogień na morskiej skale, i w noc i we dnie spokoju im nie daje. I któżby mi wzbronił porzucić natychmiast to życie tułaczce, bez domu, bez rodziny, bez podziału uczuć, których pragnienie, tak gwałtownie pierś moją wzdyma! Ale nie! nie dla mnie to szczęście,— ja wieczny tułacz, wieczny przychodzień, wieczny gość wszędzie!... Dla mnie, nie ma spokoju, nie ma społeczenia, nie ma domku na ziemi!...

«Ja z gór zstępuję, doliny tuman pokrywa, a potok szumi i wzdyma się; ja dążę tęskny i cichy, a ciągłe westchnienia mi mówią: Dokąd i dokąd?

Ani tu słońce tak grzeje, ani tu kwiaty tak kwitną; gorzkie mi drzew tych owoce: słowa, co mówią, nie idą do duszy mojej,— ja jestem tu obcy dla wszystkich.

Gdzie jesteś, gdzież jesteś o kraju kochany, długo pragniony, niepozyskany nigdy! o kraju, o kraju! nadzieją zieleniejący!

O strono daleka! kędy kwitną me róże, kędy mię siostry z podróży czekają, kędy wspomnienia drogich mi prochów, kędy mi mówią pojętym językiem,— gdzież jesteś, gdzież jesteś, o ziemio!..

Ja idę dalej i dalej, tęskny i cichy, a częste westchnienia mi mówią: *idź naprzód i naprzód!* lecz głos tajemny mi gwarzy: «Pielgrzymie! tam znajdziesz swe szczęście, gdzie dotąd nie czyłeś!...»

(*Dalszy ciąg nastąpi*) *).

*) Szanowny Pan *Faustyn Wszędobylski*, który jak widzą czytelnicy z nazwiska, pierwszy raz zjawia się na horyzoncie naszego piśmiennictwa, przyrzekł nam swe współpracownictwo, do wszystkich następnych poszytów *Pamiętnika*. Znamy jego akuratność w rzeczach święta moralnego, i dla tego polegamy na nim, *jak na Zawiszy*. *Kaleidoskop* swój w dalszym ciągu podróży, naprowadza on na powiat Lidzki, i spotkanych tam obywateli, a wreszcie wy kierowyywa na Wilno i spisuje wiernie wrażenia tam odebrane. Do tych wrażeń łączą się zarazem i godniejsze uwagi, lub cielsawsze rzeczy, przy czytaniu dzieł lub rozmyślaniu kontemplacyjnym, zanotowane. Obok tej mozaiki kaleidoskopieczniey pod pręgierz swęj opinii podciągnąć zamysła pisarzy, a szczególniey pisarymów, których w ostatnich czasach pojawiło się u nas nie mało bez wieści publicznej, i dotąd bezkarnie uchodzą przed surowszą, i tak dla nich potrzebną, krytyką.

(*Przypis Redaktora.*)

Ja wiozę bywało, i strzegę, i tulę,
 Milutką istotę, com kochał tak czule—
 Ej słodkoż to jechać, gdy szczęście me przy mnie!
 Jest kogo utulać na wietrze, na zimnie,
 I gwarzyć, i marzyć, i prosić u Boga
 Ażby najdłużej przewlekła się droga,

Wiatr ciepły powiewa,— a zorza choć błednie,
 Od gwiazdek, od śniegu widaiutko jak we dnie.
 My lecim a lecim— po górze, po błoni,
 Nasz kulik szeleszeze, tępoce i dzwoni.

A tam gdzieś w pomroce— za milę czy dalej,
 Czy w chatkach wieczorne luezywo się pali?
 Czy gwiazda błyszcząca? czy wilk okiem mruży?
 Czy światło gościnnie, cel naszej podróży?—
 Malutka iskierka to błysnie, to znikła,
 Héj prosto na ogień slierować kulika!
 O! coraz ogniście zwiększają się kreski...
 To blaski od okien, to dworek litewski!
 Gospodarz nim zaśnie, nim światło zagaśnie,
 Héj! żywo przed ganek zajedziem halaśnic.

Drużyna drużynę serdecznie spotyka,
 A gwaruż tam gwaru!— bo radzi z kulika.
 A śmiechu-ż tam śmiechu! a szeptów do ucha!...
 Rominek przyjazném ogniskiem aż bucha.
 Wiceczera na stole— dzban w środku, jak słońce,
 A w koło pułhary jak gwiazdy błyszczące.

Wypiwszy, spożywszy z Bożego coś daru,
 Na nowo ochota do śmiechów, do gwaru.
 Gawędka i figle krzyżują się w koło,
 Poprostu, niewinnie, serdecznie, wesolo.
 Aż olina się trzęsą od hucznej awawoli,
 Od śmiechu szczeręgo aż bok cię zaboli.
 Wre w domu jak w kotle— bo młodzi i starzy
 Szczęśliwi na sercu, weseli na twarzy.

U starców łysiny węgryzmem się kurzą,
 Dziewicom jagody palają jak różą,

Ich oczki strzelają niewinnie lecz śmiało,—
 Aż serce w człowieku topnieje bywało.

Ej słodkoż to, słodko, znużywszy się potem
 Na wiązce murogu spoczywać pokotem,
 Usypiać dumając o przeszłej zabawie,
 I marzyć to samo, co było na jawie.

Lubilem to niegdyś— o Boże mój, Boże!
 Dla czego, gdy rękę na sercu położę,
 Tak bije mi tęskno, tak lży z oczu biega?—
 O! gdyby choć dzionek wesela dawnego,
 Ej hulalbym, hula!— daremna podnieta!..
 I jam już dziś nie ten, i pora już nie ta!

1846. 22 Listopada.

— — — — —

II.

WESTCHNIENIE MAJOWE.

Ot wesoly goniec, pieszczoch Boży-Maj,
 Ziemia z końca w koniec, jak rozkoszy raj!
 Kwitnie, woni, pieje, nosi wieniec z róż,
 Rozrzewnienie leje do szczęśliwych dusz.—
 Wieszczy syn przyrody, przyszedł serce wznieść,
 Cześć ci gościu młody! uroczysta cześć!

Błękit, ziemia, drzewa, wszystko zrzuca pleśń,
 Świeżą piękność wdziewa, nóci rzewną pieśń;
 Blyszczy gwiazda złota, xiężyc blaskiem drga,
 Tu chruściel skrzekota, a tu słowik gra.

O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
 Piej do duszy naszej, piej słowiku, piej!

Przemień serce, przemień, uroń piosnkę swą.—
 Nasze serce— krzemień, nasze oczy— szkło...
 Bo nad nami pono zimne chmury szły,
 Odretwiły lono, zamroziły lzy.

O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
 Piej do duszy naszój, piej słowiku, piej,
 Nóc twój śpiew uroczy, moc twych tonow dwój.
 Wróc mi lzy na oczy, wróc mi zapal mój!

Ejże! szczęśno było— póki młody szal—
 Oho skrå świeciło, w duszy ogień wrzał.
 Czy skąd pocisk grzotnie— czy zabraknie sił—
 Człek splakał ochotnie, i cierpienia zmył.
 Jam lzy szczęścia zlewał po odejściu chmur,
 Kochał, dumal, śpiewał, w twojój pieśni wtór.
 Dziś— duch jakiś we śnie wionął we mnie chłód.
 Miłość, lzy i pieśnie— skamieniały w lód....

O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
 Piej do duszy naszój, piej słowiku, piej.
 Piej, szczéhiozc przyjemnie, upajaj mój sluch,
 Rozbudź wtór twój we mnie, rozbudź śpiący duch.
 Bądź mi dobrym wieszczem, wieszczu wiosny ty!
 Niech Majowym deszczem z ocz mi trysną lzy.
 O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
 Piej dla duszy naszój— będzie duszy lżej.

16. Maja 1847.



M A R Z E C.



Otoż i Marzec! Za oknami jednak iskrzy się zima, promień słoneczny igra z gwiazdką śniegową; na kominku pełga ogień, a służący przygotowuje dla wyjścia szubę niedźwiedzią... Pamiętam, przed kilką laty na początku Marca, rwałem przelaszczki i fijołki na *Mogile Askolda* pod Kijowem, i przypatrywałem się rozbudzającej naturze południowej w zbyt sławnym ogrodzie *Zofijówce*....

Dziś w mojej rodzinnej stronie, jak raz o tój porze, cafun biały roztacza się, gdzie spojrzę; oto z okien mego cichego mieszkania widzę śnieżne wiszary *Zamkowej* i *Bekieszowej* góry: tam ani śladu roślinienia, ni przelaszczek, ni fijołków!... Może jeszcze potrwa zima, a tymczasem jak dziwna dzieje się przemiana wewnątrz nas samych i wszystkich istot organicznych!... Oto patrzcie! słabe i smutne dotąd roślinki w wazonach, nagle się zaczęły ożywiać, wybijać z pod włókna kielki i pączki na zawiązkach, pędzone jakąś niepokojącą, wewnętrzną siłą, wybijającą się gwałtem przez wszystkie pory roślinne. Jakże się pięknie rozwinął ten oto hijacynt na moim stoliku do pracy,— ten oto *amaryllis* na oknach mego przed ludźmi uchronku, albo te szeroko-listne bujne rośliny, które dzisiaj w porannej przechadzce do cieplarni Botanicznego Ogrodu widziałem. Dziwna dzieje się przemiana w zewnętrznej naturze, bez widocznego jednak wpływu dla oka niebadającego... Oto patrzcie! ziemia, w której tkwią rośliny wasze, nie zmieniła się od przeszłej jesieni,— woda, którą polewacie, z tój samej rzeczki-Wilenki,— powietrze, którym oddychają, w którym wegetują, nie zmieniło się ani o stopień temperatury,— bo komnaty wasze także zasklepione,— nawet promień słoneczny nie przedarł się do waszego mieszkania, ponieważ wasza kwatera nie jest na słonecznej stronie ulicy,— jakaż więc jest nieodgadniona, tajemnicza siła, która organiczne życie tak pobudza do ruchu?

Patrzcie! oto nierozłączne synogarliczki w swojej złożonej niewoli, stały się łaskawsze, weselsze, ruchawsze; dziobki swe skłaniają częściej ku sobie, częściej gruchają i skrzydełkami trzepocą, i nie nasępiają swych główek. Stary wasz wyżeł *Bekas* leniwie drzemiący u pieca, stał się nagle ruchawszy, podniósł pysk do góry. Ale nadewszystko kanarki wasze ożyły; wiertlawie i wdzięcznie prychają z przegródki do korytka; swawolnie zwieszają się w pierścieniu; śmiało stają u wiaderka z wodą, żalotnie wyciągają szyjki i zawracają główki, kąpią się i zwyczajko zstrząsają rosę kroplistą ze swych skrzydełek; dotąd albo mileżały, albo coś tęskno kwiliły, a teraz, słyszycie! naprzód scicha, żałośnie i tęskno, potem coraz głośniej i głośniej zawodzą owe czarowne pieśni, które was do dum pobudzają, i wam chce się zapytać u nich: «miłe ptaszyny, cóż w was taką radość obudza?»— Lecz nim się rozmówicie z niemi, spytajcie wprzód waszego małego Stasia... ale prawda, on wam nie odpowie, bo jemu zaledwo kilka miesięcy, lecz i on zmienił się widocznie... Więc spytajcie się waszój Maryni, dziewczynka to już dorosta i taka rozumna... I ona nie wie, zkąd w niej taka przemiana?— A więc spytajcie się samych siebie, wy, co wszystko na świecie wiecie! Od czego się krew w żyłach bystrzej krąży? Od czego potrzeba snu mniejsza, od czego w duszy waszój weselój,— w piersi lżej, do głowy cisną się z łatwością myśli, których przed niedawnym czasem wywołać z mózgu waszego nie mogliście? Może wasza sedenteryjna niemoc ustała?— Gdzie tam, ona się jeszcze powiększyła!.. O! więc wiem, musiałeś grosiwem kalitę nasporzyć?— Bynajmniej! zima ciężka, bez śniegu dowozu nie było, bydło zaraza wymiotła; ani browarów, ani wołów karmnych; pakt też nabiątu do Wilna na targi nie dał!— A! więc rozumiem, rozumiem teraz! Twojemu się samolubstwu na sejmikach powiodło! dawszy tyle tańczących wieczorów, po których tylko wyśmiany zostałeś, dobiłeś się nareście *marszałkowskiej* kreski?— Ale gdzie tam, dajże mi pokój, wszystkie moje *lody wtorkowe* stały w ich gębach nadaremno!— a porter zmienił się w podagryczną posokę!... Jak to! więc i teraz nie zgadłem! O! więc już cię więcej pytać nie będę... A więc spytajmy się wszyscy razem tych oto szczęśliwych kanarków, one odpowiedzą nam pieśnią, a jeżeli baczenie przysłuchamy się ich pieśni, to dowiemy się, że ta pieśń jest ich *modlitwą*!... Człowiek sam sobie nie jest w stanie dać tak jasnej, tak trafnej odpowiedzi....

Faustyn Wszędobyłski.

10 Marca. Wilno.

O STOSUNKU NAUKI Z KSIĄŻEK

D O

NAUKI Z ŻYCIA CZERPANÉJ.



L i s t

ALBERTA GRYFA.

D O

ROMUALDA PODBERESKIEGO

Po tak długim przeciagu, odbieram list od ciebie z Wilna; piszesz, iż opuściwszy stolicę, osiadłeś na stałe mieszkanie w Wilnie, i zająłeś się wydawaniem zbiorowego pisma na obszerniejszą niż dotąd skalę; z całej duszy pochwalam twój zamiar, szczerze pragnę powodzenia temu nowemu organowi skupiania rozpiezchłej myśli, i o ile mi siły i zajęcia, których mam nawet, pozwolą, przyjmę w nim czynny udział, od czasu do czasu dotykając żywotniejszych kwestij, społeczeństwo i literaturę naszą obchodzących....

Aby się ci wywzajemnić za opis twego sposobu życia, jaki prowadzisz dopiero w Wilnie, przykuty do swego redaktorskiego stolika, w ciszy twego gabinetu,— postaram się dać ci rys mego własnego życia na wsi, tém bardziej, że to podaje mi zarazem zręczność roztrząsnąć kwestję, którą żywo obudził we mnie artykuł leżący w tej chwili przedemną, traktujący o *nauce ze światu i życia*, i o *nauce z książek czerpanéj*. Ważne to pytanie,

tém więcej mię obchodzi, że nieraz było przedmiotem moich samotnych dumań. Pogarda dla książek i uwielbienie dla świata, było zdaje się, tematem, na który napisano ów artykuł; życie w świecie, a śmierć w księgach! zdaje się wołać tam autor nieustannie; porzućcie trupów a przejdźcie do żywych ludzi; nie na smętarzach, a w grodach żyć należy, nie tam pole czynów ludzkich, a tu, tu — gdzie wrą interessa żywotne społeczności ludzkich, gdzie się rozgrywa dramat życia narodów; tu jest miejsce dla każdego, tém więcej dla uczonego, dla człowieka myśli. Towarzystwo i ludzkość jest żywą księgą, księgą samego Boga; przystąpcie więc o ludzie myśli, i kornie zgiąwszy kolana, uczcie się czytać tę wielką Ewangelją żywota!... — Nie tych wyrażań używa autor, wszakże mniejsza o słowa! myśl jest prawie ta sama, a dla mnie to jest główna... Przeczytawszy to, każdy się zgodzi, że takie pojęcie nauki, jest najgłębszem jej pojęciem i każdy, dla kogo nauka nie jest czczem słowem tylko, porzuci księgi albo nawet wyrzuci je na śmieć, a wzięwszy z kąta kij i sandały pielgrzyma, pójdzie szukać nauki w pośrodku życia... Kiedym to czytał, było to zaraz po powrocie moim z miasta, gdzie bawił przez dwa miesiące prawie, w pośród kontraktowego hałasu; le dwom się znalazł w mojej izdebce, w której wszystko mi jest drogie, wszystko jest pamiątką; ściany w niej od sufitu do dołu zawałone księgami, a każda mi z nich przyjacielem; nie jedna, gdym od świata i życia przyszedł strapiiony, nie jedna z nich, mówię, dała mi pociechę i siłę, nie jedna wydobyla łzę z serca, gdy te wstrzymane dumą albo rezygnacją stoicką, pożerały ogniem wnętrzości. A kiedy ci mówię o moich książkach, to pozwól, że wspomnę o niektórych z tego wielkiego szeregu, którego początkiem są *Vedas*, *Biblia*, *Homer*, a końcem *Schleiermacher*, *Lamennais*, *Börne*, *Nieboska*; *Sakuntala* roztoczy ci życie starego wschodu; *Windischmann* albo *Auquetil-Duperron* jego mądrość; tu znajdziesz słodycz kwiecia myśli *Hellady*, dzieła boskiego *Platona*, tu znajdziesz najszczytniejszą, bo niebieskiej potęgi księgę — *Ewangelją*, a dalej utwory *genjuszu*: *Dant*, *Szekspir*, *Goethe*, a dalej *Hegel* i jego uczniowie, a jeszcze dalej *Tacyt* i naiwne *Kroniki* średnich wieków, a koniec tego rzędu zamykają prace *Ranke*'go, *Raumer*'a, *Guizot*'a, *Thiers*'a, *Michelet*'a, *Thierre*'go, *Quinet*'a.... Jeżeli ci się otworzy serce, i zechcesz zakosztować słodyczy uczucia, wtedy kwiecistym wieńcem otoczą ci skronie, kobiety-utopistki, *Staël*, *Sand*, *Bury*, *Rachel*, *Bettina*; ich *genjusze* jak niebieskie duchy nakłonią się nad tobą i swemi skrzydłami odwieją ci od czoła wszelką troskę, osuszą ciepłym oddechem gorzką łzę

oka, wejrzeniem ogrzeją zimno serca i razem z sobą podniosą cię wysoko po nad ziemię.... Takie jest życie uczonego-samotnika! Ale oto dochodzi go głos ze świata, przedarłszy się aż do jego zapyłonej celi: *«bez obcowania z mężami światłymi, bez wpływów życia towarzyskiego, bez spoufalenia siebie z żywotnymi podaniami społeczeństw, darmo staratbyś się samem czytaniem książek stać się uczonym mężem!* Nauki muszą być żywotne, muszą mieć jakiś udział absolutu, jakże też mogą one oprzeć się na środku tak względnym, jakim są książki!”— I oto cały mój raj ziemski zaczął tracić owe jasne, wesołe barwy; książki, co mi przedstawiały żywych przyjaciół z duszą i sercem, zaczęły się przemieniać w szkielety; znikły z anielskich twarzy te boskie uśmiechy, co mi rozweselały serce, bo na ich miejscu widziałem wyszczerzone zęby trupięj czaszki. Mój świat tak ludny zamienił się nagle w kostnicę, od której wiało chłodem grobu i trąciło trupem... A ja stałem samotny jak człowiek, któremuby wszyscy jego wymarli z moru, zostawując go samego! Cóż pocznę wśród tych gruzów i śmierci? pytałem siebie. Dalej do życia, dalej do świata; idźmy za powagą mędrca, co ci radzi uchylić czoła przed mężami światłymi,— idźmy do wpływów towarzyskiego życia, idźmy spoufalić się z żywymi podaniami społeczeństw... ale za nim miałem opuścić te ruiny przeszłego mego życia, chciałem jeszcze raz przed rozstaniem, podumać na nich chwilkę, bo i ze zwłokami przyjaciela, trudno jest na zawsze się rozłączać. Myślałem sobie potem: wołają mię abym poszedł obcować z mężami światłymi, ale któż są ci mężowie? Ten, ten i ten,— ale to są wszystko ludzie mający także swoje śmieszności i przywary: nawet myśl ich nie sięga bardzo głęboko, wszak znam ją dokładnie; oto w tej kupie spoczywają ich prace, które przeżyły siebie, a ledwo lat dziesiątek, jak się narodziły: a ich własna duma daleko więcej ich obchodzi, niż trwałość ich myśli; egoizm i pycha, to ich substrat; im-że to ja mam czołem uderzyć, błagając o naukę? Oni ludzie praktyczni, ludzie życia, myślałem znowu, im to być właśnie przewodnikami na drodze praktyki; ale w tém jakby chór śmiejących się szatanów przerwał mi wątek myśli; to ludzie praktyczni śmiali się tak z ich gospodarowania, z ich stanu interessów, ze wszelkich stosunków towarzyskich; ci mężowie praktyki nie mogli sobie poradzić w niczem; umieją pisać feljetyony i koniec na tém, a marząc o własnym jenjuszku, obudzili się w bardzo przykrym stanie pożycia. Wiem też jak trzymać o nich. A więc precz z tą radą! nie ugnę przed nimi czoła! Udać się do wpływów towarzyskiego życia, radzą jeszcze, do wpływów przed którymi nawet

w mojej celijce ukryć się nie byłem w stanie. Stosunki towarzyskie! o! znam ja was dobrze, bom człowiek, a żaden nie może się od nich oswobodzić; żyjąc nie można nie żyć z ludźmi; stanowiąc ogniwo wielkiego łańcucha, niepodobna nie czuć każdego elektrycznego wstrząśnienia, skoro masz czucie w sercu, i myśl w mózgu. Znam ja was stosunki towarzyskie! i ledwie ćwierć wieku przeżywszy, wolę żyć z molami niż z ludźmi; były czasy, kiedy serce rwało się do ludzi, kiedy szukało przyjaźni, tęskniło do miłości kobiety; dziś nic nie szukam w pośrodku świata, w nim bowiem tego znaleźć nie podobna, co sobie wymarzyło serce samotnika.

Ocieranie się z ludźmi nie przyniesie nikomu istotnych korzyści; najwięcej jeżeli da poznać ich słabości, wady, występki, zalety, czasem cnoty; oświeci w czémś moralistę (człowieka uczonego i myślącego) ale na tém koniec; nauka to niezawita, każdy ją mniej więcej pozna, ale nigdy dokładnie sam zbadać nie będzie w stanie, nie dójdzie do samej podstawy, bo jak w badaniu każdego innego przedmiotu, siły i doświadczenia jednej osoby będą aż nadto szczupłe i cząstkowe. Wielkie moralne i towarzyskie zadania leżą na dnie mass ludowych; są one jak drożdże, poruszające te massy do wzrostu i ruchu, do życia postępowego;— te to moralne i towarzyskie zadania, przechodzące do historycznych obrazów, musiał mieć na myśli autor, powstający na naukę czerpaną z książek, gdy mówił o spoufaleniu się z *żywotnemi podaniami społeczeństwa*, jako głównym warunku światła. Ale kiedy poznanie pojedynczych ludzi nie mogło być znakomicie pożytecznym człowiekowi pracującemu nad tém samodzielnie, cóż dopiero potrafi on zbadać, w tak wielkim zawodzie, jakim jest życie mass zbiorowe, jak żywotne podstawy bytu narodów? Samo przeświadczenie się o tém, że narody mają pewną rozumną zasadę bytu, która rządzi ich historycznym rozwinięciem się wymagała wielu zaciekań się; Vico, Bossuet, Turgot, Condorcet, Herder, Schelling, Hegel, pracowali nad wyjaśnieniem sobie tej myśli, która dotąd wielu jeszcze nie może dokładnie objąć rozumem i dójść do przeświadczenia o jej istocie, a o czém do ich czasów nikt nawet nie przebaknął; jakże też mógłby ktoś praktycznie, bez pomocy ksiąg badać coś takiego, o czémby wiedzieć nie mógł, czy jest nawet coś podobnego? Potrzeba więc było tu koniecznie przypuścić jakąś intuicją, jakąś naukę, albo zmysł wrodzony (*sciencia innata*), a co by to było takiego, nikt odgadnąć nie jest w stanie. Jest to przecież jakieś mistyczne pojęcie autora, który rad zawsze rozprawiać o nauce, co się nie nauką osiąga, a jakimś na-

technieniem, czego my profany nie pojmujemy. «Człowiek w książce nic innego nie zrozumie, tylko to, co już był przygotowany wiedzieć, a do czego nie był przygotowany jakimś innym środkiem, tego książka go nie nauczy, chyba że żyjący przewodnik czyli *słowo*, martwą księgę przemieni w źródło żywej nauki,» (mówi autor, którego imienia nie wspominam, bo tu nie o imię chodzi, ale o opinię). «Mało jest czytać, mówi dalej, trzeba mieć jeszcze przewodnika do czytania, a gdy go nie ma, osobisty rozum zostaje tym przewodnikiem. Jeżeli on jest tyle zdolnym, że godzi się mu powierzyć, a więc tę zdolność wydobyć musiał z kądś inąd nie z czytania książek.»— Tu zdawałoby się, że autor ma na uwadze, iż ten kto by bez przewodnika chciał się kształcić, nie wykształci nigdy samodzielnie umysłu; gdyby znowu autor nie twierdził, że ten sam przewodnik z kolei nie z książek, a z jakiegoś źródła musiał czerpać swoje światło. Zagadka znowu się wiąże i jej rozwiązanie pisarz ten nigdy nikomu nie poda, dopuszczając zawsze jakąś mistyczną intuicję, instynkt wyższy, którego wszakże w praktyce nigdy znaleźć nie możemy. Są ludzie wedle których, Książę Radziwiłł *Panie Kochanku* był doprawdy wysoce światłym i mądrym Statystą; jeśli tylko będziemy wierzyć, że wszystko czego się żarliwie dowodzi *doprawdy* z głębokiego przekonania wypływa. Do takich to kwestji należy także pytanie: «Czyli druk rozprzestrzenił oświatę lub nie?— kiedy właśnie on to wyrobił nowe życie Europy, odrywając nas od średniowiecznej cywilizacji. Któżby to się spodziewał w nasze czasy coś podobnego usłyszeć??

Ale wracamy do naszego przedmiotu, do pytania: *jaki zachodzi stosunek pomiędzy żywą nauką a nauką z książek czerpaną?* Autor cytowany nie daje nam jego rozwiązania, przyjmujemy więc sami trud ten na siebie i wykładamy w tym względzie nasze przekonanie następnie.

Zastanowiwszy się dobrze nad tém pytaniem, dójdziemy ostatecznie do jakiegoś punktu, gdzie dwa te rodzaje nauki schodzić się z sobą muszą,— do elementarnego jej substratu, z kąd się rozwija sama możliwość *idei wiedzy* w ogólności; będzie to więc kwestja *o poznaniu w ogóle*, kwestja nad którą pracowała ludzkość od czasów Arystotelesa; wejdą tu prace Bakona, Locka, Kondyllaka, Szkoły Szkockiej, Kanta, Fichtego, Szellinga i Hegla, wejdzie cała robota ludzkości, pracującej nad zbadaniem siły własnego poznania. Sama ta praca ducha nad swoją własną naturą, odśłania nam najlepiej, co jest nauka: jest to, rzec można, badanie rozumu przez rozum, jest to dążność ducha do połączenia

się, przeciskając się przez zewnętrzne kształty i szczegółowość przedmiotów, z ich duchowo-rozumnym substratem-idea. Siła umysłowa, czyli światło (*reflexia*) jest pojęcie się w sobie i po za sobą; ja indywidualne, — nie ja, — i ja absolutne, — oto są trzy wielkie premissa nauki, premissa dające się doskonale oznaczyć przez trzy ich wyrazy: *człowieka, świata i Boga!* Tu świat widomy i niewidomy obejmują się w wielkiej idei nauki — jako *poznanie się ducha!*

Nauka w jej całości i jedności jest processem samo-poznania uniwersalnego ducha, dążącego do *absolutnej* wiedzy; jednostka usiłując objąć ten ciąg samo-poznawczej idei, stara się oderwać od swojej indywidualności i zespolić z wyrazem ogólnego ducha ludzkości, co wszakże w taki tylko daje się dokonywać sposób, że ta cała massa historycznej idei zmieszcza się w indywidualizmie uczonego, tworząc odrębną i żywą całość, jaką mu nadaje samodzielność badacza. To *ja absolutne* i *ja indywidualne* koncentrują się, tworząc harmonijną całość, która nie pierwiej otrząśnie się z tej cechy indywidualności, aż rozkruszy się i powróci na nowo do ogólnej całości uniwersalnego ducha jako nowa korzyść w jego postępie, ruchu i życiu. Takie jest znaczenie indywidualności z jednej, i absolutnej idei z drugiej strony; ostatnie przez pierwszą tylko może żyć i w niej tylko może się posuwać do pełni rozwoju. Wszelka cześć i poważanie należy się indywidualizmowi, jako samodzielnej potędze poznania i woli; sam Bóg nie chciał w niczem naruszyć tej wysokiej cechy człowieka, jego więc obowiązkiem tu na ziemi jest głównie rozwinąć się na osobę, pojmującą się, jako rozumną, samodzielną jednostkę, czującą w sobie nieśmiertelnego, wiedzącego ducha, i szukającą przede wszystkim poznać prawdę, absolutną, wieczną, przedmiotową jak ona, prawdę boską w niebiosach, w pozaświecie swoje istnienie mającą; w wiedzy ludzkiej prawda absolutna indywidualizuje się; rozum przedwieczny — *słowo* (*λογος*) ożywa w piersi człowieka i podnosi go do dziedziny niebieskiej, do *BOGA...*

Rozwinąwszy w człowieku jego umysłowe władze czyli przyprowadziwszy go do tego, że się poczuje człowiekiem, urodzi się powtórnie duchem, jednostką samodzielną, natychmiast zacznie się w piersi jego dawać czuć tęsknota za czemś pozaświatowem, niewidocznem, bezwzględem, *boskiem* jednym słowem. Pod każdym kształtem będzie on szukał czegoś wiecznego; widoma natura będzie mu mówić o niewidomym świecie, a duch jego miejscem i czasem zawarowany, zatęskni za innym duchem, którego nie obwarować nie jest w stanie. W oczach takiego bada-

cza z po-zamieniającego się oblicza świata widomego, dla wzroku ciała— zaczną się oddzielać przed oczami ducha olbrzymie kontury świata wiecznej, absolutnej prawdy, pięknoty, dobra; tu zaczną migać mu przed oczami zasady i cele bytów zbiorowych mass ludzkości, a te massy które dotąd widziano okiem cielesnym, były tylko bezładną zbieraniną samych części, ukażą się przed tym nowym wzrokiem harmonijne, przejęte jednością żywotnej idei (zasady) wprowadzającej je w ruch i wiecznie zachowującej je przy życiu... To przeistoczenie stanie się właśnie za pośrednictwem zespolenia się indywidualnej myśli z duchami ludzkości przeszłej, z duchami, które zostawiły ślad swęj myśli i działania w pomnikach swych rodowych cywilizacji,— pomnikach bądź rytych, bądź pisanych lub też malowanych i skamieniałych... Te martwe głązy, te na w pół-zbutwiałe zwoje papieru przechowujące skamieniałe symbola ducha, ożyją na samo tchnienie ducha czującego się podwójnie, jako indywidualizm i jako potęga do absolutności wiedzy dążąca... Duch potomka zapala się płomieniem u zgliszcza swoich przodków— ludzi,— i patrz!— oto te popioły już gorą potokiem życia, tego to życia pełnego myśli i wiedzy, jakie się zajęło wtedy jeszcze, kiedy duch świadomości po raz pierwszy zawołał: *jestem!!*

Powiedziałem, iż dla tego, aby się to stać mogło, potrzeba było koniecznie natchnąć człowieka myślą, *odrodzić go duchem*, czyli spokrewnić go z *absolutnością*— jako celem moralnej egzystencji człowieka. Bez tego jakbyś niekształcił człowieka i życiem i książkami, choćbyś go po całej obwoził Europie, choćbyś go do niestrawności okarmił obiadami u Verego, okopcił dymem knastru prawdziwie burszoskiej fajki, choćbyś go nawet ożenił z jaką ubogą księżniczką z nad brzegów Adrjatyku— życia ludów wśród których jadł, pił i hulał nasz podróżujący badacz— byłyby całkiem dla niego zagadką; najwięcej jeżeliby powiedział coś o *kankanie à la Chaumière*, o jenjalnym wynalasku zamrażania szampana, albo podnosząc się wyżej, zapisał jakieś spostrzeżenia w tabletkach podróżnego o konforcie powozów na leżących resso-rach, o wąsach Suliego i o indyku z truflami, kosztującym 350 franków! Bez przesady dla materialistów choćby nawet uczonych— psycha narodów pozostałaby zawsze jakąś *chryzalidą* lub hieroglifem, którego treść niebyłaby domyslaną nawet. Wieleż bo to mówi o systematach narodowych, niepojmując nawet tego co mówią, sam bowiem ten wyraz nie godzi się wcale z wyznaniem raz poślubionych zasad; bez obiektywnego bowiem pojęcia idei, myśl taka jest nawet wyraźnym nonsensem; wszelkie rosprawy o

bycie numenalnym *) w takim stanie są najniestosowniejsze, jako *heterogenjalne* **).

Wracam do tego com piérwój namienił o wyrabianiu w sobie wyższej myśli, samo-poznawczego ducha, poczuwającego się samoistnie, jako indywiduum, jako część wielkiej zbiorowej całości—*człowieczeństwa*. Ta potęga, co go stawi na równi z naturą uniwersalnego ducha, daje mu zarazem klucz do zrozumienia wszelkich jego objawów w massach ludowych, daje mu takż ostatni wyraz wielkiego dzieła myśli postępowej ludzkości; wszelka wiedza będąc z ducha i w duchu, musi koniecznie postawić go u świecznika, z kąd wypływa wszelka światłość; to bowiem źródli-sko wiedzy, to życie ducha świadomego, jest właśnie owym numenalnym żywotem społeczeństw i ludzkości, owem *słowem*, o którym mówią nam nasi niezrozumiani wieszczce. Jeżeli wyrażenie: *człowiek w książce nic innego nie rozumie tylko to, co już był przygotowany wiedzieć*,— ma jakiegokolwiek znaczenie, to chyba to tylko, że pojęcie *żywym duchem* stawia nas w pośrodku realności świata, z którego płyną wszelkie objawy bytu i wiedzy, dążąc do swojej pełni, objawiającej się w absolutnej idei. Tu już nie księgi i nie biblioteki, ale *żywe słowo działa*; jakoż księgozbiór każdy przejrany oczami takiego męża, przedstawi mu jeden ciąg życia, bo przedstawi mu to tylko, co wyrobiła ludzkość do jego czasu, a to odbite i skupione w jego intelekcie, ogrzane życiem jego jenuszu, będzie przedstawiać jedno pasmo wielkiego historycznego processu... Oto jest prawdziwa nauka, nauka żywa, duchowna, innej nauki być nawet nie może, bo nie uważam za naukę jakies pochwytnane wiadomości i bajarstwo bez jedności i zasady!! Pełen słodczy Plato uważał naukę za pojęcie boskich rzeczy, a żeby tego dokonać, uważał za konieczne zrzucenie więzów ciała— tego grobu ducha, i uniesienie się w świat wiecznego życia; aby się precisnąć do tego duchowego żywota natury, bezwątpienia nie jeżdżenie po świecie i ocieranie się z ludźmi potrzebne, (bo to chyba za materjał dla karykaturysty postużyć może), ale zagłębiecie się nad dziejami świata, nad jenuszami ludów w ich mądrości, ustawach i piśmiennictwie odbitych, nad pomnikami ich kunsztów... Gdybym poznał wielu Panów Autorów, urzędników i obywateli— mógłbym przy pewnej znajomości charakterystycznej, chyba tylko poznać nowy jaki sposób gry preferansowej, bo jeżeli jest coś dodatniego w pisarzach, to się niezawod-

*) Pozaświatowym, nie mającym widocznego przedstawienia.

**) Sprzeczne z sobą, jako złożone ze sprzecznych pierwiastków. (*Wyjd.*)

nie odbiło w ich pismach; reszta może śmiało pozostać zakrytą, aż póki ktoś odstłoni to wszystko w pośmiertnej biografji, gromadząc nie nader pochlebne i zaszczytne rysy dla obrysowania tych wielkich ludzi; mamy przykłady tego na Bakonie, Bajronie i Goethym. Jeden tylko Russo wziął na siebie i *sam się* własną ręką oczernił. (*Confessions*).

Wewnętrzne samo-poznanie ducha indywidualnego ze stosunków z duchem obiektywnym ludzkości, wyrabia w sobie poznanie i przeświadczenie wysokiej świętości praw moralności absolutnej, które *człowiek* bierze sobie za zasady życia, za wiernych przewodzców postępowania... Wyrobienie sobie takich wysokich wzorów moralnych i ich namiętne, a bezinteresowne zamiłowanie, jakąś glorią świętości otacza poważne czoło męża, który zmieścił w swęj piersi ten świat doskonałości, z którego wysnuwa wątek swego życia, nadaje mu takie kolosalne rozmiary, co go dziwnie odznaczają w pośrodku egoistyczno-mirmidońskich celów i zabiegów zwyczajnego społeczeńskiego żywota. Obraz jego postępowania będzie całkiem różnym od zwyczajnego; powaga i prawność będą tu główne cechy czynów takiego męża, a wcale nieuśmiechająca się grzeeczność i układność salonowego panicza, która dotąd jeszcze, w pośród *wieku myśli* szasta się w tłumie i trąci nie mile odurzającym zapachem piżma... Pokażcie mi takiego męża, zapatrującego się na życie i społeczne stosunki z równie poważnego i wysokiego stanowiska; pokażcie mi to czoło opasane wieńcem myśli, ten wzrok, w którym się przebijają niebieska tęsknota za rodziną Chrystusową, a ja sam wtedy w imieniu wszystkich mnie podobnych, dobrowolnie opuszczę moją zapyloną celę, aby pójść uchylić czoło przed tą powagą cnoty i stanąć za tym moralnym przewodnikiem na drodze prawdziwej moralności. Ale dopóki życie nasze pozostanie maskaradą, w której będziemy mówić i pisać po chrześcijańsku, a działać po pogańsku, dopóki będziemy ludźmi w rozprawach, a pstrokatami pajacami w pożyciu—dopóty nie uwierzę w waszą wielkość panowie jenijusze, a szukać jej będę w Ewangelji, we własnej duszy i w dziełach przeszłości,— która odbiła w sobie choć częściowo wysokie wzory tego, co duch nasz w chwilach abnegacji i natchnienia lubi marzyć, zaludniając świat ten nie bajderami i jak zero opasłymi Lowlasami, ale jasnymi postaciami wybranych pańskich, których wzory postępowania kryją się nie w zmysłowości, lecz kreślą się promiennymi konturami w duchu od Boga im darowanym!!

Nie masz dwóch nauk! jest jedna tylko z ducha niebieskiego-powstała i ta do życia wiedzy prawdziwie ludzkiej i moralności

ustawnie nas powołuje; nie masz dwóch nauk, powtarzam! jest jedna tylko nauka życia i jej przedrzeźnianie. Już tę wielką prawdę pojęła była starożytność, wyrażając jej sens głęboki w mycie o Prometeuszu i Epimeteju; pierwszy wykradł promień boski z nieba i natchnął nim glinę, co się natychmiast w żywą postać człowieka przemieniła; a braciszek jego swoją własną istotą jedne mały tylko mógł utworzyć; on to z pudła Pandory wypuścił wszelkie nieszczęścia, zostawiając w nim tylko dla ludzi samą nadzieję! Ród Epimeteja śmieje się i skacze, a ród *natchniony* błaka się zadumany, patrząc w przyszłość i spodziewając się, że i jego plemię rozмноży się na ziemi i wycisnie z niej to potworne plemię bimanów!

Człowieka powinna cechować samodzielność rozwinięta z wnętrza, z ogniska jego ducha,— samodzielność, która go przez swoją potęgę uczyni *jednostką*; tam to świat powinien skupiać swoje promienie, które się ugrupują w około jedności ducha,— tej potęgi, co wysnuwa z siebie cały nieobjęty obszar stworzenia. Takie rozwinięcie się indywidualności ducha, Goethe przezwiał naturą (*Natur*); podług niego Italia, a Niemcy tylko na południu, mieli takich ludzi z naturą; północ uogólniała charaktery, zlewała ludzi w jeden odcień massy; na jej powierzchni rzadko kiedy wybiła się taka samodzielna potęga *natury*. Poeta musiał być koniecznie naturą; miał ją Szylle, — miał ją autor Fausta... Goethe dla tego potędze tej nadał imię natury, że tak jak duchowy substrat wszechświata tak i ta siła istoty ludzkiej rozwija się samodzielnie z siebie, sama sobie nadając kształt— wysoki obraz życia; na północy zewnętrzne warunki bytu, *konwencjonalizm* gra główną rolę, przykładając na wszystkich twarzach etykiety *des hommes comme il faut!* Nie świat nas, ale my świat przekształcać powinniśmy. Zdaje mi się, że Aleksander Humboldt mógłby w pewnym względzie przedstawić taki przykład w tym znaczeniu, jakie temu pojęciu Goethe nadał: człowiek który w duszy swej zmieścił wszystkie promienie duszy wszechświata i przyprowadził je do harmonji, jaką mu duch jego wyrobił,— *kosmos* (harmonja i jedność); jest to pieczęć ducha myśliciela. Wszakże natura tu będzie metafizyczna, bo samodzielność charakteru w moralnym poglądzie na świat i życie— w woli i czynie odbić się powinna: wtedy dopiero przedstawi ona przykład działającej potęgi!!

Cóż teraz mam począć? Mamże pójść dalej by szukać jakiejsi mistrzów i *ocierać się* pomiędzy ludźmi? Niepotrzebna praca! W pośród świata nie można się rozminąć z ludźmi, roją się oni wszędzie, ale w pośród tych tłumów próżnobyś szukał *samodziel-*

nej natury człowieka! Jój to może szukał z latarnią Diogenes na Agora w pośród dnia białego,— ale czego chciał, pewnie sam sobie z tego sprawy zdać nie mógł. W pośród nas chrześcijan żyją żywe kontury ludzkiego ideału, ale nikt niemi przejąc się nie może; ten wszczepiony w serca, dopiero wyda naturę, która będzie działać organizując massy wedle planów Chrystusa. Plastyczna starożytność wydała głowę Apollina belwederskiego, jako ideał kształtów cielesnych; Chrystjanizm natchnął postać tę bożym duchem, tworząc ideał *syna człowieczego*.

Na tym zatrzymałem myśli moje; oglądałem się na te ruiny, które porobiła koło mnie owa odezwa *praktycznego męża* wołającego do ogółu za sprawą żywej nauki. Te księgi leżące koło mnie, mająż doprawdy być trupem, smętarzem i kostnicą ducha ludzkości, nad którymi czerw' tylko i mól odtąd pastwić się mają? Nie! ja czuję w sobie siłę i potęgę ducha, co w treści tych foljantów znajduje pokrewne sobie myśli, badania i uczucia, poznaje je i dąży do nich, aby się zespolić z nimi w duchowém objęciu myśli! Ja tchnieniem piersi mojej ożywiam te kształty skostniałego świata przeszłości i one podnoszą się, gruppują i stają w porządku wieków: Mojżesz, Homer, Orfeusz, Pytagor, Sokrates, Plato, Arystoteles, dalej Apostołowie, O.O. Kościoła; jeszcze dalej Scott, Orygenes, Bruno, Baco, Dekart; tu Kant, Fichte, Szelling i Hegel, gwiazdzistym wieńcem otaczają moją jednostkę, treści ich życia skupiają się we mnie; ludzkość cała poczuwa się w mojej małej jednostce, ale ja nie ginę, czuję owszem, że jestem sobą i tylko sobą, sobą samym,— zostawując na stronie tych wszystkich, co chcą szukać nauki życia u mirmidonów, nie szukając jój wcale w absolutności ducha i jego wcieleniu w dziejach, gdzie ludzkość cała poczuwa się we własnem swojém jestestwie!!...

Mostyszczce.

1849 Marca 8.

SPODZIEWAJĄC się zrobić miłą Czytelnikom naszym usługę, donosimy, iż znajduje się w Wilnie do nabycia nader ozdobnie wydany portret JW. Arcy-Biskupa Djecezji Mohylewskiej, Metropolity Rzymsko-Katolickich Kościołów w Rossji KAZIMIERZA DMÓCHOWSKIEGO. Wizerunek ten zdjęty z natury nader trafnie przez młodego naszego Artystę P. *Bolesława Rusieckiego* kształcącego się w Akademiji Sztuk pięknych w Petersburgu, litografowany na kamieniu przez jednego z lepszych rysowników pracujących dla Galerji Ermitażu P. Dupressoir, i odbity na wielkim arkuszu, na Chińskim papierze, w jednej z lepszych Litografij Petersburskich. Cena jego jest r. sr. 2.

Za przesyłkę dodaje się po 25 kop. sr.

Można się adressować do Redakeji *Pamiętnika*.



PAMIĘTNIK

6

NAUKOWO-LITERACKI.

STEFAN

NO. 11 - OWONAH

PAMIĘTNIK

NAUKOWO-LITERACKI,

PISMO ZBIOROWE

UMIEJĘTNOŚCI, LITERATURY I SZTUKI.

POD REDAKCJĄ

ROMUALDA PODBERESKIEGO.



ZESZYT II.

Z widokiem Kalifornji nad brzegami Rio del Sakramento i głową Indianina ze Złotego-Okręgu.



W I L N O.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.



1 8 4 9.

PAMIĘTNIK

NAUKOWO-LITERACYJNY

PISMA WYDAWANE

W WILNIE W Drukarni Księżnej

POD REDAKCJĄ

ROMUALDA PODBERESKIEGO

Pozwolono drukować pod warunkiem, złożenia po wydrukowaniu
exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1849
roku 20 Kwietnia.

Cenzor, *Professor b. Uniwer. Wileńskiego*

Radca Kollegjalny i Kawaler,

JAN WASZKIEWICZ.



WILNO

Drukarnia Księżna

1849

ANIÓL STRÓŻ.

Legend a.

— — — — —

Późno w noc z balu, w świecącym się stroju,
Wróciwszy Zosia do swego pokoju,
Z tańczącym sercem, z myślą rozigraną,
Dziękować Bogu za radość doznana
Gdy do modlitwy przed spoczynkiem biegła,
Nagle swą postać w zwierciadle postrzegła.
Stała — żywiej zapłonęło lice,
Skromnie ku ziemi spuściła źrenice,
Stoi i myśli — i spójrzała z trwogą
Czy prócz niej w izbie nie było nikogo.
Widać w tym wzroku, że jakaś myśl cudza,
Jej samą dziwna, w sereu się obudza.
Stoi i myśli. — Jakaś niepojęta
Chęć, jakiś urok, tajemna ponęta,
Gwałtem jej kroki ciągną do zwierciadła. —
Już z ust i z myśli modlitwa wypadła.

W pełnym rozkwicie jej piękność dziewicza,
I blask spójżenia, i gładkość oblicza,
I miękkość bujnych warkocza pierścieni,
Ujętych wstęgą z gwiazdzistych kamieni;
I postać lekka, powietrzna, wiejąca,
Bez skrzydeł zda się ku Niebu lecąca;
I pierś, w nieznanym, lubym niepokoju,
Lekkiem się tchnieniem wznosząca z pod stroju;

Wszystko ją samą cieszy i zdumiewa.—
 Tajna się lubość po sercu rozlewna,
 Coraz w kryształe głębiej toną oczy:
 Im dłużej patrzy, tém obraz uroczy
 Coraz ją bardziej czaruje i nęci.—

Teraz raz pierwszy rozbiera w pamięci,
 Czułe zabiegi, pochlebne wyrazy,
 Względy, spojżenia, co jęj tyle razy
 Twarz mimowolnym rumieńcem oblały.
 Dotąd w prostocie skromnej i nieśmiałej,
 Widząc w nich tylko dobroć, pobbżanie,
 Bogu i ludziom dziękowała za nie.
 Teraz więc prawdę — teraz myśli inne....
 Były to holdy jęj wdziękowi powinne!—
 I lekki uśmiech — wesela — próżności,
 Nowego blasku przydał jęj piękności.

Jakaż mgła nagle wzrok jęj zasłoniła?—
 Twarz zadumaną ku ziemi skłoniła,
 Żywszem westchnieniem pierś chwiać się zaczyna —
 Jakaż myśl nowa?— Kochała dziewczyna.
 Młodzian, towarzysz jęj od lat dziecińczych,
 Wspólnik jęj zabaw, jęj uczuć niewinnych
 Pierwszy powiernik!... Rodzice weseli,
 Z pociechą miłość wzajemną widzieli.
 A ona? — ona! — w nim dotąd jęj cała
 Nadzieja, szczęście, ufność spoczywała.
 Często się sama dziwiła, dla czego
 Wszędzie jęj tęskno i nudno bez niego?...
 Czemu gdy przyjdzie, niechęca się płoni?
 Czemu się gniewa, gdy nie mówi do nięj?
 Czemu wprzód sama przemówić się wstydzi?..
 Chciałaby płakać, gdy go smutnym widzi;
 I nieraz nawet gdy wesół żartuje,
 Tak pełne serce, tak lży bliskie czuje,
 Iż, by je ukryć, ucieka, i nieraz
 Długo się, długo modli.— Ale teraz!...
 Dla czegoż teraz raz pierwszy dziewczyna
 Z upokorzeniem te chwile wspomina?—

Myśli jęj błądzą po balowej sali.
 Wszyscy się o nią w tanen ubiegali.

Gdzie tylko okiem rzuciła na stronę,
Spotkała oczy na siebie zwrócone.
Każdy chciał z jakąś pośpieszyć usługą —

Znów we zwierciadło spojrziała, i długo
Patrzy.— Dla czegoż miałaby, dla czego,
Tak dbać, tak bać się o względy jednego?
Gdy tylu innych!... hyle chęć, wzrok, słowo!—
O! tylko dzisiaj, z postawą surową,
Poglądał na nią zimno i nieczuło,
[to spojrzenie wesołość jej trudo!...

•Nigdy z ust jego tych słów uwielbienia,
•Nigdy tych względów, przysług, uprzedzenia!...
•Muszę być warta ich, gdy tylu innych!...
•Jużem też przecie wyszła z lat dziecińczych.
•Czy chce mną rządzić?— On nie mój brat;— cudzy,
•Jak każdy inny;— niech widzi jak drudzy!..
•Będzie się gniewał?— i cóż ztąd?— toć przecie
•Nie ja z nim jedna jesteśmy na świecie.
•Pójdzie?— niech idzie!— hylebym pragnęła,
•Może ktoś lepszy!...”— Tu się uśmiechnęła,
Lecz coś takiego było w tym uśmiechu,
Ze się go sama przelęknęła jak grzechu.
Chciała się cofnąć;— w ten lice jej zbladło.—
Jak mgłą się całe powlekło zwierciadło;
Krzyk skonał w ustach;— musiała pozostać.—
W zwierciadle drugą zjawiała się postać.
Nie ziemską— jasną, jako światło dzienne,
Śnieżyste skrzydła, i czoło promienne,
Lilię białą w jednej trzyma dłoni,
A lica, jakich oko nie widziało,
Były— czy prawda, czy jej się tak zdało?—
Do jej Kochanka podobne i do niej.

Strach ją ogarnął— w oczach się zaćmiło,
Krew pozimniała, i serce nie biło.
W tem ciche słowa do uszu jej płyną:
•Jam twój Stróż Anioł, nie bój się, dziewczyno!
•Jam twój Stróż Anioł, jam jest dusza twoja!—
•Cóż jest ta piękność, co tak wzrok twój ludzi?
•Piękniejszaś w oczach Boga, niżli ludzi,
•Dziewczyno! patrzaj, jaka piękność moja!—

•Kiedy się modlisz, co wieczór, co rana,
 •Ja twoje modły zanoszę do Pana.
 •Seraf z uśmiechem przed tronem mię stawi,
 •Z uśmiechem we mnie Bóg cię błogosławi,
 •I z Jego woli niosę ci w powrocie
 •Niebieski pokój i słodkie uczucie,
 •Którém twój Anioł z swym bratem się kocha.
 •Lecz od złych duchów idzie próżność płocha!—

•Dziewczyno! dziś się twój Anioł zasmucił,
 •Niewysłuchany od bram Nieba wrócił.
 •Widzisz tę białą lilję w mej dłoni,
 •Widzisz ten promień w okolo mej skroni;
 •Promień to Łaski, co nad tobą świeci,
 •W lilii obraz twych uczuć rozkwita,
 •A z nich twe czyny i myśli Bóg czyta!—
 •Póki blask świeci w całej swój jasności,
 •Póki kwiat kwitnie w całej swój białości,
 •Póty stróż Niebios, z uśmiechem wesolym,
 •Otwiera bramę przed twoim Aniołem.

•Lecz dziś, patrz!— blask się otoczył mgłą siną,
 •Kwiat więdnąc zaczął;— zgrzeszyłaś dziewczyno!
 •Zgrzeszyłaś! żaluj! popraw się!— masz porę!—
 •Kwiat jeszcze żyje, i blask jeszcze gore!”—

Skonczył— jej życie powracać zaczyna.
 Grzech myśli swoich uznała dziewczyna.
 Żal ścisnął serce— i łzami zalana,
 Twarz kryjąc w dłoniach, padła na kolana,
 I długo, długo, w swój modlitwie cichój,
 Odprzysięgała próżności i pychy.
 Aż gdy znów śmiało spójrzała dokola,
 Raz jeszcze swego ujrziała Anioła,
 Wznosił się w górę— lecz już kwiat był bielszy,
 I blask jaśniejszy, i Anioł weselszy.—

A gdy z kochankiem zmieniwszy pierścienki,
 Szła mu poprzysiądz na miłość małżonki,
 I przed ołtarzem stanąwszy nieśmiało,
 Modląc się w myślach, wzrok wzniosła ku górze:
 Anioł jej w kadzidl ulatywał chmurze,
 I błogosławił ją lilią białą.

A. E. O.

W IMIENIU

ALEXANDRY KURNATOWSKIÉJ.



*Wohl ist mir's, dass ich dich nicht verkannt,
Das ich gleich dich in der ersten Stunde,
Ganz den Herzensausdruck in dem Munde,
Dich ein wahres-gutes Kind genannt.*

GOETHE.

WIDZIAŁEM ciebie w tańcznym kole,
Uśmiech na ustach, radość na czole;
Wzrok twój był śmiały, ale łagodny,
Ruch twój był wdzięczny, ale swobodny.
Znać, że ci wewnątrz żadna z trosk życia
Nie psuła miłej chwili użycia;
Znać, że ci nie szło, by oczy ściągąć,
By swym tryumfem drugim uragać.
Bujalaś w tańcu, jak przed pogodą
Ptaszek w powietrzu, rybka pod wodą.
Ściagałem ciebie pomiędzy gronem,
Okiem i sercem rozweseloném,
I pomyślałem: to jest dziecianna
Swoboda myśli, dusza niewinna.

Słyszałem ciebie w wielu rozmowach.
Zawsze myśl szczerą była w twych słowach.
Znać, że masz w sobie sąd swój, nie cudzy,
Ani powtarzasz, co rzekli drudzy.
Nie brałaś za złe, że ci ktoś przeczy;
Znać, że ci idzie o prawdę rzeczy,

A nie uporna przy swém mniemaniu,
 Chętnie chcesz uleźć lepszemu zdaniu.
 I rzekłem sobie: w niej znać przebywa
 Szczerą chęć prawdy, duszą prawdziwą.

Byłaś w teatrze:— wzrok twój wlepiony
 W scenę, nie strzelał na różne strony,
 Twarz była wiernym duszy zwierciadłem;
 Z niej każde twoje uczucie zgadłem:
 Jak cię oburza, jaki żal budzi,
 Cierpienie dobrych, przemoc złych ludzi;
 I jak cię tryumf cnoty pociesza,
 I jak niewinna śmieszność rozśmiesza.
 Oddana całkiem temu co widzisz,
 Ni kłamiesz uczucia, ni się go wstydzisz;
 Myśląc o sztuce, nie o parterze,
 Śmiejesz się szczerze, i płaczesz szczerze.
 I rzekłem sobie: w tym się odkrywa
 I czyste serce, i dusza tkliwa.

Posłyszysz wprawdzie, jak świat w swęj mowie,
 Wesołość myśli płochością zowie;
 Jak szczerą mową i własne zdanie.
 Znaczą u niego złe wychowanie;
 Jak każde czucie uśmiechem tłumi,
 Lub je za oczy wyszydzać umi,ć,
 A mądrość swoją na tym zakłada,
 Żyć nie jak trzeba, lecz jak wypada.

Ty jednak zachwiać nie daj się trwoga,
 Idź zawsze swoją, a prostą drogą;
 Słuchaj nie tego, co gdzieś szyderca,
 Lecz co sumienie powie do serca,
 I żyj, pamiętna przykazań Nieba,
 Nie jak wypada, ale jak trzeba.
 Znajdą się ludzie, którzy wysłędzą
 Głęb' duszy twojej;— ci niech powiedzą:
 „Dobra jest, czuła, szczerą, cnotliwa!”
 Bądź nią, a dodasz: jestem szczęśliwa.

A. E. O.

Drezno 1836.



DO STASI CH.

W dzień Imienia.



Zyczę tobie, Stasiu droga,
Ażbyś nie przez cierpienia,
Lecz z łaski Bożej natchnienia,
Poznała, że oprócz Boga,
Wszystko jest marność na świecie:
I jak teraz w lat twych kwiecie,
Tak i w całym dalszym życiu,
Szukała, nie uciech tylko,
Co przyjdą i miną z chwilką,
A rodzą żal po użyciu;
Lecz byś przez ciągle ofiary:
Z pychy rozumu dla wiary,
Z egoizmu dla ludzkości,
Z żądz swych dla sprawiedliwości,
Z chwil znikomych dla wieczności,
Kupiła sobie u Tego,
Który jest Dawcą wszystkiego,
Szczęście, które się nie zmienia:
Pokój serca i samienia;
Jedną ziemskich trosk osłodę,
Jedną ludzkich cnót nagrodę,
Cechę tych, co już na ziemi
Pan obrał dziećmi swojemi.

A. E. O.

Dziewiętnie 1842.



Do...



Ty mię nie kochaj— będzie nam swobodniej
 Modlić się wzajem jako przyjaciele,—
 Na co nam miłość?— ja swobodny od niej
 Bez zgryzot serca, two losy podzięk.
 Chcę cię widzieć, i cieszyć się głośno,
 Ścisnąć twą rękę niedrażniąc nikogo;
 Nie jątrząc czyjaś zrenięć ukośną,
 Wyznać otwarcie że mi jesteś droga.
 Chcę w twoich chwilach smutku i niedoli,
 Czuwać nad tobą, i westchnąć głęboko,
 Śmiało zapytać: "ach, co tobie boli?"
 I lzy twe utrzeć, i rozedmurzyć oko.
 Na mej drodze, gdzie cierniska dosyć,
 Gdy mię zarani latorośl kolczata,
 Chcę głosem pewnym o ulgę poprosić:
 "Śpiesz przyjaciółko, poratować brata!"
 Wtedy się twojém podeprę ramieniem,
 Bez bicia serca, łagodno, i zimnie,
 Świat się niezgorszy, my niezarumieniem,
 Choć ja przy tobie, choć ty będziesz przy mnie.
 Niech drogę życia wraz z tobą przechodzę—
 A kiedy podróż ukończy się słodka,
 Niech oko nasze na ubiegłej drodze,
 Żadnych wyrzutów sumienia nie spotka.
 Dręcząca miłość, czyż dla nas zapewni
 Ufnęj, niewinnęj przyjaźni rokosze?
 Bądźmy jak bracia, przyjaciele, krewni,
 Na co nam miłość?— nie kochaj mię proszę.

Władysław Syrokomla



PRZYGODY CZŁOWIEKA,
KTÓRY SPRZEDAŁ SWÓJ CIEN.

— ❦ —
P O W I E S C A

FANTASTYCZNO-KALIFORNIJSKA.

— ❦ —
(Pomysł z Niemieckiego).

P... o szczęśliwej lecz utrudzającej podróży na morzu, dobraliśmy się nareście do portu. Jak tylko okręt nasz przybił do brzegu, zarzuciwszy cały mój majątek na plecy, przeciskałem się przez tłum ludu, aż póki niepostrzegłem szyldu zajezdnego domu, do którego wszedłem, ośmielony nie nader okazała jego powierzchownością. Kiedy spytałem o pokój, sługa zmierzwszy mię od stóp do głowy, poprowadził na najwyższe piętro. Poprosiwszy szklanki zimnej wody, chciałem aby mi wskazał mieszkanie bankiera Sobka.

— Za rogatkami od strony północnej pierwsza *willa* na prawo: obszerna, nowa, z białego marmuru, z kolumnami.

Było jeszcze wczesnie; rozpakowałem więc mój mantelzak, dobytek nowo-przenicowany z czarnego sukna surdut, ubrałem się jak mogłem najlepiej, wziętem listy rekomendacyjne i udałem się do człowieka, na którym spoczywały wszystkie moje nadzieje.

Przeszedłszy długą północną ulicę, postrzegłem ogromną kolumnadę, wyglądającą z po za zielonych gałęzi.

— Zapewna tam, pomyślałem.

Potem chustką od nosa otarłszy pył z butów, poprawiłem halszluch, i przeżegnawszy się pociągnąłem za sznurek. Drzwi otworzyły się i Szwajcar zapytał w przedpokoj: kto jestem i czego potrzebuję?— Poszedł i opowiedział, a ja miałem honor być zaproszonym do parku, gdzie bankier był wtedy z gośćmi. Po zadowoleniu, które jaśniało na twarzy, natychmiast poznałem gospodarza. Przyjął najgrzeczniej,— jak tylko może przyjąć bogacz człowieka biédnego, potem obrócił się, lecz tak grzecznie, że nie stanawszy tyłem do gości, list mój przyjął.

—«A! to od brata, dawno już nie miałem od niego wiadomości. Czy zdrów? Co tam słyhać?»

I nie czekając odpowiedzi odwrócił się do gości, a pokazując listem na wyniosłe miejsce, kończył mówiąc: tam właśnie mam zamiar dóm wybudować. Potem złamał pieczęć, ale nie przerywał rozpoczętej rozmowy. «Tak, zapewna, kto ma mniej niż miljon, ten jeszcze nie może nazwać się bogatym.»

—«Och, jakże to słusznie!» wyrzekłem z westchnieniem. To się mu podobało, uśmiechnął się do mnie i rzekł: «Zostań tu przyjacielu, może znajdę chwilkę udzielić ci niektórych myśli moich w tym przedmiocie, rzekł wskazując na list włożony już do koperty, i znowu obrócił się do gości. Podał rękę młodej damie, inni mężczyźni uczynili toż samo innym damóm; przerwana rozmowa znowu się zawiązała, i wszyscy udali się ku klombowi, osadzonemu różami.

W liczbie ich i ja, miłczkiem, niedokuczając nikomu swoim dowcipem, na palcach posunąłem się za nimi. Towarzystwo było w wesołym humorze; żartowano, śmiano się, mówiono z powagą o rzeczach dziecinnych, a podzięcinnemu o rzeczach poważnych; szczególnie odzywano się z obojętnością o nieobecnych przyjaciółach i stosunkach z nimi. Dla mnie wszystko to było zupełnie nowém; wielu rzeczy zgoła nie pojmowałem, a zanadto miałem wówczas frasunków na głowie, abym był w stanie rozwiązać owe zagadki.

Nareście przyszlśmy do różanego klombu. Prześlicznej Mery, królowej dnia tego, koniecznie chciało się samój zerwać gałązkę z różą; ukłóła palezyk, i szkarłat, jak pąsowa róża, ściekł po prześlicznej rączce. Straszny ten wypadek wzruszył całe towarzy-

stwo. W jednej chwili zjawił się angielski plaster. Ciężkawy, chuderlawy, wysoki i milczący staruszek, któremu dotąd niezauważał, zjawił się z boku, szybko sięgnął do wazkięj lecz długiej po kolana kieszeni swego szarego, staro-francuzkiego kroju fraku, dobył pugilaresik, i z niskim ukłonem podał damie gojący plaster. Dama przyjęła niepodziękowawszy, nawet niespójrzawszy na niego: rączka była przewiązana i wszyscy ruszyli dalej, ku wzgórz, z kąd był przepyszny widok na park i okazałą zatokę morską.

W rzeczy samej widok był zachwycający! Pomiędzy ciemnymi falami i lazurem niebios, migotała na horyzoncie biała plamka. «Perspektywę! zawołał Pan Sobek, i wprzód nim który ze służących poruszył się na ten wykrzyk, ów szary staruszek pokornie się nachylił, zapuścił rękę do kieszeni, dobył z niej ładną perspektywę i podał Panu Sobkowi. Pan Sobek natychmiast zbliżył ją do oczu i objaśnił gościom, że drżący w oddaleniu punkcik, jest to okręt, który przed dwoma dniami wypłynął, i teraz został przeciwnym wiatrem zatrzymany na przeciwko portu. Perspektywa przechodziła z rąk do rąk, ale niepowróciła do właściciela; z podziwieniem poglądałem na tego człowieka i pojąć nie mogłem, jakim sposobem tak ogromne narzędzie mogło się pomieścić w tak małej kieszeni; innym wszakże gościom to wcale nie wydawało się dziwnem, i na staruszka tyle zwracano uwagi, co i na mnie.

Podano lody i w drogich naczyniach rzadkie owoce z dalekich klimatów. Pan Sobek zrobił mi honor lekkim skłonieniem głowy i rzekł: «niech Pan skosztuje, tego na morzu nie dostać!» Odpowiedziałem ukłonem, ale on już z innemi rozmawiał. Goście chcieli usieść na darninie, na pochyłości wzgórza, naprzeciw malowniczego pejzażu, ale przeszkadzała wilgoć ziemi. «Jakby to było dobrze tu nam podestać kobierzec,»— rzekł któryś z gości. Zaledwo to było wymówione, już ręka staruszka sięgła do kieszeni, i on z całą pokorą i skromnością, wyciągał z niej przepyszny, złotem haftowany turecki dywan. Studzy bez oznaki najmniejszego podziwienia, jakby to była rzecz zwyczajna, wzięli dywan za końce, i rozstali go na wskazanem miejscu. Znowu pełen zadziwienia poglądałem, to na starca i jego kieszeń, to na kobierzec więcej dwudziestu łokci długości a dziesięć szerokości mający, i tak świetny, że aż oslepiął oczy: inni zaś nie okazywali najmniejszego podziwienia.

Bardzo byłem ciekawy wiedzieć kto był ów starzec, chciałem się zapytać, ale do kogoż było z pytaniem się obrócić? byłem

w tém zgromadzeniu więcej nieśmiały ze sługami Panów niż z Panami sług. Wreście nabrawszy ducha, zbliżyłem się do młodzieńca, który, jak się zdawało, nie był tak ważną figurą jak inni, i ciągle trzymał się na ustroniu. Spytałem więc z cicha: kto jest ów usłużny staruszek w szarym fraku staroświeckiego kroju?— «Czy nie ten, co tak podobny do siarczanéj zapałki?— Tak, właśnie ten sam, co stoi na ustroniu.»— Nie znam go wcale, odpowiedział unikając dalszej rozmowy młodzieniec, obrócił się i zaczął pytać o to drugiego.— Słońce zaczęło mocniej dogrzewać, i damóm zrobiło się gorąco. Prześliczna Mery od niechcenia obróciła się do staruszka, z którym dotąd nikt jeszcze ani słowa nieprzemówił, z dziwném pytaniem: «Czy nie masz tam u siebie w kieszeni namiotu?»— Z niskim ukłonem, jak gdyby mu oddawano honor niezastużony, sięgnął do kieszeni, wyjął płótno, kołki, sznury, goździki, słowem wszystko co potrzeba dla rozbicia wielkiego namiotu. Młodzież pomogła rozciągnąć płótno, i namiot zajął więcej miejsca niż kobierzec; wszakże nikt nieznajdywał tego dziwném.

Mnie samemu zaczynało to wydawać się mniej dziwném, mniej tajemniczym; ale cóż się ze mną działo, gdy wkrótce na żądanie gości, dobył z kieszeni troje angliczowanych koni... tak, powiadam wam, troje przeszlicznych, rosnących rumaków, z siodłami i rzędami!.. Wyobraź tylko sobie, dla Boga! wyjąć troje osiodłanych koni z téj saméj kieszeni, z której już był wyjęty pugillares, perspektywa, wyszywany kobierzec i namiot ze dwadzieścia łokci długości, z kołkami, goździami, sznurami!.. Wszak nigdybyście mi nie uwierzyli, gdybym się nie pobożył przed wami, żem to wszystko widział na własne oczy?— A sam staruszek wydawał się tak uniżonym, tak zażenowanym, tak skromnym, tak nie chcącym zwrócić na siebie uwagi innych! co do mnie, blada twarz jego od której oczu oderwać nie mogłem, wydała się tak przerażającą, że nie mogłem dłużej wytrzymać jego obecności.

Postanowiłem nieznacznie oddalić się z tego towarzystwa, co przy nic nieznaczacéj méj roli, zdawało się rzeczą nie trudną. Chciałem powrócić do miasta, a nazajutrz poprobować szczęścia u Pana Sobka i— jeżeliby stało odwagi, zapytać kto jest ten usłużny staruszek. Ach! gdyby się mi udało oddalić się wtedy ztamtąd na zawsze!..

Przebywszy szczęśliwie różane wzgórze, byłem już na odkrytej zielonej łączce, lecz z obawy być postrzeżonym w czasie przechodu przez trawę, obejrzałem się uważnie dokoła. Wyobraźcie sobie moje pomięszanie, kiedy postrzegłem za sobą czło-

wieka w szarj sukmanie, który prościutenko zmierzał do mnie! Zdjął kapelusz i tak nisko się pokłonił, jak dotąd przedemną jeszcze tego nie czynił. Ze wszystkiego było widać, że chciał mówić ze mną; z mojej strony byłoby nader niegrzecznie tego niezauważać. I ja też zdjąłem kapelusz, ukloniłem się i zostałem na słońcu z odkrytą głową, jak przykuty do ziemi. Poglądając nań z przestachem, byłem podobny do ptaka porażonego wzrokiem grzechotnika. Zdawało się też iż i on nie mnięj był zmieszany: nareście spuściwszy głowę i przywitawszy się jeszcze kilką uuiżonemi ukłonami, zbliżył się i zaczął mówić głosem cichym, niepewnym, jak gdyby błagał o jałmużnę.

— «Przebac śmiałości, że tak dziwacznym sposobem odważam się szukać pańskiej znajomości, lecz mam proźbę do Pana. Bądź Pan tak dobry...»

— Ale na Boga! mój łaskawy Panie, przerwałem mu z bojaźnią, w czym mogę być użytecznym człowiekowi, który... tu obaśmy się zmieszali, i jak się zdawało, obaśmy się podobno zarumienili.

Po chwili milczenia zaczął mówić dalej: «W krótkim przeciągu czasu, w którym miałem przyjemność nasycać się nieocenioną obecnością pańską... kilkakrotnie... pozwól mi powiedzieć... kilkakrotnie poglądałem z niewyrażonem ukontentowaniem na przesłiczny, precudowny cień pański, który z tak wspaniałą niedbałością, sam tego niepostrzegając, rzucał pod swoje nogi. Chcieliby wyrozumiałym dla mej może za śmiałej prosby. Oto raez mi Pan Dobrodzień ustąpić swój cień!

Zamilkł, a w mojej głowie zaczęło się przewracać jak we młynie. Cóż miałem czynić na tak dziwaczną propozycję? przedawać swój cień?! To musi być warjat! pomyślałem sobie, i głosem harmonizującym z jego uniżoną pokorą, odpowiedziałem:

— Mój przyjacielu, czyż ci mało twego własnego cienia, że chcesz kupić u mnie? Prawdziwie nierozumiem tak dziwaczne-go żądania!

— «Jest coś w mojej kieszeni, co nie wyda się dziwacznem, mój panie, i co przecie warte czegoś... ale przesłiczny cień pański oceniłbym nie potrafił.»

Pot chłodny zrosił moje oblicze; wspomniałem na kieszeń, i nie pojmowałem jak mogłem się odważyć nazwać go *moim przy-jacielem*. Dla poprawienia tego odpowiedziałem mu z całą grzecznością na jaką mi stało: mój dobrodzieju, wybacz pokornemu

słudze twemu: zdaje się że nie dobrze rozumiem Pana: jakim sposobem można przedać cię swój?...

— «Ja proszę tylko o pozwolenie na tymże samém miejscu podjąć okazały cię Pański i wziąć go sobie; a jakim sposobem to już do mnie należy. A w dowód mej wdzięczności niech służą do wyboru wszystkie moje osobliwości, które mam w kieszeni, jako: Kwiat Paproci, -Rozryw-Ziele *), Czapkę-Niewidzialną, Koberzec-Latawiec, Bóty-Chodaki, Pałki z Kobiątki, Obrusek z Obiadem, Wieczno-trwały-Dukat, ale co od wszystkiego lepsza, to Niewyczerpaną Kiesę!»

— Niewyczerpaną-Kiesę! zawołałem z głębi duszy, bo w tém jedném słowie on odgadł wszystkie moje życzenia i myśli. Głowa się mi zakręciła, a w oczach błysnęły dukaty.

— «Czy nie życzysz Pan sobie jęj doświadczyć?» Sięgnął do kieszeni i wyjąwszy zwyczajnej wielkości kiesę z dwóma krzepkiemi rzemykami dał mi ją w ręce. Porwałem, wyjąłem 10 dukatów, potem jeszcze 10, i jeszcze 10, i znowu 10,— nareście wyciągnąłem rękę ku niemu: Zgoda! zgoda! mój Panie,— za nią ustępuję ci cięj mój wiecznem, nieodwołanem prawem!

— «A więc targ dobity!»— rzekł starzec, śpiesznie ukląkł przedemną, wziął za głowę mój cię, i z zadziwiającą zręcznością zaczął go oddzierać od ziemi,— podjął, rozłożył regularnie, i nareście znowu zwinawszy, wpakował go do kieszeni. Po tej operacji wstał, pokłonił się raz jeden i drugi i poszedł ku różanemu wzgórkowi. Zdało mi się że na jego twarzy błysnął szatański uśmiech. Jednakże mocno ścisnąłem kiesę za sznurki; słońce rzucało do koła mnie jasne promienie, a ja— zostałem na słońcu bez cienia i myśli!...



Opamiętawszy się nareście, opuściłem pośpiesznie miejsce, na którym już nie było co robić. Pięrsze poruszenie było sięgnąć do kieszeni naładowanej złotem; potem okręciłem mocno rzemyki w około szyi i zawiesiłem kiesę na piersiach. Wy-

*) Ziele to znane jest w podaniach ludu naszego, szczególnie na Białej-rusi; ma wywierać wpływ na żelazo: między innemi kruszy zamki i hajdany więźniów.

szedłszy z parku, dobiegłem do gościńca i skierowałem się ku miastu. Gdy zamysłony zbliżam się do bramy nagle słyszę wołanie: «młodzieńcze, ej młodzieńcze, poczekaj! nie uciekaj!»— Obróciłem się: jakaś starucha wołała za mną: «obejrz się panie, straciłeś swój cień!»— Bóg zapłać, staruszek!— Rzuciłem jęj sztukę złota za ostrzeżenie i wszedłem do cieniściej allei. U wchodu do bramy, musiałem jeszcze wysłuchać uwagi szyldwacha: «gdzież to Mospanie, zostawiłeś swój cień? czy nie na pohulance z dobreimi kamraty?»— A tuż wołanie dwóch zadziwionych niewiast: «Ach! Matko Przenajświętsza! jakże to biedny człek być musi, kiedy on nawet i cienia własnego nie ma!»

To nareście zaczęło mi dokuczać i skrętnie wymykałem się od drogi na słońcu. Wszakże nie wszędzie mi się udawało, np. na szerokiej ulicy, którą przejść w poprzek musiałem. Jak na biedę szli wtedy żaki ze szkoły. Jeden z tych hullajów, garbusek, dostrzegłszy że niemam cienia, krzyknął i cała gromada tych wisusów zaczęła pędzić za mną, przypatrywać się i nareście obrzucać błotem i kamieniami, wrzeszcząc na całe gardło: «a tuś mi osobliwsze paniątko, przecież porządni ludzie cień mają zawsze przy sobie!»— Rzuciłem im garść złota, i przy pomocy litościwych osób, wpadłem do najemnej karety. Zostawszy sam jeden, zalałem się gorzkimi łzami. Rozpacz mię ogarnęła: dla czegoż, zawołałem w duszy, złoto przeważa wszystkie zasługi na świecie, dla czegoż cień na pozór nie nieznaczący, ceni się jeszcze wyżej od samego złota? Niedawno zrobiłem ollarę z uczucia własnej godności i przekonania, a teraz nawet oddałem cień swój za złoto! Cóż teraz pocznę nieszczęsny!

Byłem jak nie swój, kiedy kareta zastanowiła się przy mojej kwaterze. Strach mi było pokazać się przed ludźmi, i wstyd iść do komnatki pod strychem. Prosiłem aby przyniesiono moje rzeczy do karety. Z pogardą przyjąwszy nędzne zawiniątko, rzuciłem kilka sztuk złota i kazałem wieść siebie do najpierwszego hotelu. Hotel był obrócony przodem ku północy, przeto nie miałem się czego obawiać. Odprawiłem woźnicę dawszy mu sówicie na wódkę. Kazałem otworzyć najlepszy lokal z przodu i zamknąłem się sam jeden.

Jak ci się zdaje, czém zająłem się naprzód? Rumienie się przed tobą, kochany przyjacielu! Zdjąwszy z piersi cudowną kiesę zacząłem z palącą mię chciwością, wybierać garściami złoto, i jeszcze złoto, i znowu złoto, i wszystko złoto! rozsypywałem je po kamiennęj posadzce, stąpałem po niem nogami, i chciwie

przysłuchiwałem się złotemu dźwiękowi: biedna moja dusza uleciała w jego dźwięku i blasku. Bez odpoczynku sypałem, sypałem, coraz więcej i więcej, nareście zmordowany i spocony, położyłem się całym korpusem na złotą kupę, i w konwulsyjnych porывach tarzałem się i nurzałem w złocie. Tak mi przeszedł dzień cały, wieczór, nareście noc mię zacięła na kupie dukatów i sen zamknął moje powieki.

Tys mi się przyśnił wtedy, luby przyjacielu; zdawało mi się że jestem za szklannemi drzwiami twego gabineciku, i widzę jak siedzisz za swoim stolikiem do pracy;— po jednej stronie skielec, po drugiej wiązka zasuszonych roślin; przed tobą rozłożeni Haller, Lincusz i Humboldt: na sofie twój leży tom Goethe'go i *Zaczarowany Pierścień*: długo oglądałem na ciebie i na każdy przedmiot, potem znowu na ciebie, ty byłeś nieruchomy, bez życia, martwy.

Obudziłem się. Zdawało się, że było jeszcze bardzo rano. Zegar nie bił godziny: byłem cały jak zbity: pragnienie i głód paliły mię na przemian, gdyż od wczorajszego poranku kęsa w gębie nie miałem. Ze wzdargą i gniewem pchnąłem od siebie złoto, którym tak prędko przesyćło się głupie moje serce i niecierpliwiełem się, nie wiedząc co mam robić z memi dukatami. Nie podobnaż zostawić je walające się po podłodze. Zacząłem wpychać je do woreczka, ale gdzie tam!...

Checiałem je wrzucić do morza, ale jak na złość żadne okno nie wychodziło na morze. Musiałem uleść konieczności: z trudnością, obłany obfitym potem zacząłem znosić i układać je w wielkiej szalicy w gabinecie. Napełniłem ją prawie do wierzchu. Skończywszy, osłabiony padłem na krzesło, czekając póki wstana słudzy: pierwszy mój rozkaz był podać jedzenie i zawołać gospodarza.

Z gospodarzem naradzałem się jak urządzić moje pomieszkowanie. Rekomendował mi gorliwego i wiernego sługę Bendela, którego dobroduszny i rozsądny wyraz twarzy, do razu mi się podobał. I w rzeczy samej, dotąd przywiązanie tego człowieka było jedyną dla mnie pociechą w goryczach życia i łagodziło okropność mego położenia. Cały dzień pierwszy spędziłem na umawianiu się ze sługami, którzy oliarowali mi swe usługi, z szewcami, krawcami i kupcami, którzy poprzynosili swoje towary; zaprowadziłem gospodarski porządek, nakupiłem mnóstwo kosztownych rzeczy, drogich kamieni jedynie dla tego, aby choć cokolwiek zmniejszyć kupę złota; wszakże pomimo to wszystko, złoto moje wcale się nieumniej-

szalo. Położenie moje stawało się coraz przykrzejszém: zatrutowało się tęsknotą i niedowierzaniem; nie śmiałem stąpić kroku z pokoju, a wieczorem kazałem oświecić salon czterdziestą jarzęciami świecami, które gorzały do poranku. Wspomnienie o przykrém spotkaniu się ze szkolnemi żakami, nie odstępowało mię na chwilę. Ale potrzeba mi było koniecznie jeszcze raz spróbować opinii publicznej. Noce były jasne. Późno wieczorem narzuciwszy szeroki płaszcz i nasunawszy skrzydlaty kapelusz, wyszedłem z domu, cały drżący, jak zbrodniarz. Aby doświadczyć losu z przechadzającymi się po księżycu, nagle wysunąłem się z cienistej alei, która mię skrywała dotąd.

Oszczędź mi, kochany Przyjacielu, dręczących wspomnień tego co wówczas przecierpieć musiałem! Kobiety na mój widok, wyrażały głębokie politowanie. Ich uwagi równie dręczyły moją duszę jako i szyderstwa młodzieży i zuchwałość mężczyzn, osobliwie tych, co się odznaczeni pełnością i urodą, i którzy rzucali cień wspaniały i szeroki. Jedna miła, prześlizgująca się dziewczyna, idąca, jak się zdawało ze swemi rodzicami, którzy na moje szczęście patrzyli daleko przed sobą, nagle zwróciła się ku mnie,— i cóż?... Postrzegłszy czego mi brakowało, mocno się przestraszyła, opuściła zastonę na twarz prześlizgną, skłoniła ku ziemi główkę i w milczeniu poszła naprzód.

Nie mogłem dłużej wytrzymać. Gorzkie łzy polały się z oczu, serce moje wyrывało się gwałtownie, i ja staniając się na strony znowu zagłębiłem się w pomrocę nocnej. Nieraz musiałem się chwycić za krawędzie domów: tak były niepewne kroki moje. Powoli i późno dowlókłem się do kwatery.

Noc przeszła bez snu. Nazajutrz pierwszą czynnością moją było postać szukać człowieka w szarej sukmanie. Może się uda go znaleźć,— może i on, na moje szczęście, żałuje już swój kupi?— Zawołałem Bendela. Człowiek ten żwawy i bystry może go znajdzie, myślałem sobie; i z całą dokładnością opisałem człowieka, co opanował jedynym moim skarbem, bez którego życie było dla mnie torturą. Opowiedziałem mu czas, miejsce, gdzie i kiedy go widziałem; opisałem wszystkich razem z nim będących, a nareszcie dodałem: aby z największą dokładnością dowiedział się o Dolondo'wskiej perspektywie i naszym złotem kobiercu, o wspaniałym namiocie i skaro-gniadych rumakach, dla tego, że historia tego wszystkiego,— nie objaśniając mu jakim sposobem,— łączy się ściśle z historją niepojętego człowieka, na którego w owym towarzystwie wcale niezwracano uwagi, lecz który swoim zjawieniem się zniszczył spokój i szczęście całego życia mojego.

Opowiedziawszy to, zaczerpnałem złota ile mogłem zagarnąć garścią, i dodawszy klejnotów, zawołałem: Bendelu, oto— co tobie ułatwi drogę, i *niepodobne uczyni podobnem*; nie szczędź złota, jak ja go nie szczędzę,— idź i pociesz Pana swego dobrą nowiną, od której zawisł cały los jego.

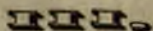
Poszedł,— lecz ku wieczorowi wrócił zasmucony. Ludzie i goście bankiera Sobka, zaledwie pamiętali o owym staruszk. Bendel rozpytywał wszystkich. Perspektywa wprawdzie tam się znajduje, ale nikt nie wie zkąd się wzięła; kobierzec i namiot są na témże samém miejscu. Służba przechwala się dostatkiem Pana, ale nie wie zkąd te kosztowne przedmioty. Sam Sobek z upodobaniem na nie pogląda, ale wcale nie ciekawy wiedzieć, zkąd się wzięły; konie, których młodź dosiadała, stoją spokojnie w stajniach swych panów, którzy pod niebiosa wynoszą szczodrość P. Sobka. Sobek bowiem podarował im one tegoż samego dnia. Szczegółowe opowiadanie Bendela, chociaż nieobjaśniło rzeczy najważniejszej, ale zastąpiło na pochwałę, za pełne gorliwości i rozsądku postępowanie. Ponuro skinąłem nań głową, dając znak aby mię samego zostawił.— Zdałem sprawę z poleceń pańskich, rzekł on, teraz pozostaje mi powiedzieć o szczególném spotkaniu się we drzwiach, kiedym wychodził z hotelu.

Oto są słowa nieznanego człowieka: «Powiedz P. Piotrowi Szlemil, że on mię więcej tutaj nie zobaczy; odpływam za morze i wiatr pomyślny w tej chwili przyzywa mię do portu. Ale za rok będę miał honor sam złożyć moje uszanowanie twemu panu, i wtedy pomówimy o innéj, równie ważnéj antreprzyzie. Oświadcz mu moje najniższe ukłony i tysiąc zapewnień o mojej wdzięczności.»— Na zapytanie co on za jeden, odpowiedział: «iż pan go znasz.»— Jakże wyglądał ten człowiek? zawołałem pełen wzruszenia. At sobie, niczego,— i Bendel opisał mi człowieka w szaréj sukmanie jak raz słowo w słowo, jak mu go opisałem, kiedy szedł szukać nieznanego.

— Niestety! był to on sam!

Jakby zasłona spadła z oczu Bendela: Tak, to był on sam tak, tak!— zawołał z boleścią. A ja ślepy głupiec nie poznałem go, zawiodłem mego najlepszego Pana! i zalewając się łzami, czynił sobie gorzkie wyrzuty. Rozpacz jego wzbudziła we mnie politowanie, zacząłem z nim mówić wesoło, upewniłem, że ani na jotę nie wątpię o jego wierności,— posłałem go potem do portu, aby gdzie tylko można, docierać śladów nieznanego. Ale tegoż poranku, wiele okrętów dotąd oczekujących pomyślnego wiatru,

wypłynęło na różne strony świata, i człowiek szary znikł jako cień znikomy!...



Na cóż się zdadzą skrzydła okutemu w tańcuchy? Bolesniejsze tylko obudzą wspomnienia wolności, i mocniej zatrują chwile rospaczy!

Leżałem jak krezus na kupie złota; brnąłem po uszy w złocie, a w duszy cierpiałem ubóstwo! Serce moje już nie rwało się do złota— przeklinałem go; ono mię pozbawiło wszystkiego, co mi było drogiem na ziemi. Skrywając moją tajemnicę, musiałem drzeć przed ostatnim ze sług moich: zazdrościłem mu nawet: on ma cień, on śmiało może wychodzić na światło. Pędząc samotnie dni i noce w zamkniętym pokoju, oddawałem się gwałtownej rospaczy....

Była wszakże istota, którą stan mój dotykał,— był to mój dobry, wierny sługa Bendel; dręczył on siebie tajemnymi wyrzutami, że zawiódł ufność moją, niepoznawszy tego, od którego cały mój los zależał. Ale czyż mogłem go obwiniać?

Chcąc spróbować wszystkich środków, posłałem razu jednego Bendela do pewnego sławnego Malarza: kazałem mu wręczyć drogi pierścień i prosić do siebie. Malarz jawił się na termin, kazałem odejść służącym, zamknąłem drzwi na zamek, usiadłem przy nim, i gdy on z zapałem zaczął mówić o sztuce swojej, ja z goryczą w sercu przystąpiłem do rzeczy. Rozumie się, że z góry wziętem słowo zachowania tajemnicy.

— Panie Professorze, rzekłem, czy nie mógłbyś swoją umiejętnością wrócić cień sztuczny człowiekowi, co przez nierozumyłość utracił naturalny?

— «Pan mówisz o cieniu zwyczajnym?»

— A właśnie!—

— «Czy podobna! jak można być tak niedbałym i niezręcznym, aby własny cień swój utracić?»

— Czy podobna?... O! to się stało bardzo zwyczajnym sposobem. I bez zarumienienia zacząłem mu kłamać: ów człowiek, wyobraź Pan sobie, przeszłej zimy podróżował po Syberji, i wyobraź Pan sobie, razu jednego mroz był tak silny, że aż cień jego przymarzył do ziemi. Dobywał ostatnich sił swoich, ale żadnym sposobem nie mógł go oderwać od ziemi.

— «Mogę wprawdzie wymalować cię szluczny, odrzekł artysta, ale przy najmniejszym poruszeniu można go znowu utracić, osobliwie człowiekowi, który tak słabo trzymał się swego przyrodzonego cienia. A przeto temu,— kto nie ma cienia, najwłaściwiej i najrozsądniej jest nie pokazywać się na słońcu.»

Wstał i wyszedł rzuciwszy przenikliwym wzrokiem, który mię przejął na skrós.

W takim położeniu zastał mię Bendel. Widząc smutek Pana, cicho chciał wyjść z pokoju. Spójrzałem,— serce pękało się ze smutku,— miałem konieczną potrzebę wylania się przed kimkolwiek. Bendelu! zawołałem, ty jeden widzisz i dzielasz moje cierpienia;— nie wnikając w przyczyny, ty w duszy mię pojmujesz, pójdź tu, do mojego serca, niech cię uściskam jako Przyjaciela!.. Nie ukrywałem przed tobą bogactw moich, niechże i tajemnica mojego smutku, nie będzie zakrytą przed tobą. Tylko nie porzucaj mię! Widzisz, jestem bogaty, niezależny, szczodry; nie sądź jednak, aby mi świat miał czego zazdrościć; tajemnica straszna ciąży nademną,— muszę unikać, muszę kryć się przed światem! Tak, świat mię osądził, świat wygnał mię z towarzystwa swego!— lecz może i ty mię porzucisz, jak skoro się dowiesz tajemnicy mojej?— Jestem bogaty, niezależny, szczodry,— ale o Boże! ja nie mam cienia!...

— «Pan nie masz cienia!»— zawołał przerażony, i tży potoczyły się potokiem.— «Biała mi! czyż na to mię Pan Bóg stworzył, bym służył człowiekowi bez cienia!»— zawołał i zamilkł, zakrywszy oczy rękami.

— Bendelu, rzekłem po chwili nieśmiało,— pozyskałeś ufność moją— i możesz ją teraz zdradzić. Idź— i całemu światu rozpowiedz!

Bendel był w widocznej walce z samym sobą; nareście rzucił się mi do nóg, chwycił moją rękę i oblał ją łzami— potem zawołał: nie! niech świat sędzi sobie co chce, ja nie mogę, ja nie chcę i niepowiniennem dla braku cienia, opuszczać mojego dobrego Pana; uczynię co radzi mi uczucie osobistej godności, ale nie rachuba chłodna; zostanę przy Panu, będę mu służył własnym cieniem moim; gdzie można będę go zastępował, gdzie nie,— przeniosę razem wstyd i płacz!»

Rozczulony takim dowodem przywiązania, rzuciłem się go uściskać; wierzyłem w jego bezinteresowność, wiedziałem, że czyni to nie dla złota.

Od tej chwili zmienił się los mój i sposób życia. Trudno przedstawić z jaką troskliwością i zręcznością Bendel starał się ukry-

wać mój niedostatek. Wszędzie i zawsze był on przedemną i zemmą,— wszystko przewidując i zgadując,— a gdzie groziło niebezpieczeństwo, szybko i zręcznie pokrywając swoim cieniem. Był sporęć urody i miał więcej ciała ode mnie. Takim sposobem znowu wszedłem w stosunki z ludźmi,— i zacząłem grać dość ważną rolę. Swobodnie i jawnie począłem wyrażać moje uczucia, mój charakter, a wiadomo, że wszelkie uczucia i wszelki charakter są do twarzy bogaczowi, i czém dalszą była ode mnie prawda, tém więcej odbierałem dowodów poważania i czci, odpowiednich moim dostatkóm. Obojętnie oczekiwałem naznaczonej chwili spotkania się z niepojętym starcem. Czuję dobrze, że mi nienależało dłużej zostawać na miejscu, gdzie mię widziano bez cienia i gdzie mogliby mię odkryć; pamiętałem też dobrze, zapewna tylko ja jeden, w jakiej postaci jawiłem się przed Sobkiem; to mi kamiczem ciężyło na duszy. Postanowiłem więc już tylko w tém mieście porobić próby, abym z większą pewnością mógł wystąpić w drugim; lecz wkrótce nastęczyła się nieprzewidziana okoliczność, która mię zatrzymała na miejscu. Była to miłość własna,— najstarsza strona serca ludzkiego!

Taż sama Fanni, z którą się spotkałem dopiero w inném miejscu, nie pamiętając, że mię kiedyś widziała, zwróciła na mnie baczną uwagę, bom został dopiero i rozumny i miły. Jak tylko zacząłem mówić, wszyscy dokoła z uwagą słuchają,— i sam się dziwię zkąd i jak bierze się ta wymowa, która pozwala mi nie tylko lekko i swobodnie wyrażać się, ale nawet daje śmiałość zabierać głos w kompanji i mieszać się do ogólnej rozmowy. Wrażenie, jakie uczyniłem na mojej panience, sprowadziło mię z rozumu,— a jej właśnie oto tylko chodziło,— i ja, pogardzając tysiącem niebezpieczeństw, ścigałem ją w cieniach, w pomroce, gdzie tylko mogłem ją zdybać. Pysniłem się myślą, że zmuszę ją być dumną ze mnie. Było to jednak urojenie samej tylko głowy którego, przy całej mój chęci, nie mogłem przeprowadzić do serea.

Ale na cóż utrudzać cię pospolitą powieścią pomiędzy ludźmi: ty sam mi nieraz cóś podobnego powiadałeś o innych. Była to stara, dawno całemu światu znajoma sztuka, w której ja dobrodusznie grałem śmieszna i godną politowania rolę; rozwiązanie wszakże jej było tak dziwne, jakiego ani ja; ani ona, ani nikt inny nie mógł się spodziewać. Jednego pięknego wieczora, jak zwykle, zbrali się u mnie goście w ogrodzie; zdala od wszystkich przechadzaliśmy się z Fanni, wsparta na mojem ramieniu, prawiąc sobie czułe komplementa. Poglądała w dał przed sobą, i spuściwszy oczy, odpowiadała lekkim uściśnieniem ręki: w tej chwili księżyc wyj-

rzał z za obłoków,— i Fanni postrzegła tylko swój cień rozciągający się przed nią.... Krzyknęła z przerażeniem, spojrzała na mnie, a potem na ziemię szukając oczami mego cienia; podziwieniem do tego stopnia zmieniło jej rysy, że byłbym sam rozśmiał się, gdyby zimny pot nie wystąpił na moje czoło. Puściłem jej rękę, ona zemdlała,— i ja, jak strzała puściłem się ku drzwiom, siadłem do pierwszej spotkanej karety i wpadłem do kwatery, gdzie wówczas, na moje nieszczęście zostawiłem Bendela. Przeląkł się postrzegwszy mię, ale jedno słowo objaśniło mu wszystko. Natychmiast przyprowadzono pocztowe konie. Wziąłem z sobą jednego tylko sługę Raskala, wierutnego łuluta, który dla swęj zręczności stał mi się potrzebnym: on nie wiedział o tém zdarzeniu. Pędząc przez noc całą, uleciałem mil kilkanaście; Bendel pozostał aby zapłacić gospodarzowi i służącym i zabrać moje rzeczy.

Nazajtruz doznał mię: rzuciłem się w jego objęcia i przysiągłem, nie— aby podobnego głupstwa nadal nie zrobić, ale przynajmniej być ostróżniejszym. Odtąd podróżowaliśmy szczęśliwie przez góry aż za granicę, a kiedy podniosły łańcuch gór skrył nas przed tą nieszczęsną ziemią, kazałem wieść siebie do wód mineralnych, aby odetchnąć po tyłu troskach i niepokojach.

IV.

W dalszym ciągu opowiadania zlekka tylko dotknę epoki, nad którą chciałbym się dłużej zastanowić,— jeżeli pamięć pozwoli mi ją żywo wskrzesić w wyobraźni mojej. Ale zbladły już farby, które ożywiały owe minuty, i któreby mogły im życie powrócić. Napróżno dziś szukam w mej duszy tęsknoty szczęścia, niewinnej iluzji,— uczuć tak wysoko ją wówczas nastrojających; napróżno uderzam w obumarłe łono: nie wytrysnie zeń już dzisiaj żywotowny strumień: opuściło go jego bóstwo na wieki! Inaczej się dziś zapatruję na czas ubiegły!..

W wodach nie udaje się mi zgrywać przyjętej roli jakiegoś salonowego bohatera,— i nowicjusz w tém nowém rzemiośle— mieszam się, zapatruję na parę błękitnych oczu i nareście rozkochiwam się po uszy. Rodzice, zwiedzeni pozorem, używają wszelkich środków dla zbliżenia końca,— i cała ta płochą igraszka— kończy się liną w nos!

Otoż i wszystko.

Dziś to mi się wydaje dzieciństwem, błazeństwem;— i rzecz dziwna!— dla czego dziś to widzę w takim świetle, kiedy wówczas tak rokosznie, tak żywo z tych samych powodów wzruszała się pierś moja. Minno, ilem też wylał kiedyś ciebie utracić, tyle płacę dopiero, straciwszy z tobą wszystkie moje kłliwe uczucia! Czyżem ja tyle sercem postarzał?... Niestety! jest to smutną prawdą... Gdyby choć jedno uderzenie pulsu, jak było kiedyś, gdyby choć jeden błysk ówczesnych złudzeń! Niestety! jestem jak człowiek sam jeden na przestronnym Oceanie, — od dawna już nie wre i nie iskrzy się wino w wypróżnionym kielichu!...

Wysłałem Bendela z kilką worami złota, aby wyszukał w małym mieście przyzwoitą kwatere dla mnie. Rozrzucił pieniądze, i o swoim panu, znakomitym cudzoziemcu, dawał niejasne odpowiedzi, gdyż życzyłem sobie zachować *incognito*. To było powodem dla pocziwych mieszkańców do tysiąca domysłów, i czém głupszy i podlejszy byli pomiędzy niemi, tém nikczemniejsze zamiary mnie przypisywali. Jak tylko w domu wszystko było gotowem dla przejechania, Bendel wrócił i puściliśmy się w drogę.

Po pół-godzinnéj jeździe, na oświeconym od słońca placu, tłum odziany w strój odświętny, zaszedł nam drogę. Musiano zatrzymać karete. Zabrzmiała muzyka: dały się słyszeć trąby, bębny, wystrzały z moździerzów: huczne *hurra!* potrząsło powietrze. Do drzwiczek karety zbliżył się chór wybranych dziewięciu nadzwyczajnej piękności, postrojonych w białe sukienki; ale piękność ich wszystkich nagle znikła przed pięknoscią jednej, jak nocne gwiazdy nikną przed słońcem. Wystąpiwszy z pośrodku towarzyszek ta cudna istota, splotiona niewinnym rumieńcem, zgięła przedemną kolana i podała mi na jedwabnym wężgłowie wieniec uwity z lauru, róż i oliwnych gałązek. Mówiła mi o wielkości, miłości i uszanowaniu: nie rozumiałem ani słowa, — lecz jej czarowny, srebrzysty głos upajał uszy i serce, — zdało mi się, że przedemną zjawilo się widzenie niebieskie. Chór zaśpiewał hymn pochwalny dobremu Królowi tej krainy, i szczęście jego poddanych.

I to spotkanie, luby przyjacielu; na odkrytém miejscu, w światły, słoneczny dzień lata! Na kolanach o dwa kroki zbliżyło się do mnie to ziemskie bóstwo: ja — człowiek bez cienia, nie mogłem przekroczyć tej przepaści, nie śmiałem zgiąć kolan przed tym aniołem. O! dla czegoż nie miałem wówczas mojego cienia! Musiałem w głębi karety ukryć mój wstyd, gniew i rozpacz!... Nareszcie Bendel potrafił znaleźć się za mnie; — wyskoczyłem przez

drugie drzwiczki, przywołałem go do siebie i podałem z koszyka, będącego pod ręką, drogą djademę, przeznaczoną kiedyś dla prześlizniętej Fanni. Wystąpił naprzód i objawił w imieniu swego Pana,— który podobnych honorów nie może ani żądać, ani przyjmować,— że to musi być pomyłka,— wszakże pomimo to, zacni mieszkańcy powinni być wynagrodzeni. Przyjawszy wieniec, na jego miejsce położył brylantową djademę. Potem z uszanowaniem podał rękę prześlizniętej dziewczycy, dopomógł jej powstać z ziemi i dał znak duchowieństwu, członkom magistratu i całemu orszakowi deputacji, aby się oddalili. Poprosił aby się lud rozstał i dał przejście koniom, potem sam wskoczył do karety i kazał pędzić w galop do bram miasteczka, ozdobionych liśćmi i kwiatami. Wystrząły z dział grzmiąły bez przerwy. Kareta zatrzymała się przy jednym samotnie stojącym domu. Szybko wyskoczyłem z karety pośród zgromadzonego tłumu i na złamanie karku rzuciłem się do drzwi. Huczne *vivaty* rozlegały się pod oknami, z których kazałem rzucać półimperjałami. Wieczorem całe miasto było oświetlone. Nie pojmowałem jeszcze, co to miało znaczyć i za kogo mię przyjmowano: i dla tego posłałem Raskala dowiedzieć się o tém.

Odpowiedziano iż wieść się rozeszła, że dobry Król tej krainy podróżuje *incognito* pod imieniem Hrabi **, że Adjutant jego był poznanym i takim sposobem zdradził i siebie i mnie, że z tego powodu nieograniczoną jest radość mieszkańców z oglądania mię w swoim mieście, że nareście zrozumieli, że chcę zachować *incognito* i dopiero żałują, że ośmielili się naruszyć moją spokojność. Wreście wnieśli sobie tak: że moje serce jest tyle dobrotliwe, tyle pobłażliwe, iż zapewna łatwo wybaczę im, przez wzgląd na ich szczerą miłość.

Mojemu ładaco sługusowi wydało się to tak zabawnem, że użył całej swęj wymowy, aby utwierdzić pocziwosłów w ich przekonaniu. Zauważywszy, gdy opowiadał przedemną, że mię to rozweseliło, dodał też o swoim fortelu. Szczerze wyznam, że mi pochlebiało, jakimkolwiek sposobem uchodzić za ważną figurę. Nazajutrz kazałem wieczorem w cieniu drzew pod memi oknami urządzić fetę i zaprosić wszystkich mieszkańców. Dzięki cudownej władzy kiesy i rostopności Bendela z pomocą Raskala, wszystko zostało należycie urządzone. Trzeba było dziwić się wspaniałości, jakby czarowną laską urządzonego balu. Wszędzie blask i przepych! Oświecenie obmyślono tak zręcznie, że mogłem zupełnie być spokojnym o siebie. Pozostało mi tylko podziękować moim służącym.

Nadeszła godzina balu. Goście zaczęli się mi prezentować. Wyraz *Najjaśniejszy Panie* nie był wyrzeczony, ale z głębokim ukłonem i uszanowaniem nazywano mię *Panem Hrabią*. Cóż było czynić? Podobał się mi ten tytuł, i odtąd zostałem *Hrabią Piotrem*.

Tymczasem w tłumie gości serce moje szukało tylko jednej. Nareszcie przybyła później od innych, z wieniec na głowie,— istna Królowa balu! Skromnie szła za rodzicami, i zdawała się wcale nie wiedzieć sama, iż była piękniejszą od wszystkich. Pan urzędnik z żoną i córką byli mi przedstawieni. Staruszkóm udało się mi nagadać wiele rzeczy przyjemnych i pochlebnych, ale przed córką byłem jak szkolnik, nie mogąc ani słowa przemówić. Zająkując się nareszcie wybełkotałem, iż życzyłbym aby spełniła obowiązki tój, której oznaki miała na głowie. Zarumieniona prosiła błagajacém spójrzeniem o litość, ale ja nieprzytomny jeszcze bardziej, uderzyłem czołem przed najpięrszą z poddanych,— chociaż jedno skinienie moje było dla wszystkich rozkazem.

Wspaniałość, blask, niewinność i wdzięki, skupiły się razem na tym balu. Szczęśliwi rodzice Minny dumni byli czią i honorami, okazywanemi ich córce: ja sam byłem w upojeniu. Wszystkie kosztowności, nabyte jedynie w celu umniejszenia nieznośnego złota, perły, kamienie, kazałem wysypać do dwóch złotych puharów, i w czasie obiadu, w imieniu Królowej balu, rozdawać je przyjaciółkóm jej i rówienniczkóm. A tymczasem złoto nie przestawało sypać się przez umyślnie urządzoną kratę na tłumy nie posiadające się z radości ludu.

Nazajutrz Bendel odkrył mi jako pewność, że podejrzenia które powziął był dawniej na konto uczciwości Raskala, dopiero ugruntowały się więcej. W wigilją balu, sprzątnął na stronę kilka worów złota.— Na co mu żałować złota, temu hultajowi, odpowiedziałem. Wszak rzucam każdemu kto się nawinie, dla czegożby i on nie miał skorzystać? Tymbardziej, że on i wszyscy służyli dobrze i przyczynili się do wesołego spędzenia dnia wczorajszego.

Więcej nie mówiliśmy o tém. Raskal pozostał najpięrszym ze sług moich, a Bendel przyjacielem. Przywykł on uważać bogactwa moje za niewyczerpane i nietroszczył się o ich źródło: zrozumiawszy moje uczucia i myśli, nieraz wynajdywał zręczność, aby pokazać i rozsypywać złoto. O owym bladym staruszk w szarej sukmanie wiedział tylko, że przez niego mogę się oswobodzić

od przekleństwa ciężącego nademną, i że zarazem obawiam się go, chociaż od niego zależy moja spokojność; że on może mię znaleźć wszędy i zawsze, a ja go nigdy! a przeto— dawszy pokój daremnym poszukiwanióm, z rezygnacją oczekuję chwili losem mi naznaczonej.

Okazałość fety i całe moje znalezienie się upewniło mieszkańców w ich początkowém mniemaniu.

Wkrótce jednak z gazet stało się wiadomém, że wieść o podróży Króla była bezzasadną. Lecz, że wszystkich Królów przed niedawnym jeszcze czasem trudno policzyć było, więc dobrzy ludzie, którzy nigdy żadnego Króla w żywe oczy nie widzieli, prorokowali to na tego, to na owego.

Hrabia Piotr więc przy swoim królestwie pozostał.

Jednego dnia pomiędzy gośćmi na wodach, zjawił się pewien kupiec, który aby się wzbogacić, ogłosił się bankrutem,— zresztą używał powszechnego szacunku i rzucał za sobą cień szeroki wprawdzie, ale nader przezroczysty. Zecheiało się mu popisac z ostatkiem swego bogactwa, i porównac się ze mną; ale w kilka dni zapędziłem w kozirog biedaka, że mu nie pozostawiało nic więcej, jak albo po raz drugi ogłosić się za bankrótą, albo wyruszyć sobie za góry. Wielu hardo-pyszków w tej stronie z mego powodu albo zostało łotrami, albo poszło z torbą po świecie....

Przy królewskiej wspaniałości i zbytku, któremi wszystko sobie podwładnem czyniłem, sam prowadziłem proste i skromne życie. Były użyte wszelkie środki ostrożności: prócz Bendela nikt pod żadnym pozorem nie śmiał wejść do mego pokoju. Jak tylko zaświeciło słońce, natychmiast zamykałem się na klucz z Bendelem, i to się nazywało: *Hrabia pracuje w swoim gabinecie*.— W ścisłym związku z tą czynnością byli kurjery, których posyłałem za każdą bagatelą. Wieczorem przyjmowałem gości albo w cieniu drzew, albo w salonie, rzęsiście i umiejętnie oświeconym. Kiedy wychodziłem, Bendel na krok mię nie odstępował, a wychodziłem tylko do cienistych sadów i jedynie dla obudzonego we mnie nowego uczucia, które odłąd stało się duszą mego życia.

O! dobry mój przyjacielu, spodziewam się żeś nie zapomniał co to jest miłość!— przeto zostawiam tobie samemu dopełnić resztę mego opowiadania. Minna była skromną, miłą, łagodną, godną najczystszej miłości: potrafiła zupełnie przywiązać mię ku sobie. W skromności swjej niepojmowała, czym mogła zasłużyć na moje

uczucia i z całym młodzieńczym zapałem niepokalanego serca odpowiedziała miłością za miłość. Ona kochała jako kobieta, poświęcając wszystko, zapominając o wszystkiém dla tego, który napełniał jej duszę i życie, nie troszcząc się nawet o własne swe szczęście: ona kochała prawdziwie. A ja— o smutne wspomnienie! (choć wasz powrót byłby tak pożądanym!) jakże często gorzkimi łzami zalewałem się na piersiach Bendela. Ocucony z letargicznego upojenia, z przestrawem spójrzałem na siebie i ujrzałem całą niegodziwość mojego postępku. Pozbawiony cienia, ze złośliwém podejściem niszczyłem pokój tego anioła, tej czystej duszy którą uwiodłem!— To chciałem ją porzucić, uciec od niej, przysięgając nie wracać więcej; to znowu zalewałem się łzami przemyśliwając z Bendelem, jakby ją ujrzeć raz jeszcze.

To znowu cieszyłem się nadzieją doczekać skoro odwiedzin staruszka w szaręj sukmanie, i znowu zaczynałem płakać widząc, że to były pfonne nadzieje, które napróżno usiłowałem w sobie obudzić. Wyrachowałem nawet datę dnia, w którym miał wrócić ten straszliwy starzec. «Za rok!»— powiedział mi, wierzyłem jego słowu.

Rodzice Minny byli to sobie poczciwi ludzie i bardzo przywiązani do jedynego dziecięcia swego. Wiedzieli co zaszło pomiędzy nami, a teraz nie wiedzieli co począć? Z początku im ani do głowy przychodziło, aby Hrabia Piotr mógł pomyśleć o ich córce: aż tu po niej jakim czasie postrzegają, że kocha ich córkę i wzajemnie jest kochany. Matka, kobieta dumna nie daleką była od przypuszczenia tego związku, miała nawet pewne widoki,— ale podobnie zuchwała myśl nie mogła powstać w roztropnej głowie męża. Oboje wierzyli w uczciwość moich uczuć;— cóż pozostawało im, jak modły do Boga o szczęście ich jedy-naczki.

Wówczas otrzymałem list od Minny, w którym wyraziła się cała jej dusza.

«Jestem słabą, ułomną kobietą,— z całej duszy mojej kocham cię, mój miły,— spodziewam się, że nie zasmuczysz biędnej dziewczyny. O! ty jesteś tak dobry, tak niewypowiedzianie dobry, że nie wezmiesz za złe mojej śmiałości pisania do ciebie. Błagam cię mój Aniele, nie poświęcaj się dla mnie. Ty nie powinienes z siebie robić dla mnie ofiary,— ja nie śmiem przyjąć od ciebie poświęcenia się.— mój Boże! znenawidziałabym samą siebie, gdybyś to dla mnie uczynił! Nie! uczyniłeś mię najszcze

śliwszą w świecie,— nauczyłeś mię kochać. Ale dosyć,— zostaw mię teraz. Los mój wiadomy. Hrabia Piotr nie może należeć do biédnej dziewczyny. Ja będę się pysznić, gdy usłyszę mówiących: «to był on,— on to uczynił,— on tego dokonał; tam go czcili,— tam go ubóstwiali.»— Wyznam, że kiedy pomyślę o tém, to gniewam się na ciebie, że przy tak gorzkim jak ja dziecku zapominasz o swoim wysokim dostojęństwie. Porzuć mię, inaczéj ta myśl zatruje lepsze chwile życia mojego, teraz,— przez ciebie jestem tak szczęśliwą! Czyż nie wplotłam do twego życia róż kilku, jak do owego wianka, który ośmieliłam się tobie ofiarować. Nie lękaj się mój miły,— opuść mię: ty żyć będziesz wiecznie w mojem sercu,— ja umrę— ale szczęśliwą, pełną twojej miłości!”

Możesz sobie wyobrazić jaką męczarnią było to pismo dla mnie. Wyznałem, że wcale nie jestem ten, za jakiego mię brano; że jestem tylko bogatym człowiekiem i zarazem najniešťliwszym z ludzi, nad którym ciąży straszliwe przekleństwo, które do pewnego czasu musi pozostać tajemnicą między nami, gdyż mam nadzieję odeń się wyzwolić. Wyznałem jéj że dziś myśl moję zatruwa, iż mógłbym wciągnąć w przepaść za sobą i tę, która jest jedynem szczęściem życia mojego. Ach! ona była tak dobrą, serce jéj było tak pełne miłości!— Gdyby ty jéj mogły mię ocalić, z jakąż radością onaby się poświęciła za mnie!

Ona mię długo nie pojmowała: myślała, że m książę na wygnanie skazany, albo jakaś inna ważna osoba. Wyobraźnia przedstawiała jéj kochanka pod prześlicznemi, heroicznemi barwami.— Jednego razu rzekłem do niéj: Minno! ostatniego dnia przyszełgo miesiąca, los mój musi się rozstrzygnąć i może się zmieni na lepsze, a jeżeli to nie nastąpi— ja muszę umrzeć, gdyż nie chcę widzieć cié nieszczęśliwą.— Łzami zalana skłoniła głowę na moje piersi.

—«Jeżeli los twój zmieni się, rzekła, daj mi tylko wiedzieć żeś szczęśliwy, niczego więcéj nie żądam od ciebie. Jeżeli będziesz nieszczęśliwy, podziel się ze mną smutkiem, pomogę ci znosić boleści onego.»

Kobieto! kobieto! weź sobie nazad to słowo, któreś nierozmyślnie wyrzekła! Czy ty pojmujesz całe jego znaczenie? Czy ty wiesz, co za los ciąży nademną? Czy ty wiesz kto jest twoim kochankiem? Czy nie widzisz jak z konwulsyjnym drzeniem skry-

wam przed tobą tajemnicę moją?— Płacząc rzuciła się mi do nóg, i zaklinając powtarzała swe proźby.

Objąsniałem się z ojcem Minny, który właśnie wszedł w tę chwilę.— Zamiarem moim było w przyszłym miesiącu prosić o rękę jego córki. Silnie nastawałem na ten termin zapewniając, że w tym przeciągu czasu mogą zajść rzeczy, które zmieniają moje położenie, lecz miłości mojej dla niej nic na świecie zmienić nie jest w stanie.

Łatwo pojąć zdziwienie staruszka, który to usłyszał z ust Hrabiego Piotra: rzucił się mi na szyję i sam się przeląkł jak mógł zapomnieć się do tego stopnia. Wątpił, rozmyślał, rozpytywał; potem zaczął mówić o posagu, o zabezpieczeniu, o przyszłości swego miłego dziecka. Podziękowałem mu za to przypomnienie i rzekłem: iż mam zamiar osieść na zawsze i żyć sobie szczęśliwie w tej krainie, gdzie pierwszy raz w życiu poczułem szczęście być prawdziwie kochanym. Prosiłem też aby na imię swjej córki wybrał jaki lepszy majątek z tych, które tam wówczas były wystawione na sprzedaż,— a należność wypłacić mnie pozwolił.— W takim razie ojciec najlepiej mógł usłużyć swojemu dziecięciu.— Jednakże kosztowało to mu nie mało, gdyż wszędzie uprzedzał go jakiś nieznajomy; nareszle jakoś udało się zachwyć majątek, wartujący miljon. To poruczenie z mój strony było niewinnym fortelem, aby go na czas jakiś oddalić od córki. Nie raz udawałem się do tego sposobu, gdy starzec zaczynał mię nudzić. Dobra zaś staruszka była głuchą i nie tyle próżną, aby chcieć bawić się z Panem Hrabią.

Nadeszła i matka; dobrzy ci ludzie zaczęli namawiać, abym wieczór ten z niemi przepędził, lecz nie mogłem pozostać dłużej, bo już okazywał się księżyc. A więc nazajutrz jak tylko zmrok zapadł, udałem się znowu do ogrodu. Zarzućwszy szerokie fałdy płaszcza i nasunawszy kapelusz, zbliżyłem się do Minny. Ujrawszy mię żywe zrobiła poruszenie: w myśli stanęła mi owa noc, w której pokazałem się bez cienia. Była to ona, lecz jakby mię nie poznała. Umilkła i zadumała się,— to mi padło ołowiem na piersi,— oddaliłem się,— i odtąd coraz częściej i częściej widywałem ją we łzach. I w mojej duszy stawało się coraz posępniej. Staruszkowie tylko byli w upojeniu.

Nadchodził dzień fatalny, posępny, jak piorunowa chmura.— Miało się ku wieczorowi: oddech mój stawał się coraz cięższy.

Troskliwie napełniłem kilka worków złotem i oczekiwałem 12 godziny. Siedzę wparłszy oczy w indeks, liczę sekundy, minuty, jakby uderzenia sztyletu, zrywając się za najmniejszym szelestem. Oto już okazuje się zorza; powolne minuty płyną jedna za drugą, przechodzi południe, wieczór, noc; indeksa śpiesznie posuwają się naprzód, nadzieja ożywia się— bije 11-sta— niemasz nikogo!— Oto pierwsze uderzenie zegaru,— otoż i ostatnie,— godzina 12-sta!.... Przeszły ostatnie minuty ostatniej godziny.... zalawszy się gorzkimi łzami, rzuciłem się w rozpacz do gabinetu. Nazajutrz— pozbawiony cienia na wieki— miałem prosić o rękę mojej narzeczonej. Niespokójny sen zaledwo o świcie zamknął moje powieki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIECZÓR PRZED BALEM,

C Z Y L I

LAFIRINDA.

— ~~***~~ —
Text Światowy.

BAL, bal w ostatni wtorek,
 Zapustowa zabawa!—
 Po mieście ruch faktorek,
 Po domach gwar i wrzawa.

Żony z mężami w zrzędzie:
 Aż Ta w płacz— aż Ten fuknie.
 Lecz co Ta chce, to będzie,
 Ten musi kupić suknię.

Wprawdzie swar się ponowi,
 Jak przyjdzie Święty Jerzy,
 Jak wypadnie kupcowi
 Zapłacić co należy.

Nawet być może gorzej,
 Dojść aż do palpatacji,
 Jeśli się wiesz położy
 Na liście licytacji.

Ale kiedy to będzie!
 A bal tuż, w przyszły wtorek.—
 Jak nie zasiąść w Pań rzędzie?
 Jak nie pokazać córek?

Zwłaszcza gdy— choć szlachcianka
 Z męża— z karty wizytnej,
 Urodzona Hrabianka
 Znaczną z mitry wybitnąj.

Zwłaszcza, gdy z wychowania
 Jest— (jak to rzecz ta sama
 Różne miewa nazwania!)—
 Świat mówi: „Wielka Dama.“

A my, my ludzie prości
 Od pióra, albo grzędę,
 Dajem takiej Imości,
 Nazwisko Lafirindy *).

Lecz w tym jednym wyrazie
 Jest jak zbiór zalet w treści,
 Jak ideał w obrazie,
 Światowej płci niewieściej.

Ze zaś kto może nie wie
 Co on właściwie znaczy,
 To mu w tym prostym śpiewie
 Samo się wytłumaczy.

Nie dość dla dostąpienia
 Tęj pięknej nominacji,
 Pańskiego urodzenia,
 Lub pańskiej edukacji;

Dopiero jedno z drugim
 Złączone w amalgamę,
 Tworzą staraniem długim
 Lafirindyczną Damę.

*) W dobrej pronuncyacji wyrazów z francuzka, *ia* wymawia się jak *e*.

(Przypis Autora).

Bo Bóg nie dał nikomu
 Rodzić się bez rozsądku:
 A tylko w pańskim domu,
 Można wnet niemowlątku

Dać Bonę, pedagoga,
 By przez najpiérwsze lata,
 Dzieło w niém Pana Boga
 Prostować wedle świata.

A tylko na nielada
 Pensyą i podarek,
 Dają się zwabiać stada
 Francuzek i Szwajcerek.

Ach! a bez nich, niestety!
 Przez żaden mus ni względy,
 Z żadnej naszej kobiety
 Nie zrobić Lafirudy!

Bo krew przodków nie woda,
 Bo nad świata przycinki,
 Śmielsza Polki swoboda,
 Szczersza tklivość Litwinki.

A tu właśnie rzecz na tēm,
 Wypłec wszystko przyrodnc,
 By módz zasiać jak kwiatem,
 Wszystko cudze, a modne.

W czēm jedynie się nadać
 Może metoda taka,
 Jaką się uczy gadać
 Papugę albo szpaka.

Naprzód, trzeba im płóra
 Póty strzydz i oplatać,
 Aż nalóg, jak natura,
 Oduczy je chcieć latać.

Potēm wciąż trzymać w ręku,
 Dzień i noc szeptać w uszy,

Aż w nich to pomaleńku
Własny rozum zagluszy.

Bo niechno raz, broń Boże,
Usłyszają gdzie głos ptaszy,
Żadne się już nie może
Nauczyć mowy naszej.

Znać, że gdy pamięć wznowi
Rodzinne, leśne śpiewy,
Wzgardy już ich nie wmówi
Nawet Mamzel z Genewy.

Tak trzeba i z Panienką,
Nim się całkiem wychowa.—
Nie prócz xiążki pod ręką,
Po polsku ani słowa.

Bo w tém największa sztuka,
W tém sekret i rzecz cała,
By xiążkowa nauka
Duszy myśleć nie dała.

By umiec ustrzedz serce
Przed tém wszystkiem, co ludzi,
Wrodzoną w niem w iskierce,
Miłość kraju i ludzi.

By w nie uczucie żywe,
Tak jak żywa myśl w głowę,
Nie weszły:— bo szkodliwe,
Jak pokarmy surowe.

I w tém talent Szwajcarek,
By serce i naturę,
Ususzyć na sucharek,
Przesmażyć w konfiturę.

I tak w tyglu nauki
Ulotnić duch i życie,
By nie prócz form i sztuki
Nie zostało w kobiecie.

Sposób na to jedyny,
 Jak pączek kwiatu główkę,
 Opleść w metrów godziny,
 Tak jak piersi w sznurówkę.

Wsadzić jak za klauzurę,
 I usunąć z przed źrenicę,
 Tak jak żywą naturę,
 Widok wolnych rowicnic.

Bo niech z niemi choć trochę,
 U siebie, czy gdzie indziej,
 Zabawi się, pokocha—
 To i po Lafrindzie!

Serduszko się wnet ruszać,
 Główna zacznie wnet marzyć—
 Próżno wtedy już zmuszać,
 Upominać i swarzyć.

Bo duch to zaczął myśleć,
 Gdy serce czuć zaczęło;
 A jak ducha określić?—
 I adieu całe dzieło!

To też jeden z powodów,
 Że tylko w nasze czasy,
 Mogą wśród pańskich grodów
 Dojrzeć te ananasy.

Bo tam się tylko godzi
 Gościa nie przyjąć w domu;
 Bo tam tylko uchodzi,
 Nie dać poznać nikomu

Żony swojej, lub dziecka;
 Bo tam tylko nie wiąże
 Z nikim przyjaźń sąsiedzka,
 Chyba kto Graf lub Xiążę.

A u Grafa i Xięcia,
 Pewniej niż u Sampanka,

Od kolebki dziecięcia
Anioł Stróż— Paryżanka.

Tak, że chociaż te dziatki
Wzajem się i odwiedzają,
Nie ujrzą nic prócz klatki,
W jakiej i same siedzą.

Drgnie zadanie walne,
Jak przez środki nauczne,
Wszystko co naturalne,
Zmienić w Pannie na sztuczne.

W kursie tego rodzaju
Grunt praktyka, nie wykład,
Aż przymus, ze zwyczajów,
Przejdzie w nałóg. Naprzykład:

Zamiast barw łąk i borów,
Cudów w świata obszarze:
Niech patrzy na sztych wzorów,
I rysuje pejzaże.

Zamiast ptaszek śpiewania,
Lub w naturze ech Boskich:
Niech ma nóty do grania,
Arye z oper Włoskich.

Zamiast letniej przechadzki,
Śród niw lśniących od złota:
Niech po taflach posadzki
Powtarza krok gawota.

I to metod ten ścisły
Trzeba chować dopóty,
Aż już tylko jej zmysły
Czuć będą: ucho nóty,

Oko tylko rysunek,
Nosek perfumy wonie,
Ach! a szczęścia warunek,
Serce tylko w salonie.

Aż cała na ostatek,
 Z myśli, z serca i z duszy,
 Nie stanie się jak kwiatek,
 Co się w xiążce zasuży.

Tu już kurs jest skończony
 Domowej edukacji.—
 Teraz świat i salony,
 Szkoła mody i gracji!

Dotąd myślano o tém,
 Jak uczucie w niej zabić,
 By już przez nie nikt potem
 Nie mógł serca jej zwabić.

Teraz drugą nauką
 Zdobia ją:— jak się zwabia,
 Z przystojnością a sztuką,
 Panicz, Xiąże lub Hrabia.

Ale już te sekrety
 Pójdźmy słyszeć z ust samej
 Doświadczonej kobiety,
 Lafirindy i Mamy.

Nadszedł zapustny wtorek,
 Zmrok, wieczór.— Ona siadła,
 Toalety dwóch córek,
 Wiszą z dwóch stron zwierciadła.

One stoją przy krześle,
 Ona wzrokiem je mierzy,
 Jak wódz biegly w rzemieśle,
 Swych przed bitwą żołnierzy.

Panienki jak jagodki,
 Prócz cer trochę niezdrowych — —
 I Matki uśmiech słodki
 Błysł z Damy lic surowych.

•No, Mesdemoiselles!— rzekła:
 •Macie już swych tancerzy.
 •Hrabini mi przyrzekła.
 •Twoim, Zosiu, *Comte Jerzy*,

•Twoim, *Comte Jean*, Emilko!
 •Potem w kolej przeciwnie.—
 •Pamiętajcież mi tylko,
 •By się trzymać nie sztywnie.

•Myście wciąż kto jesteście.
 •Jaki wasz ród i stan;
 •I że ja patrzę wreszcie.”—
 — *Bien, ma chère Maman!*—

— *Zaraz w dół spuścić oczy,*
 •Gdy tancerz co przemawia.
 •Bo to efekt uroczy,
 •Gdy się Panna obawia.

•Pozwalam się uśmiechać
 •Z *bons mots* Hrabiego *Jean*,
 •I broń Boże nie wzdychać!”—
 — *Bien, ma chère Maman!*—

— *Z Hrabią Jerzym rzecz inna.*
 •On zawsze mówi górnice.
 •Każda go z was powinna
 •Słuchać skromnie, pokornie.

•Po tańcu dygnąć wdzięcznie.
 •Lecz gdyby w tańcu stan
 •Zbyt objął, umknąć zręcznie.”—
 — *Bien, ma chère Maman!*—

— *Gdy z was którą zawoła*
 •Sama Pani Hrabini,
 •Twarz niech będzie wesoła,
 •Z uśmiechem usiąść przy niej.

«Naklonić ku niej ucha,
 «A gdy przemówi sama,
 «Niech każda ze czią słucha,
 «Bo to jest wielka Dama.

«Synami jój są oba,
 «Comte Jerzy i Comte Jean.
 «Róbcie, niech was podoba.”—
 — «*Bien, ma chère Maman!*”—

— «Gdyby z niższej młodzieży
 «Zaczął do was kto gadać,
 «Słuchać już też należy,
 «Lecz nic nie odpowiadać.

«Ja wnet w pomoc przybędę,
 «Skrócić wasz przykry stan,
 «I przerwać tę gawędę.”—
 — «*Merci, ma chère Maman!*”—

— «Teraz, nie tracąc pory,
 «Niech każda suknię mierzy.
 «Bo zapowiadam z góry,
 «Jak dwunasta uderzy,

«Tańca już ani kroku.
 «Stryj Prałat tego żąda.
 «I Hrabini, wiem z boku,
 «Krzywo na tych spogląda,

«Co tańczą lub jedzą,
 «Gdy post dzwonią już z wieży.
 «A chcą, niech ludzie wiedzą,
 «Że z was każda w post wierzy.

«Jutro też musim rano
 «Uwinąć się z kościołem.
 «Prałat ma mszę czytana,
 «I sam zawsze popiołem

•Chce posypać swe krewne;

•A od Xieni Ireney

•Słyszałam, że to pewne

•Lekarstwo na migreny.

•No! czekać mię w salonie!

•Idę ubierać głowę.

•Basiu! na ósmą konie,

•Kaź, niech będą gotowe!"—

Innocenty Staruszkiewicz.

—♦♦♦♦♦—

SZTUKI PIĘKNE.

UWAGI JANA MORACZYŃSKIEGO

O

MALARSTWIE RELIGIJNO - HISTORYCZNYM.

Z powodu sprostowania listu jego o audjencji u Papieża Grzegorza XVI. umieszczonego pomimo jego wiedzy w Athenaeum na r. 1842. Tom I. str. 222.

Gdy list mój pisany z Rzymu do familii donoszący o postuchaniu mojem u Papieża Grzegorza XVI. i przedstawieniu Mu Obrazu Ś. ROMUALDA w 1841. r. łaskawy i osobisty mój przyjaciel Pan T.... mimo mój wiedzy i woli z niejakimi odmianami w gazecie Lwowskiej umieścił; i gdy powtórnie ów list z Gazety Lwowskiej w Athenaeum Pana Kraszewskiego przedrukowany ujrzałem; wyznać muszę, iż niechętnie czytałem te przesadzone jakby samego siebie pochwały, i dla tego postanowiłem tę pomyłkę sprostować.

Być może, iż znajdowały się tam wyrażenia, którychbym dziś nie użył, lecz ów list pisany był do matki i krewnych, *tylko* w celu sprawienia im przyjemności, nigdy wszakże z tym zamiarem, aby na widok publiczny kiedykolwiek miał występować. Dla tego oceniając dobre chęci i przyjacielską ku mnie życzliwość Pana

T....., niemniej oświadczając Mu t \acute{e} m pismem wdzi \acute{e} czno \acute{s} ć, pragn \acute{e} sprostowa \acute{c} niekt $\acute{o$ re wyrażenia, tak co do faktu, jako te \acute{z} i co do okoliczno \acute{s} ci, czyni \acute{a} c tu do \acute{s} łowny wyci \acute{a} g z dziennika podr $\acute{o$ ży mo-
j \acute{e} j po Wł $\acute{o$ szech.

Dnia 28 Marca 1841 r. z Florencyi dyli \acute{z} ans \acute{e} m wyjechałem do Rzymu, w nader mi \acute{e} m towarzystwie znakomitego artysty Ammerlinga, niegdys \acute{m} mojego nauczyciela sztuki malarskiej, tudzie \acute{z} Xi \acute{e} dza Antoniego Sofliaty Superiora klasztoru Ormiańskiego, i pewnego włoskiego malarza, kt $\acute{o$ rego nazwiska niepomn \acute{e} . A gdyśmy się zatrzymali przed jednym domem dla zabrania jeszcze dwóch podr $\acute{o$ żnych, z rado \acute{s} ci \acute{a} postrzegłem, iż wsiadają do powozu dobrze mi pierw \acute{e} j w Monachium znani, Panowie Xawery Dowgiałło i Karol Jezierski, oba Polacy, pierw \acute{s} zy z Litwy, a drugi z Warszawy. Kilka te dni podr $\acute{o$ ży upłynęło nam najprzyjemniej. Światły X. Sofliaty opowiadał nam wiele ciekawych rzeczy o Turcyi i Armenii. Rysy dziwnie szlachetne poważnego starca, zdo \acute{b} iała piękna srebrzysta broda spadająca mu na piersi, a światobliwość Jego i nauka przejęły całe grono dyli \acute{z} ansowe, szczeg $\acute{o$ ln \acute{a} dla niego czci \acute{a} i uszanowaniem. Ja nadewszystko miałem najlepszą sposobno \acute{s} ć badania rysów jego w ka $\acute{z$ d \acute{e} j rozmowie i uczuciu, jakie się na twarzy malowało, bo siedziałem wła $\acute{s$ nie naprzeciw niego. Niekiedy w o \acute{z} wion \acute{e} j rozmowie piękno \acute{s} ć i szlachetno \acute{s} ć jego oblicza tak była zachwycająca, że oczu prawie oderwa \acute{c} nie mogłem, a gdy jeszcze zachodzące s $\acute{o$ nce za skaliste g $\acute{o$ ry Apenińskie ostatni raz strzeliło z \acute{o} ci \acute{s} tymi promieniami w szyby dyli \acute{z} ansowe, oblało cudownym blaskiem twarz szanownego starca; i gdy ten dobywszy brewiarz począł się modlić i wznio \acute{s} ł łzaw \acute{e} oczy ku niebu, natenczas ju \acute{z} byłem zupełnie oczarowany, patrzyłem jakby na obraz cudowny, wi \acute{e} c \acute{e} j powi \acute{e} m, patrzyłem jak na Świ \acute{e} t \acute{e} go.

Przez cały ciąg kilkodniowej podr $\acute{o$ ży starałem się uja \acute{c} go sobie, czyni \acute{a} c Mu rozmaite małe przysługi, a dojeżd \acute{z} ając do Rzymu ju \acute{z} otrzymałem przyrzeczenie, że mi do malowania za model posiedzi. Jako \acute{z} przybywszy do Rzymu w kilka dni, gdym sobie wynalazł i urządził pracowni \acute{e} , poszedłem do klasztoru Ormiańskiego i tam znalazłem X. Sofliaty. Przyjął mi \acute{e} uprzejmie, i powitał serdecznie; przypomniałem mu wtedy jego obietnic \acute{e} i o $\acute{s$ wiadczyłem, że przychodzę prosić o skutek, albowiem mam zamiar malowa \acute{c} z rysów jego obraz Ś. Romualda. Na co on z w \acute{l} asciw \acute{a} sobie skromno \acute{s} ci \acute{a} o $\acute{s$ wiadczył, wyznaj \acute{a} c się by \acute{c} niegodnym do tak wysokiego ideału; ale na usilną pro $\acute{s$ bę uległ nakoniec mo-
j \acute{e} j natarczywo \acute{s} ci. Zaprezentował mi \acute{e} Arcybiskupowi swojego Za-

konu *Monsignore* Papaziano, długo piérwój nieznanym mi językiem wschodnim z nim pomówiwszy. Ten bardzo uprzejmie i grzecznie mię przyjął, oprowadzał po wszystkich salach, abym wybrał sobie miejsce i światło stosowne do malowania; lecz gdy w ogromnych salonach nie było ani jednego stosownego miejsca, to jest: z oknem pojedynczém obróconém na północ, pomnę, iż natenczas jeden kapłan z orszaku Arcybiskupa,— który nawet sam, (jak mi to później wyznał) poświęcał się niekiedy malarstwu, lecz ze zbytniej skromności nie mi ze swoich prac okazać niechciał; ów kapłan oświadcza Arcybiskupowi, że nad klasztorem pod szklanym dachem, którego jedna strona obrócona na północ, a druga południowa zakrywa się matą, znajduje się dobre północne światło do malowania. We Włoszech bowiem, a mianowicie w Neapolu często się zdarza widzieć na domach małe spacerowe ogrody, gdzie w dużych wazonach prześliczne drzewa cytrynowe, pomarańczowe, palmowe, cyprysowe, i inne w skwarne lata przyjemny chłód czynią; widok z tych ogrodów na całe miasto i okolice bywa czarujący.

Po światłych, marmurowych bardzo wygodnych wschodach przychodzimy do tego ogrodu pod dach szklany. Rzeczywiście po zasłonięciu strony południowej dachu, światło było wyborne. Natychmiast wniesiono kanapę, krzesła, kłęcznik do modlitwy, i stary brewiarz, posłałem po farby i duże płótno. Gdy je przyniesiono, a Xiądz Superior ukląkł i gorąco modlić się zaczął; poczułem w sobie wiele zapału, i wzięłem się natychmiast do malowania. Arcybiskup tuż koło mnie siedział, kilka osób duchownych, orszak jego składających stojąc za kanapą w milczeniu, przypatrywało się mojej robocie.

Zostawmy ich na chwilę w tém prozaiczném wpatrywaniu się w mechaniczną część sztuki, a sami zajrzyjmy w jej ducha, rzucając kilka uwag odnoszących się do historyczno-religijnego malarstwa. Będzie to wprawdzie zboczeniem od rzeczy opowiadanej, wszelako pod względem użytku może być niejako matém ziarnkiem pożywném dla tych, których wyobrażenie o malarstwie historyczno-religijném nie jest dosyć jasne i prawdziwe.

Nie czyniąc konturu ołówkiem, wprost zacząłem malować, chwile bowiem takiego podniesienia uczuć, objawione w rysach twarzy modlącego się starca, są nader drogie, bo nigdy długo nie trwają, z powodu wątpliwych sił fizycznych. Owe to uczucia podniesione do wysokości potęgi, gdy wyjdą z duszy na zewnątrz, palą się słońcem na zenicie górowania ducha nad ciałem, wycieńczają siły jego fi-

zyczne i pożerają je, a z osłabieniem tych, owo słońce mroczyć się zaczyna i gasnąć. Bo człowiek nigdy za jednostkę ducha z ciałem czyli zewnątrz siebie całkowicie wyjść nie może, ale niestety! zawsze być musi w jedni z tym ciężkim zmysłowym ciałem! Takowe podniesienie ducha nad ciało wydziera mu jego berło i siły, a następnie ciało koniecznie słabieć i upadać musi, aż dopóki ducha napowrót z tej wysokości zenitowej nie ściągnie, aby weń wstąpił i ożywił je. W przeciwnym razie fizyczne życie uległoby zniszczeniu.

W tej to uroczej chwili walki, jeszcze nierozstrzygniętego zwycięstwa ducha nad ciałem, człowiek zwykle tracąc fizyczne siły, pochyla się w postawę pokorną i błagalną, już wycieńczenie całkowite się nastąpiło; wkrótce postrzeżesz łyż żalu i skruchy, nakoniec łyż miłości, i wdzięczności ku Bogu, ale już nie szukaj napróżno w rysach tego niebieskiego ognia, który prześwieślał z duszy, przez cielesne człowieka oblicze, w pierwszej chwili uniesienia, zapału, i gorącej modlitwy: nie szukaj na licach tego niebieskiego ognia, bo już go tam nie masz. On już odleciał do Boga, aby się rozlał jasnością w pokorze u podnoża tronu Jego, a na ziemi zostawił osierocone tylko w błagalnej postawie zmęczone ciało. O! wtedy najbardziej miej się na baczności, i pomnij o tym ciągle, że nie *kopijujesz* materialnego modelu z natury, lecz tworzysz ideał świętości, jakiego w zmysłowej naturze niema. Zbierz wszystkie siły swoje w jedno ognisko i podnieś ducha swojego jeszcze wyżej, aż do zenitu *tworzenia*, aż do tej wysokości, na jakiej ci w obrazie ideału twojego stanąć koniecznie potrzeba. A gdy nie masz tych silnych skrzydeł wiary, i geniuszu, gdy nie czujesz w sobie tej wyższej potęgi twórczej, porzuć dzieło abyś nie został bluźniercą, porzuć dzieło bo nie masz namaszczenia!

Ale i Artysta niemniej słabym jest człowiekiem, on również na siłach upada, bo ma do pokonania wielkie trudności; już w drugiej godzinie swjej pracy nie jest ani tak podniesionym ani tak ognistym jak w pierwszej. Tu rozum widoczniej wtrącać się zaczyna i brak uczucia dopełniać, bo widzimy, że w drugiej godzinie więcej już jest artysta racjonalnym, więcej rozumowym niż uczuciowym; atoli w wysokiej a prawdziwej sztuce, uważanej jako rezultat uczucia i rozumu społem, jako rezultat wywołany talentem lub twórczym geniuszem artysty; obie te siły po równi wzajemnie, i ciągle, wspomagają się powinny.

Kiedy zaś przez trud i czas w tej to krytycznej godzinie uczucie artysty omdlewać i tępieć zaczyna; wówczas tym silniej budzi się zimny rozum, czyli rozumienie, które niestety! tak jest

indywidualne, tak blisko z zaślepieniem i z zarozumieniem styka się. Bo jakież rozum ludzki nieśmiertelnego ducha należycie zbadać, pojąć i wydać potrafi, jeśli nie względnie do tego ducha, jaki jest w nim? Od tej to granicy człowiek albo w niebo lecieć, albo na dół spadać zaczyna.

Z uśpionem albo zmęczonem uczuciem pod wpływem tylko indywidualnego rozumu działający artysta, zwykle poprawia się w rysunku, kształci nadobne formy, nieznacznie rozbudza w sobie miłość ciała i formy zmysłowej; a odwraca się od miłości ducha i jego właściwej expressyi, której już ani dostrzega, ani czuje. Niekiedy nakłania się do pewnej szkoły, której jest zwolennikiem i wpada w obrzydliwy rodzaj *manierowania*. Artysta bowiem przede wszystkim ma być jak każdy inny filozof, swobodnym i wolnym od wpływu czasowości człowiekiem, ma być razem Chrześcijańskim mędrceem aby ducha zbadał, poetą, i artystą, aby go oddał duchowie i poetycznie; nie zaś rzemieślnikiem zmysłowym, pod-rzeźniaczem, i ślepym naśladowcą jakiejś czasowej szkoły, albo kopiistą natury; bo inaczej nigdy prawdziwym artystą być nie może. Nigdy nie może być twórcą rzeczy duchowej takiej natury, jakiej sztuka historyczno-religijna wymaga. Bo jakież piętno na niej położy, jeśli nie indywidualne osobistości zmysłowej, albo piętno gustu wiekowego lub szkoły, do której eechu należy, i której w wieczne zapisał się poddaństwo.

Bynajmniej nie jestem tego mniemania aby błędów, które w zapale natchnienia wkrały się do mechanizmu materialnego sztuki, nie sprostować; mówię w *zapale natchnienia* spowodowanego wystąpieniem i objawieniem się sobie wzajemnie tych dwóch duchów na zewnątrz, to jest: natchnionego duchem świętym modlącego się człowieka, i natchnionego duchem twórczym Artysty; owszem później sprostować to koniecznie należy, lecz nadewszystko na *czas* i *sposób* pilne należy dać baczenie, to jest: aby nieoszacowanej chwili natchnienia nie trwonić na rzeczy próżne i mało znaczące, — *na sposób* zaś, aby zachować pewną ilość, miarę, i granice. Wszakże jeśli niebaczni za daleko posuwamy takowe sprostowania, otrzymujemy wprawdzie poprawniejszy rysunek, kształtniejsze formy, ale razem z nimi tracimy i to ogniste uczucie, które się w pierwszej chwili nieoszacowanego natchnienia w obraz przelało. Dla tegoć to artyście, który się zabiera do malowania rzeczy religijno-historycznych, ani jasne pojęcie przedmiotu i celu, ani też wszechstronna wiedza mechanicznej części sztuki nigdy na zawadzie stanąć nie powinny. W przeciwnym razie, albo się biedzić będzie z formą i treścią, — bo jej obrazowie i jasno w swo-

jém pojęciu nie widzi, ale wtedy dopiero sztuka jakby poomacku, w tój drogiój i stanowczej chwili, kiedy mu rzecz już dobrze wiadomą tworzyłoby należało, albo-li też co gorsza ugrząznie w materjalnej formie mechanicznych trudności sztuki; wtedy, gdy nią jeszcze wedle swego natchnienia, woli, i potrzeby, nie włada. Słowem, na którykolwiek z tych szkopułów natrafi, zawsze się rozbije i pożądanego nie otrzyma skutku. Albowiem w pierwszym razie uczyni tylko kształtną, lecz drewnianą bez życia i świętości figurę; a obraz nie będzie miał namaszczenia, w drugim razie chociażby też i wielkie podobieństwo wydał do znużonego, cielesnego modelu człowieka; będzie to raczój niewolniczą kopiją ludzkiej natury, ale nigdy podniesionym do wysokości duchowej, ideałem, to jest: nie wyda ani Chrystusa, ani świętego.

Wywołanie ducha na zewnątrz czyli obrazowanie ducha, jest celem sztuki,— a gdy duch ten przybiera rozmaite upostaciowania, tak też i rozmaite formy odpowiadają temu celowi.

Duch boży oblewa całą naturę i ożywia ją, jest myślą Twórcy ukrytą w każdym żyjącym i nieżyjącym przedmiocie, przez który się był jój objawia wszędzie, zawsze i na każdym miejscu, a prześwieśla z materji przez tyloliczne w części tylko zbadane, a zaś powiększój części niedocieczone własności ciał. A jeśli Artysta tój Bożój myśli ukrytój nie pojmuje, cząsteczki jój nie wydobędzie i nierozjaśni w swój sztuce, i po mistrzowsku nie wyda, to już swojego posłannictwa nie spełnił, a następnie, i nie osiągnie zamierzonego celu. Naprzykład, widzimy to w krajobrazach, w których własności drzew i roślin nie są pojęte, ani też prawdziwie wydane, własności płaszczyzn tak nikałych w głębi obrazu jako też wychodzących na piérwszy i drugi plan, ani co do ich wielkości, właściwój im formy i stopniowania, ani co do rozmaitej grubości *powietrzn*i je oblewającej, ani nakoniec co do własności koloru światła, i sposobu jego działania, to jest: slizgania się pó przedmiotach, wsiękania, odbijania, rzucania cieniów, łamania się tych pó płaszczyznach pochyłych, wklęsłych, lub wypukłych i t. d.; jeśli to wszystko jest zaniedbane, niepojęte, myślą i duchem artysty nieożywione, wtedy to jest rzecz martwa i bezduszna! Słowem, jeśli tój myśli Bożój ukrytój we własnościach ciał nie wyda, azaliż natura krajo-obrazu będzie prawdziwą, żyjącą? azaliż będzie wyświeślać myśl Bożą? o nigdy! będzie to indywidualny zlepek bez myśli, czucia, i rozumu, ale nie będzie obrazem natury w której jest zawsze i wszędzie obecna i żyjąca myśl, uczucie głębokie, i mądrość Twórcy.

A cóż dopiero powiedzieć mamy o obrazowaniu człowieka, w którym objawia się nie tylko myśl i mądrość Boska pod formą fizyczną ciała i jego własnościami, ale nadto jeszcze duch nieśmiertelny bóstwa i właściwa indywidualność człowiecza przezierająca z głębi ducha na zewnątrz oblicza, będąca wynikiem albo summą całej jego duchowej lub zmysłowej przeszłości, jego wysokości moralnej lub zmysłowości; obie te siły koniecznie ma zbadać artysta i ocenić pod względem ich wielkości i potęgi dodatniej lub ujemnej, a w pewnych razach umieć nawet utwor swój podnieść do ideału. Oto jest zadanie dobrego portretowego malarza, równie jak pierwsze jest zadaniem pejzażysty.

Nakoniec, jest jeszcze potęga twórczości Artystycznej daleko wyższa, do której się artyście historyczno-religijnemu wynieść nieodbitcie potrzeba, jeśli ma z całą harmoniją czynu uderzyć w organ tej nieśmiertelnej jak duch, historyczno-religijnej pieśni. Jest to niepospolita wysokość ducha; na której gdy stanie *Artysta-tworzyciel*, zmysłowe przyrodzenie niknie pod nim, widzi je na dole w szacie mglistej, a wtedy już zniżyć się nie może, i nie powinien do kopijowania niewolniczego natury. Ona dla niego staje się już tylko formą, przeistacza się w środek, w narzędzie, ale nigdy w cel, cel bowiem jego jest o całe niebo wyższy i szlachetniejszy, celem jego jest *tworzenie*, celem jego jest wywołanie ducha na zewnątrz i zamknięcie w pewną zmysłową formę, aby go ludzie ujrzeni i pojęli, aby mu cześć złożyli, nakoniec, aby się sami podnieśli do tej wysokości duchowej. On nie szuka w tém nic dla siebie, ani pochwał, ani oklasków, ani sławy, ani zysków materialnych, bo jest wyższy nad to wszystko, co jest ziemskie, bo on jest prawdziwym Chrześcijaninem. Jemu to, bóstwo oblicze swoje odśłania, on w nie patrzy sercem, i duchem, i widzi je w całej świętości i chwale, i tworzy ideały, bo on jest kapłanem bóstwa, bo jest pośrednikiem pomiędzy BOGIEM a przyrodzeniem; przez ducha nieśmiertelnego i ciało łączy je w sobie i sobą jakby ogniwem. Bezwątpienia on zna przeszłość duchową ludzkości, jej kolebkę czyli dzieciństwo, zna obecność bo w niej żyje, a po kierunku tym leci w przyszłość i tę odgaduje jak prorok. Malowane pieśni jego jak wichry przewiewają historyczną przeszłość minionego czasu, patrzą w kolebkę rodzącego się czynu, żyją w nim jego życiem, czują w nim jego uczuciem, widzą jego moc i siłę, i skutki jej w teraźniejszości dotykalnie obejmują i wazą, i przyszłość następnych czynów i skutków mają przed sobą widocznie jak na dłoni. Niedość na tém; pieśni jego duchowe silnemi skrzydłami wiary niech sięgają do BOGA, a ztamtąd niech wróca na ziemię poświęcone,

uduchownione i wtedy z całą siłą łaski wyższej, natchnienia, i twórczego talentu niech się przeleją w historyczno-religijny obraz; niech się przeleją w tę nieśmiertelną pieśń czynu z całą potęgą wiary, uczucia, i rozumu, czyli z całą potęgą wszystkich sił jego duchowych.

Z tego, co się rzekło o sztuce w ogólności, a mianowicie o sztuce historyczno-religijnej, widocznie okazuje się, iż niepodzielną błędnego, a szkodliwego Estetyków niemieckich mniemania, *«że sztuka piękna ma cel sama w sobie, że celem sztuki jest-li tylko piękno i nic więcej»*, co na innem miejscu obszerniej wyjaśnię i okażę *).

Tu zaś tylko namieniam, że sztuka piękna jest silną dźwignią ku podniesieniu ducha naszego do wysokości, lub strącenia go do upadku. Wszakże widzimy, że malowidłem również jak pieśnią albo żyjącym czynem można człowieka zadziwić, nauczyć i wzruszyć, można przebudzić go ze zmysłowego uspienia, można natchnąć czynem, pobudzić do czynu i podnieść go do wysokości moralnej, albo przeciwnie, można go zepsuć, zdemoralizować i zgorzyszyć. Pomiędzy jednem a drugim ogniskiem tej wielkiej Elipsy, po której duch ludzkości około Boga krąży, jest niezgłębiona przestrzeń czynów dobrych lub złych, czyli dodatnych lub ujemnych dla ducha naszego. Zaś piękność sztuki, jest tylko jej szalą, ale nie celem, jak suknia nie jest człowiekiem, i chociażby najbogatsza, nie ozdobi duszy zbrodniarza; tak również sztuka chociażby była najpiękniejszą, nie ozdobi gorszącego czynu który przedstawia. Piękność *właściwej* sztuki jest jej koniecznością, bo duch Boży, który ona okrywa, jest piękniejszy nad wszelkie rzeczy zmysłowe, ale piękność sztuki nigdy nie jest jej celem i być nie powinna.

Z tém pojęciem prawdziwej sztuki niech się pierwój każdy dobrze obezna, niech się obliczy artysta, azali tym wszystkim warunkom i potrzebom zadosyć uczynić może; wtedy dopiero stanie przed ołtarzem tej wielkiej świątyni, gdzie duch Boży jest obecny, a jeżeli po ścisłym rachunku sumienia przystępuje do dzieła, a miłość własna go nie łudzi, ani chęć sławy i zysku nie pociąga, o! wtedy już jest niewątpliwie mistrzem! bo czyn jego przedstawi-

*) I nam też, ani czas, ani szczupłość miejsca nie pozwalają rozwinąć dzisiaj pojęć naszych o tym przedmiocie; zostawujemy przeto zdanie P. Moraczyńskiego nie tkniętym, zachowując sobie wolność przy pierwszój zręczności pomówienia obszerniej o tym przedmiocie tak ważnym pod względem estetycznym i tak często ulegającym opacznyim wyobrażenióm. (Red.)

ny w obrazie uczyni wrażenie i skutki swe wywrze na zimne nawet dusze zmysłowych ludzi, a bezbożnych w chwili łaski Bożej na drogę prawdy nawróci;— więcej powiem, będzie następną falą głosową tej nieśmiertelnej pieśni czynu Chrystusa, której skutki widzimy dotykalnie w obecnym czasie.

Ma tedy Artysta historyczno-religijny przedstawić to działanie z całą siłą jednej i drugiej strony, to jest: ma pojąć postaci i charaktery historyczno-religijne święte, i te wydać z całą prawdą i *względna* ich wielkością. Również ma zgłębić owoczesną naturę ludzką, jej popęd indywidualno-względny, tak w massach jako i w szczegółach osób historycznych, w których ciało panuje, przez których oblicza i czyny anioł ciemności przegląda, mając przytém zwróconą uwagę na jedność akcji i harmoniją, aby być dostępnym pojęciu widzów, a tak należyty sprawić skutek, jakby najwierniej odbite echo przeszłości.

O! zaprawdę, tak wysokiemu powołaniu dotąd jeszcze bardzo niewielu artystów odpowiedziało, a i tych niewielu, również mała liczba, bo tylko prawdziwych znawców, pojęła i oceniła.

Daleki jestem od tej myśli abym wyrażając przymioty, potrzeby i warunki usposobienia moralnego dla Artysty, abym wylewając te myśli, które mi się przy malowaniu obrazów religijnych nastrepczyły, miał sobie przywłaszczać jakąś wyższość i doskonałość w tej sztuce,— bynajmniej! mówię to w szczerzej i prawdziwej pokorze ducha, patrząc codziennie w moją nieudolność, a przytém w wysokość kapłaństwa i powołania religijnego malarza, że tylko chcę być sługą tej świątyni, w której wielkie dla ducha Bożego i intelektualnej ludzkości odbywają się obrzędy, na podobieństwo owego sługi kościoła, który nie jest Chrystusem, ale tylko słowo Jego ogłasza, który wie, z jakim namaszczeniem należy przystępować do stołu Bożego, aby nie skalać i nie sprofanować obrazu bóstwa nieśmiertelnej duszy, ohydą szatą zmysłowości i barbarzyństwa.

Tym ustępem o sztuce historyczno-religijnej za daleko odbiegliśmy od treści naszego opowiadania, zostawiwszy na gorącej modlitwie pobożnego starca i tworzący się na płótnie Obraz Ś. Romualda.

Gdy dzieło już było prawie na ukończeniu, czując się znacznie zmęczonym i osłabionym na siłach, odesłałem obraz do mojej pracowni, a dopiero po długim u Arcybiskupa obiedzie, od którego żadną miarą wymówić się nie mogłem, powróciłem do domu. Przez kilka dni jeszcze pracowałem nad tym obrazem gorliwie, a gdy mię potem Arcybiskup z Szanownym Xiędzem Sof-

ślałym odwiedzić raczyli, obraz mój już był zupełnie skończony. Od tej chwili nawiedzali mię częściej, wielką dla mnie okazując życzliwość. Nakoniec jednego razu oświadcza mi Xiądz Arcybiskup, iż będąc u Papieża, wiele raczył mówić na pochwałę mojego obrazu, tudzież, iż życzeniem jest Ojca Ś. abym Mu osobiście obraz mój przedstawił, co dopiero po dopełnieniu pewnych formalności i uzyskaniu karty audjencjonalnej za pośrednictwem Rossyjskiego posła, nastąpiło w dniu 31 Lipca 1841 r. Ojciec Święty nader łaskawie i dobrotliwie przyjąć mię raczył, a w rozmowie swęj o sztuce i artystach niemieckich, niepospolitą jęj znajomość okazał. Nakoniec, gdy mój obraz bardzo Mu się podobał, z prawdziwą przyjemnością tenże Ojcu Świętemu ofiarowałem. Przyjął to wdzięcznie i dał mi na pamiątkę *medal złoty* ze swoim wizerunkiem; nie tyle może w skutek wartości dzieła, jako raczej z powodu tak znanęj swojej dobroci, dostrzegłszy w obrazie swego Patrona Świętego Romualda, niektóre rysy przyjaciela i towarzysza młodości Xiędza Soffiałego; gdyż jak mi mówił: wspólnie brali nauki w Seminarium i w jednymże klasztorze odbywali razem nowicjat w Wenecji.

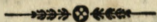
Jan Moraczyński.

Pisałem w Wilnie
dnia 26 Lutego 1849.

K R A D Z I O N E.

Przypowieść szlachecka.

(Podsłuchano).



—Właźce Aspana Panie Jakubie,
 Mówisz: *kradzione lepsze*, i chcesz tego dowieść,
 Ja sobie rozmaite przypowieści lubię,
 Powiem Aspanu przypowieść:

* * *

W samym końcu zascianku pilnując swęj niwy,
 Żył sobie szlachcie poczciwy,
 A miał syna wyrostka z wąsem wyżęj nosa,
 Chłopiec dobre miał serce, ale w głowie za to
 Okropnie było pstrokato,
 Zwyczajnie jak u młokosa.
 A także mój Mospanie, koło ich stodoly
 Ciągnął się wygon sąsiada,
 Na którym pasły się stada,
 Konie, owieczki i woly.
 —Czy wiecie co tatulu (tak mówił raz młody),
 Fraszki to— praca i cnota,
 U nas panie poczciwość, trudy, niewygody,
 A w domu wieczna hołota;
 Czy to Pan Bóg uważa, że ludziska giną,
 Poczciwym nieda talarka,
 Dla jednego pomysłność odmierza osminą,
 Drugiemu liczy na ziarka.

Naprzykład: choćby u nas— ot idą zapusty,
 A w domu ni to, ni owo,
 Hola, jakby to dobrze, by na czwartek tłusty
 Utuszyć pieczeń wołową!
 —A skądże wezmiesz wołu?
 — «Czy to wielka sztuka,
 Nibyto dostać niemożem,
 Chodzą woły sąsiada— po gardlisku nożem,
 Niech potem sąsiad poszuka.
 — «Cóż to! zawołał ojciec, toż kradzież wyraźnie.
 To jakaś sztuka zbojecka,
 A siódme przykazanie, a sumienie — błaznie,
 A nasza wiara szlachecka?!
 —At myśleć, co się godzi, a co się niegodzi,
 Za cóż my biedni i głodni,
 Nas jeden wół przeżywi przez kilka tygodni,
 Czy to po ludziach niechodzi?—

Na takie *argumentum* ojciec mruknął z cicha:
 —Cóż robić? szatan cię uczy,
 Ukradnięm jutro wołu— lecz pomnij do licha,
Nigdy kradzione nie tuczy!

Wieczorem stary ojciec poszedł do sąsiada,
 Cichaczem kupił wołu, napil się borysza,
 Nazajutrz, bierze syna, niby się podkrada,
 I z wołem... het! do zacisza.
 Zaraz nożem po gardle, nieszczęsnego byka
 Rozcwiertowali w stodole,
 I jak słowo powiedzieć już u czynszownika
 Wołowa pieczeń na stole.
 — «Wiesz co? teraz mój synu— odmierzym się w pasie,
 Zjadając mięso tak cudnie,
 Będziem wiedzieć Mospanie, po niejakim czasie
 Kto z nas utyje, kto schudnie?»—
 Zmierzyli się:— i każdy na swojej poprzęde
 Zaznaczył kreskę czerwoną.
 — «Co to gadać tatulu, schudzeni przez nędzę
 Teraz utuczym się pono!»—

Przez całe trzy tygodnie gody u szlachcica,
 Codzieln przysmacek od wołu;

Dzisiaj rura do barszczu, jutro poładwica,

Pojutrze pieczeń u stołu.

A tu rejwach w zaścianku— sąsiad niby jęczy,

Niby to szuka wołu, niby ludzi zowie,

Syn dręczy się obawą jak duch potępiency,

Już mu i jadlo nie w głowie;

Czy kto skrzywnie we wrotach— on w nocy i we dnie

Marzy o przyjściu sąsiada;

W obiedzie... strach, zgryzota— co chwila poblednie,

A ojciec— smaczno zajnda.

Syn był młody i zdrowy jak dębina krzepka,

Ojca wiek zniszczył i znoje,

Lecz kiedy zjedli wołu— syn wysechl jak szczepka,

A ojciec— utyl we dwoje.

— „A co błaznie (rzekł stary), pamiętaj przysłowie:

Ze Male-parta, do czarta,

Ja zakupilem wołu— toć mi szło na zdrowie,

Ty kradnąc— schudleś na charta.”

* * *

— „A cóż panie Jakubie, jak przypowieść zda się?

— „Moralna! sens na wierzchu jakby gwiazda świeci.

— „Ja umiem jeszcze lepsze,— a w swobodnym czasie

Więcej opowiem Waszaci.”

Władystaw Syrokomla.

d. 12 Marca 1849.

WYBRYKI DOBREGO HUMORU.

(Ciąg dalszy).

(Ob. Rocznik Literacki, Tom IV. str. 159).

IV.

CO SIĘ PRZYŚNI.

Jeszcze chwilką o dziewico..
 Na dobranoc oczkiem błysnij,
 Niech cię słodkie sny pochwyć,
 Co się przysni, to przyciśnij!

Może piesek ulubiony,
 Kosz cukierków albo wiśni.
 Może Jaśnie Oświecony,
 Co się przysni, to przyciśnij!

Może jeńcy starój daty,
 Podagryczni lecz korzystni,
 Może kwiaty lub dukaty,
 Co się przysni, to przyciśnij!

Może zbrojny bóg w ostrogi,
Może nawet ci się wyśni
Ten co drogi lecz ubogi,
Co się przyśni, to przyciśnij!

Bał czy chatka którą marzą
Wierszokleci nierozmyslni,
Lub zwierciadło z własną twarzą,
Co się przyśni— to przyciśnij!

Gdy otworzysz piękne oczy,
Snów z pamięci nierozpryśnij,
Bo w nich będzie sen proroczy,—
Co się przyśni, to przyciśnij!

1845.



NIEWINNĘJ DUSZECZCE.

Co z losem wieść boje?
Przespaleś— to twoje,
Niech cię sen skrzydełkami przytuli!
Złe wyszli na wojnie,—
Śpij bratku spokojnie,
Luli, niewiniątko, luli!

Świat niewie gdzie śpieszy!
Kto śpi— ten nie grzeszy—
Jak dziecko, co w chrzestnej koszuli!
Spać z dłonią na oczy,
To słońce nie zmroczy,
Luli, niewiniątko, luli!

Bo coż ci do tego
Ze tam gdziesź łyzy biegą?
Ze nędzarz w łachmanach się kuli?
Od cudzej złej doli,

Serduszek nie boli,
Luli, niewiniątko, luli!

O pierwszej godzinie
Obiadek nie minie,
Przed obiadem stukniemy wóduli,—
I znowu na łożę,
Twą główkę położę,
Luli, niewiniątko, luli!

Ty marzysz pieśczętko,
Patrzajcie jak słodko
Widać śni, że kochanka go tuli,—
Sza.. cicho.. broń Boże,
Obudzić się może!
Luli, niewiniątko, luli!

Na nowo coś marzy,
Jak znaczo na twarzy!
Pewno śni, że wychylił wóduli,
Bo usta i czoło,
Igrają wesoło,—
Luli, niewiniątko, luli!

O! w usta coś bierze,
Śni widać wiczerzę,
Patrzajcie o ludzie nieczuli!
A ja mu na jawie,
Wiczerzę przyprawię,
Luli, niewiniątko, luli!

* * *

O wzorze dla wieku!
O święty człowieku!
To głupcy, co się ze snu wyzuli,—
I dzielą się z nami
Radością i łzami,—
Prawa mądrość— to luli i luli!

I nie dziw— że płaczą,
Że jęczą, z rospaczą

Patrząc na świat swe szczęście zatruli,—
 Bo dziwną szli drogą,
 I usnąć nie mogą,—
 Prawe szczęście— to luli i luli!

1846.

—***—

VU.

EXPIACJA PO-ZAPUSTNA.

Do Iacińskiego poety X. Macieja Kazimierza
 SARBIEWSKIEGO.

Ach Ojcie Sarbiewski! zgrzeszyłem, zgrzeszyłem,
 Już tydzień jak z toba'm nie gwarzył ni słowa—
 Szanowne twe karty pokryły się pyłem,
 Coż było przyczyną?— ach marność światowa,
 Szczęśliwy, szczęśliwy kto jej nie doznawał!
 Kto czas swój urządził pod wagę i miarę,
 Mnie przebóg grzesznika, spokusił karnawał,
 Tęsknota do ludzi, i chętką: *saltare*.—
Ah! paenitet mihi! lecz czemuż mi w serce
 Uderza aż dotąd wspomnienie zabójcze?
 O gdybyś się mojej przypatrzył tancerce,
 Ty sambyś powiedział... o przebac mi ojcie!
 I pozwól że spytam: czyż w stronach Pultuska,
 Nim jeszcze przywdziałeś sukienkę Lojoli,
 Nie tknęła twej duszy nadobna pokuska?
 Czy nigdy nie czuleś jak serce swawoli?
 Być może— bo teraz zepsucie się krzewi,
 A wtedy gdy żyłeś, świat wcale był inny.—
Absolve, absolve, o pater Sarbievi!
 Lub zresztą, rzuć kamień jeżeliś niewinny.

Już cisza uroczą, nadzieja, i wiara
 Orzezwia mą duszę— pomału, pomału,

I popioł pokutny z mojego cygara
 Posypię na głowę za szal karnawału;
 I w mojej kochanej, ustronnej izdebce
 Sarbiewski! na łono przytulę się twoje,
 I twoją szlachetną piosenkę wyszepecę,
 I ducha w twych myślach wysokich napoję.
 Przebaczysz mi wtedy, — zem jakie pół chwili
 Przebawił w światowej marności i dymie,
 Zem trzpiocąc się w gronie wesółych motyli,
 Zapomniał o tobie, o Grekach, o Rzymie.

Lwł Kdrtez.

12 Lutego 1849.

PAMIATKI PRZESZŁOŚCI.

PARE SŁÓW

O HISTORYCZNOŚCI

Białowieskiej puszczy, i o znaczeniu łowów w dawniej
Litwie *).

PRZEZ

P. DALMATOWA.

W

VI wieku po Chrystusie, cała północno-wschodnia stro-
na Europy pokrytą była nieprzeniknionemi lasami. Pod koniec
wędrowki narodów, obszerna jej przestrzeń od gór Uralskich aż
do Dunaju, od morza Bałtyckiego do Czarnego, była zasiedlona
Słowiańskimi narodami. Część tej przestrzeni pomiędzy krańca-
mi pochyłości gór Wałdajskich i Abratyńską podniosłością, od rzek
Rossi, Niemna i prawego bżegu Dźwiny aż do wybrzeży Balty-
ku, była zamieszkaną przez pokolenia Litewskie.

*) Umieszczamy tu tylko urywek ze wstępu do *Historji Zubra*, pracowicie i
zajmującym sposobem napisanej przez *D. J. Dalmatowa*, Kapitana Kor-
pusu Leśniczych, który miał dozór w Białowieskiej puszczy, nim został
przeniesiony do Permu: dajemy poznać tego pisarza naszej publicz-
ności, gdyż wszystkie jego prace dotyczą się albo naszego kraju,

Jadźwingowie, jedno z bojowniczych plemion Litwy, żyli w te-
rażniejszej Grodzieńskiej gubernji, pośród gęstych lasów, otoczo-
nych szerokimi i błotnistymi dolinami rzek: Bobra, Narewi, Bu-
ga i Nurca.

Białowieska puszcza jest tylko odłomkiem i niejako przedsta-
wicielką owych dzikich i wspaniałych wdziałków pierwiastkowych
puszcz Litwy, których nieprzeniknione gąszcze i topieliska, nie
jednokrotnie wstrzymały zapędy na Europę dzikich hord Batego,
a w czasie Napoleonowskich kampanij, stanęły naturalnem przed-
murzem dla tego nowoczesnego zdobywcy.

Granice Białowieskiej puszczy były niegdyś nader obszerne.
Miejscowi mieszkańcy dziś tē nazwaniem oznaczają przestrzeń
od 200,000 dziesięcin ziemi, skarbowego i prywatnego lasu, cią-
gnącego się po samym środku płaskiej wyniosłości Grodzieńskiej
gubernji, to jest: na granicach Prużańskiego, Wołkowyskiego i
Grodzieńskiego, powiatów. Północna część tych lasów pokryta jest
niezmierzonymi okiem, płosami bagnisk, z których wytryskają zró-
dła najważniejszych dla ekonomji krajowej rzek, jako to: Jasiołda,
Narew, Narewka, Lesna, Gwoźdnia, płynące w strony zupełnie
sobie przeciwne. Właściwa zaś Białowieska puszcza zawiera
113,079 dziesięcin, i cała zamyka się w granicach Prużańskiego
powiatu.

Naturalista, ekonomik i turysta, oglądający tę szczególniejszą
w swoim rodzaju puszcę, dwóma z kolei zajęty bywa myślami:
naprzód: całe to bogactwo drzewnego materiału, odwieczne sosny
i dęby masztowe, gniją tu bez najmniejszego użytku dla dobra o-
gólnego!.. Powtóre, smutno pomyśleć, że i te wiekopomne lasy,
dla drobnostkowych potrzebek ludzkich, utracą z czasem dziewi-

albo naszej historii. Za rozprawę o możliwości ułaskawienia Zubra,
autor otrzymał złoty medal od Towarz. Zoologicznego w Londynie,
przy nader zaszczytnym liście od Prezydenta Towarz. uczonego Mur-
czysona. W Roscji zaledwo jest znane jego imię z jednego artyku-
łowach na Zubrów w zaprzyszlorocznej *Illustracji* umieszczonego. Wy-
gotował on prócz tego opisanie Gubernji *Grodzieńskiej* pod względem
gospodarskim, handlowym i przemysłowym, z opisem *puszczy gro-
dzieńskiej*, oraz opis *Białostockiego Obwodu*; ułożył prócz tego
kilka projektów, między innymi: 1) Projekt urządzenia systematu
wodnego w Białowieżskiej puszczy, w celu ułatwienia komunikacji
i splawu drzewa za pomocą połączenia Niemna i Bugu z kilką rzecz-
kami, przerywającemi Białowieżską puszcę; 2) Projekt urządzenia
w Białowieży wzorowej Szkoły dla ukształcenia sług lesnych i
Strzelców i t. d.

(Redak.)

czą swoją majestatyczność! Zważywszy te dwie ostateczności z tą niezmienną prawdą nauki, że zostawione naturze lasy, po wyniszczeniu się samą długowiecznością, nader powoli i z wielką stratą kapitału, odrastają,— trzeba się zgodzić, że dla ocalenia Białowieskiej puszczy, koniecznym jest potrzebnym umiarkowany, ekonomiczny wyrab drzewa. Im bardziej Leśniczy będzie zastanawiał się nad bogactwem, różnaitością i siłą roślinną tego pokładu, nad możliwymi sposobami zbytu materiału, i topografią tej stawniej puszczy, tćm głćbiej przekona się o różnostonnćm i nader waźnym jej znaczeniu dla kraju. Ujrzy on tu na praktyce, jak natura wyrabia się sama, bez pomocy człowieka; jak sama zasiewa, pielćgnuje, i jak samo zniszczenie nawet obraca na korzyść nowych porod drzewnych; że najlichsza na pozór drzewina, ma swoje przeznaczenie i jest konieczną w ogółnym systemacie natury; na kaźdym kroku przyroda przedstawi mu najrozmaitsze fenomeny roślinności i bćdzie miał tam ciągłą zrćczność zastosowania swćj nauki do potrzeb ludzkości.

Pół-górzyste, pół-równe połoźenie puszczy, przerzniętćj w najdogodniejszych kierunkach mnogimi rzekami i ich rozgaćzzeniami bez liku, harmonijny stosunek drzew iglastych z liściowymi, wszystko to jakby samą przyrodą od wieków przygotowane na najrozskoszniejsze schronienie dla jak najwićkszej rozmaitości zwierzat. Od najrańszćj wiosny, okrainy puszczy, doliny i polany pokrywają się pachnącą murawą; tam, pod cieniem bujnćj flory drzewnej, pod konarami odwiecznych dębów, sosen, jesionów i brzoź, swobodnie pasą się gromadne stada brodziastych zubrów, łosi, sarn i jeleni; do nich z boku chytrze podkrada się wilk z lisem; u góry, po nad szczytami strzelających w niebiosy drzew, ciągły przelot i świergotanie ptaków, przerywane głuchym stukciem dzićcioła; tu po gaćziach przeskakują kuny i wiewiórki, a krwioźerezy ryś, i drapieżny niedźwiedz ze swych mateczników czatują na przechodzącą zwierzynę. Tylko szum wiatru w wierzchołkach drzew i głuchy łoskot padających ze starości olbrzymów puszczy, przerywają na chwilę głćboką ciszę uroczystego milczenia! Z zatrzymanym oddechem, z podniesionćm biciem serca przenosisz się w owe wieki pierwiastkowej wielkości i prostoty Natury!

Białowieska puszcza ma starodawną historyczną sławę. W głćbokiej staroźytności, podług kronikarzy ruskich,— jedynych przekazicieli najdawniejszych świadcstw o nićj,— grzmiła ona odgłosem tręb i czynów wojennych Włodzimierza Wielkiego, który tu przychodził wojować dzikie plemiona Jadźwingów. Po nim Jaro-

staw z odważnemi *drużynami* na łodziach po Bugu przyplływał walczyć w te strony.

Ale najświetniejsze wspomnienia odnoszą się do epoki panowania Królów Polskich nad Litwą: Białowieska puszcza stała się ulubionem miejscem wytechnienia, po wojennych i domowych troskach Królów; tu oni przybywali z licznym dworem, pocztami sług i magnatów; łowy preciały się po kilka miesięcy, a echa puszczy odbijały wesołe odgłosy trąb łowieckich.

W miasteczku Narwi, przez które 300 lat temu nazad, szedł główny gościniec z Wilna do Krakowa, był obszerny i pięknej architektury zamek; w nim zastanawiali się Królowie, przybywający na łowy.

W samym folwarku Białowieży, pośród wyniosłej i odkrytej okolicy, podmywanej przez spławną rzekę Narewkę, był także zbudowany obszerny i dziwnie pięknej architektury pawiljon łowiecki, gdzie przechowywano sieci dla łowienia zwierząt i inne narzędzia strzeleckie; w osobnych skrzydłach mieścili się łowcy i psiarze czyli dojeżdźczące ze swemi sforami. Reszty pawiljonu były jeszcze widziane w r. 1830, lecz w tymże roku użyte zostały na materiał do baterji obronnej.

Nazwanie wielu miejsc czyli *uroczysk* Białowieskiej puszczy, dowodzi częstych odwiedzin tej strony przez Królów Polskich. Tak np. *Jelenia Góra*, jest miejsce, gdzie w 1409 r. Władysław Jagiełło polując na jelenia, upadł z konia i złamał nogę, zkad dla leczenia się odwieziony był do *Krasnego-Stawu* *). *Góra Batorego*, gdzie Stefan Batory odpoczywał i ugaszczwał gości na łowy sproszonych. *Augustowski-Ogród*, ulubione miejsce polowania Augusta III.; uroczyska: *Stary Białowieź*, *Zaliczysko*, *Babie-Góry*, *Mokry-ług*, *Kletno*, i wiele innych, pokazywane przez miejscowych ludzi, zawsze towarzyszone są opowiadaniem podań gminnych, pełnych poetycznego interessu.

O dawniejszem znaczeniu łowów na Litwie, i obfitości zwierzyny w jej lasach, można sądzić z następnych, acz nie licznych faktów. Patronem łowiectwa w Polsce i Litwie był Ś. Hubert; na cześć jego ustanowiony był nader poważany order, że go mogły otrzymywać tylko ukoronowane osoby lub wyżsi dygnitarze państwa **).

*) Patrz *Kromera*

**) Historia zachowała nam pamięć, że Król August III. otrzymawszy order Ś. Huberta z radości uczłował z gośćmi przez sześć tygodni.

Utrzymanie królewskich łowczych, polowniczych i strzelców kosztowało tak wiele, że umyślnie dla tego w r. 1552. był ustanowiony podatek pogłówny, po 4 grosze z duszy. Za kradzież albo zabicie zwierzyny, do czasu wydania drugiego *Litewskiego Statutu*, była wyznaczoną śmiertelna kara.

Łowy ciągnęły się przez kilka miesięcy bez przerwy; świadkiem owych świetnych i licznych zgromadzeń, służy pomnik z szarego piaskowca, wzniesiony blisko folwarku Białowieży *). Za dawnych czasów, prócz wyliczonych wyżej zwierząt, znajdowały się także w litewskich lasach Bobry, Sobole, Jelenie i dzikie konie.

Bobrowemi łowami zawiadywali osóbnii urzędnicy, których nazywano *bobrownikami*. Bobry były dwojakiego rodzaju: czarne i bure; za uobicie ich nie tylkoznaczane bywały wielkie kary i sztrafy, jak za przestępstwo, ale zabraniano orać ziemię, kosić łąki i rąbać drzewo przy mieszkaniu bobrów na przestrzeń, jak człowiek może dorzucić pałką. Za naruszenie tego prawa, kazano płacić po 12 kop groszy, co na terażniejszy kurs wynosi około 86 rubli srebrem.....

*) Na tym pomniku niemiecki napis głosi, że: 27 Września, 1752 polewał tu August III. z Elektorem Saksońskim, i mnóstwem innych znakomitych zagranicznych gości, i że było zabitych w ciągu tego polowania 42 zubrów różnej wielkości i wagi.

BIAŁOWIESKA PUSZCZA *).

NAD Narwą szumi odwieczna sosnina 1),
 Tam jodły czarne zaległy ostępy,
 Dalej dębowy gaj w groźne zastępy
 Pnie porozwijał,— aż gnie się równina.
 Ledwo gdzieniegdzie w odległych przegubach,
 Łąka zielona lub kawałek roli,
 Niewielką przestrzeń śród puszczy wykoli,—
 Strażnicza chatka, czy wioska uboga;

*) P. Faustyn *Wszędobyłski* robiąc w opisie wód Stokliskich w swoim *Kaleidoskopie* (Poszyt I szy *Pamiętnika*), wzmiankę o pieniążku starożytnym znalezionym tam przy kopaniu fundamentów, wspomniał, że zabrał je niejaki P. Słomski. Otoż wzmianka ta wywołała następne objaśnienie ze strony P. Słomskiego: „Przy kopaniu ziemi przy źródłach znaleziono parę ostróg rdzą zniszczonych i jeden miedziany pieniążek wielkości terażniejszej srebrnej grzywny; na jednej jego stronie dosyć wyraźną była *pogoń*, a na drugiej cyfra S. A. (Sigismundus Augustus) i rok 1570.” To wskazuje na dawność używalności owego miejsca.

Obok objaśnienia przysłał nam P. Słomski powyższy wiersz, w którym dostrzegłszy poetyczne poczucie wdzięków dzikiej przyrody litewskich lasów, umieszczamy tu, zachęcając autora do dalszych próbek w tym rodzaju.

(Przypis Redaktora).

I to tam ledwie, gdzie w czleka rachubach,
Dolecieć nie mógł loskot broni wroga 2).

O! długo, długo ta mroczna kraina,
Obecnie zubrów ostatnia dziedzina,
Na sobie innęj nie znosiła stopy,
Prócz ścieżek zwierza udeptanych tropy:
I nie wtórzyła posępnemi echy,
Jękom zniszczenia zabójczej siekiery,
I zapach wrzosów ludzkimi oddechy
Niezarażony— jak dziewicy technienie,
Jak myśli dziecka niewinny i szczerzy,
Napawał tylko dzika powonienie.....

I teraz z rana, gdy jeszcze uwita
W sennych mar zwoje, śpi ludność puszczowa,
Gdy pierwszy promień na niebie zaświta,
A na gałęziach drga rosa majowa,
Idź do Ostępu, co w groźne kolosy
I martwe zwaly zalega szeroko;—
Choć masz wzrok silny i natężysz oko,
Choć słuch masz ostry i rozszerzysz ucho,—
Na krok przed sobą napotkasz przegrodę;
Twej stopy tętęt odbije się glucho,
Lub szmer zadźwięczy spadającej rosy;—
Ujrzysz, usłyszysz tu samą przyrodę,
Tu ona jeszcze jednowładna pani,
Krwawej, morderczej nie wymaga dani,
Rządzi się sama bez czleka— zniszczenia,
Spokojnie— jakby w piątym dniu tworzenia.

Ledwo niekiedy ryk zubra urwany,
Lub racie łosia na wrzosach łuskanie,
Czy pomyk saray, czy dzika gruchanie,
Czy z Narwi odgłos żurawia poranny,
Przerwą dziewiczą ciszę przyrodzenia.

Jeszcze śpi człowiek, albo utrudzony
Dotąd nie zdolał zająć aż w te ostępy:
Jeszcze złowrogich odgłosów zniszczenie,
Echa tutejsze żałościami tony
Niepowtarzały. Lecz tłumne zastępy.

Zbrojne siekierą, toporem i piłą,
 Za dni niewiele przekroczą granicę
 I tę ostatnią przyrody dzielnicę
 Zostawia wielką przyrody mogiłą!.....

Czas wszystko zmienia:

Podania miejscowe

Jak byt pierwotnych mieszkańców tej strony,
 W jego objęciach snem wiecznym ponikły.
 Nie jeden szperacz dziejów nieznużony,
 Daremna praca może łamał głowę,
 Chcąc wzrok utopić za przeszłości przedział,—
 Szukając wiedzy nic się nie dowiedział:—
 Znikli Jadźwingi i podania znikły!

Gdzie ich potomki? gdzie ślady ich bytu?
 Gdzie dziś imiona tych dzielnych rycerzy
 Których wstawiło męztwo— nie traf ślepy?
 Gdzie po nich sława, co przez wieki bieży??.....
 Upadła na łeb z wysokości szczytu;
 Jak dąb od gromu rozprysła na szczepy,—
 I tak w polaniach zniszczała, przepadła,
 Jak szecap rzucony na środek mokradła!....

Tylko gdzieniegdzie na podlaskiej niwie,
 Albo w ostępach Białowieżskiej puszczy,
 Kurhan nad poziom wypływa skwapliwie;
 Albo złam głazu, dawniej twierdzy szczątek 3)
 Co, jakby runa na karcie pamiętek
 Choć znaczy dzieje, lecz niema dla tłuszczy.....

.....

Kiedys potomek obecnych mieszkańców,
 Gdzie dziś zubrowi las przejście utrudnia,
 Dotknie się okiem widnokregu kranców,
 Szukając cienia przed skwarem południa.
 Gdy rog przypadkiem lub skielet zubrowy
 Odkryje, orząc zagon czarnej roli,
 Olbrzymich szczątków na widok dlań nowy
 Obecnem życiem wyobraźnia skuta,

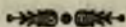
Taką zagadką przeszłość mu okoli,
 Jaka jest dzisiaj dla nas kość mamuta.—
 I pójdzie pytać on starców zgrzybiałych
 Czyje to kości? gdzie ta puszcza— lasy,
 Co takie zwierze chroniły przed czasy?—
 A znać że było,— z kości pozostałych.....
 I odpowiedzi,— niewiem czy ochotę
 Będzie miał wierzyć,— a jeśli uwierzy,
 To ręczyć można, że niewiele szczerzej
 Ile my dzisiaj wierzym w runo złote.

K. Stomski.

26 Lipca 1847 r.



PRZYPISY.



Białowieńska puszcza leży w Gubernji Grodzieńskiej, Pow. Prużańskim, graniczy z powiatami Wołkowyskim, Bielskim i Brzeskim. Powierzchnia jęj podług ostatnich pomiarów rozciąga się na 110,000 dziesięcin czyli około 5,500 włok lit., biorąc zaś razem ogół lasów rządowych i prywatnych, co ją otaczają, uczyni pewno dwa razy tyle. Granice jęj zamykają się prawie w kwadrat.

Straż puszczy miejscowej składa się z jednego Okręgowego rewizora (sztabs-olicera), pięciu leśniczych, dziesięciu strażników i stu dwódziestu strzelców.

Zubrow w 1847 r. naliczono do 1200 sztuk: miejscowi mieszkańce liczą ich więcej. Za zabicie Zubra dawniej karano wygnaniem, — teraz aresztem i sztrafem 300 r. sr. Zwierzyna zwyczajna tu, sarna, lis, zając, wydra i kuna; łoś i ryś rzadki, a dzik i niedźwiedz osobliwością. Mówią, że przed laty 20-tą łosi i dzikow były całe trzody, — teraz liczone i to jak niepospolitość. Głuszców, cietrzewi, kuropatw, a na rozlewach rzek, błotnego ptastwa, oblicie.

- 1) Narew poczyna się o parę mil od puszczy i stanowi północną jęj granicę. Narewka i Lesna mają źródło w samej puszczy, pierwsza wpada do Narwy, a druga do Bugu.
- 2) Osady w Białowieńskiej puszczy powstały zapewna jeszcze w czasach wojen Jadźwingów z Polską i Litwą. Nie przebyte ostępy i topiele bagnistych rzek dawały bezpieczniejsze schronienie, niżeli zamki Drohiczyński i Surażski. Dawność tych osad dowodzi się nietylko aktami pisanemi, ale nawet miejscowością; gdyż można widzieć w wielu wynioślejszych ostępach zagony dawnego orania, na których teraz bujają półtora-wiekowe sosny i trzy-wiekowe dęby.
- 3) Ślady staręj Białowieży, szczątki zamków w Drohiczynie i Surażu, częste mogiły (kurhany) w okolicy Klenik i t. p.



JAROSŁAW LINOWSKI.

JAROSŁAW Linowski urodził się 1818 roku, dnia 24 Czerwca w Kijowie; ojciec jego od młodości służył w wojsku Polskiem. Za Kościuszkowskiej wojny wzięty był w niewolę, z której wydobyszy się służył w wojsku rzeczypospolitej Francuzkiej, a po wstąpieniu na tron Napoleona, wziął dymisję i jako kapitan wojsk francuzkich do kraju powrócił. Przybywszy na Ukrainę, ożenił się tam z Antoniną Zaleską, siostrą znakomitego wieszczka Ukrainy i osiadł wraz z nią w Kijowie, gdzie przez lat dwadzieścia kilka przemieszkał, zajmując się rozmaitemi spekulacjami handlowemi. Rodzice Jarosława Linowskiego na to najbardziej starania swoje obrócili, aby jemu i bratu jego, oprócz których dzieci już więcej nigdy nie mieli, dać najlepsze wychowanie. Zwyczajem bardzo w kraju naszym upowszechnionym, poruczono ich najprzód guwernerom francuzom, tak że od dzieciństwa zaraz, mógł Linowski swobodnie mówić po francuzku i pisemka francuzkie dzieciennemu pojęciu dostępne, rozumieć. W tymże zaraz wieku nauczono go po niemiecku. Ta znajomość języków, jakby przed wejściem do szkoły znaleziona, pomogła mu bardzo wiele w jego uczeniu się, ułatwiała mu bowiem czytanie dzieł w tych językach, któremi lubił zaraz od początku dopełniać sobie wykład szkolnych nauk. Oddany wraz z bratem do szkół Humańskich, wówczas jeszcze przez Xięży Bazyłjanów utrzymywanych, dwa lata niemal zostawał w tej szkole, w której tyle znakomych i po całej Polsce sławnych synów Ukrainy brało początkowe wychowanie swoje. Kiedy zaś w ro-

ku 1831 szkoły te skasowane zostały, powrócił znowu do domu rodziców, gdzie pod okiem najtroskliwszej matki i zarazem poczciwego nauczyciela już Polaka, sposobił się do słuchania kursów Uniwersyteckich, biorąc lekcje prywatne od nauczycieli gimnazjum Kijowskiego, i tamecznej duchownej Akademji. Ciągłe okazywał największą pilność w naukach, przy wielkich bardzo zdolnościach; pobudzały go bowiem do tego: ciekawość nienasycona, instynktowa żądza nauki i ambicja, bardzo wyraźnie już w dzieciństwie okazująca się, aby przez pracę swoją dójść kiedyś do znaczenia w społeczeństwie, do którego należał. To uczucie starał się w nim za młodu ojciec roskrzewić, opowiadając mu wypadki, których był bliskim świadkiem i uczestnikiem, i przywołując przykłady wielu znakomitych ludzi jemu osobiście znanych, którzy genjuszem i zasługą nad gmin się wynieśli. Ale największe wrażenie na nim robiły rady i namowy najczulszej i najtroskliwszej matki jego,— umiał czuć żywo jaka miłość macierzyńska dyktowała je,— dla tego można powiedzieć, że jej właściwie najwięcej winien był ten szlachetny kierunek, jaki w młodym wieku, wzięty jego upodobania w pracy i nauce. Z listów, które pisywał do matki aż do ostatniego dnia życia swego, (bo nawet i w ten jeszcze dzień ostatnie pismo swoje do niej wyprawił), widna w nim ta sama wdzięczność, ta sama miłość synowska, jaką czuł pierwszy raz oddalając się od matki, kiedy lat 14 mając, wraz z bratem do Moskwy, do Uniwersytetu wyjeżdżał. Dla dziecinnego wieku swego musiał nań przeczekać, i dopiero lat 15 mając mógł być przyjęty w liczbę studentów uniwersytetu. Obrął sobie fakultet matematyczny, do którego wówczas należał cały wydział nauk przyrodzonych. Tym ostatnim oddał się Linowski z całym zapętem młodego wieku,— łatwo bardzo pojmował i pamiętał wykład profesorów i starał się go dopełnić czytaniem dzieł naukowych w domu. W przeciągu trzyletniego kursu, odebrał dwa medale, jeden złoty a drugi srebrny, za rozprawy na tezy w tym celu dla studentów naznaczone. Te rozprawki nie pisał Linowski dla tego tylko aby nagrody otrzymać, ale obadwa razy pobudzony był do ich napisania sporem i dyskusją z kolegami o kwestjach naukowych, które stanowiły przedmiot tych rozprawek. Pisał je obadwa razy w przeciągu kilku dni tylko, więcej zajęty wysnuciem całego ciągu pomysłów swoich, aniżeli świetnym ich oddaniem. Nie było w nich natłoczenia wszystkich wiadomości, jakie tylko mógł z sexternu profesora i dzieł umyślnie dla rozprawki przeczytanych wycisnąć, ówszem myśl w nich jego własna wybitnie się okazywała i nad wszystkiemi górowała, a na jej poparcie uży-

wał bardzo przytomnie wiadomości szczegółowych, jakich tylko wówczas mógł być już nabyć. W ogóle widać było, że go więcej sama nauka aniżeli odznaczenie się między współ-uczniami zajmowała. Ponieważ nauki przyrodzone wykładane mu były w większej części w sposób empiryczny, to umysł jego młody bez ustanku silił się, żeby własną ogólną myślą połączyć wiadomości rozproszone, które z taką łatwością chwytala jego pamięć. Idąc torem wielu bardzo uczących się, tworzył sobie mnóstwo teorii i hipotez, które jednak prawie zawsze odznaczały się pewną potęgą oryginalnej kreacji, i jakąś excentryczną fantazją; szczególnie zaś odznaczały się jego studenckie marzenia naukowe tём, że była w nich choć sztuczna, całość i ścisłość. Nie rozpraszał się, nie zbaczał na stronę, nie przeciwiał się sam sobie, dopóki rzeczy nie doprowadził do zamierzonych przez siebie wywodów. Potem, jak zwyczajnie w tym wieku bywa, przy bujnej myśli, inny go jakiś pomysł zajmował, często pierwszemu przeciwny, i znowu trzeci i t. d. Szczęście dla niego, że czuł potrzebę poprzeć fantazje swoje rzeczywistymi faktami i to go do pracy pobudzając, nie dało mu błakać się samopas w ogólnikach. W Uniwersytecie Moskiewskim, z powodu medalów Linowskiemu za rozprawki przysądzonych, były długie debaty między professorami i żywe spory między jego współ-uczniami. Professorowie którzy się sprzeciwiali przyznaniu tój nagrody, przyznawali mu wiele zdolności i kształcenia i tylko dla dziwnej oryginalności myśli odmawiali mu tego zaszczytu. W jednej z tych rozprawek utrzymywał on, że wszystkie twory przyrodzenia są w pewnym względzie *potworne*, postawiając sobie *a priori* jakiś niebywały typ ich doskonałości. Jeden z przeciwnych Linowskiemu professorów, po przeczytaniu tój rozprawki powiedział o nim, że z czasem może być szkodliwym dla całej nauki. Takie o nim wyrzeczenie przeciwnika, zdawało się jawnie bardzo okazywać powszechne przyznanie mu znakomitych zdolności;— dla tego więcej się nim chlubił jak samym medalem który wtenczas jednak, pomimo tak silnego oporu, otrzymał. Obstawiał za nim najwięcej znany professor Pawłow, który zapewna ani przeczuwał, że w kilka lat później Linowski jego miejsce w Uniwersytecie Moskiewskim zastąpi.

Skończywszy Uniwersytet, powrócił Linowski do Kijowa, gdzie przez dwa lata zabawił, gotując się do examenu na magistra. Nie chcąc już i przez ten krótki czas zostać ciężarem rodzicom, którzy tyle łożyli starania około jego wychowania, mając lat 18, został nauczycielem matematyki przy gimnazjum Kijowskiem. Niezmiernie był kochany od uczniów swoich; w ogóle cała młodzież uczą-

ca się, czy to z gimnazjów, czy z Uniwersytetu kochała go jak wspólnego sobie kolegę. Kiedy publicznie bronił swojej rozprawy na stopień magistra, przeszło tysiąc uczniów napełniało salę i wniósł do niej. Wyniesiony na rękach, z głośnemi okrzykami szczerzej bardzo radości, prowadzony był od Uniwersytetu przez miasto, aż do mieszkania rodziców, gdzie go matce z powińszowaniami szczęśliwego uwieńczenia trudów, oddano. W czasie pobytu swego w Kijowie zaczął się głębiej zastanawiać nad teorjami wielkich naturalistów. Marzenia, któremi się tak namiętnie lubiła bawić młoda myśl jego, wydały mu się naturalnie niezmiernie nikłe, w porównaniu z temi olbrzymiemi pomysłami, które służą za podstawę naukom przyrodzonym. Widział on w nich bowiem, zarazem utwor natchnienia i dzieło potężnego obmysłu,— a przytém sumiennój i ściśłej pracy. Ukorzywszy myśl swoją przed potęgą geniuszów,— uwielbiając ich wielkie dzieła, nie znalazł on jednak w żadnej z ich teorji i hipotez zupełnego zaspokojenia wszystkim swoim wymaganióm, bo na wiele bardzo zapytań odpowiadały mu one nieokreślenie, zdaleka, ogólnikami. Często potém mawiał, że co do niego,— wszystkie teorje, hipotezy, systemata za podstawę naukom przyrodzonym służące,— o tyle tylko są mu pożyteczne, o ile (klasyfikując je w pewny ściśły porządek), ułatwiają mu zrozumienie a nawet i spaniętanie szczegółów przez doświadczenie nabytych. Odtąd Linowski za główny i prawie jedyny cel swojej naukowej pracy pokłada dobro ogólne ludzi,— a mianowicie dobro klasy, na największą w kraju sympatję zasługującej, to jest, klasy rolniczej w Rossji.

Po odbytych examinie na magistra, wyjechał Linowski natychmiast z Kijowa, zostawując tam ojca starego, którego już więcej nie widział, i matkę, która przez wzgląd na potrzebę synów swoich, nigdy najmniejszym słowem nawet, nie sprzeciwiała się ich oddaleniu od siebie, ani nawet na dni kilka nie odwlekała ich wyjazdu,— i tylko Pan Bóg jeden policzy te łzy w cichości wylane, które wycisnęła jej tęsknota za niemi i bojazliwa niespokojność o każdy ich krok. Jarosław umiał pojąć to macierzyńskie uczucie, i najregularniej i bardzo często pisując do niej, o każdym przedsięwzięciu i o wszystkich zatrudnieniach swoich najdokładniej donosił. Opisując matce, z całą szczerością i swobodą, wszystkie wydarzenia swego życia,— wszędzie okazywał dziwną pogodę duszy i serdeczną wesołość, która go nawet w chwilowych przykrych przejściach nigdy nie opuszczała. Nie mając w Peterzburgu żadnych znajomości, ani skutecznych rekomendacji,— sam sobie torował drogę do dalszego pokierowania się; łączył on bowiem

wielką śmiałość i wytrwałość w ważniejszych przedsięwzięciach życia, do skromnego i prawie nieśmiałego obejścia się w towarzystwie. W zabawach z rówieśnikami, w koleżeńskim życiu, które tak lubił, okazywał szczerą, prawie dzieciinną wesołość i pustotę, co dziwną na pozór sprzeczność stanowiło z jego upodobaniem do ważniejszych zajęć naukowych, z poważnym poglądem na nauki i ze stałością z jaką się trzymał raz obranego celu w życiu. Powiedziawszy sobie mając lat 19, że głównym celem jego naukowej pracy ma być zastosowanie wiadomości naturalnych do potrzeb klasy rolniczej, zaraz od początku wejścia na świat, starał się o wykonanie tego celu na samej rzeczy. Sam— bez innych protekcji, udawał się do kilku wielkich urzędników państwa, prosząc o naznaczenie mu stosownego do tych jego usposobień miejsca. Znosząc z wesołym sercem wszystkie przeciwności jakich w tej mierze doznawał, w zamiarze swoim nie ustał, a trudnościami do nowych zabiegów był zachęcony. Nareszcie udał się sam także do Pana Ministra dóbr skarbowych Kisielewa, który poznawszy jego usposobienia, nie wahał się przyłączyć go do osobnej komisji, przy nowo wówczas zaprowadzającym się kadastrze w Rossji. Jeździł więc Linowski w towarzystwie dwóch innych urzędników po znacznej części Państwa, a mając za cel naznaczony, wyrachowanie średniej proporcji dochodów z dóbr włościan skarbowych, dla postanowienia im stosownego do tych dochodów podatku, miał sposobność poznać dokładnie wiele warunków rolniczego przemysłu w prowincjach, które objeżdżał. Najbardziej go wówczas zajmowały: prowincje południowe, kraj Noworossyjski, Krym, Tatarskie osady i kolonie Niemców na Stepach,— poselenja kozaków,— i stan ich w Małej-rossji. Oprócz obowiązku jaki na niego wkładała służba rządowa, Linowski pobudzony osobistym interessowaniem się, starał się poznać w przejeżdżanym przez siebie kraju, stosunki klasy robotczej z właścicielami dóbr, i ciekawe spostrzeżenia swoje w tym względzie, pomieszczał po rozmaitych pismach perjodycznych Moskiewskich. Wkrótce te ogłoszenia przerwane zostały. Linowski powróciwszy do Moskwy, zajęty był sprawozdaniem z trudów komisji, a w wolnych chwilach oddawał się ulubionym przez siebie naukom przyrodzonym, do czego miał wszelką od Uniwersytetu Moskiewskiego pomoc. W tymże czasie wielką usługę oddał miastu Moskwie i sąsiednim obywatelom, wynajdując w pobliskich wsiach torf w znacznej ilości tam będący, co bardzo niżło cenę opału.

W osobie Kuratora Moskiewskiego Uniwersytetu, Hrabiego Sergiusza Strogonowa, znalazł Linowski opiekuna i protektora

bardzo dla siebie względnego i za jego wdaniem się, po zdaniu examinu na stopień Doktora, wysłany był na koszcie skarbowym, przez Ministerstwo Oświecenia za granicę, dla przypatrzenia się udoskonalonemu gospodarstwu i słuchania wykładu znakomitych w Europie agronomów i naturalistów, słowem, dla zupełnego usposobienia się do obranego przez siebie zawodu. Położono mu za warunek, aby po powrocie swoim przez lat ośm zajmował miejsce profesora w jednym z Uniwersytetów Rossyjskich, wedle naznaczenia Ministra Oświecenia. Odebrawszy jeszcze inne zlecenia od Ministra dóbr skarbowych, w Śepciebrze 1841 roku wyjechał Linowski za granicę. Z Lubeki, dokąd parowym statkiem z Peterzburga przyjechał, udał się do Hamburga, i zaraz później, oddając się obowiązkowemu zajęciu swemu, zwiedzał wiele majątków w Holszynie i Meklemburgu, gdzie gospodarstwo stoi na wysokim bardzo stopniu. Miał wiele listów rekomendacyjnych, z kąd łatwo wiele znajomości porobił ze znanymi w północnych Niemczech agronomami. W Meklemburgu znaczny urzędnik Pan Pepke, najwięcej mu w jego zamiarze był pomocny, uprzejmie go u siebie po całym rozległym gospodarstwie swoim oprowadzając, i ułatwiając mu znajomość z sąsiednimi właścicielami, między którymi, szczególnie u Barona Billa, przypatrywał się starannemu chowowi bydła i koni. Ztamtąd udał się do Berlina, a potem przez Lipsk do Frankfurtu nad Menem, zrobił dla swojej przyjemności ekskursję po Renie, Szwajcjarji i północnych Włochach i w późnej jesieni 1841 roku przybył do Hohenhejmu o kilka mil niemieckich od Sztudgardu. Jest tam dziś najświetniejszy może w Europie Instytut agronomiczny. Po sławnym agronomie Szmercu, dyrektorem tego instytutu był P. Wekerlin, który przez całoroczny pobyt Linowskiego w Hohenhejmie, szczególne miał dla niego względy. Wszystko, co się tylko do gospodarstwa stosuje, gorzelnia na wielką skalę, fabryka cukrowa, doskonały chów bydła i owiec cienkowiełnistych, zajmowały go tu, to w praktycznym ich pielęgnowaniu, to znów w wykładzie uczonych i pełnych doświadczenia profesorów. Przypomnę, w codziennym rozmowie z profesorami i z uczącymi się, między którymi znajdowali się bardzo zdolni i dobrze usposobieni ludzie ze wszystkich prawie krajów Europy i Ameryki, wiele sobie handlowych i ekonomicznych kwestij objaśnił. Król Württembergski, znany protektor rolnictwa i przemysłu, prawdziwy ojciec swego pracowitego ludu, przyjeżdżał bardzo często do Hohenhejmu; Linowski był mu prezentowany przez P. Wekerlina, i miał zaszczyt mówić z nim o gospodarstwie Ukrainy i całej południowej Rossji, a szczególnie zdawał się Król

z zajęciem go wypytywać o chowie bydła i owiec w tych stronach. Będąc na kilku jarmarkach w Badeńskim i Württembergskim, dowiedział się Linowski, że cenna wełny znacznie tam co rok spadała, gdyż wywóz cienkiej bardzo wełny zmniejszał się, a krajowe fabryki powiększej części zaopatrywały się na jarmarkach Wrocławskich i Lipskich, wełną ze Szląska i Polski. Król Württembergski obrócił też szczególnie uwagę swoją na urządzenie lnu, na przygotowanie pod niego roli, a najbardziej na sposób wyznaczania, wytarcia i całego urządzenia przędzywa, chcąc ten przemysł postawić na stopniu, na jakim on już od tak dawna stoi w Holandji.

W Septembrze 1842 roku był Linowski w Sztudgardzie na licznym zjeździe najstawniejszych agronomów, gdzie bardzo ważne gospodarskie i ekonomiczne kwestje roztrząsano. Oto kilka słów z jego listu wypisanych 29 Septembra 1842 roku. «Od dwóch tygodni zjechało się tu do Studgardu do 600 najstawniejszych gospodarzy, ze wszystkich stron świata, szczególnie z Niemiec, z Francji, ze Szwajcjarji i innych krajów Europy, gdzie rolnictwo kwitnie. Mamy ciągłe zajęcia, od 7-mej zrana do 8-mej wieczorem nie ustają prawie debata o rozmaitych gałęziach gospodarstwa. Z różnych stron Niemiec, Francji i Anglji przystano tu «mnóstwo narzędzi rolniczych i machin, mnóstwo nasion, roślin, «win do 300 gatunków,— oleje, wełnę, jedwab, len, cukier i tysiąc innych produktów, któremi napełniono dziesięć ogromnych «sal, nieustannie odwiedzanych przez mnóstwo przyjezdnych tu gości. Codziennie w przytomności Króla, rozdają tu najlepszym «rolnikom: pieniądze, medale i inne nagrody za to, że dobrze u «siebie gospodarują, że ładne mają bydło, udoskonalone narzędzia «i t. d.; 24-go wszyscy byliśmy w Hohenheimie, gdzie jak w polu «tak i w fabrykach wszystko było w czynności, kilkadziesiąt «chłopów z różnych stron przyszło tu orać, i ten co najlepiej «zarał cały zagon, dostał w nagrodę 50 dukatów. Wszyscy zebrani tu uczeni i gospodarze z professji, jednogłośnie przyznali, «że instytut w Hohenheimie jest najważniejszy gospodarski zakład «w całym świecie; 25-go i następujących dni zwiedzaliśmy majątki «Króla i kilku bogatych Panów. Wieczorem dzisiaj król opatrywał najładniejsze chłopskie krowy i woły i iune bydło, i z każdym rolnikiem długo rozmawiał o gospodarstwie.»

«Oprócz gospodarskich, mieliśmy do rostrząśnienia dwa ważne «pytania, które nam zadane były od kilku Niemieckich Państw. «1-ód, Czy przy ogromném zaludnieniu tych państw, nie potrzeba «w rozdziale ziemskich posiadłości, naznaczyć pewnego *minimum*

«i jak ono wielkie być powinno; po 2-re, jakich środków użyć potrzeba, ażeby Anglja zboże, wełnę i len, nie z Australji i Ameryki sprowadzała (jak się to w ostatnich czasach działo), ale jak dawniej, z Niemiec. Były ważne mowy o tych dwóch przedmiotach, chociaż ostatecznie kwestji nie zdecydowano. Najwięcej odznaczeni się: List, Tellenberg, Rau, Gertner, Hoffman, Kraus i inni.»

Przedtém jeszcze, na wiosnę, ukończywszy roboty w polu, wyszedł Linowski zwyczajem niemieckim, dla zwiedzenia okolic pobliskich. Oto opisanie tej jego ekskursji z listu do matki wyjęte, 12 Maja 1842 roku. «Teraz, w przeciągu dwóch tygodni, nie mamy prawie zajęcia w Hohenhejmie, dla tego z sąsiadem moim Anglikiem, ruszyliśmy się ztąd na dni kilka. Szliśmy ciągle piechotą i tym sposobem mieliśmy zręczność widzenia tego, co jest najciekawszego w Niemczech, mnóstwo małych miasteczek i wiosek. Tu tylko można poznać prawdziwy charakter narodu. Stolicę powiększłej części w Niemczech nudne są, bez życia i charakteru żadnego. Arystokracja tam nie ma ani tej władzy, ani powagi, ani zalet, któremi się odznacza szlachta w innych krajach Europy. W miasteczkach zaś i po wsiach, między średnią klasą narodu i prostym rolniczym ludem, można wszędzie znaleźć oświeconych i rozsądnych ludzi i dobrych synów ojczyzny. Tam po wsiach i miasteczkach kwitną nauki, przemysł, rolnictwo; tam można widzieć, obok pól szczególnie dobrze uprawianych, mnóstwo ciekawych fabryk, słowem wszystko, co się przyczynia do bogactwa i sławy narodu. Wszędzie spostrzegaliśmy przykłady cnót familijnych bardzo znaczące, i w ślad za tćm widzieliśmy wszędzie ogólny dobry byt, szczęśliwe powodzenie, jakie tylko w południowych Niemczech znaleźć można. Szkoda tylko, iż ziemi tu tak mało, że rolnik często posiada nie więcej jak kilka kwadratowych sążni pola. Morg ziemi kosztuje tu od 2000 do 4000 tysięcy złotych polskich. Nie dziw więc, że co roku kilka tysięcy wieśniaków przesiedla się ztąd do Ameryki i innych stron świata. My wczoraj spotkaliśmy do dwiestu takich rolników: z żonami i dziećmi szli piechotą do Belgji; ztamtąd mają płynąć, ale dokąd? sami tego nie wiedzą; ja radziłem im aby jechali do Brazylji, Anglik namawiał, aby tak jak ich ojcowie, udali się do Zjednoczonych Stanów; biedni,— nie mogli się zdecydować. To wiedzieli tylko, że im trzeba własny kraj, taki piękny i szczęśliwy opuszczać, bo on już dla nich za ciasny.»

W listach jego z Hohenhejmu pisanych, wiele jest ciekawych szczegółów dotyczących się domowego życia Niemców, zinnój ich

rozwagi, wyrachowania, pedantstwa, akuratności, słowem wszystkiego, co bardzo powszechnie o Niemcach wiemy. Linowski opowiada to z prostotą i wdziękiem wielkim, bo wszędzie przebija się w jego opisaniach przywiązanie do matki i zatęsknienie za rodzinną stroną. Wszystko co widzi u Niemców, porównywa z tém, co się w domu dzieje, a za gniazdkiem tęskni często, ho tam zostawił matkę, i choć tam wiele złego upatrywał, czuł jednak że tam jest w sercach miłość serdeczna dla ludzi, dla nieszczęścia łąza skora i pomoc ochotna, czego trudno gdzieindziej, przy zimnej krwi i egoizmie, znaleźć. Przez kilka miesięcy jeżdżąc po Europie, nie odbierał listów z domu, niespokoił się i tęsknił, a odebrawszy pierwsze pismo od matki, pisze do niej: «Byłem już «w tym roku i w Niemczech i we Francji, widziałem góry Szwajcarji i niebo Włoch, ale wszystkie ciekawości i nauki, i wszystkie te tam cuda natury, nie sprawiły we mnie i tysięcznej części tego ukontentowania, jakie uczułem, kiedy pocztyljon przyniósł mi wczoraj list z Kijowa od najukochańszej Mamy. Co tygodnia odbieram listy z Francji, z Anglii, Bóg wie nieskąd od «różnych moich znajomych, ale z Ukrainy w przeciągu sześciu «miesiący ani słowa, a przecież wiedziałem, że w tym nudnym, «smutnym Kijowie jest anielskie macierzyńskie serce, jakiego tu «może nigdzie niema, że mi ono we wszystkich wędrówkach moich towarzyszyło, że ono jak dawniej czułe i o mnie troskliwe.» Tłumaczy sobie potem taki brak wszelkiej wieści z domu, bo gdzież go było szukać «wiatra w polu w czasie kilkamiesięcznej wędrówki.»

Opuściwszy Hohenheim po całorocznym w nim pobycie, wyjechał do Paryża, gdzie także kilka miesięcy zabawił. Poznał on tam wielu ludzi, którzy zarówno na usposobienia jego moralne, jakoteż na pogląd jego na nauki i na życie samo, wielki bardzo wpływ wywarli. Mając naturalną dla każdego życzliwość i uprzejmość, serdeczną Ukraińską duszę, nie dziw że wiele sobie nawzajem serc ujął. Bawił w Paryżu przeszło sześć miesięcy. W tym środkowym punkcie całej cywilizacji i wszelkiego życia, jakim tylko kiedy ludzie żyli, i jakie teraz jest znane, umiał Linowski dla siebie wybrać te jego strony, które usposobieniem jego najwięcej odpowiadały, i ochłonawszy z pierwszego odurzenia, w jakie go gwar nieustannego ruchu początkowie wprawił, nie dał się dalej ciekawości swojej na tysiące przedmiotów rozpraszać, a oddał się całej wybranej przez siebie pracy i w wolnych chwilach ulubionym stosunkom, które tam zawiązał. Miał listy rekomendacyjne do wielu uczonych Francuzkich, którzy wszyscy przyjęli go ze zwykłą Fran-

cuzóm grzecznącią. Słuchał akuratnie prelekcji: *M. Dumas* i *Prewo* w *Sorbonie*; *Tenara* w *Colège de France*; *Peyena*, *Pulietta* i *Blanki* w *Conservatoire des arts et metiers*; *Arago* w Obserwatorium, *Orfilla* w *Ecole de Medecine*; *Elie de Beaumont* w Instytucie Górniczym. Jeśli dodać do tego, że zwiedził bardzo wiele zakładów fabrycznych, ważniejsze biblioteki, zbiory sztuk pięknych, instytutu dobroczynności i t. d.; to łatwo pojąć można jak miał czas pobytu swego w Paryżu zapełniony; tém bardziej, że teatra i inne osobliwości, zresztą posiedzenia izb, sessje sądownictw, publicznie się odbywające, wabiły go także. Słowem jedném przez cały ten czas co był w Paryżu, nauka z katedr od najznakomitszych uczonych, równie jak z obcowania z ludźmi, spływała nań codziennie obfitemi zdrojami, a wrażenia jakich doznawał umysł jego, i te które wstrząsały jego serce, jakkolwiek szybko jedne po drugich następowały, tak były żywe, że niezatarte zostawiły ślady po sobie. W tym czasie i religja silniej przemówiła do jego duszy. W modlitwie rzeźwił siły umysłu do pracy, a praca sumienna, nie próżna, czujniejszym go robiła na głos Boży. Porodzinna tęsknota odezwała się w nim rzewnziej niż kiedy, wśród tak pełnego życia obcego sobie ludu. Nie raz pośród ogłuszającego szumu miejskiego, gdzie tyle pustot i krwawych namiętności, głosy swe mieszają razem, Linowski jakby był na Ukrainie, duszą słuchał czarownego rozbrzmienia pieśni od Stepu i Dniepru, której nota i słowo w niebie, a której mdłe echo tylko, zasłyszane w pogodnej chwili natchnienia od piewców, obiwszy się o duszę stepowca, już nie zatarty ślad na niej zostawia. Ani zajęcie naukami ścisłemi, ani życie czynne, praktyczne, interesami służby zapełnione, nie zdołały wygładzić w Linowskiego duszy ten wrodzony zmysł, którym się pojmuje głos swojej rodzimjéj poezji.

Po kilkomiesięcznym życiu w Paryżu, pełném tak żywych u niesień, pojechał Linowski do Anglii oddać się spokojniejszej pracy. Kilkanaście dni tylko zabawił w Londynie, gdzie niewypowiedziany ruch handlowy uderzył go i zadziwił, ale nie bardzo żywo zainteresował. Słyszał kilka wymownych dyskusji Roberta Peela i wyjechał z Londynu do Szkocji, do miasteczka Kelso, gdzie przez kilka miesięcy zajmował się praktyczną agronomją. Przyjmowany z gościnnością i po przyjacielsku od tamecznych bogatych fermierów, wiele ciekawych szczegółów ich domowego życia, w listach do matki, opisał. Ujmowała go ich szczerosc i uprzejmosc, prostota w obejściu się, akuratnosc i uczciwosc w interesach i w kazdej czynności. Raziły go zaś zbyteczne wyrachowanie, ciągły

zwrót myśli na samą tylko materjalną korzyść, zamiłowanie we wszystkich drobnych dokładnościach swego rozstawionego komfortu. Nudziły go nareszcie niektóre etykietalne przepisy i zanadto przedłużające się po objedzie, libacje *whisky* (wódki) i grogu. Ciągłe też dyskusje polityczne, to jest, jak tam, o handlu i przemyśle, zajmowały cały wieczór nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, co odbierało cały wdzięk towarzystwu. We względzie swojej nauki skorzystał on w Kielso bardzo dużo, równie w doświadczeniu gospodarskiem, jak i w zastosowaniu praktycznym prostych i logicznych teorii tych bogatych agronomów. W dwóletnim kursie swoim, co lekcji wspominał on prawie o gospodarstwie, któremu się w Szkocji przypatrzył. Studja które tu robił, zarówno sobie uważał za ważne, jak te, które przedtém w Hohenheimie odbywał.

Ze Szkocji wyjechawszy zatrzymał się przez jakiś czas w Belgji, gdzie mieszkał na kilku fermach flamandzkich. Ztamąd przez Wiedeń wracał do kraju, kiedy w sam dzień wyjazdu jego do Krakowa odebrał list od Pana Ministra Oświecenia, pozwalający mu jeszcze rok trzeci, na koszcie skarbowym, za granicą pozostać. Z radością przyjął to nowe dobrodziejstwo i dopełnił swoją podróż, udając się przez Triest do Włoch. Tam Lombardja i Toskanja, słynące ze swojej uprawy, bardzo były dla niego ciekawe. Był w Rzymie, Neapolu, w Palermo, w Hiszpanji; znowu we Francji, Anglji i Belgji, i przez Berlin do kraju powrócił, zatęskniony do matki i niespokojny o nią.

W czasie podróży swojej poznał prawie wszystkich znakomitszych naturalistów Europejskich. Z Okenem podróżował po Szwajcarji,— Arago, Dumas i innych znał dobrze w Paryżu. Wielu z nich słuchał prelekcji. Szczegóły rozmów z nimi i treść ich wykładu znajdować się musi w dzienniku, który regularnie prowadził, a zresztą często o tém wspomina w kursach swoich, które w Moskwie drukiem ogłosił.

Przyjechawszy do kraju krótki czas tylko mógł zabawić z matką, w śród rodzinnej Ukrainy, bo obowiązek powoływał go do Moskwy, gdzie przybywszy podał rozprawę na doktorski stopień. W Peterzburgu zdawał examen z nauk technologicznych, i w końcu 1844 roku, zaczął prelekcje swoje w Moskiewskim Uniwersytecie.

Oto w krótkości przytaczamy treść dwóch pierwszych tomów jego kursu. Zastanowiwszy się nad różnaitością miejscowych w każdym kraju odmian w gospodarstwie wiejskiem, z przyczyn klimatycznych, gruntowych, politycznych; nareszcie z przyczyny nawyków i przesądów miejscowych, wywodzi potrzebę nauki, która

by tę różnorodność szczegółów w całości objęła i przedstawiła. Gospodarstwo wiejskie może się uważać jako rzemiosło, jako zajęcie stanu i jako nauka. Dla usposobienia rzemieślników potrzeba osobnej na to technicznej szkoły, gdzieby wszystkich rzemiosł w gospodarstwie potrzebnych, uczono szczegółowie. Tak samo dla wychowania praktycznych agronomów, rządców majątków, specjalnych gospodarzy, potrzeba oddzielnych instytutów, gdzieby każda gałąź gospodarstwa wykładana była oddzielnie i przytém z miejscowem zastosowaniem do potrzeb kraju lub prowincji, w której instytut się znajduje. Nareszcie gospodarstwo wiejskie jako nauka wykładać się powinna po Uniwersytetach. Jój celem jest wychować właścicieli ziemskich, którzy się najwięcej przyczynić mogą do stanowczej na dobre zmiany gospodarstwa,— i urzędników, którzyby potrafili do skutku przywozić cele rządu w opiece używanej rolnictwu. Nauka gospodarstwa wedle Linowskiego nie powinna być li tylko stosowaną do praktyki zoologją, botaniką, fizyologją i t. d., jak była dotąd we Francji. Ani samym zbiorem rozproszonych wiadomości, wydobytych z uczonego doświadczenia bogatych fermierów, jak jest w Anglii. Ani nareszcie wielotomowym zbiorem systematów, teorii, formuł i najszczegółowszych wyrachowań, jak po Uniwersytetach niemieckich. Jój celem jest podać jasną i najprościejszą teorię o chowaniu wszystkich roślin gospodarskich i wszystkich zwierząt domowych. Tę teorię powinna objaśnić doświadczeniami, mającemi rzeczywiście miejsce w tym lub w owym kraju. Powinna pokazać, jakim sposobem w każdym przedmiocie gospodarstwa, odmiany różne, w każdym kraju od miejscowych przyczyn zależą, i o ile one rzeczywiście powinny zależeć.

I w tém już ogólném znaczeniu jako nauka, gospodarstwo wiejskie powinno jednak być wykładane, stosownie do potrzeb kraju, do którego Professor z katedry przemawia. Tu zwraca Linowski uwagę słuchaczy swoich na niezmierną różnicę gospodarstwa wiejskiego w różnych stronach Rossji i Polski, od gospodarstwa Zachodniej Europy. Nie życzy sobie raptownych zmian, a szczególnie obawia się ślepego naśladownictwa, którego bardzo opłakane skutki nieraz zdarzyło mu się widzieć. Każdy naród długiem doświadczeniem wyrozumował sobie wiele zwyczajów gospodarskich; ustaliwszy je sobie pokoleniom przekazał. Nie godzi się le. komyślnie je zaliczać do przesądów, które odrzucać trzeba, bo tai się w nich mądrość naukami sprawdzona, którą bardzo niebezpiecznie zastępować xiążkową mądrością. Z drugiej strony rzecz nie zawodna, że szkodliwe uprzedzenia u rutynowych gospodarzy

exystują rzeczywiście, nauka ma obowiązek jasnym, dostępnym każdemu sposobem pokazać ich szkodliwość, podać sposoby lepsze i dowieść faktami jakie zład korzyści wypłyną; każdy professor wiejskiego gospodarstwa w Uniwersytecie, ma obowiązek obznajamiać krajowców swoich z doświadczeniami robionemi za granicą, i pokazać jak one w kraju zastosowane być mogą. Będzie się starał nawet wykład objaśniać przykładami exystującymi w różnych częściach całego państwa, do czego mu jego obowiązkowe pokraju podróże posłużą. Nie będzie robił umyślnych zбочeń do nauk przyrodzonych, dla nadania wykładowi swemu więcej blasku i różnostronnego interesu; wszakże jeśli się wydarzy potrzeba, będzie przywoził na pamięć słuchaczóm, wywody naukowe z zoologii, botaniki, fizjologii, stosując je li tylko do chowania zwierząt domowych i roślin gospodarskich. W całym wykładzie swoim będzie się starał unikać wyrażeń naukowych, zawitego wystawiania się, próżnych teorii, nie sprawdzonych faktami. Słowem, będzie się starał wszystkiemi siłami swój wykład uczynić jak najdostępniejszym dla ogółu słuchaczów, między którymi zaledwie półowa jest studentów. Widząc pomiędzy niemi mieszkańców najodleglejszych prowincij, przewiduje trudność jaką będzie miał w zastosowaniu się do potrzeb każdego. Będzie ich więc najwięcej obznajmiał z odkryciami i doświadczeniami, które z ogólną są dla wszystkich korzyścią, z pewnikami, które systematycznie zebrane, łatwiej pojąć i rozważyć. Widząc w liczbie słuchaczów swoich wielu znanych gospodarzy, znakomitych rolników i uczonych, dziękuje im za zajęcie się, jakie okazują dla jego wykładu, przypisując to powszechnemu interessowi, jaki się w kraju dla rolnictwa obudził. Wspomina opowiadania Dombala o trudnościach jakich doznawał w początku, z powodu obojętności Francuzów dla rolnictwa, i nie czując w sobie żadnych zasług, zdziwiony jest widząc się otoczonym liczniejszém gronem słuchaczów, aniżeli mieli ich w początkach swego wykładu Dombal i Szwere, którym teraz Francja i Niemcy, z wdzięcznością pomniki stawiają. Jeszcze raz przypisując to tylko zamiętowaniu gospodarstwa, więcej się tém cieszy aniżeli zaszczytem, który na niego spływa, z tak żywego zajęcia się publiczności jego wykładem.

Porównywając gospodarstwo wiejskie w Rossji z gospodarstwem innych krajów, mówi: «Oprócz różnicy klimatycznej, gruntowej i zwyczajowej, dwie główne jeszcze różnice upatruje: ekonomiczną i polityczną. Pierwsza jest, że na zachodzie w ręku właścicieli ziemskich znajduje się ogromna massa kapitałów, wtedy kiedy w Rossji majątki obywateli powiększłej części, (a nawet prawie

«powszechnie) obciążone są długami. Ztąd wszelkie ulepszenia połączone z większym kosztem, stają się tu prawie niepodobnemi. Druga różnica tyczy się stosunków Panów z włościanami. Obywatel w znacznej części Rossyjskiego Państwa, daje włościanom «swoim część swoich gruntów, a za to nabywa prawa do połowy ich pracy, to jest: do trzy-dniowej pańszczyzny na tydzień. Te «stosunki panów z poddanyimi, których początku szukać potrzeba «w ustawach carów Rossyjskich: Fedora Iwanowicza, Borysa Godunowa, Bazylego Szujskiego, (bo oni pierwsi chłopów do gruntu przy«wiązali); a ostatecznie określone zostały postanowieniami: Anny «Joanowny (1734 r.) i Pawła I-go (1797). Zaczyna się już u o«świeconej szlachty ta myśl ustalać i rozwijać, że stan gospodarstwa wiejskiego od dobrego bytu poddanych najwięcej zależy. «Niemasz, Panowie, żadnej wątpliwości, że każdy lepszy koń, wół «zaprzężony do pługa u włościanina, każda lepsza uprzęż, co się «u niego pokaże, każdy zbywający korzec zboża, który on w swo«jjej komorze oszczędzi, powiększa nie tylko jego własny majątek, «ale zarazem i dochody właściciela. Wszędzie dają się już wi«dzzieć starania oświeconszych obywateli, żeby po swoich majątkach określić liczbę dni robocizny włościańskiej tak, żeby nie ciężła chłopóm zbyt uczynna powinność, a obywatele nauczyli się uży«wać roboczych sił z oszczędnością i jak najkorzystniej dla siebie. «To pierwszy stopień do regularnego i rozumnego gospodarstwa. «Tym z was Panowie, którzy z nad Bałtyckiego przybywacie kraju, «wiadomo jest, jak stosunki panów z chłopami, są tam określone «w osobnych księgach, *wakenbuch* zwanych, a tym, co mieszkańca«mi zachodnich gubernij jesteście, nie tajno jest także, że od dawnych lat exystują tam w każdym prawie majątku rozmaite «inwentarze, ilość robocizny chłopu regulujące. Nie masz wątpli«wości, że szlachta nie ustanie w szlachetnych swoich uczuciach «i zechce w tym względzie odpowiedzieć pamiętnemu powiedzeniu Cesarza Alexandra, «że klasa rolnicza jest umem i duszą narodu.»

Przechodzi później w następnych prelekcjach swoich fizyczne różności gruntu, rozbierając po kolei własności każdego. Pokazuje wszystkie zalety i niedogodności gruntów: gliniastego, piaszczystego, marglowego, czarnoziemiu, kamienistego, łąkowego i torfowego; pokazuje w jaki sposób każdy z nich ulega wpływowi powietrza, wilgoci, ciepłoty; jak łatwa jest jego uprawa, i przedstawia sposoby poprawienia każdego, jeśli tego potrzeba wymagać będzie. Wylicza doświadczenia które widział za granicą, i przy każdym z opisanych tu gruntów wymienia, gdzie

się one w Rossji znajdują, przyczem zaraz powiada w czem doświadczenia za granicą robione mogą być w Rossji przyjęte, a w czem nie. Pokazując jak doświadczenia w gabinetach naukowych lub w audytorjach przed publicznością robione, są trudne w zastosowaniu na większą skalę, przywodzi przykład P. Gumfi Derby, który do zupełnie gliniastej ziemi domieszał w szklance odrobinę piasku, i tym sposobem zupełnie jej własność przemienił; pokazało się że ta odrobina była tak znacząca, że nawet w krajach, gdzie ziemi mało, gdzie dochód z niej ogromny,— to doświadczenie nie mogło by przyjść do skutku. A w naszym kraju z tego powodu i inne ulepszenia z wielkim trudem i kosztem połączone, nie mogą być uskutecznione. Wspomina tu o tej niezmierniej ilości czarnoziemiu, jaki się znajduje na Ukrainie, na stepach Noworossyjskiego kraju i w innych prowincjach Rossji i przypominając sobie, z jakim trudem tłumy starców i dzieci zbierają w Anglii, Szkocji i Belgji najmniejszy odłamek nawozu, pobudza słuchaczów najprzód do wdzięczności Panu Bogu, za dar, w porównaniu z którym, niezem są kopalnie węgla w Anglii, i wszystkie kopalnie złota i innych metalów lub drogich kamieni, a później zachęca do utrzymywania go jak najdłużej przez umiarkowane podsycanie tych gruntów, bo błędne jest mniemanie, jakoby czarnoziem nigdy nie potrzebował uprawy. Przypomina sobie jak lekkomyślnie mieszkańcy Ukrainy, stepowych gubernij i innych żyznych stron Rossji palą ogromne zapasy gwoju i słomy i tém bez żadnej korzyści niszczą sobie materjał, w przyszłości może nieobrachowanej ceny. Łatwo tłumaczy sobie dziewictwo i żyźność gruntów Ukrainskich, kiedy wspomni na małą ich uprawę. Przywodzi przykład z Kijowskiej gubernji, gdzie przed niedawnymi laty na 4000 morgów pola było 200 garncy ozimego zasiewu. Chleb tam nie miał pokupu, ludność była nie liczną, a do tego z opowiadań chłopów dowiedzieć się można, że w wielu miejscach, pańszczyzny naznaczonej chłopom było nie więcej jak dni 12 na rok. Pola leżały długo odłogiem, nie dziw więc, że i sama wegetacja i pasanie mnogiego bydła, znacznie powiększyły ilość czarnoziemiu. Dziś kiedy tyle głodnych ludzi oczekuje na chleb z tego kraju i drogo go swemi pieniędzmi opłaca, a pola się wszystkie orzą i stopniowo wyniszczają, trzeba myśleć o ich podsyceniu, o zachowaniu środków ku potrzebnej ich uprawie w przyszłości.

Potem następują dwie konferencje, o geologiczném formowaniu się rozmaitych gruntów, składających tę korę twardej ziemi, która wszystkie twory organiczne żywi. «Jest to nic innego jak zwietrzała psująca się poroda gór. Gdyby zewnętrzne elementa:

«woda, powietrze, ciepło, nie wywierały swego wpływu na ziemię, «byłaby ona niezawodnie została tęp, czém była początkowie, to «jest twardą skałą, kryształem. Nie byłoby na nią żadnej wege- «tacji. Te zewnętrzne czynniki przyrodzenia drobia i psują skały. «Przy ogromnych kamiennych skałach, ciągnących się stami mil, «widzimy odłamy wielkie jak dom, jak ta audytorja, jak jaje, jak «orzech; śledząc dalej ten stopień drobienia się kamienistój skały, «dójdziemy do tego proszkowatego jój stanu, który gruntem u- «prawnym nazywamy; każdy odłamek tego gruntu zachowuje «kształt i kolor skały, z którój powstał. Nie raz w Szkocji, pa- «trząc przez mikroskop na ziarnka piasku z pól tamecznych, zda- «wało mi się że widzę jedną z tych granitowych lub gnejsowych «skał, które tak okazale wznoszą się w północnej części Wiel- «kiej Brytanji.»

Dowiodłszy, że woda w zamarzaniu swoim najwięcej przy- czynia się do rozdrabiania skał, przywodzi wiele bardzo przykła- dów na dowód tego twierdzenia. Powietrze, przy zwietrzaniu skały jest bardzo ważnym czynnikiem, z przyczyny rozmaitych chemicznych powinowactw, dostrzegać się dających między jego składowemi częściami a składowemi częściami skały. I tak naj- przód kwasoród znajdujący się w powietrzu, łączy się z cząst- kami skały zakwaszeniu ulegającemi np. z żelazem, i zmienia je- go własności chemiczne, a tęp samém i skład i zbitosć skały. Kwas węglowy znajdujący się w powietrzu, łącząc się z wodą, rozтворя węglan wapną w skale i przemienia go w sól, w wo- dzie rozpuszczającą się. Nareszcie wiele cząstek mineralnych i sol- nych w skale takimuz rozpuszczeniu ulegają; ztąd gęstosć jój i twardosć zmniejsza się znacznie. Pokazuje potęp przykładami, jak granity pomimo swojej twardosći, przemieniają się w różne grunta, bo ich skład jest rozmaity, a kwarc rozsypuje się po większój części na piasek. Trachity i bazalty najtrudniej się mogą na mięką ziemię przemienić; wszakże widzieć się dają przy wulkanicznych górach małe odłamki tych kamieni, a muł w rzekach nie dale- ko wulkanów płynących, i kolorem i składowemi częściami od wspomnianych kamieni nie różniąc, oczéwiście z ich rozsypania się pochodzi. Wapiennik rosprasza się trudniej lub łatwiej, sto- sownie do dawnosći formacji swojej, to jest: stosownie do kątu, pod jakim wznosi się zwierchni jego pokład. Im późniejszy po- kład, tęp trudniej w ogóle rozsypuje się każda skała. Gips łatwo się kruszy, a jeszcze łatwiej krejda, która w rozdrobieniu formuje grunt wapienno-gliniasty, bardzo żyzny. Taki grunt znajomy jest w Królestwie Polskiem pod imieniem *rędziny*, znajduje się w oko-

licach Sandomierza i wszędzie po nad brzegami Nidy, koło Proszowicy, Jędrzejowa, Stobnicy, Stółwa, aż pod Zamość; zajmuje kilkaset mil kwadratowych, na których się rodzi owa wstawiona w Polsce i za granicą przemia *Sandomirka*. Kończy Linowski swoje geologiczne wywody tym przyjętym przez wielu naturalistów pewnikiem, że wszędzie gdzie tylko się znajdujemy, niewyłączając i najrozleglejszych równin, jest pod nami twarda skała. Ale oprócz wietrzenia i drobienia się skały, jest inna przyczyna, że zwierzchnia warstwa bywa w niektórych miejscach bardzo gruba; tą przyczyną jest napływ wód, którego skutki i dziś spostrzegać się dają; stanowczo zaś wpłynąć na fizognomję kuli ziemskiej, mógł tylko potop.

W dalszych prelekcjach mówi Linowski o formowaniu się czarnoziemu, o którym sądzi, że «przedewszystkiem powstał z ciągle gnijących organicznych istot, szczególnie państwa roślinnego. Już granit przy początkowem psuciu się pokrywa się mchem, który gnijąc formuje cieniuchną warstwę czarnoziemu i wkrótce zaczynają tam rosnać inne rośliny. Życie tych roślin pojmiemy śłatwo, przypomniawszy sobie tę prawdę, już teraz od żadnego z Fyzyologów nie przeczoną, że rośliny karmią się nie tylko z ziemi, z której wyrosły, ale i z powietrza, chłonec za pomocą zielonych liści swoich gaz węglowy, który się w powietrzu znajduje. Bujny porost stepów Ukrainy najwięcej się przyczynił do skupienia tam tak ogromnej masy czarnoziemu. Ile razy mi się zdarzyło przejeżdżać przez te pola, pokryte różnowzorem kwiatem, bujną trawą i burzanem,— myślałem, że ta bujna wegetacja obcych zapewne gospodarstwu roślin, które Belg, Anglik lub Francuz staraliby się z pól swoich wyplenić, u nas jest nieocenionym darem Opatrzności. Z tego porostu opał i światło na stepach i karmić dla bydła, a z korzeni jego i przegniętego liścia, w ciągu wieków uformowała się ta gruba warstwa żyznej ziemi, na której samorodnie rosna szparagi i inne rośliny, potrzebujące najsilniejszej ogrodowej uprawy gdzie indziej. Ludy barbarzyńskie śpiesząc na zachód, przechodziły tylko przez tę żyzną pustynię, nigdy się w niej nie osiedlając. Do niedawnych czasów niezaludniona prawie i nieuprawna, teraz dopiero zaczyna wydawać człowiekowi regularniejszy plon z bogatych zosobów żywiaczej siły, kiedy na zachodzie już Karol Wielki w Państwie swoim niepozwalał zostawiać ziemi odłogiem i wylemiał zlamtad wygonowe gospodarstwo, jako już nieodpowiadające potrzebom, zbytne rozmnożonej ludności. W lesistych stronach północnych gubernij mniej jest czarnoziemu, chociaż zapewna las, nie mało

«się do sformowania jego przyczynia. Zrabany las zaraz na nowo odrasta; a tam gdzie wypalają ten skarb przyrodzony, dla ułatwienia korczunku, widzimy na miejscu bujnie rozrostłych drzew, w błocie od zimna skurczony mech poziomy i nikły.»

Wypowiedziawszy swoje zdanie o formowaniu się naszego czarnoziemu, Linowski zwraca uwagę słuchaczy na przypuszczenia znakomitego angielskiego geologa Murezisona, który utrzymuje, że czarnoziem znajdujący się w całej Rossji, powstał od samego li namulenia. Opisał on dokładnie i z dowcipem wszystkie hipotezyjnie odgadnione przechody tego mułu, nim w stan zsiadłego gruntu, w stan teritorjalny przeszedł; za dowód swoich domysłów pokłada Murezison to, że nigdzie w czarnoziemiu całej Rossji nie znalazł najmniejszego składu organicznych jestestw, ani liścia, ani korzeni zepsutych. Nie przeczę ja Panowie, mówi Linowski, «że nasze stepowe równiny mogły być długi czas morzem zalane i pokryte grubą warstwą, naniesionego wodą mułu; ale żeby cały nasz czarnoziem powstał li z takiej geologicznej formacji, naniesionej tu nurtami powszechnego potopu, lub innej jakiej powodzi, temu uwierzyć nie mogę, bo widziałem strony, w których jeszcze i za naszych czasów ilość czarnoziemiu powiększa się od przegnicia liści i korzeni roślinnych; dosyć wspomnieć sobie, że i teraz na naszych stepach zaprzęgają do pługa sześć, ośm, do dziesięciu wołów, ażeby przerwać to mnóstwo poplątanych korzeni, któremi tam osnuta jest cała ziemia. Gdzież podziały się te korzenie, te trawy i burzany, które się co rok przez wiele wieków w bezludnej tej stronie odnawiały?»

W następnych prelekcjach opisuje Linowski chemiczny skład ziemi; do niedawnych czasów myślano, że ziemia z dwóch tylko w rozmaitej proporcji połączonych pierwiastków się składa: z gliny i piasku; ale nowe poszukiwania chemiczne odkryły, że oprócz wielu organicznych materji, znajdują się w niej jeszcze: wapno, magnezja, gips, różne sole, potaż i t. d. Pokazując po czem poznawać te składowe części ziemi, cytuje grunta, w których się te ciała znajdują, szczególnież zwraca uwagę na grunta krajowe.

Przechodząc do materij organicznych w skład ziemi wchodzących, głównie zajmuje się teorią i doświadczeniami Sossiura, który pierwszy upatrywał w ziemi, jako odrębny pierwiastek, pewny ekstrakt z przegnoju; wylicza w jakiej proporcji on się znajduje w próchnicy, jak się roztworza i t. d. Opowiada o doświadczeniach Gelusaka i Tenara w tymże przedmiocie. Wspomina myśli Berzeliusza o jednej składowej części próchnicy, którą on nazywa

gejmem. Przywodzi myśli Wokelena, Brakonnota, Deberejnera i Szprengela o pewnej organicznej materji w ziemi znajdujacej się, z ekstraktu przegnoju powstałej, *ulminą* zwanej. Inni ją kwasem ulminy zowią; ale w końcu oświadcza, że nieprzyznaje żadnej odrębnej organicznej materji, z przegnoju wynikającej, którą by pewną formułą oznaczyć można; bo doświadczenia chemików najznakomitszych dowodzą, że proces gnicia, psucia się, nigdy się nie zatrzymuje i choć Niemieccy uczeni,— uważając ten proces w pewnych oznaczonych jego momentach,— mogli postrzedz bardzo ciekawe zjawiska, jednak budowane na tej zasadzie teorje nader są wątpliwe i niedługo-trwałe.

W dalszym ciągu kursów 1844 roku, rozbiera rozmaite zdania praktycznych gospodarzy i uczonych naturalistów o tém, co właściwie stanowi urodzajność ziemi. «Grecy nie opierając swego zdania na doświadczeniu, ograniczali się tylko mniej lub więcej głębokimi hipotezami. Jedni ich filozofowie utrzymywali, że dla życia roślin potrzeba tylko ziemi, inni, że tylko wody lub powietrza; nareszcie inni z Arystotelesem utrzymywali, że na to potrzebne są: ziemia, woda, ogień i powietrze. Rzymianie, przy praktycznym zynśle swoim, przekazali nam ważne postrzeżenia o gospodarstwie. Szukać ich należy u Katona, Wirgiliusza, Kolumelli. Oni czynnie zajmowali się rolnictwem, ztąd też wiele nauczających szczegółów poznali i opisali. Kolumella więcej od drugich zajmował się myślami o żyżności gruntu, i w dziele swoim *de re rustica*, opisuje ciekawy bardzo spór z przyjacielem swoim Tremeliuszem który utrzymywał, że ziemia jak człowiek, starzeje i na starość staje się bezpłodną. Kolumella z retorycznym zapałem tak powszechnym u Rzymian, odpowiada mu, że tak nie jest. Ziemia nasza— to zawsze młoda, piękna, pełna sił dziewica, zawsze będzie sposobną wydać plon żyżny, tylko trzeba umieć piastować jęj młode siły; trzeba umieć zachować życie jęj tak pełne gry i objawu. Nasza ziemia nigdy by się nie wyniszczyła, nie przemieniła w gołą pustynię, gdyby nasi gospodarze nie byli tak leniwi, gdyby patrycjusze i obywatel Rzymu, przestali samą tylko wojną i cyrkami zajmować się, a oddali się także rolnictwu, które jest najgłówniejszym źródłem bogactwa narodów i które, za szczęśliwych czasów Rzeeczypospolitej, nie było jak dziś, prawie wyłącznym zajęciem niewolników i wyzwolenców, ale najznakomitszych synów ojczyzny. Kolumella radzi dla zachowania żyżności ziemi, nawozić ją jak można najwięcej wyrabiać i poruszać, aby o ile można najwięcej wystawiać na działanie powietrza; a także oczyszczać

«z kamieni i innych obcych ję części. Bardzo zdrowa i dziś
 «prawdziwie mądra rada; ale znaki, po których Kolumella pozna-
 «je stopień urodzajności ziemi, dowodnie okazują, że chemja
 «wówczas była nieznaną, a lizyka w zupełnym jeszcze zostawała
 «dzieciństwie. Średnie wieki mają same tylko zagadkowe do-
 «mniemania we względzie urodzajności ziemi. W XVIII wieku,
 «znany Biuffon, który tak wymownie opisywał naturę, miał o tém
 «pojęcia niepewne. On powiada, że zewnętrzna kora kuli ziem-
 «skiej, jest to połączenie ziemi z powietrzem, ogniem i wodą, i
 «jest jakby wątroba karmiącą wszystkie organiczne twory. Ta
 «ziemia, według niego, może się zmieniać to w rudy żelaza, to
 «w węgiel kamienny, to nareszcie w roślinną tkankę. Czarnoziem
 «składa się tylko z przegniłych szczątków roślin i zwierząt, któ-
 «re wedle Biuffona, są rozrzuconemi po świecie źródłami cie-
 «płota i ognia; one wciągając powietrze i wodę, żyją niemi i
 «przeradzają te elementa w organiczną materję, a nawet w so-
 «le i minerały; nareszcie rozsypując się przemieniają się w czar-
 «noziem. Oto jest przykład tych abstrakcyjnych teorii, których je-
 «dyną podstawą domysł. Nauki ścisłe były jeszcze wówczas w dzie-
 «ciństwie.

«Zupełnie przeciwna tój, czysto praktyczna teorja, z bogacia-
 «tego na gospodarstwie angielskiego rolnika Tulla, którego dziełko
 «*Nowy systemat gospodarstwa,*” przetłumaczone na wszystkie ję-
 «zyki, wiele miało wziętości i zwróciło na siebie uwagę uczonych,
 «między innymi Diuhamela i Bonnetta. Radził on wszelkimi środ-
 «kami mechanicznymi starać się rozdrabniać ziemię i tęp powiększać
 «o ile można, ilość punktów zetknięcia się ziemi z powietrzem.
 «Taka rada poparta szczęśliwem w skutkach doświadczeniem Tul-
 «la, wiele wówczas dobrego zrobiła angielskiemu rolnictwu; za-
 «prowadzono bowiem udoskonalone narzędzia rolnicze różnego ro-
 «dzaju; ale przyszedł czas, kiedy już taka uprawa niepomagała
 «wyniszczonej ziemi, nie mającej żywiących soków. Z drugiej
 «strony uczeni oburzali się na taką zawistość żywotnych sił ro-
 «śliny od działań zupełnie mechanicznych, i uparli się,— w czem
 «innem a nie w ziemi, szukać żywiołów roślinnego życia. Wa-
 «deriusz, Eller, Kraft, Diuhamel, Bonnet i inni, przypuszczali
 «w roślinach jakieś tajemne, ukryte siły, w skutek których, mo-
 «gą one rozmaitym sposobem spajać i rozkładać części składowe
 «powietrza i wody, a nawet tworzyć sobie z nich wszystko, co
 «im potrzebne dla pokarmu i wzrostu. Takie wyłączenie ziemi od
 «wpływu na życie roślinne, sprzeciwiało się doświadczeniu kilku
 «tysięcy lat i rolnik naturalnie nigdy się tęp uwieść nie dał; bo

«wiedział to dobrze, że w ogrodzie i na uprawnej roli lepiej mu «rodzi pszenica, jak na zapuszczonej polu. Z t \acute{e} m wszystki \acute{e} m «uczeni puścili się hurmem na doświadczenia. Niektóre rośliny «pod szkłem przy wilgoci i ciepłe rosły, (do czego je troskliwość u- «czonych pobudzała); ale wytrawiwszy zasoby życia w ziarnku na- «sienn \acute{e} m zawarte, niknąć musiały. Najwięcej wszystkich zajęty doświadczenia Szradera i Brakonnota; oni bowiem dowodzili, że «rośliny nie tylko żyć i rość mogą bez ziemi, ale że wewnątrz- «nemi siłami swemi takie mogą tworzyć i z siebie wyprowadzać «anorganiczne ciała (sole albo ziemię), których nie było ani w po- «wietrzu ich otaczającym, ani w wodzie im za pokarm służącej. Fi- «lozofowie naturaliści poklaskiwali teorii, dla której nie było spraw- «dzenia za dnia białego, w oczach wszystkich, na polach rolui- «ka, i trzeba było doświadczeń Dżona, Lesseniego i Jabł \acute{o} ńskiego, «aby obalić hipotezy Szradera. Odtąd już wszyscy agronomo- «wie zwrócili głównie uwagę swoją na ziemię, jako najgł \acute{o} w- «niejszą karmicielkę roślin. Sossiur, w szeregu mnogich fizyo- «logicznych odkryć, to ciekawe zrobił spostrzeżenie, że roślin- «na, w żywieniu się swoim, bierze z otaczającej ją atmosfery «wodę, kwas węglowy i niekiedy pył w powietrzu latający; — z zie- «mi zaś ekstrakt z przegnoju, zawierający w sobie resztki rostk \acute{a} - «dających się organicznych materji, i oprócz tego niektóre sole «rostwarzające się w wodzie. Wedle Thaëra pognój jest produk- «tem i zarazem warunkiem życia organicznych jestestw; bo roz- «kład żywotnych sił i śmierć sama potrzebne są dla nowego ży- «cia. Im więcej jest życia w naturze, t \acute{e} m więcej razem jest i śmierci «i pokarmu dla nowego pokolenia organicznych istot.” Podaje przy- «t \acute{e} m Linowski prawidła ulepszenia ziemi wedle Thaëra, różne tablic- «e i wyrachowania, z ukazaniem gdzie i jak się sprawdziły.

Pot \acute{e} m przedstawia mniemania terażniejszych francuzkich na- «turalistów, wedle zdania których, *azot*, (ciało niedawno znajo- «me, dla tego nazwane *a-zot'em*, że chciano wyrazić, iż ono nie tyl- «ko nie pomaga życiu, ale owszem jest mu szkodliwe), jest gł \acute{o} w- «ną sprężyną w życiu roślin. Niedawno też uczono wszyst- «kich, że rośliny t \acute{e} m się różnią w składzie swoim od zwie- «rz \acute{y} t, że w nich niema azotu, a teraz tysiące doświadczeń do- «wodzą inaczej. Przywodzi tu Linowski wiele szczegółowych doświadczeń Gelusaka, Pejena, Bussengo, wiele cyfr i formuł i tablic, oznaczających najdokładniej prawidła ulepszenia gruntu, posiewu i t. d., stosownie do ilości zawierającego się w gruncie azotu. Znany professor chemji w Sorbonie Pan Diumas, podał szpital \acute{o} m tablice, regulujące wiele potrzeba dawać słabym, in-

walidóm-starcóm, chleba, zupy, mięsa i innych potraw, stosując się do ilości, zawierającego się w tych potrawach azotu. Linowski widzi wiele dokładności w tych wyrachowaniach; wszakże daleki jest od tego, aby je podawał słuchaczóm swoim jako pewniki. Sam niewie, czy ma się dziwić przenikliwości rozumu ludzkiego, który tak dokładnie oznacza tajemnice natury, czy widzieć w tém upokorzenie dla tego rozumu, patrząc na tysiące uczonych ludzi, którzy nie znajdują innego klucza dla odgadnięcia zagadek natury. Nareszcie długo rozbiera teorię Libicha znowu dowodzącą, że rośliny bardzo mało pierwiastków życia (tylko sole i mineralne cząstki niektóre) wyciągają z ziemi, a że głównie z powietrza się żywią.

W następujących prelekcjach pierwszego tomu, dokładnie opisuje materjały do stercoryzacji pól służące, podaje prawidła do stosownego ich użycia; wspomina miejsca w Rossji, pokazując gdzie jak mają być nawożone. Wszędzie zachowuje prostotę i dostępność opowiadania w wykładzie wywodów teoretycznych i doświadczeń uczonych agronomów.

Widać w jego kursach cały ciąg jego własnego kształcenia się. Oprócz dzieł naukowych, których dla uniknienia zarzutu pedantstwa, mało cytuje, wprowadza wszędzie bardzo naturalnie opowiadania Szkockich fermierów, profesora Niemca, wymownych agronomów francuzkich, i miesza je z opowiadaniem Niemca z kolonij stepowych, Tatara Krymskiego, Ukraińskiego lub Wielkoruskiego chłopca i nareszcie szlachcica rolnika.

W drugim tomie swoich prelekcji opisuje najszczegółowiej wszystkie dotąd znajome narzędzia rolnicze, z ukazaniem gdzie i jak ich używają. Zastanawia się nad składem tych, które w kraju są używane, i powiększłej części nie radzi ich zmieniać, ale robić dokładniej, coby stanowczo wpłynęło na ułatwienie dziś tak ciężkiej niemi roboty.

Potém przechodzi sposoby odwilżenia ziemi, za pomocą zgromadzenia wody i poprowadzenia jej rowkami po zagonach. Wspomina o niedawnych postanowieniach izb Francuzkich w tym względzie i o sporach zaszłych z tego powodu w Meklemburskim i w innych częściach Niemiec, gdzie takie sprowadzanie wody na pola, zatrzymywało wiele młynów na rzeczkach stojących. Także przywodzi wiele przykładów osuszenia błot za granicą i wiele prób tego rodzaju w Rossji robionych. W końcu powiada, że w kraju takim jak Rossja potrzeba i w tym, jak w wielu innych względach gospodarstwa, stopniowe robić ulepszenia. Wiele lat upłynęło, zanim parlament Angielski swoich Ministrów zmie-

nił, zanim gołe skały i błota w Szkocji i Anglii zamieniły się na urodzajne niwy. Sama opieka rządu wiele może, ale jest niedostateczną, potrzeba aby dobra chęć obywateli-rolników, odpowiadała jej zupełnie. W ogóle, potrzeba aby bogatsi właściciele nie samą korzyść z gospodarstwa mieli na celu, ale aby też baczyli na ulepszenia i zmiany, od których dobro całego narodu zawisło. W Rossji są dwie klasy zdań całkiem sobie przeciwnych, jedni gospodarze ślepo trzymający się tradycji ojców, rutynowego gospodarstwa, drudzy agronomowie *ex professo*, urzędnicy i profesory, którzyby chcieli wszystkie teorje i doświadczenia zagraniczne od razu u siebie sprawdzić. Linowski radzi trzymać się średniej drogi, okazując poszanowanie dla zwyczajów wiekami wyprobowanych i korzystając z cudzych doświadczeń oczywiście pożytecznych.

Oznaczając wpływ lasów na rodzajność gruntów, przywodzi wiele przykładów na poparcie zdań Humbolta i Bussengo,—którzy dowodzą, że las ma największy wpływ na utrzymanie wilgoci w powietrzu, na sprowadzenie deszczów. Utyskuje na wyrąbywanie ich i niszczenie. Tłómaczy potrzebę żywych płotów, odgraniczających wszędzie zagony w Anglii, i drzew sadzonych, rzędami wśród pól niby aleje, w południowych Niemczech, Francji, Szwajcarji i znacznej części Włoch. Pokazuje jak lasy i drzewa oddzielne, ochraniają zboże od wypalenia latem, od wymarznienia zimą.

Potem, mówiąc o sposobach wstrzymywania zasypów piaskowych, przywodzi przykłady tego w Europie i wspomina o Persinim, który w więzieniu będąc, wytłómaczył sobie główną przyczynę wzniesienia Egipskich piramid, przez wpływ jaki one wywierają na zatrzymanie zaspów piaskowych, w otaczającym je kraju.

W dalszych tomach, które później wyjść miały, zawierają się przepisy szczegółowe hodowania roślin gospodarskich i ogrodowych oraz zwierząt domowych, dotyczące się *).

*) Rozbiór niniejszy agronomicznych pism Linowskiego podajemy jako zapowiednię i wstęp do mających się drukować w dalszych Zeszytach *Pamiętnika* artykułów o *gospodarstwie i przemyśle*. Redakcja odebrała obietnicę szeregu artykułów o przedmiotach, na ulepszenie których, w naszym domowym i wiejskim gospodarstwie najbardziej uwagę zwrócić należy, pisanych przez światłego młodego obywatela z naszych prowincji, który kilka lat przebył za granicą w celu poznania ulepszanego gospodarstwa i zastosowania onego do krajowych potrzeb.

(Red.)

W 1846 Linowski wysyłany do tych północnych gubernji, był także w zachodnim Sybirze; opisanie téj podróży znajduje się zapewne w jego dzienniku. W listach do matki wspomina o gościnności i ludzkości tamecznych mieszkańców, o zamożności chłopów i t. d. *).

Dla dopełnienia wizerunku tego młodzieńca, którego pamięć nam droga,—jego charakteru, serca i duszy, jako człowieka prywatnego, tak jak nam go wspomnienia uniwersyteckiego koleżeństwa i wrażeń osobistych z poufatego pożycia (bośmy razem kwaterowali),—w wyobraźni naszej przedstawiły, dodajemy tu jeszcze kilka szczegółów, wypisanych z jego prywatnej korespondencji z zagranicy do przyjaciół pisanjej:

Oto jest jego marszruta z listu 1841. w Październiku z *Hohenhejmu* pisanego:

Z Trawemünde do Lubeki i Hamburga. Tam uprzejmy Kon-

*) Za część materiałów do téj biografji służących, winniem oświadczyć podziękowanie Szanownej Obywatelce z Podola, Pani *Felicji Iwanowskiej*, która na pierwsze wezwanie, pośpieszyła z godną największych pochwał gorliwością, do uzbierania rozproszonych wiadomości. Nie mogę się wstrzymać od przywiedzenia tu pięknych słów, które szlachetne serce téj oświeconej Damy, w liście o Linowskim podyktowało, i co posłuży za świadectwo tego, cośmy w ciągu biografji powiedzieli: «Zawód naukowy tak zapelniał wyłącznie krótkie za nadto życie Jarosława, że odjawszy go mało znajdzie się szczegółów w jego życiu, coby znamionowały inną jaką dążność. Ale z kochającym sercem i szczerze życzliwy dla ludzi, przytém wolny od pedanterji dogmatycznej, nie szukał on w naukach, którym się z takim zapalem poświęcał, tylko pokarmu dla namiętnej ciekawości swojej, i rozgłosu dla swego imienia; ani też za materialną korzyścią nad miarę ubiegał się kiedy. Celem jego wyraźnym było zastosowanie naukowej pracy dla dobra ludzi, najwięcej w kraju zasługujących na społeczenie, to jest: dla dobra klasy rolniczej w Rosji...

«Z opowiadań jego widać było, że go stosunki Panów z włościanami najbardziej interessowały. Gdzie się tylko w przejeździe zatrzymał, rozpytywał zaraz chłopów o włożonych na nich obowiązkach i ciężarach, robiąc to już nie z urzędu, ale z własnego zajęcia się ich stanem. Właśnie jadąc na Professora do Moskwy, obiecywał sobie, że w ciągu wykładu nauki gospodarstwa będzie mógł nie raz wpływać skutecznie na młodzież, obudzając w niej uczucie sprawiedliwości dla ludu. W okolicach Moskwy urządził on wielu magnatom majątki, a najbardziej przysłużył się sąsiednim obywatelom

sul Rossyjski P. *Struve* dał mu listy polecające do Holsztynu i Meklemburga. W Jutlandji, tameczni obywatele przyjmowali go nader gościnnie i znajomili z sąsiadami. W Holsztynie, gospodynie zawołane, sławią się robieniem wybornego masła; w niektórych majątkach bogatszych właściciele przechowują do 500 sztuk bydła, prawie krów samych, i do 10 pudów masła na dzień, przygotowują.

W Meklemburgu był oczarowany gościnnością i umiejętnością podobania się Niemek, w bogatszych arystokratycznych domach; w wielu niższych gospodarskich rodzinach nazwisko jego przekreślali na *Lichnowskiego*, i podając z ust do ust, robili go, jak zwykle cudzoziemcy każdego podróżnika z Rossji przybywającego, wielkim panem, aż póki z ust do ust przechodząc, nie stawał się nareście *Księciem Lichnowskim*, zawołanym agronomem w Prusiech (który tak tragiczną śmiercią zginął nie dawno we Frankfurcie). Niemcy wszystkich Rossjan bogatszych mają za *Kniazów*, jak Rossjanie w Moskwie wszystkich Polaków mają za wybornych Łacinników. Na znak czci i poważenia, dawali mu po pięć wspnianych pokoiów na mieszkanie, i umyślnie spraszali na wieczory, aby mu pokazać duch i oświatę miejscowego towarzystwa. W Meklemburgu etykieta wybredniejsza, niż w jakiej stolicy. Na proszony obiad inaczej nie przyjdiesz, jak we fraku, białych rękawiczkach i w trzewikach! U Barona *Bila*, z tego powodu los fatalnie zażartował przez Polaka z etykiety niemieckiej. Baron zawołany

„lóm i miastu, odkryciem w pobliskich wioskach torfu, co bardzo znacznie w Moskwie cenę opału zniżyło....

„Serce jego było prawe, proste i szczere, dla tego piękność wielkich rzeczy pojąć umiało, choć się niemi nigdy silnie nie wstrzęsło. Stosunki jego z Bohdanem Z. pobudzały go do częstego rozmyślenia o przedmiotach godnych zanego człowieka. Często odzywała się w nim tęsknota za temi wzruszeniami, których nie znał, a zawsze się ona obudzała, ile razy je widział u kogo prawdziwe i żywe. Ciągłe zajęcie odwracało myśl jego od zwrótu na siebie; żył mało duchowo, ale poczuwszy świętość praktyk chrześcijańskich wypełniał je, ile mógł, regularnie. Uczucie religijne i narodowe, zastępowała u niego wyrozumowana praktyczna filantropja, którą mu życzliwe dla ludzi serce dyktowało. Miał wielką miłość u ludzi; szczególnie młodzi od niego, kochali go bardzo. W czasie swego pobytu w Kijowie, był on ogólnym kolegą Uniwersytetu i Gimnazjum: examen jego na Magistra, był sprawą całej szkoły. Tryumf też był ogólny i głośno obchodzony, jako uroczystość. Na tém się kończą relacje o s. p. Jarosławie, jakie powziąć mogłam z ustnego opowiadania si na piśmie.”

amator koni, słynny w Meklemburgu jeździec, zaprosił naszego podróżnika na konną kalwakadę. Jechali do bliskiego miasteczka; koń Linowskiego, który się zostawał z tyłu, co bodło miłość własną jezdca, gdyż obok Barona była młoda Baronessa, — ściągnięty nagle szpicrutą, dał szpryngla, wspiął się na dyby, i o mało co, naszego w tym razie *Sanzo-Pansę*, na ziemię w oczach pięknej Baronessy nie zrzucił; usiadł na koniu — ale spotkał go nie fortunniejszy wypadek: oto — pękła mu ta część odzieży, którą mieć — przyzwoitość koniecznie nakazuje, ale której nazwania też sama przyzwoitość zabrania! Można sobie wystawić komiczność położenia młodego studenta wśród etykietalnych Niemców! która się powiększyła tem bardziej, kiedy się zjawił u stołu w bótach i bez białych rękawiczek, tak sobie, po dawnemu, jak student uniwersytecki. *Johannisbeere* rozwiązało język Polakowi, i obyczajem przodków zaczął sypać takie komplementa Baronessie, — osobliwie kiedy gospodarz po obiedzie oddalił się do swego gabinetu, — i opowiadać takie przygody maskaradowe stoliczne, iż Baronessa, jak prawdziwa Dezdemona, zasłuchiwała się do północy swego Otella. Na drugi dzień, w cieniściej alei sadu, Baronessa nawzajem opowiadała mu historję swego życia, cichą, sentymentalną, czułą, jak życie niemieckie, — a na trzeci dzień, nasz moralista, aby nie uleź losowi młodego sąsiada *Lidina*, w powieści Puszkina *Graf Łoś*, pocztą wyleciał do Pomeranji, — zamieniając pieśczętliwe rozmowy pięknej Baronessy, na uczony coroczny zjazd Pruskich agronomów. O tym zjeździe powstał obszerny i dobrze wypracowany artykuł do Moskwy, dla wydrukowania go w *Moskwitianinie* (1841).

W Berlinie zdziwił go osobliwszy zwyczaj: po 11 w nocy zamykają bramy, a klucze nie stróżowi, jak u nas, ale posługaczowi policyjskiemu w kwartale oddają! — Zgorszył się jeszcze nasz młody uczony, znalazłszy że w Berlinie, pierożki, szuwaks, mydło i świece obwijają nie bibułą, jak u nas, ale o zgrozo! łacińskimi dysseratacjami!!... W Berlińskim Uniwersytecie, który jednakże uważa, za najpierwszy w Germanji, było wówczas do 1,990 studentów, górą. Samych professorów do 200! (I cóż dziwnego, że cały sejm Frankforecki zapakowano niemi!) — Zabrał on tu znajomość z uczonym Chemikiem *Mitscherlich'em*, braćmi *Rose*, *Sawinji* etc. etc. Z Berlina jeździł do znakomitego, aż u nas słynącego, (dzięki *P. Kajetanowi Krassowskiemu!*) Agronoma *Thaëra*. W Brandeburgu główną gałęź rolniczego przemysłu stanowi uprawa kartofli; browary tu na olbrzymie wymiary. *Thaër* z 500 dziecięcin otrzymuje dochodu do 15,000 r. sr.!! — Pod Lipskiem opatrywał miejsce, gdzie utonął nasz Książę Józef, a pod Lutzen

uszczył kwiatek na grobie Gustawa Adolfa. Pod Jena, gdy opatrywał miejsce bitwy, na obszerném odkrytém polu, postrzegł niskiego wzrostu człowieczka, w długim surducie, z planami w ręku: rozprawił żwawo z drugim człowiekiem, z mapą i planami także. Był to sławny niegdyś francuski Minister *Thiers!* który dla swéj *Historji Cesarstwa*, naocznie sprawdzał każdy punkt bitwy. Z Wejmaru do Frankfurtu nad Menem, udał się w dyliżansie, do którego po drodze nabierano pasażerów, aż wreszcie do 18 osób zebrano, i w dodatku, ogromne ciele!— Brzegi Renu opatrywał z wirtuozem *Listem*, z którym zapoznał się w drodze.

W *wodach*, w Wisbaden spotkała go przygoda, której rzadko uniknie pierwszy raz wyrwawszy się na świat młodzieniaszek. To miejsce tak żywo opisane w jego korespondencji, iż wolę aby sam mówił:

„Przybywszy do Wisbaden, z początku bawiłem się wesoło, wiodłem życie bez trosk, nie myśląc o jutrze; porobiłem znajomości z Anglikami; chodziłem do Teatru, czytałem żurnaly, brałem wanny, przechadzałem się po szerokim bulwarze; nareście po kilku dniach pobytu, jednego wieczora, nie mając już nic do czynienia, wyszedłem na bulwar bez celu, i dotąd nierozumiem, jakim sposobem,— bom nigdy tego nie czynił,— chyba z pokuszenia djabła, wziąłem z sobą wszystkie pieniądze, jakie miałem na życie aż do Nowego Roku. Było to 17 Augusta podług n. s. Długo brodziłem po bulwarze, nareście o godzinie 10, ciekawość mię wzięta zajrzeć do *Srebrnej Sali*, o której wtedy wiele mówiono, i gdzie grano w *Rouge et Noir*. Około 50 osób stało w około długiego stołu; bankiery monotonnaie wołali: *faites votre jeu!*— *le jeu est fait!*— i zbierali ze wszystkich stron dukaty i thalary. Obojętnie stałem przy stole i przez dwie godziny nie przyjmowałem żadnego w grze udziału: nagle obił się o uszy moje okrzyk: *24 noir*, potem *13 noir*, *31 noir*, dopiero, pomyśliłem, musi być *rouge!* i postawiłem thalar;— *14 noir!* zawołał bankier,— podwoiłem,— znowu *noir*, postawiłem 4 thalary,— znowu *noir*. *Ośm thalarów!* zawołałem,— *3 noir!* krzyknął bankier! *16 thalarów!* znowu *noir*. Do czarta! czyż i dalej tak będzie? *32 thalary*, rzekłem,— *16 noir!*..— rozległo się w sali. W gniewie rzuciłem na stół *70 thalarów* i wszystkie przegrałem.... Wszyscy poglądali na mnie z żalem, ale nikt nie wiedział, żem przegrywał ostatnie pieniądze. Jeszcze raz, już ostatni, poprobuję, rzekłem sam w sobie, i prawie z rozpaczą rzuciłem *150 talarów*. Podejrzliwy Bankier z djabelskim uśmiechem przeliczył pieniądze i rzucił fatalną kulkę. Wszyscy z ciekawością rzucili się do stołu, a mnie z czoła pot zimny spadał

kroplami. Kula długo, długo robiła krąg, nareście... rozległ się głos bankiera: *11 noir!!*.— A to szalona sprawa! zawołali wokoło mnie gracze, i ja, pomacawszy kieszenie i ścisnąwszy usta, oddaliłem się od stołu. Przegrałem równo 290 talarów, t. j. jak raz 1,000 r. ass.!— Łatwo pojąć, że przez całą noc zasnąć nie mógł. Dyrektor żelaznej *Carško-Sielskiej* drogi, Kapitan *Taube*, dowiedziawszy się o mojej przygodzie, i lękając się abym z rozpacz w łeb sobie nie zapalił, przyszedł w nocy pocieszać mnie.... Z tą resztą, która się została w kieszeni żyletu, trudno było przeżyć do 1 Stycznia. Jechać do Hohenhejmu było jeszcze wcześniej, kursa tam zaczynają się nie raniżej jak 1 Listopada. Postanowiłem najtańszym sposobem udać się do Szwajcjarji, i tam przez dwa miesiące podróżować piechotą, jak najmniej wydatkując. Nazajutrz, o 8 zrana, już byłem w Mayence; naprzód udałem się do wspaniałej tamecznej Katedry, i tamże, przed tym samym ołtarzem, gdzie niegdyś Germańscy Rycerze czynili przysięgi wierności kochankóm lub zemsty nad wrogami, ja— przysięgałem nigdy w życiu nie grać ani w karty, ani w *ruletę*, ani w żadne gry podobnie szatanskiego wynalazku. Tegoż dnia parochodem udałem się do Szwajcjarji i za dwa dni byłem w Bazylei. Tam znalazłszy wszystkie rzeczy uprzednio wystane, wziąłem tylko dwie koszule, żylet i surdut i piechotą puściłem się brodzić po górach i dolinach Szwajcjarji.”

„W przeciągu 6 tygodni chodziłem bezustanku, bywało w dzień robiąc po 40 do 60 werst drogi. Przemaszerowałem tak całą Szwajcjarję, Sabaudję, Piemont, i doszedłem do Medjolanu, około 1,346 werst przestrzeni. Mogę się pochwalić, że tak zwiedziłem Szwajcjarję, jak mało kto z wędrowników; widziałem wszystkie znajomsze kaskady, skały, góry, doliny, lawiny, jeziora, słowem to wszystko, czém sławi się bogata natura ojczyzny Wilhelma Tella. Wchodziłem na górę *Jungfrau*, i około 7 godzin, szedłem po lodzie. Raz na górze *Riga*, byłem o kilka tysięcy stop wyżej nad obłoki, i jak Jowisz, z wysokości urwistej skały, oglądałem jak pod nogami tyskały błyskawice i huczały grzmoty. Drugi raz gdym był na *Mont-blanc*, na rozściełającej się dokoła mnie malowniczą dolinę, nagle zsunęły się z wierchołka góry ogromne massy śniegu, i ta,— przed kilką minutami kwitnąca dolina, pokryła się białym, martwym całunem śmierci. Ileż razy zdarzało się mi nocować w chałupie biednego strzelca Alpejskiego, obok kotła, w którym przygotowywał się ów sławny *ser szwajcarski*. Ileż razy zdarzało się w najprzyjemniejszym towarzystwie Anglików, Włochów, Francuzów i z kompaniją dowcipnych szczebiotek, po kil-

ka godzin, pięć się razem po górach, i potem za wspólnym stolikiem, w obliczu pysznej przyrody, rozprawiać o przeszłości, marzyć o przyszłych losach ludzkości. Z jednym Amerykaninem, w przeciągu dwóch tygodni, obejrzelśmy Sabaudję, Piemont, byliśmy na szczycie góry Ś. Bernarda, przeszliśmy Sympion, i we Włoszech rokoszowaliśmy się widokiem jezior *Como* i *lago di Maggiore*. Nigdy nie zapomnę tych sześciu tygodni,— doznałem w przeciągu ich wiele, wiele przyjemności, z 300 frankami daleko więcej widziałem niż Angielscy Lordowie, którzy tu przybywają z ogromnemi worami złota. W Genewie byłem u Dekandola *), właśnie w chwili jego zgonu. W Zurich zabrałem znajomość ze sławnym Okenem. Czy pamiętasz, jak *w owe czasy*, Pawłow **), Maksymowicz ***), bili czołem Teorji Okena, jak my ją trzepaliśmy w seksternach na pamięć, w Moskwie? Z tym to Okenem przedstawicielem Filozofji Niemieckiej, poznałem się poufale. Zaprosił mię do swego domu na kwatere, i zaraz-że po obiedzie poprowadził... jak ci się zdaje, dokąd mogłaby poprowadzić głowa Filozofa Niemieckiego??...— Do szynku! ni mniej ni więcej; gdzie za szklaneką piwa, przy dogorywającej łojowej świeczce, obok pijanych żołdaków, on prawił mi o nowych widokach swoich co do Filozofji Niemieckiej, o Przyrodzie etc.— W Medjolanie, w Teatrze, w lożach, grają w karty, jedzą wieszczę, piją szampańskie i umizgają się po wszystkich kątach. Z Medjolanu za 25 liwrów biednym *Wcturino*, którego ledwo trzymający się wóz wlokła zdychająca szkapa, przez Mantuę, Padwę i Weronę do Wenecji, w towarzystwie trzech artystów, dwóch księży z Rzymu, i trzech *mitowidnych* dziewic z Tyrolu, które, jako i artyści, też dążyły do Rzymu.... ale po co? pozwól tu położyć jeden znak zapytania, a pięć wykrzykników?!!!!! Z Wenecji przez Tyrol pojechałem do Hohenhejmu, i oto już dwa tygodnie jak twój przyjaciel i kollega *delikaci się* u poczciwego dyrektora tutejszego agromicznego zakładu, na łonie familji u której znalazł prawdziwy drugi dom rodzicielski. Z początku nie wiedziałem co robić, przybywszy bez grosza w kieszeni, ale Opatrzność nigdy nie opuszcza istoty stworzonej, kiedy jęj idzie o utrzymanie wątku życia. Dyrektor nie tylko przyjął mię najgościnniej, ale nawet pytał czy nie potrzebuję pieniędzy. Młodziuchne córeczki Dyrektora nadskakują mi od rana do wieczora, i ja opływam jak pączek w ma-

*) Professor Fizyki.

**) Był Professorem Fizyki w Uniwers. Mosk.

***) Historji Naturalnej, w Uniwersytecie Moskiewskim.

śle; *ptasiego mleka* chyba mnie nie staje, jak mówili starzy Polacy. Niemcy jakoś dziwnie lubią naszych rodaków i zawsze ich wyłączają z tłumu cudzoziemców. Pracujemy wiele z gospodarzem; w te dwa tygodnie posieliśmy pszenicę, zwieźliśmy kartoflę, buraki... i t. d. i t. d.”

Ale nie sądźcie piękne i tklive czytelniczki moje, aby w głowie poczciwego Jarosława ten nawał erudycji polityko-ekonomicznej, któryście w jego dziełach widziały, te znajomości z arcy-filozofami niemieckimi, uczyniły go obojętnym na słodki głos miłości, na powaby płci waszjej. Gdzie tam! On żył sercem i duszą, więcęj jeszcze może niż głową i duchem. Pamiętam dobrze te chwile na Moskwie, kiedy nas obu zainteresowała pewna ładna osoba... *ale o tём potём*, a tymczasem przytoczę wam jeszcze jeden wyjątek z listu, który dopełni malowidło jego charakteru, a zarazem posłuży za dowód przed majestatem płci waszjej, jak może się harmonizować z entuzjazmem młodzieńca, polityko-ekonomja i filozofja niemiecka, i niech to posłuży dla zjednienia lepszego u was rozumienia o sercu filozofującej młodzieży.

«Gdybym miał więcęj pieniędzy, wywnętrzał się zhasany przez naczelnika, będąc jeszcze w służbie, nasz marzyciel-urzędnik,— rzuciłbym się w odmęt świata, do Mehmety-Ali, albo do Stanów Zjednoczonych; ożeniłbym się z jaką pulchniutką niemeczką, kupiłbym sobie nad Renem kawałek ziemi, zasadziłbym go własnymi rękami winną latoroślą, oliwném drzewem i pachnącemi różami; społem z żoneczką nasyciłbym się pięknnością natury, społem byśmy ziemię orali (!) sieli i groch i kapustę, sadzilibyśmy kartofle, ogórki, doglądalibyśmy krów, cieląt i kozłat (o słodka idyllo!!), a w dni świąteczne na łódce puszczalibyśmy się na rzekę i tam łowilibyśmy zwinne pstrążki. Ach! jak miło, radośnie byśmy tam żyli; jakże często byśmy się całowali, jak blisko jedno przy drugim siedzieli! Ach! jakbym ja wtedy był szczęśliwy!!— Lecz jeżeli nie sądzono mi kochać, to bywaj zdrowa ojczyzno, bywaj zdrowa Europo, bywaj zdrów i ty, cichy, bez trosk bycie! Poleciałbym w dzikie strony, w ogniste strefy, nie uległbym ani burzliwym bałwanóm Oceanu, ani wrzącym namiętnościami południa, ani krwawym walkom Kaukazu,— rzuciłbym się zajądla w bój straszny, urągałbym losowi i życiu, i szukałbym tylko śmierci!...”

Stój mężny rycerzu! Tyś z swoją gołębią prostotą i słabowitą organizacją nie zdolny był w bój lecieć; ze swoją miłą, potulną i skromną postawą i przystojnem, choć bez mężności, licem, mógł tylko kruszyć kopje za miłość; ty w Holsztyńskim prze-

tańcowawszy wieczór z opasłą Niemką, gotów byłeś nazajutrz bić się w pałasze za nią... Tyś był rycerz, ale nie do szabli! tyś był autor listów, ale w *darlenkuröwskich* frazach, do przyjaciółki, przed którą wylewałeś wezbraną, młodocianą duszę swoją; twój styl pełen szumnych wyrażen o miłości, o doskonałości serca kobiecego (!), o heroizmie i poświęceniu się dla kobiety,— czyż nie wskazują, do czego rwała się twoja dusza naiwna, z którąś aż do śmierci pozostał. Po powrocie z za granicy, po głębokich badaniach umiejętności, tyś jeszcze marzył o zamkach w Szwajcarii, o domku na Genewskim jeziorze!... Przedmiot miłości twojej, damę myśli twoich, przy której spotkaliśmy się na drodze życia, i która była kompletnie dziewczyną *realną*, ty ją nazywaś «*dziewicą południa*, urodzoną pośród tundur Syberyjskich; dziewicy tej matka Hiszpanka dała kindżał jadem napojony, aby straciła dni tego, ktoby jej miłość zdradził. Wyśpiewała w poezji dni swojej młodości. Namiętnie zabrzmiały liry poetów, podniosły się pędzle malarzów,— wszyscy u nóg Alidy szukają natchnienia.»— Jednem słowem, wyprowadziwszy cały romans nieszczęsnego Wikonta, z całym bogactwem jego *brylantowego* stylu, zakochał się sam szalenie. Ale o dziwo! i to przytaczam jako osobliwszy fakt miękkości serca człowieka,— kiedy już był u progu szczęścia marzonego, niespodzianie u nóg swęj *dziewicy*, znajduje innego wybrańca jej obszernego serca! Otoż zamiast uczucia gwałtownej zazdrości, jaką uczułyby każdy,— nasz bohater poświęcenia się z pistoletem w rękę, który miał w pogotowiu, zmusza ich oboje do przysięgi, że ona wiecznie kochać będzie tego drugiego, a ten drugi wieczną jej miłością odpłaci. Ale przysięgi kochanków na piasku pisane! Pierwszy wiatr uniosł miłość z tych serc niestałych, a twój czyn piękny, heroiczny, pozostał tylko pamiątką twego przesadzonego wyobrażenia o płci niewieściej i twego *donkiszocstwa*, z którego się śmiał najserdeczniej, tryumfujący autor niniejszego artykułu. Wszakże ci z tym pięknie było, i twoją wzorową konduite podziwiali kolledzy i nauczyciele twoi.

Ta to wybitna cecha jego charakteru, ta urodzona *pieściwość kobieca*, przejawiała się nawet w jego uczonych rozprawach; właśnie w broszurce której rozbiór przyłączamy niżej, a którą napisał o Anglii, odbiła się wyraźnie ta jego skłonność mieszania osobistości do przedmiotów poważnej treści, w surowej dziedzinie nauk, co my nazwalibyśmy *liryzmem*; takiego rodzaju *liryzm*, składający się z osobistych domniemań i przypuszczeń nie uchodzi w poważnej naukowej rozprawie. Interessa ludzkości są tak wielkie, że przed niemi powinna niknąć mała osobistość człowieka; właśnie ten liryzm zbłąkał go z drogi w sądzie o arystokracji angielskiej.

I trzebaż, aby ten człowiek tak miły, tak kochany powszechnie od kolegów i znajomych, taka podpora rodziny i nadzieja nauki, młodzieży i kraju, którym swe życie poświęcił,— zginął najokropniejszą śmiercią, stał się ofiarą niewdzięczności, utulonego przez siebie wychowawca! Wyjeżdżając z Kijowa wziął z sobą do Moskwy dziesięcioletniego chłopczyka od biednych rodziców, którego zajął się troskliwem wychowaniem. Pamiętam jeszcze, jak przybrany w pasową kozaczkę chłopczyk ten, nosił *śłodkie bileciki* do Alidy... Będąc prawdziwie Aniołem dobroci, Jarosław przypuszczał go do poufałości, udzielał mu nauki— postawił go niejako na równi z sobą, dawszy mu poczuć uczucie osobistej godności. Był on niejako i bratem i uczniem i spółpanem. Wyjeżdżając za granicę zostawił go u cukiernika, gdzie chłopiec miał zręczność czytywać gazety i żurnaly, a za powrotem wziął go do siebie. Byli na takiej stopie, że Linowski idąc na lekcje, pytał go czasami o zdanie względem przedmiotu, o którym miał mówić. *Nu, szto Iwan Iwanowicz, kak ty dumajesz?*— A Iwan Iwanowicz mający pojęcie o Botanice, Mineralogji, Chemji, Fizyce i Astronomji, pomyśliwszy, nie zawsze zgadzał się na zdanie pana swojego. Pod koniec nawet stał się krnąbrnym i milczącym, zaczął bowiem zapijać się. Otpóz jednego wieczora (było to 28 Oktobra 1846), Linowski zabawił się do późna u Teodora Nikołajewicza *Glinki*, (przezwanego *pięrszym partyzantem w Rossji*, który wydał sławne *listy o 1812*) i powróciwszy o północy, zaczął mocno stukać do drzwi. Długo nie otwierały się, co rozgniewało Linowskiego, i wszedłszy targnął za ucho chłopca; ten był pijany, chwycił nóż, i uderzył w bok,— krew chlusnęła tak gwałtownie, że aż po łokcie koszulę pod rękawem mordercy zbrzygała. Linowski padł i już nie powstał. Chłopiec ściągnął trupa ze schodów i położył u bramy, jakoby tam przez zbójców nocnych był zabity; a sam cicho oczekiwał w kwaterze. Gdy przysłała policja nie zapierał się długo, dając za przyczynę zbrodni, że raz postawiwszy człowieka na tym stopniu oświaty, nie należało się z nim obchodzić absolutnie. Osądzony wojennym sądem we 24 godziny, zginął pod pałkami.

Taką była śmierć młodzieńca w 28 r. życia, na którego grobie nawet ręka przyjaźni kwiatu nie rzuciła. W dalekiej stronie pozostała osierocona matka! Uczniowie i kolledzy oddali hołd młodemu uczonemu, niosąc na rękach ciało jego do mogiły. Profesor Szewyrów w pięknej mowie,— gdzie podniósł wykładaną prze-

zeń naukę agronomję, do rzędu nauk socjalnych, — oddał ostatni hołd pamięci zmarłego. Wieczna mu pamięć i spokój na wieki!

Powyższy artykuł był już napisanym, gdy wpadła nam w ręce broszura Linowskiego, po powrocie w r. 1846 pod wpływem zagranicznych wrażeń napisana; broszura nosi tytuł: *o odmianie praw zbożowych w Anglii*, i wydana w Moskwie, w języku rosyjskim. Krótki rozbiór i niektóre z niej wyjątki najlepiej dadzą poznać czytelnikom sposób i stanowisko zapatrywania się Linowskiego na przedmioty, oraz jak młody nasz rodak umiał skorzystać z niedługiego pobytu swego za granicą.

Broszura ta, która treścią zarywa na rozprawę, zaczyna się od historii praw zbożowych w Anglii, przechodzi zaraz do zdań objawionych przez różnych publicystów o prawach zbożowych *pro* i *contra*; i nareście oto co mówi Linowski w tym rozdziale, o absolutnej wolności handlu, kwestji, która wywołała najsprzeczniejsze głosy polityko-ekonomów z rozmaitych stron Europy:

«Dziś wszyscy ludzie, którzy stoją u steru rządów, mniej więcej są przekonani, że bezwarunkowa wolność handlu, tak zalecona przez teoretyków, wtedy tylko mogłaby mieć miejsce, gdyby cały rodzaj ludzki składał jedną, nierozdzieloną całość, jedno obszerne państwo: ale dopóki eksystują na ziemi oddzielne narody, wyróżniające się historycznym swoim rozwojem, większym lub mniejszym stopniem oświaty i cywilizacji, dopóty każdy naród powinien starać się zachować swoją samodzielność, i wszystkie siły skierować do możliwego rozwicia wszystkich fizycznych i moralnych sił swoich: rękodzielnicza bowiem i handlowa działalność objawiają się w państwach wtedy tylko, kiedy one dościgną najwyższego stopnia swego społeczeńskiego rozwoju.

«Bezwarunkowa wolność handlu, pomiędzy narodami nie w równej mierze produkcyjnymi, miałaby za rezultat to, że ta strona, w której wszystkie rodzaje przemysłowości doścignęły wyższego stopnia rozwicia, jak np. Anglja, wzięłaby przewagę nad innymi, i pochłonięłaby w siebie bogactwa innych stron świata. To utrzymuje nie tylko List, znakomity polityko-ekonom w Niemczech i cała jego szkoła, ale na to się zgadzają wszyscy praktyczni ludzie u steru administracji będący: o tém były piękne rozprawy nie dawno w saksońskich politycznych izbach, sam Robert-Pil wypowiedział tę myśl w jednej z ostatnich mów swoich w parlamencie angielskim, prześlicznie dowodząc, że Anglja w terażniejszym poło-

zeniu swoim, nie może się obawiać, ze względu swęj przemysłowości, spółzawodnictwa innych państw europejskich. I oto dla czego we wszystkich państwach, gdzie jest zaprowadzony dobry finansowy systemat, są ustanowione umiarkowane taryfy, w celu pobudzenia narodowego przemysłu, i wprowadzenia państw na wyższy stopień społeczeńskiego rozwoju.

«Ale taryfły powinny tylko zachęcać przemysł, opiekować się nim wtedy tylko, kiedy jest nadzieja, że po upływie pewnej liczby lat, przemysłowość nie będzie potrzebować opieki, która się przeciągając za nadto długo, może się stać uciążliwą dla konsumentów. Opłata taryfły czyli cła, ustanawia się nie dla tego, aby wstrzymać przywóz zagranicznych wyrobów, ale dla tego aby folgować czasowie powstającym wewnątrz państwa, manufakturóm, które w początku nie byłyby w stanie wytrzymać spółzawodnictwo z zagranicznymi fabrykami, ale które stopniami powinny przywykać do exystencji naturalnej, samodzielnej. Inaczęj, tamozenne taryfły dostarczałyby korzyści nie państwu i nie skarbowi, a tylko kilkuset prywatnym fabrykantóm, i ciążyłyby najprzykrzejszym sposobem na konsumentach. Cła, mówi Hr. Kankryn (były Minister Finansów w Rossji) w swém dziele *)', wiele przyczyniają się do rozwicia przemysłowości wewnątrz państwa, ale nie powinny być zbyteczne, albowiem w takim razie rodząc niedbałość, przestałyby pobudzać fabrykantów do ulepszenia swoich zakładów.»

Cały przywiedziony tu ustępek,— jest teorią produkcyjnych sił państwa— znakomitego Lista, piérwszykroć podobno głoszoną ustami Polaka.

Oto co mówi dalej nasz rodak, o odmianie praw zbożowych w Anglji:

«Rezumując to wszystko, co było powiedziane *na korzyść* i *przeciwko* praw zbożowych przez rozmaitych pisarzy politycznych, nie można dostrzedz ani jednéj, godnéj uwagi przyczyny, która by mogła objaśnić tak długie trwanie tych praw w Anglji, które zawsze są takim ciężarem dla najniższéj klasy narodu; albowiem nie ulega wątpliwości, iż czém droższy chleb i inne ziemskie produkty, tém trudniejsze jest przekarmienie narodu, tém więcéj znajduje się ubogich, tém dotkliwiej objawia się niedostatek we wszystkich klassach narodu, i rozpościera swe panowanie nie tylko ubóstwo, ale nędza moralna, która najokropniejsze powoduje na-

*) *Graf Cancrin. Die Oekonomie der menschlichen Gesellschaften. Stuttgart. str. 233—249.*

stępstwa,— wszystko to statystycznymi *faktami* dowiódł na ostatnim posiedzeniu, którego byłem świadkiem, Sir Robert-Pil, w Angielskim parlamencie.”

«Odmiana praw zbożowych rozleje po wszystkich klasach był lepszy, a następnie można się spodziewać, ulepszy stan moralny narodu; ale z drugiej strony nie można mniemać, aby to jedno mogło się przyczynić do radykalnego wygluzowania ubóstwa, ciemniącego dzisiejszą ludność w Anglii. Wysokie ceny powiększają cierpienia narodu, ale nie są one jedyną przyczyną zła. Nędza wkradła się od niestosownego rozporządzenia podatków i poborów, od ogromnej liczby proletariuszów, od niedostatecznej fabrycznej płacy robotnikowi, od ciągłego doskonalenia się mechanicznych sposobów, i od wielu innych przyczyn. Trudno ostatecznie wykorzenić biedotę, ale ulżyć jej, uczynić ją znośniejszą, oto co powinno być dążeniem ludzi na wyższym stanowisku w administracji stojących, i w tym względzie zasługi Sir Roberta-Pila, pozostaną w wiecznej pamięci narodu.”

Mówiąc o *Arystokracji i lidze*, Linowski widocznie sympatyzuje z arystokracją angielską. Oto jak charakteryzuje historją stosunków tak nazwanego, *niższego i wyższego* stanu:

«We wszystkich stronach świata, był, jest i podobno czy nie zawsze będzie, stan *wyższy* i *niższy*. Stan wyższy żyje na kąt pracy niższego. Uważa on siebie za mającego nieograniczone prawo wymagać, aby stan drugi pracował dla niego, podtrzymywał jego znaczenie, zadość czynił jego woli, a nie rzadko i fantazjom. Innych stosunków być nie może, to się ustala koniecznością. O patrności podobało się przeznaczyć ten stosunek dla tego, aby utrwalić ogólne dobro, poddając słabszych ludzi silniejszym, oświecenijszym.”

«Niższa klasa przeciwnie stara się wyrwać z pod ciężącego jarzma. Sili się zdobyć znaczenie i prawa, jakie posiada wyższa, powiększyć materialne i moralne swe zosoby, albo przynajmniej uwolnić się od powinności pracować nie dla siebie ale dla drugich, przenosząc całe brzemie często zbytecznych wymagań.”

«Te djаметralno-przeciwnie dążenia wykazują się z mniejszą lub większą mocą, podług charakteru narodów i zewnętrznych okoliczności. One to stanowią tę walkę prywatnego interesu która bez wątpienia, przedstawia najciekawszą stronę w historii każdego narodu i państwa; one określają stosunki wyższego do niższego stanu, które bywają tak uciążliwe, podług stopnia cywilizacji, do jakiego doszło państwo w swoim historycznym rozwoju.”

Oświecenie dobrało się powoli we wszystkie sfery społeczności, zaczęło zaglądać dawniejsze kasty, zbliżać do siebie ludzi rozmaitych stanów i położeń, wcielać ich w jedną harmonijną całość. Niższa klasa przychodząc stopniami do uznania się w swoim jestestwie, w swojej człowieczej godności, usiłowała o ile możliwości polepszyć byt swój, i stać się niezależniejszą od kaprysów ludzi możniejszych. Z drugiej strony klasa wyższa przenikając coraz więcej w znaczenie historii ludzkości, przestała z kolei obawiać się wszelkiego ruchu postępowego naprzód, i uznawać zaczęła, że między możnymi i słabymi na tej ziemi, powinny być stosunki godziwsze i szlachetniejsze niżeli dotąd trwające, stosunki nie tylko dobroczynne dla stanu niższego, ale zarazem pożyteczne dla stanu wyższego, oddalając możliwość socjalnych wybuchów, i zabezpieczając nie tylko spokój i byt dobry narodów, ale zarazem postęp i potęgę państw.

«W miarę rozszerzania się cywilizacji, dawniejsze wyobrażenia o niezależności stanu jednego od drugiego zmieniły się zupełnie. Moźni tej ziemi, zaczęli uważać ludzi biednych nie za rabów swoich, lub bezmyślnych dzieci,— ale jako ludzi, nie ukształconych jeszcze, lecz mających sposobność myślenia, czucia,— i dla tego zdolnych czuć własną godność.»

«Wyższy stan zaczął poglądać na niższy, już nie jako na rzecz, na własność, ale jako na indywiduum, jako na osobę, która jeszcze nie doszła do swego ostatecznego rozwicia. Silniejszy zaczął postępować ze słabszym już nie jako z bydłciem, lecz jako z bliźnim, który jest jeszcze w stanie dzieciństwa, potrzebującym opieki i nadzoru.»

Tymczasem w zastosowaniu do Anglii, rzecz ma się zupełnie inaczej. Nie zgadzamy się w tém ze ś. p. zacnym naszym kolegą. Dość zajrzeć po kilka faktów do ostatnich zająć politycznych w Anglii, aby się przekonać, iż wcale nie jest tak *sielankową* wyższa arystokracja angielska. Dla swoich egoistycznych widoków zawsze starała się ona pozyskiwać sobie albo swemi zasługami, albo wagą złota— te na pozor nikiemne mieściny, zwane tam *zbutwiatemi* (*bourg-pourri*), które wszakże utrzymały za sobą prawo obieralności deputatów;— wielu z Parów potrafiło opanować po dziesięć takowych miasteczek,— a przez to zagarnąć w swe ręce przeważny wpływ na wybór deputatów. Ważniejsze rękodzielnicze miasta, z kąd rozchodzi się bogactwo po całej kuli ziemskiej, były pozbawione praw wyborowych, gdy tymczasem kilka nędznych chałup posłusznych Lordowi, działały w kierunku jego egoistycznych zamiarów.— Takim sposobem angielska arystokracja

skupiła w swe ręce całą polityczną władzę narodu. Dla powiększenia jeszcze swego wpływu i bogactw, arystokraci przeszkadzali podziału dóbr nieruchomości, że cała ziemska własność znalazła się w posiadaniu 40 albo 50 najwięcej, familij,—gdy tymczasem we Francji, jeszcze przed rewolucją Lutową, było ich do 5 milionów, t. j. o sto razy więcej, w ręku prywatnych właścicieli. Posiadłszy ogromne bogactwa i skupiwszy władzę w swęj garści, ci arystokraci przywalili całą swą ciężkością biedną, opuszczoną klasę ludu. Dla powiększenia dochodów swoich, arystokraci angielscy oddają swe ziemie w arendy fermeróm, i aby ciągnąć z nich wielkie dochody, podwyższają nielitościwie ceny na targach żywności. Oto dla jakiego celu, chrześcijańskie serca angielskich arystokratów całe stólecia pracowały nad wzbronieniem przywozu zagranicznego zboża i obłożeniem ogromnemi cłami przedmiotów, służących do zaspokojenia najpierwszych potrzeb życia ubogiego. Opłata zaś poziemnego cła arystokratów, jest drobnostką w porównaniu opłaty robotnika od żywności. Cały ciężar podatków leży na biednych. I tak rezultat ostateczny sławnej i podniosłej arystokracji angielskiej jest—uciśnienie biednych robotników i podeptanie najświętszych uczuć człowieka—*w miłości bliźniego!*

Właśnie tenże sam *cornbill*, który autor wziął za przedmiot swęj broszury, z taką trudnością przeprowadzony przez członków izby, wyższych nad osobisty interes, najlepiej dowodzi przeciwko *idylliczności* arystokracji angielskiej. Ani rząd, ani naród, przez cały wiek nie mogli zniszczyć tego zgubnego prawa, i przez czas tak długi nie znalazł się pomiędzy arystokratami ani jeden człowiek, któryby miał dobrą wolę poświęcić swój własny interes, interessowi ogółu!...

Dalej, oto jak maluje nasz młody uczonec, charakter angielskiego narodu.

«Ale dla czegoż nie starał się naród uciśniony wyswobodzić się z gniotącego położenia? Czyż, kiedy konieczność doprowadzała go do ostateczności rozpaczliwej, nie pokusił się on nigdy do użycia siły dla polepszenia bytu swego? Nie,—mężnie i cierpliwie znosił on zawsze swe klęski, i aby to pojąć, trzeba znać charakter Anglików. Nie porywem namiętności, nie żywością charakteru odznaczają się ci wyśpiarze,—przeciwnie, oni wiecznie ponurzy, posępni, jak muły hiszpańskie, cierpliwi, boją się rozlewu krwi i czują wstręt nieprzezwyjęzony do wszelkiej samowolności,—wszakże z drugiej strony niezmiernie dbają o swoją niepodległość cywilną,—od rana do wieczora gotowi słuchać li-

beralnych mówców, przyklaskiwać wymównym rozprawiaczóm, sakryfikować znaczne kapitały dla dobra ogółu,— ale pochwycić, powtarzam, oręż w ręce,— siłą wydrzeć władzę u klasy uprzywilejowanej— to nie jest w ich duchu,— na taki czyn nie łatwo się odważy angielski naród.”

Daléj mówiąc o następstwach, jakie spowodować może odzucenie praw zbożowych, autor przywodzi słowa jakiegoś biedaka z pomiędzy ludu, który w taki sposób przemawia do mówcy *Ligi P. Brejt'a*:

«Nie o nas biedakach ty się smucisz, o oratorze! nie nasz los «gorzki ciebie kłopotci; u twój spółbraci jest cel inny, który ty ukrywasz, ale ja ubożec, czytam w głębinie duszy twojej. Ty pragniesz na rozwalinach dawnéj szlachetnej arystokracji, pobudować nową arystokracją pieniężną; ty pragniesz pognieść dawniejsze bezcelowe wprowadzie, ale bezinteresowne pobudki, a na ich miejscu, zaprowadzić zimny egoizm i wyrachowanie. Znamy my was, fabrykantów! Niemiłosiernie wyganiacie nas z waszych zakładów, przekładając nad nas, swoje maszyny; opuszczacie nas obojętnie bez wszelkich środków do życia, a tymczasem przyganiacie starodawnym Lordóm naszym, którzy jakkolwiek dumni «byli i nas uciskali, wszakże nie były im obce uczucia miłości i «litości, od was wcale nieznane.” *)

Romuald Podbereski.

*) Oto jest spis niektórych dzieł i rozpraw: *Linowskiego*.

1. *O Ciepliku*, z Fizyki rozprawa studéńska, za którą srebrny medal otrzymał.
2. *O żyjątkach do familij Raków należących*, takóž rozprawka, nagrodzona złotym medalem.
3. *O zasługach Decandol'a w Botunice*, napisana w Szkołach, i pomieszczona w *Uczonych Zapiskach Mosk. Uniwers.* w r. 1836.
4. *O postępach w Fizyce*, mowa miana na Akcie Gimnazjalnym gdy był nauczycielem, która drukowaną nie była.
5. *O potworności w królestwie roślinném*, rozprawa na stopień Magistra, w Kijowie 1832.
6. *Memoire sur plusieurs Metamorphoses des parties de la fleur, observées par J. Linowski 1838*, drukowana w *Biuletynie de la Société des Naturalistes de Moscou*.
7. *O Kolonji Menonistów*, w Tauryckiej gub. Melitpolskim powiecie,— w *Dzienniku Min. Dóbr Państwa*.

8. *O Kolonjach Mologańskich*, umieszczona w *Pośredniku*, piśmie perjo-
dycznem gospodarskiem.
9. *O dozywianiu torfu*, pomieszczał artykuły w r. 1840 w *Moskiewskich
Wiadomościach*.
10. *O torfie*, obszerny artykuł pomiescił w Dzienniku Minister. Dóbr
Skarb. na r. 1841. i dołączył Mapę Moskiew. guber. z pokazaniem
miejsca, gdzie się torf znajduje.
11. *Relacje o swoich podróżach*, przysyłał z zagranicy do *Moskiewskich
Wiadomości*. Tam to właśnie były jego satyryczne postrzeżenia o
charakterze Niemców.
12. *O Stanie Agronomji i Zakładach Agronomicz.* za granicą, umieścił
w *Moskwitianinie* na r. 1845.
13. *Rozmowy o gospodarstwie wiejskiem*, wydał w Moskwie 2 tomy w r.
1845 i 1846, a miało być w 10 tomach i zawierać cały kurs agrono-
mji; dzieło to uważa się za najlepszy kurs agronom. w Rossji.
14. *Krytyczny rozbiór zdań ludzi uczonych o płodności ziemi*, rozprawa
na stopień Magistra *Wiejsk. gospod. i leśnictwa*, w Petersburgskim
Uniwersytecie.
15. *O reformie prawodawstwa zbożowego w Anglii*, pomieszczona w *Mo-
skiewskim Zborniku* na r. 1846, i wydana osobno, jest właśnie tą
ostatnią jego broszurą, której rozbiór powyżej zamieściliśmy.

CZTERO-MIESIĘCZNY POBYT

MIEDZY POSZUKIWACZAMI ZŁOTA W GÓRNEJ
KALIFORNJI.

(Four months among the gold-finders in Alta-California).



Z Dziennika Podróży Angielskiego Doktora

TIRWIT-BRUKSA.

(Tyrwhitt-Brooks'a).



KALIFORNJA w obecnej chwili stanowi jedno z żywotniejszych społeczeństwych pytań. W następnym *Zeszytcie*, z powodu kalifornijskiego złota, umieścimy jeograficzno-historyczne opisanie tej krainy, załączając zarazem doławiania się społeczeństwych polityko-ekonomów o wpływie, jaki może wyrzeczć w przyszłości na świat cały odkrycie złotych kopalni w Kalifornji. Tymczasem dajemy czytelnikom *Pamiętnika* proste i zajmujące opowiadanie angielskiego doktora, który się przed kilką laty udał był do Oregonu dla szukania fortuny. Zawiedziony w nadziejach i nie wiedząc co począć, usłyszał na początku r. 1848 o podbiciu Kalifornji mocą oręża przez Amerykanów, i postanowił wstąpić do ich służby. Przybywszy morzem do San-Francisko, starał się o miejsce lekarza w Niu-Yorkskim półku ochotników, pod komendą Półkowni-

ka Mazon'a (Mason), gdy nagle—pośród tłumu zajętego budowaniem domów i magazynów dla wielkiego handlowego składu towarów, które z czasem będzie może spółubiegać się z Liwerpulem i Londynem,—nakształt błyskawicy rozeszła się wieść, że w dolinie rzeki Sakramento zostały odkryte obfite kopalnie złota. To sprawiło nadzwyczajny efekt. Mniej niż w tydzień—domy, magazyny, budowle, kramy, spekulacje, handel—jednym słowem, wszystko zostało opuszczone. Z przedsiębiorczym umysłem i ryzyką, charakteryzującą rasę Anglo-Amerykańską, tłumy ludu udały się do nowego El-Dorado: urzędnicy, negocjanci, rzemieślnicy, doktorzy, juryści, prawnicy, żołnierze, majtki z okrętów stojących w porcie na kotwicy—wszyscy rzucili swe zajęcia albo opuścili swe miejsca, i na złamanie szyi pobiegli do kopalni. Otrzymawszy odmowę od Półkownika Mazona, P. Bruks poszedł owczym pędem, i tylko po różnych przemianach losu, o których opowie sam niżej, i po czteromiesięcznej najcięższej pracy, poniesionej przy dobywaniu złota, wówczas kiedy bieda i niepogody zmusiły go wrócić do miasta, przypomniał sobie nasz doktor, że nie podał o sobie najmniejszej wieści swoim krewnym i przyjaciółom w Europie. Chcąc poprawić się P. Bruks przesłał bratu swemu rękopis dziennika, dosyć niedbale prowadzonego w czasie wyprawy do *Złotego-Okręgu* (Gold-District). Dziennik ten niedawno ukazał się w Londynie, ponieważ brat P. Bruks, przeczytawszy go, uznał za powinność natychmiast go wydrukować, jako źródło wiadomości i poradnik dla wychodźców, których epidemja *żółtej-mineralnej-gorączki* (mineral-yellow-fever) wlecze teraz do Kalifornji. Postaramy się oddać go z całą prostotą relacji, z jaką napisany.

Dziennik zaczyna się od 28 Kwietnia 1848, to jest od dnia przybycia okrętu do malowniczej przystani San Francisco, na którym znajdował się P. Bruks z dwóma towarzyszami P.P. Malcolm i Makfajl (*Macphail*), oregońskimi emigrantami, którzy jako i Bruks doświadczyli tam niepowodzenia. Nie przewidując wcale gotujących się tam odkryć, podróżni zaczęli zbierać zaraz wiadomości o klimacie, własnościach ziemi i t. d. Szczegółów dostarcza im amerykanin, niejaki P. Bredlój (*Bradley*), który potem udał się z nimi do kopalni, lecz wówczas nie wiedzący o znajdowaniu się kruszca złotego w Kalifornji i o którym ani słowa nie słyszał w czasie swego ośmio-letniego pobytu w owiej stronie. Zadowoleni zebranymi wiadomościami, postanawiają osobiście zwiedzić miejscowość i dostać się do stolicy Monterey. Udają się w drogę konno,—i dziennik wspomina o uprawie ziemi, o domach, o

fermach, lecz ani słowa o złocie. Dopiero w Monterey pierwszy-kroć o niem zasłyszeli, w czasie odwiedzin Półkownika Mazona, u którego Bruks prosił dla siebie o miejsce półkowego lekarza. Oto wypis z dziennika o tym przedmiocie: «Upewniwszy nas, że wojna już skończona i prędko będzie zawarty pokój, gubernator zapytał Bredlej'a, czy nie słyszał czego o odkryciu złotych pokładów na brzegach rzeki Sakramento, o czém przypadkowie wspominał mu w piśmie swem Kapitan Fulzom (*Fulsom*) postany z poruczeniem do Kalifornji od rządu Stanów Zjednoczonych. P. Bredlej, (który tam przemieszkał lat ośm) odpowiedział, że rzeczywiście w San Francisco rozgłaszają te wieści, lecz on uważa to za brednie, chociaż już kilku dziwaków pojechało do mniemanych kopalni. Tak skończyła się nasza audjencja.» Zadowoleni wycieczką, nasi przyjaciele wracają do San Francisco. 8 Maja uważają odkrycie kopalni za rzecz prawdo-podobną, lecz niezupełnie pewną. «Kapitan Fulzom, mówi doktor, był u mnie. Dziś rano widział się on z człowiekiem, który przyniósł złoto zebrane na brzegach Sakramento. Kapitan widział to złoto w ziarenkach, na wagę do 23 uncji. Znawcy upewniają, że to jest prawdziwe złoto, w skutek czego Kapitan objawił chęć osobiście odwiedzić owe miejsca. Po jego odjeździe Bredlej namówił nas puścić się razem z Mal-kolmem, chcącym jechać do Sakramento, od której rzeka nazwana *Widłami Amerykańskimi* jest tylko w 30 milach odległości.»

«Maja 10-go. Od kilku dni nie mówią tu o czém inném jak tylko o *złotém gnieździe*. Jeszcze cztery osoby świeżo ztamtąd przybyłe, przyniosły znaczną ilość złota. Alkad (starszy urzędnik) i kupcy z miasta brali pod rozbiór i przekonali się o rzeczywistości kruszcu.

«Co do mnie nie wątpię, że to jest złoto prawdziwe. Już kilka osób odjechało ztąd z rydlami, *przemysłkami* i t. d. Sądję jednak, że im to będzie wzbronione, ponieważ ziemia jest własnością publiczną i Półkownik Mazon wybiera się zająć ją w imię rządu Amerykańskiego.

«Maja 17-go. Cały kraj jest w gorączkowym szale: rzemieślnicy opuścili swoje warstwy. Dziś przechadzając się po mieście zauważałem, że wszystkie domy których rozpoczęto budowlę, zostały opuszczone: ze 20 domów zupełnie zamknięto, gdyż ich mieszkańcy udali się do kopalni. Jeżeli Półkownik Mazon, jak głoszą, wyszle tam wojsko dla zajęcia, cały ich czas będzie na próżno stracony.»

Jednakże pomimo niecierpliwości nasi podróżni nie mogą jechać, bo siodlarz który wziął się dostarczyć im siodła, został

nagle opuszczony przez robotników którzy polecili do *Złotodawczego-Okręgu*. Tymczasem kompanja ich powiększa się nową osobą, niejakiem Hiszpanem Don Ludwikiem Paolo, u którego przed tygodniem byli na obiedzie, i któremu wówczas ani sniło się o minach złotych; on był wtedy zajęty sprzedażem swęj fortunki aby wrócić do Europy.

Don Ludwika opauowała też *złota gorączka* (gold fever) i postanowił sam kopać ziemię. Wziął z sobą przechrzstę Indjanina imieniem Chose (*Jose*). Nasi podróżni zrobili ogólną naradę, ułożyli plan wyprawy, kupili konie wierzchowe i juczne dla przeniesienia ruchomości: każdy wziął rusznicę, parę pistoletów, szablę i t. d. Kupiono płótna na namiot, rydło, motyki i siekiery, kawy, cukru, wódki, nożów, talerzy, garnków i wszystkiego, co potrzebne do życia w odludném miejscu.

Maja 29-go, przybywają do Suterwill, miasteczka z 10 lub 12 domów, założonego przez Kapitana Suter, o którym wspomina, jako niżej obaczą czytelnicy, doniesienie Półkownika Mazona. Ta forteczka, opasana rowami i ziemnymi wałami, na których ustawiono 24 armatki, oznaczoną jest na mappach pod imieniem *Nowej-Helwecji*. Nazwanie to nadane przez oficera Szwajcara zostającego niegdyś w gwardji Karola X. we Francji, Kapitana Suter, który raniony w czasie lipcowej rewolucji, wziął odstawkę i udał się do Ameryki. Po dziesięciu latach pobytu w Stanach Zjednoczonych osiadł w Kalifornji. Była tam wówczas pustynia, i Kapitan łatwo dostał od rządu meksykańskiego porządny kawał ziemi, około 20 mil długości, i cztery szerokości mający. Ziemię tę przezrzynają rzeki *el Sacramento* i *Widły Amerykańskie*. Na tém to terytorjum były zrobione najpierwsze odkrycia Sutera i Marschall'a.

Wędrownicy nasi byli dobrze przyjęci przez Sutera i jego żonę Paryżankę rodem. Kapitan nie miał już ani jednego z owych Indjan, z którymi musiał staczać walki po przybyciu do kraju, a zawojowawszy porobił z nich wartowników dla domu i używał do uprawy roli. Teraz wszyscy go opuścili, sam zaś został otoczony tłuszcą awanturników puszczających się za złotem, i tylko mimochodem *łobijających się* o gościnność. Forteczka tak była nabitą przybyszami, że kupy ich musiały rozłożyć się na dziedzińcach i w ogrodach. Była to dziwna mieszanina różnych narodów z całego świata.

Bruks i towarzysze nabywają znowu konie dla zabrania żywności, powiększają swój orszak złożony z siedmiu osób jeszcze jednym, młodym i silnie zbudowanym wyrostkiem, nazwiskiem

Dzems Horry. Był to zbiegły chłopak ze statku polującego na wielorybów, który przed kilką dniami zawinął do zatoki. Na początku Czerwca ożywione nadzieją towarzystwo opuszcza forteczkę i tegoż dnia wieczorem przybywa do *Kopalni Mormońskich* (Mormon-Diggings). Tam znajdują do czterdziestu namiotów uczepionych do gór i zajętych przez Amerykanów, którzy tam przybyli ze swemi rodzinami. Chociaż słońce miało się ku zachodowi, wszyscy do upadłego zajęci byli robotą. Co dziesięć kroków stał człowiek z obnażonymi rękami, zajęty dobywaniem i myciem piasku. Jedni trzymali miski lub garnki gliniane, którymi mocno postrząsali aby oddzielić kruszcowy osad na dnie; inni stojąc po czterech przy wielkiej i ciężkiej drewnianej maszynie, podobnej z kształtu do kołyski, którą w języku miejscowym nazywają *Kradlą* (Cradle), pracowali uporeczywie pomimo wielkiego upału.

«Nie potrafię opisać wrażenia, jakie na nas sprawił ten widok. Zdawało się że bajeczne skarby *Tysiąca i Jednej Nocy* nagle rozwarły się przed nami. Z mimowolnym poruszeniem podaliśmy sobie dłonie, przysięgając wzajemnie wierność i wytrwałość dla wspólnego dobra. Przechodząc z namiota do namiotu, i widząc kupy złota które ci ludzie nagromadzili w przeciągu kilku tygodni, byliśmy jakby odurzeni. Szukaliśmy tylko stanowiska, aby czém prędzej wziąć się do roboty. Świerżbiały nam dłonie i mniej niż w pół godziny po przybyciu— koń który wioził motyki, warzęchy, drewniane misy, przetaki i t. d. był rozjuczony i wzięliśmy się z zapałem do roboty. Co do mnie, uzbrojony mularską kielnią i małym blaszanym wiaderkiem, rzuciłem się w wyschłe łożysko niewielkiego ruczaju, przy którym obraliśmy miejsce dla obozowiska. Nie zapomnę nigdy uczucia z jakim zanurzyłem po raz pierwszy moją kielnię do piasku; napełniwszy do połowy wiaderko, poniosłem do bliskiej kałuży i zanurzając na pół cala pod wodę, zacząłem żywo mieszać w niem piasek. Rozumie się że robiłem to arcy-niezręcznie i straciłem cząstkę drogiego metalu. Wkrótce zauważałem, że ziemia się rozpuszczała i uchodziła z wodą, a na dnie naczynia formował się piaszczysty osad. Wypróżniwszy troskliwie naczynie, przesypałem piasek do szczelnie upleczonego koszyka,— których dostarczają miejscowi Indianie, i— wrac z niecierpliwością suszyłem go przy ogniu bivaaku; zdało mi się że promienie słoneczne miały za mało ciepła, aby mogły prędko nieoceniony ten osad osuszyć!

«W pół godziny wróciwszy do namiotu postrzegłem, że z pośpiechu zapomnieliśmy rozjuczyć resztę koni: stały jak przyszyły z drogi. Malkolm uprzedził mnie i przyniósł też podobną ilość zło-



DOBYWANIE PIASKU ZŁOTEGO ZEŁ SAKRAMENTO.

Wydruk. J. Oziński w Warszawie

todawczego piasku. Po chwili Bredlej i Don Ludwik połączyli się z nami. Obaj byli w stanie zachwycenia niepodobnego do opisanja. — «Oto — jak się robi fortuna!» zawołał pierwszy pokazując nam owoc swój pracy. Choze zaś zanosił się w dziękczynnych, modłach do Najświętszej Panny i Wielkiego Ducha, które mieszał w swęj głowie sposobem wcale nieortodoksalnym.”

«Zajęliśmy się urządzeniem namiotu, i Malkolm wziął się do gotowania wieczery; nie daliśmy mu spokojności — ciągle przeszkadzając i cisnąć się do jego ognia dla suszenia piasku, aby jak najrychlej przekonać się o skutku naszęj pracy. Gdy nam pękło wiele naczyń od zbytniego gorąca i piasek wysechł, wzięliśmy się wszyscy z zamkniętymi oczyma zdmuchiwać pyłek, skarby nasze pokrywający i w kilka minut byliśmy panami około trzech szczypt piasku złotego. Jak na początek, była to rzecz nader zachęcająca: oddawszy sobie dobranoc usnęliśmy snem twardym, nieprzebudzonym.

«Dziś słońce weszło wesoło, bez żadnej chmurki na niebie. Zjadłszy śniadanie ułożyliśmy plan na dzień dzisiejszy. Jeden tylko Don Ludwik oświadczył, że z powodu niedzieli pracować nie będzie. Aby wszystkich pogodzić postanowiono, że każdy będzie pracować na swój rachunek, a tylko w razie niebezpieczeństwa należeć ma do spólnęj obrony dobra ogólnego. Zostawiwszy więc Don Ludwika z cygarem w namiocie, udaliśmy się na miejsce pracy; tam zauważaliśmy że większa część kolegów rozdzielała opinią naszą, co do możności pracowania w Niedzielę.”

«Pracowaliśmy z zapałem przez całutki ranek. Jestto rodzaj pracy nader przykręj; ciągle schyłanie się nad robotą sprawuje ból w krzyżu; ręce ciągle zanurzone w wodzie i wystawione na upał słoneczny, szczepią się i bolą nieznośnie, Ale to są cierpienia nie nieznaczące w porównaniu odnoszanęj złąd korzyści. Z tém wszystkiem po obiedzie nie poszliśmy zaraz do pracy, ale odwiedziliśmy sąsiednie namioty. Prawie wszyscy odpoczywali, jedni spali w cieniu drzew, drudzy pod namiotami, inni pod wozami; tamci kurzyli fajki i rozmawiali, ci poprawiali odzież, owi zajmowali się kuchnią. Jest to prawdziwie najosobliwsze towarzystwo na świecie: tu przechadzają się Indjanie w jaskrawych perkalowych koszulach zachowując maniery dzikiego, pod odzieżą cywilizowanego człowieka; tam bronzowe twarze, ciała wychudłe i muskularne, których delikatne kształty i ogniste oko, znamionują rasę hiszpańską, rozmawiają z Jankessami co mają cery blade, blond włosy i twarz płaską; słyną oni ze zręczności w dobijaniu targu i ciągłęj gotowości uderzyć na nieprzyjaciela. Dalej, po

wełnianej czerwonej albo błękitnej koszuli, po szerokich pantalonach z żaglowego płótna poznasz majtkę, najpewniej zbiega z jakiego statku do łowienia wielorybów; dalej jeszcze są to negry, niewolniki z kolonij, którzy gwarzą z gadulstwem właściwem swej rasy, ruszają machinalnie wełnistymi głowami, albo się śmieją do rozpuku otwierając aż do uszu ogromną gębę, opatrzoną dwoma rzędami najdoskonalszej białości zębów.

«Przeszedłszy tak kawał niemały, ujrzelśmy namiot olbrzymich wymiarów, złożony z dwóch albo trzech namiotów; była to kaplica, w której ksiądz misjonarz ze Stanów Nowej-Anglii zgromadził nowe towarzystwo.»

«Czerwca 5-go, pracowaliśmy usilnie przez dzień cały, kopiąc siejąc, przemywając; praca nasza była wynagrodzoną obfitym zbiorem. Zdaje się że nareście zaczynam rzeczywiście robić fortunę, i za to składam szczerą dziękę Opatrzności. Dosyć byłem pokiereszowany w mojej wędrówce po świecie; przysłowie, że kamień co się toczy mchem nie obrasta, sprawdziłem własnem mojem doświadczeniem. Teraz przeciwnie zaczynam mieć niepłonne nadzieje i dla doścignienia ich, przyłożę całej woli, i— ile mi sił i zdolności stanie. Bredlej i ja pracowaliśmy obok siebie i byliśmy dość szczęśliwi: 25 dolarów *) złotego piasku na jego, a 22 dolary na moję dół przypadło. Jednak trzeba przyznać, że nasz sposób dobywania jest barbarzyński; zgiętemu cały dzień nad wodą, dolegają okrótnie krzyże. Przeto radziłem kupić przy zdarzeniu wspomnianą wyżę *kradłę* **); koszt będzie nie mały wprawdzie, wszakże pieniądze będą korzystnie użyte. Pod czas obiadu propozycja moja została jednogłośnie przyjętą; następnie postanowiono, że jeśli się nam nie uda nabyć takową maszynę, postaramy się zrobić ją sami. W ciągu dnia przybyło wiele osób z Suterwillu. Dwaj z nich są dawni znajomi Bredlej'a, jeden jest P. Biggs, który przedtém zajmował się komisjami w San-Francisko; drugi jest Francuz z Kanady, P. Lakos (*Lacoste*), osiedlony w Kalifornji. Przyjęli propozycją przyłączenia się do naszej kompanji. Jeżeli ten wpływ ludności potrwa dłużej, a będzie tak drożec żywność i narzędzia (dziś za nędzne szalki do ważenia złota zapłaciliśmy 15 dolarów!) to daleko zyskowniej byłoby założyć kramik, niżeli wywijać bigę albo potrzasać *kradłą*. Najwięcej mię zadziwiło, że w miejscowości tak dalekiej od wszystkiego co się nazywa cywilizacją, a tém bardziej od wszystkiego, co ma podobieństwo do

*) *Dollar* około 10 zł. p. toż samo *piaster hiszpański*.

**) *Cradle*, maszyna do wydzielania piasku złoto-dajnego od ziemi.

prawa, jesteśmy w zupełnym bezpieczeństwie. Nie słyhać o żadnym osiągnięciu ani na osoby, ani na własność. Wreszcie kradzież byłaby natychmiast ukarana; kula w łeb wypalona bez odwłoki domierzyłaby karę winnemu.

«*Niedziela, 11 Czerwca.* Przez ośm dni prawie nie tknąłem mego Dziennika. W przeszły Wtorek nie mogąc dostać *kradli*, postanowiliśmy zrobić sami, i to dwie razem. Cała trudność była w dostaniu desek; kosztowały one nam 35 dollarów; takież płacy w dzień wymagał od nas stolarz, którego z początku chcieliśmy użyć do pomocy. Obie maszyny chociaż nader po prostu lecz mocno zrobione, były gotowe we Środę po południu, i od rana we Czwartek działały już pomyślnie. Ten sposób dobywania daleko korzystniejszy i bez porównania mniej morderujący.

«*Niedziela, 18 Czerwca.* Tydzień przeszły zupełnie podobny do poprzedzającego, lecz korzyście nasze znacznie się powiększyły. Dobyliśmy średnią proporcją około 1,600 franków na dzień. *Kradle* mnożą się codziennie, a jednak nie zdaje się, aby zmniejszała się liczba dobywaczów podług dawniejszego sposobu, bo co godziny ludność napływa od strony wybrzeża.

«Doszły nas nowiny, że prawie całe San Francisco zostało opuszczone. Większa część okrętów stojących na kotwicy została bez majtków. Na jednym, przybyłym z wysp Sandwich, został się tylko kapitan. Inny kapitan sam poprowadził całą swoją osadę do *złotego miejsca*. Dwa żurnaty *Staar* i *Californian* przestały wychodzić dla braku redaktorów i drukarzy. Widzieliśmy na własne oczy poważnego urzędnika po kolana w wodzie pracującego jak Negr w plantacji. Zgadnijcie kto to był? Ni mniej, ni więcej jak sam *Główny Prokurator* (attorney general) Króla Wysp Sandwiskich! I nie on jeden, a mnóstwo innych urzędników, którzy tutaj napychają kabzę przynajmniej nie robiąc zła nikomu.

«*Piątek, 23 Czerwca.* Po południu w przeszłą Środę byłem szczęśliwy. Kopałem ziemię dla wsypania do *Kradli*, gdy nagle postrzegłem kawałek metalu grubości orzecha, co się mi do razu wydał bryłką złota. Ważył 2 uncje i 3 ćwierci. Podług praw nowo-zaprowadzonych, bryłka ta do mnie należy i nie wchodzi w ogólny podział, gdyż została znalezioną wprzód nim przeszła przez *kradlę* i dla tego że waży więcej niż pół uncji. W górę rzeki Sacramento, a szczególnie rzeki *Bobrów*, te maciące, powiadają, że znajdują się dość często, ale w Mormon-Diggings są rzadkie.

«Pomiędzy przybyszami ukazuje się wielka liczba Kreolów Hiszpańskich, osiadłych od dawna w Kalifornji. Wielu z nich przybywają z żonami, którym towarzyszą dziewczyny Indyjskie. Pe-

ten wdzięku hiszpański kostium rozwesela widok polany zajętej przez nasze obozy. Z przyjemnością daje się zauważać,—pośród bladych Yankessów, o szerokich białych pantalonach i słomianych kapeluszach, pośród Indian na w pół nagich,—Kalifornijczyka z brązową twarzą, z czarném, iskrzącém się okiem, w małej okrągłej jaskrawo haftowanej kamizelce, aksamitnych pantalonach, jedwabnym pasie, w eleganckich bótach z danjelkowej skóry, które kurczą się i psują zanurzone w błotnistej wodzie.

«Kobiety są pełne wdzięku i zalotności, Spodniczki ich tak krótkie że pozwalają widzieć śliczne nóżki, są pokryte bogatemi haftami, kolorów najjaskrawszych; szkarłatny kolor zdaje się najbardziej w modzie. Czarne ich włosy spadają w długich i rokosznych splotach na ramiona, i cały strój tych dam ze wszystkimi dodatkami kołczyków, naszyjników i branzoletek jest prawdziwie okazały. Cechą odznaczającą jest *reboso*, rodzaj szarfy pospolicie wełnianej, która zastępuje miejsce dawniej Hiszpańskiej mantylli. Noszą ją sposobem rozmaitym i zawsze pełnym wdzięku: na ramionach, w około kibici, przykrywają nią głowę, otaczają twarz i zawsze układają z tym wdziękiem nienasładowanym, z tą wabiącą zalotnością, którą odznacza się kobieta Hiszpańska w użyciu wachlarza i mantylki. Od czasu ich przybycia, prawie co wieczora na murawie przed namiotami mamy pełne wdzięku *fundango*. Jest to prawdziwa rokosz, po ciężkiej dzienniej pracy, wieczorem pójść na te *fundango*. Wesołe dźwięki gitary i skrzypcy oznajmują je każdemu przechodzącemu, malownicze zgromadzenie formuje półkole, każdy pali swoje cygare, przyklaskuje tancerzom, którzy też palą jak inni. Trzeba podziwiać świetne kostiumy i wdzięczne ruchy tancerek, które zdaje się że tańczą nie tylko nogami i stopami, ale całym sercem i całą duszą. Lakosowi szczególnież zawróciły głowę te *fundango* i często sam przyjmuje w nich udział.»

«*Niedziela, 25 Czerwca.* Wszyscy przestaliśmy pracować w Niedziele; dość pracy przez sześć dni. Korzyść z ostatniego tygodnia była nie nader zyskowną. Piasek złoty waży każdego wieczora i zaraz dzielą pomiędzy siebie; każdy nosi swój skarb w rzemiennym pasie, którego na chwilę nie porzuca. Choze, który też zebrał porządną sumkę, jak tylko ma chwilkę swobodną, zaraz bierze się za pas; liczy po kilkakroć na dzień i za każdym razem wzywa Wszystkich Świętych z kalendarza i starych duchów indyjskiego poganizmu. Zrobił on ślub odkładać codziennie cząstkę na cześć Najświętszej Panny, ale uważam że coś ta cześć zmniejsza się codziennie, i że Choze nie jest szczerym w swoim nabożeństwie.»

«Dziś rozważaliśmy czy nie lepiej byłoby pójść dalej w górę rzeki, gdyż te miejsca są zapełnione i już nam skradziono kilka narzędzi. Postanowiliśmy sprzedać nasze *kradle* i iść szukać losu w mniejszym towarzystwie. Żałowałbym jednak tu czegoś: *fandango* i dwóch lub trzech *senoritas*, które przyzwyczaiłem się widywać wieczorami.»

«*Niedziela, 2 Lipca*, Wczora opuściliśmy dotychczasowy pobyt i udaliśmy się w górę po rzece *Amerykańskiej*. Nietrudno nam było sprzedać nasze maszyny. Byliśmy atakowani przez mnóstwo nabywców, przeto postanowiliśmy je sprzedać przez licytację. Bredlej oparty na jednej z naszych *kradli*, wywoływał panów nabywców (*gentlemen traders*). Wybornie się powiodło. Bredlej wymową swoją, żartami i gadatliwością podniósł cenę jednej do 195 dolarów w opłacie piaskiem złotym, drugiej do 180 dolarów,— zyskaliśmy więc na nich 375 dolarów (około 3,750 złotych pol.!).

«Przechodząc około młynu, przy którym złoto było najprzód odkryte, kiedyśmy całemi oczami wypatrywali to miejsce, nagle usłyszeliśmy wystrzał i po chwili ujrzeliśmy wychodzącego z lasu człowieka w białych płóciennych pantalonach, w *mokassinach* *) z danielęj skóry na nogach, w ogromnym słomianym *sombrero* Meksykańskim na głowie, i strzelbą na ramieniu. Był to socjusz Kapitana Sutera, P. Marschall we własnej osobie. Polując robił ogląd kilkudziesięciu Indian, których potrafił zatrzymać przy sobie płacąc im towarami i wódką, którą lud ten dziki lubi namiętnie. Trochę dalej także kupa dzikich pracowała dla Kapitana Sutera.»

«*Lipca 3*. Wybrawszy miejsce, które zdawało się obiecywać, nakopaliśmy ziemi dawniejszym sposobem, i wypadek okazał się nadspodziewanie. Ziemia tutaj jest *przeiękła* złotem, ale tracimy wiele czasu na noszenie piasku do ruczaju dla przemywania. To spowodowało nas szukać znowu dogodniejszego miejsca, i udaliśmy się do niewielkiego strumienia nazwanego Stawka Webera (*Webers-Creek*) wpadającego do rzeki *Amerykańskiej*. Po drodze wszędzie spotykaliśmy obozy, namioty, robotników. Nareszcie trafiliśmy na ogromne obozowisko powiększej części z Indian. Jedni pracowali w łożysku rzeki, inni, daleko liczniejsi, rozkopywali urwiska przyległych gór. Pierwsi zyskiwali na ilości złota, drudzy na wartości jego. Poszukiwanie w górach może być zyskowne, ale w rzekach pe-

*) Obówie skórzane na nogi.

wniejsze. W górach znajdują macińce od kilkunastu uncji, ale też często przez całe dnie kopią się daremnie. My obraliśmy rzekę. Pierwszém staraniem było zbudować *kradle*. Znaleźliśmy deski w jakimś kramiku, lecz cena ich wydała się nam zbyt wysoka. Poszliśmy więc do lasu i podczas ogromnego upału, który tu smali nieznośniej niż na wybrzeżu, dokazaliśmy swego nareście. *Kradle* były zrobione.

«*Lipca 8.* Kiedyśmy spoczywali po obiedzie, nagle zrobił się wielki ruch w obozie. Wszyscy wybiegli z namiotów i skupili się około orszaku przybyłych jeźdźców,— poszliśmy i my. Był to Półkownik Mazon ze swym adjutantem i orszakiem, przybyły dla obejrzenia kopalni, i przedstawienia raportu rządowi. Półkownik był dla nas nader grzeczny, lecz nie udzielający się. Bredlej mu towarzyszył dla pokazania miejscowości. Służył on kiedyś pod jego komendą, znał charakter Półkownika, i to dało nam powód, prosić go o przyjęcie na siebie komissu dla przekazania summy naszej która zaczynała nas niespokoić, jakiemu handlowemu domowi w Washingtonie. Zgromadziliśmy się więc wszyscy, i przeważwszy złoto, ujrzeliśmy że mamy go na wartość 24,580 franków, zarobionych przez sześć osób, w przeciągu mniej niż dwódziestu dni pracy. Włożyliśmy je do mantelzaku, i ujęliśmy niem najlepszego konia, którego Bredlej prowadził w rękę. Uzbroiwszy strzelbę i pistolety olstrowe, wyprawiliśmy go ku wieczorowi razem z Półkownikiem.»

«*Środa, 12 Lipca.* Korzystając z niedzieli przechadzałem się po sąsiednich namiotach i wszędzie postrzegałem ludzi chorych na febrę *przemienną* (intermitens), okoliczność, która mię wcale nie dziwiła. Złe pokarmy, ciągłe narażanie się na upały słoneczne, działanie wilgotnej atmosfery nocami, wszystko to musiało mocno działać na rozwicie chorób.»

«W Poniedziałek rozpoczęliśmy roboty, kopiąc, myjąc, sypiąc i wstrząsając *Kradle*. Wypadek był najpomyślniejszy. Dobyliśmy na 1,346 fr. na spólną dolę. Rankiem powrócił Bredlej od Kapitana Sutera, gdzie wręczył Półkownikowi nasze mienie i zabezpieczył je z zupełnem naszym zadowoleniem. Wieczorem do namiotu naszego przyszedł człowiek pytając, czy nie mamy lekarstwa do przedania? Odpowiedziałem, że jestem doktor i wyexaminowałem go. Miał febrę *przemienną*; dałem mu Chininy, i zaleciłem spoczynek na dni kilka. Pomimo to nazajutrz widziałem go pracującego gorliwie razem z innemi. Rozeszła się wieść że jest doktor w obozie, i teraz rozrywają mię na wszystkie strony, gdyż liczba chorych jest nader wielka. Dają mi zwykle uncję

złota za wizytę. Zatrudnienie to daleko korzystniejsze i mniej morderujące niżeli *Kradla*. Bieda tylko że ci ludzie nie mogą po-przestawać na recepcie: trzeba im lekarstwa przedewszystkiem, a ja nie mogę się pozbawiać tej małej ilości, którą chowam dla użytku kompanji. Trzeba się wyrzec doktorstwa kiedy nie ma lekarstw. Dysenterja zaczyna grassować; położenie nasze staje się nie nader wesołem.”

«*Sobota, 15 Lipca.* Najeliśmy kilkunastu Indian którzy ko-pią w wąwozach gór. Należą do pokolenia *Wężowyc*h, są nader biedni, i mają pozor wyniszczonych głodem. Płacimy im żywno-ścią i wódką.

«*Poniedziałek, 24 Lipca.* Wczora liczna kompanja udała się do rzeki *Bobrowej* wpadającej do Sacramento. Powiadają że tam w górach złota obficie. Postanawiamy i my tam udać się. Ostatni tydzień mocno pracowaliśmy, lecz straszliwie ucierpieliśmy od u-pałów. Każdy z nas ma jakieś cierpienie: symptomata febrowe, boleście w nerkach, ból głowy i t. d. Miejsce które opuszczamy, już jest tak zapchane ludnością, jak *Mormon-Diggings*. Cała dolina usiana namiotami, altanami z gałęzi i niemasz ani jednego źródła, ani jednej kałuży, gdzieby nie było kopaczów ryjących, sypiących, myjących.”

«Kiedyśmy spoczywali wczora w cieniu namiotu, przyszedł do nas stary strzelec *Dżon Wajt (John White)* dawny znajomy *Bredleja* i *Don Ludwika*. Przybył on do tego kraju razem z *Kapitanem Suterem*, którego wychwala charakter i odwagę, i opowie-dział nam historję pierwiastkowej osady *Kapitana*. Po wielu przy-godach i bitwach, dzikie pokolenia zaprzestały z nim wojny. Po-rzucając zwyczaj napadania, wielu z nich zaczęło przychodzić do niego, i najmować się do pól, fabryk, polowania, robienia cegieł i t. d. *Kapitan* puścił w obieg cynową monetę oznaczoną jego stępem, która ma znaczenie u nich, i za którą kupują żywność lub towary w forteczce *Kapitana*. Opowiadania starego by-walca zachęciło nas udać się dalej wzdłuż rzeki *Bobrowej*; stary oświadczył się nam za przewodnika za pewną opłatą.

«*Wtorek, 25 Lipca.* Żywność nasza prócz mąki, zupełnie skończyła się, a tu wszystko nadzwyczajnie drogo. Kupiliśmy trochę słoniny, suszonej wołowiny, i kawy, spuszczać się zresztą na nasze strzelby; powiadają że mnóstwo zwierzyny jest w do-linie *Bobrowej*. Każdy z nas bierze na siebie na 15 dni żywno-ści, prócz tego co możemy włożyć na konie.”

«Wieczorem trzech ludzi stawiło się w naszym namiocie pro-sząc o przyjęcie ich do naszej kompanji. Jeden nazywa się *Ed-*

ward Story, jest adwokatem z powołania, i był Alkadem w Monterey (stolicy Kalifornji) za czasu rządu hiszpańskiego; dwaj drudzy Dżon Dowling (*John Dowling*), porucznik w morskiej służbie, i Samuel Bredsze (*Bradschaw*), zbiegły chłop-stolarz z pokładu rybaka wielorybów. Fiziognomja Adwokata pokazuje człowieka bystrego, zna on języki dzikich pokoleń; oficerowi, zdaje się nie brakować zdrowego rozsądku, a co się dotyczy chłopca-stolarza, to taki parobek jak raz zda się dla ludzi co idą pracować w pustyni. Przyjeliśmy ich chętnie. Wszyscy mają konie, chociaż dwaj z nich co byli na morzu, są djabelnie excentrycznymi jeźdźcami!"

«Środa, 26 Lipca. Przed świtem puściliśmy się w drogę. Na obiad mieliśmy zupę z zająca którego ubiliśmy po drodze. Widzieliśmy liczne ślady danjeli i jeleni: dobra nadzieja dla naszej kuchni! Wieczorem było zimno; rozłożyliśmy wielki ogień z sosnowych gałęzi."»

«Piątek, 28 Lipca. Niebo jasne, powietrze chłodne. Widok kraju coraz górzystszy. Nocowaliśmy pośród skał i przed świtem puściliśmy się w podróż: droga coraz trudniejsza, idzie wąwozami i zwiesza się nad przepaściami: trzeba było wdzierać się na skały, o które konie raniły sobie nogi, co opóźniało nasz pochód. Lasy któreśmy przebywali, są sosnowe; sosny te mają długie, ostre igły, z ogromnemi szyszkami. Po najprzykrzejszem przejściu przez ostatnie skały, dosięgliśmy nareście doliny Bobrów. Słońce już zachodziło kiedyśmy zeszli z gór ku rzece. Jest to nie wielki strumień płynący po błyszczącym piasku. W odległości szmeru wód rozłożyliśmy się na nocleg, radzi z ukończoną podróżą."»

«Niedziela, 30 Lipca. Nazajutrz zwiedzając okolice przekonaliśmy się że była zupełnie pustą. Zaczęliśmy szukać złota. Rozdzieliliśmy się dla zwiedzenia brzegów rzeki i potoków doń wpadających, które wiosna z gór przynosi."»

«Z wielkim podziwieniem, z większem zasmuceniem powróciliśmy oznajmując, żeśmy nic nie odkryli. Stosownie do rady naszego przewodnika, wyprawiliśmy oddział na rozpoznanie źródeł rzeki. Szedł on przez dziesięć lub dwanaście mil, nic nie znajdując; lecz nareście napadł na miejsce, gdzie na pierwszy rzut oka zdawało się, że złoto było w obfitości nie tylko w piasku rzeczonym, ale i w rospadlinach skał. Sprowadziliśmy tam nasz obóz, i nie mając nadziei na żadną pomoc ze strony ludzi, a polegając tylko na sobie samych, pierwszą naszą myślą było zapewnić żywność i bezpieczeństwo. Bredlej, Dżon Wajt i Choze będą polować; Malkolm, Lakos i Makfajl od jutra rozpoczną ro-

botę *kradli*; dopomagać im będzie stolarz, który też zajmie się zbudowaniem szopy, mogącej pomieścić nas wszystkich i otoczonej rodzajem fortyfikacji z ostrokołu, aby zabezpieczyć konie od napadu Indjan. Ta budowla może zajmie nam tydzień czasu. Strzelcom naszym powiodło się dzisiaj, upolowali dwóch pięknych danieli. Dżou złowił na sidła ze dwanaście przepiórek; obiad był wyborny!

«*Niedziela, 6 Sierpnia.* Czułem się w zupełnym moralnym upadku, w ciągu kilku dni ostatnich. Myśli moje mimowolnie zwróciły się ku ziemi rodzinnej, i niepokonana tęsknota mię oparowała. Zauważali to moi spółtowarzysze. Dzisiejszego wieczora kiedy wszyscy spać poszli, dobytek tekę z walizy i zacząłem pisać przy świetle ognia rozłożonego przed namiotem.

—«*No puede vm. dormir?* (Nie możesz więc spać?) rzekł do mnie Don Ludwik.

«*No, senor,* (nie, odpowiedziałem), *pienso a la vieja Inglaterra, a mio hermano, y a mis amigos,* (myślę o starej Anglii, o moim bracie, o moich przyjaciółach).

—«*Por ventura a una amiguita!* (może o miłej przyjaciółce?)

—«*Es posible, senor;* (być może). Uśmiechnąłem się smutnie i wziętem się znowu za pióro.

«Osiedliśmy tedy nad rzeką Bobrową, i dotąd nie odkryliśmy śladu stworzenia ludzkiego. Nasze *kradle* i szopa są ukończone. Przybudowaliśmy rodzaj uchrony z desek, która służy za kuchnię. Ostrokoły, chociaż po prostu wyrąbane, bronią nasze konie od pościgów indyjskich złodziei. Skończywszy budowanie wzięliśmy się do złota i byliśmy dość szczęśliwi.

«*Sierpnia 8.* Zgodziliśmy naszego starego przyjaciela przewodnika za 15 dolarów na tydzień i dwie porcje wódki w dzień. Poluje dla nas, nie biorąc udziału w wykopanej zdobyczy. Musi szczerze gardzić dollarami, kiedy więcej od nas nie żądał. A więc człowiek, który całe życie spędził w pustyniach, który niema innych potrzeb nad te, które może zadowolnić strzelbą, może czuć pewien rodzaj wzgardy dla tego, nad czem się my unosim! Jeżeli jest głodny, kula w łeb łosiowi, lub bawołowi, zaopatruje go na długo w żywność! Jeżeli chce pić, woda przezroczystych potoków uspokaja jego pragnienie. Skóra niedźwiedzia, dzikiego byka, danjela, daje mu odzież ochraniającą go od chłódów nocnych, a wiązka skór bobrowych dostarcza mu na cały rok nabożów! Na cóż mu złoto? Na cóżby miał o nie dbać tyle?»

«Wczora pod czas obiadu gromada Indjan oddała nam wizytę. Nie mieli nieprzyjacielskich zamiarów, przyjęliśmy więc ich grzecz-

nie i udarowaliśmy każdego po szmacie płótna. Spędzili resztę dnia z nami, lecz w nocy jeden po drugim zniknęli, nie jednak nie zrobiwszy złego. Kilku pozostałych ofiarowało nam swoje usługi; smutny stan zapasów, zmusił nas im odmówić.

«*Sierpnia 13.* Naszym strzelcóm dobrze się powiodło. Mamy dostatek łośiny, którą chcemy suszyć po indyjsku. Nasi goście Indjanie pobywszy z nami dni parę, podczas których zmusiliśmy ich nocować pod naszymi namiotami, aby ich mieć na oku, znikli w noc piątkową, tak że ich nie postrzegły nasze pikiety. Nic nie skradli prócz dwóch kotder, któreśmy im pożyczyci, i które może zapomnieli nam oddać.»

«*Niedziela, 20 Sierpnia.* Przeszły tydzień był pełen wypadków. W Piątek, kiedyśmy rozproszeni brodzili po wąwozach, oddzielających nas od gór Sierra-Newada, znaleźliśmy w rospadlinie skały macińce daleko większej objętości, niż zdarzało się dotąd. Zachęceni do przetrząśnienia całego wywozu, wkrótce postrzegliśmy, że złota tam jest daleko obficie, niż w miejscu gdzieśmy nasz obóz rozbili: przytém złoto tu mogło być dobywane z daleko mniejszym trudem. Praca przemywania tu ustaje, gdyż prawie wszystkich kruszec jest w bryłkach. Postanowiliśmy nazajutrz rano przenieść tam nasze instrumenta. Było tylko niedogodnie, żeśmy się oddalili od naszego mieszkania blisko na pół mili,»

«Wczora więc po śniadaniu, gdy Bredlej, Lakos, Makfail i nasz stary przewodnik udali się na polowanie, a Choze i Adwokat strzegli naszego namiotu, my z nową maszyną nabraliśmy w kilka godzin tyle złota, ile się nam dotąd przez kilka dni zebrać nie udawało. Mielśmy powracać, gdy Dowling, który był w głębi wąwozu, usłyszał w pobliżu szelest w zaroślach; obejmując się postrzegł Indjanina pełzającego po ziemi, który jak skoro został postrzeżony, wypuścił strzałę, lecz ta chybiając, obraziła tylko zlekka ucho Dowlinga. Wydawszy krzyk przeraźliwy, dziki drugą dobywając strzałę z koleczana zaczął biegać tam i sam; lecz pośliznąwszy się upadł i nim powstał, odebrał motyką raz w głowę tak silny, że skonał natychmiast.

«W teje chwili usłyszeliśmy w kierunku naszego mieszkania wystrzał, który połączone z okropnym krzykiem Indjanina, przeraził nas wszystkich. Każdy rzucił się do strzelby, tymczasem Dowling łącząc się z nami opowiedział co się stało. Jednakże naokoło było cicho, i ja wstąpiłem na wzgórze aby obejrzeć okolicę. Nagle ujrzałem kupę Indjan bieżącą ku nam w całym pędzie koni. Wróciłem do towarzyszów, i wszyscy schroniliśmy

się w rozpadlinę ziemi otoczoną drzewami, z mocnym postanowieniem bronienia się do upadłego.

«Była to chwila straszliwa! Słyszeliśmy tętent koni lecących na nas, lecz ich widzieć nie mogliśmy. Wyznaję że drżałem całym ciałem, lecz to nie było z bojaźni, chociaż myślałem że wszystkim nam czaszki będą ze skóry odarte. Była to raczej niespodzianość niebezpieczeństwa, która sprawiła we mnie tak silne wzruszenie; lecz w chwili kiedy wyrzucałem sobie brak mężstwa, okropny krzyk rozległ się w powietrzu o kilka kroków, i postrzeegliśmy ukazujących się czterdziestu lub pięćdziesięciu jeźdźców Indyjskich. Wszystkie moje nerwy stężyły jak przez wstrząśnienie elektryczne, i gdy grad strzał upadł pomiędzy nami, najpierwszy odpowiedziałem wystrzałem, który zważył z konia na przedzie lecącego jeźdźca. Nabijałem strzelbę, gdy wystrzały moich towarzyszy niósły śmierć pośród Indjan. Wierzby zastraniały nas od strzał nieprzyjacielskich i często je wstrzymywały. Po wtórny wystrzał nastąpił zaraz po pierwszym, i jak tylko rozszedł się dym, postrzegłem żeśmy zadali klęskę Indjanom, którzy zabierali z sobą ranionych towarzyszy. Wtedy wziąłem na cel starca, który zeskoczył z konia. Dotknąłem palcem do cyngla, i



już miałem wypalić, gdy nagle wstrzymała mię zimna jego odwaga, z jaką— pomimo że widział iż brałem go na cel,— zbliżył się do nas; podjął ranionego w udo towarzysza na plecy, posadził go na konia, sam wgrabał się na siodło i popędził w galop. Wszakże byłem najmocniej przekonany, że gdyby przeciwny los bitwy nas spotkał, żaden z nich nie uczyniłby coś podobnego; lecz nie mogłem strzelać do starego wodza, i pozwoliłem mu unieść ranionego przyjaciela, brata lub syna!

«W kilka minut pole było puste; jako ślad bitwy leżało trzech Indian, rozciągnionych w krwi własnej; dwa lub trzy łuki, puste koleczany, pióra, *tomahawki* *), leżały rozrzucone po ziemi. Po jednym wchodziliśmy na wzgórze z którego wskazałem przybliżanie się nieprzyjaciół; widząc że się puścili galopem w stronę przeciwną od naszego obczu, ruszyliśmy tam będąc przekonani, że znajdziemy pomordowanych naszych towarzyszy. Dzięki Bogu, nic się im złego nie stało, Indianie nie byli w obozie. Tylko Story dał był ognia dla ostrzeżenia nas; a zaś Choze walecznie schował się po uszy w bagnie.

«Opatrzywszy lekką ranę Dowlinga i jeszcze lżejszą Don Ludwika, zadraśniętego strzałą w rękę, zaczęliśmy mocno niespokoić się o los towarzyszy, którzy rankiem wyszli na polowanie. Przeszedł tak dzień cały i nic niezapowiadało powrotu. Ku wieczorowi strzeliliśmy kilkakrotnie na wiatr, dla ostrzeżenia o niebezpieczeństwie, które podług wszelkiego podobieństwa mogłoby ich spotkać, i zarazem aby dać poznać Indianóm, że jesteśmy na straży. Postanowiliśmy czuwać wszyscy aż do powrotu naszych przyjaciół,— być gotowymi na wszelkie niebezpieczeństwo, gdyż sądziliśmy że Indianie nie oddalą się od naszego siedliska, mając zamiar napaść na nas znienacka. Znużeni wręście trudem i wrażeniami dnia, posnęliśmy wszyscy jeden po drugim, w około rozłożonego ogniska.»

*) Kto czytał *Mohikana*, przypomni sobie *tomahawki*, czyli rodzaj maczugi drewnianej u Indian.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORRESPONDENCJA GOSPODARSKA.

O GŁĘBOKOŚCI USIEWÓW.

(z Listu).



YTANIE zadane mi przez Pana, *jak głęboko ma leżeć w ziemi usiew ziaren zbożowych?*” dotąd nie jest rozwiązane w nauce wiejskiego gospodarstwa sposobem teoretycznym, radykalnym. Jest jedno prawidło, na niczem zresztą nie oparte, że im większego bywa rozmiaru ziarno, tem głębiej powinno być ukryte w ziemi, i przeciwnie; wszakże niedokładność tego prawidła jest widoczną, chociaż ono powtarzało się i powtarza dotąd przez wszystkich wiadomych nam pisarzy o agronomji.

Cała teoria gospodarstwa wiejskiego powinna być uzasadniona na prawach przyrody, o których się dowiadujemy ze zjawisk i czynionych doświadczeń. Jeżeli postrzeżenia są wiernie zrobione, i prawa, na zasadzie których zjawiska objawiają się, są w zupełności odgadnione i pojęte, to i teoria wiejskiego gospodarstwa, uzasadniona na tych prawach, będzie pewną i niezmienną jak jest sama natura.

Człowiek obrawszy za przedmiot swych badań istoty ożywione, organiczne, powinien śledzić prawa ich życia, aby w urzeczywistnieniu swych badań nie zrobić jakiego zboczenia; w przeciwnym razie, każde uchybienie, każde zboczenie od praw natury, poprowadzi do błędu, i nie ujdzie bezkarnie *).

*) En nous écartant des lois de la nature, nous rencontrons les maux.
Bernardin de S. Pierre, dans ses *Etudes de la Nature*.

Przeto, jeżeli dla rozwiązania pytania o głębokości usiewów, zwróciemy się do natury i będziemy się przypatrywać, jak ona sieje, to obaczym, że natura sieje na powierzchni, że jej siewcami przedewszystkiem są wiatry, a potem ptastwo. Zwierzęta innych klass mało w tém przyjmują udziału i rzecz godna uwagi, że ptak, im większą ilość ziaren znajduje na jednym miejscu, tém z większą energią zaczyna je rozrzucać na wszystkie strony swym dziobem albo nogami, albo jedném i drugim zarazem, niby umyślnie chcąc rozrzuć ziarna na jak największą przestrzeń ziemi. Ptaki karmiące się jagodami, też rozsiewają ich ziarna. Jakże wielką ilość zjadają codziennie jemiołuszka, drozd, orzechówka i inne,—jarzębinowych, jałkowcowych, głogowych, i innych jagód; ziarna zawierające się w tych jagodach, mają powiększej części twardą, do rogu podobną plewę je otaczającą, która ochrania jądro od szkodliwych nań wpływów, i nawet od trawiącego processu żołądka. Jagoda, to jest, jej mięsistość, posługuje ptakowi za materiał karmu, a ziarna w niej będące zostają bez uszkodzenia, i następnie także są rozsiewane przez ptastwo. Prócz tego, niektóre rośliny mają tak urządzone owocowe kryjówki, że jak skoro ziarna dojdą do swój dojrzałości, to kryjówki pękają i zawierające się w nich ziarna silnie wyskakują w różne strony, jak np. wiele gatunków stręczowatych roślin, balsaminy i t. d.

Deszcze, tające śniegi, włóczące się zwierzęta, wbijają do ziemi ziarna rozsiane przez naturę, a czasem i wiatry przykryją je lekką warstwą ziemi; oto— na czym kończy się cały process usiewu naturalnego.

Rozumie się, że w takim zdarzeniu wielka ilość ziaren pozostaje bez wzrostu; lecz dla przyrody wszystko jedno, czy ziarno dostanie się do żołądka na pokarm jakiego zwierza, czy wyda podobną sobie roślinę, czy wreszcie zamieni się w czarnoziem i samo stanie się materiałem karmu dla innej rośliny; cel natury—płodzić, tworzyć— bez różnicy; w jej obszerném gospodarstwie, tyle jej idzie o udzielenie pokarmu ogromnemu zwierzęciu, co i lichemu owadowi i najlichszej roślince. Zład w naturze nic nie marnotrawi się, ona tworzy dla wszystkich, a człowiek przedewszystkiem dla siebie; przeto człowiek stara się użyć jak najmniej ziaren dla usiewu, a zebrać jak najwięcej do swych spichlerzów. Dla tego oczyszcza całą przestrzeń ziemi od dziko-rosnących roślin, aby ją użyć pod usiew wybranych przezeń roślin, daje im wolne miejsce, i prócz tego uprawą upulchniając ziemię, ułatwia im rozkrzewienie się; a żeby posiane ziarna ocalić o ile możności od wyklucia przez ptastwo, człowiek za pomocą bronowania przy-

krywa je dość głęboką warstwą ziemi; w tej ostatniej czynności, właśnie uchyla się znacznie od praw natury. Ale o tém później.

Dopiero należy rozważyć stosunek samych roślin do powierzchniowego usiewu, któryśmy zauważali w naturze, i dla tego zwróciemy uwagę na życie rośliny, i jego fenomenalność. Żywotny process rośliny jest ciągłym galwanizmem, a sama roślina— żywym galwanicznym łańcuchem. Oto co nam odkrywa i do czego doprowadza nas obserwacja, oświecona nauką. Dodatni biegun tego łańcucha— część po nad ziemią będąca— łodyga, liście i t. d. Ujemny— część pod ziemią będąca— korzeń; miejsce, od którego zaczyna się ten podział— punkt nieoznaczony, zawiązek, węzeł życia, naznacza się sam sobą u powierzchni ziemi. Ztąd łatwo pojąć, że i ziarno w początku swego roślinienia,— aby mające nastąpić rozwicie życia rośliny odbywało się normalnie,— powinno znajdować się niedaleko od powierzchni ziemi. Tu ono zaczyna zapuszczać do ziemi swój rostek, i wystrzelać nad powierzchnię swój kiełek, z którego z czasem powstaje łodyga. W przeciwnym razie, jeżeli ziarno będzie zagłębione do ziemi na cal, a nawet na trzecią część cala, to normalne położenie rośliny musi zmienić się koniecznie: części łodygi,— której przeznaczeniem od natury jest być pod wpływem światła i powietrza i w ogóle całej atmosfery,— pogrążona w ziemię, zostanie pozbawioną tego wpływu, a przeto i proces roślinienia będzie się odbywać nie normalnie, roślina nie osiągnie tego rozwicia, jakie mu przeznaczyła natura, będzie słabszą, i sam owoc jej wiele straci na ilości i przymiarze, w porównaniu z tém— jakimby mógł być przy normalnym położeniu wszystkich części rośliny.

W roślinach wieloletnich drzewiastych sama natura dąży do poprawienia w tém znaczeniu omyłki człowieka: zdarza się że w czasie przesadzania, osobliwie drzew owocowych— jabłoni, grusz i t. d. ze szkótek i rozsadników na przeznaczone im miejsca, sadzają je głębiej, niż były uprzednio, to jest, życiowy zawiązek który, jakeśmy wyżej powiedzieli, powinien znajdować się przy samej powierzchni, zagłębiają w ziemię na trzy cale, a czasami i więcej; wtedy natura aby go znowu przenieść na swoje miejsce, wyraszcza nowe korzenie z części łodygi zakopanęj w ziemi i w miarę tego, jak nowa wiecha korzeni rozrasta się, stara słabnie, i wreszcie całkiem zamiera; drzewo, póki natura nie naprawi zupełnie omyłki człowieka, rzecz naturalna, że znajduje się w chorobliwym stanie, trwającym lat kilka, przez przeciąg kilku zwrótów roślinnego processu. Lecz to bywa nie zawsze; powiększėj części drze-

wa głęboko siedzące w ziemi, giną albo w pierwszym roku przesadzenia, albo po upływie lat kilku, stopniowie kawęcząc, wreszcie zamierają.

Natura przeto sieje powierzchownie— dowiodła nam tego obserwacja; teoria odkryła nam prawo na zasadzie którego odbywa się to działanie przyrody. Teraz, aby się przekonać o wierności obserwacji i słuszności teorii, należy udać się do doświadczenia, dla potwierdzenia jednego i drugiego. Wiele lat temu nazad, niejaki Lardie (*Lardier*), przez ciąg większej części swego długoletniego życia, zatrudniał się robieniem doświadczeń nad usiewem rozmaitych ziaren; ostateczny rezultat tych doświadczeń był, że tylko te ziarna dawały najsilniejsze i najobfitsze w owoce rośliny, które zaledwo były przykryte ziemią.

Dopiero obaczmy dla czego większa część rolników przy swych usiewach, nie idzie za wskazaniem ani natury, ani doświadczenia? Bez wątpienia z powodu kompletnego niepojmowania, głęboko zabronowując a niekiedy nawet zaorując, oni sądzą: 1-mo, uchronić ziarna od napaści płastwa, po 2-re, od wydmuchu wiatrów; po 3-cie, aby na przypadek suszy wraz po zasiewie, ubezpieczyć ziarno zaczynające swoje roszczenie od szkodliwego wpływu; po 4-te, mniemają, że ozime usiewy przez głębsze zaoranie wybawią od mrozu, i nareście po 5-te, przykrywając ziarno głęboką warstwą ziemi, wyobrażają sobie że ochronią je od wpływu światła, gdyż ciemność uważają za konieczny warunek roślnienia.

Rozbierzmy osobno słuszność każdego z tych przypuszczeń. 1) Zabronowywanie ziarn rzeczywiście ocala je w pewnym stopniu od napaści płastwa i 2) od wydmuchu wiatrów; ale w zamian tego wiele ziarn pozostaje bez wschodu, zapadłszy głęboko do ziemi. Rozumie się samo z siebie, że zabronowywanie niektórych ziarn przy usiewie jest koniecznym; ale powinno być najlżejsze, najpowierzchniwsze. O tym będzie się mówiło poszczegółowie. 3) Przypuszczenie, że pokrywając ziarno głęboką warstwą ziemi, ocalamy je od szkodliwego wpływu suszy, będzie niesłusznym nawet i dla tego, że np. przedłużony upał wysusza ziemię na trzy, cztery cale i więcej, przeto ziarno nie może być ocalone zabronowywaniem od jego wpływu. Jeżeli ziarno zapadnie do wyżej wskazanej głębokości, to samo z siebie rozumie się, że nigdy nie wejdzie; przeciwnie, znajdując się blisko od powierzchni ziemi, będzie daleko mniej cierpieć od suszy, gdyż nie zostanie pozbawione dobroczynnych ros i w ogólności atmosferycznej wilgoci, która skupia się i osiada na ziemnej powierzchni; 4) że ozime usiewy głę-

bokiem zaorywaniem i zabronowywaniem mniemają ochronię od wymrozów, w tém też jest błąd. U nas w zimie, szczególnieź na Litwie, ziemia zamarza na łokieć, a przeto, jeżeliby warstwa ziemi przykrywała na kilka cali ziarna, to i wtedy usiew nie byłby ochroniony od mniemanego wymarznienia,— mniemanego powiadam, dla tego że nasze usiewy ozime a osobliwie żytnie, nigdy nie wymarzają, a jeżeli giną w czasie zim bezśnieźnych, to od suszy zdarzającej się i w czasie zimy, a szczególnieź giną oziminy, jeżeli przy wielkich mrozach zdarzają się silne wiatry; jeżeli zaś od początku zimy do nastania silnych mrozów, ozime pola będą pokryte śnieżną warstwą choćby na pół cala, to szczęśliwie wytrzymają najtęższą zimę. 5) Nakoniec, przykrywając ziarno mniej więcej grubą warstwą ziemi, zdaje się im że ocalają je od wpływu światła, sądząc że ciemność jest jednym z koniecznych warunków wegetacji roślinnej, gdy tymczasem dowiedziono najdokładnieź, że ziarna równie prędko wschodzą na słońcu, jako i w cieniu *).

Dowiodłszy wyższość powierzchniowego usiewu nad upowszechnionym zwyczajnie, opiszę jak się odbywa usiew w mojem własnym gospodarstwie. Nie sieję żadnego zboża wprost na zaoranej ziemi, lecz po zaoraniu sochą, mam zwyczaj kazać przejść ją kilkakrotnie broną, potém zasiewają, bronują ostatecznie i nareście zagładzają nie nader ciężką drewnianą *kaczalnią* czyli *wałkiem* **). Przyciśnione takim wałkiem usiewy wschodzą trzema albo czterma dniami ranięj od nieprzyciśnionych, i przytém wschód bywa daleko równiejszy, co jest rzeczą nader ważną przy usiewie jarzyn, dla tego, że w takim razie czas zbioru z pola staje się więcej pewnym, a przeto mniej bywa szkody w stracie ziarna od przestania się na polu, co pochodzi w części ztąd, że nasze jarzyny miewają niekiedy po dwa wschody. Czekając ze zbiorem z pola, póki nie dojrzeje owies albo jęczmień powtórnego wschodu, wcześnięj obeszełte zboże jarzynne dochodzi do przestania się. Ugniatanie ziemi prócz tego jest nie tylko pożyteczne ale i konieczne, osobliwie w takim razie, kiedy nie żną, a koszą zbo-

*) Nowy system Fizjologii Roślinnej, p. Meyen'a, w Berlinie, 1838.

**) *Kaczalnia* czyli *wałek*, narzędzie o ile użyteczne, o tyle i niebezpieczne: trzeba zachowywać wielką ostrożność przy jego użyciu, osobliwie na gruntach gliniastych i ilowatych. Przyglądzone taką maszyną pole wraz po deszczu, może się pokryć skorupą, przez którą trudno będzie przebijać się wschodowi roślin. W tym to jest źródło częstych narzekan na *kaczalnię*.

że. Takim sposobem zasiewam u siebie żyto, owies, jęczmień, grykę i groch; co się zaś dotycze innych drobnych roślin, jak koniczyzny, polnej mанны i im podobnych, usiew ich jest (to już moje własne nowatorstwo) zupełnie powierzchowny, najczęściej zaraz po pierwszej poroszy, albo póki przynajmniej śnieg niegłęboki, aby usiewacz mógł chodzić po śniegu. Ten usiew pozostaje nie tylko niezabronowanym, ale nawet niezagładzonym. Postępując tak z tuczniemi roślinami, wyłączaając groszek karmny, byłem zawsze zadowolony równem ich obejściem i śpiesznym wzrostem...

* * *

Obywatel - Ziemiianin.



O w y n a l a z k u

P. Wielkopolskiego.

W jednym z następnych zeszytów *Pamiętnika*, udzielimy ciekawej wiadomości pod względem gospodarsko-przemysłowem o nader ważnem odkryciu, uczynionem p. *P. Wielkopolskiego*, w sposobie *łatwego i korzystnego wyrabiania włókna roślin przędzalnych*. Uważamy za powinność zwrócić uwagę naszego Obywatelstwa na ten sposób, mogący przynieść nić obrachowane korzyście w stronach, gdzie się te rośliny w obfitości rodzą i wyrabiają.

P. Wielkopolski posiada sekret tego sposobu, który przede wszystkim będąc ręcznym i zastosowanym do wiejskiego domowego gospodarstwa, może się stać fabrycznym przez zastosowanie do maszyn. Sposób ten był rozpatrywany i stwierdzony licznemi doświadczeniami przez umyślnie wyznaczone rządowe komissje, i podany dla upowszechnienia go pomiędzy klasą rolniczą, z zachowaniem praw przywilejowych wynalazcy.

Zachowując sobie nadal udzielenie obszerniejszej wiadomości o tym przedmiocie, tu ograniczamy się tylko wypisem ze sprawozdania sekretnej Komissji, a w r. 1846 rozpatrującej ten sposób w obecności dwóch członków: z uczonego komitetu Ministerstwa Dóbr Państwa, oraz Wolnego Ekonomicznego Towarzystwa.

Komissja zwracając uwagę na byt włościanina-rolnika, dla którego wyłącznie przeznaczony jest sposób P. Wielkopolskiego, zrobiła następny wniosek.

«1) Sposób przedstawiony przez P. Wielkopolskiego, ulepszenia, płoskoń i konopie w nader znacznym stopniu, bez straty włókna, bez ujęcia długości, bez wielkiej pracy i czasu, nie narażając na wydatki i nie wymagając wyłącznej umiejętności, a przeto podnosząc cenę przedzalnego materiału, przedstawia rzeczywiste i niewątpliwe korzyście względnie do sposobów dotąd w gospodarstwie wiejskiem używanych, i z tego powodu zasługuje na ogólne podtrzymanie i upowszechnienie.

2)

3) Sposób ten może być łatwo zaprowadzonym w klasie rolniczej wzięwszy to na uwagę, że z powodu niewielkiej ilości materiału, używanego przez nich dla domowych swych potrzeb, dostatecznym będzie jedno narzędzie (apparat) na kilka rodzin; przeto na kilku chatach zawsze znajdzie się izba zapaśna, w której narzędzie może się mieścić, w pewnym przeciągu czasu, bez najmniejszego ścieśnienia mieszkańców.

Dodamy jeszcze, że podług jednogodnych zdań wszystkich, którzy robili sami doświadczenia, sposób ten okazał się nader prosty i łatwy.

HUMORYSTYKA.



KALEIDOSKOP

FAUSTYNA WSZEDOBYLSKIEGO.

O wszystkim, o wielu rzeczach i o niczym.

(Z notat podróżnych).

(Ciąg dalszy).



GRODNIĘ poznałem się z P. Dałmatowem, Kapitanem z Korpusu Lesnego w Peterzburgu, którego imię znane mi było w stolicy z nader dokładnej wiadomości o Zubrach, zamieszczonej w rosyjskim dzienniku *Illustracja*, oraz z wielkiej ryciny, przedstawiającej *Polowanie na Zubra w Puszczy Białowieskiej*, scenę— którą sam rysował z natury. Pan Dałmatów należy do rzędu ludzi najczynniejszych, jakich kiedykolwiek znałem w życiu mojem; umysł jego, ani chwili nie może zostawać w spoczynku; zadziwia różnostronność jego zajęć, chociaż te zawsze mają związek z głównym kierunkiem, jaki poczerpnął ze swego elementarnego usposobienia w Instytucie. Oto są niektóre tylko jego prace o których mi się spamiętać udało, dotąd w rękopisach spoczywające, bo skromność tego człowieka i małe o sobie przekonanie, wstrzymywały go dotąd od ogłaszania ich drukiem: *Opisanie gubernji Grodzieńskiej pod względem statystycznym, gospodarskim, handlowym i przemysłowym*, z opisem puszczy Grodzieńskiej; *Opis Białostockiego Obwodu*; *Historja Zubra*, z której

wstępu *Parę słów o historyczności Białowieżskiej puszczy* udzielił Wydawcy *Pamiętnika Naukowo-Literackiego*; rozprawa o *możliwości utaskawienia Zubra*, którą przestał do Londynu razem z parą zubrów przez Najjaśniejszego Cesarza darowanych Królowej Angielskiej; była ona drukowaną w formie popularnej w dziennikach angielskich, a w całości w uczonych Biuletynach Akademii Londyńskiej, która go w imieniu całego Uczonego Towarzystwa Zoologicznego Londyńskiego zaszczyliła *medalem złotym*. Czytałem list Prezydenta tegoż Towarz. P. *Richarda Murczyssona (Murchisson)* do P. Dałmatowa, który w nader pochlebnych dla młodego uczonego wyrazach, oświadcza podziękowanie za chęć komunikowania się z tak odległej strony i wzajemnego użyczenia tak ważnych dla nauki wiadomości. To jednak nie przeszkadza aby jego imie wcale nie było w Roscji znane, zaledwo wspomniał o nim jeden dziennik, a nikt nie wie o tak zaszczytnej nagrodzie dla rosyjskiego uczonego.

P. Dałmatów jest nader miłym w obejściu się. W towarzystwie jego spędziłem dni parę, które mi nigdy nie wyjdą z pamięci. Znalazłem w nim gościnnego i miłego gospodarza. Jak skoro dowiedział się żem stanął w hotelu, zaraz nie czekając, kazał moje rzeczy przenieść do siebie. Był osobistym przyjacielem Kraszewskiego z którym w roku przeszłym, w czasie jego przejazdu przez Grodno z Druskienik zapoznał się; więc honor uczczenia spadł w części i na mnie, pokornego uprawiacza tejże samej gałęzi w winnicy pańskiej. Oddawna nienatrasilem na człowieka, z którymby rozmowa była tak pełną życia, myśli, różnaitości. Bystry jego umysł, bez wyższego filozoficznego ukształcenia, z dziwną szybkością do głębi przedmiotów przenikał. Każdy rzut jego myśli wskazywał wysokie przyrodzone zdolności, wcale nie przydławione przynuką scholastyczną: w każdym rysie widać było człowieka, co w samotnych rozmowach z naturą na puszczy, przywykł zagłębiać się w jej tajemnice. Widoki jego oryginalne, pod żadne formuły pospolitego rozumowania nie podprowadzone, z zadziwiającą żartkością umysłu odkrywały zamiary przyrodzenia. Żaden interes nim nie powoduje; pracuje, bo sądzi, że praca jego może rozwiązać niektóre wątpliwe kwestje nauki, bo praca jest dlań najprzyjemniejszym zatrudnieniem życia. Serce jego głęboko zranione... oddawna nie znajduje przyjemności w towarzyskich zabawach. Przed sześcią laty jadąc dla objęcia obowiązku w Białowieżskiej puszczy, w drodze stracił żonę... odtąd jedyne pozostałe dziecię, poetyczny wizerunek swjej matki, wszystkie jego uczucia skierowało ku sobie... Nowy go raz uderzył... nagle został przeniesiony do

Permu,— musiał się rozstać z oddawna zaprowadzonym porządkiem, spakować wszystko do powozu i za kilka dni ruszać o kilka tysięcy wiorst! Z pełną energii męskiej rezygnacją mówił mi, że przed nim dopiero nowa olbrzymia natura odkryje nowe, świeże widoki dla badania... że wszędzie i zawsze człowiek może, jeżeli chce, być użytecznym dla ludzkości... Wypisałem się tu o nim z całą szczerością duszy mojej, bo we mnie głęboki szacunek i spótcucie obudził ten człowiek, ten brat-słowianin po nauce i uczuciach, bo nieoglądałem się pisząc na drobiazgowo sądy ludzi, którzy pół słówkiem wyrok o człowieku dają... bo rozstałem się z nim jako ze starym przyjacielem i to może już na zawsze... gdyż pożegnałem go na trzy dni przed jego wyjazdem... I jakże o nim nie pisać?... P. Dałmatów odbiera medale od uczonych Towarzystw, od lat kilku pracuje nad przedmiotami tak zbliżona nas dotyczącymi i wyłącznie naszymi, (bo któryż kraj poszczycić się niemi może)? pisze historją tura Białowieżskiej puszczy, lasów litewskich, zbiera widoki miast naszych, zachowuje szczędy ruin w rysunku, a przecież kto go zna u nas lub słyszał o jego nazwisku?— Ale gdzie tam! u nas jest tyle ważniejszych zatrudnień (!!)

Znał go przecież P. Wolfgang, który jedyną wzmiankę uczynił o nim w ostatniem swém dziełku o Druskienikach. Miło jest oddać publicznie słusznosc zasłużonemu człowiekowi, jest to obowiązkiem uczciwego człowieka; podła tylko zawiść i znikczemniała mierność jako wąż przesmykająca się pomiędzy uczciwymi ludźmi, czołga się pod ich nogami, a kryjomo kąsa ich, i jad swój zapuszcza,— jad ów wszakże bezsilny, jak ich oszczercze głosy, a hańba z oszczerstwa spada na własne ich i tak już pohanbione głowy. Wzgarda im i zapomnienie, a tryumf uczciwej sławie!...

Między innemi osobliwościami, jak rogi turze, chociaż nie tak wielkie, jak ów, którym Wilold pił zdrowie Cesarza Zygmunta na zjeździe Łuckim, pokazywał mi P. Dałmatów szczędy zasuszone ogromnej wielkości grzyba, właściwego tylko Białowieżskiej puszczy i dotąd mało znanego od Naturalistów, a który należałoby nazwać *Mecenasem Grzybów*, gdyż jest ogromnego ciężaru i tak wielki, że jedna sztuka 40 chłopów mogłaby swojem cielskiem nakarmić; strażnicy i strzelcy gotują go z masłem i dodawszy soli, jedzą: w stanie naturalnym ma on kształt świnich uszu i rośnie jak gąbka w około starych pni sosnowych... Lud prosty nazywa go *Brodą* albo *Kozią-Brodą*, a w Botanice *Goździeniec* (*Alevaria Callabridas*), klasy 24, rzędu IV., rodzaju grzybów VI. Prócz tego, udzielił mi *trufli białowieżskich*, które zagranicznym w smaku nie ustępują, dość jednej trufli aby nadać wyraźny smak po-

trawie: doświadczyłem tego sam i wielu z moich znajomych, których gastronomiczne znajomości są wyższe od moich...

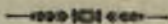
Jest w Grodnie jeszcze osoba, którą poznałem i która wywiera pewien wpływ na ruch umysłowy, ale której nazwiska wymienić jej skromność nie pozwala... osoba ta podtrzymywała wydanie *Ontyny*, udzielała artykułów do pism Warszawskich, a kiedyś nawet i do *Tygodnika*. Dopiero zdaje się, że ograniczyła się do niewidzialnego podtrzymywania autorów i ich pism więcej przemawiających do jej serca. Piękną jest taka cicha cnota, która samej sobie jest nagrodą... Jest to też jedyna w tym mieście figura, o której nazwisku uprzednio wiedziałem. Jak na urzędnika, to wcale jest oznajomiony z chodem literatury naszej... co zapewna i dla podwładnych jest przyjemniej i korzystniej...

Po trzech dniach pobytu, w piękny poranek Wrześniowy, przez miejsca usiane pomnikami Tyzenhauza, przez rokosznie zazieleniałe przedmieście *Rokoszna*, z konusowemi domkami niegdyś majstrów niemieckich, — ze smutkiem opuszczałem to miasto, które tylko wspomnieniami, szczędami lub rozwalinami o dawniej świetności świadczyło: oto pałac Druckich-Lubeckich, oto dom w którym Gliński Zabrzezińskiego zamordował, oto — gdzie Król Polski mieszkał, a oto pałac Ks. Czertwietyńskich, gdzie uczony Żylibert nauki wykładał... Żylibert, który tyle przyczynił oświaty tej stronie przez wpływ na młodzież chciwą nauki, który za dyssekcją trupa był od pospólstwa na ulicy urągowskiem i kamieniami spotkany!... Oto był wiek!... Oto nareście brama, przez którą wjeżdżał jako tryumfator, luminarz, dobroczyńca ludzkości, ten sam wielki Podskarbi, czczony i uwielbiany, który w lat kilkanaście później zhańbiony, sponiewierany i odarty, przez też samą Dramę wyszedł w łachmanach o kiju żebraczym. Nagły ten upadek pozostaje dotąd nie wyjaśnionym; przynajmniej przyczyną onego nikt mi dokładnie wytłumaczyć nie umiał... Dość, że długo jeszcze mieszkał w Pirmoncie pod Wilnem ubogi Książdz Pijar, który mu dawał przytułek w szczupłej komnatce u siebie, i dostawszy sam kurę pieczoną od wiernej duszeczki z owczarni swojej, w kieszeni obwinętą w papierze, Antoniemu Tyzenhauzowi przynosił!...

To dało mi tyle wątku do dum, żem zapomniał zupełnie o poczciwym szlacheicu, który gorliwie swych parę szłapaków poganiał. Był on dla mnie drogiem *nabyciem!* Bo proszę wyobrazić sobie, że jadąc na *najętych*, gdyż poczła po tych drogach nie chodzi, — rozum stracić trzeba chcąc przed *szabasem* wyjechać. Doznałem pierwszy raz tego w sławnym mieście żydowskiem *Mereczu*; przybywszy na koniach obywatelskich i chcąc je nazad od-

prawić, w *szabas* ani katolika, ani żyda znaleźć było niepodobna; ani jechać, ani siedzieć, bo niczego kupić, ani dostać nie można; miasto jak gdyby zapowietrzzone; zaledwo na drugiej stronie *Mereczanki* znalazłem także szlachcica, który mię jak wiatr zaniosł do Druskienik, na wielki wstyd ludzi chełpiących się niejakim wpływem w Mereczu, których niedołężność wydała się w tej przygodzie... a nawet ów *Pan z trąbą*, co to jeździ po drogach starościńskich, i z którym się tam znowu spotkałem, nie mi doradzić nie mógł— że przekonałem się nareście kompletnie, iż jego *trąba* była raczej śmiesznym odgłosem jego próżności, nie zaś możności... Tak i w Grodnie, po długich korowodach z żydkami, o czém przyszedłemu turyście w guście waszego pokornego sługi, dla nauczki wiedzieć nie zawadzi, aż na dziedzińcu Dominikańskim wpadłem na szlachcica z parą koni i bryczką, powracającego do Lidy. Odwiedził on swego brata *Szafarza*, z którym żadnym sposobem bez *szafarskiego śniadania* rozstać się nie chciał, pomimo że nagletem go o pośpiech, a teraz wioził mię przez *Jeziory*, do domu mego krewnego, do *Bratomierza* pod Lidą. Mój szlachcic był z lidzkiej drobniejszej szlachty i nazywał się *Bołtuciem*, a jak skoro dowiedziałem się o jego godności, to zaraz chciałem wiedzieć o jego parenteli, splendorze i klejnocie herbowym: spytałem więc: *«kto go rodzi, i jakim się herbem pieczętuje?»*— Na to ostatnie nie umiał mi odpowiedzieć, ale sądząc z miny i giestów, wniosłem żartując, czy nie jest tylko *Slepowronem*? Tak było rzeczywiście! z opisanja ptaka w polu błękitnym z pierścieniem u dzioba, nie było wątpliwości o jego *Slepowronstwie*. Był to osobliwszy w swoim rodzaju oryginał. Jak drab jaki, wysokiego rostu, z nader poważną fizjognomją, kiedy się śmiał, to fałd żaden ani grymas nie uprzedzał o uśmiechu, a tylko chychot głośny zapowiadał że rozradował się duch jego: mówił niezmiernie dosadnie, z przyciskiem nad każdym słowem,— zwyczaj naszej okolicznej szlachty,— co nadawało pozor energii jego mowie; o wszystkim co mówił, zacinął zawsze z takiej ostateczności, iż nigdy w tym tonie dokończyć nie mógł. Miał pewne wyobrażenia i wiadomości, od których za nie odstąpić nie chciał. Wierzył np. P. Bołtuć, że córka jakiegoś Monarchy wyszła za mąż za Murzyńskiego Imperatora, i dla tego to Królowie Świata zgodzili się dać składkę, i oto dla czego miano wybierać po wsiach młode dziewczyny i chłopców, aby *zaprowadzić* lud biały w murzyńskiej ziemi!... Tego mu nikt z głowy wybić niepotrafił!

(Dalszy ciąg nastąpi).



KILKA SŁÓW

Z POWODU KANTATY MILDA ST. MONIUSZKI

Odegranęj w Wilnie i w Peterzburgu *).



W

N. 31 *Kurjera Wileńskiego* czytaliśmy skrócony wyciąg artykułu z *Północnej Pszczoty* o koncercie *Milda P. Stanisława Moniuszki*, danym przed parą tygodniami w Peterzburgu, w którym miłą dla naszej publiczności znajdujemy wiadomość, z jakim zapałem naszego muzycznego wieszcza powitał Peterzбург. Odsyłając czytelników do rzeczzonego wyciągu dodamy tylko z tejże *Pszczoty*, iż do najświetniejszego przyjęcia i zapału, do kilkakroć powtórnego wywołania kompozytora *Mildy* przed zachwyconą tą kompozycją publiczność, do licznych wieńców któremi go osypano, łączy się w *Północnej Pszczole* głos znawców przez samego *Berliozę* za najpięrszych w Europie uznanych, że taka kompozycja jak *Milda P. Moniuszki*, w Londynie, Paryżu i Wiedniu równie by znalazła powodzenie. Powtórzenie tego stołeczne go głosu znawców byłoby dostateczne dla oddania należnego ta-

*) Artykuł niniejszy był przeznaczony jako feilleton do *Kurjera Wileńskiego*, lecz gdy tam umieszczony nie został, drukujemy go tu uim w następnych zeszytach *Pamiętnika* umieścimy zapowiedziany obszerniejszy artykuł o *Mildzie* i w ogólności o pracach *Stanisława Moniuszki* przez autora tegoż feilletonu.

(Wyd.)

lentowi hołdu, a już może i zbyt wiele dla wybudzenia zeznania winy, że ta sama Milda, trzy razy tu w Wilnie odegrana, nie znalazła głosu któryby ją należycie w *Kurjerze* ocenił. Nie obwiniamy siebie przynajmniej o brak dobrych chęci i przebaczymy to sobie choćby w imię wielkiej prawdy słów Pisma: «a nie będzie Prooka w swoim mieście.»

Śród wspomnień o artystach Peterzburzskich exekwujących Mildę, umieszczamy z prawdziwą przyjemnością chlubną wzmiankę z Północnej Pszczoły o P. Bonoldim. Umieszczamy ją co do słowa: «Chociaż P. Bonoldi ma głos nie wielki, lecz on śpiewa przesłicznie i posiada doskonałą znajomość muzyki.» Dodamy jeszcze iż śpiew P. Bonoldi cechuje głębokie uczucie i żywe przejęcie się duchem śpiewu, co P. Bonoldi z prawdziwym talentem w inflexach głosu i modulacjach tonów wyraża. Wszystko to stawi P. Bonoldi w rzędzie pierwszych nauczycieli śpiewu. Tu się czujemy powołani do naszego obowiązku wypowiedzieć w imieniu naszej publiczności prawdziwą wdzięczność obójgu PP. Hecwiczom i P. Cyljaxowi, równie też i Pani Bonoldi, którzy z niezmordowanym zapałem i z najzupełniejszą bezinteresownością żywy brali udział we wszystkich muzycznych wieczorach i koncertach dawanych w Wilnie przez P. Moniuszkę, poświęcając jako diletanci swoje śpiewne talenta. Taki rodzaj bezinteresownej ofiary ze swojego czasu i talentu, jest pięknym dowodem charakteru, wyższego wykształcenia i wyższych potrzeb duszy.

Artykuł Północnej Pszczoły stawiając Mildę w rzędzie najpierwszych kompozycji, ogólnie tylko jej wartość ocenia. Obręb artykułu przeznaczonego do gazety nie dozwala nam także wypowiedzieć tu całej naszej myśli, zmuszeni więc jesteśmy zrobić tylko krótki rys z naszego obszerniejszego rozbioru dla obszerniejszego przeznaczonego pisma.

Wielka sympatja jaką Milda obudziła w Peterzburżu ma swoją zasadę nie tylko w wysokości artystycznego P. Moniuszki talentu lecz nadto w duchu samej kompozycji.

Milda jest kantatą mitologiczną z czasów przed chrześcijańskich Litwy. Zkądże tak żywe, tak pełne zapału dziś dla zamierzchłych czasów i myśli współczucie?— Tylko magja geniuszu umie wynaleść co absolutnie ludzkie— i śród dzielących, wieków i czasów przestrzeni, dopatrzeć tych tajemnych ogniw, które wiążą nie przerywany łańcuch historii ludzkiego ducha. Muzyka na swojej wysokości pojęta jest najuniwersalniejszym organem łączącym wnętrza piersi ludzkich. *C'est le ton qui fait la chanson*; wyszukanie tonu pieśni stanowi właśnie zbadanie jej ducha. Zrozumienie tonu

wszystkich ludów i zlanie ich w pieśń zgody i harmonji byłoby najwyższą muzykalną epopeą,— serdecznem dopełnieniem historycznego rozwinięcia się społeczeństw. W kompozycjach P. Moniuszki postrzegamy tę lilozoliczną twórczość podniesioną do ideału poezji. P. Moniuszko jest genialnym kompozytorem— to jemu i Pszczółka Północna przyznała. Treść i osnowę Mildy wypisać tu nie podobna, odsyłamy czytelników do osobno drukowanego *libretto*. Słowa są w części wzięte z Witoloraudy P. Kraszewskiego, w części dopełnione przez P. Chłopickiego. Strona techniczna kompozycji jest niedostatecznie, lecz ogólne ocenienie wartości bardzo dobrze, doskonale wypowiedziane w *Północnej Pszczole* *). My dodamy tu tylko jeszcze iż P. Moniuszko dokonał najwyższego Mistrzostwa sztuki w zbadaniu miejscowego ducha w podaniach i pieśniach zamkniętego, podnosząc sztukę do najżywotniejszego obrazowania wewnętrznych pulsów życia. Codziennie słyszane, oderwane tony, rozpierzchłe technienia wewnętrznego życia, w kompozycji P. Moniuszki zlewają się w muzykalną potęgę, której słuchając każda pierś uolbrzymia się sama w sobie. I nie bez podziwienia słyszy dawne osłuchane tony, w których dopiero dłoń mistrza wyuczyła poznać nieznaną dotąd ich piękność i czytać głębokie tajemnice ich ducha. Takie, słuchając Mildę, odbieraliśmy wrażenia i takieśmy na współstuchających widzieli.

Na tém tą razą musimy poprzestać.

Antoni Sowa.

Wilno.

*) Pozwoli jednak szanowny autor artykułu odwieść, iż takie nie jest przekonanie wydawcy niniejszego pisma: o ile mu, znającemu z bliższą okoliczności tej gazety, wiadomo, feljeton onaj nie odnosi się do muzykalnem znawstwem w stolicy: wiele tam jeszcze bardzo niedostaje do gruntownego ocenienia *Kantaty*. P. Moniuszko ma za sobą daleko wyższe autorytety: to jest, głos znawców w Stolicy i Publiczności, o których namienia feljeton, oraz głos samego autora powyższego artykułu, od którego spodziewamy się z wyższego stanowiska niż w *Pszczółce*, przyrzeczonego ocenienia. Wspominając *Pszczółkę* i *libretto* godziłoby się przypomnieć, że i w *Roczniku Literackim* na r. 1849 było wypowiedziane *słankie* takie zdanie o tym utworze i co do technicznej części kompozycji, czy nie dokładniej trochę od *Pszczółki Północnej*?...

(Redaktor).

ZESZYT **Czwarty** (pod pressą) i **Piąty** (przygotowany do druku) zawierać będą między innymi: *Graf Łoś*, poemat Puszkina;— *Gawędy Szlacheckie Władysława Syrokomli*; o *Kalendarzach przedstoletnich*, Autora *Obrazów Litewskich*:— *Spowiedź Salonowego Samojeda*;— *Panorama Salonów*;— o romansach *Dickens'a*;— *Wizjonarz*, ostatnia *święteczna powieść Dickens'a*;— o *znaczeniu kobiety w Ameryce Północnej*;— dokończenie *Przygod Człowieka, który sprzedał swój cień*;— dokończenie *Rzutu oka na dzieje Litwy*;— ciąg dalszy *Wspomnień Uniwersyteckich*;— ciąg dalszy *Kaleidoskopu Wszędobylskiego*;— dalsze *Wybryki wesotego humoru*; *Wiadomość o narodzie Węgrów i Madziarów*; o *Słowianach*;— artykuł z oddziału nauk poważnych;— tam się też rozpocznie *Mozajka Feljetonowa* i t. d.

Z wyjściem **Zeszytu 3-go** zamyka się prenumerata na pierwsze **Półrocze** i odtąd można będzie prenumerować tylko *rocznie*, to jest, na **sześć** Zeszytów.

Półroczni dotychczasowi prenumeratorowie chcący mieć to pismo na drugie *półrocze*, proszeni są o zgłoszenie się do Redakcji natychmiast po odebraniu **Zeszytu 2-go**, gdyż mała ilość exempl. nad *Listę* drukować się będzie.

Zeszyty 3-ci i 4-ty pod pressą.

Wyszedł z druku Tom IX pisma zbiorowego **Rubon**, wydawanego na Białej-Rusi p. P. *Kaz. Bujnickiego*, i zawiera między innymi: *Wstępu str. xxii.*— *Uwagi M. Gr. z powodu apologji romansu E. Sue Żyd tułacz*, umieszczonej w T. 2-im *Kijowskiej Gwiazdy*; *Przejażdżka do Odessy*, z podróży *Andrzeja Podbereskiego*;— nader zajmujący i wybornie napisany wyjątek z *nowej Wędrówki po małych drogach*: „angielskie wychowanie dzieci.” przez samego Redaktora i t. d. i t. d.

Tom X. *Rubona* pod pressą.

(Red. Pamiętnika).

PAMIĘTNIK

6

NAUKOWO-LITERACKI.

THE
MUSEUM
OF THE
HUMAN ANATOMY

PAMIĘTNIK NAUKOWO-LITERACKI,

PISMO ZBIOROWE

UMIEJĘTNOŚCI, LITERATURY I SZTUKI.

· POD REDAKCJĄ

ROMUALDA PODBERESKIEGO.



ZESZYT III.

Z mapką Gornéj i Dolnéj Kalifornji nad brzegami
El Sakramento i San Joskimo.



W I L N O.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.



1 8 4 9.

PAMIĘTNIK

WYDZIAŁU PEDAGOGICZNEGO

WILNO

WYDAWCA

WILNO

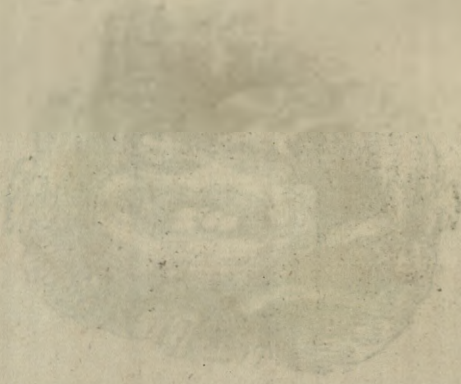
ROMUALDA PODBIEKIEGO

Pozwolono drukować pod warunkiem, złożenia po wydrukowaniu
exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury, Wilno, 1849
roku 28 Maja.

Cenzor, *Professor b. Uniwer. Wileńskiego*

Radca Kollegialny i Kawaler,

JAN WASZKIEWICZ.



WILNO

WYDAWCA

1849

WIECZOR KAWALERSKI.

ZRZEDA PANA STOLNIKA.



„Cóż Pan, Panie Stolniku,
Tak coś dziś w złym humorze?”—

— «Tak, mój Gości młodziu!

Po Wasaństwa wieczorze.”—

— «A toż bardzo ciekawy!

Z jakiejże, proszę, racyi?

Czyż nie było zabawy,

Gry, cygar, win, kolacyi?”—

— „Tfu! to mi to wymówka!

Toć gdy chcę jeść wieczerzę,

A jest w kiesce złotówka,

Wolę zjeść w traktyerze.

«Nie kłaniać się nikomu,
I nikogo nie bawić,
I wróciwszy do domu,
Położyć się i trawić.

«Lecz gdy ja, w moim wieku,
Mam iść w świat, między ludzi,
Toć szukam tam, co w człeku
Myśl i serce rozbudzi.

«Bym z tego, co mi w uszy
Ten i ów będzie prawić,
Miał i dziś czém żyć w duszy,
I na jutro zostawić.

«A cóż, myślałem, lepiej,
Jak zabawa młodzieży,
Stare serce pokrzepi,
Stare myśli odświeży?

«Aż tu wszystko, jak widzę,
Wspak do góry nogami!
Myśli moje— to rydze,
Między waszych grzybami.

«I choć głowa już w szronie,
W sercu jeszcze dość żaru,
Lźbym mógł w waszém gronie
Grać rolę samowaru.

«A cóż mi to za młodzi,
Bez świeżości i ciepła?

Cóż ta niwa urodzi,
Co już wiosną tak skrzepla?

«Nie ma nadziei, nie ma!—
Nie dziś żyję na świecie.
Widzę memi oczyma
Pokolenie już trzecie.

«Prawda, każde broiło,
Aż ściągnęło gniew Boży;
Ale jeśli źle było,
Toć dziś wszystko jest gorzej.

«Sięgam pamięcią czasów
Bachusowego szafu,
Co trwał u nas od Sasów,
Do końca Trybunału.

«Żal wspomnieć, co iskrzących
Serc, myśli, Bożych darów,
Nakształt gwiazd spadających
Zgasło w głębi puharów!

«Ale był duch, Mosanie!
Było życie i siły;
I w Bachusa rydwanie
Szły lwy— nim się popiły.

«Lecz i wtedy otucha
Z serc wzdry całkiem nie nikła,
Że lew, gdy się rozczuca,
Sam się z sieci wywikła.

«O! i żar tłał w popiele,
 Jak pociecha w boleści!
 Wiara żyła w Kościele,
 Dom strzegł cnoty niewieściej.

«I dość było, by spotem
 Ujść zaguby i sromu,
 Skruszyć się przed Kościołem,
 I wytrzeźwić się w domu.

«Aż zły duch cudzoziemców
 Ścił blask cnoty i Krzyża,
 I jak Bachus od Niemców,
 Przyszła Wenus z Paryża.

«O! i wspomnieć ohyda,
 Jak drwiąc z wiary i cnoty,
 Kraj, niewieściuch z Alcyda,
 Przął sam petłę sromoty!

«Zalotność, zbywszy klubów,
 Wsiom szła szczepić jad grodów;
 Kościół się z miejsca ślubów
 Stał przedsiönkiem rozwodów,

«Na kupno Pań uścisku,
 Na ich zbytek szalony,
 Wieśniak znojem ucisku
 Musiał skrapiać zagony.

«I co bądź przyszło potém,
 O! sąd Prawdy straszliwy,

Jedno musi rzec o tém:

Że jest Bóg sprawiedliwy!...

«Ale choć tak zepsucie

Gryzło rodzin ogniwa,

Było żywe uczucie,

Była miłość prawdziwa.

«I jeżeli nie cnota,

To choć wdzięków zalety,

Dość że nie sam brzęk złota

Był urokiem kobiety.

«I tysiące szło w szranki

Na wojnę za-krajową,

By wrócić do kochanki

Z Legią Honorową.—

«A dziś co u Wasaństwa?

Tak! mniej sił do swawoli;

Mniej głów tęgich do pjaństwa;

Mniej śmiałości w złej woli.

«Lecz gdzie lepszość, choć w chęci?

Gdzie poprawa? gdzie skrucha?

Co was budzi, lub ęci?

W czem cel serca, lub ducha?

«Mogę wam po szczególe

Co do joty powiedzieć:

Bo dość być w waszém kole,

By to widzieć i wiedzieć.

«Piętno wasze— egoizm.
 Cel wasz— chyba bogactwo.
 Próżność— to wasz heroizm.
 Rozkosz życia— próżniactwo.

«Wszystkich was wziętych razem,
 Albo każdego z was,
 Wiecie, co jest obrazem?—
 Talia kart, i As.

«Przed grą, martwi, jak one,
 Jak w kopercie zamknięci;
 W grze, w nich tylko wcielone,
 Grają myśli i chęci.

«As!... o! nie walor Asa,
 Tylko figura sama:—
 Dno— czezość, *tabula rasa*;
 W środku serce— jak plama.

«Całe też wasze życie,
 W znaczeniu rzeczywistém,
 Zrównałbym wymienicie
 Z preferansem lub wistem.

«Żyjecie tak, jak gracie,
 Jedni, byle czas zabić;
 Drudzy, by w swej intracie
 Czyjś grosz jakoś zagrabić.

«Świat wam jest jak stolikiem
 Kalebraka początku.

Gdzie każdy naprzód likiem
Śledzi, co ma do wziętku.

«Ludzie dla was— to karty.
Od młódki, do figury,
Tyle wam zda się warty,
Ile potrzebny który.

«Żona— to *atu* Dama.
Serce w równi je stawia,
Skoro posag, lub sama,
Grę wam losu poprawi.

«Czyni wasze na świecie,
To nic więcej, jak bety.—
Ztąd też wiecznie będziecie,
Jak jesteście, Walety.

«Choć z Asem w podobieństwie,
Każdy z was, w swój próżności,
Sądzi się w społeczeństwie
Średnim punktem wśród czezości.—

«Mógłbym też zrównać dalej
Życie wasze z cygaro.
W ustach się tylko pali,
I z ust niknie czezą parą.

«Obecnym tylko swędzi,
Wzrok ómi dymu kłębamii,
Lub jak dym z oczu pędzi
Łzy litości nad wami.

«O! i łezby nie stało
 Na wylanie goryczy,
 By tak wszędzie być miało,
 Jak jest wśród was Panicy.

«Lecz choć wicher na wodzie
 Łódź przez maszty w głąb' nurzy,
 Dobry ballast na spodzie.
 Okręt zbawia wśród burzy.»

Innocenty Staruszkiewicz.



SAMOJEDY SALONOWE.

(Spójrzenie mimo-jazdem).

Słowa francuzkie— to tęczę,
Gra farb na tłach allegorji,
A żurnale i obręcze,
To własność polnej cykorji;
Piękne kwiaty,— lecz niestety!
Dmuczniez— zostaną szkielety.

Antoni Sowa, w Jordanie.



W

IA DOMO wszystkim, że u dzikich niema salonów; są namioty, są nędzne chałupy, są jamy w których się mieszczą biedni ludzie; a salony są dla tak nazwanych *cywilizowanych Samojedów*. W salonach odbywa się stypa na której bardzo grzecznie, najczęściej po francuzku, sami siebie jedzą. Rozumie się niekrając w kawałki, nie piekąc na widełkach przy ogniu. Ale to na jedno wychodzi, jak nie jeden doświadczył postrzegłszy się zapóźno: że już i młodość, a co gorsza, sumienie ogryzione, strawione, ale grzecznie, modnie, w salonie.

W roku 183.... było dużo takich Samojedów w jednym z główniejszych miast Litwy; wprawdzie i dotąd jeszcze egzystują ale coraż to mniej, dzięki Bogu, i jest nadzieja, że z czasem zupełnie zaginą.

III.

2

Bawiono się, tańczono na każdej prawie ulicy w owym mieście; widać było rześiste światła w oknach, słychać oddźwięki muzyki cisnące się przez szpary, koło bramy mnóstwo powozów, porządkującą policję i furmanów klnących bale i panów, co dla swój zabawy kazali marznąć biedakom; a były to najwięcej panie ładne, miluchne, rozpoczynające zawsze rozmowę w imie ludzkości, — otoż te panie najdłużej bawiły się na balach i najgorzej były wyklina-
ne przez stangretów, zacierających od zimna skostniałe ręce. Wprawdzie u wszystkich były futrzane kołnierze u płaszczów, suto herbowych guzików, ale te nie grzały: bo pod płaszczem była tylko wata, a na kołnierzu filantropja szychowa.

Wkrótce po Nowym Roku dawała bal hrabina D***, i pyszna hrabina, co się nazywa wielka pani, sama sobie była heroldją; raz odważyła się wysztychować na złotych biletach: *la comtesse* D*** i odtąd wszyscy aż do uliczników, nazywali ją *hrabiną*. Trzeba śmiałości we wszystkiem. O mężu nikt nie wspominał; jak dekoracja teatralna był czasem potrzebny to kredytorów opłacić, to raz w rok pojechać z żoną z wizytą dla przyzwoitości; nikt go uienazywał hrabią, pisał po prostu na biletach imie i nazwisko. Zresztą był to dobry człowiek, czuł wyższość żony, nauczył się gości u drzwi przyjmować po francuzku, chodził do kościoła, spowiadał się, pościł piątki i szanował żonę hrabinę, dającą dopiero wielki bal dla jakiegoś P. Senatora przybyłego świeżo ze stolicy.

O godzinie dziewiątej wieczorem gorzał światłem dóm hrabiny, przestronna brama uwieńczoną była mnóstwem lamp; co chwila na obszerny dziedziniec suto oświetlony, wjeżdżały karety, kocze i doróżki. Damy strojne i panice biegali lekko po wschodach suk-
nem czerwonym wystanych. Sukno nowe, krzyczące, sptywało jak struga krwi po stopniach ostawionych kwiatami. Nóżki białe atlasowe, należące do strojnych mężatek i dziewic, przezierały się najpierw w dużych przedpokojowych zwierciadłach, a później w sekundę cała postać przesliznęła się w zwierciadle jak piękne widmo; lokaj przyjął salopę, a mamunie musiały czekać nim córki strzepią i wygładzą lekkie wydmuchane suknie przed wejściem do salonu. Skoro się dam grono wśliźnie z pełnem przygotowaniem dla zrobienia *effektu*, następuje prawdziwy przegląd; mężczyźni stojący rzędem tak czasem chwałą głośno przechodzące kobiety, że się niejedna zarumieni z radości, i tój — dobrze się udał przegląd; ale te biedaczki co się ubierając tak potniały i dobierały co im do twarzy, przechodzą jak przez różgi, bo mężczyźni albo milczą albo się uśmiechną złośliwie, a każda choć ma oczy spuszczone, widzi — jakie zrobiła wrażenie.

Hrabina na klasy dzieliła grzeczności: jedne panie odprowadzała sama do arystokratycznej kanapy, innym ręką pokazała miejsce, inne siadały koło drzwi, a inne jeszcze koło muzyki; te były zawsze najmniej bogate i piękne, zaproszone biletami dla wypełnienia salonu, w którym światła, kwiatów, świecideł jak w raju, gwar jakby się pszczoły roiły, i wszyscy mówili te śliczne *nie* nazwane po francuzku: *des jolies riens*. Powiewały pióra u matron, gierlandy u dziewic, toczki u mężatek. Księżniczki i hrabianki pewne siebie, chodziły po salonie witając kogo uściskiem ręki, kogo ukłonem. Muzyka milczała jeszcze, kiedy niekiedy ręka muzykusa przeciągnęła z nałogu po stronach. Czekano z polonezem księcia Tłustijanowa, dwór jego już się zjawił. Młodzież mówiąc o nowinach dziennych, witała piękne panie; były między niemi czarno-okie, szaro-okie, czarno-włose, rudo-włose, jak co komu Bóg dał. Co chwila dawały się słyszeć słowa: *bon jour comte*, *bon jour comtesse*, a zawsze *bon jour* choć wieczór dawno zapadł na dworze.

Na dziedzińcu gwar furmanów, którzy z wysokiego kozła karety lub kocza patrzali pogardliwie na *zwozeczyków*. Rozmowy między niemi były różne.

—«Jak się masz Szymonie? zawołał głośno rozwalony na kole furman, w cienkim szafirowym *armiaku*, siwym baranem obłożonym, do drugiego poziewającego furmana. Czy dawno ze wsi przyjechaliście, pewno na bal śpieszyła pani?

—A tak! odpowiedział Szymon,— leciała jak szalona, u niej tylko same *futki* w głowie, dzieci zostawiła, na gwałt wyjechała; oj, biedny pan! kawęczy tam gdzieś w cudzej stronie, a pani co zbiera nie poszła panu, ale *furr* poleciała do miasta, a conamusztruje to Boże odpuść: że człek zle uczesany, że nieumyty, niezgrabnie lejce trzyma, że kiepsko po polsku gada, że wstyd jej robi; dałby to Bóg do chaty wrócić, to przynajmniej człowiek wypocznie. A Wasana P. Onufry czy dobrzy panowie?

—A! sobie jak panowie, odpowiedział Onufry; sam cichy, boi się pani, gadając na żonę patrzy czy nie krzywi się ona: a! nieborak za życia w piekle, a sama to niech ją licho weźmie; słucha plotek, jest jakiś *guberner prancuz*, zerwał się z kądś i szereka na cały dwór. Prawda, że człek sobie czasem podhula, ale co dzisiaj to nasze, jak niema swojej woli to *jutra* nam niema,— i westchnął głęboko Onufry.

—Jak się macie? głos jakiś zawołał.

—Aa! to nasz P. Piotr! zawołali wszyscy i poślaziwszy z kół witali się z nim serdecznie częstując go tobaką.

Ten P. Piotr, był to stangret hrabiny, arcy-bywały i arcy-rostropny człowiek.

—«Co tam o biedach gadacie, nasza gorsza bieda, a my milczym; u nas bal na bal, a ludzie nieopłaceni; ja sam mam karteczkę na 200 r. sr., które gotówką pani pożyczyłem przez komissarza. Grosz krwawo zapracowany, a teraz kawałek papieru tylko, nosiłem go do jednego adwokata, co trzymał do chrztu moją córkę, jak z tym papierem postąpić? Odpowiedział: prosić i czekać. A kogoż tu prosić? Komissarz przekradł się i uciekł, ja siedzę od rana do wieczora, wożę panią to tu to tam, do panienek ani dójść, mówią że panicz dobry, ale młody i strach żeby się nie zepsuł.»— I tak rozmawiali z sobą żązywając tabakę.

Między *zwoszczykami* również gwar.

—A cóż ty Janek, ty kręciel, kogoś ty przywiózł? pytali.

—Kogo? Grafa!— ja samych Grafów wożę.

Zaśmieli się na całe garło *zwoszczycy* mówiąc: czemuż ty taki goły, pewno zbierasz pieniądze?

—A ha— odpowiedział Janek, dużo nazbierałem; wczoraj woziłem jednego Grafa i dostałem...

—«A cóż, a cóż dostałeś? zakrzyczeli wszyscy.

—Co?— ligę w nos!

—A to dobra zapłata!— trzeba było nazad oddać za bramą.

—A kiedy Graf— to nie można. I wszyscy się śmieli.

—«Ot,— odezwał się z nich jeden, najlepiej wozić gwardyjaków— oto panie płacą! Wczora woziłem jednego na Antokol, kazał pędzić się za jakąś karętą— przepędziłem, oficer przywitał się, a mnie wyrzucił bumaskę trzy-rublową. Ja czapkę zdjawszy stałem jak niemy, myślałem że to pomyłka, a on machnął ręką i powiedział: *durak, to dla ciebia!* A oficerów od picchoty to niedaj Boże wozić i niezapłacą i wypchną za drzwi, hołszy.»

Przerwał rozmowę huk wlatującego pojazdu i krzyk forysia *paszo!* Konie siwo-jabłkowate wryły się przed oświetlonem wejściem; policjant podskoczył i wysadził dwie figury z powozu: jeden tłusty choć niestary, pełno orderów na piersiach, zadyszał się wchodząc na miękkie woniejące wschody;— drugi był to właśnie Senator dla którego bal dawała hrabina; chudy, wysoki, w cywilnym ubiorze, miał dwie gwiazdy u fraka. Orkiestra zagrzmiała, hrabina spotkała u drzwi znakomych gości;— polonez się zaczął— przewijał się jak różno-barwna wstęga; pary przechodzących odbijały się często w zwierciadłach gęsto rozwieszonych; wszyscy, zdaje się, młodzi, piękni, szczęśliwi, a jednak ostatnich było jak najmniej.

Książę i Senator przetańcowawszy kilka polonezów, zaczęli rozmawiać z najpięknějšími damami, któremi są prawie zawsze nieco podżyte kobiety. Później rzucili okiem zadowolnienia na zebrane piękności. Książę jako miejscowy znał wszystkie, opowiedział senatorowi nazwiska i kroniki pań pięknych; co mówił nie wiadomo, ale oba się uśmiechali.

Zaczęli tańcować kadryle; tłum par tańczących nie dozwalał pięknym paniom pokazać całą giętkość kibici. Suknie tały się jedna o drugą, ale tańcowano.

Hrabina uważała żeby młodzież nie siedziała, — nie widząc tego, że koło drzwi siedzi P. Prezydentowa przybyła ze wsi z dwiema córkami; nikt ich nie wziął do tańca bo znajomych nie miały. Siedziały biedaczki jak w lesie, rzucając na wszystkie strony oczkami, przytrzymując za krzesłem nogi chcące gwałtem wyskoczyć, bo przed kilka dniami jeszcze skończyły lekcje tańców. Mamunia patrzyła z lubością na córki, poprawiała gierlandy zawieszzone na światłych włosach, mówiąc z cicha: niegnieście sukien i bądźcie śmiałe. Panie niedotykały się prawie krzesel, zaokrąglały oczki aby śmiało patrzeć.

Pan Prezydent był bardzo potrzebnym hrabinie: wkrótce miała przypaść sprawa w powiecie; szło o kilkanaście tysięcy rubli srebrnych, *inviam* tej sprawy P.P. Prezydentowstwo zaproszone było na bal. Hrabina chwaliła córeczki że śliczne, i tak grzecznością tumaniała pocziwców, że pomimo wydatków, które napędziły P. Prezydentowi bolu głowy, Imość z córkami wybrała się na bal mówiąc: że niegrzecznie odmówić tak wielkiej damie. Dziewczátkom okropnie było smutno że nietańcowały; gdy się nagawroniły, nudno być im zaczęło. Hrabina postrzegłszy że biedne siedzą jak przykute, zawołała syna swego plenipotentą i rzekła: P. Xawery, postaraj się o drugiego tańcerza i weźcie do mazura te dwie panny ubrane w pąsowe suknie.

P. Xawery rad że był na balu, wynalazł równie radego i oba poszli zapraszać P.P. Prezydentówny do tańca. Aż podskoczyły i wstały gotowe, ale tańcerze prosili jeszcze posiedzieć, bo koło niezrobione: odpadły znowu na krzesła biedaczki; pilnie im było tańcować — umiały nawet *kaczuczka*, a cóż to galopady, mazurki, — jak musiały iść i ładnie i modnie. P. Xawery ufryzowany, oblaony *paczulą*, bawił swoją tancerkę; zarywał nawet po francuzku i niezleby paplał, gdyby częściej bywał w wyższych towarzystwach, bo sprytny chłopiec, — kupił sobie okulary, nieśmiał jeszcze ich ciągle nosić, a tylko wkładał idąc na teatr.

Hrabianka Irena, starsza córka gospodyni domu była w pierwszej parze, a Matylda w drugiej. Obie nieładne, nieswieże chociaż bardzo młode; matka ich od kolebki zwyczajła do wielkiego świata. Jeszcze malutkie płynnie szczebiotały po francuzku i tańcowały po balach; niewywczasowane, zwiędły przedwcześnie biedne kwiateczki, a gdyby się mogły rozwinąć swobodnie byłyby godne istoty, gdyż pomimo ciągłego ścierania się z modnym światem i próżnością, pomimo gwałtu zadanego ich dobremu sercu, były poczciwsze od innych i mniej wymuszone.

Młodzież zręcznie się uwijała w tańcu, i wszyscy jakby z dziennika mód zerwani; a podsłuchać ich przelotnej rozmowy, pusta jak ich całe życie. Kiedy się okręcali z sobą lub umawiali się o figurę, można było złapać te słowa: *Jules*, a cóż czy oddałeś bilcik?

—O! zręcznie ścisnęła aż miło. Albo— *Severan*, a jak idą interesa?— Powiedziałem, że kocham,— i przewrócił oczy. A wiele posagu? Miljon— Ale szpetna?— Cóż robić! i dalej tańcowali.

Panny uśmiechały się uprzejmie do wszystkich, ale nieraz ze ściślejszą przyjaciółką ogadywały tę, której przed chwilą uściśnęły rękę.— «Jaka śmieszna, mówiły z sobą, niedawno znajoma, a taka poufała. Sciska za rękę: *c'est affreux!* jakie te szlachcianki zuchwale.»— A szczególnie kiedy piękniejsze od hrabianek, co się najczęściej zdarza.

Królową balu była księżna W*** przybyła z zagranicy; wzrostu słusznego, giętka, ruchów pełnych wdzięku; brunetka, rysów kształtnych, drobnych, oczu jak aksamit czarnych, ust korалowych, które na pół otwarte jakby do młodego uśmiechu, pokazywały równe ząbki jak sznurek urjańskich pereł; nóżki małej, suwającej się od niechcenia w tańcu. Ona wiedziała że piękna: mówiono jej to w stolicach Europy;— cóż ją miało obchodzić, że w Litwie okrzyczą za najpiękniejszą?— zebrani w grupę patrzyli jej w oczy i szeptali z sobą. Grzeczna ale chłodna, małowowiąca: czy znudzona czy przesycona światem choć młoda, niewiadomo co było, ale nie wesola choć rada z ludzi istota. Może gdzieś podróżując cząstkę serca lub myśli zostawiła? Ale o tem wątplię, bo u tych pań wszystko wyrachowane, i najczęściej tak serce jak myśl są w niemowlęctwie, a życie choć na pozor rokoszne,— pełne nikłego wdzięku, co się rospasza jak pył złocisty, zasypujący chwilowe ich uczucia. Hrabina nadskakiwała księżnej, przedstawiała najpierwszą młodzież, ale księżna odpowiadała półgębkiem i o zgrozo! poziewać zaczęła.

Hrabina przerażona pomyślała: mój Boże! co to jutro powiedzą o moim balu: księżna była nudna, poziewała nawet;— uprzedzając tę straszną potwarz mówiła znajomym; *«quel dommage!* Księżna ma migrenę,”— wielka nowina! każdy rozżalony powtarzał: biedna ma migrenę! smutne echo roznosiło fatalne słowo: *migrena*— i znikło z brzmieniem muzyki kończącej grać mazurka.

Pomordowani tańcerze i tańcerki przechadzali się po sali rozmawiając z sobą. W koło ogromnego myrtu siedziało kilku lwów owego miasta i balu, parę z nich było za granicą, a co tam skorzystali, pokaże następna rozmowa:

—A wiesz Arturze, mówił Leon, piękny blondyn do ładnego bruneta, że Olesia mnie w oko wpadła.— Może się z nią ożenisz?— lwy zaryczeli.— Ba— czym tak głupi— niebogata, niearystokratka; ale śliczna, oczy i uśmiech czarowne, dałbym sto tysięcy gdyby mnie kochała...

—Probuje, odpowiedział Artur i szeptał mu coś na ucho.

—Doprawdy, czy tak? i skrzywił się Leon.

—No, no, mówił Artur, ależ Huryska, ależ Péry, ależ Bajadera,— i biedną za to, że piękna a nie arystokratka, jak piłą przerywali dla swojej zabawy.

—*A-propos* Leonie, czy się żenisz z Ludwiką?

—Tak, podobno, ale mi się niechce, posag gotówką— trzeba się ożenić; tylko mnie niezbałamucie żony;— to rzekłszy poszedł dalej.

Pozostali zaśmieli się ironicznie: «jest co bałamucie! blada jak trup, traci mogiłą, a kiedy transpiruje, trzeba nos zatykać; biedny Leon dużo na perfumy straci,”— śmieli się szczerze, a niby przyjaciele. Leon w drugim salonie również się z nich naśmiewał.

Panienki także zebrawszy się między kwiatami szczebiotały jak swojskie ptaszeczki.— *Marie! chère Marie,*— mówiła światło-włosa, z światłem okiem dziewica,— jaki to brzydki ten Seweryn,— wykrzywia się, dowcipkuje, kręci się jak na sprężynach; Artur to śliczny, jaki pewny siebie; widać że wojażował, to skończony młodzieniec.

—Florciu strzeż serca, odrzekła Marja— bo Artur bardzo niebezpieczny— i zarumieniła się— mówią nawet, aż strach powiedzieć: że Artur zwodziciel.

—Ach! zaśmiała się Marja, zwodziciel! tem więcej mi się podoba, nie jednę już musiał łezkę wycisnąć, tym piękniejszy dla mnie. Ja nie lubię tych dzieci natury, co to się odrazu łowią na wędkę; niema tryumfu, niema wonnego kadzidła co upaja miłość własną, którą powinna mieć kobieta, aby ją od upadku broniła.

Biedna Marja, gdzież się nauczyła tego katechizmu? pewno w modnych salonach.

Flora słuchała chciwie słów Marji wyczerpanych z Balzac'a i innych autorów, wsiękłych w młodą pamięć. Jój słowa jak pęd potoku porывały niewinną jeszcze Florę, zalęwały jój duszę i mozgi, wszczepiając w serce zatrutą roślinę; jój słowa i zasady rozwieszały się nad młodą duszą dziewicy jak obłoki nabrzmiałe mętną wilgocią, zasłaniające tło błękitu; było to ziarno rzucone na wiatr pomysłny, który je zaniósł do serca dziewicy; odtąd w niēm rość będą osty i ocukrzzone piotuny.

Na kanapie siedziało kilka ślicznych mężatek rozmawiających z sobą.— «*Savez-vous mes dames*, mówiła pani Z*** młoda rozwódka z noskiem zadartym, okrąglą buzią i dużemi oczyma: że ta pani w aksamitnej, fijałkowej sukni, jest to przystojna osoba, ale kto ona—niepamiętam, coś mało znajomego. Zapewna jakaś urzędniczka.”— Nadeszła hrabina,— zapytywały kto jest ta fijałkowa pani?— To żona pewnego urzędnika, prosiłam ją do siebie bo przystojna, dobrze się ubiera, nie *deparuje* balu, ale coś o niej rozmaicie mówią: jakoby ma rzucić męża dla jakiegoś młodzika, bez imienia i fortuny— jakie zgorszenie, jaki skandal!— mówiła hrabina, bardzo to mię *żenuje* żem ją zaprosiła, trzeba się będzie grzecznie jój pozbyć, a gdy tak w kilku zrobimy, to nikt ją nieprzyjmie, niech to będzie pokutą, że nas kobiety i nasze córki gorszy.

—Czy hrabina dla wszystkich rozwódek tak surowa? zapytała z uśmiechem P. Z***.

—*Oh! non, chère amie*, to wcale co innego, rozstajesz się z mężem ale jest dla kogo: i magnat i w znaczeniu,— możesz być u dworu, wznieść się na szczyt wielkości, protegować innych, a ta pani rzuca męża w karjerze— dla ubogiego szlacheica— to szaleństwo! to zgorszenie!”— Biedaczka, że rzucała męża Karjerowicza dla młodzieńca bez fortuny, miała być odepchniętą na zawsze od modnego świata! Salonowe samojedki mordowały zbłąkaną istotę, ugryzły jój kawał serca, opinji, za to, że nie z ich kasty. Biedni professioniści salonów! Wszak i ich Bóg zesłał na ziemię z miłosierdzia swego, gdyby byli całością, a oni są tylko ułamkami osieroconemi, oderwanemi od całości; idą, płyną przeciw bytu, na tle którego tyle chmur dumy, egoizmu ścierać się musi z odwieczną prawdą! ci ludzie malency zalani temi chmurami, mącą tło czyste błękitu i duszę, to piękne dziecie boże, przybierają w kształty potworne.

Długo po północy tańczono jeszcze; pod koniec balu rozochociły się panie, których metryki nikt jeszcze nie widział. Hrabina choć otyła, tańczyła z senatorem; pani Z*** rozwódka z księciem T***; księżna W*** z gubernatorem; i inni i inne,— Pan Xawery okręcał prezydentówny, a Prezydent szeptał z żoną, że może która z córek los zrobi na balu, bo już się dowiedział że P. Xawery ma porządny folwark. Małżonkowie radzi z nadziei, gawędzili z sobą, jedli lody, cukry i inne przysmaki; jeszcze do końców chustek pozawiazywali konserwy, migdałki, makaroniki na gościniec dla pozostałych dzieci,—niech i one skoszują hrabiowskich cukierków!— «Ależ bo i smaczne, mówił prezydent obracając w gębie cukierek; u nas w miasteczkach zafarbują krochmal, zwiną do papierku, wystrzygą frędzelkę i przedają funt po rublu, a u P. Prezydentowej aż zęby rozholaty się od zbytku słodczy.»

Generałowie, urzędnicy i inni podzyli ludzie grali w karty, damy co schodziły z pola, siedziały także przy kartach, grały drogo; szczególnie jedna, po raz trzeci wdówka jeszcze przystojna, umiejąca cudownie zachować swe wdzięki; niektórzy twierdzili że dla tego tak biała, iż między brwiami rościna skórę i wlewa odmładzający eliksir; inni że ma jakiś talizman. Prawdziwie, to była szczęśliwa kobieta z wielu powodów: naprzód długo była piękną, powtóre: przeżyła trzech mężów, potrzebie: że każdy coś jej zapisał, poczwarte: że ostatni mąż miły, bogaty i rozsądny człowiek tak razem zgłupiał, oniemiał, że bez żony nie jadł, nie pił i nie mówił;— pocziwa żona, lękając się żeby go sładzy nieokradli, chowała pieniądze u siebie i kosztowniejsze sprzęty przewiozła do swego majątku, bo tam był skład na suchem miejscu, nie niepleśniało. Troskliwa matka zbierała wszystko dla jedynaka syna z któregoś małżeństwa. Synunio rokosznie się hodował, ale niegodziwy figlarz, ożenił się zawcześnie bez wiedzy mamy, która została babunią, a bez tego mogłaby i o czwartym pomyśleć— mężu.

Książę i senator otoczeni wieńcem dam wiedli rozmowę pełną światowego dowcipu; wszyscy skarbili ich względy, bo senator choć gość przelotny, mógł pomódz kiedyś w stolicy; a dobrze, jak mówią: *mieć plecy za sobą*. Każda z pań wyrzuciła mu pochlebne słówko, a on choć nie młody, suchy i wygasty,— utył, ożył i zapłomienił się słuchając.

Te Panie co siedziały za wieńcem, rozmawiały z sobą z ironją patrząc na szczęśliwszych; czy to była zawisć czy inne uczucie, niewiem, ale chmurka niechęci i upokorzenia osiadła na ich o-bliczach.

Hrabina mówiła z księciem o następnej szlichtadzie mającej się odbyć wkrótce za miastem, a skończyć się pysznym balem u księcia. Już o tym ważnym zamiarze cały świat piękny wiedział. Heż to serce z niepewności biło? Damy i mężczyźni *szaraczkowe-go tonu* nie wiedzieli czy będą proszeni; ileż złąd zabiegów, ile dygów, ile grzeczności dla piastujących *osóbne poruczenie*, gdyby napomknęli księciu o tej lub owej osobie. Bo książę miał swoje kaprysy; nieraz wykasował z rejestru dla tego, że owa ma nos za długi, że szpetna, inną że zle się ubiera, inną że mąż skąpy pieniędzy nie lubi pożyczać, i że karku niema giętkiego i t. d. zresztą był to dobry człowiek, świat piękny go uwielbiał, i coraz tak nadymał, iż o mało nie pękł, biedaczek! Ale na szlichtadę proszono hurtem, co mu to szkodziło że będą na ulicach więcej błota, że więcej śniegu za miastem wyjeżdżą, że będzie więcej piór powiewnych, modnych kapeluszków i twarzyczek ładnych. Kto miał z kim jechać, *ciągnięto* na losy; księciu wypadł szczęśliwy: jechał z młodą mężatką mającą noskę zadarty, okrągłą buzię i duże czarne oczy; a zresztą każdy musiał o sobie myśleć. Prawda że niejednemu mężowi po szlichtadzie wątroba raz pierwszy zabolęła i twarz żółcią się powlekła; cóż złąd za korzystać? Poszpetniał, rubla na recept stracił, żona niezapytała o zdrowiu, bo się na zabój bawiono.

Bal był ku schyłkowi, muzyka konające wydawała tony, książę i senator żegnali hrabinę, skazówka na zegarze dobiegała czwartej; w przeciagu godziny sala była pustą, światło dogorywało, atmosfera gorąca została po gościach, więcej nic a nic: podłoga wyszarowana nogami; wstążeczki oderwane od trzewików damskich; papierki od cukierków; suche listki od robionych kwiatów; instrumenta z porwanymi strunami; drżące muzykusy mieli przyjść po nie nazajutrz; jeden ze służących pobrzakał na basetti, drugi poprobował fleta: odezwały się fałszywe tony, brzęcząc długo w ciemnej sali jak echo dzwonów głoszących pacierz za umarłych, bo o samej czwartej świat piękny jechał z balu do łóżka, rozmarzony pustymi widziadłami, a świat pobożny budził się mówiąc *wieczne odpocznienie*.

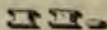
Niewiem z jakiejby duszy nie wywołał westchnienia lub modlitwy dzwon Ś-to Kazimierski i Ś-to Jański; taka uroczysta, razem rozgłośna melodia jak gdyby dusze zakłete w metalu wołały, prosiły o pamięć lub o upamiętanie się żyjących. Innym lały w duszę uroczystą pocięchę, obiecując melodyjnym dźwiękiem lepsze życie za grobem; nawet smutni i nieszczęśliwi,— których krzyż życia zbyt ciśnie i dni samotne polane łąą gorzką,— ci na odgłos har-

monijnych tonów doznają ulgi płynącej nie z ziemskiego świata ale z wyższego, z tego, którego moc ziemską zatruć nie może! Ci, co wracali z balu zapłacili poziewaniem zwiastunowi modlitw, narzekając nieraz że spać im nie daje. Oni się niebudzili na dźwięk ulatujący do nieba; ale na brzęk muzyki pobudzającej do tańca, lub na odgłos nożów i widełek zwiastujących wysmienite jadło. Ich uczucia rozdrobione od dzieciństwa w puste się dźwięki rozniósły. Nie jeden idący z latarką do Kościoła spotkał się z karętą oświeconą latarniami, a w niej strojne kobiety wracające z balu, na którym choć piły z czary roskoszy i szczęścia, nie miały na swém obliczu piętna pokoju, który zadawałnia oczy i duszę patrzących! była tylko czezość, zmordowanie i męt zwiastujący przyszły niesmak i gorycz żywota! a ów idący z latarką do świątyni bożej, skromnym płaszczem okryty, pewno się wyspał spokojnie i szedł swobodnie pełen miłości, dziękować Bogu za *wezora* i prosić o *dzisiaj*;— lub kiedy był smutny, znękany,—szedł z wiarą że w modlitwie znajdzie ulgę,— a ci znużeni biesiadą myśleli o następnym balu, o gazach, krępach i innych wydatkach powiększających się rodzinnie. Nie jedne niechętnie po balu, że niedopięty zamiarów próżności, były posępne, zamysłone, a choć brzemię prawdziwych smutków nieciężało na duszy, troski rozdziwaczonj fantazji pokryły zmarszczkami ich gładkie czoła.

A oważ szlichtada czy mało naktopociła?—Szczególnie jedną panią z szafirowemi oczami, dla której przeszłego roku wypadł los pomyslny, a teraz druga czarnooka, pulchna, popełniła widoczną kradzież zajmwszy jej miejsce; ale cóż robić! trzeba było połknąć piolun, udawać wesołą, a w duszy spazmy się kłębem zbierały i tży jak żółte gorzkie.—Dla czegoż, mówiła sama do siebie, nie jestem pierwszą—wszak równiem piękna jak dawniej?—Biedaczka, zapomniała że nowość ma zawsze pierwszeństwo; i prawda że była piękną i nawet piękniejszą od czarnookiej,—biała jak marmur, oko długie, szafirowe, brew jak niteczka czarnego jedwabiu, kibić tak kształtna, że w tańcu kołysając się jak fala, podmywała patrzącym serca. Ale taki los wypadł, trzeba było tży połknąć, strawić, assystować szlichtadzie, przykutęj jak niewolnik do wozu zwycięzcy. Przez zemstę zaczęła przymilać się do męża, powiesiła portret jego w bawialnym pokoju.—a przedtém biedaczek zarzucony w spiżarni, służył za nakrywkę do faski z masłem. Poczciwy, wyrozumiały małżonek przebaczył wszystko żonie; otrzymał wyższą rangę dla zagojenia rany przeszłości, ciesząc się że ich portrety zawieszono obok, rad że choć farbowani, mają pozór małżonków, siedząc na płótnie jedno obok drugiego.

Zdawało się że wszyscy w mieście szczęśliwi i bogaci, jak gdyby wrócił wiek złoty, a jednak— ledwo co przeleciała cholera i tyle klęsk innych, jak gdyby nie było sierot, jak gdyby Litwa mlekiem i miodem płynęła! a tuż obok łyzy strumieniem płynęły, bo nieszczęśliwa zaraza nie szczędziła nikogo i nie na jednym lieu wypaliła ślady cierpienia tak głębokie i wyraźne, że każdy mógł czytać bolesną powieść przeszłości i obecności! nie jedna taka była ofiara w mieście, nieznana nawet, niecierpiana przez tych biesiadników, którzy niechcieli wspólnie nosić krzyża i nigdy nie spojrzeli duszą na oblicze umęczonego Chrystusa, co umarł dla miłości bliźnich!! Bałe, uczyły obok cierpień, zwiadyły do ostatka uczucia bratnie, zgasiły płomień miłości, iskier zabrakło, ognisko wytłało! Kasta tak nazwana *wyższą*, pożerała sama siebie, chociaż jej sumienie było na pozór uspokojone; co zostało od zbytków oddano na ofiarę biednym; były kwesty, loterje, koncerty, protekcyjne, szych serca ewangelicznego, rzucony ludziom w oczy; ale ogół zdurzyć nie można, oceni on co ile warte!

Pani czarnooka była pewniejszą siebie; po szlichtadzie obiecała nie jednemu protekcją i postarała się o miejsce dla kilku urzędników wydalonych za nadużycia. Ileż miłych niespodzianek świat modny za jej dobroć gotował, ile pochwał, ile oświadczeń przyjaźni; kiedy raz tylko zadrasnęła scyzorykiem nacisk na palcu, zbiegły się arystokratki o siódmęj rano, pytając w przedpokoju u lokaja, jak się ma pani? czy jej niegrozi niebezpieczeństwo? Rosta w dumę czarnooka czując że odpowiada swemu powołaniu; zasadnicze widać wzięta wychowanie,— daj Boże jej na zdrowie i na pociechę! a teraz druga strona medalu.



DRUGA STRONA MEDALU.

„Bóg zna dzieje każdego kwiatu i robaka,
To Jego dzieci lecz Jego i ludy,
Wśród dziejów ludów zna przeszłość... ot taka!...
Zna grzechów brzemień, zna i męczeństw trudy.”

JORDAN.

Tuż obok przy modnym świecie składającym się z pewnej kasty, znajdował się i znajduje świat drugi, świat prawdziwy czyli

prawy. Świat modny sądzi, że kiedy jak óma motylków zleci się w jedno miejsce, pod jeden dach, to już same tylko robactwo pełza po mieście. Świat modny, egoistyczny, ten trup jeszcze niepogrzebiony, niechciał pojąć że jest świat inny bogaty w serce, idący drogą zbawienia, mający siłę ducha i woli; bezbożni mają ten świat za wizionarzy, a salonowcy za gmin; bo świat modny niewie że od kolebki na marach, że pod różanném licem ukrywa bładość śmiertelną duszy! Tuż obok— świat prawdziwy, któremu chwila natchnienia rozdarła wieczności zastonę; świat ten z cierniami męczeństwa na głowie, składał swe oliary na ołtarzu ludzkości, a modna koterja tymczasem pełzała jak gad zimny po prawych sercach, drzemała snem próżności nie mogąc swych dusz sennych wznieść do Boga, i sądząc że śpi na różach, spała na przygotowanych cierniach, przez sumienie kiedyś zbudzonych!

I w świecie prawym jest wesołość w czasie swobodnym, wesołość niekoteryjna ale bratnia! są chwile rzewnej tęsknoty, są westchnienia, które ziemskość pyłkiem niezamąci! są chwile bolesnych przecuć, uroczystych nadziei,— są wspomnienia żałośnego sieroctwa! a wtenczas tży rzesiste leją się z oczu niewieścich, a głębokie westchnienia ronią dusze mężkie! nie robiąc wszakże dyssonansu z muzyką grającą na uczłach dla wyższej kasty. I prawemu światu chciał oliarować świat próżny czarę zatrutej rozkoszy, na której dnie są męty i brudy. Ale świat prawy odepchnął ocukrzone dary; chciał swoim braciom podać braterską rękę bez obłudy, bez judaszowskiej grzeczności, co to całując zdradza,— ale nadarmo,— zły duch zagarnął świat próżny pod swoje skrzydła, zarzucił lodem serca, rozprzągł duszę z przyszłością i dał im połysk potwornego trupa! Kiedy kto z ich koła jaki błąd popełnił, rwały jedna drugą dowcipnemi słówkami,— a w salonie były uśmiechy i grzeczne....

Tego samojedztwa nie było w świecie drugim; nieumawiały się jak drzwi zamknąć przed upadłą kobietą, wpełznąć ją do błota, ale starały się ją nawrócić na drogę prawdy i dać jej uczuć całą piękność cnoty i skromności. Prawda, że w mieszkaniu prawego świata nie było tak wykwintnie jak w modnych salonach; nie siedziały koło stołów zarzuconych drogiemi drobnostkami, grupy mężczyzn i kobiet, białych, skwaszonych jak szkielety, które wiatr z piaszczystej mogiły wydmucha. W świecie prawym, chrześcijańskim,— inaczej było: nie widma młodości, nie widma przyjaźni, miłości, ale rzeczywiste postacie i uczucia wywołane potrzebą serca i przecuciem zaziemskiej krainy, łączyły wszystkich u przy-

jacielskiego ogniska. Nikt tam nie był omglony pochlebstwem, o protekcję nie prosił; a norma ducha służyła im za tarczę przeciw bólom i zawodom życia; bo w dziedzinie ducha step nieurodzajny w raj się zamienia, a ciernie w róże!

Wprawdzie i w tym świecie prawym ciężły cierpienia, ale nie fatalizm,— pod który się podszywszy trzeba wierzyć że ręka co nas ciśnie jest przeznaczeniem i z pokorą głowę jemu uchylać.

Nie raz kiedy uczta była na szczycie, kiedy spijano wiaty, dóm zawierający grono bawiących się istot, gorzał światłem jak piekło kiedy grzesznika na tortury skażą; nie jeden powóz cicho przejeżdżał ulicą gwarną; nie raz w nim powracała z przyjacielskiego domu matka z córkami dorosłymi, pięknymi jak anioły, wracała ze składką dla nieszczęśliwych lub nową książką kształcającą serce i umysł młodzieńczy i taka była potęga zaszczerpionego w dziewicach katechizmu, że niepożądały balu, niepostały tam westchnienia żalu ale mówiły rzewnie: ach mammo, jak my dobrze bawiłyśmy się dzisiaj! mamy w woreczku składki, książki nowe; ta pocziwa Andzia wysypała swoją kieszeczkę dla nieszczęśliwych braci!... Izy tkliwości sphywały po dziewiczym lieu, czezość i blask nieprzystawały do ich duszy, w której urzeczywistniała się wiara rodzinna— wiara ducha— wiara przyszłości,— co chociaż żyje bez chwilowej pociechy,— używa błogości niezaprzeczonej, harmonizując się z sercem! Istoty co tak czują, są bez zaprzeczenia światła i wiedzą że nauka jest tylko rozszerzeniem życia dla ludzkości, ale nie czczym dymem parującym przez pory próżności!

Obok marnej modnej młodzieży, co wyciera nogami podłogi salonów, a sercem pył ich zmiata,— jest młodzież co pracuje w pocie czoła; serce ich to wulkan a praca Tantalowa, którą chcą wynagrodzić bezczynność braci-próżniaków; sphywa często na ich serca kropla krwi męczenników, sphywa czasem i potyskująca się kropla brudów salonowych; pierwsza użyżnia ich serce, uolbrzymia ich kształty,— a druga zlewa się jak łuszczeni mętny z czystego naczynia.

Młodź pracującą nazywa świat wyższy *la canaille* lub *szlachta*, co w jego ustach na jedno wychodzi. >

Obok bawiącej się i próżnującej młodzi są tacy, co na poddaszu pracują krwawo, co się zgarbili siedząc nad książką lub papierami dla kawałka chleba, którym muszą się podzielić ze ślepym ojcem, chorą matką lub dorastającą rodziną; są i tacy co mają dostatek, pracują aby go mieć, i dzielą się z biedną bra-

cia— obecną i nieobecną! Niektórym dochód miesięczny ledwo by wystarczył na żółte rękawiczki nieodbicie potrzebne, a bywając w modnym świecie, jak przykazania bożego trzeba pilnować się mody; bo inaczej, nazwą hołyszem, obdartusem, i drzwi zamkną przed nosem. Paniczowie żyją bez pracy, rosną jak na drożdżach z potu i też poddanych. O! żeby kiedy te łańcużki, stroiki, burmasy, korónki, batysty— przemieniły się w pierwiastek z którego się poczęły, modni panowie i panie, utopiłyby się w pocie i łzach ludzkich! U tych, co na poddaszu lub nisko przy ziemi mieszkają, nieraz można się spotkać z *Wizerunkami*, i innymi pismami; a jaka u nich prawość, jaka gotowość do poświęceń, jaki duch oliarniczy przeglądający się w każdym biciu serca; jakie ogniste iskry młodości, które nieistnieją w zimnym popiele samolubstwa paniczów, przegrywających w karty dla tonu seciny! Bujnie krzewiło się na pleśniach i wymoczkach światowych, życie nowe w coraz silniejszych zmartwychwstając kształtach; życie czynne, silne, które nieraz zawichrzył i zaniepokoił duch zawistny! Choć w ucisku i niedostatku, młode orłéta wznoszą się wysoko; rosną im skrzydła w kolebce, których niewytłumuje modna rodzicielka ale piastuje matka chrześcijanka: a cnoce tyle zawodów doświadczą w życiu, świat nie studzi ich zapachu, obłożwszy lodem zdrady i przeciwności, pomimo których nie tracą wiary w ludzi, nie ścinają się w lód, którym— jakby obronnym pancerzem zastaniają się egoiści od uczuć. Młodź na pozór nieświatła ale światła, żyje z sobą ściśniętą złączona ogniwem: jedna myśl, jedno dążenie w ich duszy; serce pełne wiary a żaden z nich ani świętoszek udany, ani mazgaj sentymentalny, ani dziwak wyosobiony: jest to młodź co się w myślach przegląda i ceni to tylko w sobie i w drugich co jest czuciem, myślą i czynem. Tej młodzi nie lubią upiory kasty, ona dla nich jest jak piorun, co ich życie w popiół obraca, jak błyskawica co pali, a oni by chcieli żyć długo, wiecznie i rozdymać ciągle żagle dumy i samolubstwa. Prawda, że lekkie na pozór życie pań i panów modnych, ale w istocie jest to życie chaotyczne, jest to dagerotyp wymarzonych uczuć pustego serca, jest to jakaś harmonija niesforna o jednej stronie fałszywej, jest to życie niewolnicze form, panującej mody, która to koło młynskie obraca. Nie jeden w modnym świecie jest to Ixion na kole, które choć go gniecie, musi cierpieć bo się wprzągnął w jarzmo, a duch skamieniały nieożywia wymordowanego ciała. Na pociechę prawości, są zawsze ludzie enotliwi, działający, narodowi w szepcie i jego odrostkach. Druga strona medalu odwrócona dla pokazania, że prócz Samojedów

Salonowych jest świat inny, którego dążenia i czucia wyłomione na zewnątrz, widome są dla tych co okiem duszy patrzą. Wprawdzie nieraz niedola krzyżuje te młode dusze, hartuje ich w ogniu cierpienia; ale miłość i prawda, to boże nasienie, rośnie w kwiat pociechy, w kwiat pełnego sumienia, ostania cierpienia uroczystością, o! niemal niepowiem— dumą!— że ofiara pragnie boleści, poświęceń, gdyby niemi okupić bliźnich, wyrzekłszy z Jordanem:

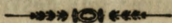
-I w życiu chwili nie miałem piękniejszej,
I poznałem ból piękny na oliwnej górze,
I byłem szczęśliwy w boleści torturze."

(Dalszy ciąg nastąpi).

—*—*—

KILKA WSPOMNIEN

UNIwersYTECKICH.



Do najpiękniejszych należy zapewne widok na Wilno z góry Zaostrobramskiej. Tak miło jest dostać się na tę wysokość czystym powietrzem owianą, tak się wdzięcznie korzysta z niewinnie dostąpionej sposobności panowania nad tym biednym Wilnem na wieczną mgłę skazanem, i tak spokojnie jest przenosić się okiem i myślą na oba smętarze, prawie równoległe przedzielone w tym miejscu góry pasmem, że nawet za młodu, choć na skrzydłach marzeń i uadziei, z jakąś wszakże tęsknotą i niewiarą zstępuje się ku miastu. Cóż? gdy się już żyło choć tyle, że wiecznie obiecujące jutro przestaje nas zaślepiac: bośmy w połowie pojęli jego tajemnicę: bo podobnym jest zupełnie do wczora, i tylko, jak gra losowa, nie przestaje nas nęcić swoim rachunkiem prawdopodobieństwa. Cóż dopiero? gdy kto najdroższe z węzłów życia zamienił już tylko na wspomnienia, komu los rozerwał doświadczoną moc i spójni ogniwa najczulszój przyjaźni, a czas zabliźniwszy nieco tę ranę, dopełnił swęj postugi, podobnie jak nieraz bywać zwykło w pomocach lekarskich: uśmierzył boleść serca, lecz i odjął mu władzę czułości.

Uwagi te wszakże, nie powinny-by mieć miejsca na początku tego pisma. Nie czynili ich sobie jeszcze dwaj młodzienicy, z któ-

rymi chcemy naprzód zapoznać czytelników: choć właśnie przy-
patrywali się miastu z tego pięknego panującego wzgórza, choć
był to cichy usposabiający do rozmyślań wieczor letni, i chociaż
w tój właśnie chwili postępował ku *Rosie* uroczysty i liczny or-
szak pogrzebowy.

Oba ładnej budowy i doskonałego zdrowia, oba z zapałem od-
dający się naukom i hołdujący niewinnemu urojeniu, że świat cały
otwiera się na ścież kluczem mądrości, przyszli tu oni dla wy-
technienia po całodziennój przedekzaminowój pracy i dla nabrania
sił do repetycji z całego kursu, która im zapewne całą noc nad-
chodzącą zająć miała; mogliż więc się zamyslać, a choć-by nawet
i mogli, to zapewne nie nad tём, że jakiś tam z mieszkańców
Wilna, co nie umiał bez wątpienia po grecku, a może nawet ni-
gdy nie miał w rękę Horacjusza, skończył już liczbę nadziei, któ-
re im tak świetnie bo z dala się uśmiechały.

Mieli więc oni poprzestać na uwadze, że kogoś prowadzą i wi-
dać niebiednego, gdyż truna suto szemerowana, i Statkowski rzę-
sissime wywija przed orkiestrą: gdy dosyć drobna okoliczność ścia-
gnęła na siebie nieco więcej względu naszych uczonych.

— Patrz Erazmie! wszak to tuż za truną sunie i nasz Mar-
cinkiewicz! I nawet ze świecą.

— A przynajmniej coś naksztalt jego!— odpowiedział Erazm.

— Ale kiedy ci mówię— że Marcinkiewicz. Jeśli nie wierzysz
moim oczóm, to kładnę ci dowód moralny: wszak na świecie dwóch
takich, jak nasz, Bonifacych nie ma i spótcześnie być nie może?

— Cóżby tu on robił? przecież miał nam dziś powtórzyć całą
estetykę i przyjść do Adama najpiérwszy!

— Co tego to już nie zgadnę. Choć mu połowa miasta znajo-
ma, wiem jednak, że nie ma on tu nikogo z krewnych: a dla zna-
jomego nieboszczyka wiesz że nie opuścił-by on ci lekcji, nie do-
piero-ż repetycji!

Tymczasem smutne kary wjechały zwolna w bramę smęta-
rzową. Sędziwy Statkowski, jak słusznie zauważyli młodzieńcy,
nie dał ani na chwilę umilknąć swojej orkiestrze, aż wóz się za-
trzymał. Nakoniec zdjęto trunę, a duchowieństwo i ci co postę-
powali najbliżej, otoczyli mogiłę. Ale zakrywały ją katakomby
od patrzących z góry.

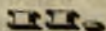
— Zejdźmy Ludwiku!— rzekł Erazm— wszak wszystko nam
będzie jedno powracać i przez Rosę.

— Nawet potrzeba tak zrobić koniecznie— odpowiedział Lu-
dwik. Jeżeli nie wyciągniemy Marcinkiewicza, który ma moje
sekssterna, to bardzo źle być może z naszym Eschenburgiem. U

Karmelitów już po wieczerzy. Nasz Bonifacy zechce to sobie wynagrodzić i pewnie nie zgasi świecy, dopóki go nie zaproszą na stypę. A widocznie że na nią się zanosi. Kondukt nie z liczby jaśniewielmożnych: widzisz, że ani jednego pojazdu prócz kilku drażek. Co teraz to już pojmuję, dla czego zdarzył się tu Marcinkiewicz!

I nasi młodzieńcy pięciutko zbiegli z góry.

Wchodząc na smętarz nie spytali nawet, kogo chowają? Szło im jedynie o Marcinkiewicza.



Tymczasem trunę spuszczo do ziemi. Kapłan miał już czytać ostatnie modlitwy, gdy jakiś młodzieniec stojący nad mogiłą ukloniwszy się mu, jak gdyby prosił błogostawieństwa i pozwolenia do zabrania głosu, przemówił w te słowa: «Dopókiś żył, mój jedyny dobroczyńco, nie chciałeś abym wiedział i dał ci poznać, choć skinieniem, że z twojej łaski i dobroci miał wszystko. Niech-że mi wolno oświadczyć w głos, choć w tej smutnej chwili: że przez trzy lata doznawałem twój nieprzerwanej opieki, żeś obcego, nieznanego nie opuścił w żadnej potrzebie, i jak cud boży wspierałeś pokryjому. Dziś dopiero, po twoim już zgonie, dowiedziałem się od człowieka, który był pośrednikiem twojej dobroczynnej woli, że tylko Bogu i jednemu tobie winienem był tę pomoc, która mię od tak dawna dochodziła. Przecież sam żyłeś z rąk pracy. Człowieku szlachetny i litościwy, niech ci tak Bóg będzie miłosiernym! Niech ci on we stokroć policzy i odda każdy twój dobry uczynek: boś ich dopełniał nie dla ludzkiego pogłosu, i liczbę twych zasług wie tylko zapewne jedno niebo! Pokój ci! wieczny, niebieski pokój!»

Powiedziawszy te słowa z coraz wzrastającym wzruszeniem, młody mówca pośpieszył ukryć się w tłumie. Erazm i Ludwik dójrzeni go wprawdzie mówiącego, lecz nim zdążyli nadejść, już skończył i wyostał się z tłumem, tak że się z sobą spotkali.

— Co u licha! tyś prawił mowę, Ojczy Bonifacy!— zawołał Ludwik— z jakiegoż to powodu i tekstu?

— A powiedziałem— odrzekł ze zwykłym już uśmiechem Marcinkiewicz. Prosił mię o oracją po jakim-s bogatym majstrze: tom i wypalił im *ex abrupto*. Dali mi coś rubla, czy nawet wię-

cój. Będziemy więc mieli śniadanie. Ale nie zabierajcie się do przeglądu pogrzebowych piękności: bo Adam musi już nas czekać oddawna.”

Gdy trzej młodzieńcy przechodzili smętarz, kilka kobiet ukazując to na Ludwika to na Erazma, z cicha odzywały się z pochwałami ich wdzięcznego serca i pięknej mowy po zmarłym. Marcinkiewicz wyglądał tak trzpiotowato, że ci nawet którzy szli obok niego od chwili jak się przyłączył do pogrzebowego orszaku, i otaczali zbliżka, gdy mówił, z trudnością mogliby w nim poznać tego pełnego smutku i szczerego rozrzewnienia mówcę. Po krótkim zatem rozdwojeniu domysłów między Ludwikiem i Erazmem, głos ludu, co to przy całej swój nieomyślności, najczęściej również niewinnie umie wstawić jak i oświcić, przypisał ostatecznie pogrzebową mowę Ludwikowi.

Ale nasi młodzieńcy nie mogli dostyszeć tego przenikliwego wyroku, za wrzawą żebraków, którym Marcinkiewicz u wrót smętarza rozdał kilkanaście groszy. Dla usprawiedliwienia w oczach kolegów tej niespodzianej hojności, powtarzał on ze śmiechem: że musi choć o kilka groszy ulżyć swojemu sumieniu, bo mając na karku repetycją, sam się poczuwa: że powiedział najętą mowę jeszcze gorzej, niż tego się po sobie spodziewał.

III.

Repetycje przedekzaminowe, w czasie do którego się odnosi nasze opowiadanie, słusznie się nazywały dniami krzyżowemi w akademickim kalendarzu. Miastu ubywało wtedy opótwę ruchu: bo tysiąc tej młodej, wesołej, nucającej, śmiejącej się i wiecznie za czems goniącej młodzieży, śmiało iść mogło za dziesięć, za dwadzieścia tysięcy ludności. I nagle cały ten tłum tak malowniczy, tak ożywiony, jak gdyby na jakieś zaklęcie, lub hasło zakonnego dzwonnka, poważniał, smutniał, zbijał się w małe grupy i znikał gdzieś, jak gdyby zasiadał rekolekcje.

—«No, chwalić Boga! panicze już się uczą! A na kiedy być z końmi?» zapytywali od czasu do czasu, zlekka drzwi uchylając, miejscowi maklerze i furmani. To techniczne *już się uczą!* wyglądało zapewne trochę anachronicznie i zapóźno, jak na dni kilka przed wakacjami: ale bo też, nie ubliżając w niczem zapałowi i pracowitości uczniów pilniejszych, ścierało się tą razą,

w tak rzadkiem zawsze zastosowaniu, do całego ogółu. Był to czas nieujętej jeszcze w żadne przepisy i nieobstrzonej swobody bywania lub niebywania na lekcjach. Imię ucznia uniwersytetu, *per excellentiam* akademika, nabywało się ważnie i prawnie samojednym wpisem do *album*: rok cały oddawał się do rąk własnych młodzieży, podobnie jak talent ewangeliczny, ale należało zdać ścisłą zeń liczbę, *ekzamen* lub *amen*, jak zwykł był przypominać jeden sędziwy nauczyciel. Dalecy jesteśmy od pochwalenia tego starego, na los szczęścia powierzonego trybu instrukcji: owszem, nie możemy się odjąć najszczerzszemu podziwieniu, że przecież dwie trzecie części uczących się poświęcały się naukom z miłością i zapamiętaniem, że nawet młodzieńcy dostatni, dla których stopień uniwersytecki był raczej piękną ozdobą niż sposobem do zmniejszenia losu, wyścigali się z biednymi w całorocznej pracy, i że tylko część trzecia nadużywała, że się tak wyrazimy, *dyskrecji*, zawsze jeszcze licząc na swą zdolność, pamięć, natężoną usilność, pomoc towarzyszków, a w ostatnim razie rozpaczy i na samo szczęście, że się jakoś uda, że rok czasu nie zginie na tej straszliwej ostatniej stawce. Och—bo rok czasu dla młodzieńca który całą pierśią i z palającym oddechem tęskni i goni za nadzieją, jest to skarb droższy i namiętniej może liczony, od tych dni niewielu pełnych udęczenia i dolegliwości, które przecież, za łaską nieba, tak bardzo kocha i nawet w dogasającym już, już oddechu, chciałyby jeszcze zatrzymać starość. To też jeżeli wielkie były usiłowania nawet uczniów pilniejszych, w tym stanowczym czasie, gdy mieli zdać sprawę z kursów całorocznych, usiłowania tych co przyrzekali sobie nagrodzić wszystko w dniach repetycji i spuszczały się w końcu na *może*, były prawdziwie rozpaczliwe. Jakże gorąco modlili się oni u Ostrój Bramy, jak serdecznie ściskali ręce uczniów celniejszych, jak pilnie się dowiadywali o godzinach repetycji, jak weześnie przybywali na nie, i z jakimże to uszanowaniem i uwagą słuchali wykładu!

W kwaterze Adama, dokąd przybyli już trzej nasi znajomi, czekali na nich od godziny dwaj podobni *dylektanci*. Najweselsze chłopcy i nowiniarze z powołania, siedzieli oni przecież teraz zadumani, bądź pod wpływem uroczystej myśli o przyszłym wypadku egzaminu, myśli tém uciążliwszej im dłużej oddalanej, bądź przez wzgląd na gospodarza. Adam był smutny, bliski niemal rozpaczy. Przed godziną oddano mu list o śmierci starszego brata, który był nauczycielem, żonatym już od lat kilku i zostawił żonę i troje sierot bez żadnego sposobu. Biedny Adam bliski końca swojego uniwersyteckiego zawodu, wyglądał całej pomocy od brata, bo od-

dawna już nie miał rodziców: i oto w miejscu przyjacielskiej ręki, której wychodząc dopiero na świat tak potrzebował, wzywany był ze łzami do opieki nad osierociątemi. Jakiż to bolesny wstęp do towarzystwa dla duszy młodej, czulej i przynoszącej z sobą samo tylko nadzieje! Wszyscy koledzy szczerém spólczuciem uczyli boleść Adama. Sam tylko Marcinkiewicz, wysłuchawszy, jak się zdawało, ledwie półuchem opowiadania jego biędzie, machnął ręką jak Augustulus, gdy mu doniesiono o stracie Rzymu, i podobnie jak ten ostatni z Cezarów, zajął się rzeczami ważniejszymi.

IV.

—«Czy macie przynajmniej całą świecę?— mówił otwierając szafę Marcinkiewicz. Tego niedopałka nie stanie i do północy! Idęz do brata Czesława wykwestować stoczek. A tymczasem byłoby całę nie od rzeczy, gdybyście nastawili samowar!»

Zapomnieliśmy powiedzieć, że kwatera Adama była w klasztorze Karmelitów bosych, na trzecim piętrze, które podług terażniejszego sposobu mówienia degradowałoby się na drugie. Ale że do tego neologizmu nigdy zapewne nie przywykliby ojcowie Karmelicy, i nie ubywa tym sposobem ani jednego stopnia na schodach, (jak nam raz odpowiedziano w obronie dawnego zwyczaju), a dosyć już jest gmatwaniny z powodu dwóch stylów kalendarzowych, nie przyjmując więc tęg nowości obmyślonej może w jakimś antysocjalnym celu, spowodowani jesteśmy pozostać przy starém *wstecz-ném* wyrażeniu.

Celki na wszystkich trzech piętrach tego klasztoru (dziś już znacznie przerobione i zastosowane do nowego przeznaczenia) były tak liczne i malutkie, że całę klasztor można-by było wziąć za modelik do jakiejs kolosalnej budowy, na którą zaprawdę mogłoby i stać mieszkańców tego miejsca. Całę piętro trzecie klasztor wynajmował podówczas ucznióm uniwersytetu. Opłata była niewielką, i lokatorowie obowiązywali się tylko do dwóch pierwszych słu-bów zakonnych: a ponieważ w drugim z nich, to jest w *ubóstwie* tak byli mocni i wzorowi, że nieraz nawet nie byli w stanie uisz-czenia się w swoim czasie za kwatérę, naturalnie szło zatém, że wielka musiała być łatwość pożyczania i wyrozumiałość ze stron obu. Jedni tylko uczniowie oddziału medycznego mieli sobie dodaną nad-to surową *regulę* nie robienia preparatów i dyssekcji anatomicz-

nych, a to pod warunkiem niezwłócnego wyświecenia (bannicii) z klasztoru. Raz czy dwa wprawdzie pokusili się oni dozwolić sobie tej przyjemności, ale gdy w obu razach ksiądz przeor okazał się nieumodlonym i literalnie słownym w umowie, miało to wpływ stanowczy na przyszłość. W ogólności sposób życia tych biedniejszych uczniów, gniezdzących się pod strychem, obok z jaskółkami, harmonijował się dosyć dobrze ze zwyczajami klasztoru. Łagodność i potulność właściwa charakterowi polskiemu, obchodziła się wybornie bez wrzawy, zwad, orgij i pojedynków. Tych ostatnich, (jest to zapewne jedna z nader pięknych zalet byłego uniwersytetu) nie widziano tu nigdy przykładu, nie słyszano nawet podania. A jednak o bojaźliwość i brak serca nikt jeszcze nie pomówił polskiego plemienia. Do tyła to jest prawdą, że odwaga rzetelna daleką jest od junaictwa, i daje się widzieć tylko w pięknej potrzebie. Dotknąwszy raz tego przedmiotu, powiedzmy jeszcze w sposobie pozgonnej pochwały, że ten tak liczny zbiór młodzieży nie naraził się nigdy miastu żadną głośną i zmównie dokonaną burdą, żadną nocną wyprawą, żadnym *charivari*, żadnym hałaśliwym pochodem, słowem— żadnym nadmiarem i nadużyciem wesołości. Mimo to, nic charakterystyczniej ożywionego, nic weselszego i miłszego wyobrazić sobie nie można, nad oddzielnie wziętą fizjonomiją i postawę tej dobranej młodzieży. Ale samym nawet jej szałom i psotom, przewodniczył jakiś takt przyzwoitości, jakiś wierny i niemylny instykt nie pozwalający nigdy unieść się nad miarę i granicę.

Wspomnieliśmy już, że aż do sposobu korzystania z nauk, młodzie ci ludzie zostawieni byli własnemu przekonaniu, a więc tém bardziej pod względem moralnym mogli się uważać usamowolnionymi: a przecież opiekuńczy duch rodzin nie przestawał czuwać nad niemi, i dzięki jego straży, nic podobnego do tych jawnych i niejako uprawnionych bezwstydem związków, tak powszechnych na przykład u młodzieży uniwersyteckiej w Paryżu, nigdy nie dało się ani słyszeć w uniwersytecie Litewskim. Z drugiej znowu strony, czysty i trzeźwy rozsądek chronił ich starannie od tych potwornych marzeń, od tych szalonych i dzikich pomysłów, któremi *bursze* chcą się różnić od *flistrów*, i na które już podówczas wysilały się sąsiednie, tak zwane dziś *Liflandzkie Aleny*.

Ale gdy następujemy czytelnikom te rozpamiętywania, Marcin-kiewicz oddawna już wrócił ze stoczkiem, jakiś kaleki malutki samowar z papierową trąbą powtórnie usiłuje zakiepieć, i przez drzwi bezpiecznie na korytarz otwarte widać sześciu naszych młodzieńców, o ile w kłębach dymu i przy wątpliwj jasności świecz-

nika dójrzeć ich można, przysłuchujących się repetycji z całą mocą uwagi. Wszyscy zalegają małą izdebkę, jak się komu zdarzyło: sam tylko Marcinkiewicz siedzi na stole, i z tej wysokości czyta prędko ale dobitnie całe pytania jednym ciągiem, a potem skraca i powtarza ich treść istotną w niewielu słowach. Gdy wybiła jedenasta z wieży święto-kazimierskiej, wyręczył go Adam, o godzinie pierwszej gospodarza zmienił Erazm: nakoniec koło godziny trzeciej, ponieważ było postanowiono, że nikt spać nie będzie, stoczek przypadkiem jakoś nieobwiniiony zaczął spływać, zapęłgał na czas żywszym płomieniem i pogasł zupełnie, a na jego miejscu zaświtał w okienku miły brzask czerwcowy: ale nikt go nie powitał: wszyscy nasi uczeni, stosownie do umowy, słodko już spali.

— A wstawajcie umarli! *Dies illa!* ekzamen! — zagrzmiął jedną razą głos brata Czesława.

— Ojczy Czesławie! Reverendissime! Eminentissime! Jeszcze jeden tylko kwadransik! Królu! Dobrodzieju!

— Nic z tego! przeklelibyście mię potem i z królestwem i z dobrodziejstwem! A! A! I cały stoczek stopili *nequissimi! dormentissimi!*

— Słowo daję — rzekł Marcinkiewicz otwierając jedno oko — że Jegomość posiadasz łacinę i akcent strasznego sądu. Gdybym był nie przypomniał sobie, że sam wczoraj prosił, abyś nas zbudził przed ósmą, pomyślałbym doprawdy, gdyś zaintonował *Dies illa*, że to nasz sąsiad aniołek zatrafił z dzwonnicy.

— O! o! I *blasphemia!* Wolterostwo!

— Co dziwnego, Reverendissime! — rzekł Ludwik — Wolter, jak wiadomo Jegomości, miał imię Marcin, a to jest nie więcej tylko jego godny potomek Marcinkiewicz.

— Oba-ście lepsi, *nequissimi!* I obu też was woła *exnunc* do siebie Pan Dziekan — zapewne na herbatę.

— Czy Reverendissimus polujesz z nas sług swoich, czy mówisz prawdę?

— A Wolter, *nequissime*, czy imię miał Marcin?

— Nie, Reverendissime. Bezbożnik ten miał imię Franciszek.

— No, toś Jegomość skłamał sobie na zdrowie: ale co Cze-

sław, to nigdy nie kłamie. Tylko co przychodził tu służący z kancelarji uniwersytetu, i prosił mię abym obu panów moich dostawił równemi nogami do Pana Dziekana. Bo zaraz po ósmej ma wyjść od siebie.

— Pójdź pierwszy Ludwiku!— rzekł Marcinkiewicz— na tobie ani znaku naszej attyckiej uczonej nocy: wyglądasz jak gdybyś się wyspał w najlepsze; a jam od trzech dni nie miał wody na twarzy: potrzeba mi choć przemyć oczy.

Ludwik poszedł. Dziekan spytał go naprzód: czy się znajdował wczoraj na pogrzebie Safijannika?

— Przypadkiem, Panie Dziekanie!— odpowiedział z małym zająknięciem Ludwik.

— Nie pytam Pana o powody. Wstydem byłoby chyba wstydzic się w podobnym razie. Wdowa zmarłego Safijannika*** oświadczyła mi: że chcąc spełniać i nadal dobroczynną myśl swojego męża, który od lat wielu łożył na utrzymanie jednego z uboższych uczniów uniwersytetu, będzie składała corocznie z góry na moje ręce po sto rubli i chce je przeznaczyć nie dla kogo innego tylko dla Pana. Nie mogłem nic mieć przeciw temu, bo mi wiadomo żeś niedostatnich rodziców, a o jego pilności w naukach i dobrém prowadzeniu mam dowód dwóletni. Spodziewam się że ta szczęśliwa pomoc dostaje się w dobre ręce, i przyniesie radość i ulgę w waszym domu. A teraz, życzę ci Panie S. aby mu dobrze poszedł dzisiejszy egzamen!

Ludwik dziękując z uczuciem zacnemu nauczycielowi, chciał był ucałować jego rękę: ale dziekan wzbraniając się od uniżoności, której nie lubił nad wyraz, i przypominając sobie pierwszą odpowiedź Ludwika, rzekł mu dość cierpko:— proszę mię uwolnić od tój niespodzianej czułości. Dotąd nie mam nic sobie do wyrzucenia: gdyż zaświadczyłem o nim podług przekonania. Ale radziłbym ci Panie S. nie zadawać sobie namysłu i wynurzyć wdzięczność, komu należy. Bardzo-by to źle było, gdybyś przypadkiem zaniedbał podziękować tym, którzy zapewne nie przypadkiem odróżnili cię wśród wielu. Żegnam!— Szlachetny Dziekan, powtarzając wyraz *przypadkiem*, oba razy zatrzymał się na nim z przyciskiem.

Ludwik wyszedł uradowany, choć go i zasmuciły nieco ostatnie słowa Dziekana. Na ulicy spotkał się z Marcinkiewiczem i opowiedział mu o swoim niespodzianém szczęściu.

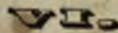
— Winszuję ci z serca— rzekł mu Marcinkiewicz z lekkim westchnieniem i zamilkł chwilę: wnet jednak wracając do zwyczajnej wesołości, przydał:— Pójdź-że zaraz do mojej miłościwój Mecenasowój i podziękuj. To będzie ładnie. Albo wiesz-co Lu-

dwiku— rzekł po króciutkim namyśle— nie idź dzisiaj! wpadniesz tam teraz na same płacze. Odłóż to lepiej na jutro. Ona mieszka na Safijannikach.

— Ale skąd-że ty wiesz znowu że na Safijannikach?

— A gdzie chcesz aby mieszkała wdowa po nieboszczyku Safijanniku!— odpowiedział Marcinkiewicz z uśmiechem, i nucąc coś wesolego śpiesznie się oddalił.

Ludwik wszakże pamiętny rady Dziekana, postanowił pójść podziękować niezwłocznie.



Dzekan przyjął Marcinkiewicza z ojcowskim uśmiechem. Człowiek równie wielkiej miłości ku naukom, jak był wzorowej prawości, zachęcał on niezmordowanie i z prawdziwą rokoszą zapatrywał się na postępy cenniejszej młodzieży. Każdy odznaczający się uczeń był pełnym nadziei synem tego zacnego mistrza. Liczył on te nadzieje za swe bogactwa, przywiązywał się do nich raz na zawsze i z największym zajęciem śledził koleje swych wybranych w zawodzie towarzyskim. Cóż dopiero każdy zaszczyt uniwersytecki, gdy dostępował go który z młodzieży? był on niejako osobistym powodzeniem, chlubą i szczęściem czcigodnego nauczyciela.

W tej chwili Dziekan przywołał Marcinkiewicza dla podzielenia z nim szczerzej radości, że *premium* tegoroczne na oddziale nauk nadobnych, zostało mu jednomyślnie przyznane.

— Cieszę się z serca— rzekł on, podając i ściskając rękę naszemu młodemu uczniowi. Widzisz kochanku, że nauka umie być wdzięczną nawet za początki okazywanego jej poświęcenia: choć niech Bóg broni, aby ją ludzie kochali dla samej rachuby. Byłoby to jedno co kochać rodziców za to tylko, co mamy z ich ręki. Nauka nadaje człowiekowi boski wyraz podobieństwa do Twórcy. Otoż za co ją trzeba kochać z całych sił duszy, i dla czego nigdy ostygąć ku niej nie można!

Podczas gdy Dziekan wypowiadał swój ulubiony hymn nauce, bladawa twarz Marcinkiewicza zajęta się na chwilę żywym rumieńcem i oddawał on mimowolny uścisk dłoni swojego mistrza: ale gdy Dziekan przydał:— «powinszuj odemnie i Adamowi * : o-
trzymuje on *accessit*!— w sercu naszego młodzieńca błysnęła na-

gle myśl elektryczna. Ukłonił się z uszanowaniem i rzekł głosem drżącym, ale tym samym szlachetnym, który w tej chwili odezwał się w jego sercu: że ma ważną prośbę do Dziekana.

— W czem tylko mogę, dopomogę ci z całego serca.

— Premium nie do mnie należy.— Odrzekł głosem pewnym Marcinkiewicz, choć rad był sobie, że mu się udało w kilku słowach wywiązać się z tego trudnego wstępu.

— Pytanie, dla czego?— odpowiedział Dziekan poglądając nań z podziwieniem.

— Główna myśl mojej rozprawy, rozwinięcie jej i nawet opracowanie stylu, są tak dobrze jak nie moje.

— I cóż ztąd? moje dziecię! Twórczości i oryginalności po was ani się wymaga. Same przedmioty podające się do konkursu nie są też tego rodzaju, abyście pisząc o nich nie mogli napotkać dobrze postugujących pomocy. Idzie głównie o to, jak się znajdziecie w wyborze i o ile zdołacie przyswoić sobie w treści, badania innych: a od was właściwie żąda się tylko porządnego związku w myślach i poprawności w stylu. Cała ta moc cytat i bulny orszak erudycji, bez którego gdzieindziej nie stąpi kroku stary czy młody *Gelehrter*, w obecnym stanie nauk nie wyszczudłują już nikogo na *Scaligera*. Bądź mi zatem spokojnym, mój ty arey-sumienny Marcinkiewiczu!— przydał z miłym uśmiechem.

— Abym choć w części mógł zasłużyć na tę pochwałę— odpowiedział Marcinkiewicz— powinienem wyznać: że całą terażniejszą moją rozprawę winienem przyjacielskiej pomocy Adama*.

Diekan zamyslił się chwilę, potem rzekł z powagą:

— Dla czego-ż jego własna rozprawa została uznana za słabszą?

— Bo napisał ją, Panie Dziekanie, gdy już ledwie dni kilka pozostawało do naznaczonego czasu. Nie domagał wtedy. Jam ją robotę przygotował wcześniej, i on mi ją poprawił z całą starannością.

— Cóż tu jest dla mnie podejrzanego!— rzekł znowu Dziekan. Ćwiczenia twoje Panie Marcinkiewicz, o ile sobie przypominam, odznaczały się i lat przeszłych.

— Zawsze mi je poprawiała przyjacielska ręka Adama— odpowiedział ze spuszczonei oczyma Marcinkiewicz.

— A więc oszukiwaliście zwierzchników! A nawet i teraz może już będzie zapóźno i nie da się poprawić to, co się stało. Widzisz panie Marcinkiewicz, że zawsze i we wszystkim, nawet przed przyjaźnią, powinna iść prawda. Omijając tę świątynię, albo zbaczamy na manowce sami, albo wciągamy do błędu innych. Pięknie-ż to, żeście narazili waszych zwierzchników na niespra-

wiedliwość? Jakżebyś, pytam, mógł poprawić to ubliżenie rzeczywiście zastudze, jeśli bym przypadkiem,— jak nawet ściśle zrobić to byłem powinien— nie wezwał cię do siebie, i nie uwiadomił przed czasem o sędziach nauczycieli? I dla czego-ż było zwlekać aż do tej chwili? Czemu mi było wcześniej i szczerze nie oznajmić o udziale, jaki miał przyjaciel w twojej pracy?

— Nie mogłem mieć ani nadziei— odpowiedział pokornie Marcinkiewicz— że moja praca zasłuży na pierwszą nagrodę.

— Pisząc do konkursu i mogłeś i powinieś być mieć nadzieję. Ale jakże się to da przerobić? Chyba uznamy wasze obie rozprawy za równie dostateczne i rozdzielimy nagrodę?

— Nie, Panie Dziekanie. Iść do podziału równego, do jakiegokolwiek nawet podziału z Adamem, nie mogę i nie powinienem. W ocenianiu zdolności— racz mi Pan darować te słowa— sąd współuczniów może jest niezawisłym i niemylniejszym od wyroku nauczycieli.

— To jest zupełna prawda— rzekł Dziekan.

— A przytém Adam znajduje się teraz w takim położeniu, że pozbawiać go choć najmniejszej części nagrody, byłoby to pozbawiać jedynego wsparcia biedną matkę z trójgiem sierot.

Tu opowiedział Dziekanowi o niedawnej śmierci brata Adama i spadającej na tego ostatniego opiece.

— Mój Boże! on mi umarł! już umarł!— wołał kilkakrotnie przerywając opowiadanie zacny Dziekan. Potém sciskając z uczuciem rękę Marcinkiewicza przydał: «Zrobiłeś mój Marcinkiewicz pięknie i szlachetnie, jak tylko za młodu, gdy rozmowa toczy się z samém sercem, udać się to może. Człowiek stary, choćby nie ustępował ci w uczciwości, przecież w podobnym razie namyślałby się i mozolił jeszcze, jak mu postąpić wypada? bo rozsądekby mu doradzał zaszczędzić też i siebie. Tymczasem upłynęła-by chwila złota i sama rzecz, albo stałaby się nie do poprawienia, albo utraciła-by wiele ze swojej białości. Gdyż nawet przypuściwszy że można-by było i po czasie przemienić postanowienie oddziału, musiało-by się to zrobić już w sposób głośny, i ten na czyję korzyść zaszła-by przemiana, miał-by jeszcze do walczenia bronią szlachetności i uczciwości ze swoim szlachetnym i uczciwym przyjacielem. A taka walka, jak skoro się odbywa głośno i przy świadkach, rzadko zwykła miewać dobrą wiarę i rzadko się kończy ze zbudowaniem widzów: prawie zaś zawsze zostaje po niej i na długo jakiś cierń niewyjęty z piersi pojedynkujących. Daleko więc piękniej, a to pod każdym względem, tak jak się stało. Masz rok czasu jeszcze przed sobą, a Adam już kończy

nauki i już go łzy czekają. Zatem nagroda nie minie cię, mój Marcinkiewiczu! Mówię ci to z taką pewnością, jak że Bóg jest dobry— i jakem w tej chwili pewny, żeś ty sam bez niczyjjej pomocy napisał swą rozprawę.”

To mówiąc ujął swojego kochanego ucznia za szyję i uściskał ze łzami.

Marcinkiewicz do głębi serca wzruszony całował go w ramiona i ręce.

Dziekana tą razą się nie bronił.

VII.

Piękne i święte uczucia dziwną jakąś lekkość przynoszą duszy. Kiedy samo nawet szczęście, choćby bez żadnego trudu i najniewinniej dostąpione, dolega nam zawsze jakimś ciężarem, z którym potrzebujemy się odosobnić, by wytechnąć choć chwilę i zebrać się z myślami: przeciwnie, po każdym wzruszeniu słodkiem i niebieskiem, dusza czuje się świeżą, zdolną i gotową do nowych. Jest to może tajemnica wiecznego szczęścia błogosławionych.

Po wyjściu od Dziekana, pierwszą było myślą naszego szlachetnego młodzieńca udać się na Satijanniki i przygotować wdowę do podziękowania Ludwika. Z pierwszego zapytania uczynionego Ludwikowi przez Dziekana: «czy się znajdował wczoraj na pogrzebie?» (bo Ludwik powtórzył mu swą krótką rozmowę z Dziekanem) wniósł Marcinkiewicz, że Ludwik wszystko winien był dotąd szczęśliwej pomyłce. Postanowił więc, upewniwszy się w tej mierze— co było łatwo— oszczędzić swojemu niefrasłowemu przyjacielowi bolesnych i upakarzających następstw, jeśli pomyłka ta zaszała rzeczywiście, i jeśli na niej on sam tylko miał do stracenia. Bo Ludwik nie robił sobie podobnych uwag. Jak każdy młody, gdy mu szczęście niespodzianie się uśmiechnie, (wiadomo zaś że nawet szczęście, ilekroć raczy przechadzać się *incognito*, zawsze jakoś umie tak sobie zdarzyć, że się i spotyka i zaczepia z młodzieżą) Ludwik przyjmował teraz bezwarunkowie określenie losu: że jest to bóstwo dobre i ślepe. Słyszał on od Dziekana, że zmarły miał za prawidło utrzymywać jednego z biedniejszych uczniów: a że był biednym i wiadomość o tej zalecie łatwo się mogła udzielić zwłaszcza między rzemieślnikami, cóż

nadzwyczajnego, że wybor padł też i na niego? Ubóstwo wyszło mu na dobre. Było to pierwsze sprawdzenie często od ojca powtarzanego przysłowia: że nie ma takiego złego, mój mosanie, co by z czasem nie wyszło na dobre. Były to może modły kochanej matki. Na pogrzebie swojego niespodzianego dobroczyńcy wprawdzie przyszło mu być przypadkiem: ale też i miał już za to, choć najniewinniej, prelekcją od Dziekana!

Tak myśląc, jechał on na drażce, której Automedon oświadczył: że wie ulicę i dom zmarłego wczoraj fabrykanta. Gdy podjeżdżali na miejsce i Ludwik się przekonał, że wdowa mieszka właśnie na Safijannikach, jak mu to powiedział Marcinkiewicz—dziwna rzecz!—pomyślał sobie z mimowolnym uśmiechem—czego też nie wie i gdzie nie *doherodotuje* *) ten Marcinkiewicz!

W domu zmarłego nie słychać było przecież tej wrzawy i płaczów, jakie Marcinkiewicz przepowiadał. Podczas długiej choroby gospodarza, całym domem i fabryką zawiadywała żona: ztąd też i teraz nie wyszło z zaprowadzonego porządku. Wdowa powróciła przed dwiema godzinami z Ostrzej Bramy, z kąd po drodze wstępowała do Dziekana: a teraz właśnie była na wyjściu z trzema chłopczykami na mszą żałobną do najbliższego kościoła—gdy wszedł Ludwik. Oświadczył on, że przybywa wprost od Pana Dziekana * z najczulszém podziękowaniem za oznajmioną mu łaskę.

— My też dziękujemy Panu za pamięć...— odpowiedziała wdowa: ale dalszych słów płacz jej nie dozwolił. Chciała była powiedzieć:— «za pamięć o zmarłym.»

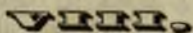
Uspokoiwszy się nieco, dodała:— Zechcesz nas Pan może odwiedzić kiedy. Teraz wychodzimy do kościoła.” Ludwik odpowiedział ze szczerém uczuciem: że będzie to miał sobie za powinność. Ztémwszystkiem niemniej rad był szczerze, że podziękowanie i pierwsza bytność tım się ograniczyły. Ale to nie z pobudek jakiej niewczesnej i nieszczęśliwej dumy. Nie! Ludwik był dobrym i rozsądnym chłopcem. Rad był dla tego jedynie, że lekka spóźnie na egzamen.

Pędząc do uniwersytetu i pomijając katedrę, postrzegł on zdala idącego bulwarem Marcinkiewicza. Ostatni postrzegł go także i dawał znaki aby się zatrzymał. Ale Ludwik nie mając ani chwili czasu do stracenia, przestał swojemu koledze dwie tylko impro-

*) Ojciec historii, jak wiadomo, całą opisaną przez siebie część świata obszedł piechoto.

wizowane pantominy, które miały znaczyć: 1-sza, że był na Safjanikach i już podziękował; 2-ga, że zatrzymać się nie może: bo co innego zupełnie być szczęśliwym Marcinkiewiczem i móżdż przechadzać się po bulwarze, gdyż mu egzamen wypada dopiero po obiedzie— a co innego być biednym Ludwikiem, którego Dziekan, na świeżą pamięć, może już i wywoływał z rejestru.

I Ludwik najszczerzej był przekonany, że Marcinkiewicz pojął go co do słowa. A więc i idący kolega nie chcąc okazać się mniej mocnym w hieroglifach, a może też przez zwykłą wesołość charakteru, chcąc tylko pomistyfikować jadącego, zaczął mu odpowiadać oburęcznie: nakoniec, zbliżywszy prawą dłoń do ust, podmuchał niby na nią i wnet wznosił tragicznie obie ręce do góry. Było to już *votum*, na którym poznałoby się całe miasto:— oby się udał ekzamen!



Marcinkiewicz, jak wiemy, nie zastał wdowy. Ale gdy mu powiedziano, że wyszła do kościoła i za godzinę zapewne wróci, postanowił dla uniknienia powtórnej pielgrzymki do tej odległej części miasta, przejść się tymczasem nad Wilją. Opowiemy myśli, które go w tej chwili zajmowały. Dadzą one najlepiej poznać stan duszy tego dobrego młodzieńca. O jego przeszłości tyle tylko napomniemy, że rodziców utracił jeszcze w dzieciństwie, że miał jedną tylko o kilka lat od siebie młodszą siostrę, którą też zostawił jeszcze dzieckiem: że dotąd znał ją jedynie z listów, i terazniejszych nakoniec wakacji miał odwiedzić.

— I tak jęj nie zobaczę!— myślał on z łagodnym smutkiem, jak łagodnym było uczucie którego doznawał— choć przyrzekłem jęj tyle razy, i jeszcze wczoraj miałem zupełną nadzieję! Byłbym widać zbyt szczęśliwy przyciskając nakoniec do serca jedyną istotę, co mnie kocha— a więc się obeszło!... Któż wie jeszcze, czy i ona, choć mi daje najczulsze imiona w listach, i powtarza że kocha po Bogu najpierw— któż-to wie czy i ona dostrzegłszy jakim łatwy do powodowania, jak mi drogie każde uprzejme słowo, każde życzliwe ściśnienie ręki— czy też i ona zamłast przyjaźni nie obróciła-by mię tylko do braterskiej postugi? W ostatnim liście pisze mi nawet: że właśnie bardzo i bardzo potrzebowała-by teraz mojej rady. A więc oczywiście i to serce już nie dla

mnie— już ubieżone! Ach! jedna tylko matka szczerze i z całej duszy przychyliła-by do siebie swe biędne dziecię, kochała-by je nie dla siebie!

Lecz ogólny-ż-to wszystkich biednych przywilėj, czy też mój tylko wyłączeni, że każdy krok którym-by m chciał się zbliżyć do innych ludzi, każdy mój zaczepny czy odporny uśmiech, każda najmniejsza, najniewinniejsza, choćby niepomyślana usługa ściągają mi zaraz podejrzenie? Wielu wprost mę pyła: czegocież od nich potrzebując? szlachetniejsi i nawykli do obejścia się pełnego względności nawet zubóstwem, wybadują mę z daleka. Otwarci szydercy i trzpioty, jak Ludwik, nie krępują się do tego stopnia, że nazywają mę *chodzącym podatkiem!* A przecież, daleko dotkliwiej dolegają mi ostróżne, widoczne jednak dla mnie, starania tych, którzy jakimkolwiek sposobem, chcieli-by mę zobowiązać. Bo zda mi się, że widzą oni we mnie, tylko milczącą ale natrętną proźbę, którą wnet trzeba uprzedzić i oddalić jałmużną. Słusznie-ż to? Bogu wiadomo— że nie. Nigdy m nie pragnął, nie prosił, i nie miał od nikogo żadnej pomocy, prócz tej tajemnej, której byłem winien całe me utrzymanie, i która dziś dla mnie się skończyła.— Ołoż, co z nami będzie teraz?...

«Obróć oczy liłościwe,

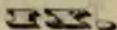
«Na sieroty nieszczęśliwe.»

dał się słyszeć w tej chwili śpiew ślepego kaleki siedzącego z małym chłopczykiem przy moście, przez który przechodził nasz młodzian.

Słowa te w okamgnieniu rozpozodziły mu czoło. Z najlepszym sercem podał on kilka groszy, bez wątpienia większemu od siebie kapitaliście, i jak gdyby nagle przybyły mu tysiące, szedł już i myślał dalej wesoło:— «Podczas wakacji wyszukamy sobie jaką skromniuchną kondycją gdziekolwiek na przedmieściu— choćby za samo tylko mleko. A dumie naszej uniwersyteckiej powie się:— wychodzimy sobie Mościa Pani za miasto, dla świeżego powietrza— albo nawet i w celu uczonym: dla zbierania ziół i dla entomologii!— Mundurowi oświadczymy bez ogródki:— Bądź co bądź, powinieś nam Panie Podstarości jeszcze dosłużyć roku. Bo cóż to znaczy: rok już tylko i to ostatni! a potem gratyfikacja, emerytura, i jak najpiękniejsze zaświadczenie!— Płaszcz a zbytek toż przecię synonimy! Wreście po wakacjach może też Bóg zdarzy i kondycją w mieście. A tymczasem, mając wolne bite dwa miesiące, można będzie przepisać na rok następny spory plik seksteronów, i czystym sumieniem wziąć coś za nie od tych błogostawio-

nych krezusów, co to ach! Panie! jadą na wakacje do mam, siostr, ciociów— i uważają za faceciją, jak to komu można być bez obiadu?— Nakoniec, mówił mi Czesław: że przeor chce niby przed następującą kapitułą wystąpić z rejestrem biblioteki, i mnie jakoby mianowicie zamyśla użyć do tej obediencji. Otoż fréj-kwate-ra, stół i świece!— A więc wszystko to jakoś będzie! *mój Marcinkiewicz!*

Mój Boże! Co też to za walny człowiek ten Dziekan! I kto by się spodziewał po nim takiej kutěj przenikliwości!



Wielkiem, naturalnie, musiało być podziwienie wdowy, gdy Marcinkiewicz nadszedł z powtórném podziękowaniem. Milczała ona przez chwilę, nie znajdując klucza do tēj zagadki, w tēm starszy z jēj synów, trzynastoletni już chłopczyna, zbliżywszy się do matki rzekł z cicha, tak jednak, że mógł go dostyszeć Marcinkiewicz:— «A ja zaraz mówiłem mamie, że to nie tamten Pan miał wczoraj mowę po ojcu!»

Słowa te, na które wprzód y nie zwróciła ona uwagi, tłumaczyły jēj teraz dostatecznie jak mniemała, zaszła pomyłkę. Ale jak-że trudną była do poprawienia! Stroskana kobięta czuła to dobrze.

— A więc to Pan— pytała zmięszana— byleś tak łaskaw, żeś uczcił pamięć mojego męża?

— Dopełniłem świętego dla mnie obowiązku. Nie byłem szczęśliwym abym mógł pośpieszyć tu wcześniej z podziękowaniem, boście państwo byli dla mnie prawdziwą ukrytą ręką Opatrzności. Wczoraj dopiero Pan *, przez którego otrzymywałem ich dobrodziejstwa, powiedział mi, komu je byłem winien.

— Mąż mój— odpowiedziała wdowa ze łzami— w ostatnich dopiero chwilach wspomniął mi, między innemi, o tēj swojej ofierze, obowiązując mię, abym jēj i nadal dopełniała. Chciałam tēj świętēj jego woli jak najprędzėj zadość uczynić, i to było powodem, zem popełniła błąd, który pragnęłabym z całego serca i będę się starała poprawić. Prosiłam wczoraj jednego z przyjaciół naszych, aby się dowiedział o pańskim nazwisku. Nie pojmuję czemu poddyktował mi on inne. Nie domyślając się nic podobnego, byłam dziś natychmiast po mszy piérwszėj u Pana Dziekana * prosząc

aby zapewnił pana— bo w skutek wyraźnej woli mego męża, a nawet przez samą wdzięczność z naszej strony, nie komu innemu tylko Panu winną byłam ponowić to zapewnienie— że wola mego męża będzie i nadal święcie dopełniana. Potrzeba-ż aby wszystko tak nagle się stało, że P. Dziekan i ożnajnił już o tём temu Panu, którego nazwisko powiedziano mi zamiast pańskiego: i że on był już u nas z podzięką. Mam więc sobie do wyrzucenia, na pierwszym kroku, niesprawiedliwość i niewdzięczność względem Pana— i ostatnią niebaczność w dopełnieniu rozkazu i myśli mego męża.

— Racz pani być zupełnie spokojną. Wszystko się stało jak najodpowiedniej dobroczynnej waszej myśli. Korzystałem z waszej łaski aż do ukończenia niemal nauk, i przychodzę podziękować za to z głębi serca. Terazniejszy wasz wybor padł na nierównie bardziej potrzebującego. Jest on synem niezamożnych rodziców, ma liczne rodzeństwo, kończy dopiero rok drugi na uniwersytecie: a co nadewszystko, Bóg mu dał tak piękne zdolności i serce, że pod każdym względem oliara wasza dostaje się odpowiednie swojemu szlachetnemu przeznaczeniu.

— Ale-ż Pan, o którym mi szczególną pamięć mąż mój zalecał (choć niez szczęściem przepomniał wymienić nazwisko) jakież będziesz miał teraz środki do ukończenia uniwersytetu?

— Jeszcze nie wiem. Mam jednak nadzieję, że przy pracy Bóg mię nie opuści.

— Jeśli nic korzystniejszego mu się nie nadarzy, i mógłbyś Pan mieć parę godzin czasu do udzielenia moim dzieciom, tobym ośmieliła się oliarować mu stół i taki-ż sam dochód, jaki dlań mąż mój przeznaczał. Odległość naszego przedmieścia niech go nie przestrasza. Utrzymujemy kilka koni na remizie i w domu. A przyjmując moję prozbę przyłożył-byś się Pan bardzo do mego uspokojenia. Chciéj więc nam to przyrzec, proszę najszczerzej.

Młody człowiek tknięty tą niespodzianą i tak delikatną szlachetnością, której dodawała jakiegoś uroczystego wrażenia smutna twarz wdowy, przypomniał sobie przytém mimowolnie niedawne słowa Dziekana: że Bóg dobry go wynagrodzi. Przyjął więc bez namysłu oliarowaną mu łaskę, jak łaskę samego nieba i z rozczuleniem ucałował rękę czcigodnej kobiety.

Właśnie w tój chwili wszedł jakiś niemłody męszczyzna, rzucił przenikliwe i dość nieprzychylné spójrzanie na młodzieńca, i zaczął coś mówić wdowie o rozporządzeniach gospodarskich.

Marcinkiewicz powtórzył zatem kilka słów dziękujących i pożegnał gospodynię. Starszy syn jéj przeprowadził go aż do gan-

ku i ściskając mu rękę przy rozstaniu, pytał raz i drugi z tym szczerym wyrazem twarzy, którym dzieci od pierwszej chwili umieją dać poznać swe przywiązanie tym, kto im przypada do serca: jak prędko? czy jutro? czy może aż po jutrze do nich powróci?

Ale prosimy o przebaczenie, że opowiadamy szczegóły tak nieznaczące, mając bardziej na względzie pamiętnikową barwę miejsca i czasu, niż związek ściśle artystyczny. Wszakże i te szczegóły drobiazgowo, podobnie jak w życiu, stanowią główną jego treść i wątek, zbiegając się tylko od czasu do czasu na dni wydatniejsze, tak i dla ciągu naszych wspomnień może nie będą stracone.



W kilka dni potem było doroczne zamknięcie uniwersytetu. Po dziękczynnem nabożeństwie w Kościele Ś. Jana i wymownem przemówieniu ostatniego uniwersyteckiego kaznodziei, który swym głosem i postacią (jak powtarzali jednoznacznie ci co słyszeli kiedykolwiek *Maurycy*) dziwnie przypominał sławnego Kardynała, odbywał się w Auli uroczysty obrzęd uczony. Jakże on był piękny i okazały! to Rektorskie przodkujące berło, te poważne ponsowe togi profesorów, te mucety i birety Doktorskie, słowem cała ta starożytna oprawa, w której uczeni mężowie, chociażby chcieli, nie mogli być podobnymi do reszty biednych śmiertelników, przejmowały jakimś mimowolnem uszanowaniem, na którym kapłani muz znali się widać oddawna, kiedy swym posiedzeniom przybrali imię Akademickiego Senatu. Nie tylko liczni goście miejscowi i przybyli z prowincji, ale sami nawet uczniowie Uniwersytetu, choć tak oswojeni ze swojemi przewodnikami, nie mogli się odjąć głębokiemu wrażeniu, widząc ich wszystkich przed sobą. Sławniejsze i ulubione imiona w tysięcznych szeptach krążyły po sali: bo każdy z gości chciał poznać i unieść z sobą choć pamięć rysów tych ludzi, co nauką przynosili jeszcze tak piękną i czystą stawę krainie: wielu zgadywało z samej postawy znakomitsze imiona: wielu się myliło, ale przychodziło im nie łatwo, prawie boleśnie rozstawać się ze swoim domysłem; zład podziwienia, niedowierzania, żarty, śmiechy, słowem ten gwar niewinny i spokojny, jak sam powód, który sprowadzał to liczne i tak

urozmaicone zebranie. Wszystko to jednak działo się w głębi sali, opodal od podwyższenia, na którém po obu stronach siedzieli profesorowie i stały popiersia ich sławnych poprzedników. Jakże to było pełne zachęty i pobudzające do ścisłego przed sobą rachunku sąsiedztwo!

W bliskości tego zaszczytnego wzniesienia, panowała zawsze głęboka cichość i uwaga. Professorowie czytali rozprawy w przedmiotach każdego prawie oddziału. Musiały to być zapewne godziny długie i dość niełatwe dla pań i dylektantów; bo rozprawy były albo nader uczone, albo odczytywano je w językach obcych. Ale czem-że jest przykrość bycia w porównaniu z przyjemnością opowiadania: że się było! Za to nauczyciele szkół, kandydaci do stanu nauczycielskiego i lepiej już usposobieni uczniowie słuchali tych rozpraw z jak największym zajęciem. Nie słyszano wprawdzie nigdy, w podobnych razach, francuzkich oklasków— bo obrażałyby one godność nauki, i w rachubę znakomitych czytelników nie wchodziły bynajmniej pochlebstwa krajowej dumie, ani przygawki polityczne, ani migotne polyski dowcipu. Każda myśl jednak piękna, nowa, wzniosła, była niewątpliwie schwyconą, uległą w pamięci, spoczęła w spółeczuciu słuchaczy. Zniewalała poniekąd konieczność do tej podniesionej, że tak powiemy, *rapsodycznej* uwagi. Rozprawy czytane na posiedzeniach uniwersytetu, zbyt rzadko ogłaszały się drukiem, i to częściej jeszcze za granicą, niżeli na miejscu. Było to z jednej strony ogólną cechą profesorów b. Uniwersytetu Litewskiego, zwłaszcza krajowców, że oceniając swe miejsce i pisma znakomitszych kolegów, nie łatwo oddawali swe prace na widok i sąd powszechny: z drugiej znowu strony, niedostatek pism perjodycznych, i przedsiębiorczej chęci ze strony księgarzy, (którzy ograniczając się pewnym odbytem dzieł elementarnych nie śmieli jeszcze losować z naszą publicznością) były temu przyczyną.

Cały ten uroczysty obrzęd zamykała przemowa Rektora, pożegnalna, upominająca, ojcowska, jakich piękne wzory najlepiej moglibyśmy ukazać w *Zbiorze pism Jana Sniadeckiego*. Ale najistotniejszą dla młodzieży, i nawet dla ogółu zgromadzenia, była bez wątpienia ta część uczonego obrzędu, gdy Sekretarz Rady Uniwersytetu odczytywał postanowienia oddziałów, i wzywał wybranych uczniów, którym Rektor oddawał *premjia* i chlubne świadectwa, słusznie wysoko cenione, bo dostawały się zawsze tylko najzdolniejszym. Po te zaszczytne nagrody, jak niegdyś po wieńce, przystępowała młodzież z jakimś niemal religijném uczuciem. W rzeczy samej, wyraz twarzy każdego z tych szczęśliwych,

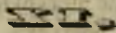
niekiedy nawet nad ich spodziewanie powołanych do nagrody, mieniący się to bladością, to żywym rumieńcem, mógł-by być tylko porównanym do tego świętego i nieopisanego połączenia szczęścia i zakłopotania, co tyle niezmiernego uroku nadaje młodej parze, w chwili gdy u ołtarza zamienia z sobą pierścienie.

Oddając z kolei Marcinkiewiczowi tak nazwane *accessit*, Rektor przemówił doń z cicha słów kilka, oświadczając: że wie od Dziekana o jego szlachetnym postępku, i że niniejsza pochwała uniwersytetu, powinna być dla niego tylko przypomnieniem innej, której treść przeczyta zawsze w swém sercu.

— Co to ci on mówi?— pytali koledzy, gdy nakoniec dostał się między nich z bijącym sercem i cały zapłoniony.

— A cóż znów chcecie innego!— odpowiedział obwiewając się chustką Marcinkiewicz— radził mi: abym przeszedł na oddział fizyczno-matematyczny.

— W porę-ż wybrał się z radą, kiedy ci już tylko rok zostaje!



Ostatnie pogadanki młodzieży przy pożegnalnej herbacie, podobnie jak w ciągu całego roku, po większej części miały jeszcze charakter naukowy, i nawet spokojniejszy niż kiedy: bo przy myśli o bliskim i długim z sobą rozdziale, łagodziły się,— jeśli i były jakie— drażliwsze starcia się i nieporozumienia, ucichały te tak łatwe u młodych wzajemne wydwarzania i szyderstwa; prawdziwa wyższość uznawaną była bez sporu, a więc i nie torowała sobie miejsca— jak mogło bywać dotąd— z pewną wrzawą i usiłowaniem: oceniano szczerze i z serca celniejsze prace i zdolności, zwierzano się zamiarów, podawano rady, składano się na pomoce: słowem, było to pożegnanie familijne, pożegnanie np. braci pełnych sił i nadziei, a więc nie oddających się smutkowi w chwili rozłąki, ale też przez pamięć na tę uroczystą chwilę, i niedozwalających sobie niewczesnych wybuchów wesołości.

Stosujemy te słowa nadewszystko do uczniów oddziału nauk nadobnych, i mamy na myśli tych właśnie, z którymi staraliśmy się zapoznać czytelników w dawniejszym klasztorze księży Karmelitów. W tej chwili są to już wolni od wszelkiej troski i niepewności, uśmiechający się sercem i usty, słowem całym szczęściem uniwersyteckich wakacji— szczęśliwi młodzieńcy. Nawet bla-

da twarz biednego Adama rozjaśnia się kiedyniekiedy i zaczyna pojednywać się z losem, co mu przynajmniej tak w porę pośpieszył z pomocą. Ludwik nagły bogacz i trzpiot jak zawsze, żartuje sobie nawet ze swojego niespodzianego szczęścia: że mu tak sentymentalnie i obcesowie rzuciło się na szyję. Erazm zamyślony i mało mieszający się do rozmowy, już jest duszą przy matce i siostrze. Kilku innych kolegów wierszuje z zapałem, lub rozprawa, jak się dziś mówi, *o sztuce*: nakoniec Marcinkiewicz, szczęśliwszy od wszystkich, bo szczęśliwy uczuciem pięknego czynu i prawdziwie wielkiej w jego położeniu ofiary.

W tém otwierają się drzwi powoli, i wkrada się jak cień, jakiś człowieczek pokorniuchny, bladęj twarzy, wycieńczonej widocznie ciągłym natężeniem myśli i bezsennością, z uśmiechem pełnym dobroci, z rzemiennym ośmiokątnym kartuzem pod lewą ręką i sporym zwojem papieru w drugiej ręce. Usta pół-otwarte, oczy spuszczone, ręka z papierem wzniesiona po kapelmistrzowsku, frak zapięty jednym guzikiem wyżej— wszystko jak do improwizacji.

— Kryształku!— Bojanie nasz!— Arcy-wieszczu!

— W niniejszym momencie przybyłem, że tak rzekę, z prozą.

— Ale naturalnie z prozą poetycką, kwiecistą, matematyczną?

— W guście odrębnym.

— Więc coś jeszcze nowego! odczytaj-że nam, odczytaj kochany Kryształku, abysmy mieli przecię rozmyślać o czem przez wakacje.

— Jeżeli mi się godzi użyć wprzódę szklaneczkę tej złocistej ambrozii, z której dla braku stosunkowości z Chinami nie korzystano na pokojach olimpijskich.

— Wstydź się zaś! Po co znów to zapytanie! Oto ci moja szklanka!— Oto jest moja jeszcze nie zaczęta.

— Więc zaczynam w zobopólnem rozumieniu, czyli *sygnifikacji*: to jest herbatę— tudzież rzecz pod tytułem:

Najrzadsze i prawie niestychane zdarzenie,

c z y l i:

Nowina i zmiana wieku mego.

«Wyraz *odrębny* znaczy taką okoliczność i takie zdarzenie, które żadnego pomiędzy sobą, aczkolwiek najmniejszego związku nie mają. Lub inaczej mówiąc: niepodobieństwo w tém zachodzi, ażeby tylko jedność w przyrodzeniu miała swoje siedlisko. Dla lepszego zrozumienia w przekładach to oznaczam: będzie dajmy na to,

drewniany dom mający w sobie kształt prostokąta najforemniejszego, pokrycie dachówką, jako tu u nas w Wilnie zwyczaj powszechny przyjmuje, z oknami podwójnemi, okiennice malowane czerwoną farbą lub innym kolorem, jeden do środka lub więcej wchodów mający czyli drzwi, a te dubeltowe lub pojedyncze, ze schodami: lub bez onych, brama jedna lub dwie, dziedziniec naokoło jego kwadratowy lub prostokąt, wszedłszy bramą nie oglądając się ogród, brama z dachówką, i fundamenta nawet ze wszystkim dajmy na to, mówiąc przez dopuszczenie, są jednostajnie zrobione, jak tradycja lub pismo zaświadcza, i to nie mylnie i rzetelnie: same ściany onego pełne rzeźwości, chociażby nie za naszej pamięci to się zbudowało i t. d., a krótko mówiąc, wszystkie a wszystkie części, co go stanowią, są jednakowe czyli inaczej mówiąc też same, gdyby *np.* przyszło widzieć uprzednie jedność lub ilość w tym razie podobną, już tём samém przekonać się można, iż ten dom tak dobrze jakby już był i widziany: a wręście gdyby i różnica jaka małeńska się znalazła, nie tu nie powinno nikogo z nas ambarasować czyli wszczynać nieukojonych niechęci, aby ciekawość zaspokoić, nie przestając na tём co natura, lub przyrodzenie, (na czём wszystko polega) wskazuje i doradza, a pamięć pierwiastkowa uspokaja, jak się powszechnie w sercu i duszy dzieć i obchodzić zwykło. Ujmując tę obszerność, która niejako zaciemnia mowę, w porównaniu podobieństwa przedmiotów wykład w następny sposób się wydaje: oto *np.* dom z drzewa stoi na trakcie, którego abrys jest u kogo zdjęty i rozmiar geometryczny jest spełniony, a ten co postrzeżenie o nim czynił, w takiemże samém zabudowaniu mieszka, i może być że dziecko onego ciekawością ujęte badania się o mieście drewnianém proponuje aby z sobą rodzice wzięli dla przypatrzenia się i przekonania o tych swych uprzednie niewidzialnych własnościach. Nie masz co ganić temu dziecięciu, i owszem godne zalety, bo to ciekawość w dobrém rozumieniu w niczém nie uchybia cnoty, ale jednak można mu powiedzieć: że masz toż samo wszystko u nas w domu, jeśli czynisz sobie wrażenia w myśli nadzwyczajne. Nie troszcz się dziecię, nie unos się zbyteczną chęcią i nie płacz, bo nie masz nic bez granic i wszystko ile ma początek, tak i kończyć się musi i jest w pewnych obrębach zawarte. Z tём wszystkim można i owszem należy zezwolenie uczynić w tym przypadku, bo inaczej oznacza gwałt i przymus: a to się sprzeciwia przyrodzeniu— odpowiadam, albo raczej sama natura odpowiedź dostateczną daje. Jest to zdanie tak jawne: i cóż natura samoprzez się wyrzec może? wszakże to tworem rozumu i duszy, czyli

wszystko zależy od ludzi! Prawda że wszystko, lecz wszedłszy w postrzeżenia wewnętrzne siebie samego, cóżby to za postępowanie było, gdyby sprzeczne uczuciom ludzkości, z której nikt wyzuć się nie może, ile z natury zupełnie jest wydany! bo jakże równym wszyscy węzłem rodzimy się sobie! A więc istotnie tak dobrze, jak on spólnie z naturą odpowiada, i bardziej jeszcze natura niżli on sam, gdyż sprawiedliwość, która nie sięgając żadnych poprzedniczych nauk, na sercu każdego z natury jest wryta. Te bowiem związki ludzkości śmiało wyrzec można, iż ile nie są arbitralne to jest samowolne, tak od nas samych niemal nie zależące. Krócej jeszcze tę prawdę stwierdzam, dowodząc podług wzmianki powyższej tak: Dom, budowla, czyli edyfikacja, zabudowanie (aedificatio) jest naprzykład niejaka drewniana, a jest ciekawość w gospodarzu widzieć gdziekolwiek w odległości jakiej podobną we wszystkiem: dla lepszej wyraźności sądząc być siebie w tym interesie niedokładnym, śmiało można mu przestać na tem mieszkaniu nie udając się w inne miejsca, dla przypatrzenia się budowli, bo to nie masz już więcej czego się zastanawiać według tych potrzeb, chyba tylko z innych przyczyn wpływ do potrzeb jego mających, co do zawarcia znajomości i przyjaźni jeśli potrzeba tego wyciąga, bo to zupełnie jak wszystko na jedno wychodzi, tak i naturalność w niczem jest nie sprzeczna, jednako wa i nie odmienna, o czem już dokładnie się wyraziło. Jednakże nie przestając na tych przekonaniach i będąc przejętym chęcią udowolnienia swojej żądzy, i cóż? można nareście i przyjść do tej ostateczności i zobaczyć inny dom zupełnie podobny: wszakże prawda wyżej przytoczona pewnie stanie się oczywistą.

Odrębnemi jesteśmy do czasu prawie wszyscy, ile w jednym miejscu żyć nie możemy. Jeżeli przyjdzie wychodzić na wojnę w odległe strony, bądź w swoim kraju i ojczyźnie bądź w innym jakim to jest za granicę: wtedy na dwoje: bo jak powszechna że powracają do domu, tak i to powszechna że giną. Tedy to rozstanie się oznacza odrębność czyli oddalenie się i nietykalność wzajemną i zobopólną, bez najmniejszej zgoła, co się zowie (iż tak użyję wyrazu w potocznej metodzie mówienia) komunikacji.

Jeżeli zaś do pewnego tylko czasu to zdarzenie bywa, np. wyprawa brata lub męża w odległe strony i miejsca na kontrakty— mając częstokroć niezmiernie wszczęte chęci żyć razem— odrębność ulgę znachodzi w nadziei powrotu. I to jest, co Kandyllak ów sławny autor dzieła nieśmiertelnego Logiki, powiada:

że chociażby i jak byliśmy światłem wspomóceni, pozbawionemi będąc czegokolwiek, nie możemy zupełnie być spokojnemi, choćbyśmy się i jak zdobywali o serce, (że tak powiem) Marsowe.

Co do odrębności moich właściwych, jako osoby partykularnej, oświadczam następujące: 1-od W ciągu mych lat wielu, a mianowicie młodości, ciała wszystkich, com odwiedzał umarłych, straszne dla mnie były. 2-re Będąc małym, w nadzwyczajny sposób byłem nieśmiałym i wstydlivym, a w publicznych miejscach i bojaźliwym. 3-cie Otwartość do najwyższego stopnia pielęgnowałem za młodu. 4-te Śmiechy puste (jak powiadają) nieustanne, bądź w czasie mowy czyjjej, bądź méj własnej: bądź nakoniec wspomnawszy cokolwiek, chociaż oddawna i t. d. 5-te Marzenia we śnie ustawiczne, rozmaite, różny stan i jaw duszy i serca oznaczające. Śniło mi się raz w nocy, jakoby naprzeciw okna, w ogrodzie na drzewie, (którego nie były w rzeczy samej) siedzieli dwóch jakichś niestęchanych dziwolągów, okropny i przeraźliwy głos nawzajem do siebie wydających— i to się działo, jak uważam w piątym roku mych lat dzieciennych. Ja pamiętam siebie i w półtora roku. 6-te Nakoniec, w młodości kwiecie narażałem się częstokroć śród zabaw moich z przyjaciółmi przez owe puste śmiechy. Naostatek po 7-me przemawiałem sam do siebie położywszy się w łóżku i wbijałem się w myśli trwożące ciekawością i trudnością nauk.

— Gdy to mówię w zadumienie wpadam, i nie mając pewnego i dosadnego dowodu, i nie będąc jeszcze dotąd przekonanym dostatecznie o tych zdarzeniach, które się wydarzają terażniejszego mniej łaskawego wieku na nas: dla czego to wyszło na jednego z uśmiechem w żartach mówiącego: *«gdy ja stoję, Pan się sroży!* a inaczej włącznie mówiąc, też same uczucia duszy i ciała wyrażając, które ze strony starającego się w najwyższym stopniu, aby uczynić dogodność swemu zwierchnikowi, jak tylko można: a tymczasem przeciwieństwo w tem zdarzeniu i względzie zachodzi i więcej jeszcze (jak uważam) szkodzi, niżliby niedokładność we względzie prawych obyczajów. Co więcej, tak się już dzieje, że to choćby największe zdolności i starania, w niczem uścić się nie zdołają aby pod ręcznemu można było zjednać łaskawe na siebie względy, ale owszem nawet jeszcze i na gniew narażają: dziwię się temu mocno i objąć w myśli własnej dostatecznie nie mogę. Jeżeli już tylko odrębne i uboczne dzieła lub przyczyny nie uprzedzają w owęj niewinnej natarczywości! Bo jakże! żadnej winy w owym pod ręcznym nie upatruję: chyba więc bez wątplenia u-

boczną i zawiłą przyczyną tej systematycznej zawziętości sama niewinność i niewykorzeniona cnota, jak solą w oku być musi.

Ech! bo rzece mu poczwara,

Na cóż-bo się błyszczysz!

Jak to wyraził dość dobrze Pan professor Borowski, aczkolwiek jest niekiedy Zoilem i podlega, że tak powiem, uncii zazdrości we względzie pewnego służebnika muz, których życzliwość i przyzwolenie ile są samo przez się arbitralne tak i nie powinny-by, zdaje mi się, między mężami ślubującemi naukowości wszczynać wzajemnej obawy czyli niechęci." *)

Nie powtarzamy pochwał i oklasków, któremi przerywano ciągle znakomitemu czytelnikowi. Dodamy tylko, że z liczby ubiegających się o posiadanie jenijalnego rękopisu, szczęśliwym na-

*) Podając te kilka wyjątków z autografu od kilkunastu arkuszy ścisłego pisma, żałujemy szczerze, że musieliśmy się ograniczyć na niewielu wypisach. Bo nad badania metafizyczne Krysztalewicza trudno obmyślić dowcipniejszej parodji tych tak niby—filozoficznych, które nam w ostatnich latach tak obficie zaświeciły. Tylko że jego traktaty pod względem sumiennosci i jasności bez sensu, niezaprzeczoną mają psychologiczną wyższość.

Hr. Konstanty Tyszkiewicz, który z tą samą uprzejmością udzielił nam ramotki Krysztalewicza, z jaką udziela i najrzadszych rękopisów ze swojego znakomitego Łohojskiego zbioru, opowiada: że raz w swobodnej chwili b. Minister Książę Drucki Lubecki rzuciwszy okiem na ten rękopis Krysztalewicza, odczytał go śród ciągłego uśmiechu, od początku do końca. Gdyśmy się dziwili— przydaje hrabia— i nawet gorszyli w duchu, że człowiek tak potężnego rozumu i tak określający się co do czasu, poświęca go tyle dla Krysztalewicza, rzekł Książę, jak gdyby zgadując nasze podziwienie: „Otoż to najszczerwszy i najdobroduszniejszy pamiętnik! I widać w każdym wierszu tego biednego człowieka, że nie jest to mieszkaniec mglistego Bedlamu, nie cyniczny francuz, nie przemarzony niemiec. Jaka dziwna słów jasność przy całym rozprzężeniu myśli, jakie instynktowe uczucie przyzwoitości, jaka serdeczna dobroć, nawet pewna godność! I patrzcie czy prawda, że długość okresów dowodzi tylko wielkiej mocy i bogactwa myśli! wszakże i tu periody sążniste, a jednak grammatycznie wiążą się z sobą. Nie mówię już o bezsensowności jak najkonieczniejszej, bo ma też samą wartość i pretensija co i wiele rzeczy drukowanych, ale ani oburza ani zdumiewa.”

bywcą— w guście *atoli przyjacielskiej dedykacji* (jak to zawsze warował sobie z góry Kryształewicz) został ten ze słuchaczy, który umiał ująć sobie serce poety ostatnią uwagą: że między talentem klasycznym, chociażby opracowanym w najwyższym stopniu, ale przecież opracowanym,— a urodzonym natchnieniem wieszczem, sąd jest łatwy i wybor niewątpliwy.



I oto nasi uczeni, rzuciwszy o ziemię brzemie trosk i zeszytów lekcyjnych, szczęśliwi, wyzwoleni, z piosenką na ustach i z jakimś pożegnalnym komicznym słówkiem lub psikusem nawet dla miejskich strażników, wyjeżdżają przez różne bramy w jednym dniu i o jednej godzinie, jak gdyby powtarzali ów znamienity tradycyjny wyjazd Pinettego.

— Nim jednak wyjadą z miasta, krzyżujące się w różnych kierunkach budy spotykają się z sobą i na ulicach zatrzymują się chwilę.

— Bądź zdrów Leonie!

— Bądźcie zdrowi, kochani podlasianie!

— Będziesz na *pierwszy*?

— Nie uchybię Moci— Bo-bo-dzie-ju!

— A z tobą Józefie może już na zawsze?

— And if for ever, for ever fare well!

— Nie rozczulajcie mię, do licha; gaśnie fajka!

— Ale nie zgiń tam przecię na ukraińskim stepie, Karolu! przyjeżdżaj doktoryzować się!

— Jeśli się tylko nie ożenię.

— Mianowski rok ci za to policzy praktyki.

— Inprimis vero curam habeto peculii!

— Habebitur. Ale dobrze żeś mi przypomniał. Pan *Irachym* poleca ci przezemnie: abys mu przywoził kilka jakichś tam pieśniaków niedawno odkopanych w waszej okolicy.

— Stój, stój, poczekajcie!! Zmiłuj się Karolu, będziecie jechali mimo mojej kwatery. Rogowska dotąd jeszcze stoi zapewne w bramie *wielce żałościwa*. Poproś ją odemnie niech weźmie pod swój klucz i opiekę, moją kantynę z papierami. Zapomniałem jęj zamknąć, a jak sobie teraz rozpamiętywam, to są tam różne dzieciństwa.

— Wszakże go słyszycie, panowie! że nawet w wakacyjnej budzie rozpamiętywa o swoich nieśmiertelnych wierszach.

— To mu tak nie ujdzie. Musi nam pierwszą zafundować kawę.

— Bądźcie zdrowi! Bądźcie zdrowi!—

Starozakonni przybywający o tej porze z różnych stron furmani, przez wrodzony akordometr nastrajając się do humoru swoich podróży, pędzą w galop szermując wciąż biczem i dowcipem: bo wiedzą że będą mieli podróż wygodną i wesołą. Większa część bud oddaną jest wszakże do zupełnego, jak widać, rozporządzenia odjeżdżających. Kwadrygi te, choć bez wozniców, mkną jeszcze chyżej niż inne: a w pół godziny potem, na przeszczerzeni wiorst kilku po wszystkich gościńcach, gonią za niemi, z brodą rozwianą, opytując każdego spotkanego, i prosząc, zaklinając, płacąc za podwiezienie, rokoszni wileńscy furmani. Jakieś przypomnienia, pożegnania, a najwyklj *liczby* zatrzymują ich, jak wiadomo, zawsze: choć po dwadzieściakroć powtarzać będą wprzód: że wszystko gotowe, że czas jechać, i że jedynie Jasne panicze robią im *ostanowkę*. Do jakiegokolwiek najpierwszej budy dopadnie wtedy który z tych zadyszanych biegunów, wdziera się śmiało na kozły, jak na swoje własne, nie szczędzi już aż do popasu cudzych koni, wykrzykuje we wszystkich słowiańskich *narzeczach*, i upewnia paniczów: że w ten sposób zawsze powozi, że tak się jechać powinno. Na pierwszym dopiero popasie, przychodzi jakoś do porządku i zjawiają się zgubieni furmani, wszyscy prawie na najętych podwodach, za które muszą zapłacić panicze: bo jak też nie zapłacić kiedy noszone franty odgrażają się z dumą, że w przeciwnym razie zapłacą im od słowa: Panna Marszałkówna, panna prezesówna, Panna Cesia, Panna Krystyna, Panna Helena— i to gdzie tam! nie takiemi, ale daleko śliczniejszemi rączkami— a w dodatku temi samemi rączkami nasypią im jeszcze po całym kapeluszu gruszek!— Ale co sobie one pomyślą o Jasnych paniczach?

— Nu! a cóż złego mogą pomyśleć?— wtrąca inny stając niby w obronie paniczów— pomyślą sobie, że panicze będą wielkie gospodarze, takie co to rano, po rosie, w chałacie, podpasany krajką, chodzi sobie koło pszenicy i rzuca szlafnicą za wróblami...

— Ach! ty kapcanie! obdertusie!

— Nu, za co-że Jasny panicz jest gniewny! albo to ja tak mówię? To, nie przymierzając, panna Cesia. Ja mówię, że nigdy nie żydowi podarować nie trzeba. Bo podarować co biednemu furmanowi-nieborakowi, to potem potrzeba będzie podarować i arcudarzowi...

— Kłamiesz, łotrze! Nigdy żyd nie będzie u mnie arendarzem!

— Czy to tak już uczą paniczów! *Herst du!* posłuchaj panie arendarzu! źle słycać!

— Słyszę to już ja od lat piętnastu!— odpowiada gospodarz po żydowsku— i tyle mi to w głowie co miniony szabas!— Wnet jednak obracając się do swoich uczonych gości, wynurza jak najwyższe podziwienie: że Jaśni panicze, co to teraz wszyscy są tak wysoce edukowani, że każdy z nich wygląda gdyby najpierwszego *sortu* Książę albo *Graf*— a już tak głęboko i delikatnie kombinują głową i krędką, jakby najmniej po lat trzydzieści rządziłi folwarkami i robili różne facijendy! co to za pociecha serca dla Jasnych panów rodziców!!

Sam Książę Benewentu nie przemówił-by stosowniej.

Tymczasem furmani zasiadają do obiadu i staje umowa: że ponieważ konie zbyt pędzone z miejsca nie będą mogły iść w taki upał, popas potrwa do wieczora i pojedzie się nocą. Podróźni już przystępniejsi, bo wrescie wydostali się z ciężkiego miasta, oddychają powietrzem wakacji, i widzą się panami całej okolicy. Zatem po wesołej herbacie, której od dawna nie przyrządzali sobie pod takim czystym niebem i na takiej rozkosznej murawie, rozchodzą się w różne strony, każdy prawie w innym celu. Najśpiewniejsi ze strzelbą w lasy, lub po nad jeziora, w które oblitują do koła strony wileńskie: spokojniejsi na łąki z siateczką na motyle i owady, lub z zielnikiem: zawzięci mędracy rozkładają się jeszcze ze swojemi książkami pod cieniactem drzewem: mineralogowie zbierają kamienie, chemicy i agronomowie gatunkują ziemię: ekonomowie polityczni wdają się w rozprawy z wieśniakami o robociznie i oczynszowaniu: lekarze opytują chorych, i już im ręka migoce do lanceta lub klucza: poeci wczylują się w napisy po szybach, karcą nedorzeczne i nieprzyzwoite *concelli* przejeżdżających filiśtrów, dopisują natomiast wierszyki pełne dowcipu i wesołości, często dość niewinne pod względem poezji, i najczęściej w takim rodzaju w jakim przemawiają do siebie w Rzymie *Marforio z Pasquinem*: malarze zdejmują widoki i zdradziecko zrysowują przybywających gości, samego nawet gospodarza, który niedomyślając się podstępny, za pierwszą pochwałą wiszącego na ścianie wizerunku Rabina Wileńskiego Eleazara, wpada w zapał i opowiada im cuda o jego świętości i przepaściach nauki: uczniowie nakoniec Głównego Seminarium zachodzą w spory o hebrajskim języku z samowładnie panującym w alkierzu *melamedem*, i wprawiają w osłupienie wszystkich chłopców i mistrza!

Cała ta dobra, serdeczna, malownicza i tak ożywiona drużyna, zostawia wszędzie po sobie miłe wspomnienia w przejeździe. Nawet drogi i lasy odbijają tę wędrowną szczerą wesołość. Nie raz wśród nocnej ciszy dają się słyszeć niespodziane dźwięki gitary, klarynetu, skrzypiec, albo donośne i sferne głosy jakiejś piosenki, jeszcze w tych stronach nieznaną, która jednak nie zadługo się upowszechni.

Lecz czyli-ż to tylko? O, nie jedną zapewne myśl piękną i podnoszącą z ziemi, nie jeden wynalazek pożyteczny, nie jeden czysty promień oświaty, nie jedno zaprzeczenie udawnionych przesądów zaniosą oni w progi rodzinne! Bo chociaż każda nowa idea— a zwłaszcza u nas— «wchodzi jak klin tępym końcem,» podług słów Fontenella, ciężka ta robota postępuje wszakże daleko pomyślniej, daleko inaczej, gdy syn, brat, gdy głos niepodejrzany, najmilej wpadający do serca i najwymowniejszy bo z całą znajomością miejscowych warunków i należytym względem opowiada i udowadnia te piękne, *w istocie Mości Dobrodzieju! piękne rzeczy*, z których albo by się uśmiechnęło, albo w rzeczy samej uśmiechało się nie raz, spotykając je w książce drukowanej, lub słysząc w opowiadaniu którego z sąsiadów, co sobie szczęśliwie uroił być bocianem i mistrzem całej parafji i powiatu!



Ale nie wszyscy mogli liczyć na te rokoszne dwa miesiące szczęścia i wytchnienia. Jak dzikie ptaki, którym choroba lub obcięcie skrzydeł nie daje ulecieć w miłe strony, z przenikającym jękiem usiłują wzniesć się do góry, w chwili gdy swobodni spółbracia przeciągają nad nimi kluczem, i wesołemi, rzekłbyś najgrawującemi się głosy, nęcą za sobą: tak i biedni uczniowie, których los skazał na pozostanie w mieście, przepędzali zwłaszcza te dni pierwsze instynktowo-wędrowne, z głową smutnie spuszczoną, z energiją pół-pogasta. Bo i młodzież, jak te gromadne ptaki, wtedy tylko czuje się w całym znaczeniu słowa *sobą*, gdy jest razem. A czyli-ż podobny do swojego rodu jakikolwiek zimujący u nas na przykład żoraw, tęskny, znędzniały, nastroszony, stojący po całych godzinach na jednej nodze, z oczyma przynurzonemi, z jakąś myślą elegiczną, daleką?

Marcinkiewicz— do którego wciąż *con amore* powracamy w naszych wspomnieniach— mógł sobie lat przeszłych tój przynajmniej

dozwolić przyjemności, że przeprowadzał towarzyszków do pierwszego popasu, przepędzał z nimi kilka wesołych godzin, i przysiadłszy jeszcze na wiorst kilka i jeszcze na wiorst kilka, rozstawał się z nimi smutny, ale z piersią oświeżoną, i z tą w sercu otuchą: że poświęcając pracy i nauce te dni nawet, które inni spędzą na łonie rodziny, kiedy-ż tedy-ż będzie mógł spocząć na stanowisku niezawistém, choć ciężką walką zdobytém; kroczył więc do miasta smutnie lecz śpiesznie, jak więzień zdany na porękę i już doliczający niewielu zakreślonych dni niewoli. Ale w tym roku, ani tej nawet nie mógł on odbyć przejażdżki. Jeden z kolegów, ku któremu najwięcej czuł pociągu, który mu nawzajem okazywał jak najwięcej przyjaźni, (choć nie tej wprawdzie wylanój, wzniosłej, i nieograniczonej, o jakiej marzył ekzaltowany młodzieniec), słowem dobry Erazm, o którym w kilku słowach wspomnieliśmy na początku, powszechnie lubiony za łagodność charakteru i obejście się pełne serca i uprzejmości, w sam dzień zamknięcia uniwersytetu przeziębził się szklanką lodów, dostał silnego zapalenia, i patrząc z rozpaczą na odjeżdżających blizkich swych sąsiadów, nie mógł im nawet polecić kilka słów do kochanej matki i siostry: bo ani mówić, ani wstać z łóżka zany Frank mu nie pozwolił. Szczęśliwi odjeżdżający zostawują Erazma dozorowi Marcinkiewiczowi. To tak naturalnie! A kto-ż-by znów miał pozostać przy chorym, kiedy wszyscy wyjeżdżają?— Sam Erazm z żalu i boleści, że w chwili, której czekał tak tęsknie, przykuła go ta nieszczęsna słabość, długo myśli tylko o sobie i nie może ocenić poświęcenia się towarzysza, co w najgłębszém milczeniu siedząc przy jego łóżku, podaje mu lekarstwa, czuwa na każde skinienie, i jest ciągle przy nim, wtedy gdy go wszyscy opuścili. Są ludzie którym imie dobrych najwłaściwiej przystoi. Dobrzy z serca i charakteru, zdają się być takiemi z natogu i niejako z przeznaczenia. Uprzejmość i chęć zobowiązania innych, od pierwszego spójrzenia dają się czytać na ich twarzy: i ludzie bez zadziwienia oswajają się z tém pismem, czytają je, obracają spokojnie na swą korzyść, i znajdują równie naturalném, że ktoś jest dobrym, uprzedzającym i uprzejmym dla wszystkich, jak gdyby to było jedno, co urodzić się z czarnými czy światłými oczyma.

Erazm wszakże miał serce szlachetne, i na ten raz był egoistą tylko ze smutku i choroby. To całe co innego. Nieszczęście i cierpienie zamyka na czas serce i zasłania nam oczy na wszystko do koła: ale potem, jak po religijném odosobnieniu, człowiek staje się daleko tkliwszym, wyrozumialszym, i zdolniejszym do ocenienia cierpień cudzych.

Po pierwszej długi, niespokojnie przepędzonej nocy, najpierwszą myślą i poruszeniem chorego było podać rękę swojemu dobremu stróżowi i zatrzymać jego dłoń w długi, długi uściśnieniu.

— Czy ci czego trzeba, kochany Erazmie! — spytał łagodnie Marcinkiewicz — daj mi znak, ale zmiłuj się nie mów: ja cię zrozumieję.

Erazm cisnął mu wciąż rękę i patrzył nań z rozrzewnieniem, nie starając się żadnym innym znakiem wyrazić swojej wdzięczności. Dotyła był pewnym, że Marcinkiewicz go pojmuje, i dotyła prawdziwem jest postrzeżenie: że w chwilach głębokiego wzruszenia, nawet głuchoniemi nie uciekają się do znaków.

W rzeczy samej, Marcinkiewicz pojął go zupełnie: ale choć dłoń niewymownie był słodkim i nowym ten wyraz twarzy doskonale braterski, przyjacielski, z jakim zapatrywał się nań Erazm, chcąc wszakże zapobiedz zobopólnym łzom, od których już było tak niedaleko, usunął swą rękę i wyszedł śpiesznie pod pozorem nihey przygotowania jakiegoś napoju, który Frank na dzień dzisiejszy zalecił.

Chory miał czas ocenić, od pierwszych dni, całą piękność tej duszy posiadającej prawdziwą tajemnicę poświęcenia się i ofiary: bo nic w niej nie było dla okazu. A że między młodzieżą, jakkolwiek-by jej los zakreślał nadal dzielnicę stanu, nie ma i nie może mieć miejsca to dyplomatyczne uczucie, które w nauce życia społecznego nazywa się *wdzięcznością*, ale wszystko wnet i z góry rozstrzyga poprostu przyjaźnią: zawiązała się więc wkrótce między naszymi młodymi ludźmi, jak najczulsza przyjaźń. Będzie ona zapewne szczerą i stałą: bo nie poprzedzały jej żadne oświadczenia.

XXV.

W parę tygodni Erazm miał się już znacznie lepiej: nie mógł tylko jeszcze wychodzić. Poruczywszy go zatem opiece brata Czesława, Marcinkiewicz poszedł na Saffijanniki, chcąc już wstąpić w swój obowiązek.

Zastał dzieci zajęte czytaniem, pod przewodnictwem matki.

— Otoż wyręczam Pana, jak umiem — rzekła uprzejmie gospodyni — i dzieci już się lękały, aby im długo nie przyszło poprzestać na takim mistrzu: bośmy myśleli, żeś Pan wyjechał na wakacje.

Słowa te były nader delikatnym dowodem, że lubo nie miano żadnej od niego przez tyle dni odezwuy, czekano nań jednak i na-

wet postanawiano czekać przez całe wakacje. Marcinkiewicz tknięty tą nową szlachetnością, mimowolnie niejako musiał wydać przyczynę dla której nie mógł być dotąd. Pani Z. (tak ją nazywać będziemy) z uczuciem zapytywała o chorym, wchodziła w boleść matki, która zamiast upragnionego przyjazdu syna, z taką niespokojnością wyglądać musi teraz jego listu: to znowu litowała się nad losem biednego młodzieńca, który bez przyjacielskiej pomocy, nie widział-by nawet nieczyjjej życzliwej twarzy, co tak ostadza cierpienie: to chciała wiedzieć, czy przynajmniej pomieszczenym jest spokojnie? czy ma przyzwoite opatrzenie?

W każdym słowie zacnej kobiety przebijała się jak najszczerza dobroć i pewna, że tak powiemy, wprawa litości, jaką tylko nadaje długa znajomość nieszczęścia. Choć zaledwie o lat kilka mogła być starszą od Marcinkiewicza, Pani Z. w rozmowie z nim i całym ohejściu się miała od pierwszych chwil taki jakiś stódki macierzyński pozór, okazywała mu takie opiekuńcze spótczucie, nie opiekującej się wyższości, ale spótczucie serdeczne, pełne prostoty i tój ufności właściwej duszom co nie mają w sobie i nie przypuszczają w drugich obłudy, że Marcinkiewicz od razu ujrzał się tak swobodnym w tym domu, jak gdyby w rodzinnym. Nader to rzadki w kobiecie, wyższego czy średniego stanu, ten wdzięk prawdziwej naturalności, co od pierwszej chwili zniewala i pociąga. Można go tylko nabyć, albo wszechstronném wychowaniem i długą znajomością świata, po czém przychodzi się do przekonania, że najlepiej jest odrzucić wszystko pożyczane i pozostać przy szlachetnej prostocie form a nawet wystowienia: albo mając sobie nadany ten wdzięk szczęśliwy z łaski przyrodzenia, pozostaje ustrzedz go tylko i zachować w całej czystości. Oba sposoby niezmiernie niełatwe i wymagające niepospolitej mocy duszy. Gdyż również zapewne jest trudną wyrzec się dobrowolnie tego całego zbytku, do którego się nawykło, i przyszło z taką pracą— jak i nie dać się uwieść upływowi przykładów, nie strwożyć się tyłą życzliwými przestrogami, tyłą szyderstwami i ubolewaniami, na które kobieta, zwłaszcza w mieście, i cóż dopiero, jeśli jeszcze należy do tak zwanego miejskiego stanu— co chwila niemal jest narażoną! Z témwszystkiém, nieraz umie się oprzeć ciężeniu tych nieprzyjaznych atmosfer, i nie daje się spaczyć wrodzony kierunek charakteru: i wtedy nic miłszego, wdzięczniejszego, rokoszniejszego, nad tę łatwość pożycia, jakiej się doznaje w towarzystwie podobnych osób. Nadewszystko kobiecie tak jest pięknie, tak naturalnie być naturalną. Bo i dla czegożby miała zastawiać się tarczą sztuki, po co miałyby się starać o układ wyszukany, nieufny, i trzymający

się na wiecznej jakiejś straży ta, której przyrodzenie samo wskazało: że jej najpewniejszą rękojmią i najbardziej szanowaną bronią ma być bezbronność? A jednak, jak-że to smutno, że tę miłą otwartość, prostotę, szlachetną szczerłość charakteru, podwójnie nieocenione, bo nieraz zamieniają a zawsze powinny kończyć i uzupełniać dobrze powzięte wychowanie—daleko częściej spotkać można w płci mocniejszej! Ach! tak, piękniejsza i lepsza półowa naszego rodu, jest jednak widocznie słabszą. Bo nie poznawać w sobie najszcześliwszego wdzięku, wytwarzać go i wynarowiać dobrowolnie, słowem nie chcieć i nie modz być *sobą*—nie jest-że to najwydatniejszym dowodem słabości?

Ale wspomnienia zatrzymały nas zadługo przed miłym na zawsze obrazem Pani Z.

Nowy nauczyciel prędko i łatwo oznajmił się z dziećkami. Pojętne i dowcipne, widocznie jednak bardzo dobrze prowadzone chłopczyki przyłgnęły serdecznie. Nie śmiały go wszakże zatrzymywać, gdy się zabierał do wyjścia, nie pomykały się do uścisków, nie zapraszały by pozostał na obiedzie: słowem, nie dozwoliły sobie żadnej z tych pospolitych nawet w domach wyższych poufałości, z których rozsądny nauczyciel przewiduje z góry, że będzie miał doczynienia z dziećmi nawykłymi do pobłażania i zepsutymi przez pieszczoty.

Po upłynieniu godziny lekcyjnej, Marcinkiewicz czekał czas niejaki, chcąc się pożegnać z Panią Z., gdyż nie znajdowała się pod czas lekcji, siedząc niby nad robotą i kontrolując każde słowo nauczyciela, jak to jest przyjętém w wielu domach. Nadeszła jednak wkrótce, i dziękując wraz z dziećmi za pierwszą lekcją, oświadczyła Marcinkiewiczowi, że tylko przez wzgląd na chorego przyjaciela, który nań czeka zapewne z utęsknieniem, nie pozwala sobie zatrzymać go na obiedzie. Potém jednak—przydała uprzejmie—zamawiamy już sobie z góry, że dzieci z kolei będą odwoziły Pana do Wilna, ale nie inaczej jak po obiedzie.

I znowu, jak pierwszą razą, Marcinkiewicz wychodząc spotkał się oko w oko z tym niemłodym człowiekiem, który go mierzył wtedy takiem przenikliwém i nieprzychylném spojrzaniem. Tą razą ukłonił się on mu i spytał z jakimś natrętnym uśmiechem:—Pan już wyjeżdża? Mielśmy nadzieję, że Pan zostanie u nas na obiedzie!

—Któżby to był?—pomyślał Marcinkiewicz—jój ojciec? chyba jój ojciec!

(Dalszy ciąg nastąpi).

TRZY RAZY W ŻYCIU I RAZ PO ŚMIERCI.

POEZJE NIEBOSZCZYKA

Z Rękopismów zmarłego przyjaciela zebrał i wydał

LEON JANISZEWSKI.

OD WYDAWCY.



Był wielki mój przyjaciel— miał kaprysy dziwne!
 Figura nieciekawą,— człowiek pospolity.
 Włosy ciemne, wąs rudy, czarne faworyty,
 Nos wielki, usta grube, oczy niby piwne.—
 Choć wysokięj postawy, lecz zawsze zgarbiony;
 Przytęm chudy i blady jak śledź wymoczony.
 Zresztą zdrów wysmienicie— tylko w dżdżystej porze
 Niemilosiernie stęka— i chodzić nie może.
 Miał także mój przyjaciel niektóre talenta:
 Umiał prawić paniąkom kwaśne komplementa,
 Klepać na klawikordzie— na skrzypcy rzepolić,
 Trochę czytać i gryzmolić.
 A także nicostatnia była to zaleta
 Że był nleżły wierszokleta.
 Z resztą, jak widać, był to człowiek pospolity;
 Przytęm trzpiot— wiatrem podszyty.

Otoż ten mój przyjaciel— raz coś się z nim stało.
 Czy to ciągle lały deszcze,
 Czy też nazbyt piekło lato,
 Dosyć— krótko, węzłowato,
 Kochać jemu się zachciało.
 A więc kochał się, kochał i kochał się jeszcze;
 A potem przestał kochać— i raz, wstawszy wcześniej
 Przez połowę na jawie, a połowę we śnie
 Trzy straszne o kochaniu napisał legendy;

I po tym olbrzymim trudzie,
 Dociec nie można z jakowej pobudki
 Zasnął snem twardym— czyli, mówiąc bez ogródki,
 Umarł— jak wszyscy umierają ludzie.

Długo mówiono, że duch nieboszczyka
 Zwykle o północnej porze
 Z tamtego świata powraca,
 I po dawnemu u swego stolika
 Półki zaświtają zorze,
 Pisze i^o xięgi przewraca.
 Myślałem:— zwykły wymysł to człowieczy!
 Aż oto i w samej rzeczy
 Kiedym przyszedł zabierać znajome szpargaly,
 Co mi się w udział dostały,
 Znalazłem w opuszczonym dawno gabinecie
 Wszystko w porządku, tak jak przy poczcie,
 A na stole, rękopism tylko co skończony,
 Bo pismo mokre, świeżo przysypane piaskiem.
 I w strachu, i zachwycony
 Niespodzianym wynalazkiem,
 Zabrałem z radością szczera,
 Pamiątkę przyjaciela w tych szmatach papieru,
 Do których prócz dawnych baśni,
 Przybył jeszcze szpargał nowy
 Świeżo napisany właśnie;
 Boć i styl w nim pogrobowy,
 I mogilna metafora,
 I zapach z tamtego świata,
 Zdradzają dzieło upiora,
 Jeżeli nie warjata.
 A jeszcze dowód najpiękniejszy,
 To sam tytuł owych wierszy:
 „Raz po śmierci.”

Teraz, gdy przeszło lat wiele,
 Gdy już i przyjaciele i nieprzyjaciele
 Nieznajomego poety
 Przenieśli się do wieczności;
 Gdy już nikt mu nie zazdrości
 Ani ciepłego mieszkania,
 Ani dobrych serc kochania,

Ani nieszczęść przecierpianych,
 Ni szacunku lub przyjaźni,
 Ni popędów wyobraźni,
 Których często był ofiarą,
 Ni trochy Bożego daru,
 Gdy już nikt mu nie zazdrości,
 Obojętnej publiczności,
 Przynoszę jego legendy;
 Czyli zasługą na względy
 Ja niewiem— i nieboszczyk nie troszczył się o to
 Pisząc z serdeczną ochotą
 Dla swęj serdecznej pociechy.
 Grzeszny był człowiek— lecz opłacił grzechy
 Tulactwem— tęsknotą długą,
 I ciężką ludziom wysługą.
 Sądźcie go jak poetę— lecz jak Chrześcijanie.
 Westchnijcie:— „Wieczny pokój racz jemu dać Panie.”

Leon Janiszewski.

Pisałem w Zamku Dobośnie
 1841.

OD AUTORA.

Szokko wspominać, co się dawniej czuło!
 To moja słabość.— Dobry czytelniku!
 Możesz mnie nazwać nieznośnym gadułą,
 Albo moję powieść biedną,
 Cicho, bez wielkiego krzyku
 Rzucić pod stolik— ręczę ci honorem,
 Że jestem grzecznym autorem,
 Dla którego wszystko jedno,
 Czy czytasz moję powieść czyli Magiellonę.
 Każdy z nas ma słabą stronę.
 Przebaczymy sobie wspólnie— mój sposób najszczerzy:
 Bądźmy przyjaciółmi oba;
 Ty, nie czytaj moich wierszy,
 Ja, pisać będę, co mi się podoba.

I tak— choćby ta powieść, (biorąc literalnie),

Wyciągła się tak fatalnie

Jak nos panny...— lub ogon Komety,

Niestety! jeszcze niestety!!

Choćby mnie Zoilów chmury

Zę świętej Parnassu góry,

Do samego jej podnoża,

Pośród przeklęstw, krzyku, trwogi,

Ściągnęły gwałtem za nogi,

Niech się dzieje wola Boża!—

Wyrzekam się Pegaza— wolę żyć piechotą;

Lecz nie skrócę powieści ani jedną jotą.

Nikomu świata pochwały,

Ni dziwnych darów natchnienia,

Biedny śpiewak nie zazdrości.

O! dla mnie droższe wspomnienia,

Droższe pociechy, któremi jaśniały,

Chwile niestartej przeszłości.

I teraz,— gdy mnie do niej tęskna myśl unosi,

Wskrzeszając pamięć dawnego kochania,

Chętną ofiarę z moich wspomnień robię

Prześlicznej czarodziejce!— wesołemu dziecku!

I tobie najlepsza! Tobie,

Coś mi zdarzyła pociech i radości tyle!

I z którą chwilę zimnego rozstania,

Trudniej mi było przeżyć niżli wszystkie chwile

Brzemienne nieszczęściami, hańbą i zgryzotą,

Które nademną ciężą— i co mnie przygniota!



PIÉRWSZY RAZ W ŻYCIU.

Nice! mia Nice addio!

METASTAZIO.

Wie Träume fliehen die wärmsten Küsse
Und alle Freude— wie ein Kuss!

GOETHE.

—o—o—o—

„Czy Pani lubi śledzie?” zapytałem skronnie

Moję sąsiadkę przy stole sniadania.

Ona zadrżała— i zwracając do mnie

Pytające spójrzanie i strwożone lice

Rzekła w pół głośno: „mama mi zabrania...”

„Lecz jeśli Pan tak grzeczny...” nie czekając dalej,

Pędem pioruna skoczyłem po sali,

I stojący daleko talerz ze śledziami

Postawiłem między nami.

Z biciem serca, z drżeniem ręki,

Wzięła kawałek małejki,

I niosąc do ust, jej wzrok pół przyćmiony

Spoczął na mnie z wyrazem czułości i trwogi.

Ten wzrok zdawał się mówić: „dla ciebie mój drogi

Gotowam połknąć owoc zabroniony.”

Rumieniec, jak ten którym róża płonie,

Oblał dziewicze jagody,

Mnie, strumień potu wystąpił na skronie;

Śledź jak karmelek w ustach się roztopił;

Szukam ratunku w szklance zimnej wody,
Lecz ni'm ostatnią kropelkę jej dopił
Już było późno! — już z całym zapalem

Grzeszną sąsiadkę kochałem.

Sąsiadka moja, która tak zdradziecko
I miło sercem moim ovladala,

Było to przesliczne dziecko.

Dwódziestu... może dwódziestu dwóch lat;ek;

Miła jak wiosna, rokoszna jak kwiatek,

Jak galka śniegu okrągła i biała;

A tak ulotna i ludząca oko

Jak ten bąbelek, co z mydła wydęty,

Z technieniem oddechu wznosi się wysoko.

I barw tysiąca rozłącza pęczki;

A tak pulchniutka jak morel pieszczony,

Gdy na nim pęka rumiane odzienie,

I u zielonej gałązki zwieszony,

Samym widokiem łechce podniebienie.

Oczki figlarne, — a ich wzrok jaskrawy,

Często tak zdradnym migotał polyskiem,

Jak błędny ognik po nad trzęsawiskiem,

Lub świętojański robaczek wśród trawy.

Nosek... prawdziwie jestem w zatrudnieniu...

Lecz jak Historyk skąpy na pochwały,

Których prawdziwość podpada wątpieniu,

Muszę tu wyznać, że to był nos cały,

Nawet kaliber jego ważny i staranny,

Zdałby się dla pałata prędzej niż dla panny.

Lecz i to nie jest zbyt blahym przymiotem;

I krótko mówiąc, był to nos jedyny

I właśnie w moim gościu; — może z tej przyczyny

Że i mnie Bóg podobnym obdarzył klejnotem.

Jej usta były tak jak pączek róży

Gdy już rozwija pożądliwe lono;

Szyjka jak słońce, gdy przyświeca z burzy,

Pod ciemnych włosów jaśniała osłoną.

Rączka w pulchniutkie otulona ciało;

Lecz z niej zbyt czerne przeglądało zdrowie,

Więc choć drobniuchna, nie była dość białą.

Kibić, jak zwykle przy niskiej budowie,

Ani dość wzniosłą, ni zbyt miała wcięta;

Nóżkę dość zgrabną, gdy w trzewik ściśniętą.

Z resztą, tak była jak morel pieszczony
 Gdy na nim pęka rumiane odzienie,
 I u zielonej gałązki zwieszony
 Samym widokiem lechce podniehienie.

Już miesiąc mijał jak byliśmy razem,
 I gwałt zadając serdecznej potrzebie,
 Nie zdradziliśmy ani pół wyrazem,
 Wzajemnej chęci mówienia do siebie.
 Lecz jakież powody przecie
 Tego dziwactwa, tych męczarni bez winy?..
 O! naturalnie, że były przyczyny;
 Wszak bez nich nie się nie dzieje na świecie.
 Z nich najważniejsza, by nie szukać dalej,
 Była— żeśmy się kochali.

Ten czas, pełen roskoszy, życia, zachwycenia,
 Jest najpiękniejszą bytu kochanków ozdobą,
 Gdy nic nie mówią usta— lecz dusze, spojrzenia,
 Tak pojętnie, tak wiele rozmawiają z sobą.
 Jedna myśl ich zajmuje— toż czucie jednoocy;
 On się rumieni— ona spuszcza oczy,
 I szczęśliwi roskoszą nie dzieloną z nikim,
 Dla reszty świata tajemnym językiem
 Zda się, że chcą wyrazić te namiętne słowa:
 „Najmilsza! luby! na co nam rozmowa?!”

O! czemuż chwila Platonicznych marzeń,
 W której roskosz tak czysta, — szczęście tak niedrogie—
 Życzenia tak niewielkie— pociechy tak błogie—
 Wszystkie mgnienia osnute przędzą miłych wrażeń;
 Gdy tak wesoło na świat Boży wзираć,
 Tak błogo kochać w każdym bliźnim brata,
 Gdy wyższa roskosz nad roskosze świata
 Jest, tylko patrzeć, mileć i umierać;
 Czemuż ta chwila lotem błyskawicy
 Pała i gaśnie?— czemuż po tej chwili,
 Z niewinnych pociech miłości dziecięcej,
 Z szczęśliwych czasów, któreśmy przeżyli,
 Prócz żądy w piersiach, oprócz łez w źrenicy
 Nic— nic nie zostaje więcej?!

Święta jest miłość jak Stwórca miłości!—
 Lecz zaledwo w ludzkiem łonie
 Przez krótką chwilę pogości,
 Zaledwo ludzki oddech ją owionie,
 I już skalana dotknięciem namiętnem
 Czernieje brudnem, niezatartem piętmem.

Wtenczas jakaś myśl tęskna, czarna, tajemnicza,
 Gnieździ się w piersi człowieka;
 Posępny, kirem dni jego powleka,
 Cięży w oddechu— przeswieca z oblicza,
 Wiąże się z bytem, na jawie i we śnie,
 Przytomna wiecznie— boleśnie.

Ona pamięć i wolę w ciężkich więzach trzyma;
 Od niej, wąta rozumu broń nie zabezpiecza.
 Ta myśl, jak nagie ostrze Damoklesa miecza
 Świeci natrętnym blaskiem przed duszy oczyma.

A w owym blasku pociąg tak uroczy,
 Tak pożądliwie straszny— tak zabójczo miły,
 Że człowiek drży z bojaźni— lecz niema dość siły
 Zakłęte odwrócić oczy.

I przeczuwa nieszczęście, i próżnem staraniem
 Chciałby na nowo kochać— dawniejszem kochanem—
 Wrócić choć pozor szczęścia, które już uciekło,
 Przytłumić głos wewnętrzny i oszukać siebie!—
 Wtenczas usta chcą mówić o szczęściu— o niebie,
 A w sercu żądza— i piekło.

Mocarzu świata! pełna sprzeczności istoto!
 Cząstko Bóstwa! prochu lichy!
 Dziwaczny zlepku nicości i pychy!
 Technieniem nieśmiertelności ożywione błoto!
 Człowieku! pomyśl nad sobą...
 W łańcuchu stworzeń na świat rozpostartym cały
 Których jesteś tyranem i chcesz być ozdoba,
 Obacz!— jakieś niekzemny, jak podły, jak mały!

Z czegoż się chelpisz tułające plemie,
 Wygnane z swój ojczyzny i niebem wyklęte,

Którego pierś niszcącym zallona płomieniem,
 Ażeby wszystko, co drogie, co święte,
 Zabójczém owionąć technieniem,
 Z czegoż się chelpisz tulające plemie?!—

Żeś panem ziemi?— że masz smutne prawo
 Owoc z jej łona wydrzeć pracą krwawą,
 Wiecznie walczyć z żywiołami,
 I tak jak Syzyf nienawistne brzemię,
 Dźwigać i dźwigać,— a potem tę ziemię
 Swojami zasłać kośćcami?—

Żeś panem czucia?— że twém sercem miota
 Myśl obwały, szczęścia, przyjaźni, kochania?
 Że dla uciech masz uśmiechy,
 Że masz dla żalu lzy rzewne?
 Ale niestety! sąże te pociechy
 Tak przeciągłe i tak pewne
 Jak boleści rodzenia— boleści żywota,
 I jeszcze, boleść skonania?—

Codzień cię strata bolesna dosięga;
 Codzień twojej czułości urągają losy.
 I cóż, że czujesz nieszczęście,
 Gdy cała twoja potęga
 Tak z bezsilnością spleciona zdradziecko,
 Że możesz tylko z rozpachy rwać włosy,
 Tylko rozhrwawić o pierś własną pięście,
 Tylko zapłakać jak dziecko?

Żeś panem myśli i rozumu panem?
 Aby tą myślą wzbijać się w niebiosy,
 By tym rozumem w cud stworzenia wglądać,
 I wiecznie łaknąć— i wiecznie pożądać
 Słońca objawień— orzeźwienia rosy!
 A nie pamiętasz, że ten kto zuchwale
 Jasnowiedzenia wykradł iskrę z nieba,
 Jęczy przykuty na Kaukazu skale!
 Że dociekania niezbędna potrzeba,
 Szponami sępa szarpie nam wnętrzości!
 Że nad ogromem ludzkości,
 Cięży los Prometeusza!

Ze siła nasza z naszą wolą sprzeczna,
 I by nas wieczna dręczyła katusza,
 Z wieczną żądzą spojona niedoleżność wieczna?!

Może ta rokosz niewinna i cicha,
 Która marzy bez żądy— bez burzy oddycha,
 Którą dusze kochanków w milczeniu się poją
 .Jest chlubą, jest dumą twoją?—
 O! tak— mógłbys się chlępić— lecz ta chwila bytu,
 .Jest-że trwałą chociaż tyle,
 .Jak młodości krótkie chwile?

Albo tyle przynajmniej jak spoczynek błogi
 Dziecka, gdy strudzone zaśnie?—
 Lub choć tyle jak promień napowietrznej drogi
 Po której gwiazda w przestrzeniach błękitu,
 Pławi się— taje— i gasnie?—
 To krótkie mgnienie, o! nie jestże raczej
 Ową bezecną rachubą żarłoka,
 Co wprzód nim smacznym kąskiem się uraczy,

Milcząc nie spuszcza zeń oka,
 I wciąga parę korzennej przyprawy
 Póki smak wzbudzi ponętą widomą;
 Potém napada— tak jak tygrys krwawy,
 I pożera go łakomo?
 Nadludzkie cnoty nie są w mocy ludzi!—
 Jak sen przemija wysilenie cnoty;
 Żwierzęcy instynkt śpiącą żądzą budzi,
 I człowiek łaknie człowieczej pieszczoty.
 I słiczne cacho, które go dziś mami,
 Cel natchnień, z którym dusza ożeniona,
 Jutro, przycisnął do brudnego łona,
 Rozbil— i zdeptał nogami.

Tak dziki lew zamknięty w warownem więzieniu,
 Leży w spokojuem, zdradliwem uspieniu;
 Lecz niechaj tylko ciepłej krwi polize,
 Lub poczuje mięso świeże,
 I wraz wściekłością miotany,
 Biję o żelazne ściany,
 Potrzęsa zjeżoną grzywą,
 Otwiera paszczę krwi chciwą,

Zbójczem migoce okiem, przeraźliwie ryczy
I łaknie krwawej zdobyczy.

Dla nas, przeszła już kółej milczącej miłości,
Nieznana burza dotąd nieznamomój trwogi,
Zwiała pogodę z czoła, z serca pokój błogi,
I nawet pamięć przeszłości.

I ja zachciałem mówić— chęć nieukrócona
Owładnęła mą myślą; by skończyć cierpienie
Postanowiłem pierwszy przerwać to milczenie.
Lecz jak przerwać? jakiego trzymać się sposobu,
By skryć to, co oddawna wiadome nam obu?
Od czego wszecząc rozmowę?— Śród naszego grona
Wielomówstwo nie było wcale we zwyczaju;
Ledwo niekiedy brzmiały przerywane słowa,
A samotność rokoszą— przymusem rozmowa;
Każdy milczał jak Turek gdy marzy o raj, u
A gdy szanowne grono zbierało się razem,
Było Kwaków posiedzeń istotnym obrazem.

O! jakże często człowiek w swych wyroczeniach chybia!

Słyszałem gdzieś— sam nawet tego byłem zdania

Że dobroć cnota barania,

Cierpliwość zaś wielbłądzia— a milczenie— rybia.
Lecz dziś inaczej twierdzę— owszem stoję przy tém,
Że te cnoty są zdawna ludzkości zaszczytem;
Bo, że pominię szkołę Pitagoresową
W której milczenie było mądrości osnową,
I ten tylko jej wieńca mógł się być spodziewać,
Kto całe pięć lat zdołał przemilczeć i ziewać;
I dziś ród nasz zawstydzą nieprzyjazne sądy;
Bo małoż dźwiga istot nasz świat ukochany,
Wiecznie niemych jak ryby— dobrych jak barany,
I cierpliwych niż wielbłądy?!

Było to przy śniadaniu;— w tej solennej porze
Zwykłe człek z większym męstwem i w lepszym humorze,
A głodna osobistość sama sobie rada,
Słodkiem zajęta życiem, nie dba o sąsiada.
Jakiż to czas szczęśliwy dla trwoźnej miłości!
Nikt nie strzeże kochanków— nikt im nie zazdrości,
Nikt rozmów nie podsłucha. O tak! w mojem zdaniu,
Miłość najwygodniejsza przy dobrém śniadaniu.

Siadłem przy niej, i z boku, za rąbka osłoną
 Widziałem jak jej białe pracowało łono.
 „Tak!— teraz, albo nigdy!— w piekle, albo w niebie!”
 I wciągnawszy ogromny haust powietrza w siebie
 Żeby się nie zachłysnąć niezwykłą osnową,
 Rzekłem pół głośno dziwnie wypieszczoną mową:
 „Czy pani lubi śledzić?” słowem, i tak dalej,
 Jak wyżej— aż do miejsca: „żesmy się kochali.”
 Wkrótce po tej rozmowie w chwilę wickopomną
 Przyjęła w swój pamiętnik moje Muzę skromną.



WIERSZ NAPISANY W PAMIĘTNIKU.

O n a.

1.

Zaczyna piosnkę— tak słodko, tak snadnie,
 Z natchnionćj piersi dźwięki się unoszą,
 Który z tych dźwięków do serca zapadnie,
 Wieczną w niem będzie odbrzmiewać roskoszą.
 Leją się tony z posepną słodyczą,
 Smutne, przeciągłe jak piosnka tułacza.
 Zda się, że śpiew ten myślą tajemniczą
 Wspomina przeszłość— o przyszłość rozpacza.
 Ale niedługo brzmi posepne echo;
 Przerwany akord— i żywym przewrotem
 Drobne paluszki jak Zefir pierzchają,
 Grzmią po klawiszach niedojrzanym lotem,
 I każdy klawisz odbrzmiewa pociechą,
 I tony piosnki śmieją się, igrają,
 I już się serce z trwogą nie użala,
 I słyhać tylko: „la la la la la la!”

2.

Patrz... zamysłona!— myślą młodocianą
 Zda się ulatać w krainę pamiętek.

O! powiedz piękna! tak wczesnie, tak rano,
 Ledwie wiosennych dni zaczawszy wątek
 Gdzież mogłaś zebrać natrętnie wspomnienia?
 Któż mógł trwożliwe myśli ci narzucić?
 Ona spojrzala— dosyć zamyślenia!
 O czem jój myśleć! i nad czem się smucić?!
 I jak motylek z skrzydłami złotemi
 Pierzchnęła z krzesła, skoczne kręgi toczy,
 Nuci piosenkę— i taniec ochoczy
 Zda się, do nieba uniesie ją z ziemi!

3.

Ona pracuje— patrz, z jaką ochotą
 Splątane pasma jedwabiu roskręca!
 Już nic nie widzi— nic ją nie przywęca,
 Ona jedynie zajęta robotą.
 Spuszczone oczki, zatrudnione lice,
 W drobnych paluszkach igielka połyska,
 Z takim pośpiechem, że choć jestem zbliśka
 Zaledwo okiem jój polot zachwycę.
 Lecz cóż to znaczy?— przestaje i rzuca,
 I chce się gniewać, i znów śmiać się zacznie....
 Cóż ją tak śmieszy? co ją tak zasmuca?—
 Z zbytniej uwagi przyszyła opacznie!..

4.

Czyta— o! stokroć zazdroszczę Poccie
 Komu Bóg taką czytelniczkę zdarzy,
 Piękną jak Anioł— w lat porannych kwiecie,
 Z gotową łezką lub uśmiechem twarzy;
 Kto inny, książkę przeczyta i składa,
 Lub chłodnym sądem waży jój zalety,
 Ona,— ach! jaka rozkosz dla poety!
 Tak cheiwie czyta, tak téj książce rada,
 Tak niecierpliwa poznać tajemnice
 Téj pięknej, czulej, téj twórczej powieści,
 Że razem cztery przewraca stronice,
 By upragnionéj doczytać się treści.
 Lub gdy ją śliczne zachwyca obrazy,
 Nie mogąc z miłym rozstać się przedmiotem,
 Jedną stronicę czyta dziesięć razy

I z zachwycenia sama nie wie o tem!
 Stokroć szczęśliwi i godni zazdrości,
 Którym Bóg taką czytelniczkę zdarzy.
 Prześliczna! błagam — i mnie, choć z litości,
 Między lubionych chciej przyjąć pisarzy.
 Nie chcę ja chciwie cudzych nagród chwytąć;
 Moje życzenia skromne i najszczerze,
 Po dziesięć razy cudze czytaj wiersze,
 Moje — raz jeden chciej z chęcią przeczytać.
 W pełnym szacunku i uwielbieniu rymie,
 Nie chciałem żadnym trwożyć cię wyrazem,
 Ja w nich marzyłem tylko myślą skromną,
 Że one może kiedyś ci przypomną,
 I kilka chwilek przepędzonych razem,
 I nieznanome reszcie świata imię.

Jeszcze w kilka dni potem, między wspomnieniami
 Co na stole, pod stołem leżały plikami,
 Przybył jeden szpargalik — oto takiż treści:
 (Proszę przeczytać — on nie nie przerwie powieści).

SZPARGAŁ ZE WSPOMNIENIEM.

J a.

Wymówże, wymów ten wyraz żądany!

Bo tak jak miłość w twém oku,

I on nabędzie nowego uroku,

Twojami usty wydany.

O n a.

Na cóż mam mówić? czyż mowa niesmiała

Zdolna wyrazić tę roskosz tajemną,

Od której płonę, taję i drzę cała,

Gdy z tobą mówię — gdy ty jesteś ze mną?

J a.

O! pozwól rączkę— niech się z nią napieszczę,
 Niech wycaluję paluszki z osobna.
 O! śliczna rączka— pulchniutka i drobna!..
 Smaczne paluszki!— jeszcze... jeszcze... jeszcze...
 Pozwól całować..

O n a.

Dosyć tój swawoli!
 Czyż jeszcze wątpisz o mojem kochaniu?

J a.

O! ja wscelszy— i serce mniej boli.
 Lecz czy mnie kochasz? temu zapytaniu
 Chcesz zbyt blahemi zrównać dowodami.
 Lecz gdybyś, gdybyś swą główkę piezczoną
 Skłoniła z chęcią na kochanka łono,
 I pozwoliła mojemu ustami
 Słodycz ust twoich wypić w zachwyceniu...
 Ah tak!.. tak... droga! w tém roskosznuem mguieniu,
 Ja już nie wątpię.. owszem.. mówię szczerze,
 Wierzę w twą miłość... lecz chciałem żartować...

O n a.

A! mam cię zdrajco! przestałeś całować? !
 Teraz ja twojej miłości nie wierzę.

O śledzie! jakiegokolwiek są wasze postacie,
 Wędzone czy w marynacie,
 Śledzie! na wieki wieków sławne wasze imie!
 Wy, jak nieboszczki gęsi w nieboszczyku Rzymie....
 Lecz cóż to?. ona wbiega pomieszana cała...
 — «Dla Boga! co się stało?»— «Mama przyjechała,»—
 I z tym wyrazem znikła.— Aa!.. przyjechała?!
 Rzekłem z nienaturalną, przeciągłą ziewotą,
 A z nią i apostrofa do śledzi zaczęta
 Znikła jak ręką odjął;— z resztą, mniejsza oto...
 Choć to myśl nowa.. piórem poetów nietknięta..

Może sławę jak miłość dałyby mi śledzie..
 Jeszcze pomysłę — może potem się powiedzie...
 Rzucam pióro — i ręce pograżam w kieszenie,
 Jak gdybym tam stracone chciał znaleźć natchnienie,
 I wyciągnawszy puste z próżnego polowu,
 Podpicram brodę pięścią, chwytam pióro znowu.
 Ziewam drugi raz, trzeci — i w kwaśnym humorze
 Chciałem zobaczyć, co też dzieje się na dworze? —
 Patrę — i długo patrę — wzrok utkwiony w oknie,
 A w wyobraźni insze przedmioty się kryją;
 Więc nie wiem czy świat suchy, czy też deszczem mokuje;
 Jakże widzieć? gdy oko zasłonięte myślą?
 Ha! pomyślałem sobie, humor nie do cacek!
 Ten humor zabrudzony jak raz pod Balladę,
 Jak arkusz kaligrafji pod świąteczny placek.
 Siadłem — i com napisał, do joty tu kładę.



BALLADA.

I.

Czyście widzieli jak na łysą górę,
 W jakiejś strasznej tarapacie,
 Leci baba na łopacie?..

Jój lot straszny... jój wzrok dziki,
 Wiatr siwych kłaków kosmyki
 Po zmarszczonym łbie rozmiata;
 Podkasana krajką szmata
 Wisi na niej lachmanami.
 Ścisła w garści zgubne ziele,
 I nad lasy, nad topiele,
 Nad górami, nad dołami,
 W jakiejś strasznej tarapacie,
 Leci baba na łopacie!...

2.

Spała baba ciężko, głucho —
 Lecz kot czarny miauczy w ucho,

Straszną wieścią babę budzi:
 „Ze w podwładnym jej obrębie,
 Jest dwoje szczęśliwych ludzi.”
 Jękla baba opętana,
 Aż hły zatrzeszczały w gębie,
 Cap łopatę— hyc z tapczana—
 Chwyta z półki zgubne ziele—
 Czmycha w komin— i z wiatrami
 Po nad lasy, nad topiele,
 Nad górami, nad dolami
 W jakiejś strasznój tarapacie,
 Leci baba na łopacie!

3.

„Przyleciała!! przyleciała!”
 Krzyczy Synagoga cała.
 Maciorę Kahału wita.
 Ta wraz wilkołaka chwyta,
 I nuż, poszli w sprosne tany.
 Za nią Wiedmy i Szatany,
 Wampiry i Koczodany,
 Djabeł leśny, Djablik błotny,
 Kusy Niemiezyk cienki, psotny—
 Rusalki i chude Zmory,
 Szpetne Karły i Upiory,
 Baba-Jaga— Koszczéj stary,
 Dziwolągi i Poczwary,
 Z ptasim dziobem, z kozłą nogą,
 W płasach, całą Synagoga.

4.

Po szabacie, Kahał siada,
 Baba dziwną wieść powiada:
 „Ze między ludźmi, na świecie,
 W takim a w takim powiecie,
 Pod jej osobistą władzą,
 Mimo własne trudy, znoje,
 Jest szczęśliwych ludzi dwoje.
 Pyta, co w takim zdarzeniu,
 Bracia i siostry poradzą?”

Krzyknął Kahal w zadziwieniu :
 „O! to dziwy! wielkie dziwy!
 Na ziemi człowiek szczęśliwy!
 A jeszcze, szczęśliwych dwoje!
 Lecz na co te niepokoje?
 I na co radę kahalu
 Zaprztać rzeczą tak małą?
 Posłana Zazdrość wśród ludzi,
 Niech się Zazdrość nad tęp trudzi,
 Dopomoga jej sąsiedzi...”
 Niechcąc dalszej odpowiedzi
 Baba krzyknie w złości cała,
 Aż łysa góra zadrzała:
 „Dwóch szczęśliwych! to rzecz mała?!
 Lecz gdzie dwoje, tam i trzeci!”
 I już baba na łopacie,
 W jakiejś strasznej tarapacie,
 Trzęsąc w garści zgubne ziele,
 Po nad lasy— nad łąpiele,
 Na zniszczenie szczęścia leci!

Jak to? już pojechała? tak prędko, tak wczesnie?

Prawdziwie— zdaje mi się, że to wszystko we śnie!

Bądź przeklęta Ballado! i ty, babo stara

Mojej Ballady przedmiocie!

Bądź przeklęty czarny kocie,

Coś tyle próżnych wierszy wyciągnął zdradziecko,

Wtenczas, gdy zdrady ofiara,

Moja kochana— mile, dobre dziecko,

Opuszczała ten dom miły,

W którym przebywania chwile,

Najmilsze z chwil życia były;

W którym pociach, szczęścia tyle,

Dobre serca mi zdarzyły;

W którym gościnna ochrona,

Z szlachetnością połączona,

Przyjaźń, i słodkie kochanie

Na wieki w sercu zostanie.

Plakać... nie plakać?.. o tak! plakać trzeba!

Nie prędko obdarzą nieba

Taką roskoszą serca w rozpieszczonym bycie,
Taką wesolą, tak dobrą kochanką.

O! niechaj z mojem szczęściem kończy się i życie!

I z straszną przyszłości wzmianką,

Pobiegłem do pokoju— i w żalu zapędzić

Postanowiłem umrzeć— umrzeć nie na żarty!

Ale i tu los uparty,

Pożądaniem końca rozstawił przeszkodę,

A naprzód— żadne zabójcze narzędzie

Nie podpadło mi pod oczy.

Więc topić się!— lecz jakże topić się bez wody?

Powiesić się!— si!— to śmierć czarnego motłochu,

Godna Kartusza,— albo szewca Herostrata.

Nic— ja chcę śmierci godnej podziwienia świata.

Tak! siądnę na beczce prochu,

Zapalę sobie fajkę— i wsadzę do środka.

Brawo!— bomba rozpęka— lud ucieka w trwodze,

A mnie djabli rozaoszą w cztery świata strony.

Ah! może głowa padnie na dalekiej drodze,

I z jej pojazdem się spotka!

I jeszcze spójrzę na nią trupiemi oczyma,

Może jej śmiech pieszczony...

Lecz cóż? fraszka!— prochu nie ma!

A szkoda! śliczny zamiar na ten raz nie służy.

Przecież— gwałtem umrzeć muszę;

Wyższy nad ludzkie siły ciężar co mnie gniecie;

• Nie mogę— nie chcę żyć dłużej.

Aby nie myśleć długo, sam siebie zaduszę.

Adieu mon plaisir!— żegnaj miły świecie!

Żegnajcie śliczne, których wspomnieniem się pieszczę!

Które kochałem,— które miałem kochać jeszcze,

Żegnajcie! !....

Padłem na łóżko nieprzytomny sobie,

I chcąc wraz z życiem przekroczyć nieszczęście,

Oddech wstrzymałem— i ścisnąwszy pięście

I nos, i usta'm zatknął hermetycznie.

W głowie szum powstał, i siłą dziwną

Świat zdał się krążyć— a po krótkiej dobie;

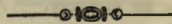
Straciłem czucie, i— zasuąłem smaczno.

Z początku spałem snem takim,

Jakim śpi w grobie nieboszczyk poczciwy,

Co trudnym życia brnąc śladem,
 Był wszelkiej cnoty przykładem,
 I wreszcie, wiekiem sędziwy,
 Przed ostatecznym momentem,
 Urzędowym testamentem,
 Jedną część swojego mienia,
 Zapisał na szpitale i domy poprawy;
 Drugą, na ekwje i żałobne pienia;
 Trzecią jak Filantrop prawy,
 Biednej zapisał sierocie,
 Któręj był dobrodziejem, a ona mu długo
 I czułą przyjaciółką i życzliwą sługą.
 W końcu zapisał dla krewnych
 Czułe błogosławieństwo i kilka łez rzewnych,
 Które, chociaż, mówiąc szczerze,
 Prędko wyschły na papierze,
 Jednak świadczą rozlaną w atramencie plamą,
 Że był dobrocią i czułością samą!

Reszta snu trwożnym gniotła mnie uciskiem
 Jak sen upiora, gdy w gołe źrzenie
 I w obnażone potępieńca lice,
 Xiężyc złowieszczym zamigoce błyskiem;
 I on, wstrząśniony fatalnym promieniem,
 Klnąc zgubne światło co go z trumny budzi,
 Z rozdartą piersią i dzikiem spójrzeniem
 Idzie, odbierać złorzeczenia ludzi.
 Koło mnie straszne krążyły potwory:
 Salamandry, Sfinksy, Gnomy,
 Harpije, Strzygi i Zmory,
 I rój duchów żywemu oku niewidomy,
 Który zapelnia ziemię, powietrze, niebiosy,
 Równie żyjąc w płomieniach jak w kropelce rosy.
 Potem, jakby dotknięte laską czarnoxieżką,
 Te ómy widziadel we mgłę rozpierzechły się ciemną;
 Mglę pochłonał wiatr głodny— i nagle przedemną
 Rozwinął się widok grodu
 Straszna trzęsienia ziemi burzonego kłęską.



TRZESIENIE ZIEMI.

S c e n.

Dzień był przy samym schyłku— słońce u zachodu
 Jakby zwiastując straszną śmierci tajemnicę,
 Krwawym całunem zasłoniło lice,
 Powietrze dusznym znojem nad ziemią ciężało;
 Trwożna niemoc naturę owionęła całą;
 I było ciche, uroczyste mgnienie,
 Które zaczyna trwoga,— a kończy zniszczenie!
 Już jak burza oddalona
 Huk podziemny szumi w dali;
 Potém, jak piorun z chmur łona
 Niesiony na wichrów fali,
 Trzęsie wnątrz ziemi grzmot głuchy;
 Zda się, Szatan rozgniewany
 Na nieukrócone duchy,
 Granitne Erebu ściany
 Burzy, roztrąca i wali.
 Ziemia drży— jej przestwór cały
 Siłą wewnętrznąj podniety
 Marszczy się w kłębiaste grzbiety
 Jak wichrem pędzone wały.
 Z usiłowaniem straszliwém,
 Jej powierzchnia się wydyma;
 Zda się, że w jej łonie żywém
 Ćma potępieńców miota się i zżyma;
 Lub nie chcąc nosić dziwotworów plodu
 W boleśnej chwili rodzenia,
 Poroni gniazda nowego plemienia,
 Strasznegu olbrzymów rodu.
 Aby na nowo huntownicze tłumy,
 Niedgdyś stracone w otchłanie Erebu,
 Niezawistnemu zagroziły niebu
 Wzniesioném ramieniem dumy;
 Aby nanowo po piętrach Babelu,
 Dumni szaleńcy darli się za chmury,
 Lub góry tłocząc na wysokie góry,
 Marne ofiary zuchwałego celu,

Pod zdruzgotaną rąk własnych budową,
 W otchłań nicości przepadli na nowo.
 Lecz cóż to?— Zwalisk trzask srogi,
 Huk podziemny— wycie trwogi,
 I straszne przekłętów odgłosy
 Biją pod same niebiosy.

Spójrzę na miasto— przebóg! Któż wypowie

Tę chwilę groźną zniszczeniem?

Potrząśnione w swęj osnowie

Wieże wzniesione ku niebu

Drżą, i chwieją się, i kłonią,

I nie tknięte ludzką dłonią

Dzwony, jęczą smutnem brzmieniem

Trwogi, śmierci i pogrzebu.—

Zda się, wściekle huragany

Bój zapamiętały wiodą,

Burząc nienawistne ściany

Co im stanęły przegrodą.

Walką zwaśnionych żywiołów

Z dawniej wyparte posady

Szczyty gmachów i kościołów

Ściela się w martwe gromady.

Rynki, ulice i domy

Piętrzą się w masę bezwładną;

Ścierzą— i wraz się rozpadną

W ruin milczących ogromy.

Jakaś potęga niszcząca

Miota tą olbrzymią bryłą;

Dźwiga ją— płaszczy— rozrąca

W stosy gruzu— w chmury pyłu.

Przez odłamy— przez szczeliny,

Przez pól zburzone nakrycia

Tych ścian co się jeszcze chyła,

Tu i ówdzie reszta życia

Pasuje się z śmierci chwilą.

Gdzież tłuny co zaludniały

Rynki, ulice, pałace,

Których przed niedawną doba

Pieśni przy toastach brzmiały;

Których czyny, których prace

Miały być dziejów ozdoba,
 I wiecznej pomnikiem chwały!
 Tam słycać tylko jęk głuchy,
 Albo bluźnierstwa wybuchy
 W chwili strasznego konania;
 Słycać tylko kobiet łkania,
 Głos drżący w przedśmiertnej męce,
 Starców, kalek rzewne modły,
 Aby ich silniejsze ręce
 Z paszczy zniszczenia wywiodły.
 Widac̄ tylko śród zniszczenia
 Jakies̄ cienie biegające,
 Jakies̄ szaty migające,
 Włosy na wiatr rozpuszczone,
 Ręce w niebo wyciągnięne,
Oh!! to matki!— tylko matki—
 Gdy wszystko stamtąd uciekło,
 Biegna w to zniszczenia piekło,
 I pod lecącą ruiną
 Na kolebkach dzieci giną!
 A zresztą— wszystko ucieka
 Za kres nieuchronnej zguby.
 Nie ma tam— nie ma człowieka,
 Tam są tylko samoluby!
 Ich rozum— strachem przyćmiony,
 W ich myślach— instynkt ochrony.

Starce! nie wołaj syna— próżny głos;

Matko! nie wołaj córki— próżne łzy;

Gdy straszny zguby grozi cios

Nie macie dzieci wy!

Dziewico! próżna rozpacz twa

I próżny płacz powrotu nie wyjedna;

Wszak nie po roskosz wracać ma?

On pragnie żyć— a ty umieraj jedna!

Patrz!— jak ten tłum nikczemny roztrąca się, tłoczy,

Chciwie unosząc życie za zniszczenia gruzy!

Jak te ziejące usta— obłąkane oczy,
 Jak te postacie Meduzy
 Z strasznym wysileniem biega!
 Na tym tłumie ludzkich twarzy
 Żadnie uczucie ludzkości
 Przelotnym blaskiem nie gości.
 Na nich, tylko gniew się żarzy,
 Tylko żądza swój ochrony,
 Tylko przestrach wypiętniony.

Tak jest!— nad wszystkie żądze, które od powicia
 Gnieżdżą się w piersi ludzkiej— rozradzają z wiekiem,
 Jedna tylko żądza życia
 I z nią ściśle porodniony
 Zwierzęcy instynkt ochrony,
 Ma najwyższą moc nad człkiem.
 On jest silniejszy nad chwałę u świata,
 Nad miłość ojca, kochanki i brata,
 Nad wszystkie w świecie miłości!
 Jedno tylko jest czucie wielkie z poświęcenia,
 Świat rzadko je dostrzega— nigdy nie ocenia.
 W odartym wiencu ludzkości
 Jest to ostatni brylant— jaśniejszy od słońca;
 Jego trwałość odwieczna— blask jego bez końca.
 To miłość— miłość jedyna
 Zdolna przynieść z całości i z życia ofiary;
 Tak jak Bóg święta— tak jak Bóg bez miary...
 Miłość matczyna!...

Łaskawy mój czytelnik łatwo się domysli
 Że ten, kto te słowa kryśli,
 Jest to ten sam męczennik własnej wyobraźni,
 Który za uśmiech pięknej, za słówko przyjaźni,
 Gotów kochać ją— tydzień;— a marzyć— bez końca,
 Któremu noc zbyt jasna— zbyt ciemny blask słońca;
 Kogo pomysłność nudzi— długie zdrowie gniewa,
 Kto od radości płacze,— a z rozpaczy śpiewa;
 Wiersze z potrzeby pisze— je chleb ze zwyczajaju,
 A z sercem tak otwartym dla pieśczęt miłości,
 Że w nim, jak tłum wędrowny w karawan seraju
 Tysiące wrażeń zmieści się— przegodzi.


I po wczesnych dniach przesytu
 Zuika bez śladu pobytu.

Jest to ten sam nareszcie kto w niedawnej dobie,
 Po rozstaniu z najmilszą, w okropnej żalobie,
 Nie znajdując sposobu nędzne skończyć życie,
 A chcąc przemieść się duszą za miłym obrazem,
 Zrobił, co najlepszego mógł zrobić tym razem,

To jest— wyspał się sownie;
 I jeżeli przecucia nie mylą go wieszczę
 Z równych przyczyn wyspi się nie raz w życiu jeszcze.

— o i c i e —

WIADOMOŚĆ O SARBIEWSKIM.

óg miłosierny nieupodlił ziem Słowiańskich genjuszem w obliczu Europy,— ale genjusze nasze nie miały szczęścia do admiracji obszerniejszej nad zakres ścisłe domowy. Południe i zachód usługując się uniwersalnemi językami, tak przeważny wpływ wywierały na resztę świata, iż stało się niejako prawidłem, że genjusz i talent, aby nie był zapoznanym, powinien być obok innych warunków, tłumaczyć się po łacinie lub po francuzku. Południe i zachód były sędziami genjuszu, a mowa Słowiańska, jako mało dla obcych dostępna, spowodowała tę fatalność do dziś nad nami ciążąca.

Pod tym jednak względem niegdyś Polska była szczęśliwszą. Genjalni jej ludzie piszący językiem Rzymskim, a więc mogący stanąć do porównania z obcemi, odbierali dank swój zasłużony. Nasz Kopernik zmienił oblicze nauki Astronomicznej, a laury Watykańskie któremi uczczono Petrarke, na które zasłużył Tasso, ocieśniały czoła naszych Szymonowiczów, Janickich, Sarbiewskich.

Tu będziemy mówić o tym ostatnim. Kolosalna sława w którą go świat przyodziął, godną jest abyśmy z uczuciem rodzinnej dumy, przebiegli życie i pisma wielkiego poety rodaka, abyśmy poznali jego talent, i na ziemi naszej wznowili pamięć zasłużoną wieszczą, który był chlubą ziemi naszej przed obcemi.

Wziąwszy przed się powrócić mowie rodzinnej Sarbiewskiego, pojmujemy trudności i ważność naszej roboty, i ze drżeniem do niej się bierzemy. Czując jednak, że się dopełnia obowiązek, pochlebając sobie, że nas nie będą sądzić za to czegośmy z braku sił uczynić nie byli w możności, wróżąc nadto, że prace nasze,

zdołniejsze czyjeś prace wywołają,— przemożmy naszą obawę i poczynajmy w Imie Boże!

Pocznijmy od biografji naszego poety *).

X. Maciej Kazimierz Sarbiewski, urodził się w roku 1595 w zacnym domu województwa Płockiego, z ojca Mateusza Sarbiewskiego i matki Anastazji Milewskiej w rodzinném gnieździe Sarbiewie, o milę od miasteczka Płońska. Z razu w Pułtusk, a potem w Akademji Wileńskiej biorąc nauki, wstąpił do Zakonu Jezuickiego w 1612, licząc wieku lat nie pełna 17. Tu w pośród nauk teologicznych, począł probować w poezji młodzieńczego pióra, witając Stanisława Kiszkę w roku 1618 osadzonego na biskupiej Żmudzkiej stolicy,— a wkrótce potem wielce sławna w dziejach naszych epoka, uderzyła wyobraźnię poety, i pióru jego szerszy wskazała zakres. W roku 1619 Osman Sułtan Turecki wypowiedział wojnę Polsce,— strach paniczny rozległ się po ojczyźnie — zebrany sejm jednogłośnie wręczył osieroconą po Żółkiewskim butawę Janowi Karolowi Chodkiewiczowi. Przyszły bohater Chocimski, rzucając ojczyznę i młodą małżonkę, idąc na nierówny los walki, ufał jeno opiece N. P. M., i ufundował Jęj Kościół przy Kollegium Jezuickim w Krozach. Poszedł zwyciężać, zwyciężył i niewrócił. Piękne to było pole dla poety! Kolejno: postać bohatera pełnego wiary i nadziei, powitanie go, modły za niego, dobre dlań wróżby, hymny nakoniec zwycięzkie— były przedmiotem pióra Sarbiewskiego, przedmiotem godnym starożytnych wieszczów, z którego się w licznych odach i epigramatach, po mistrzowsku wywiązał.

Te nader obiecujące proby, zwróciły snadź uwagę zwierzchności Jezuickiej, zrozumiano, że genialny młodzieniec przyniesie zaszczyt zakonowi, wysłano go więc dla dalszych nauk na widniejszy zakres, do Rzymu-stolicy chrześcijańskiego świata. Po pełnej przygod podróży, którą odbył Sarbiewski w towarzystwie Jana Grużewskiego, Jędrzeja Rudominy, Oswalda Krigera, i Mikołaja Zawiszy, przybył do Rzymu w r. 1622 i trafił właśnie na chwilę, kiedy Kardynał Maffens Berberini, sławny niegdyś Nun-

*) Żywot Sarbiewskiego kilka razy po polsku, a kilkanaście po łacinie już napisano,— trudno więc nam coś nowego powiedzieć. Nie dalej jak w bieżącym roku. Xiądz Kitkiewicz przy swoim tłómaczeniu Hymnów Kościelnych (Wilno Druk. Marcinowskiego 1848.) skreślił życie Sarbiewskiego tak dokładnie, a razem piórem tak pięknem, iż gdyby nie wzgląd na prawo własności przepisałibyśmy je tutaj całkowicie.

ejusz we Francji, pod imieniem Urbana VIII. zasiadł stolicę Ś. Piotra. Tu prędko oceniono naszego genialnego rodaka. Uczony Papież, synowiec jego Franciszek Berberini, Alexander i Jordan książe Brakeyanu, wszyscy oraz co znakomitsi i uczeńsi w Rzymie, zaszczykali go, a raczej zaszczykali się jego przyjaźnią. W ciągu 5-letniego pobytu w Rzymie, studiując filozofję i teologję, miał jeszcze czas rozczytywać z zapamiętaniem klasyków rzymskich, złożyć tyle poetycznych hołdów Urbanowi VIII. i innym swoim znakomitym przyjaciółom, być powiernikiem i organem Watykanu w sprawie (wtedy mocno obchodzącej dyplomatykę) wypędzenia Turków z Europy, odpowiedzieć zaszczytnie wezwaniu na redaktora i poprawcę hymnów kościelnych *), wykładać w wolną chwilę od nauk swój traktat filozoficzny «De Acuto et Arguto» nakoniec okiem gorącego Antykwarjusza, śledzić z Alexandrem Donatem pomniki wielkich czasów starego Rzymu, i z uzbieranych tu materiałów począć dzieło «De diis gentium.» Te niemiernie prace, a głównie prawdziwie staro-rzymska poezja, nie dziw że mu zjednała sławę i oklaski, że go Urban VIII. uwieńczył laurem poetycznym, że go przy odjeździe udarował medalem ze swoim wyobrażeniem.

Wrócił do Polski nasz poeta w 1627, w towarzystwie Kryspa Lewińskiego. Jak każdy niemal krok życia, tak i tę podróż upamiętnił swoją poezją. Komuż się niepodoba jego radośne powitanie ojczyznego źródnika, jego pierwszy rzut oka na Polskę z gór Karpackich, jego nakoniec śpiewek do Lewińskiego, który mu wesołość w podróży naganiał.

Został potem Sarbiewski professorem Krasomowstwa w Akademji Wileńskiej, a następnie Filozofji i Teologii. Tu udarowany został od Króla Władysława IV. złotym pierścieniem, który odkazany przezeń Akademji, długi czas służył za insygnium doktorujących się członków. Wkrótce wezwany na nadwornego kaznodzieję, był z Królem jeszcze raz za granicą u wód Badeńskich pod Wiedniem, gdzie na intencję królewską złożył odę do Ś. Stanisława Kostki. W Wilnie i Warszawie w pełni rozwinął swój poetyczny talent, wszystkie niemal wypadki krajowe opiewał,

*) W hymnach brewiarzowych poprawionych za Urbana VIII. wszędzie znaleźć ślad redaktorskiej ręki Sarbiewskiego. Oddawna tradycja przyznawała hymn «ad regias agni dapes» samemu Sarbiewskiemu, hymn oraz na rocznicę zwycięstwa pod Chocimem, jak się trafnie domyśla uczony znawca przedmiotu Xiądz Kitkiewicz w świeżo cytowanym dziele, jest także ręki Sarbiewskiego.

wszystkich niemal wielkich ludzi epoki, miał przyjaciółmi. Tamże pracował nad poematem epicznym Lechijadą, który mu pono z niemłą szkodą literatury skradziono.

Na posiadzie kaznodziejskiej dokonał życia w Warszawie dnia 2 kwietnia 1640., mając niespełna lat 40. Pogrzebiony w Kościele Jezuickim w Warszawie bez żadnego nagrobku. Marmurowa jego statua zdobiła bibliotekę Załuskich, a medalem z popiersiem Naruszewicza i Sarbiewskiego, ozdobił Król Stanisław August piersi Naruszewicza.

Dzieła poetyczne łacińskie Sarbiewskiego:

- a) Pieśni lirycznych (*Lyricorum*) ksiąg V.
- b) *Silvudia* (Zabawy leśne) części X.
- c) *Miscellanea*.
- d) *Epigrammatów* xięga I. (CXLVII).
- e) *Poezje pośmiertne* (*posthuma*).

Z tych pieśni liryczne przełożyliśmy w obecnym— a dalsze zamieścimy w następnym Zeszytcie naszych Przekładów.

Nadto pisał Sarbiewski następne dzieła łacińskie prozą:

- a) *Mowa* na przeniesienie ciała Ś. Kazimierza do Wilna 1637.
- b) *Mowa* do Władysława IV., gdy w Akad. Wileńskiej ozdabiał insygnium Doktorów Teologii, Wilno 1637.
- c) O doskonałej poezji (*De perfecta poësi*) ksiąg 4-ro.
- d) *De continuo Phisico* (dziełko Teologiczne) ksiąg 4-ro.
- e) *De diis gentium*. Ksiąg 4.
- f) O Bogu jednym i troistym. (*De Deo uno et trino*).
- g) O Aniołach (*De Angelis*) dz. teolog.
- h) Nakoniec: mowy kaznodziejskie w językach polskim i łacińskim, oraz korespondencja.

Poezje Sarbiewskiego miały i mają olbrzymią i klasyczną sławę. Wydawca Strazburgski *) nalicza około dwudziestu częściowych, i kompletnych wydań jego poezji, dokonanych we wszystkich krajach Europy. My sami widzieliśmy z pięć edycji, niepoliczonych w tym spisie, śmiało więc można naznaczyć trzydzieści wydań Sarbiewskiego. Któryż wstawiony poeta południa lub zachodu pochłubi się tylu edycjami?

Przyczyną tej sławy jest po większej części łacina tak mistrzowska, tak bliska do Rzymskiej złotego wieku, że w czasach klasycyzmu, rodak nasz zdaniem całej Europy, stanął obok wiekopomnych Augustowych śpiewaków.

*) Obaczyc *Math. Casimiri Sarbiewii Carmina*. Argentorali ex. Typogr. Societatis Bipontinae.

Formą liryczną zbliżał się Sarbiewski do Horacjusza, stąd nazwano go *Horacjuszem Polskim*. Zasłużony epitet, tytuł chlubny, jeśli go z punktu pojęć klasycznych uważać zechcemy. Nasze jednak inne jest zdanie o Sarbiewskim: choć nieraz zapożyczył wyrażenia, sparafrazował myśl starożytnego pisarza, Sarbiewski jest *sobą samym*. Między rzymskim dworakiem a polskim Jezuitą oprócz dykcji niewidzimy wielkich podobieństw, wyjąwszy może palenie kadzideł możliwym tego świata, co u Sarbiewskiego było wadą stanowiska, u wieszczu zaś Rzymskiego wadą ledwo że nie własną. Zresztą, jeśli duchem Rzymskim zwykliśmy nazywać ducha męski, energiczny, twardy, i ślepy gdzie idzie o cnotę, toć prędjéj nazwę Rzymianinem Sarbiewskiego niż Horacjusza.

Sarbiewski w poezji jest klasyk, erudyta, deklamator, u niego wzory i poetyka są bóstwem. A przecież jak jest niespodziany w swoich myślach i zwrotach, jak silny w uczuciu, jak oryginalny w słowie. Prosimy tylko przejrzeć te gorące ody, któremi ten godny poprzednik Bajrona wołał na Europę, aby skruszyła kajdany ziemi Hellenów,— te jego religijne westchnienia, lub ten głos do swoich przyjaciół i opiekunów. Czy jest to naśladownictwo? czy raczej męska rywalizacja z ubóstwionymi przez się klasykami? czy sucha deklamacja? czy nazwa naśladowcy Horacjuszowego, przynosi Sarbiewskiemu chlubę, czy ubliżenie?

Antu mu liczymy za winę przejęcia się klasycyzmem, wtrącenia osób i wypadków mythologicznych do rzeczy obcych, a nieraz religijnych; bo naprzód upoważniał go do tego przykład ówczesny, nęciła wielkość i niezaprzeczone poetyczność mythologicznych obrazów,— a powtóre, te osoby i obrazy tak się zrosły z wytworniejszą mową, a główne z poezją łacińską, iż można je uważać za coś nierozdzielne. Niemógł Sarbiewski w XVII. wieku ich nieużyć.

Zarzut jaki my uczynimy naszemu Poecie, jest to zbyt klasycyzm, kosmopolityzm, obojętność na rzeczy krajowe. Rzadko odzywał się o wypadkach, miejscach i osobach polskich,— po Pindarowsku wychwalał Zygmunta III. i Władysława IV., a czy to zwycięstwo Chocimskie, czy pokój Polanowski, u niego gotowa klasyczna forma, którą tylko do wypadku przystosowywa. Nie wiele ma Od czysto-narodowych, a i tych połowę pisał jakby niechętnie, jakby tylko za natchnieniem Łubieńskiego.

Tego to poetę chcąc obecnie wskrzesić w naszym przekładzie, znaleźliśmy twarde zawady. Myśl, że probowały tłumaczyć Sarbiewskiego pióra daleko zdolniejsze, a jednak musiały tylko prze-

stać na częściowych próbach, które w ogólności niewiele nas zaspokoily;— ta mówię myśl wstrzymywała nasz zapał. Porównywaliśmy przekłady poprzedników naszych z oryginałem, znaleźliśmy piękne podobieństwo, ale mało ognia który ożywia oryginał. Badaliśmy w myślach przyczyny, i odkryliśmy: że zbyt uczona wierność, odbierała życie przekładowi; że chcąc poszanować każdy wyraz i jego miejsce, zapomniano, iż Sarbiewski pełen klasycznej erudycji, a jeszcze pełniejszy myśli, zamykał się w niezmiernie małej liczbie wyrazów, że usiłując słowo w słowo tłómaczyć robiliśmy się o różność ducha języków, przekład będzie zimny, a praca nadto widoczną.

Godzi się zatem (według nas) tłómaczowi poezji, zostawić grammatykom ślęczenie nad mistrzowską dykcją Sarbiewskiego, a w zamian starając się (ile siła starczy) o podobny kunszt w języku polskim, używać z resztą téj swobody, ile zwykliśmy jęj mieć tłómacząc prozą,— godzi się zapomnieć, że krytyka może postawić wyraz przeciw wyrazu, i gromić nas za drobiazgową niewierność. Trzeba tylko przejąć się, przejąć się, i przejąć się duchem poety, każdą myśl jego przewarzyć w sobie, czasem przeciąć węzeł gordyjski zamiast go rozwiązać, czasem mniej szkrupulizować z jakim pogańskim bóstwem, niekiedy Tethys nazwać morzem, a Feba słońcem, i zawsze tłómacząc kogoś być sobą,— szanować myśl, liczbę wierszy, a nawet o ile można wyrazy, ale przede-wszystkiem szanować duszę utworu, i nie uronić jęj ani cząstki w przenoszeniu na inny język. Naturalnie, że te warunki narażają tłómacza na większą pracę, i na drażliwą wiecznie pozycję między Scyllą a Charybdą. Czym z nięj szczęśliwie wybrnął? niech sądzi pobłażliwy czytelnik.

Drzymie niekiedy i boski Homer, zdrzymał czasem i nasz Sarbiewski,— a jeśli jego tłómacz w takich miejscach naprawdę zasnął, niech go właściwa ludzom ułomność przed czytelnikiem wymówi.

Władysław Syrokomla.

d. 14 Września

1848.

ODY SARBIEWSKIEGO.

PRZEKŁAD WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

— o i c i o —

II.

DO NAJŚWIĘTSZEJ PANNY.

CHÓR PACHOLĄT.

PEWŃCIE dziewicze pienia
 Na cześć Królowej Świata!
 Co jako skra płomienia
 Przez modry strop przelata.

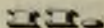
Niech arfy się odezwą,
 Niech grają rzewne fletnie,
 Strona grająca rzeźwo
 Niech takt wspaniale przetnie!

CHÓR DZIEWIC.

Rycerscy młodzieńcy, zagrajcie z zapalem
 Na surmach i kotłach dokola,
 Niech trąba Marsowa wojennym sygnałem,
 Królowę po świetcie obwoła!

OBA CHORY.

Niech nasze obawy, niech rozbrat nasz hrwawy,
 Niech przodków zawziętość i swary,
 Od naszej ustroni wieczystie odgoni
 Daleko na dzikie Tatary.



DZIELNOŚĆ SZLACHECICA POLSKIEGO

WISZNIOWSKIEGO,

który gdy w walce za ojczyznę poległ, Turcy jego
 serce między sobą podzieliwszy, pożarli.

O młodzieńcy! o szlachetni!
 Patrz Lewiński! cześć im, cześć!
 Jak tańcują taktem fletni,
 Jak umieją toast wznieść.

Z swych pawęży stół zrobili,
 Z hełmów puhar— co' się zda?
 Spełni rycerz w jednej chwili
 Szyszak wina aż do dna!

Lecz Wiszniowski, mąż Sarmacki
 Iuszy pewno rycerz był,
 Co w gorącej bitwie Trackiej
 Wstrzymał zapęd trackich sił.

W pośród hrwawych kup Tatara
 On się dzielnym Marszem zda,
 Krew szlachecka, krew mu stara
 Niedaremno w sercu drga.

Tego Turków dziec szalona
 Kiedy w moc porwała swą,

Wyrybała serce z łona
I jelita z ciepłą krwią.

I pożarła— rojąc w głowie
Nabrać męztwa, pozbyć strach,

O zbryzgani krwią Getowie,
Nie wam bić się jako Lach!

Potomności! uderz w miecze

I wojenny zagraj śpiew,

Nicch się Turka pierś rozsiecze,

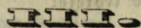
I Sarmacką odda krew.

Wiszniewskiego krew wypita

Na co ma w ich żyłach stać,

I zwierzące ich jelita,

Bohaterskiem ciepłem grzać?



DO RYCERSTWA POLSKIEGO,

**gdy Władysław Królęwicz Polski po pokonaniu Os-
mana pod Chocimem d. 10 Październ. 1621, zwycięż-
kie wojsko na złmowe leże odprowadzał.**

Czy uwierzycie? ho! wiercie potomni

Że złaman Turęk przez wasz miecz zwyciężski!

I że nakoniec męże wickapomni

Mir zaszczepili na polu ich kłęski.

Jakiż to przepłoch siadł na Turka czole,

Jakże to z placu unosił się szczerze,

Kiedy Władysław swe dzielne rycerze

W kształtnej falandze rozwinął na polu!

O! struchlał Turęk i drżał gdyby listek,

Pocił się Arab, kiedy zwrócił oko

Jak Dunaj krwią ich zafarbowan wszystek
Szedł krasieć Bosfor nieczystą posoką.

Gdy nasze wojsko uderzy na wroga
Kiedy berdysze po tarczach mu zgrzytną,
Z piersi Tureckich uderzyła trwoga
Aż pod Stambułu basztę starożytną.

Zbroczając we krwi piersi i pałasze
Wzięliśmy sławę czy w zysku? czy w stracie?
Czy wy potomni te przykłady nasze
Weźmiecie z dziadów i wnukom podacie?

Bo ileż razy haniebnie się zdarza
Że rządne wnuki choć szlachetne przodki,
Że bohaterskie plemię się przetwarza
I płodzi tylko karły i wyrodki.

Ach! jeśli na nas idzie taka kolęj,
Więc stare herby, orężę i dzieje
Wrzućmy do ognia, niech zgorzeją wolęj
A z niemi nasze dzisiejsze trofeje!

I marmurowe pra-ojców pamiątki
I historyczne ich sławy odblaski,
I ich obrazy, ich trumny, ich szczątki
Wproch rozetrzujemy, zrąbajmy na trzaski.

Lub gdy nas gniewa spoczynek niedbały
Dajmy przysięgę w jednostajne słowo,
Że sami dla się i zwycięstw i chwaly
Pójdziem się z trudem dobijać na nowo!

O Królewicu, niech cześć twoja wzrasta,
Jako już teraz obleciała skoro
Ziemię i ludy, i wioski i miasta, —
Słabego świata dostojna podpora!

Miecz Polski znowu krwi Tureckiej wola,
Niechże już dłużej nie wisi na ścianie,
Daj jeno hasło, postawimy czoła
Przeciw zastępóm co stroją poganie.





DO RYCERSTWA POLSKIEGO.

1630.

Jakim się wiekiem potomność poszczyci
 Ja wam wywieszczę, słuchajcie Lechici—
 Ojcóm w ich grobach wypłacajcie długi,
 Nie maźcie herbów i godła zasługi.

Choć herb ojcowski w losie niejednakim,
 Nie zawsze bywał dobrej wróżby ptakiem—
 Zmieni się jednak da szczęśliwszych dzieci,
 Kiedy go cnota swym blaskiem oświeci.

Nie darmo herby i szlacheckie karty,
 Nie darmo w tarczach gryfy i lamparty,
 Czyliż Sarmata dla chluby niewieściej
 I lwy i smoki na proporcach mieści?

Któż to przodkując Lechitóm na czele
 Strony Bałtyckie zagrzebał w popiele?
 Kto wiernie idąc do sławy niemarnęj
 Przymusił zadrgać Ocean polarny?

Tu Szwed się zżyma— tu armata grzmoce,
 Morze się pieni i warem klekoce,
 I echem jęczy— ówdzie nawa z nawą,
 Rycerz z rycerzem bije się na krwawo.

Jakiż to młodzian w morderczym zapasie
 I w ogniu rzezi bohaterem zda się?
 Miecz jego ciężki, nieugięta szyja,
 Włócznia zwycięzko nad Szwedem wywija.

Na ziemi Szwedkiej przed twojemi dzieli
 Wieże i mury na oścież stanęły,

Twa krew w ojczyźnie i granic już niećna,
Człó laurowa wieńczy djadema.

Lud w murach Wilna ciebie *wielkim* zowie,
Dank twojej chwały śpiewają w Krakowie,
Tyś drugi Typhis, który idąc z nami
Okował morze twardemi cugłami.

Plony Marsowe pozbierałeś żyznie
Na morskiej fali, na ziemskiej płaszczyźnie,
I topiel wodna i horyzont cały,
Poznały imie dostojne, poznały.

O! każdodziennie gdy wieczór szarzeje
Wnuhóm Sarmaci śpiewajcie te dzieje,
Dwukróć i trzykroć i młodzi i starzy
Liry i harfę Niżowych gęślarzy.

Jutro nas może zawolają uagle,
Czy na koń siadać, czy ruszyć pod żagle,
Grom i błyskanie przeraża nam zmysły,
Znów chmury dzieczy nad nami zawisły.

.

Kto z was rycerzem w Chrześcijanskim rodzie?
Rycerze! prędcz na łodzie! na łodzie?
Prędcz na mury niech się każdy chwyta,
Gdzie straż zaniedbał Turecki bandyta.

Rozwalcie baszty, okopy i tamy,
Rozbijcie mury, rozerwijcie bramy,
Pora już omyć sromotę nareście
Ze świątyń Bożych w Bizantyńskim mieście.

Ha! tryumf! tryumf! Sarmata w Bosforze,
Narzucił pęta na Marmora morze,
Gród Konstantyna zalał krwią i potem
I wschodnie Państwo wskrzesił swym brzeszczotem.

Cześć! cześć i chwala niechaj zabrzmie z wieży,
Laurów na skronie, laurów na rycerzy!

Dwoisty tryumf dla Sarmackich męży,
Gdy się lupieżca z Kartagi zwycięży.

.....

A potem miecze zbite na poganach,
W uilym pokoju zawiesim na ściannach—
I mąż bohater z zapalem na twarzy
Dziela wojenne małżouce wygwarzy.

Na lonie pełnem bohaterkiej cześci
Mężką prawicą swą działwę popieści,
Żelazny pancerz i przylbice krwawe
Małym wnuczétóm odda na zabawę.

.....

Wkrótce bohater porzuciwszy włócznię
Z miłą małżonką pod drzewem wypocznie,
Lub bając działwie o przebytej burzy
W bliskim potoku swój puhar zanurzy.

Lichwą i czynszem nie upadnie wioska,
Nie zgubi ludu przedajność sędziowska,
Prawda zagodzi wszelki proces główny,
Lub przy kielichu żarcik polubowny.

A chciwość zysku, lub żądza honorów,
Przestanie pukać do bogatych dworów,
Nie weźwie mężów droga słomilowa,
Żona nie będzie samotna jak wdowa.

Na zawsze wstąpi rolnikóm do lona,
Szacowna miłość sielskiego zagona,
Czy przyjdzie żniwem pracować we skwarze,
Czy wiosną skibę kroić na poparze.

Na wierniej roli nie próżne oranie,
Zboże kłosište jako las powstanie,

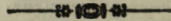
Bowiem zagonów co plużą dla ludzi,
Perz nie zagluszy, zielsko nie zabrudzi.

Lecz krasne róże i białe lilije,
I śnieżny nardus swe liście rozwije,
A na zagonach z nadzieją widoczną
Kłosa jak fala kolysać się poczną.

Znijdzie obfitość Opatrzności Bożej,
W ulicach miejskich mieszkanie założy,
Zazielenieją pagórki i knieje
Róg obfitości szeroko rozleje.

O niech się ziści co widzę mym wzrokiem,
Nazwą mię wielkim wieszczem i prorokiem
Letni starcowie i dziatwa i pauny,
Hymn mój zanocą w odgłos nieustanny.

Próżno! daremne uwielbienia ku mnie
Będę już truchleć popiołem we trumnie,—
A przecież ciemne grobowisko moje,
Opaszą laury, bluszcze i powoje.



DO NIEMIEC

wrzących wojną domową.

Na co ta ciżba w groźnej postaci?
Na co nam wzdymać wojnę cywilną?
Czyż wam tak słodko, czyż wam tak pilno
Napawać ziemię krwią waszych braci?

Schowajcie szablę mężni Giermani,
Schowajcie szablę, niech się nie nuży,

Cezar łup inny ukaże dla niej,
Szablę na Turka głowę usłuży.

Łagodny Cezar nasze ramiona
Każe uzbroić do innej chwili,
On bez trudności Turka pokona,
I lud Mongolski ku ziemi schyli.

Zrzućcie pancerze Węgierscy męże,
Porzućcie strzelać ku wspólnej szkodzie,
Ferdynand bowiem nie przez orężę,
Lecz miękkiem cugłem rządzi w narodzie.

Tobie hołduje lud z nad Dunaju
Wielki jednawco wzburzonej ziemi,
Tobie po całym Sykambrów kraju
Brzękoce narod mieczmi czynnemi.

Świat złagodzony rzuciwszy noże,
Stare zwaliska naprawić krząta,
I święte wczasy na długo może
Przyszyły, jak goście naszego kąta.

Na krwawej ziemi, tam gdzie się bito
Pług chleborodne rozkrawa darnie,
Ręką ujęty miecz pracowita,
Znie teraz snopy, przekosy garnie.

W czubatych hełmach siedzą ptaszyny,
I wrzaskiem wiosny pieją dla ucha—
Na tarczy gołab' jak stróż jedyu,
Wierniej małżonce piosenkę grucha.

Chwała jak słońce paląc pochodnię,
Leci przez świata ziemie olbrzymie,
Lud Iberyjski, i ludy wschodnie
Uczy wymawiać Cesarские imię.

Ku większej twojej radości,
 Wyciągał ekstrakt mądrości,
 Lili tylko z twoich słowników.
 Bo pytam ciebie kolego
 Co nam obudwóm z Lindego?
 Tyś lepszy, choć mniej ostry, zny,
 Bo czyż nie z twojej szeczodoty
 Wydrapałem się z hołoty
 I jestem Jaśnie Wielmożny (?) *).

3.

Ohy dla wszystkich widomie
 Stańło piątro na twoim domie;
 Piątro piękne— murowane—
 I podłogi woskowane,
 Po których, ohy hasały
 Twoje córy ukochane
 I Rajgura mały.

4.

A twój ogród na Folwarkach
 Do którego niósł na barkach
 Z Nad brzegów Niemna i Newy,
 Nasiona rzadkie i krzewy—
 Ohy się rozrósł— i z czasem
 Obdarzył cię pięknym lasem—
 A ty sobie w jego cieniu
 W miłym serea zachwyceniu,
 Dumal i dumal szczęśliwy,
 Niezmaraszczywszy nigdy czoła,
 I wydumał wielkie dziwy...

Aż wreszcie nadejdzie chwila,
 Że i twój ogród wywoła,
 Jakiegos może Delilla,
 Który wynuci, wyspięwa,
 Twoje czyny,— twoje drzewa.

*) Słownik Polsko-Rosyjski, podług którego do pierwszego stopnia sztab-officerskiego przywiązana już jest Jaśnie Wielmożność.

5.

Czasu nie wstrzymasz— on bieży—
 A więc z czasem Rajgurzanki,
 Oby oddały swe wiązki
 Przechacnej naszej młodzieży.

Zaś Rajgurzątko dziś male,
 Pełne figłów, w skokach cale,
 Niech sobie rośnie i rośnie,
 Zawsze mile, zawsze zdrowe,
 A jak się całkiem rozwinie,
 Zaraz w pierwszój życia wiosnie,
 Jak kot skacząc po drabinie,
 Wdrapie się w służbę rządowę
 I przebiega— czyn po czynie *).

A kiedys może... w dalekiej przyszłości,
 (A przyszłość nie zawsze z róży)
 Skulony będziesz siedział przy kominie,
 I rozmyślał o wieczności,
 Tój nieodzownej podróży...
 A w tym, jakby na waletę,
 Nad życia twego gasnącym wieczorem—
 Podadzą tobie gazetę;
 A ty zawołasz „o Boże!
 „Co widzę? być że to może?
 „Rajgura Gubernatorem!”
 I z tym na uścich pociechy wyrazem,
 I duch twój uleci razem!

Ale tymczasem,
 Żyj Rajguro
 Sto lat zgórą—
 Ja niegodne krusząc pióro
 Powiem: WIWAT— mój Rajguro!

Gordawa.

30 Listopada 1846 r.

*) Stopień — ranga.

K R Y T Y K A.



HISTORYCZNA LITERATURA WE FRANCJI I NIEMCZECH w ostatnich latach.

*Historja swobody myśli i wyznań w pierwszym wieku
Rzymskiej Monarchji i Chrześcijaństwa.* Berlin 1847.
przez **Ad. Szmidta.** *)



AJMUAĆ SIĘ z miłością szczęśliwszemi i nie tak zawikłanemi epokami greko-rzymskiej starożytności, uczeni wieku przeszłego mało pracowali nad obrobieniem czasów Monarchji. Wyjątek stanowią, suche lecz obszerne i sumienne prace Tilmana (pierwsze wydanie *Histoire des Empereurs* etc., wyszło w 1700 r.) i wielkie dzieło Gibbona, który wiele zawinił Tilmanowi. Wszakże od niejakiemu czasu epoka ta zaczęła zwracać na siebie szczególną uwagę nie tylko samych historyków ale i wszystkich myślących czytelników. Szlosser poświęcił jęj większą i lepszą część swojej starożytnj historii. Z licznych monografij wywołanych tą dąžno-

*) Geschichte der Denk- und Glaubensfreiheit im ersten Jahrhundert der Kaiserherrschaft und des Christenthums v. Ad. Schmidt.

ścią, dzieło Hrabiego Szampani: *Rzymskie Cezary*, wiadome jest całej europejskiej publiczności. Winno ono swoje powodzenie więcej trafnemu wyborowi treści, niżeli wewnętrznej swój wartości. Szampani jest dyletantem. Jego znajomość historyków powierzchowna i niedokładna, pogląd na przedmiot niewyraźny i często fałszywy. Lecz żywo pojął niektóre analogje i postawił ostatnie losy starożytnego świata jako *memento mori* nowo-czesnym społecznościom zachodniej Europy. Z podobnym celem napisane jest dzieło Szmida, wydawcy wychodzącego w Berlinie historycznego dziennika. *Historja swobody myśli i wyznań* bez wątpienia zajmie w nauce miejsce wyższe od *Rzymskich Cezarów*, lecz znajdzie daleko mniej czytelników. Takiem jest powszechny i po większej części zasłużony los książek niemieckich. Pomimo ciągłego ślęczenia nad starożytnymi wzorami, niemieccy uczeni nie umieli przejąć od nich tajemnicy estetycznego i żywego wykładu. Ztąd często się im zdarza mówić o wiecznych pięknościach greckiej sztuki językiem, który może zmusić do powątpiewania o wpływie tej sztuki na gust jej wielbicieli. Pocieszenie jest, że wielu przypisuje tę zupełną nieudolność nadania formy, wrodzonej plemiennowi germańskiemu *gruntowności* (Gründlichkeit).

W całej historii ludzkości zaledwo się znajdzie oddział tyle nau czający i pobudzający do myślenia, jak ostatnie czasy rzymskiego świata. Upadły republikańskie formy, lecz Monarchja co ich miejsce zastąpiła zmuszoną była walczyć ze wszystkimi żywiołami społeczności. Dla niej zarówno były nieprzyjazne jak wspomnienia stanu społeczności tak i jego nadzieje. Religijne przekonania narodów były wstrząśnione przez naukę, lecz nauka z kolei odpowiada smutném wyznaniem własnej niemocy na gorące pragnienie umysłów zmordowanych powątpiewaniem i przeczeniem. Wszędzie rozlana cywilizacja przestała być dobrodziejstwem. Formy jej były estetyczne, ale treść zepsuta. Zjawyły się niestyczne, potworne kształty występku, a w związku z nimi cały literacki kierunek. Bezrozumna systematyczna rozpusta Markiza *de-Sada* nie jest zjawiskiem nowém w historii. A tymczasem ta rujnująca się, chorowita społeczność pod względem zewnętrznych środków rozwoju, nie wiele ustępowała naszej. Książka Pana Szmida zawiera znaczną ilość faktów potwierdzających tę myśl naszą. Zresztą wnioski niemieckiego uczonego nie zawsze są niechybne: często wyraźnie unosi się chęcią pokazania nie tylko podobieństwa, ale nawet wyższości cywilizacji starożytnej nad nową tam, gdzie taka wyższość miejsca mieć nie mogła z przyczyn nader pojętych.

Pyszniąc się słusznymi korzyściami jakie daje wynalazek druku, większa część nowszych uczonych utworzyło sobie nader ciasne wyobrażenie o środkach rozprzestrzeniania utworów piśmiennych, będących w użyciu u starożytnych. Może niektórym z naszych czytelników wiadome są ciekawe poszukiwania o tym przedmiocie znajdujące się w dziele P. Żero pod tytułem: *Essais sur les livres dans l'antiquité, particulièrement chez les Romains*. Do materiałów zebranych przez swego francuskiego poprzednika, Pan Szmidt dodał kilka nowych i ważnych postrzeżeń. Słusznie robi on uwagę, iż rzadkość i drożyzna rękopisów w średnich wiekach dały powód do mniemania, że toż samo było u Greków i Rzymian. Trzeba sobie przypomnieć, że w średnich wiekach przepisywaniem ksiąg zajmowali się prawie wyłącznie mnichy, pomiędzy którymi piśmiennych i zdatnych do takiej pracy było nader nie wielu. Rękopisy po większej części zostawały w klasztorach: nie wiele przeznaczonych na sprzedaż dostatecznie zadowolniały małe potrzeby towarzystwa zajetego wcale nie literackimi interesami. Wszakże u starożytnych, szczególnie u Rzymian, wszystkie gałęzie przemysłu zostające z literaturą w związku, osiągnęły wysokiego stopnia rozwicia. Brak typograficznego warsztatu zastępował znający pismo niewolnik—maszyna starożytnego świata. U każdego bogatego rzymianina byli własni poddani bibliotekarzami, lektorami, przepisywaczami, którzy panów swoich uczonością przewyższali. Nawet kobiety wyższego stanu utrzymywały przy sobie ukształcone niewolnice, które czytały im głośno greckich i łacińskich pisarzy. Autor nowego dzieła posyłał je do swych znajomych: natychmiast pojawiały się liczne kopje, które roznosiły wiadomość o niem po wszystkich kręgach towarzystwa. U Pomponjusza Attyka, przyjaciela Cycerona, był ogromny zakład w rodzaju typografji i księgarni. Mnóstwo niewolników zajmowało się wyłącznie przepisywaniem ważniejszych dzieł nowych i dawnych, inni przygotowywali materiały dla oprawy i pisania książek. Takim sposobem Attyk wydał Akademiczne Badania, Oratora, listy i część mów Cyceronowych. Wiadomo nam też, że mowa za Ligarjuszem była rozprzedana z wielką korzyścią. Zresztą kwitnący stan księgarskiego handlu w Rzymie i prowincjach, zaczyna się z początkiem Monarchji. P. Szmidt cytuje (str. 123) cały szereg znakomitych księgarzy 4-go wieku po Nar. Chrystusa. Urządzenie księgarń było nader podobne do terażniejszego. Zachęcające, zewnątrz przyklejane ogłoszenia o nowych książkach obudzały ciekawość w przechodzących: wewnątrz w tak nazwanych *gniazdach* stały mniej więcej ozdobnie oprawne książki. Do tych

księgarń przychodzili nie sami tylko kupujący. Tu zgromadzało się ukształcone towarzystwo dla rozmowy o literackich i innych nowościach; czynność ówczesnego księgarza była więcéj zbiorową niéżli dzisiaj, gdyż u niego była fabryka samego towaru, to jest, przepisywano rękopisy. Tą czynnością zajmowali się niewolnicy i najemni robotnicy. Szybkość pracy i wielość exemplarzy w handlu księgarskim można objaśnić tylko użyciem stenograficznych skrótów i zwyczajem dyktowania z jednego rękopisu całemu tuzinowi skribentów. Pliniusz młodszy wspomina, że Regulus wydał dzieło, z powodu śmierci syna, którego rozeszło się do 1000 exemplarzy; cynceronowe mowy rozchodziły się też szybko w Rzymie i prowincjach i t. d. U Marcialisa są ciekawe szczegóły o formacie ksiąg, potwierdzające to cośmy wyżej powiedzieli o użyciu stenograficznych skrótów. Można było mieć całego Homera, Wirgiljusza, nawet Liwjusza w jednym tomie. A przeto u starożytnych były już znane wydania ściśłym drukiem (*éditions compactes*). Kalligrafja wydawała niekiedy cacka w rodzaju naszych miniaturowych almanachów. Za przykład tego mogą służyć całkowite odpisy Ilijady i Odyssei, mieszczące się w łupinie orzechowój.

Własność literacka nie miała zabezpieczenia ani w pojęciach towarzystwa, ani w prawach rządowych. Większa część zadowalniała się rzeczywistą lub urojoną sławą. Publiczność lubiła więcéj nowe książki niż stare, księgarze starali się na wypródkę dogodzić jéj gustowi, nabywając za pomocą prośb, pochlebstw, a niekiedy pieniędzy, dzieła ulubionych poetów i prozaików. Pierwsze kopje zwykle rozchodziły się w stolicy, pozostałe szły na prowincje. Do liczby głównych artykułów sprzedaży należały książki naukowe. Pomimo cen nadzwyczaj niskich, księgarze się panoszyli, lecz pisarze narzekali, jak np. Marcialis:

«Pod sztandarami Marsa, na gotskich śniegach, surowy Centurion przerzuca moją książkę. Brytania śpiewa moje pieśni. Ale cóż z tego? Sława nie znajduje echa w mojej kieszeni.»

Zjawienie się dzieła w handlu księgarskim zawsze poprzedzała mniej więcéj pochlebna wieść o niéj, w skutek zaprowadzonego przy Augustcie zwyczaju czytania publicznych lekcji. Prawie każdy autor uprzednio przedstawiał swój utwór na sąd przyszłych czytelników. Zapraszał do siebie umyślnemi odezwaniami nie tylko swoich znajomych, ale i wszystkich życzących słyszeć: w niedostatku miejsca słuchacze zbierali się do jakiego bogatego mecenasu literatury albo jakiego publicznego gmachu. Takie publiczne lektury obudzały niekiedy w najwyższym stopniu ciekawość publiczności, nawet miały polityczne znaczenie. Jednakże na począt-

ku 2-go wieku Plinusz młodszy narzekał na roztargnienie i nieuwagę słuchaczy, na ich niegrzeczny zwyczaj wychodzenia ukradkiem w czasie lektury i powracania po skończeniu onęj. Ostatni wszakże rys obyczajów należy tylko do drugiego stulecia. Wielu z naszych czytelników zapewna nie raz popełniało ten grzeszek, o który autor panegiryku Trajana obwinia swoich współczesników.

Czynność księgarzy, ogromne prywatne biblioteki, wreszcie publiczne lektury były zewnątrzniemi przewodnikami idei, przenikających do wszystkich warstw rzymskiego towarzystwa. Tytuł dany przez P. Szmidta badaniom swoim, nie określa dokładnie ich treści. Główny cel jego — wykazać walkę starożytnego świata z własną jego nauką i myślą. Nie pójdziemy za nim w wykładzie (nie wykazującym nic nowego) głównych filozoficznych systematów, w których wyraziło się przeczenie wielobóstwa i złączonego z niem państwa pogańskiego.

Właściwie mówiąc; to zjawisko było dalszym ciągiem procesu rozpoczętego w Grecji gdzie narodowe podania i społeczne formy dawno już były przetrawione myśleniem. Polityczny charakter rzymskiej religii wkładał na nią konieczność przyjmowania udziału we wszystkich rewolucjach odbywających się w państwie. Wypadki na forum odbywały się w świątyniach. W epoce upadku republikańskich instytucyj, wodzowie rzymskich partij przestali wierzyć w swoich bogów. W obliczu całego senatu Katon obwinił arcy-kapłana Cezara o niewiarę w życie pośmiertne. Augur Ciceron dowodził niemożność przepowiadania przyszłości i dwuznacznie rozstrzygał kwestję o istnieniu bogów. Tak też myślał przyjaciel Cicerona, kapłan Kotta, otwarty stronnik sceptycznej akademji. Lecz związani położeniem i konserwatywnym stanowiskiem zapatrywania się, Ciceron i Kotta poglądali na rzymski politeizm, jako na coś użytecznego narodowi, i w rzeczywistości życia obstawali zatem, czego wyrzekali się w duchu. Takowe rozdwojenie przeszło w dziedzictwo Monarchji. Naczelnik państwa był wówczas arcy-kapłanem, strażnikiem starożytnej religji istniejącej pośród nowych form towarzyskich. Dążąc do zlania tych dwóch pierwiastków, on sam siebie podniósł do wysokości bóstwa i za życia jeszcze zajął miejsce w zastępie niebieskich władzców. Wprawdzie ani Augusta ani Tiberjusza nie można podejrzewać o szczerą wiarę we własne bóstwo, lecz fałszywe położenie zmuszało ich szukać oporu w najkolossalniejszym oszukaństwie, jakie się kiedykolwiek od początku świata objawiło. Stosunek filozofji do takiego porządku rzeczy wyraźnie się oznaczył. Nie mogła ona poprzestać na skromnym i ostróżnym przeczeniu Cicerona. Umiar-

kowanie w tym względzie miało cechę znowy obłudnej, i godnego litości pobłażania. W imieniu wszystkich szkół swoich—epikurejczyków i stoików, pitagorejczyków i czystych sceptyków, filozofja nuciła wyzwanie Monarchji tak bezczelnie naśmiewającej się z prawdy.

Naczelne, najniebezpieczniejsze w tej walce miejsce zajęli stoicy. Polegali oni nie na rozumowaniu, które stanowiło słabą tylko stronę, lecz na zasadzie moralnej. Przytaczamy tu charakterystykę stoicyzmu podług pewnego pisarza, który go dość przenikliwie określił *). «Nauka stoików jest—przedewszystkiem moralną: prosto dąży do zagadnień żywotnych, stara się udzielić rady, skrzepić pierś na razy losu, wzbudzić dumne pojęcie o powinnościach i zmusić wszystko dla nich poświęcić,—cóż innego mogli nauczać ludzie myśli, w oczach których odegrywał się ostateczny akt tragedji, w którym ginął świat cały i z po za widzialnych rozwalin tego świata trudno było wypatrzeć cicho i nieznacznie pokazującą się przyszłość,—przed tym straszliwym widokiem agonji bezsilnego, rozwięzłego starca,—obrzydlivej w swoim cynicznym niewolnictwie?—filozofowi pozostawało złożyć ręce na piersi i mężnie zaprotestować, zapiętnować społeczność wyraźnem zaprzaniem, głośno objawić hańbę jego, i kiedy nie było nadziei ocalić towarzystwa, użyć wszystkich sił aby przynajmniej ocalić *kilka osób*, wyrwać je z zarażonego kręgu i obudzić moralne uczucie w ich piersiach. Stoicy na to się poświęcili. Lecz taka nauka smutna, ponura, «nie pali ofiar graciej»,—naucza umierać, naucza ceną głowy dowodzić prawdy, być nieugiętym w nieszczęściach, pokonywać cierpienia, gardzić roskoszą:—wszystko to są cnoty—lecz cnoty człowieka w nieszczęśliwem położeniu zostającego; wszystko to za nadto smutne aby mogło być normalnem.... Duch rzymski praktyczny, powny, wyrazisty i zimny, wtedy zaczął sławać się powszechnem, panującym technieniem; na rzymskiej warstwie stoicy dojrzeli zupełnie; w Grecji byli tylko teoretykami; tu odkrywali sobie żyty i we własnych sadach urządzali stopy. W nich to właśnie panował w zupełności rzymski element; umysły sucho-energiczne lecz nadzwyczaj jednotonne i formalistowskie,—prawdła ich czyste, proste,—lecz w swjej abstrakcyjnej czystości—jako kwasoród nie stanowią zdrowej sfery oddychania właśnie dla tego, że nie masz mieszaniny któraby zładadzała wybitną czystość.»

*) W następnych *Zeszytach Pamiętnika* pomieszcimy głęboko pomysłano tego pisarza *Listy o Badaniu Przyrody*. (Red)

Pomimo ubóstwa rozumowej treści i wzgardy ku nauce, uważanej wyręcznie od życia, stoicy wszystkimi swymi przekonania-
mi i naukami stanęli w wyraźnej sprzeczności z politeizmem, z prze-
siękaniem jego zasadami państwem i oficjalną społecznością. Wszel-
ka objawa wywoływała z życia tej społeczności albo wyrzut albo
szyderstwo. Cnoty człowieka starożytnego były przedewszyst-
kiem obywatelskie: źródłem ich był patriotyzm. Seneka przeciw-
stawił idei ojczyzny drugą obszerniejszą—ideę ludzkości. «Urodzi-
łem się nie dla kawałka ziemi—mówi on, rodziną moją jest świat
cały.» W innym miejscu: «śmiesznym jest człowiek ze swymi
granicami i kopcami. Mieszkaniec Dacji nie powinien przechodzić
Istru; Strymon służy za granicę Tracji; Eufrat oddziela nas od
Partów, Dunaj od Sarmacji.... Dacie mrówce rozum człowieczy,
może i ona podzieli część ogrodu na sto prowincij.» (*Epist.* 47).
Lukan śpiewa o świętej miłości ku światu całemu (*sacer orbis
amor*). Pogańskie państwo považowało tylko obywatelską osobistość.
Niewolnik przez długi czas uważany był jako rzecz. Seneka przy-
znaje świętość wszelkiej ludzkiej osobistości: *homo res sacra*....
Każdy człowiek jest szlachetnym, gdyż pochodzi od bóstwa; je-
żeli w twój genealogii znajdzie się ciemny stopień, przeskocz go,
podnieś się wyżej. Podnieś się do źródła szlachetności: jesteśmy
wszyscy synami Boga.» W tych myślach przebiega się przecucie
Chryścianizmu. Krwawe widowiska rzymskiego cyrku wzbudzają
w nim też same uczucia, które oddaliły z nich najpierwszych chrze-
ściejan. Zwraca się do widzów z gorzkimi wyrazami: «Bez gniewu,
bez strachu, jedynie dla swój zabawy skazujecie człowieka na
śmierć i cieszyście się z jego przedśmiertnych męczarni. Powie-
cie że to są zbrodniarze, którzy zasłużyli na kaźń śmiertelną.
Zgoda: lecz jakież przestępstwo popełniacie sami, skazując siebie
być świadkami kaźni?» W dziełach Seneki wykazuje się głęboki
i nieodgadniony mus, zmuszający go i Plinjusza starszego, skło-
nić się do panteizmu. Sprzeczności, tak często u niego spoty-
kane, okazując niedostatek poważnego systematu i niezadetermi-
nowany stosunek do przeszłości i przyszłości, wybitnie charakte-
ryzują stan przechodowy ówczesnych umysłów. Szkoda że Pan
Szmidl niedostatecznie skorzystał z tych materiałów, przede-
wszystkiem ważnych dla odtworzenia moralnej fizjonomji epoki,
którą obrał sobie za przedmiot swych badań.

Lecz u Seneki jest jeszcze druga przez nas nie wskazana stro-
na, którą on całkowicie wyraża swoją epokę. Jest to posępny, do
rospaczy zbliżający się smutek, który wyrывa się na zewnątrz
pomimo filozoficznych sentencji. Opętany nierozwikłaniami anty-

nomjami i wątpliwościami, głęboko obrażony rzeczywistością, której wpływ niemoralny odbił się na własnem jego życiu, pogląda na śmierć, jako na uchronę od niepokojów życia. «Śmierć jest końcem i rozwiązaniem smutków.» Cierpienie, podług niego, jest normalnym stanem człowieka. «Niech cię pocieszy śmierć»,— mówi on do uciśnionego. Spójrz na starych żołdaków. Oni nie zginają się pod nożem wroga, który wrzyna się w ich rany i odrzyna im członki.... Bądź więc żołdakiem nieszczęścia. Na cóż się zdadzą skargi, płacze, przystojne tylko niewiastóm smutki! Cierpienia twe były bez owocne dla ciebie jeżeliś się nie nauczył cierpieć.» Litość uważa jako słabe, mędrca niegodne uczucie i w samobójstwie widzi najpewniejszą rękomię swobody, chociaż z drugiej strony przygania mu z moralnego stanowiska.

Ten tragiczny sposób zapatrywania się nie należy do jednego tylko nauczyciela Nerona. Pliniusz starszy, który swoim sposobem myślenia należał do szkoły eklektyków, najliczniejszej z ówczesnych, lecz moralną stroną przymykał do stoicyzmu, myślał podobnie: «Ze wszystkich istot najdumniejszą i zarazem najgodniejszą politowania jest człowiek. Rozpoczyna był swój od łez i płaczu.... Półowa krótkiego życia jego przechodzi we śnie, druga półowa idzie na bezrozumne dziecinstwo i cierpiatliwą starość. A tymczasem ta krótkość życia— jest najlepszym z darów, jakiśmy otrzymali od matki-przyrody. Lecz człowiek ceni swe życie. Dręczy go żądza nieśmiertelności. Wierzy w duszę swoją i życie inne. Bije on czołem domowym *man'om* (duchóm familijnym). Czyliż-by sądzono człowieka na wieczny niepokój? Czyliż ma być odjęte mu najwyższe dobro życia, to jest, śmierć nie przewidziana i rychła?... Odmówiono nam najwyższego szczęścia niebycia, dla czegoż pozbawiać się mamy jedynej możliwej pociechy, to jest, nadziei powrotu znowu do nicości?...” Nieśmiertelność uważa za niedoskonałość boskiej natury. Pod przewagą takich idėj samobójstwo spospolitowało się do zwyczajnego czynu. Przywodziła doń ludzi nie rozpacz— lecz tęsknota, obojętność dla życia— *taedium vitae*, podług wyrażenia Tacyta. Znakomity rzymianin rezygnujący się zadać sobie śmierć dobrowolną, nie tał swego zamiaru: uroczyście żegnał się z przyjaciółmi, rodziną i w ich obecności otwierał żyły. Rozmowa nie ustawała do ostatniego tchnienia. Albacius-Syllus objawił publicznie na forum przed narodem powody swego samobójstwa, i zamorzył siebie głodem. Rzadko kto sprzeciwił się spełnieniu tych zamiarów, gdyż było to w duchu owego czasu. Niekiedy samobójstwo poprzedzała narada z ludźmi sobie życzliwemi o użyteczności takiego czynu.

U Seneki spotykamy przykład Tullia-Marcellina. Cieleśne cierpienia zmusiły go pożądać śmierci. Zdania przyjaciół dzieliły się na dwoje; jeden z nich należący do szkoły stoików, rzekł do chorego: «pocóż tak bardzo ważyć tę kwestję? Czyliż życie jest rzeczą tak ważną? Niewolniki i zwierzęta też żyją.» W listach Plinjusza młodszego mnóstwo podobnych faktów, wykazujących straszliwe położenie społeczeństwa, którego członkowie tak rozstawali się lekko, ze słodkim nałogiem życia.” Przywiedziemy tu jeszcze powieść o śmierci Korreliusza z wielu miar godną uwagi:

«Korreliusza przywiodły do zamachu na własne życie, wymagania rozumu, w których zawiera się konieczność mądrości. Zresztą miał on wiele pobudek do życia: bez wyrzutu sumienia, głośna sława, wysokie położenie; prócz tego córka, żona, wnuk, siostra i przy takich rękojmiach szczęścia, prawdziwi przyjaciele. Ale borukał się on z niemocą tak długą i złośliwą, iż wszelkie wyliczone powody życia ustąpić musiały dowodom śmierci. W trzydziestym trzecim roku życia (słyszałem to od niego samego) nawiedziła go podagra, spadkiem spadła po ojcu: jako inne rzeczy, tak i choroba spada na nas w spuściznie. W latach męskości zwyciężał zło wstrzemięźliwością i surowością życia; pod starość kiedy się boleści powiększyły, na przekór postawił im nieugiętość ducha. Jednego razu,— było to przy Domicjanie,— odwiedziłem go w domku wiejskim. Cierpiał niewypowiedziane męki, gdyż choroba nie ograniczając się w nogach przeszła w inne części ciała. Niewolnicy wyszli z komnaty: miał on zwyczaj wysyłać ich kiedy kto z blizkich przyjaciół do niego przyjeżdżał. Potem oddaliła się żona, mogąca zresztą dotrzymać tajemnicy. «Wiesz-li, rzekł do mnie oglądając się w około, dla czego cierpię takie męczarnie? Oto— chcę przeżyć tyrana *) choć dniem dłużej.» Jeżeliby duszy jego dane było równie silne ciało, własną siłą wypełniłby swoje życzenie. Jednakże jakiś bóg wysłuchał modłów jego; wtedy swobodny i spokojny, rozerwał liczne lecz słabe nici, które go uwiązywały do życia. Przez cztery dni wstrzymywał się od pokarmu....”

Ze słów Plinjusza można wnieść, że Korreliusz trzymał się nauki Zenona; wydelikaceni poplecznicy Epikura umieli zadawać sobie śmierć z niemniejszą obojętnością. Na rzymskiej warstwie epukureizm ze stoicyzmem zeszedł w jednym ognisku: w głębokiej pogardzie dla rzeczywistości, w utajonej rozpaczce na dnie nauki. Oto czem się objaśnia zupełna przewaga tych systematów

*) To jest Domicjana.

nad wszelkimi innemi. Konieczne, bezucieszne wypełnienie abstrakcyjnej powinności, upojenie orgji i nieuhamowany rozpęd zmysłowej rozkoszy, służyły zarówno punktem wyjścia ze sfery, w której dławili się najlepsi z Rzymian. Pod zniewieściami formami, pod mimowolnem próżniactwem młodej arystokracji często ukrywały się potężne namiętności i głęboka tęsknota. W «historji swobody wyznań i myśli» znajdują się biograficzne rysy stoików Muzoniusza-Rufa i Peta Trazejusza, Cynika Demetrjusza, i Pitagorejczyka Apolonjusza Tianskiego, charakteryzujące stosunek ich szkół w społecznosci. Szkoda że P. Szmidt nie wspominał o przedstawicielach epikureizmu, który liczbą swych popleczników i wewnętrznem znaczeniem daleko przewyższał ówczesnych cyników i pitagorejczyków. Trzeba mu tylko było wytłumaczyć dwa wyborne rozdziały, w których Tacyt (*annal.* XVI. 18—20) opowiada los wiadomego przyjaciela Neronowego, Gajusa Petronjusza.

«Petronjusz poświęcał dzień snowi, a noc interesóm i zabawóm; wykwinułem wydelikaceniem się zarobił sobie na sławę, którą inni starają się osiągnąć przez pracę. Nie miano go za prostego rozpustnika lub marnotrawcę, jak innych tracących swoje majątki, lecz za artystę w nauce i rozkoszy. Im swawolniejsze były jego mowy i postępowanie, tym mniej zdawało się, rozmyślał nad niemi, tym więcej się podobały swoją naturalnością. Będąc prokonsulem w Bitynji i potem konsulem, dał dowody energii charakteru i zdolności do sporów publicznych. Potem oddał się rozpuście, może tylko pozornej. Neron przyjął go do liczby swoich nielicznych przyjaciół i przyznał go sędzią nadobności (*degantiae arbiter*): to tylko co pochwalił Petronjusz zdawało się mu być przyjemnem i mogło się jemu podobać. Ztąd zawiść Tigellina ku rywalowi, który go przewyższał w nauce rozkoszy. Uderzył on w najsilniejszą z passji Nerona, — w jego skłonność do okrucieństwa. Petronjusz był obwiniony o przyjaźń ze Scewinem. Przekupiony niewolnik stawił się z donosem: środki obrony były odjęte, większa część służących zakuta w kajdany. W tym czasie Cezar jechał do Kampanji; Petronjusz dojechał z nim do Kum, gdzie został zatrzymanym. Nie chciał żyć między strachem i nadzieją. Zresztą nie śpieszył rozbratać się z życiem, a tylko przerzynał sobie tyle żyły, że mógł podług woli przewiązywać je i znowu otwierać. Z przyjaciółmi gwarzył wesoło nie troszcząc się wcale o sławę, którą mogła mu przynieść śmierć z taką nieugiętością ducha poniesiona. Nie mówili mu o nieśmiertelności duszy albo o mądrości mędrców, lecz czytali ulotne wierszyki. Niektórych

ze swych niewolników obdarzył podarunkami, innych kazał oćwiczyc. Jadł, spał jak zwyczajnie, i dobrowolną śmierć jego możnaby było wzięść za przypadkową. Nawet w testamencie swoim nie pochlebiał (jak to czynili ginący), ani Neronowi ani Tigellino wi, ani żadnemu z władców, lecz opisał wady Cezara i nowo-wynalezione sposoby rozpusty, nazywając po imieniu pohańbionych mężczyzn i niewiasty. Rękopis takowy zapieczętował sam i posłał Neronowi, potem rozbił pierścień ze swoją pieczęcią aby nikogo nie narazić na niebezpieczeństwo....”

W historii greko-rzymskiego panteizmu można odróżnić dwie główne epoki rozwicia— bezpośrednio religijną i samopoznawczą, naukową. Pobożny hołd oddawany siłom i fenomenom natury, wyrażanym przez symbole, w których poetyczna wiara ludu nie oddzielała treści od formy, poprzedzał uznanie natury jako życia wszystko obejmującego, wszystko w sobie mieszczącego, jedyne i osobnego. Los ślepy czyli fatum niebian, ustąpiło miejsce niezmiennym prawom istoty stworzonej. Chłodny powiew nauki zmienił prześliczne symbole w proste allegorje. Racionalizm był ostatniem słowem szkół filozoficznych 1-go wieku po Chr. Tylko nowi pytagorejczycy probowali podłożyć upadającemu wielobóstwu podwalinę mistyczną, usprawiedliwić je filozofją religji, powstała pod wyraźnym wpływem platonicznego idealizmu. Głównym poplecznikiem tej pogańskiej mistyki jawi się w życiu i naukach swoich Apolloniusz Tiański— zagadkowa, dwólicca osoba z pretensjami na rolę proroka i reformatora. Dążność takiego rodzaju mogła znaleźć spóeczucie tylko w nader małym krążku. Dla niższych klas ludu był niepojętym tajemniczy, pół-proroczy, pół-uczony język Apolloniusza i jego stronników. Wyraźny racjonalizm klas oświeceńszych czynił dla nich niepodobiestwem wszelki powrót albo zgodę z dawnymi tradycjami. Opierał się on nie na jednych tylko dowodach filozoficznych, lecz i na świadectwie innych nauk, np. na historycznej krytyce zastosowanej do religijnych mytów. Na trzy wieki przed Nar. Chr. niejaki grek Ewemer napisał był „Historją Świątą.” W zasadzie swego dzieła położył myśl, że greckie bogi byli nie czém inném tylko ludźmi, podniesionemi do bóstwa w skutek swoich wielkich czynów, oszukaństwa kapłanów albo ciemnoty gminu. Sama treść mytów i podań uległa surowej i ostrej krytyce. Dla podtrzymania własnych mniemań Ewemer cytował świadectwa pomników różnego rodzaju. Zresztą odrzucał on nie exystencją bogów w ogólności, lecz tylko mitologją grecką. Dzieło jego napisane dzielnie i z wielką znajomością rzeczy, miało niestety powodzenie. Spóecznesnik drugiej

punickiej wojny, Enniusz wytłumaczył je na łaciński język i tak przesadził Ewemeryzm na ziemię włoską. Ziarno, jakieśmy widzieli, obeszło pięknie i wydało owoce. Większość zawsze lękająca się rozmowania, łatwo i chętnie przyjęła wnioski, wyprowadzone gruntownie za pomocą historycznych badań, nie domyślając się że historyczna krytyka dotknęła tych pytań i rozstrzygnęła je tak a nie inaczej dla tego tylko, że była pod wpływem filozofji. W pierwszym wieku chrześcijaństwa rzymski politeizm już był stanął na stopniu wyłącznie oficjalnej religji. Podtrzymywał go rząd— z wyrachowania, naród— z nałogu, lecz duchowne potrzeby człowieka już nie znajdowały w nim więcej zaspokojenia. Wszystkim wiadomo jaką mieszaniną niewiary i przesądów były napiętnowane ostatnie wieki pogaństwa. Dowodem powszechnej obojętności były opuszczone świątynie. W Rzymie odwiedzały je osoby wyższego stanu dla przyzwoitości, na prowincji nie było i tego. «Pająk zasnuł siecią swoją wewnątrz Świątyni, pasożytna trawa porosła w około opuszczonych bożyszcz— śpiewał Properejusz. Mistyczny kierunek nowych pytagorejczyków, okrótny fanatyzm nie liczących pogańskich pietystów, ich wykrzyki przeciwko społecznemu dążeniu, ich donosy rządowi, ich prześladowanie filozofji— służą na potwierdzenie tego, cośmy wyżej powiedzieli. Objawy te wyraźniej od innych okazywały spróchniałość wstrząsnionego religijnego systematu, były przedzgonnemi jego konwulsjami. Męki chrześcijańskich męczenników, dziki udział z jakim lud zapatrywał się na te krwawe widowiska, uwiodły w błąd wielu. Lecz źródłem takich prześladowań rzadko bywa fanatyzm. Rząd karał polityczną niewiarę, nieuginającą kolan przed ubóstwionym Cezarem. Zdziczała na krzesłach cyrku rzesza z radością przyjmowała nowe ofiary, rzucane jej dla zabawy. Pastwiła się nie nad nauką zgola jej nieznaną i niewiadomą, lecz nad moralnością chrześcijan tak różną od moralności antycznej. Dla podobnej przyczyny, ludzie należący do tych szkół filozoficznych, których spór z duchem i formami starożytnego świata zaczął się dawno przed chrześcijaństwem, okazali się nie tylko spokojnymi widzami śmierci męczenników, ale ich surowymi sędziami. Nieustraszeni teoretycy, struchleli przed praktyczną dążnością społecznej reformy, ugruntowanej na zasadach na nauce nie opartych, chociaż w gruncie nauce nie przeczących. Oni nie zrozumieli lepszych swoich idęj w przekładzie na prosty język moralno-religijnego przekonania; spotkawszy się niespodzianie na własnej drodze z chrześcijaństwem, lęklawie odstępili nazad i zostali obrońcami tego porządku rzeczy, nad zburzeniem którego sami dotąd pra-

cowali z taką gorliwością i powodzeniem. Zresztą nikt, obznajomiony z historją ludzkiej myśli nie będzie obwiniał tych stoików, sceptyków, epikurejczyków za ich nielogiczność. Powołaniem ich była krytyka, rzeczą ich było pojąć— przeszłość,— nie więcej. Stali oni jako lekarze u łóża chorującego towarzystwa, bacznie śledzili postęp nieuleczonej niemocy, uznawali niebezpieczeństwo, nie taili go przed innemi, lecz nie odważali się na ostateczne wyznanie, nie znajdowali w sobie śmiałości powiedzieć, że śmierć jest niechybną. Chory był dla nich za nadto bliskim; razem z nim urodzili się, wzrosli; możebność jego zgonu wydawała się dla nich czémś potwornie-dziwném. Wyrażenie, którego Fryderyk Szlegel użył mówiąc o historii, możnaby słusznie zastosować do filozofji: jest ona prorokiem obróconym ku przeszłości. Postępuje w ślad za historją, jako samouznanie się za czynem. Z burzącej się rzeczywistości ona przyjmuje w siebie tylko idee dokonanych czynów, ich duchowny osad, *die Mütter* (rodzicielki) objaw, o których Mefistofel mówi do Fausta... Na granicy między kończącym się i powstającym periodem historycznego rozwoju, filozofja staje się dwólicym Janusem. Ale wyraz obu tych twarzy niejednakowy: obrócona nazad, ku przeszłości, spokojna i surowa; nieruchome rysy postradały możność odbijania ulotnych wrażeń bytu; widać, że walka zjawisk ucichła, że porachunek z życiem skończony, że odpowiedziała na zadane pytania. Nie tak w dal pogląda twarz, obrócona ku przyszłości: niespokojna myśl ulata po nad czołem; w oczach widać młodzieńczą nadzieję, niecierpliwą żądzę. Ale ta nadzieja nie jasna, ta żądza nie wyraźna. Zaprzeczając obecność, filozofja usprawiedliwia czas przyszły, chociaż nie uznała go jeszcze w jego istocie, i wcześniej lub później poddaje go rozbiorowi, jakiemu ulegli jego poprzednicy.

Nie naciągając, jak to robi P. Szmidt, nie exystujących analogij, można pojąć całą ważność epoki przezeń rozbieranęj dla objaśnienia praw historycznego rozwoju w ogólności. Wciągnięty cząstkowemi pojęciami, niemiecki uczony patrzył na swój przedmiot nie z tego pewnego i jedynie odpowiedniego dzisiejszej nauce stanowiska. Postępowy ruch ludzkości przestał być enigmą dla większej części ludzi myślących naszego wieku, lecz gzygzakowy postęp tego ruchu, jego zewnętrzna nieregularność, wywołują ze strony jego uporeczywych przeciwników zarzuty, mające niejakię prawdopodobieństwo. Teorja ich wspiera się głównie na dwojakim charakterze postępu, który,— jeżeli go rozważać będziemy tylko z jednej strony, zawsze objawia się jako zepsucie czegoś istnącego, wiadomego na kątó czegoś nie exystującego nie przywołanego do życia. Takie stopniowe skażenie formy, wsk

zanęj na śmierć, może się długo przeciągać i być tém odrażliwszém, im piękniejszą ona była w porze swój dojrzałości, im więcej wyraźnie występują na zewnątrz abrysy nowój, jeszcze nieukształconej formy. Ale odwoływanie się do tego zjawiska, wielokroć powtarzającego się w losach całej ludzkości i każdego osobnego, historycznego narodu, wskazuje w obrońcach teorii wstecznego ruchu— jednostronność poglądu albo, co też bywa często, niesumienną, dobrowolną ślepotę.

Przemiana zaszła w familijnych stosunkach rzymskiego obywatela po upadku rzeczpospolitej, może służyć jako objaśnienie i usprawiedliwienie naszych myśli. Starożytna rodzina istniała nie dla siebie, lecz dla państwa i jego celów. Zład twardość prawniczych definicij. Rzymskie prawo skazywało dzieci na niewolę do śmierci ojca i oddawało niewiastę pod wieczną opieką mężczyny. Z pod władzy rodzicielskiej przechodziła we władzę mężowską. Ze śmiercią ojca dzieci stawały się wolnemi, ale położenie niewiasty zostawało zawsze toż samo: prawo nie uznawało jęj pełnoletności, i naznaczało nowego opiekuna w osobie syna lub krewnego. Powołaniem jęj było rodzic i wychowywać nowych obywateli; ochraniać własność męża od roztrwopienia, zdjąć zeń jarzmo gospodarskich trosków niestosownych z poświęceniem się dla usług ojczyzny. Uchybienie tym powinnościóm, wiodło za sobą karę naznaczaną przez radę familijną,— hańbiący rozwód, a niekiedy śmierć samą. *Domū mansit, lanam fecit* (w domu siedziała, wełnę przędła): w tych słowach zawierała się najwyższa pochwała rzymskiej matrony. Powtórny małżeński związek uważano za występpek. Za to towarzystwo nagradzało ją czcią zewnętrzną. Spotkawszy się z Konsulem na ulicy, nie ustępowała mu z drogi; liktor rozpędzający tłumy, nie śmiał dotknąć się jęj długiej szaty; obraza jęj ucha brzydkim wyrazem, oka—nieprzy stojnym ruchem—pociągała za sobą karę. Kiedy miastu wiecznemu zagrażało niebezpieczeństwo, senat wzywał modłów niewieścich, którym przypisywano szczególną władzę. Włożona przez nie żałoba, uważaną była za najwyższą cześć oddaną zasłudze zmarłego obywatela. Sama surowość prawa świadczyła o ich godności: pobłażliwe dla przestępstw zwolennic i cudzoziemek, było nieubłaganem dla małżonki kwiryta: Niewieścia cnota takim sposobem należała do cnot wyłącznie narodowych, arystokratycznych. Lecz jeszcze na długo przed zupełnym upadkiem republikańskich instytucij, familijny byt Rzymu ustąpił przed naciskiem idęj, niespokojnie wciskających się w życie. Pod potrójnym wpływem osłabionęj moralności, filozoficznych nauk i zgodnych z temi nau-

kami prawników, położenie niewiasty zmieniło się zupełnie. Została dopuszczoną do korzystania z praw, dotąd mężczyźnie tylko służących, do przyjemności i uciech, uprzednio jej surowie zabronionych. Cesarz Klaudiusz dokonał jej oswobodzenia odjęciem wiecznej opieki. Cel usiłowań szlachetnych ze swego charakteru, rozumnych w swęj myśli, wielkich ze swych rezultatów był osiągnięty, gdyż one to przygotowywały przyszłą małżonkę i matkę rodziny chrześcijańskiej. Postęp ten wyraził się w obyczajach społeczności, wśród której dokonany został. Odsyłamy do 6-stej satyry Juwenalisa, do opowiadań Tacyty, do narzekañ Seneki, do cynicznych urywków Petronjusza. Jednostronne definicje rzymskiej rodziny powoli znikły, lecz z nimi razem runęła i sama rodzina. *Mulier multarum nuptiarum* zastąpiła miejsce żony *univirae*. Korzystając ze swobody rozwodów, białogłowa przechodziła z jednego związku do drugiego, i oznaczała lata ubiegłe imionami nie konsulów, lecz opuszczonych mężów. Wkrótce wydała się dla niej niedostateczną taka przez prawo dozwolona rozpusta. W hańbiących spisach Edyla zjawiły się znakomite imiona rzymskiej arystokracji. Niebawem goście zadziwiły swoją obecnością sprośną gawiedź lupanarów (zamluzów). Za Nerona, żony senatorów dobrowolnie zstępowały na arenę cyrku i gmin przyklaskiwał ich zręczności, ich odwadze. U Seneki (*de Ben.* 1. 9. 111., 16) pozostały ślady ich wyobrażeń, wrywki z moralnej teorii, którą zastosowywały do życia. Mąż wymagający zachowania zewnętrznych przyzwoitości nazywał się u nich prostakiem, grubijaninem, prowincjonalem. Na młodzieńca, któremu nie udało się uwieść cudzej żony, zastępować głośną intrygą, patrzano z pogardą. Związek z jednym kochankiem, uważano na równi z małżeństwem. Łatwo pojąć całe oburzenie, całą gorycz żalu za przeszłością, jaką podobne objawy wzbudzały w szlachetnych i myślących mężach ówczesnych. Oni nie odebrali jak my, nauczających lekcji historii. Będąc widzami jednego tylko z tych straszliwych wywrótów, które my nazywamy epokami przejścia, mogli oni widzieć tylko jedną, ku nim obróconą stronę wypadków i niepojęli znaczenia onych. Wyzwolenie kobiety z pod gniotu jurydycznej rodziny, gdzie jej duchowe potrzeby nie były zgoła uznane, było rozumne i konieczne dla powitania drugiej moralno-religijnej rodziny; to się spełniło z początku jako zaparcie i psucie się uprzedniego porządku, nie zaś jako bezpośredni wynik nowego.

Filozoficzne systemata rzadko bywają przedmiotem bezpośrednich badań dla tak nazwanej cywilizowanej publiczności. Nie chętnie zajmuje się ona dialektycznym rozwojem czystego myślenia i

przyjmuje ostateczne rezultata tego rozwoju tylko za pośrednictwem literackich utworów, których czytanie nie wymaga silniejszego nałożenia myśli. P. Szmidt poświęcił cały rozdział swęj książki rzymskiej belletrystyce, jako pośredniczące między filozofją i myślą ogółu. Lecz on bierze pod rozbiór tylko poetów, w szczególności liryków i satyryków. Na literaturę historyczną, na nauki ścisłe w ich związku z panującym, materialnym kierunkiem wieku, wcale nie zwraca uwagi. Chociaż w tych sferach dzwięcziój może niż w poezji, odzywała się ówczesna spóczesność.

Korrespondencja Plinjusza młodszeo z przyjaciółmi przedstawia żywy wizerunek literackiego stanu w Rzymie, przy końcu 1-go i na początku 2-go wieku po Chr. Warto porównać ten zabytek z drugim podobnym lecz daleko dawniejszym, z korespondencją Cyncerona, aby ocenić zmianę jaka zaszła w życiu i pojęciach rzymskiej spóczesności w przeciągu lat półtaraata, dzielących trajanowego przyjaciela od oratora rzczypospolitéj. Listy Cyncerona i jego spóczesników odznaczają się szczególną prostotą; wysokie ukształcenie korespondujących osób, udział ich w zagadnieniach nauki i sztuki są widoczne, lecz nie trudno jest także zauważać, że to są ludzie przedewszystkiem praktyczni. Niemają oni czasu wygłazić frazesów; jednakże język jakby posłuszny ich woli, oddaje z zadziwiającą dokładnością odcienia myśli zawsze gruntownej i jasnej. Odczytywanie tych kartek narzucanych w krótkich chwilach wolnego czasu przez ludzi, co prawie nie wychodzili ze straszliwéj walki, przez którą rozstrzygnął się los starożytnego świata, w najwyższym stopniu jest zajmującym. Tu mieści się cała historia, wszystkie namiętności wielkiego periodu dziejów.

W listach Plinjusza i jego przyjaciół znajdujemy zupełnie inną treść i formę. Widać że są pisane z myślą o przyszłych krytykach, z pretensjami na literacką wartość. Świstek z kilku wierszy, zawierający w sobie wymówki za długie milczenie, lub podziękowanie za przysłanie drozdów, nosi na sobie cechę troskliwego wykończenia. Wyjąwszy oficjalną korespondencją z Trajanem, w tym zbiorze prawie niema mowy o politycznych wypadkach, za to wiadomości uczone i z prywatnego życia są nader liczne i ciekawe. Wprowadzają one czytelnika w tę sferę do której należał Plinusz. Składali ją lepsi członkowie rzymskiej arystokracji, w których wychowanie, bogactwo, czas wolny od przymuszonych zatrudnień rozwinęły potrzebę umysłowych roskoszy. W teorji byli oni powiększej części eklektykami, w życiu—stoikami albo epikurejczykami, podług indywidualnego usposobienia swego. Stawili naukę i sztukę wyżej niżeli praktyczną działal-

ność, której nie wyrzekali się, lecz w sądach i pracach swoich więcej byli podobni do dyletantów niż do prawdziwych uczonych i artystów. Lepszym przedstawicielem tego kręgu może być sam Plinusz. Był to człowiek utalentowany, różnostronnie ukształcony, szlachetny, z gorącą miłością prawdy i dobra. W jego działaniach okazuje się strona nowa, nieznana republikańskiemu perjodowi, którą słusznie nazwać godzi się filantropiczną. Troszczy się o dobro klasy biednej, zakłada szkoły, apostołuje łagodne obchodzenie się z niewolnikami, z gniewem pogląda na krwawe igrzyska w cyrku. Trajan wprowadza go na wyższe urzędy w państwie; służy z honorem i dba o korzyści państwa, lecz dba tyłeż a może i więcej o wypracowanie dzieł swoich. Literat często bierze górę nad dygnitarzem. Z témwszystkiem Plinusz jest nader miernym pisarzem nie tyle z talentu, ile ze swego kierunku i ubóstwa treści, która udziela się człowiekowi tylko samém życiem. Ztąd jego troskliwość o perjody jako o formę, która powinna była zakryć wewnętrzną nicość. Ze wszystkich przyjaciół Plinjusza, jednemu tylko Tacytowi daną była taka obfitość sił własnych, taka głębokość obywatelskiego uczucia, że wyszedł zwyciężcą z walki, którą staczał z wpływem sfery go otaczającej. Dla innych takie zwycięstwo byłoby niepodobieństwem. Lecz czytacie ich listy, ich zdania o swoim wieku: uderzy was pewność z jaką stawiają go pod względem umysłowego ukształcenia wyżej od wszystkich poprzedzających wieków. W taki błąd wprowadzało ich zewnętrzne rozszerzenie oświaty, massa idęj będących w powszechnym obiegu, wreszcie ilość pism codziennie występujących na literacki rynek.

U wszystkich tych objaw była druga ciemna strona od której odwracali się optimiści 1-go stolecia. Lecz często w ich własnym kręgu zjawiały się straszliwe twarze z cynicznym uśmiechem na ustach, z wyrażeniem nienawiści i pogardy w oczach,— ci znakomici oskarżyciele (*delatores*), których wymowę opłacili życiem lepsi obywatele Rzymu. Po większej części byli to ludzie wysokiego urodzenia, ze znakomitymi talentami, obeznani ze wszystkimi dążnościami społecznego życia i nauki. Spełniali oni swoją missją publicznie. Na uroczystych zgromadzeniach Senatu, miawali obwiniające mowy, których zwykłym tematem były nieuszanowanie dla religji, obraza moralności, brak patriotyzmu i zaraz znowu powracali do nałogów cywilizowanego, arystokratycznego towarzystwa: rozprawiali o poezji i filozofji, bywali na publicznych lekturach i podszywali się pod rolę mecenasów w stosunkach z chudemi literatami.

Przejdźmy do poezji i beletrystyki. Obaczymy jakie religijne, moralne, obywatelskie idee wprowadzali oni do sfery czytelników, którzy z tych źródeł czerpali swe ukształcenie. Widzieliśmy upadek religijnych pojęć w narodzie; lecz człowiek nie może się obejść bez pojęć lub symbolów o jakiegokolwiek wyższej władzy, o prawie bytu. Gruntowniejsze umysły znajdowały rozwiązanie tych zagadnień w teorjach Lukrecjusza. Jego znakomity poemat oznajomił rzymską publiczność z filozofją przyrody, z tym uczonym panteizmem, o którym mówiliśmy wyżej. Pomyślna kultura nauk przyrodzonych w Aleksandrii przyczyniła się nie mało do tego kierunku, który nie bez racji wydawał się pozostałym fanatykom pogaństwa— jako jawna bezbożność. Inni, jak Juwenalis stawili na miejsce przyrody— rozum: lecz rozum uważany jako prawo objaw, nie zaś jako coś istnącego zewnątrz onych. Pozostali zginali czoło przed władzą ślepego, nieuniknionego przeznaczenia, albo wprost powtarzali słowa Horacjusza: *nulla mihi religio est* (nie mam żadnej religii). Religijny indyferentyzm rzymskich liryków, ich obojętność dla kwestij moralno-politycznych, służenie celóm wyłącznie literackim— wywołały sprawiedliwy lecz za surowy wyrok P. Szmida, na który wątpię, aby się zgodzili dzisiejsi filologowie. Cytuję zdanie jego o Horacjuszu: «Należał do tej lekkomyślnej i bezdusznój szkoły, która nie chciała znać ani bogów, ani filozofji, i oddawała się tylko miękkiej rokoszy. Dla tego wyznaje on własną niewiarę, obojętność dla świątecznych uroczystości, dla tego uważa życie pośmiertne za bajkę i drwi zarówno z filozofów, stoików i epikurejczyków. Życie i poezja jego były na usługach zmysłowości, miłostek i wina. Życie jest krótkie, łapaj chwile rokoszy, unikaj trosk i spraw poważnych, nie myśl o jutrze, a daj nam dzisiaj— oto były zasady, na podwalinie których żył i pisał. Pożyczył je od zepsutego epikureizmu, chociaż w duchu sam śmiał się z niego. Ogólny charakter swoich poezji sam tak oznaczył: *jocos, venerem, convivia, ludum....* (żarty, miłostki, hulanki, zabawy). Bezprzykładne samolubstwo i biedota, zmusiły go być pochlebcą słałościom dworu; żaden z poetów z taką rokoszą nie wygrzewał swych boków na słońcu łask i faworów przydwornych, i nie cieszył się tyle z własnej sławy, płodu jego własnych utworów...” Wyskoki moralnych sentencji, żale nad upadkiem religijnych pojęć, pochwały filozofji jako praktycznej mądrości, wskazują tylko chwilowy kaprys, brak pewnego poglądu na życie, wreszcie chęć dogodzenia Augustowi, który, jak wiadomo, po utwierdzeniu swęj władzy, dbał o naprawę obyczajów w Rzymie.

Dalej jeszcze poszli Tibullus i szczególnie Propertjusz. Ostatniego możnaby nazwać hołdownikiem i kapłanem cielska. Nie zna on innego bóstwa, nie zna innej czci. Błaga dla ludzkości o jedno: o wieczny pokój, aby się mogła w zupełności oddać zmysłowym pociągóm i znaleźć szczęśliwość w chuciowej rokoszy. Zamilczamy o owych, (po większej części z greckiego przełożonych) dziełach, które potajemnie były czytane przez żony i młodzież rzymską i poufały ją ze wszystkimi tajemnicami systematycznej rozpusty. Nie trudno utworzyć sobie pojęcie o społeczności, do potrzeb której była zastosowaną takowa poezja. Panoszyła się swoją oświatą, jasnością i pewnością swoich poglądów, ciesząc się mniemanem wyzwoleniem z przesądów i niepostrzegając, że te dobrodziejstwa okupiła strata tych ideałów bez których życie narodów i pojedynczych osób nie przedstawia ani godności ani znaczenia. Wyparłszy się w imie filozofji bogów, nie umiała zachować szlachetnego poszanowania dla odrzuconych poetycznych tradycji swojej młodości, prześladowała je cynicznym szyderstwem, i w tymże czasie drwiła z filozofji w imie zdrowego rozsądku, t. j. najgrubszego materializmu. Perseusz włożył w usta starego centurjona spowiedź, będącą odbiciem myśli większej części jego społeczników: «Dla mnie wystarcza własna filozofja; nie chcę być podobnym do jakiegoś tam Arkezylausa albo Solona... niech oni sobie kuglarzą frazami albo nicują chorobliwe bzdurstwa jakiegoś tam podobnego sobie starożytnika, nie— nie może wyniknąć z niczego, nie— nie wraca do niczego. Czyż warto dla tego potnieć albo odmawiać sobie obiadu?»

Nie wszystkie utwory poezji 4-go wieku Monarchji cechował ten charakter. Muzami rzymskiej satyry były nienawiść i ironja. Dzikie jej chychotanie dziwnie zlewało się w chór wydelikacych głosów, które śpiewały ostatnią pieśń starożytnego świata. Wzdując z obecnością, rzymscy satyrycy byli do tejże obecności wcieleni. Za naszych czasów nikt nie da do rąk niedorośtemu młodzianowi albo kobiecie satyr Juwenalisa, nie mówiąc już o Marcjalisie albo Petronjuszu, których szyderstwa nad grzechem dowodzą poufałej z nim znajomości. Nie jest to swoboda greckiej sztuki, obcej warunkowym przyzwoitościóm i dla tego nie rumieniającej się w obliczu właściwego nazwania rzeczy, lecz są to z upodobaniem nakreślone wizerunki scen, prawie nie pojętych dla naszej wyobraźni. Pod tym względem szczególniej godzien uwagi Petronjusz, talent pierwszorzędnny, nie stłumiony lecz rozhuźdany wpływem brudnej epoki, którą może pojmował on głębiej i dokładniej, niż ktokolwiekbądź z ówczesnych pisarzy.

P. Szmidt miał prawo przemilczeć o dramacie. Zamienił się on w widowiska z okazałą wystawą i w balet, ulubiony przede wszystkim publiczności, szukającej jedynie uderzających efektów i zmysłowego drażnidła. Maszynista zastąpił poetę, pantomina— artystę-aktora.

Zresztą antynomje ówczesnego życia, nigdzie nie występowały tak wyraźnie na zewnątrz, jak w systematach wychowania. Starożytna szkoła nie znała téj zależności od stosunków państwa i kościoła, w jakich się znajduje nowa. Rząd spuszczał się ze sprawą wychowania na prywatną wolę rodziców z jednej strony, gramatyków i retorów z drugiej. Nie pojmując całej ważności téj kwestji, zrzekał się dobrowolnie wszelkiego wpływu i dozoru nad licznymi zakładami, z których wychodziła cywilizacja rozlewająca się w społeczeństwie. Były ich trzy rodzaje: szkoły gramatyków, retorów, filozofów. Pod kierunkiem gramatyków dzieci obojętnej płci, za nader małą opłatą odbierały pierwiastkowe kształcenie. Uczono ich greckiego i rodzinnego języka. Wykład zawierał się w czytaniu i objaśnianiu pisarzy klasycznych, oraz w piśmiennych ćwiczeniach, to jest w tworzeniu sentencji, chryj i etologij. W szkole retora dokonywało się wychowanie młodzieńca, przeznaczającego siebie na usługi państwa, albo w ogólności jakiemu praktycznemu zawodowi. Wykład filozofów przygadzał się tylko dla indywidualnych potrzeb wyższego ukształcenia i wyższych nauk. Tu bywali uczniami nie tylko ludzie młodzi, lecz i lepsi przedstawiciele dojrzałego pokolenia.

Nieuniknionym skutkiem obojętności, w jakiej zostawał rząd względem wychowania, było wyłączenie go nie tylko z celów, do których zmierzało państwo, ale ze społecznego życia w ogólności. Rzymskiemu pedagogowi przedstawiała się trudna zagadka: albo być hipokrytą przed swym uczniem, starając się natchnąć go poszanowaniem dla form religijnych i politycznych, których sam w duchu nie przyznawał,— albo postępując szczerze, znajomąć go z duchem powątpiewania i przeczenia w te lata, kiedy dusza pragnie rzeczywistej prawdy, wiary i przekonań. Nie było sposobu wyjścia z tego położenia. Dla tego szkoła po części w skutek wejrzenia w głąb siebie, po części w skutek zewnętrznej konieczności, rozbratała się z życiem. Obróciwszy się tyłem do obecności, gramatycy i retory troszczyli się przede wszystkim o rozwinięcie w uczniach swoich tych wiadomości i tych usposobień, które były koniecznymi dla obywatela czasów rzeczywistej i prawie bezużytecznymi dla poddanego Cezarów. Tu przede wszystkim należała wymowa, na którą głównie zwracano uwa-

gę. Rezultatem była nie tylko strata czasu i zdolności, lecz coś gorszego jeszcze— fałszywy kierunek, moralne zepsucie, ciągle snucie fałszu. Oratorskie talenta młodzieży, odwiedzającej szkoły retorów, ćwiczyły się nad tematami wziętymi nie z życia społecznego albo w ogólności rzeczywistego, lecz z porządku rzeczy dawno zapadłego lub pochodzącego ze świata urojonych stosunków. Kazano im rozbiierać nigdy niepraktykowane wypadki jurydyczne, na zasadzie niepraktykowanych praw, miewać mowy w imieniu Agamemnona rozprawiającego: czy powinien Ilięną poświęcić na ofiarę albo nie,— Aleksandra wahającego się wejść do Babilonu,— rozprawiającego w imieniu i znaczeniu bohaterów z czasów republikańskiej starożytności. Ojciec Seneki-filozofa, znakomity swém powołaniem retor— Markus Ennius Seneka pozostawił nam dwa zbiory takowych ćwiczeń (*libri controversiarum* i *liber suasoriarum*). W XI rozdziale «Historji wyznań zgromadzono wiele ciekawych tego rodzaju wskazań, do których odsyłamy czytelników naszych. Jest to jedna z lepszych części całego dzieła.

Łatwo pojąć jak musiał poglądać na rzeczywiste życie młodzieniec, który przeszedł szkoły gramatyków i retorów. Nie przygotowany doń odpowiedniém wychowaniem, składał winę swoich niepowodzeń na życie i wczesnie wchodził w szeregi niezadowolonych i próżniaczych członków społeczności. Wyjątek stanowili ci tylko, którzy utorowali sobie drogę albo wyższemi zdolnościami, albo praktycznym umysłem, biorącym górę nad wpływem szkoły, albo zbiegiem szczęśliwych okoliczności, lub wreszcie śmiałości czyniami. Lecz te szczególne powodzenia, te wyjątki z ogólnego prawidła, były tentacją dla mnóstwa półcywilizowanych ojców, patrzących na naukę jako na najpewniejszy przewodnik do bogactw i honorów. Prawdziwe, czysto ludzkie znaczenie cywilizacji, rozumie się, iż nie wchodziło w rachuby tego rodzaju. U Petronjusza jest jedna stronica żywo charakteryzująca utilitarny kierunek rzymskich ojców. Jeden z gości Trymolchiona, poznawszy między innymi biesiadnikami retora Agamemnona, zwraca się do niego w tych słowach: «w tych dniach namówię cię jakkolwiek przyjechać do nas na wieś, zajrzeć do naszej chatki; znajdziemy czém grzeszną duszeczkę pocieszyć: kurczęta, masło, jaja. Urodzaje od niepogody nie wszędzie udały się, jednakże głodni nie będziem. U mnie podrasta dla ciebie uczeń, syn mój Cykaro. Wie on już, co znaczy ass *); jeżeli żyć będzie, nie odejdzie od ciebie. Już teraz, jak

*) Ass— moneta rzymska.

tylko ma wolną chwilkę, oczu jego nie oderwiesz od pismiennej tablicy. Niepospolite zdolności i serce przewyborne, ale goni za ptaszkami. To jest jego słabość. Zaduśiłem mu niedawno trzech szczygłów i udałem, że łasiczka pożarła, ale on zaraz dostał nowych, swojskich. Do malarstwa ma wiele zdolności. Zresztą grecką porzucił, za łacinę bierze się niezłe, choć jego preceptor więcej sobą niż uczniem, zajęty. Mój młokos na miejscu usiedzieć nie może; przychodzi, prosi książek, a pracować nie chce. Ma on drugiego nauczyciela— ten nie uczony ale za to gorliwy, bo uczy czego sam nie umie. Przychodzi we dni świąteczne nawet i rad ze wszystkiego czem go nagrodzą. Kupiłem dla mego chłopca kilka prawniczych książek, albowiem chcę aby dla domowego użytku obeznał się cokolwiek z zakonami (bo to daje chleba kawał). Literatury natykał się już on dosyć. Jeżeli uprze się, postanowiłem go oddać na naukę do rzemieślnika jakiego, choćby do cyrulika, ulicznego krzykacza albo jakiego ujadacza sądowego. Tego dobra nieodbierze mu nikt prócz śmierci. Codzień mu do uszu świdruję: synku, wierzaj mi, uczysz się dla własnej korzyści, a nie dla mojej. Obacz adwokata Filerona: gdyby się nie uczył w szkole teraz musiałby położyć zęby na policy. Jeszcze bardzo, bardzo nie dawno był on chłopcem koturna podwiązującym, a teraz patrz! nie ustępuje samemu Norbanowi. Nauka jest skarbem; nie umorzy człowieka z głodu.”

Przywiedziemy drugi wyjątek z tegoż pisarza. Wypowiada on tam własne zdanie o stanie wymowy i wychowania w Rzymie.

«Sądzę że głupstwo młodzieży uczącej się w szkołach pochodzi ztąd, że się im nie zdarza ani widzieć ani słyszeć o tym co się dzieje w rzeczywistym życiu. W głowach ich roją się zbójcy pohrzekujący łańcuchami, na brzegu morskim: tyrany wydający prawa nakazujące dzieciom odrzynać głowy ojcom,— wyroki orakułów nakazujące dla oddalenia zarazy, śmierć kilku najwybrańszych dziewic. Wszystko to stroi się w cukrowe posypane kardamonem słówka.... Wysoka,— jeżeli można tak się wyrazić, *dziewicza* elokwencja, nie cierpi rużu i pafosu: dość dla niej naturalnej piękności. Nie dawno przeszła z Azji do Aten nadęta i wielosłowna gadatliwość; jako zgubny luminarz zaraziła swoim wpływem umysły młodzieży, dążącej do wyższych celów. Skazona wymowa ustlerkała i ścichła. Komuż w ostatnich czasach udało się osiągnąć wysokię sławy Tucydidesa albo Hiperyda? Toż samo stało się w poezji. Utraciła świeżość zdrowia. Przesiąkła zgubną zaprawą sztuka— zamiera, nie doczekawszy nawet starości.

Taki był los malarstwa, odkąd zuchwałość egipska rzuciła się do wynalazienia środków dla uproszczenia malarskiej sztuki." Na to odpowiada retor Agamemnon: «Młodzieniaszku, ponieważ słowa twoje nie tracą zwyczajną dziś spowszedniałością i ty, co też dziś nader rzadka, cenisz zdrowy rozsądek, ja ci odkryję tajemnice sztuki. Nie obwiniaj nauczycieli: oni muszą ulegać powszechnemu nierozumowi. Jeżeli ich wykład nie znajdował łaskawego przyjęcia u słuchającej młodzieży, przysztoby się im, jak powiada Cynceron, samym jednym pozostać między czterema ścianami. Zręczni pochlebnie, uganiający się za sulemi obiadami bogaczy pieczeniarze, zgóry przygotowują słodziuchne dla ucha słuchaczy rospiryndy: retor powinien działać podobnie, — powinien być jak rybak, co nasadza haczyk na ulubioną dla ryb przynętę. Inaczej napróżno przesiedzi dzień cały na skale. Któż temu winien? Sami rodzice, — którzy niechęć dawać dzieciom wychowania na poważnych prawidłach elokwencji. Wszystkie nadzieje poświęcają ambicji; śpiesząc osiągnąć cel pożądaný, pędzą na forum niedojrzałe główki, a przyznając elokwencji pierwszeństwo nad wszystkiem, wymagają jej od bębnow zaledwo z pieluszek wywikłanych." Godna uwagi, że Petronjusz włożył te słowa, dowodzące doskonałego pojęcia zła, w usta bohaterów swjej brudnej powieści. Skojarzenie jasnej teorii, gruntownego poglądu na życie i sztukę — ze straszliwą moralną rozpustą, głęboko charakteryzują chorowitą jego epokę. Do tych wypisów z Petronjusza możnaby dodać żale Tacycy (de orat. 28. 29) i Kwintyljana (1. 2.), za upadkiem domowego wychowania. Objawiło się to społeczeństwu z upadkiem starożytnej rodziny. Emancypowanej matronie wcale nie było czasu doglądać dzieci: złożyła z siebie te obowiązki. Upřednio, mówi Tacyt, dzieci rzymskich obywateli rosły nie w alkierzyku najemnej mamki, ale w oczach enotliwej matki. Tak Kornelja wychowała Grachów, Acja — Augusta. Za naszych czasów dzieci poruczają greckiej niewolnicy i jednemu albo dwóm niewolnikom płci męskiej. Głupie powieści tych nauczycieli stanowią najpięrszą karm' umysłową tych młodocianych główek.

Cesarz Wespazjan pierwszy pojął stosunek pomiędzy szkołą a państwem i naznaczył płacę nauczycielóm. Przez to polepszył ich położenie, ale nie wyleczył z głównej słabości. Odjawszy nauce niepodległość, której do jego czasów używała, nie był w stanie wykładowi przydać ani nowej treści, ani nowej metody.

Szczegółowie rozpatrzyliśmy godną uwagi książkę Pana Szmidta. Wartość jej niezaprzeczoną, wszakże oprócz wskazanych nie-

dostatków jest jeszcze jeden, wyciskający na całym dziele pieczęć jednostronnego, niedokładnego poglądu. Wyraz Chrześcijaństwo znajduje się na tytule książki, lecz autor nie pokazał w jakim stosunku stała się prawda Ewangeliczna do rozpadającego się świata pogańskiego. W historii, ostateczny, oskarżający się wyraz konającego porządku rzeczy wymawia się nie przezeń, lecz przez nowy, zastępujący jego miejsce— porządek. Aby pojąć rzymską społeczność czasów Imperji, trzeba ją postawić twarzą w twarz z chrześcijaństwem, trzeba ją zmusić do powtórzenia głęboko smutnego pytania które Piłat zadał Zbawicielowi: co jest prawda?

T. Granowski.





PÓLWYSEP KALIFORNIA

de Stry. P. Osiemblawski

NOWE EL DORADO

W KALIFORNJI.

(Podług dokumentów Amerykańskich) *).



DKRYCIE rzek złotonośnych i pokładów złotodajnych w Kalifornji jest wypadkiem tak ważnym, mogącym z czasem mieć wpływ tak wielki na interessa świata całego, dającym prawo do wnioskowań i kwestij tak żywotnych pod względem moralności, bytu i ekonomji politycznej, iż w najwyższym stopniu obudziło powszechny interes w Europie, nawet obok najważniejszych wypadków politycznych, które w ostatnich czasach potrząsły tę stronę.

Postanowiliśmy udzielić czytelnikom *Pamiętnika* najdokładniejszej, o ile można było, wiadomości o tym przedmiocie, zebrawszy wszystko, co *dotąd* udało się nam wyczerpać z gazet i pism za-

*) Redakcja obrawszy sobie za jeden z celów swego pisma, sposobem naukowym podtrzymywać interes obudzony przez czytanie dzienników zagranicznych, o przedmiotach dotyczących żywotniejszych społecznych kwestij, przedstawia niniejszy artykuł jako próbkę dalszych swych opracowań. Dla tego tu się przedstawia więcej szczegółowe opisanie strony u nas prawie zgoła nieznanem. W dalszych Zeszytach zamieszczą się artykuły w podobnym rodzaju mające pewną całość, o narodach Słowiańskich, o Madżarach i t. d.

granicznych, zasadzając się zaś głównie na oficjalnych dokumentach dzienników Amerykańskich.

Na pierwszą wiadomość odkrycia nowych źródeł złota, rozległ się powszechny okrzyk po całym świecie, wstrzęsły się wszystkie umysły, hurmem pocięły narody i różnoplemienne rasy ze wszystkich krańców znanego świata. Poruszył się nawet poważny Chińczyk nigdy nie wysuwający końca nosa ze swego niebieskiego państwa! *Ho! for California!* jedyne dziś słyszane hasło we wszystkich portach obu Ameryk, we wszystkich portach przy-morskich państw Europy. Anglja, Francja, Germanja, ładują nowe emigracje do tój oddalonej ziemi, ożywają na nowo marzenia wieku Krzysztofa Kolumba. Do stu tysięcy podróżników, ładem i morzami, konno i pieszo, na żaglach i parą, gardząc głodem w pustyniach, zimnem w górach, skwarami na rospalonych piaskach, burzami na falach Oceanu, puściło się na oślep i złamanie szyi, do tój nowożytniej *Ziemi-Obiecanej!* Wściekość *gorączki złotej* (Gold-fever) coraz bliżej i bliżej opanowała wszystkie stany. Robotnik opuścił maszyny, rzemieślnik swój warsztat, rolnik swój pług, kupiec swój kantor. Adwokaci i Sędziowie (Alkady) opuścili swe Trybunały, gdzie nie mieli co robić, bo wszystkie processa ustały. *Ho! for California!*— Naprzód, naprzód! Za nie pięć miesięcy najniebezpieczniejszej przeprawy przez Ocean; za nie wysokie Andy i niebezpieczny przylądek Horn; za nie straszliwe gorączki z wielkiego natłoku podróżnych na pokładzie; za nie śmierć czyhająca na wszystkich zawrótach drogi! Do Kalifornji! do Kalifornji! wrzeszczą na wycięgi obie Ameryki. A Europa wzruszona aż do posad gwałtownemi wstrząśnieniami, poszarpana i krwią obłana, podnosi się z chwilowej niemocy, nadstawia ucha i oka ku temu dziwnemu widowisku i żywy przyjmuje udział w tym dramacie, w guście prawdziwie nowoczesnego ducha.

Cały świat zajął się cudami Oceanu Spokojnego. Polityko-Ekonomy za pomocą swych statystycznych danych, już obrachowują skutki i wszelkie prawdopodobne zmiany, jakie napływ złota może sprowadzić w finansowym zarządzie państw cywilizowanych i jaki może wywrzeć na równowagę znaków, przyjętych dla oznaczenia powszechniej wartości rzeczy. Tysiące problematów moralnych, politycznych, finansowych, socjalnych, ekzaltują wzburzone umysły, pocieszają lub przestraszają, podług stanowiska z jakiego się kto zapatruje.

Ale bo co też to za przedmiot dla nas ludzi tój ziemi, ta magiczna potęga złota! Jest-li kto pomiędzy wami, męczennikami tego padotu, w któregoby sercunie drgnęła żyłka na pierwszą

wiadomość o tém odkryciu, większém od wszystkich wynalazków wieku naszego? I Król i Minister, i żołnierz i duchowny, i urzędnik i Poeta obojętnym nie pozostał. Ha! Poeta! Któż ma mniej złota od Poety, i któż więcej od niego, gardząc niem, zawsze go potrzebuje?

Naprzód więc, naprzód, o Kalifornio! Wyłoń się ze swych mglistych obłonek, w jakich byłeś dotąd ukrytą dla kraju naszego; niech cię poznają starzy i młodzi, płeć piękna i płeć męzna, marnotrawcy i sknery, arystokraci i demokraci, wszystkie stany, klasy, rangi! Od bogacza do ubożca! Ty byłeś dotąd dla nas krajem zapadłym, nieznanym, *terra ignota*, tartarem; ani Malte-Brun, ani Balbi, ani wreszcie Szacfajer, nie potrafili nam wbić cię do głowy, i spoczywałabyś dla nas snem wiecznym, gdyby cię nam nie odkryło złotko, o ziemio obiecana, mlekiem i miodem płynąca! I dziś jeszcze jeżeli się u nas nie pytają *co zacz* jesteś, to jedynie przez wzajemny szacunek jaki ludzie cywilizowani mają dla siebie i dla swój *miłości własnej*. Mignięcie błyszczącego ziarna, połysk złotonośnej strugi, przypadkiem odkryty ważki *rodziniac* kruszcu, co jest kluczem do serc wszystkich, za którem przepada murzyn-kolonista i dziki Indjanin obok ucywilizowanego Europejczyka, — odkryły nam cię, i oto dowiadujemy się o twojej ekzystencji na karcie jeograficznej! I mówcież potem wszystkim, że złoto nauki nie daje, że za złoto *rozumu* kupić nie można? — Można! Mościpanowie! wszystko można! a więc górą Kalifornjo, witaj mi złote runo, ideale XIX wieku! my wszyscy jesteśmy nowe argonauty do ciebie! z głębi lasów naszych tęskniemy do ciebie, o ziemio zawsze upragniona, niepozyskana nigdy! Ale cóż? na pierwszą wieść o parochodach w Breście, Marsylji, Pertsmouth, Lubęce, Hamburgu, my tylko poskrobaliśmy się w głowę... Przedziela nas od ciebie wielka przestrzeń mórz i lądów, ale to nie przeszkadza abyśmy duchem nie tęsknili do ciebie, abyśmy nie pragnęli cię poznać, zbliżyć się myślą do ciebie, spoufalić z fizjognomją twoją; odkąd zostałaś bogatą panią, nabrałaś takiego wdzięku dla nas, obudziłaś w nas tak serdeczny pociąg ku sobie, że czego nie dokazał Szacfajer ze wszystkimi wydaniem swój Jeografji, to sprawił jeden feljeton gazety! Nawet nasza młodź karnawałowa, co może nie znała ciebie z nazwiska, jakby iskrą elektryczną obudzona, zrobiła zaraz dowcipne z ciebie zastosowanie, nazywając *Kalifornijami* wszystkie *Panny posażne*!

Kalifornja, powiem wam naprzód, jest to czarowna strona, nawet bez swego złota. Na bok wasz Krym, wasza Italja! Przez ośm miesięcy w roku nie ujrysz tam chmurki na jasnym nieba

błękie; ledwo przez cztery pozostałe miesiące podnoszą się mgły i ciepławe deszcze poczynając od końca Listopada, spadają perjodycznie, użyźniając płodородne, prawie niepotrzebujące uprawy, niwy; upały letnie w cieniu nie podnoszą się wyżej nad 25 stopni Reomiura. W Styczniu już wszystko zaczyna się ożywiać— flora się rozkwieca, cichy wietrzyk roznosi woń kwiatową, a brylantowy kolibryk kołysze się zwieszony na łożysku roślinki lub drży w powietrzu jak drogi klejnocik nad rozkwitłym kielichem Mimozy. Dziewicza rola Kalifornji jest dziwnie płodną. Zdarzają się tam urodzaje pszenicy we 150 ziaren. Kukurudza i *frigola* wydaje 1150 ziarn. Przychodzi się to prawie bez najmniejszej pracy: zestrugana gałąź, na końcu której wbity kawałek żelaza, coś naksztalt lemiesza, stanowi sochę; przeskrobawszy ziemię na jakie półtora cala, oracz zasiewa; sęk laurowego drzewa przywiązany do wołu, służy mu zamiast brony. Zerwałś z drzewa brzoskwinie, rzuciłś pestkę na ziemię, po trzech latach z drzewa z tejże samej pestki, zrywasz okazałe owoce prze-wybornego smaku! Rośnie tam w lasach olbrzymia sosna, (*pinus Californicus*): spójrz na to ogromne drzewo: po nad konarami jego przeciągnęło ośm albo dziewięć wieków! Wysmalony pożarami lasów rdzeń jego, tworzy dupłę, w której zamieszkują całe rodziny dzikich. Inne drzewa Kalifornji są: laur, kasztan, dęby, na brzegach dzika winna macica. Przez czas tak długi człowiek obojętnie poglądał na tę ziemię: teraz, kiedy we wnętrzościach ję odkrył złoto, przez góry skaliste, przez morza niebezpieczne około przylądka Horn, pocisnęły się tam tłumy: teraz tam zjawia się i badacz i mineralog: pod anatomicznym skalpelem nauki, zadrży tam teraz każda żyłka tej ziemi-dziewiczej. Bo w tej krainie pierwotnej wspaniała rzeka *el-Sakramento* toczy swe wały po cieniuchnym piasku, który zmieszany z cząstkami najczystszej złota, w obecnej chwili ma wartość wyrównywającą najlepszej herbacie albo najbardziej poszukiwanej tabace.

P. Rotczew, Rossjanin, który kilkanaście lat spędził w Kalifornji, przywiązany tam interesami kompanji Rossyjsko-Amerykańskiej, tak naiwnie opisuje pierwsze swe spokanie się z Panem Suter, Szwajcarem, z którym naprzód te brzegi oglądał. Kapitan Suter, jak wiadomo, jest szczęśliwym odkrywcą złota w Kalifornji.

«Było to w r. 1838. W jeden z pięknych dni kalifornijskich jawi się przedemną człowiek, którego z początku wziąłem był za naczelnika partji *bobrownikow* (Castoreros). Miałem mu już ofiarować moje usługi, których zwykle potrzebują ci krótkotrwali go-

ście; kiedy zadziwił mię, odkrywając wcale inne zamiary.— Przybyłem do Pana z listami rekomendacyjnymi; jestem Szwajcar, kapitan służby francuzkiej. Opuściwszy Paryż po rewolucji lipcowej i nieznalazszy miejsca w Szwajcarji, osiadłem na brzegach Missury, ale i tam dla mojej działalności było za mało przestworu. Sprzedałem ziemię i przez *Skaliste góry* przybyłem do Astorji, lecz w Kolumbji mnie się nie podobało, byłem na wyspach Sandwich i w waszych kolonjach na północno-zachodnim brzegu. Teraz ten kraj podoba mi się: pan jesteś obznajomiony z temi stronami— nie odmówisz mi rad swoich; zbadawszy własności ziemi, osiadę w sąsiedztwie Pana.”— Otwarta mowa Szwajcara przemówiła do serca mego; ze szczerością przyjąłem go i nazajutrz udaliśmy się do San Francisko; tam zaprosiłem go na mój *barkaz* i razem puściliśmy się w górę po rzece Sakramento. Widziałem, jak się rozpromieniła twarz Szwajcara na widok czarujących brzegów Sakramento. Przy wpadnięciu do zatoki San Francisko, rzeka rozdzielała się na dwa ogromne ujścia, usiane mnóstwem skalistych wyseppek. Dalsze brzegi są kręte, a dziewicza *Pinus Californicus* tak jest gęstą, że zaledwo przepuszczała wiatr dla poruszania żagli. Prawie wciąż robiliśmy wiosłami. «*C'est un beau pays!*” zawołał Kapitan.— «Sądzę, że dalej nie pójdziesz,— rzekłem mu, ta dziewicza ziemia wynagrodzi ci trudy. Nabądź 5 mil kwadratowych od meksykańskiego rządu, będę rad z twego sąsiedztwa, a pszenica twoja nie zależy długo: my sami kupiemy ją z ochotą. I czegoż tu brakuje? Człowiek tu jest jak dziecię pokorne: za kilka sznurków bissioru— Indjanin zostaje ci robotnikiem; oswój go tylko z sobą— i nie zastrzeliwaj jak psa, obyczajem kalifornijskich kreolów. Tu nawet, gdzieindziej jadowite i drapieżne zwierzęta, tracą swój jad i drapieżności. Ukąszenie tarantuli i skorpionia, jest prawie nie nieznaczące. Jaguary i grzechotniki są tu nader rzadkie.” Tak oglądając brzegi płynęliśmy trzy dni, nareszcie przewodniczący nam Indjanin, rodem z San Francisko zawołał: «*A qui sta bueno! ay arboles, ay agua— harra Sandias!*” (Tu dobrze! wody i lasu wiele— będą rość arbuzy)! Wyszliśmy na brzeg i o półtory wiorsty od rzeki położyliśmy węgielny kamień faktorji dla nowej kolonji i nazwaliśmy ją *Nową Helwecją*. Sprzęty i zapasy nasze wynieśli Indjanie na brzeg, rozbiliśmy namiot, i długo, długo rozprawialiśmy o planach i projektach nowego gospodarza: jak przyjdą do niego koloniści ze Stanów Północnych, jak urządzą ogromne partije dla łowienia bobrów, jak żona i dzieci Kapitana przybędą do nowych państw jego, jak on mi będzie przedawać purami pszenicę... Taki to był początek założenia tej

kolonji i forteczki Sutera, szczęśliwego odkrywcy złota w Kalifornji.”

Ale przystąpmy do opisu jeograficznego tój strony.

Wyższa Kalifornja dzieli się na dwie części: wschodnią i zachodnią. Część wschodnia rozciągająca się między *Skalistemi* górami na wschód, i łańcuchem Sierra-Nevada, gałęzią Wielkich Kordyljerów na zachód, zawiera około 500 mil kwadr. (167 mil francuskich). Wyjawszy krainę, przylegającą do *Wielkiego Solnego Jeziora* (Great salt Lake) ku północo-wschodowi, i kilku polan zielonych, rozwijających się na bokach gór ku zachodowi, cała ta strona przedstawia bezpłodną pustynię, zasypaną rozpalonemi piaskami i najeżoną łysemi górami, które okazują jeszcze na swoich granitowych bryłach wyraźne ślady działań wulkanicznych. Pustynia ta zalega pięć szóstych całego teritorium zagarnionego przez Amerykanów od Meksyku. Europejcykowie nie mieli nigdy odwagi założyć swój siedziby w tój palącej i jałowej części Kalifornji. Jedyna osada białych w tych przestrzeniach, jest kolonja *Mormon*, w bliskości Jeziora Słonego. Ogromna masa wód otoczona jest górami, które tworzą jakby wieniec dokoła; rzeki i potoki lecące pędem z tych gór, niosą swe wody do licznych jezior, które nie znajdując drogi do morza, ulatniają się na słońcu albo giną nieznacznie w piaskach pustyni. Takim sposobem *Rzeka Marji* (Mary's River), przebiegłszy ze 300 mil (100 mil franc.), nagle rzuca się w piaski i gubi swe wody, które od łożyska wulkanicznego, po którym płynie rzeka, stały się tak gęste i tak gorzkie, jak gdyby to była smoła.

Strona zachodnia Kalifornji rozciąga się między łańcuchem gór Kordyljerskich, Sierra-Nevada, i Oceanem Spokojnym. Ta część zachodnia jest jedyne miejsce w Kalifornji, dokąd weszła armja amerykańska, podczas wojny z Meksykiem: o ten wysokok ziemi rozbiły się od czasów niepamiętnych, wszystkie stosunki handlowe Ameryki, a szczególnie Stanów-Zjednoczonych z Kalifornją.

Sierra-Nevada jest odłamem Kordyljerów, które pod rozmaitemi nazwaniami i wysokościami, ale zawsze równolegle do wybrzeża, przeciągają się od półwyspu Kalifornji aż do *Ameryki Rosyjskiej*. Jest to ciekawym fenomenem, że w całej tój długości łańcucha nieprzerwanego, nie masz ani jednego otworu, któryby pozwolił wodóm z gór skalistych zrobić przejście do morza, prócz jedynego punktu, gdzie rzeka Kolumbja z Frazerem, razem wpadają do Oceanu. Te wielkie Kordyljery przedstawiają w swoim ogromném rozgałęzieniu widok dziwny i prawdziwie czarujący: bliskość ich od morza godna uwagi, a wzniosłość ich przechodzi

często wysokość szczytów gór Skalistych. Nadewszystko ostre szpice wulkaniczne, któremi się jeżą zdala, dają im widok dziwny i cechę zupełnie odrębną od innych gór Ameryki i Europy. Te szpice wulkaniczne sterczą w odległościach prawie symetrycznych, na szerokich przodach granitu, co daje góróm Sierra-Newada pozor wielkiej kolumnady, której kapitele sięgają 14,000 albo 17,000 stop wysokości nad poziom morza. Łańcuch ten nazwali Hiszpanie *Sierra-Nevada* (Góra Lodowa), gdyż w rzeczy samej wierzchołek jej panuje w wiecznych lodów krainie.

Ta gałąź Kardylarów jest charakterystycznym zarysem powierzchni Kalifornji, i ten zarys trzeba dobrze uchwycić, aby zrozumieć ogólną strukturę kraju i normę jego podziałów. Sierra-Nevada przedziela Kalifornję i wywiera bezpośredni wpływ na klimat, ziemię i wegetację każdej z dwóch części. Jak ściana muru, rozciąga się ta gałąź wzdłuż morza, w odległości około 150 mil ang.; dmą na nią obciążone parami gorące wichry, które silnym tchnieniem zmiatają bałwany Oceanu, zgęszczają się, wyłęzają i wylewają się w obfitych deszczach i śniegach, użyźniających boki gór zachodniego wybrzeża, gdy tymczasem wichry chłodne i suche napadają na część wschodnią gór Sierra-Nevada. Zład charakterystyczna różnica tych dwóch krain: na jednej pochyłości gór ziemia płodna, łagodne ciepło, silne roślinienie; na drugiej bezpłodność i zimno przenikliwe.

Przeto dwie strony góry przedstawują dwa klimata różne: z jednej strony zima kompletna, rzeki zamarzte, rośliny umarłe, trawa zeschła, drzewa pozbawione liści. Z drugiej atmosfera ciepła, trawa świeża i zielona bujnie się podnosi, drzewa i rośliny pokryte liśćmi i kwiatami, powietrze łagodne; potoki z gór dźwięczą swobodnie. W jednym tygodniu możesz widzieć z jednej strony zimę w Grudniu, a z drugiej wiosnę w Kwietniu. Na zachód od Sierra-Nevada, leży właściwa Kalifornja, jedyna część zamieszкана; tak jest odosobnioną naturalnym murem Sierra-Nevady, fizjognomją ma tak różną, iż stanowi zupełnie oddzielną krainę ze swoją ziemią, klimatem i płodami. Klimat tam podobny do włoskiego. Kiedy podróżnik, stojąc na wierzchołku gór, patrzy na zachód, głównym rysem pejzażu jest długa i szeroka dolina, utworzona przez rzeki S. Joachima (*San Joaquino*) i Sacramento na rozciągłości 500 i szerokości 50 mil. Szeregi gór równoległych i bocznych do Sierra-Nevady tworzą malowniczy widnokrąg tej krainy.

Obecne położenie tego kraju daje nam wcale niedokładne wyobrażenie o żyzności ziemi. W 1792. w missji *Buenaventura*.

jabłka, gruszki, figi, pomarańcze, rozniki, brzoskwinie, grenady dojrzały pośród bananów, kokosów, trzciny cukrowej; wszystkie drzewa wydawały obficie owoce. Oliwne drzewa rodziły oliwę tak obficie jak oliwki Andaluzyjskie, a wina miały smak win Kanaryjskich. Dziś pozostały słabe ślady owej bujnej roślinności, którą misjonarze wyprowadzili z tej ziemi. Dający się powodować charakter Indjan nagiął się bez trudu do prac rolniczych. Dziś doliny, niegdyś żyzne, pokryły się dziką gorczycą; winne lasorośle, oliwne ogrojece zaniedbane i zniszczone.

Część północną zdaje się być śpichlerzem kraju; zboże rozmaitego rodzaju rodzi się tam w obfitości; część południowa zdatną jest tylko pod uprawę tytoniu i bawełny.

Może na całym świecie nie masz żyzniejszego kawałka ziemi jak ten co otacza zatokę San Francisco i który zapełnia doliny Sakramento i S. Joakino.

Półowę wyższej Kalifornji skrapia rzeka Sakramento, płynąca ku południowi do zatoki San Francisco, gdy S. Joachimo rzuca się od południa ku zachodowi, i spotyka Sakramento w zatoce która wrzyna się prawie do środka doliny. Dolina Sakramento dzieli się na *wyższą* i *niższą*: część niższa ma do 200 mil ang. długości (67 franc.), wyższa do 100 mil (33 mil franc.); ta ostatnia wznosi się nad pierwszą o wiele tysięcy stóp. Cypel Skostl strzela w obłoki, w widłach rzeki, gęstym otoczony lasem, jak ogromna kolumna, na 14,000 stop. wysokości, prawie równy z Mont-Blanc; z doliny daje się widzieć z odległości 140 mil ang. (46 do 47 franc.) Ta dolina jest gęsto okolona lasem i płody jej są stosowne do rozmaitych stref jeograficznych.

Obfituje w drzewo do budowy, na dolinach piękne dąbrowy, na górach bory sosnowe. Dęby dosięgają nadzwyczajnej wysokości, miewają po sześć stop djametru u podstawy. Niepospolitej wielkości i przyjemnego smaku żółędzie zwieszają się z pomiędzy konarów. Indjanie używają ich do jedzenia, a i podróżni też niemi nie gardzą. Cyprisy, cedry i sosny miewają do 250 stop wysokości a pnie ich w obwodzie od 5 do 12 stop mają. Źródła oblite wężykiem rzną się w tej części Sierra-Newada i użyźniają doliny.

Zatoka San-Francisko była uważaną za najpiękniejszą w świecie od epoki jej odkrycia, pod względem morskiego stanowiska. Ale prócz tego, uważając ją pod względem przymiotów otaczającej ziemi, jej żyzności, malowniczości położeń, łagodności i zdrowia klimatu, łatwości komunikacji z wewnętrznymi dolinami Sacramento i San-Joakino; uważając ją pod temi względami, połączonymi z jeograficznym położeniem na linii komunikacyjnej z Azją.

zatoka San-Francisko nabywa daleko większego znaczenia niż port zwyczajny. Pod tą samą szerokością co Lizbona, posiada klimat południowej Italji. Z pełnego morza widok na zatokę majestatyczny. Ku południowi, góry ją otaczające zniżają się jako czarne pasmo wzgórzów lasem pokrytych, i wstrzymują się aż nad przepaścią, o którą z szumem tłuką się fale Oceanu. Od strony północnej, góra stawia śmiały przylądek sięgający w obłoki na trzy tysiące stop. Między temi dwoma punktami jest ciasnina, około mili szerokości mająca. Wchodząc przez tę bramę, na obie strony odkrywa się zatoka, do 20 mil mająca obwodu. Mnóstwo wysp pokrytych murawą lub szkieletami gór piaszczystych podnosi się z wód i tworzy napiękniesze panorama z zatoki San-Francisko. Naprzeciw zatoki wznosi się sławny szpic *Djabelski* podnoszący swoją głowę na 2,000 stop nad poziom Oceanu, i którego wierzchołek uwieczniony olbrzymiami cyprysami, zdaje się być strażniczym znakiem i opiekuńczym duchem żeglarzy przybijających do tego źródła wszelkiego zła na ziemi!...

Złotodajna kraina Kalifornji rozciąga się po nad brzegami rzeki i jej przytoków. Klimat tamtejszy nie ma zimy; jest tylko pora deszczów i pora suszy. Pierwsza zaczyna się w Listopadzie i trwa aż do Lutego lub Marca; przez resztę roku ani kropla dżdżu nie spada; lecz źródła ciekące z gór Sierra-Nevada dostarczają pożądanej wilgoci dla ziemi podczas upałów lipcowych i sierpniowych. Dolina ta obfituje w mnóstwo dzikiego bydła, łosiów, jeleni, gazel, a często też znajdują się tam szare niedźwiedzie. Wszystkie płody Stanów Zjednoczonych, od jabłek aż do pomarańcz, od kartofli aż do trzciny cukrowej, dobrze się udają w dolinach San-Joaquino i Sacramento, których klimat nie posiada zgoła tych szkodliwych pierwiastków, jakie zarażają powietrze na miedzymorzu Panamskiem.

Takie jest opisanie jeograficzne Kalifornji, takiem jest Eldorado, gdzie odkryto złotodawczeminy, takim jest ten wielki zabór zdobyty przez Amerykanów na Meksyku.

Niektórzy historycy i jeografowie utrzymywali że bogactwa, które z Kalifornji uczyniły kopalnię złota i srebra między dwoma Amerykami, były nieznanne do naszych czasów, i że zatoka San-Francisko przyjęła jako najpierwszą kolonję, missję zakonników Św. Franciszka w 1770. Jest to błąd, który zbijają dokumenta i daty historyczne. Od XVI wieku wiedziano o kopalniach, czyli raczej przewidywano je. Był to więcj niż domysł, mniej niż pewność. W rzeczy samj w 1578, kiedy Sir Francis Drake odbywał podróż w celu rozpoznania brzegów Kalifornji, zna-

lazł tam Jezuitów nad zatoką, cichych posiadaczy ziemi, o której wartości mniej więcej wiedzieli, i może przewidywali, że ów złoty piasek ich rzek, za dni naszych będzie się nazywać *złoto-dajnym piaskiem*. Potwierdza to mniemanie, że zakonnicy, którzy zapewna dla siebie samych chcieli tylko zachować te nowe ogrody Hesperyd, wystawiali z niekorzystnej strony tę ziemię przed Dworem Hiszpańskim, który był ich panem i władzą. Wreście po wygnaniu Jezuitów, rząd Jego Katolickiej Mości nazaczył don Choze Galros (*Jose Galros*) dowódcą flotylli, która miała zwiedzić ziemie Kalifornji; i don Choze Galros, człowiek miłujący więcej prawdę niż bracia Jezusowej konfraternji, dał sprawiedliwą relacją o kraju i odkrył przed światem istnienie złotodawczych pokładów. Ale przez głupią nieufność, której tyle dał dowodów ten dwór arcy-katolicki, nie uwierzył don Choze Galros'owi, i któryś z ministrów z lekceważnêm, a może ze wzgardą musiał jego doniesienie zarzucić gdzieś do zapyłonego kartonu nieużytecznych papierów, nie przewidując, że pozbawia Hiszpanją najpiękniejszej perły w jej koronie. Przyszłość zachowała te skarby dla Stanów Zjednoczonych.

Oddawna Stany Zjednoczone zazdrościły Meksykowi posiadania Kalifornji; strona ta, przez swe położenie, potęgę swęj żeglugi, przez swe naturalne granice, może nawet przez tę tajemniczość, jaką otaczała ją wieść powszechna, ściągała widoki Amerykanów, a Teksas był tylko łatem do zapalenia prochu. Teksas był częścią ładu Meksykańskiego, ale więcej wyglądał na pustynię niż ziemię mieszkalną; kolonja Amerykanów osiadła tam i nie długo czekając ogłosiła się niepodległą; ten nowy Stan, był uznanym przez większą część państw europejskich. Później, koloniści Teksascy, nie mając dość silnego bytu politycznego, chcieli przyłączyć się do Stanów Zjednoczonych. Meksyk sądził być swoją powinnością oprzeć się temu: rząd Stanów Zjednoczonych poparł ich twierząc, że mieszkańcy Teksasu, ogłaszając się niepodległymi oficjalnie, już tęp samém nabyli prawo wcielenia się do konfederacji, która im obiecywała byt trwały i pomyślny. Odtąd rozpoczęły się spory, prześladowania niepolityczne, brakowało tylko pretekstu do wojny; ale pretekst znajduje się łatwo, gdy obie strony pragną go znaleźć. Kroki nieprzyjacielskie wyszły z obozu Meksykanów: znak był dany. Wkrótce kongres Stanów Zjednoczonych objawił wypowiedzenie wojny: było to w Maju r. 1846.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

O CHWALE BOŻEJ I CHWALE KRÓLEWSKIEJ.

GAWĘDA Z ŻEBRACKIEGO ŻYWOTA.

P. INNOCENTEMU STARUSZKIEWICZOWI

w dowódzie wysokiego poważania i serdecznej przyjaźni

POŚWIĘCA AUTOR.

— K I N I S —

II.

W kruchcie jednej niedzieli, wynędziali, nieśmieli,
Dwaj żebracy siedzieli.

A że wcześniej dość było, a gawędzić tak miło,
Więc się sobie gwarzyło.

Gwarzą różnie a różnie, satyrycznie, ostróżnie,
O Pauach, o jałmużnie,

O kalectwie i latach, o szatach i o latach,
O dziadowskich intratach.

O żebrackim swym stanie, o dzwonach i organie,
I o xiędzu plebanie.

I rzekł Szczudło kolledze: «Wiesz że doma niesiedzę,
«Czasem wioski odwiedzę.

«Czasem sobie zachodzę, pod Figurę przy drodze,
«I tam piosnki wywodzę.

«Jest przychod jaki taki, na dzień ze dwa szostaki,
«Na kupienie tabaki.

«Ale najlepsza rada, iść gdzie odpust wypada,
«Gdzie narodu gromada.

- Mówić święte pacierze, i śpiewać piosnki szczerze,
•A pewno grosz się zbierze.
- Ale jedna przestroga, modl się tylko do Boga,
•Nie patrz czy kwota mnoga.
- Bierz jak podarek Boży, kto ci do-ręki włoży,
•A Pan Bóg ci przymnoży.
- I twych modłów nie straci, za jałmużną współpraci,
•Dobrodziejom zapłaci!”
- Sluchał Kostyl tój mowy— •Rozum— rzecz— wart głowy,
•Koncept wielce jałowy.
- Iść pod krzyżyk... a może... zbierzesz skarby nieboże,
•Pan Bóg ci dopomoże.
- A ja... idę we dwory, choć żebrackie ubiory,
•Psy szarpają ze sfory.
- Mam jałmużny do syta, Król mię żywi,— i kwita,
•Pełna moja kaléta.
- Człek się wesprze na kuli, idzie pod zamek Króli,
•Do muru się przytuli.
- Tam zjeżdżają się Pany, Wojewody, Hetmany,
•Každy w złoto przybrany.
- Spójrzy który k'tej stronie, ja się nisko poklonię,
•I wyciągam me dłonie.
- Z Panami trudna rada, czasem jasna gromada,
•Ani spójrzy na dziada.
- Czasem bywa człek w biedzie, gdy się wymknie po przedzie,
•Bo ktoś koniem najedzie.
- Albo gorzej się zdarzy, kiedy żołdak ze straży,
•Halabardą nędzarzy!
- Czasem dworskie swawole— rzuci kamień pacholę,
•Wlepi siniec na czole.
- Lecz często zamiast psoty, ze szczególnj szczodroty,
•Rzuci czerwony złoty.
- Albo pan jaki raczy, dać do ręki żebraczej,
•Sto złotych, nieinaczej.
- Ha! każdy ma swe gusty, ja wolę kęsek tłusty,
•A ty sielskie odpusty.

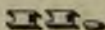
•Bóg dobry! tak kollego, lecz Król-to co inszego,
 •Król to żywi biednego.

•Nie Król, to dwór co hula,— ciebie Pan Bóg rozczula,
 •Co do mnie, wołę Króla.

•Wejdz pod królewskie znamie, siądz przy zamkowej bramie,
 •Obaczysz czy ja kłamię?”

Szczudło głową coś kiwa, w tem organ głos przerywa,
 Wyszła święta wotywa.

Boga, ten Króla chwali, a Król stojąc w oddali,
 Podsluchał co gadali.



W tydzień— znów dziady społem; Król z senatorskiem koleń,
 Wysiada przed kościołem.

Idzie gdzie dwaj żebracy, za nim niosą dworacy,
 Dwa bocheny na tacy.

Król z uśmiechem na twarzy, obu biednych nędzarzy,
 Własnoręcznie obdarzy.

Szczudło co chwalił Boga, dostał bochen pieroga,
 Bulka cienka i droga.

Kostel z królewskiej chwaly, wziął chleb czarny i mały,
 Ciężki jakby ze skaly.

Szczudło w rogu cmętarza, tylko pacierz powtarza,
 Na podarek niezważa.

Oparł ręce u kija, wzrokiem niebo przebija,
 Mówi *Zdrowaś Marya!*

Kostel chwalcą królowy, nierad z bulki razowej,
 Szedł po rozum do głowy.

Skradł się cicho i zaczem, Szczudło modli się z płaczem,
 Zmienił bulkę cichaczem.

Szczudło w rogu cmętarza, ciągle pacierz powtarza,
 Zamiany niecuważa.

Po Mszy Świętej, po Sumie, modląc się jak kto umie,
 Ludzie wychodzą w tłumie.

Mniej już ludu co chwila, każdy gdzieś się posila,
 Rzeczł Szczudło do Kostyla:

— Czas nam użyć swobody, weźmiem chleba i wody,
 Siądziem wedle gospody.

„Zjemy obiad żebraczy, niech Bóg nagrodzić raczy,
 „Naszych dobrych wspieraczy!”

Dobyl chleb z zapazuchy, czarny, ciężki i suchy,
 Aż się sypią okruchy.

— „No! syć się Bożą chwałą (rzekł mu Kostyl zuchwało),
 „Patrz co mi się dostało!

„Ja za królewskie zdrowie, mam bułkę co się zowie,
 „Jadam jako Panowie.”

Szczudło spójrzył przez ramię, chleb swój suchy rozłomie:
 „Boże! czy wzrok mój kłamię?!

„Cóż to? skąd się to wzięło? Opatrznościż to dzieło!”
 Z chleba złoto sypnęło!

Bo Król hojny w potrzebie, wdzięczzen pochwał dla siebie,
 Zapiekł złoto we chlebie!

Ze dwie garści niemale, by okazać swą chwałę,
 Że ma serce wspaniałe.

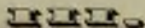
I Kostela nędzarza, co na Boga niezważa,
 Własno-ręcznie obdarza.

Lecz Pan Bóg to przeznacza, On podarek bogacza,
 Swemu chwalecy przeznacza.

Więc się Szczudło rozczuła, choć chromieje i kula,
 Szedł dziękować do Króla.

Król krzyknął: „precz beznogu! do kościelnego progu,
 „Dziękuj tam Panu Bogu!”

Bo wstyd się w oczach zdradza, że nie królewska władza,
 Lecz Pan Bóg wynagradza.



Szczudło za swe dukaty, wyniosł Kościół bogaty,
 Dał złote aparaty.

Zbudował dwa szpitale i sam przy bożej chwale,
 Żył pobożnie, wspaniałe.

Aż syt Pańskiej opieki, poszedł na kraj daleki,
 Królować z nim na wieki.

Władysław Syrokomla.

d. 28 Maja 1849.



BADANIA HISTORYCZNE.

© DOMNIEMANIACH UCZONYCH

ZKĄD POCHODZA CYGANIE?

LIST WOJCIECHA OSIKOWSKIEGO

DO WYDAWCY PAMIĘTNIKA.

CHCESZ Pan wiedzieć co takiego są Cyganie, i udajesz się do mnie jako do człowieka lubiącego czytać książki, szperać w papierach, robić wypisy, zaglądać do Bibliotek, słuchać uczonych, i *motać sobie*, jak to mówią, *na wąsy*, nabyte tą drogą wiadomości. Przedmiot zadany mi przez Pana niepospolicie jest trudny; trafiłeś Pan w samo serce nie tylko mojej, ale nawet europejskiej erudycji. Co są Cyganie? na to nie mogły odpowiedzieć dokładnie dwa wieki;— przynajmniej nie można być pewnym, aby to, co o nich dziś u nas jest niby ustalone, do jutra pozostało prawdą. Oni zawsze sobie wierni, nie odstępają od raz przyjętego charakteru. Dziś jak i w XV wieku— epoce kiedy się po raz pierwszy pojawiają w Europie,— także kradną, wróżą i tumanią— też same prowadzą tułacze życie,— też ogorzałe oliwkowe twarze, też wydatne, wydęte wargi, też dziwniej białości zęby,— tenże włos kruczy, pokręcony i powiewny. Oni ciż sami zawsze,— a badania o nich zmieniają się prawie z każdym lat dziesiątkiem!

Przez otwarte okno, przez perspektywę widzę ich daleko za stawem, pod lasem w ich dymiącem się koczowisku; lecz pytaj-

że się ich dopiero z kąd powstali? oni za ledwo wiedzą dokąd udadzą się jutro! może nawet nie pamiętają kiedy i gdzie się porodzili!... Tułacze!...

Lud ten pochodzenia niepewnego, ma dziesiątkami nazwisk, stosownie do krajów w jakich przebywają. Naprzemian *Bohemicus*, *Gitanos*, *Zingari* i *Zingani*, *Zigeuner*, *Giptes albo Gipsis*, a podobno nawet zwano ich *Syrganami*. W początkach jednak ich pojawienia się w Europie, wyprowadzano ich z Egiptu; mieli to być Koptowie wypędzeni przez Turków po wejściu tam Selima w r. 1517. U nas dawniej oni się sami *egipcjanami* zwali; dotąd żyd spotkawszy Cygana uśmiechając się zwie go swoim *panem*, czyniąc aluzję do niewoli egipskiej. Niektórzy pisarze brali ich za owych *Metanastów*, o których Ptolomeusz, mówiąc o Egipcie, wspomina. Wolter chce w nich widzieć resztki kapłanów Izidy zmieszanych z ofiarnikami frygijskiej bogini—Matki-Bogów (*alma Mater Deorum*) Cybelli,—owych to Korybantów, których także Rzymianie przewali byli *Gallos*. Na tę myśl naprowadziło go porównanie opisu jaki Apuleusz zostawił nam o tych Gallach, z obrazem jaki nam przedstawiają hordy błędne Cyganów-wróżbitów i lekarzy ludu, z tamburynem i kastanjetami. Braknie wprowadzić noża, którym by rzeźbili sobie ciało na cześć bogini, ale mniejsza z tem,—dość że bęben i grzechotki przypominają cymbały i *Crotales* kapłanów Izidy i Cybelli. Cóż dopiero mówić o zgodności obyczajów,—kiedy Apuleusz o tych wędrownych guślarzach starożytności dodaje: że posiadali jak nasi Cyganie przymiot doskonałego okradania zwiedzanych przez siebie domów? Pierwszy Buhensztaber zaczął zaprzeczać pochodzenia Cyganów z Egiptu, a Turmeyer widział w nich zlewki ludów pogranicznych Turczyźnie, Bułgarów, Watachów, Sławian i Węgrów.

O Cyganach były najrozmaitsze domysły, dla tego też literatura poszukiwań o tym narodzie jest bardzo bogatą. O Cyganach pisali Gasse, Hérbelot, Marius Niger, Eneas Sylwiusz, Wagenseil, Eckart, Pallas, Grizellini. Za najlepszą historję tego ludu można uważać dzieło napisane już od dość dawnego czasu przez Grellmann'a. Ważne są poszukiwania o tym narodzie Rycardsona, Dubois i Rienzi. U nas także zajmowali się niemi i dawali objaśnienia ich pochodzenia i powinowactwa z innemi narodami, Naruszewicz, Czacki, Daniłowicz, Narbütt. Zdaniem Rienzi, Cyganie pochodzą z Hindostanu, a mianowicie z ziemi Magrattów, z plemienia Zengari, należącego do Pariah'ów. Zastanawiało atoli długo to pytanie: kiedy Cyganie wywędrowali z Indji? Byli tacy, co opierając się na jednem miejscu w Historji Naturalnej Plinjusza (L. VI.

C. 7. §. 19), który wyliczając narody około Meotyckiego czyli Azowskiego morza osiadłe, wspomina jakiś narodek Zingów (*a Cimmericio accolunt Maeotici, Vali, Serbi, Arrechi, Zingi etc.*),—mniemali że to byli Cyganie, którzy wszedłszy do Europy przez tak zwane *Kaukaskie urota (Portae caucasiae)* wędrownych narodów do Europy, osiadły tutaj i dopiero w wieku XV posunęły się do środka europejskiego lądu. Rzeka *Sarpa* od Tatarów *Caganem* zwana, utwierdziła w powyższém mniemaniu dobrodusznych etymologów. Inni miłośnicy historycznych domniemań wyprowadzali gwoli erudycji a wbrew jeografji i dziejóm, pochodzenie Cyganów od Siginów indyjskich, których Herodot zalicza do narodów me-dyjskich; mieści on tych Siginów w Europie u brzegów Adrjatyku, w sąsiedztwie Wenetów, ludu pochodzenia słowiańskiego. *Gitony* Ptolomeusza przez podobieństwo z hiszpańskim słowem *Gitanos*, także były powodem do nowego zbliżenia Cyganów z dawno osiadłymi ludami w Europie.

Najpociesniejszą rzeczą wszakże jest domysł naszego Naruszewicza, doskonale charakteryzujący polskiego uczonego, który wtedy gdy inni udają się nad Nil, Indus lub do Syrji dla wykrycia prawdy,—on szuka przyczyny wszystkiego tuż koło siebie. Kołataj w Scytach widział jakiś pierwotny naród; Naruszewicz przeciął gordyjski węzeł o Cyganach. Według niego Cyganie pochodzili od Jadźwingów, także *Jacygami* zwanych; Jacyga— to tak jak gdyby kto mówił: *Ja Cygan*— więc jasno, że Cyganie i Jadźwingowie jedno i toż samo plemie!...

Niemasz nad etymologiczne badania w historii! za ich pośrednictwem można sobie całą ludzkość przyswoić. Wiecie co są Mogoli? Zkąd pochodzą?— Nie? A przecież są to Słowianie,— samo nazwisko ich tego dowodzi. Ubogi i tułaczy ten naród, dając sobie nazwisko Mogołów, wyrażał niém opłakany stan swego ubóstwa i nędzy: *Mogoli* jest to zepsute: *My goli!* Nieoszacowana etymologia i etymologiczne badania! przypomnijmy że ona nie jeden tylko tak możny wydała nam rezultat o Mogołach, lub o pochodzeniu Cyganów od Jazygów,— wszak na świecie są jeszcze wywody Lachów od Leety, Polaków od Pola, i t. d. i t. d.

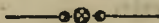
Wracamy do Cyganów. Nieszczęśliwy ten naród nigdzie niecierpiany dla kradzieży, prześladowany wszędzie, w Anglji za panowania Marji i Elżbiety skazywany nawet był na śmierć bez sądu. U nas w Polsce Konstytucja 1557 r. wywołała ich z kraju, ale gdy ustawa nie miała skutku 1563 r., powtórnie konieczne ich wypędzenie nakazano, a w r. 1578 objawiono, że nawet ci, coby przechowywali Cyganów, będą uważani za ich spółników i policzani

do banitów. Osiadłszy na Podlasiu, Cyganie zaczęli powoli zmieniać obyczaje, i naród ten zaczął być tolerowanym w Polsce. W Koronie kreowano rządców cygańskich, zwanych *Cygańskimi Królami*, a w Litwie nominacja takich *Królików* zależała od Radziwiłłów, gdzie i rezydencją ta Cygańska Królewska Mość miała w Mirze, w województwie Nowogródzkim (Czacki o *Prawach* T. 1. str. 239). Tu należy wspomnieć o sławnej akademii tańców w Smorgoniach, w powiecie Oszmiańskim, założonej przez Cyganów dla *niedźwiedziej młodzieży*, gdzie ona równie jak i nasza teraz młodzież należycie wykształcała i oświecała sobie nogi. Chociaż w Anglii i Niemczech najwięcej Cyganie ucierpieli prześladowań— dziś jednakże oba te kraje wydały uczonych lingwistów i etnografów, którzy z wielką erudycją zajmują się wykryciem początków i pochodzenia tego ludu i jego mowy. W naszym wieku Indja i Sanskryt— zamieniły Egipskie ich pochodzenie i koptyjski język. Badając mowę Cyganów, Lingwiści dostrzegli mnóstwo obcych wpływów, które służą do wykrycia ich przechodu z Azji do Europy. W Indjach wschodnich, w lasach gór Hindhya, nad rzekami Mahi i Nerbuda, mieszka dotąd pokolenie mające zupełne podobieństwo z naszymi Europejskimi Cyganami. Naród ten wedle niektórych należy do pokolenia *Sudlers*, wypędzony z Indjów r. 1408 przez wojska Tamerlana, przeszedł przez Azją i wszedł do Europy. Do Francji Cyganie przyszli po raz pierwszy w 1427. Niektórzy sądzili Cyganów być wypędzonymi Moreskami (Maurami) z Hiszpanji, i tém więcej, że we Francji dawano im także nazwisko *Saracenów*. Wielu miesza Cyganów z innymi tułaczami plemionami: tak tułacze plemie w Egipcie mówiące językiem Koptów, Schwarze w dziele swoim o *Egipcie* zowie Cyganami. Pokolenie *Iljat* w Persji mówiące swoim własnym językiem, wedle domysłów niektórych, wedle wszelkich prawdopodobieństw jest mongolskie i bynajmniej do Cyganów nie należy, chociaż niektórzy brali je za ten naród.

Z prac najnowszych o Cyganach, napisanych przez europejskich uczonych znane są Borrow'a, pod tytułem: *The Zincati*. Znane są w tym względzie zasługi uczonego Grafflunder'a. Najnowsza praca o Cyganach, o ile mi wiadomo jest Dra Pott'a *die Zigeuner in Europa und Arien*. Halle 1844. Przedstawia on etnograficzno-lingwistyczne poszukiwanie o Cyganach a szczególnie zwraca uwagę na ich pochodzenie i mowę. Znany jest w Niemczech ze swoich leksyograficznych badań o Cyganach Doktor Lorenz Diffenbach, który wiele użytecznych not dostarczył do wyż wspomnionego dzieła Pott'a.

BYŁO TO DAWNO.

(B A L L A D A).

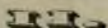


Było to dawno, lat temu sto,
Chyba ze starych pamięta kto.



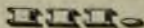
Ranne wiosenne słońeczko,
Świeci pogodnie, wesoło;
Przez rynek, przez miasteczko,
Ciągnie ludzi gromada;
I pochmurne ma czoło,
Cóż szepce, coś gada.
A za nimi pod strażą,
Jakieś niewieście iść każą,
A twarz jej bardzo blada!
Lecz twarz niema — nie płacze,
Stroje litewskie, wieśniacze.

Za nią z żołnierzem przy boku,
Szedł kat w płaszczu czerwonym,
W rękę z knutem plecionym
I z uśmiechem w oku.



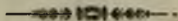
Straszno gdy karze dłoń boska!
 — Za miasteczkiem była wioska,
 A w wiosce ciężki był głód,
 I mech i korę i trawę jadł lud;
 A miłosierny był Król,
 Czuł głód ludu i ból,
 I kazał rozdawać zboże.
 Pan wsi był, mówią, najlepszy w świecie,
 Bo był w głodnych Komitecie,
 A lud żył we wsi o mechu i korze.

W tejże wiosce wdowa była,
 Co małeńkie dziecię miała,
 Swemi łzami je karmiła,
 Ach! bo więcej nic nie miała!
 I uprosić nic nie może,
 Bo nikt nie mógł jej nie dać.
 Jęki dziecka— matce noże!
 Gdybyż mogło dziecko spać!
 —Niech śpi! matka pomyślała—
 Ma okropną w duszy sprzeczkę...
 I boleścią oszalała!
 I ból przeszył mózg jak strzała,
 Już szczęśliwa! wpada w rzeczkę...
 Jak myśliła tak zrobiła,
 W rzeczce dziecię utopila!—



Śród powiatowego miasta
 Ten kat i ta niewiasta,
 To był za zbrodnię wyplacony dług—
 A jeszcze jeden— kiedyś spłaci Bóg!—

Antoni Sowa.



Do... J. D.



MIAŁEM sen dziwny— na świata obszarach
 Widziałem jaskre, rozniecone luny,
 By blask pogrzebu;— widziałem na marach
 Świętą dziewicę złożoną do truny.

W czerwonych płaszczach dzieci potępienia...
 Nieśli ją pogrześć— i szarpali szaty,
 Herbowe serca wyły szalu pienia,
 A na ich czcłe szli złych duchów swaty....

Była to północ— chwila przesilenia,
 Zagrzmiąło niebo w uroczystym gromie;
 Drgnęła pierś ziemi w swym każdym atomie,
 I tu się moje zmieniły widzenia.

Widziałem jutrznię przez szyby lodowe,—
 A na tlech jutrzni tę postać dziewicy,
 Szaty na poly weselno-grobowe,
 A pół boleści i szczęścia w zrenicy.

Jój wzrok— widziałem, szczęściem poił tłumy...
Wiare i bojaźń snuł w piersi na przemian,—
Widziałem bole poniżonej dumy—
A lepszym sercom błysnął obraz niebian.

Słyszałem z nieba jój głosu wołanie,
I na świat cały wyciągnęła ręce,
Lody— krwią piersi stopili młodzieńce,
Śród nich i ciebie widziałem Juljanie.

Antoni Sowa.

— o i d i c —

KORRESPONDENCJA LITERACKA.

— o —

LIST WYDAWCY PAMIETNIKA

DO ALBERTA GRYFA.

—

GDPOWIADAJĄC na twój list Albercie, umieszczony w 1-szym Zeszytcie *Pamiętnika*, udzielię ci nawzajem niektórych myśli krytyki estetycznej dotyczących, co się w ostatnich czasach przewinęły po głowie mojej. Powodem do nich był naprzód artykuł P. *Moraczyńskiego* zamieszczony w 2-gim Zeszytcie tego pisma, a potwóre rozmowa, którą miałem niedawno z *Hr. Konst. Tzłm., Ant. Ed. Od., Walerjanem Tomaszewiczem* i *Antonim Sową*— o *samoistności sztuki*. Rzucam te kilka myśli na prędce i niedokładnie nakreślonych w nadziei, że może posłużą za temat do obszerniejszego rozwinięcia tobie, albo komuś z wyżej wymienionych, posiadającemu przestronniejsze wiadomości w tym przedmiocie.

....Wiadome jest powszechnie mniemanie niektórych estetyków, jakoby *sztuka sama dla siebie tylko była celem, a zewnątrz siebie nie uznawała żadnych celów*. Ta myśl nie jest bez pewnej zasady, wszakże przesada onę daje się zaraz uczuwać. Wylęgła się u Niemców i w rzeczy samej mogła powstać tylko w narodzie kontemplacyjnym, myślącym i marzycielskim, a w żaden sposób pojawić się nie mogła u narodu praktycznego, którego towarzyskość przedstawia obszerne pole dla działalności żywotnej. Co

znaczy sztuka tylko dla siebie samej istnąca, tego dobrze nie pojmują nawet sami najzawołańsi jej poplecznicy i dla tego ona się u nich przedstawia niby jakiś ideał, nie ekzystujący faktycznie. W istocie jest to *skrzywiona ostateczność* drugiej skrzywionej ostateczności, to jest: *sztuki dydaktycznej*, nauczającej, zimnej, oschłej i martwej, której utwory nie są czem innem jak tylko retorycznymi ekzercycjami na zadane temata. Bez wątpienia sztuka przedewszystkiem powinna być sztuką, a potem już może być wyrazem ducha i kierunku społeczności w danej epoce. Choćby najpiękniejszymi myślami przepełniony był wiersz jaki, choćby najsiłniej odbijały się w nim społeczne pytania, jeżeli w nim nie ma poezji,— to nie poczujesz w nim ani pięknych myśli ani wzniosłych zagadnień, i przemawiać za nim będzie chyba tylko piękny zamiar nieudolnie wykonany. Kiedy w romansie, powieści albo dramacie nie masz uderzających obrazów i osób, czyli charakterów *typicznych*,— to choćby najdokładniej i najstaranniej było wykonane podług natury opowiadanie, czytelnik nie znajdzie tam naturalności, nie dostrzeże nic wiernie z życia uchwyconego. Osoby będą się gmatwały w jego oczach: w samem opowiadaniu dostrzeże gmatwaninę niepojętych dla rozumu wypadków. Nie godzi się bezkarnie naruszać pewnych zasad które sztuka wyrobiła dla siebie. Aby wiernie z natury malować nie dość jest umieć pisać, to jest, posiadać umiejętność pismaka czyli skrybenta, potrzeba umieć objawy rzeczywistości przeprowadzić przez własną fantazję, nadawać im życie nowe. Jasno i dokładnie wyłożony proces, mający interes romantyczny nie jest jeszcze romanssem i może tylko posłużyć jako materiał dla romansu, to jest, być dla poety pobudką do napisania romansu. Aby tego dopiąć powinien on myślać wniknąć we wewnętrzną treść czyli głąb wypadku, zbadać skryte sprężyny duszy, które zmusiły jego osoby działać tak a nie inaczej, uchwycić to stanowisko swego przedmiotu, które jest ogniskiem danych wypadków, skupiającem je w jakąś jedność, i całość kształt, który w sobie samym ma podstawę i oporę. Tego dokazać jest w stanie tylko poeta. Zdaje się, cóżby trudnego było namalować portret jakiego człowieka? A wszakże zdarza się, że siaki taki malarz przez całe życie studuje ten rodzaj, i nigdy nie potrafi namalować znajomj sobie osoby tak, aby patrzący z pierwszego rzutu oka poznali czyj to jest portret. Umieć z natury wiernie namalować, jest już dowodem pewnego talentu, ale nie na tém cała zasługa artysty. Bazgracz może zrobić portret nader podobny, możecie poznać do razu osobę, którą chciał przedstawić, wszakże czegoś mu zawsze brakować

będzie. Niechżeby tę samą osobę przedstawił np. Wańkowiec, i wziął się do pędzla z wewnętrznego pobudzenia,— to wtedy zwierciadło nie odbije tak wiernie wyrazu śluzjognomji, bo to już nie będzie *tylko portret*— ale raczej utwor artystowski, w którym schwycona, obok podobieństwa, dusza oryginału. Wiernie malować rzeczywistość jest w stanie tylko talent, i choćby niewiele był wart utwor pod innemi względami, jeżeli tylko jest wiernem naśladownictwem natury, to już nie ulega wątpliwości talent autora. Że nie dosyć jest być tylko wiernym naturze, osobliwie w poezji— to jest inne pytanie. W malarstwie, sama tylko umiejętność wiernego kopjowania natury, podług własności i istoty tej sztuki, może często służyć za oznakę niepospolitego talentu. W poezji rzecz ma się inaczej: nie umiejąc wiernie malować natury, nie można być poetą, ale jedynęj tej umiejętności też jest niedostateczność, aby zostać poetą wyższego polotu. Pospolicie twierdzą, że wiernie kopjowanie z natury przedmiotów straszliwych (np. morderstw, ekzekucji publicznych i t. p.), bez myśli i artystowskiego wykończenia, wzbudza odrazę zamiast roskoszy. To zdanie nie tylko że jest nie słuszne, ale fałszywe. Widok zabójstwa albo kary publicznej ręką kata dokonywającej się jest już sam przez się przedmiotem, który nie robi przyjemności, w utworze zaś wielkiego poety czytelnik znajduje roskosz nie w samém morderstwie, nie w wykonaniu kaźni, lecz w mistrzowskiem przedstawieniu a przeto jest to roskosz czysto estetyczna, nie zaś psychologiczna, zmieszana z mimowolnym przestraczem, wówczas gdy obraz wzniosłego czynu lub szczęścia miłości— obudza w nas przyjemność daleko więcej harmonijną, a przeto zupełniejszą, zarówno estetyczną jako i psychologiczną. Lecz człowiek niemający talentu, nigdy dokładnie nie potrafi przedstawić zabójstwa albo ekzekucji, choćby tyśiąc razy badał ten przedmiot w naturze: robi tylko mniej więcej dokładne ich opisanie. Opis jego może nawet obudzić wielki interes, lecz nigdy wewnętrznego uczucia roskoszy; utwor jego wzbudzi obrzydzenie, nie dla tego że wiernie zdjęty z natury, lecz że melodrama— nie jest dramatycznym obrazem, efekt teatralny— nie jest wyrazem uczucia.

Lecz przynajac w zupełności, że sztuka przedewszystkim powinna być sztuką, jesteśmy tego zdania, że myśl o sztuce wyłącznej, żyjącej tylko we własnej sferze, nie mającej nic spólnego z innymi stronami życia, jest czysto-abstrakcyjną, marzycielską myślą. Takięj sztuki nigdy i nigdzie nie było. Życie rozdziela się na mnóstwo stron, mających własną samodzielność; lecz te strony zlewają się z sobą i nie masz między nimi wyraźnej, rozdzielającej ich gra-

nicy. Drobiąc życie na najdrobniejsze cząstki, zawsze ono pozostanie jedynem i całkowitem. Powiadają, dla nauki potrzeba rozumu i rozsądku, dla twórczości—fantazji, i sądzą, że tém rozstrzygnęli pytanie. A dla sztuki czyż nie potrzeba rozumu i rozsądku? A uczony czyż może obejść się bez fantazji? Wcale nie! To pewna, że w sztuce rolę najczynniejszą gra fantazja, a w nauce—rozum i rozsądek. Są utwory poetyckie, w których prócz świetnej, uderzającej fantazji niczego dójrzyć nie można; ale to nie może być ogólnem prawidłem dla utworów artystowskich. W dziełach Szekspira nie wiadomo czemu się więcej podziwiać—czy bogactwu twórczej fantazji, czy bogactwu wszystko przenikającego rozumu. Sztuka jest odtworzeniem rzeczywistości, powtórzonym, jakby na nowo odtworzonym światem: czyż może być więc odrębnym, odosobnionym przedmiotem od wszelkich obcych mu wpływów? Czyż może poeta nie wyrazić się w swoim utworze jako człowiek, jako charakter, jako natura,—jednem słowem, jako *osobistość* (indywiduum)? Rozumie się, że nie może, gdyż sama owa zdolność przedstawiania objaw rzeczywistego życia bez żadnego stosunku do siebie samego—jest także wyrazem natury poety. Lecz i ta zdolność ma swoje granice. Osobistość Szekspira przebija się w jego utworach, chociaż zdaje się, że on jest równie obojętny dla przedstawianego przez siebie świata, jako i ów los ślepy, który ocala albo w przepaść wtrąca jego bohaterów. W romansach Waltera-Skotta nie podobna nie widzieć w autorze człowieka więcej uderzającego swoim talentem, aniżeli samodzielnie-przestronnem pojęciem życia,—człowieka-tory, konserwatora i arystokratę ze swych zasad i namiętności. Osobistość poety nie jest bezwarunkową, wyosobnioną od wszelkich wpływów zewnętrznych. Poeta przedewszystkiem—jest człowiekiem, a potem już obywatelem swego kraju, synem swjej epoki. Duch narodu i czasu nie może nań wpływać mniej niż na drugich. Szekspir był poetą *starzej wesołej* Anglii, która w przeciągu lat kilku nagle została surową, posępną, fanatyczną. Purytańska dążność miała wielki wpływ na ostatnie jego utwory, nacechowany je pieczęcią posępnego smutku. Zład widać, że gdyby się urodził kilkudziesięcią latami później,—genjusz jego byłby zawsze tenże sam, lecz charakter jego utworów byłby inny. Poezja Milтона jest także porodem jego epoki: dążąc do wcale innego celu, nie postrzegł się, że w osobie swego dumnego i ponurego Szatana wyraził apoteozę buntu przeciwko autorytetowi. Tak silnie działała na poezję historyczny ruch społeczeństw. Oto dla czego dopiero wyłącznie-estetyczna krytyka,—która chce mieć sprawę tylko z poetą i jego utworami, bez baczenia na miejscowość

i czas, gdzie i kiedy pisał wiesz, na okoliczności, które przygotowały go do poetyckiego zawodu i miały wpływ na jego poetycki kierunek,— utraciła za dni naszych zupełnie znaczenie, i stała się niepodobieństwem. Jeżeli dziś jeszcze pojawia się gdzie w oświeconych głowach ludzi, mających siebie za krytyków dla tego, że wzniesli sobie pedestal bibulasty z wodnistych deklamacji, który będzie dla nich stołem całopalenia,— to razem z nimi pójdzie do grobu już na wieki. Dogorywające owe szczątki upadłego dawno porządku rzeczy w opinii ludzi myślących, a kulejące jeszcze i na wszystkie strony rzucające się u tych krytyków, jako u ludzi bez wyrobionego czyli *wyrozumowanego* przekonania,— są najwybitniejszym dowodem ich obskurantycznej protestacji przeciwko nowemu duchowi pokoleń. Lecz dajmy im pokój, pograżyli się oni sami dobrowolnie w nicestwie...

Powiadają: duch partij, koteryjne sektarstwo, szkodzą talentowi, psują jego utwory. Rzecz niezawodna! I dla tego-to ten duch powinien być organem nie tej lub owej partij albo koterji, której przeznaczeniem jest potrwąć chwil kilka i zaginać bez śladu,— lecz organem skrytej myśli całego społeczeństwa, jego dążności— może nawet nie wyraźnej dla niego samego. Czyli innymi słowy: poeta powinien wyrażać nie wyłączone i przypadkowe, ale ogólne i konieczne, co daje barwę i znaczenie całej jego epoce. Jakże w tym chaosie zdań i dążeń przeciwnych, potrafi on wypatrzeć to, co rzeczywiście wyraża duch jego epoki? W tém zdarzeniu przedewszystkiem jedyną, pewną skazówką dla niego być może instykt, niewyraźne wewnętrzne uczucie, często stanowiące całą potęgę genialnej natury: sądziłbyś z początku, że idzie na oślep, wbrew powszechnemu przekonaniu i sądowi, wbrew przyjętym zasadom i zdrowemu rozsądkowi, a tymczasem dąży wprost tam, dokąd dążyć powinien,— i wkrótce ci, którzy hałaśliwiej od innych wrzeszczeli przeciwko niemu, chcąc nie chcąc owozym pędem pójdą za nim i dziwić się będą jak można było iść dotąd po innej drodze. Oto dla czego zdolniejszy poeta-powieściopisarz dopóty tylko niejaki wpływ wywiera, dopóty daje kierunek literaturze, dopóki po prostu, instyktownie, na ślepo idzie za popędem swego talentu, ale jak skoro zacznie wdawać się w sprawę i puści się jeszcze w krytykę estetyczną, o której wyobrażenia niema,— już po nim! przyjaciele jego niech w tém już słyszą jego *pieśń łabędzią*, ostatnią, przedzgonną, z której już nic, prócz zwietrzałego dowcipku uszu ludzi myślących nie doleci.... Już on upadł jak Samson pozbawiony włosów, własne jego krytyczne wysoki stały się dlań nożyczkami Dahlji— i ów,

który szedł kiedyś w pierwszych szeregach, dopiero zaledwie wlecze się w ostatnich między obozowemi ciurami, niżej od swych dawnych przeciwników, którzy już z nim znać się nie chcą i zarazem z nimi chciałby już powstawać na własne dzieło, ale już za późno.... nie za jego wołą powiał duch nowy, nie za jego wołą może on upaść; duch ten jest wyższy od niego i potrzebniejszy dla towarzystwa, niż sam ten wsteczny autor dopiero.... I żal i litość i śmiech bierze patrzeć na mającego talen powieścio-pisarza, któremu się zechciało zostać kiepskim feljetonowym krytykiem!...

Dziś sztuki i literatura więcej niż kiedykolwiek stały się wyrażeniem towarzyskich zagadnień, gdyż dziś te zagadnienia stały się widoczniejszymi dla ogółu, nabrały dla wszystkich największego interessu, zajęły najpierwsze miejsca. To nie mogło nie wyrzucić zgubnego wpływu na zmianę ogólnego kierunku sztuki. Najgenjalniejsi poeci uganiając się za rozstrzygnięciem społecznych kwestij, zadziwiają dziś publiczność dziełami, w których strona artystyczna zupełnie jest zaniedbaną, tak, że całość często się wydaje słabą, rozwlekłą, mdłą i nudną. Dość namienić na niektóre romanse genialnego Żorż Sand, jak: *Le Meunier d'Angibault*, *Le Péché de Mr Antoine*, *Isidora*. Wszakże to zło nie poszło od wpływu socjalnych kwestij, jako raczej od tego, że autor chciał zamienić rzeczywistość— utopią i dla tego wprowadził do swęj artystowskiej sfery świat, ekzystujący tylko w wyobraźni. A przeto obok charakterów wziętych z natury, pełnych rzeczywistęj prawdy, każdemu znajomych, wyprowadził typy fantastyczne nadnaturalne i poezja zmieszala się z retoryką.

Wszakże rzec prawdę, sztuka więcej ucierpiała od wpływu społecznych zagadnień pod piórem tylko miernych talentów, jak się to okazało u nas u tych pisarzy, co usiłowali podnosić stan niższy i porobili tylko karykatury, nieumiejąc odróżnić rzeczywistości od marzenia, i uganiając się za melodramą, za efektami gwałtem naciągnionemi. Najwięcej nam podobają się w romansach dzisiejszych malowidła społecznego bytu, w których widać wpływ socjalnych kwestij. Słabą zaś ich stroną są: przesada, melodrama, wymuszone efekta, charaktery nadnaturalne jakich pełno u podrzędnych pisarzy; jedném słowem to wszystko, co w nich jest nienaturalném. Z drugiejęj strony możemy wskazać romanse Dikkensa, które są tak głęboko przesiąknięte serdeczną sympatją wieku naszego i którym to wcale nieprzeszkadza być utworami prawdziwie artystowskimi. Ale wracam do założenia mego.

Powiedziałem na początku że wyłączonejęj, samoistnejęj, bezwzrunkowejęj, czyli mówiąc językiem filozoficznem, *absolutnejęj* sztuki

nigdzie i nigdy nie było. Można to chyba przypuścić tylko w epokach, kiedy utwory artystyczne były głównym interessem, wyłączenie zajmującym ukształconszą część towarzystwa. Takimi były malarskie utwory szkół włoskich w wieku XVI. Treść ich była pozornie tylko religijna, — a w istocie głównym ich celem była — piękność tylko jako piękność, więcej w plastycznym, czyli klasycznym niżeli w romantycznym znaczeniu. Za przykład służyć może arcydzieło owego wieku, Rafałowska *Madonna* w galerji Drezdeńskiej. Twarz jej wyraża tę piękność, która istnieć może samodzielnie, nie pożyczając uroku od moralnego wyrazu duszy. Pełna szlachetności i powagi, jest to córka królewska, przejęta uczuciem własnej godności i wysokiego położenia.

Daleko stosowniej jest szukać tak nazwanej *samoistności* sztuki u Greków. Piękność, będąca głównym elementem sztuki, była panującym żywiołem w tym narodzie. Dla tego sztuka u Greków była najbliższą ideałowi sztuki dla samej siebie tylko. Dostarczały jej treści religja i życie obywatelskie, lecz zawsze pod panującym urokiem piękności. Przeto i u nich sztuka była tylko bliską ideałowi sztuki samoistnej, lecz nie samym ideałem, to jest — wolną od wszelkich warunków życia narodowego. Zwykle estetycy zsyłają się na Szekspira i Gethego, jako na dwóch przedstawicieli swobodnej, samoistnej sztuki, — ja nie widzę w tém prawdy bezwzględnej. Że Szekspir — jest największym twórczym geniuszem, poetą przedewszystkiem, o tém nikt nigdy nie wątpił; lecz nie pojmują go ci, którzy w jego poezji nie widzą bogatej treści, niewyczerpanej kopalni nauk i faktów dla psychologa, filozofa, historyka, człowieka stanu i t. d. Szekspir wszystko oddaje przez poezję, ale to co oddaje, dalekiem jest od tego, aby należało wyłącznie do samej tylko poezji. Ogólny charakter nowej sztuki jest — przewaga ważności treści nad ważnością formy, wówczas gdy cechą dawniej sztuki — była równowaga treści i formy. Zsyłanie się na Gethego jeszcze jest mniej stosownem niż na Szekspira. Wskazują *Fausta* jako pierwowzór samoistnego artyzmu, nie poddającego się żadnym, prócz własnym swoim prawóm. A jednakże — nie weźcie mi za złe rycerze samoistnej sztuki — *Faust* jest kompletnem odbiciem całego życia społeczeństwa niemieckiego. Nie darmo uczniowie ze szkoły Hegla ciągle cytowali w swoich lekcjach i filozoficznych traktatach wiersze z *Fausta*. Niedarmo też w 2-giej części *Fausta* Gethe ciągle wpadał w allegorję, często ciemną i niepojętą, z powodu zbyt abstrakcyjnych idej. Gdzież tu jest samoistna sztuka?

A więc i sztuka u Greków nie urzeczywistniła ideału samoist-

nęj sztuki; co się zaś dotyczy nowoczesnej sztuki, zawsze ona była daleką od tego ideału, a za naszych czasów jeszcze się bardziej odeń oddaliła: lecz w tém to właśnie zawiera się cała jej potęga. Właściwie artystowski interes powinien był ustąpić innym ważniejszym dla ludzkości interessóm, a sztuka przyjęła szlachetny na siebie obowiązek służenia im jako ich organ. Nie przestała jednakże być sztuką, a tylko przybrała inny charakter. Odbierać sztuce prawa służenia interessóm społeczności jest to poniżyć ją, bo to znaczy— pozbawiać ją najżywotniejszej potęgi, t. j. myśli, czynić ją przedmiotem jakiejś sybaryckiej rokoszy, zabawką próżniaczych umysłów. Nawet jest to zabijać ją, dowodem czego służyć może godzien litości stan dzisiejszego malarstwa. Jak gdyby z zawiązanymi oczami, nie widząc wrzącego życia dokoła, obojętna na wszystko żyjące, spóczesne, rzeczywiste, sztuka ta— szuka natchnień po większej części w zapadłej przeszłości, ztamtąd czerpie gotowe ideały, dla których ludzie dawno już stracili spóczucie, które już nikogo nie zajmują, w nikim serca nie zagrzewają, w nikim nie obudzają żywego spóczucia.

Platon uważał za poniżenie, za profanację nauki, zastosowanie jeometrii do rzemioł. Rzecz ta dająca się pojąć w natchnionym idealizmie i romantyku, obywatelu maluczkiej rzeczypospolitej, gdzie towarzyskie życie było tak proste i niewielostronne,— za dni naszych nie odznacza się nawet oryginalnością mitęj niedorzeczności. Powiadają że Dikkens swemi romansami dzielnie podziałał w Anglii na ulepszenie naukowych zakładów, w których wszystko uprzednio zasadało się na nielitościwym ściobaniu różgami i barbarzyńskim obchodzeniu się z dziećmi. Cóż w tém złego, że Dikkens działał tu jako poeta? Czyż dla tego romanse jego są gorsze pod względem estetycznym? Tu zachodzi wyraźne nieporozumienie się wzajemne: przyznają że nauki i sztuki są rzeczy zupełnie różne od siebie, a nie przyznają tego, że ich różnica zgoła nie jest w ich treści, lecz tylko w sposobie obrabiania danej treści. Filozof przemawia syllogizmami— poeta— obrazami i porównaniami, a oba mówią jedno i toż samo. Polityko-ekonom uzbrajając się statystycznymi wykładnikami, *dowodzi*, działając na umysł swych słuchaczy lub czytelników, że położenie pewnej klasy w społeczności bardzo polepszyło się lub bardzo pogorszyło się, w skutek takich a takich przyczyn. Poeta uzbrojony żywą i błyskotną wyobraźnią rzeczywistości, *okazuje*, w wiernym obrazie, działając na fantazję swoich czytelników, że położenie pewnej klasy rzeczywiście znacznie się polepszyło albo pogorszyło z powodu takich a takich przyczyn. Jeden *dowodzi*, drugi *okazuje*,

a oba *przekonywają*,— tylko jeden— logicznymi dowodami, drugi— obrazami. Lecz pierwszego słuchają i pojmują nie mnodzy, drugiego— wszyscy. Najwyższy i najświętszy interes społeczności jest własny jej dobrobyt, zarówno rozlewający się na każdego z jej członków. Droga do tej pomyślności— jest uznanie się w swoim jestestwie, a uznaniu się temu sztuka może dopomagać nie mniej od nauki. Tu i nauki i sztuki równie są koniecznymi, i ani nauka nie może zastąpić sztuki, ani sztuka nauki.

Błędne, fałszywe pojmowanie prawdy nie niszczy samej prawdy. Jeżeli się zdarza widzieć ludzi nawet rozsądnych i z najlepszymi chęciami, którzy biorą się za wykład społeczniejskich kwestij pod formą poetyczną, nie odebrawszy od natury odpowiedniego talentu, to wcale nie idzie za tém, że takie kwestje są przeciwne sztuce i godzą na jej zagubę. Gdyby takim pisarkóm zamarzyło wzięść się za samoistną sztukę, upadek ich byłby jeszcze więcej rażącym. Kiepskim był np. dawno już zapomniany u nas romans *Pan Podstolic*, napisany z chwalebnyim celem— przedstawienia obrazu stanu białoruskiego ludu prostego; wszakże nie był on bez pewnego użytku, i choć z nudotą wielu przeczytało go od deski do deski. Autor dotarłby lepiej celu, gdyby treść swego romansu zawarł pod formą notat albo uwag postrzegacza, nie wdając się zgoła w poezją; chcąc napisać romans czysto-poetyczny, postąpiłby jeszcze gorzej. Poprzestaniemy na tym przykładzie, nie chcąc dąsać innych....

Dzisiaj dla wielu ma czarowny pociąg słowo: *dążność*; sądzą że już tu kres wszystkiego i nie pojmują, że w sferze sztuki— naprzód, każda dążność nie warta szeląga, kiedy nie wypływa z talentu, a powtóre dążność powinna być nie w głowie, lecz przedewszystkim w sercu, we krwi piszącego, przedewszystkiem powinna być uczuciem, instynktem czyli wewnętrzną pobudką, a potém dopiero już wyrozumowaną myślą: dla takiej dążności trzeba się urodzić, jako rodzi się artysta dla swęj sztuki. Idea zachwycona w książce lub zasłyszana z ust żywych i przypusęmy, że pojęta jak należy, lecz nie przeprowadzona przez własną naszą naturę, nie napiętnowana stęplem naszej osobistości, jest martwym kapitałem nie tylko dla poetycznej lecz i dla wszelkiej innej literackiej działalności. Malujcie najwierniej z natury, ukraszajcie najusilniej wasze kopje ideami i poczciwymi *tendencjami*, lecz jeżeli nie będziecie mieli poetycznego talentu, kopje wasze nikomu nie przypomną oryginałów, a ideje i dążności pozostaną retorycznymi pospolitościami.

W naszej belletrystyce wyraźniej się wykazują dwie szczególniej dążności: obie przedstawiają obrazy towarzyskiego bytu, a

różnica jest tylko w wykonaniu: jednej dążności obrazy są przeniknione prawdą i życiem rzeczywistym, bo powstały z rzeczywistego talentu, noszą piętno twórczości, i za osnowę mają byt narodowy; takimi są powiastki P. *Korzeniowskiego*; druga— przeciwnie, propaguje idee socjalne, obrazy jej są bezbarwne, nie mogą nikogo ani pociągnąć ani przekonać, bo nie masz w nich ani ducha, ani prawdopodobieństwa. Naciąganie gwałtowne do idei, *deklamatorstwo*, brak artystowskiego wykonania, i upatrywanie samej tylko ujemnej strony w ludzkości, tak przeciwnie dzisiejszemu dążeniu, któremu cały świat uległ,— nie dają zgoła prawa, aby się podobnemi utworami wykształceńska publiczność zajmowała.

Literatura powinna czerpać w samodzielnych źródłach natchnienia i ideału a przeto stawać się społeczną i narodową: jest to najprostsza droga do samodzielności, wyswobodzenia się ze wszelkich wpływów obcych: powinna iść naprzód, rozwijać się w zasadach, lecz nigdy nie odstępować od natury i rzeczywistości. W literaturze naszej zaczynają się przejawiać żywotniejsze zasady, nadzieje możebnego rozwoju w przyszłości, przy okolicznościach więcej sprzyjających... Nadzieje te spoczywają nie na tych rozgłośnych pisarzach, co zapisując wiele białego papieru, nigdy żadnej żywotnej myśli nie podnieśli, ale na tém zacnym, skromnym, w ciszy gabinetów zdala od zgiełku literackiego pracującym pokoleniu ludzi młodych, pełnych sił i wigoru.... Literaturę naszą, podobną do pstrokacizny pól po zeszytych na wiosnę śniegach, które w wąwozach leżały zmieszane z błotem, a zaledwo na pagórkach ukazywała się zielona trawka,— dziś można porównać do pól, zieleniących wiosnianym wirydarzem, chorowitym i chwiejącym się jeszcze, ale rozściełającym się po obszernym obszarze.... Zaprzątlenie się poważniejszymi przedmiotami głów niepiszących, czyż nie jest dowodem postępu?... a że to zaprzątlenie się jest rzeczywistym, to czyż nie dowodzi tego ogół, okazujący lekceważenie dla pism i pisarzy, siłących się nadać wsteczny kierunek myśli?

Kończę ten list tymczasem, zachowując sobie nadal wolność pomówienia obszerniej o tych przedmiotach, o których tu napomknąłem tylko, i byłbym szczerze rad, gdyby to moje napomknienie wywołało obszerniejszą dyskusję ze strony twojej Albercie, lub *Antoniego Sowy*, w imieniu którego przesyłam tobie nawzajem braterskie pozdrowienie....

Romuald Podbereski.

Wilno. 1849.

25 Czerwca.



NOC W WIGILJĄ Ś. KATARZYNY.

POWIASTKA NA SEN.

Dwa albo trzy teatra i wozek księgarza,
Oto jest pole sławy polskiego pisarza.

Alexander Fredro.

CNEGO czasu siedziałem przed arkuszem czystego papieru, myśląc nad tém coby to napisać dla Szanownego Wydawcy *Pamiętnika Naukowo-Literackiego*, któremu artykuł przyrzekłem. Siedziałem od dwóch godzin i nic wymyślić nie mogłem; nie byłem widać w chwili natchnienia. Nie mogę jednak powiedzieć, aby mi brakło przedmiotu lub tytułu, owszem jak na złość, tytuły do przyszłego mego arcy-dzieła cisnęły się jeden przed drugim i ta sama ich mnogość doprowadzała mię do rozpaczki; nie wiedziałem który wybrać. Raz miała to być ballada we trzech częściach, niby to *skandynawska*, pod tytułem: *Córka Króla Jezior*, to znowu romans historyczny, pod tytułem: *Lech, Czech i Rus czyli Słowianie w VI. wieku ery Chrześcijańskiej*, to znowu dramat bez tytułu, lecz dramat okropny, straszliwy, pełen krwi, mordów, trucizny, sztyletów, przekleństw, bluźnierstw etc. tak, że nawet na głowach łysych spektatorów, powstawałyby włosy z przerażenia. Ale cóż! Zaledwo napisałem kilka wierszy, też same myśli, które przed chwilą cisnęły się tak natarczywie do mojej mozgownicy, skoro przyszło do przeniesienia ich na papier:

Rospierzehły się, rozbiegły, uciekły i zaiakły;

a ja zostałem jak wprzód, przed arkuszem papieru, przy stoliku. Nie wiem jak długo zostawałbym w tak przykrém położeniu, gdy nagle poczułem, że ktoś zastonił mi oczy rękami nadzwyczajnie zimnemi i głosem stentorskim krzyknął nad uchem: «Zgadnij kto?»

— A jużciż, odpowiedziałem, nie kto inny, jak tylko Merkuccio, bo u kogoż więcj mogą być tak zimne ręce.

— «Cha, cha, cha! zawołał już swoim głosem natręt odstawiając mi oczy; o jakiejże to Żuljecie myślisz, mój ty Romeo, że mnie wzięłaś za Merkuccia?»

— Ach, to ty, kochany Bogumi! przecież przypomniałeś sobie o mnie. Siadaj, proszę. Felix podaj Panu sygaro.

Pan Bogumił przysunął fotel, usiadł koło mnie, zapalił sygaro, puścił mi w oczy kłęb dymu i zaczął rozmowę.

— «No o jakiejże to Żuljecie mój Pan myślał?»

— Ale gdzie tam, odpowiedziałem, nie o jakiej Żuljecie, ale myślę o napisaniu artykułu do *Pamiętnika Naukowo-Literackiego*.

— Aa! zawołał Pan Bogumił, więc zastałem Pana mojego w paroxyzmie autorstwa, i cóż chcesz napisać? w jakim guście?

— Co bądź, odpowiedziałem, od Epopei do Bajki, i od Traktatu filozoficznego do powinszowania na Nowy, da Bóg doczekać Rok— włącznie.

— «I cóż, nie klei ci się? Ach! już coś nagryzmoliłeś. Pokaż przedźj.» I gwałtem wyrwał mi z rąk arkusz papieru nad którym tak długo siedziałem bezskutecznie. «O, o! mówił dalej, już jest i tytuł, no— to rzecz w półowie skończona. I jaki jeszcze szumny tytuł: Lech, Czech i Rus, czyli Słowianie w VI wieku ery Chrześcijańskiej. To coś pachnie *Białą Książką*! Romans historyczny, rozdział pierwszy. I na tém koniec. A to dalej: dramat we 3-ch Aktach. Osoby: Hrabina de Ronquerolle, Hrabia jej mąż, Ludwi... i tu koniec. Ach jeszcze: *Córka Króla Jezior*, ballada we trzech częściach i dedykacja ballady dla Felisi X. Czytajmy:

Znacie Felisję? piękna i młoda,
Dla tego mnóstwo ma wielbicieli,
Dobroć w niej wabi, piękność, uroda,
Wszyscy jej względy zyskaćby chcieli.

Alc ma wadę— któż jest bez wady?
I któż jej nie miał w swojej młodości:

Może zepsuły ją złe przykłady,

Oto niestała w miłości.

A choć ta wada w dziewic mniemaniu,

Nie jest zbyt straszna i zdrożna,

Ja chcę im dowieść że i w kochaniu

Żartować zbyt nie można.

A że od innych dziewic różni się

Bo ma ich cnoty— nie wady,

Ja chcąc poprawić i z tej Felisję,—

Takie prawidem Ballady :

•Spójrzyj Felisio gdzie się kończą gaje

W prawo łoz gestych

Przewybornie! zawołał Pan Bogumił, doskonale ci się udało; tylko wiesz co, dodał ciszej z miną tajemniczą; czy jesteś pewny swojego sługusa?

— A to czemu?

— Bo widzisz mój kochany, mnie się zdaje, że Felix daje twoje papiery do czytania innym autorom, i ztąd to zapewna dedykacja ballady Adama: *To lubię*, zupełnie podobna do twojej. Różnica tylko w imieniu, i że tam gładziej i sensowniej napisano do Marylly to, co ty adressujesz do Felisi, a ostatnie twoje półtora wiersza,— niech mi wybaczy czcigodny Adam, ale formalnie skopjował. Wszak u niego zupełnie od tych samych wierszy zaczyna się ballada *To lubię* :

•Spójrzyj Maryllo, gdzie się kończą gaje,

W prawo łoz gestych zarostek etc.”

Byłem jak na szpilkach. Aż sam Pan Bogumił zlitował się nademną, gdyż porzucił ton jawno szyderycy, jakiego dotąd używał i z prawdziwem czy udanem spółczuciem mówił dalej: «Więc koniecznie zachciało ci się biedny chłopcze zasiąść pomiędzy autory, chociażby na szarym końcu. Prawdziwie, niepojmuję tej ochoty, żeby człowiek,— który ma co jeść, pić, czem się odziać i jeszcze kilkaset złotych na godziwe rozrywki, żeby taki człowiek zamiast pójść zabawić się, potańcować, pograć i t. d. miał siedzieć nad arkuszem papieru kilka godzin dla napisania jakiego banialuka, za co go potem krytycy złąją, kolledzy wyśmieją, Panny będą wytykać palcami szepcząc między sobą: Autor, Autor!— oryginały

unikać, lękając się aby ich nie wsadził do jakiej komedji lub powieści. I tyle poświęceń, tyle przykrości znosić dla tego tylko, żeby widzieć swoje gryzmoły wydrukowane na bibule i złożone in 8vo *minori* lub *majori* z kolorowemi okładkami. Jeszczeż szczęście autora, jeśli publiczność z jego bibuły *alias* książki zrobi jaki użytek; np. formę do babek lub pierogów wielkonocnych, lub użyje do oklejania okien na zimę; wówczas autor może się pochłubić że stał się użytecznym ludzkości; a to najczęściej bywa, że dzieło, które w jego przekonaniu miało go unieśmiertelnić z nierozzerzniętymi kartami idzie na pastwę głodnych szczurów i molów. Ale na co ja ci prawię te kazania, wszak to ciebie nie poprawi, a gotów jeszcze jesteś na mnie się rozdać, bo to was podobno nazwał jakiś gryzmoła *genus irritabile*."

— Są to słowa Horacjusza, poprawiłem.

—«Ach, chcesz popisać się z erudycją! Nie radziłbym, bo za ledwo jój masz na własną, konieczną potrzebę, a nie dla innych. Dajmy temu zresztą pokój. Ot lepiej kiedy chcesz to wyprowadzę ciebie z kłopotu i opowiem ci pewne zdarzenie, z którego będziesz mógł ułożyć powieść fantastyczno-humorystyczną, z dodaniem że treść wzięta z prawdziwego zdarzenia; będzie to łapka na publiczność, która daleko łatwiej łapie się na takie dzieła, gdzie jój objawiają dać coś podobnego do prawdy. Tytuł do mojej powieści sam dobiedziesz. Zmiłuj się tylko nie wymieniaj mojego nazwiska, gdyż lękam się bardzo aby mię nie posądzono o autorstwo. Teraz zapal, jak ja, cygaro, siedź spokojnie i słuchaj.



SLIMIEN['] *).

—o—o—o—
Si man songe de bonheur fut vif, il fut de
courte durée...

Chateaubriand. Atala,

-Kocham ciebie....."

(Słowa te przed rokiem Olesia mówiła do mnie,
a dziś powtarza je P. Cezaremu).

— Czy słyszałeś kiedy melodję?

— Słyszałem.

— Prawdziwą, doskonałą melodję, niebieską?

— Słyszałem.

— Gdzie?

— Słyszałem ją w grze Lipińskiego, Olle-Bulla, Liszta, w śpiewie Rubinięgo, Tamburinięgo, Viardo-Garcji i innych.

— Otoż, bratku, takiej melodji, o jakiej ja mówię, nie słyszałeś. Gdyż można ją słyszeć tylko w dwóch miejscach: w niebie, w hymnie, który Serafy i Cheruby śpiewają przed tronem Najwyższego, i na ziem w słowach *«kocham ciebie»* usłyszanych z ust kochanki— *notabena* po raz pićrwszy. A ja, ja raz tylko jeden w życiu słyszałem tę czarodziejską melodję. Było to wów-

*) *Slimien, Slepuk, Słepień*, tak gmin nazywa jadowitą gadzinę znajdującą się u nas, znaną u naturalistów pod nazwaniem: *caecilia tentaculata*.

czas kiedy mi Olesia raz pierwszy i ostatni powiedziała «kocham ciebie.» Przypominam sobie dobrze ów czas, było to na pierwszy dzień Zielonych Świątek, w parę godzin po południu, siedzieliśmy z nią w cienistej ogrodowej altanie, ja czytałem poezję, ona słuchała. Najczystsza iza,— iza-perelka błyszczała w jej modrem oku. O, tej łezki nieoddałbym za skarby Wielkiego Mogola, bo w niej jak w zwierciadle odbijała się jej piękna, czuła i tkliwa dusza. Ja ukląłem, bo ona warta aby przed nią, jak przed bóstwem, wszyscy padali na kolana. Nie pomnę co jej mówiłem,— dość, że z jej ust usłyszałem słowa: «kocham ciebie!»

— Dzięki luba Olesiu! mówiłem okrywając jej rączkę tyśiącem pocałowań,— więc moje marzenia o szczęściu mogą się ziścić!....

W tem w alej dały się słyszeć czyjeś kroki. Olesia pierwsza to posłyszata: «wstań Pan, mówiła mi odsuwając się, nie trzeba aby nas tak zastano; *co na to ludzie powiedzą...*» Chcąc powstać oparłem prawą rękę o murawę i w tejże chwili... krzyk boleśny mimowolnie wyrwał się z moich piersi, odskoczyłem w stronę, spójrzałem na rękę; ta była skrwawioną na wskazującym palcu,— w miejscu, gdzie niegdyś nosiłem parolik dany mi przez Olesię była rana, z której się krew obficie sączyła, brzegi rany były zczerniałe; spójrzałem na ziemię— w miejscu gdzie się oparł ręką, wita się ogromna gadzina koloru stalowego. Pierwszą myślą moją było zabić sprawcę mojego cierpienia. Porwałem łaskę i uderzyłem nią gadzinę, która rozpadła się na kilka części, a każda część obrzydliwego potwora ruszała się i zdaje się jakoby żyła oddzielnym życiem. Poznałem natychmiast całą okropność mojego położenia, był to tak zwany *Ślepien*— najstraszliwsza z gadzin znajdujących się u nas,— ukąszenie jej przyprawia o śmierć niechybną. Jeden tylko przedstawia się ratunek, a ten jest— uciąć natychmiast członek ukąszony.

W tej chwili nadbiegła pokojówka Państwa X*** i zdaleka wołała: «Pani przysłała prosić Panienkę i Pana do pokoju na.... Ach mój moony Boże co to Panu jest?!» rzekła ujrawszy mnie z ręką skrwawioną.— Nic Justynko, nic więcej jak tylko ukąsił mnie slimień.... Przynies więc co prędzej nóż kuchenny, tylko najostrzejszy, bo będę musiał odciąć sobie palec; tylko śpiesz się, póki puchlina nie przejdzie za sustawę, bo wówczas nie będzie rady.

— O, ja nieszczęśliwa! zawołała Olesia, będę więc miała męża bez palca! Były to jej pierwsze słowa, gdyż dotąd stała jak skamieniała z wyrazem niewysłowionej boleści na twarzy.

— A więc nie trzeba, Justyno! zawołałem w ślad za biegnącą pokojówką, nie trzeba noża! wolę umrzeć aniżeli utracić członek, bez którego niechcesz mię za męża,— rzekłem do Olesi powodowany uczuciem, którego sobie wytłómaczyć nigdy nie mogłem.

Przyszedłem do domu mieszkalnego, gdzie już wiadomość o moim okropnym przypadku poprzedziła mię. Pani X*** matka Olesi— najlepsza w świecie kobieta,— nadzwyczajnie uczuła nad tem, i straciła zupełnie przytomność, gdy ujrzała mą rękę zczerniałą, na której puchlina rozszerzyła się do tego stopnia, że już dochodziła do łokcia. Innego ratunku nie było, jak chyba amputować rękę na co, w nieobecności lekarza niepodobieństwem było się odważyć, bez narażenia się na śmierć niechybną, Pani X*** chodziła po pokoju wielkimi krokami, załamывała ręce i wołała: «Podajcie *Le roy* albo *Morissona* pigułek może to pomoże.» Olesia rzewnie płakała. Nawet Pan X*** człowiek z natury bardzo obojętny, zajął się mną. Położył gazetę, którą czytał po obiedzie, popatrzył na mą rękę i z właściwą sobie flegmą powiedział: «Gdyby to była rana od ukąszenia wściekłego psa lub wilka, byłaby jeszcze nadzieja ratunku,— naprzykład: cudowny kamień Pana Marszałka, ale skoro to od ukąszenia ślepnia to niepodobieństwo— musi umrzeć,— a szkoda! młody chłopiec. Mogłoby jeszcze z niego coś być. Ale poczekaj, obaczę w zoologii, co też tam piszą o twoim nieprzyjacielu Ślepiu. I to mówiąc poszedł do Biblioteki.

Tymczasem zeszło się do salonu kilkunastu służących ciekawych widzieć Pana, którego ukąsił Ślimień, i który wkrótce umrze. Każdy z nich doradzał jakieś lekarstwo, przekonany będąc wewnątrz, że ono nic nie pomoże. Nareszcie ochmistrzyni doradziła mi postać po jakąś starą babę, która zamawia od ukąszenia gadziny. I o dziwo! chwyciłem się tej rady, jak rozbitek chwycił się deski. Postano więc co prędzej po babę; ale gdym się dowiedział, że mieszka o mil cztery, zrozumiałem że niedoczekam się jej przybycia, gdyż puchlina rozszerzała się zbyt raptownie— przeszła za ramię; tak że nawet odjęcie ręki nie mogło mię już uratować.

Tymczasem nadszedł Pan X*** trzymając w ręku Historją Naturalną Kluka. «Oto, mówił mi, co Xiądz Kanonik Kruświcki pisze o twoim nieprzyjacielu Ślepiu, nazywa go prosto *Ślepiakiem* patrzaj tom trzeci, paragraf 87. *Caecilia tentaculata*— *Ślepak*. Oczy u tego gadu są bardzo małe i tylko właśnie kropkami się być zdające, nadto jeszcze, leżą pod skórą: dla czego dało im przyrodzenie do pomocy na zwierzchniej wardze małe różki, któremi

czołgając się, pierwiej wszystkiego przed sobą doświadczają. I te rożki należą do znaków tego rodzaju. *Caecilia tentaculata* jest naszym pospolitym Padalcem.”— Wszak prawda opis dokładny!

— Najdokładniejszy i byłby zupełnym, gdyby mógł mię uratować od śmierci. Ale choćbyś Pan przeczytał mi od deski do deski, wszystkich naturalistów przeszłych, terażniejszych i przyszłych; to pono i to mnie nieuratuje.

— A ponieważ, odparł Pan X*** znasz dobrze całe niebezpieczeństwo swojego położenia, to czy niechciałbyś aby przywołano xiędza, takż dobrze byłoby, żebys na wszelki przypadek zrobił jakowe rozporządzenie. Wszak sakrament i testament nikogo nie umorzył.

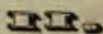
Uznałem całą słuszność tych uwag Pana X*** i zgodziłem się na nie.

Posłano więc natychmiast po proboszcza do somsiedniego miasteczka i podano mi arkusz papieru dla napisania ostatniego rozporządzenia, a ponieważ prawą ręką zupełnie już władać nie mogłem, przywołano więc prowentowego pisarza, który zasiadłszy przy stoliku z wielką powagą, czekał na to co mu podyktuje.

W tej chwili rozpacz Olesi doszła do najwyższego stopnia; łkania jej rozdzierały mą duszę. Musiałem ją uspakajać, chociaż mnie samemu łzy dobywały się z oczu.

Umrzeć w dwódziesiątym piątym roku życia, kiedy się nic jeszcze nie zrobiło dla chwały, dla świata, dla współziomków; umrzeć nie zostawiwszy po sobie żadnego wspomnienia, umrzeć nie na polu chwały; lecz od ukąszenia gadziny, umrzeć tejże chwili, w której raz pierwszy słowa: «kocham ciebie» z ust kochanki usłyszałem. Słowa te obiecywały mnie raj na ziemi, a tu trzeba umrzeć!





TESTAMENT.

Oh!.. lui dit-il en mourant: oh! mon Anna, coupe les boucles de mes longs cheveux qui ressemblent aux tiens...

—Au moins,— se dit à part la douce fille,— je pourrai donner des bagues à mes amants sans degarnir ma chevelure.— Ils me suivront au tombeau qui, je te le jure, mon adoré, est déjà entre'ouvert.... reprit-elle tout haut. Une larme brilla dans les yeux ardents du moribond.

(Historique.)

Ja umieram, ja nie płaczę,

I wy chcejcie ulżyć sobie.

TUKAJ.

Począłem od tych słów:

W Imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Urodziłem się przed dwódziesiąt pięciu laty, w wierze świętej Rzymsko-Katolickiej i w tój umieram.

Jakkolwiek wielkie są moje winy na tym świecie; mam jednak nadzieję, że Bóg miłosierny odpuści mi one na tamtym tak, jak ja odpuszczam wszystkim moim winowajcom *).

Chcę aby mię pochowano na wiejskim smętarzu, pomiędzy kmiotkami i mogiłę moją niech ogrodzą drewnianym sztachetem, aby trawa mogła rość na niej swobodnie.

Chcę, aby pogrzeb mój odbył się jak można najskromniej— żadnej wystawy, żadnych mów pochwalnych, gdy w całym mojem życiu, nie uczyniłem nic takiego, coby było godnem publicznej pochwały.

Książki moje chcą aby były oddane któremu z pilnych i zdolnych uczniów; może on z nich większy niż ja, będzie miał pożytek.

Plecionkę z włosów i złote serce na niej zawieszzone z krzy-

*) Nie miałem tą razą na myśli moich dłużników ani kredytorów.

(Aut.)

żykiem we środku— pamiątkę po mojej matce— oddaję tej, którą najwięcej ukochał na tym świecie— oddaję Olesi. Wszystko co w obecnej chwili przy mnie się znajduje, daję, daruję i zapisuję mojemu służącemu Marcinowi, nie jako wynagrodzenie za jego długoletnie usługi, lecz jako dowód mojej wdzięczności: za jego przyjaźń i przychyłność dla mnie. Reszta mojego funduszu poddaję rozporządzeniu prawa.

Tu podano mi testament do podpisania— podpisałem go lewą ręką, gdyż prawą zupełnie już władać nie mogłem. Osłabienie moje doszło do najwyższego stopnia, puchlina dochodziła do gardła i tamowała głos mój. Doznawałem także ściskania niejakiegoś w piersiach; widocznie było, że zostawało mi nie więcej nad kilka chwil do życia.

W tem oznajmiono przybycie kapłana. Uradowałem się niezmiernie na tę wiadomość, gdyż czułem potrzebę pojednania się z **BOGIEM**.

Czcigodny kapłan widząc moje osłabienie przystąpił co prędzej do wysłuchania spowiedzi. Wszyscy wyszli z pokoju,— zostaliśmy sam na sam; ja leżący na sofie, gdyż uklęknąć nie mogłem, on usiadł przy mnie.

Zacny kapłan przedstawił mi w krótkich wyrazach ważność obecnej chwili, że spowiedź do której przystępowałem miała być według wszelkiego podobieństwa moją ostatnią spowiedzią; a więc powinienem wzbudzić w sobie największą skruchę, żal za grzechy, któremi obraziłem Stwórcę, że ten żal i ta skrucha pomoga mi do zjednania przebaczenia win moich. Że powinienem dziękować Stwórcy za cios którym podobało się mu mnie ugodzić, gdyż śmierć moja tak przedwczesna i niezwyčajna, przyłoży się niepomatu do odkupienia moich grzechów i nakoniec po dopełnieniu zwykłych form poprzedzających spowiedź, zapytał mię: «czym Pana **BOGA** obraziłeś?»

O mój Ojczy! mówiłem ze łzami i głosem przerywanym, gdyż ledwo mówić mogłem, całe moje życie było obrazą Boską! Osypany darami Stwórcy, jakież z nich zrobiłem użytek, któryby mi zjednał zasługę przed **BOGIEM**? Niestety! Żadnego! Całe moje życie przebyłem w jednym z siedmiu grzechów głównych— w lenistwie. Nic nie zrobiłem dla Stwórcy, nic dla współbraci, nic dla siebie. A jednak, gdyby nie ta zaporą, z którą passowałem się przez całe życie moje, i której przewyciężyć nie mogłem,— gdyby nie lenistwo, czuję, że mógłbym być użytecznym Bogu, ludziom, krajowi i sobie! Oh! moja wina Ojczy, moja wina, moja wielka wina! O Boże! dajesz mi rozum, a ja go zużyłem na wynaj-

dywaniu cudzych wad i śmieszności; nie na pożytek lecz na rozjątrzenie bliźnich,— dałeś mi serce zdolne ukochać ludzkość całą, a ja samolub ukochałem tylko dwie istoty w całym świecie: ja i siebie! Udzieliłeś mi darów doczesnych, a ja nie otarłem ani jednej tży nieszczęśliwym, zmarnowałem one na siebie samego! O! moja wina Ojczy, moja wina, moja wielka wina!

Ileż to myśli szczytnych zrodziło się w mojej głowie; ile uczuć chwalebnych przemknęło przez moje serce, ile zamiarów pożytecznych podyktowała mi wolna wola! a ja żadnego z zamiarów, żadnego z uczuć, żadnej z myśli nie urzeczywistniłem! Cóż mi przeszkodziło? Grzech śmiertelny, mój Ojczy— lenistwo! Przebaczenia mój Ojczy! Przebaczenia! Chciałem mówić dalej, lecz wzruszenie i słabość zatamowały głos mój. Widząc to spowiednik zapytał mnie czyli żałuję za grzechy, których mu przez słabość opowiedzieć nie mogę? dałem znak potwierdzający. Tu kapłan, jako Namiestnik CHRYSTUSA na ziemi, udzielił mi rozgrzeszenie i w napwół obumarłe już usta włożył wiatyk, podał gromnicę w ręce i ukląkł odmawiać modlitwy za konających, a ja w myśli już tylko powtórzyłem słowa: Panie! w ręce Twoje oddaję duszę moją!

W tej chwili uczułem, że życie opuszcza mię, zwróciłem wzrok mój ku drzwiom, sądząc, że w nich ujrzę Olesię, i rzeczywistość zdało mi się, że ją ujrzałem, była w białej sukience, przepasana pasową wstążeczką; miała dwa skrzydełka u ramion i dwie łezki w oczach. Może to było złudzenie, lecz ujrzałem ją w postaci anioła! Po chwili wzrok mój zaczął gasnąć powoli, poczułem niewysłowioną bolesć i ściskanie serca; dalej miliony iskier zaświeciło w moich oczach, sądziłem że głowa moja i piersi rozpękają się na tysiąc części i— *umarłem!!*

Ś M I E R Ć.

Je frissonnai et je crus que ma dernière heure était arrivée.

Prosper Mérimée. — *L'enlèvement de la redoute.*

— Jak to, umarłeś? zapytałem zdziwiony.

— Tak, umarłem, odparł z największą flegmą Pan Bogumił; to jest: rozstałem się z tym światem, zasnąłem snem wiecznym, wypłaciłem dług naturze, skończyłem moją ziemską pielgrzymkę,

III.

22

opuszcitem ten padol placzu, przeszedlem do wiecznosci i t. d.— jednym slowem— umarlem. Ciało moje stalo się bryłą nieruchomą, gdyż życie z niego uleciało; dusza jednak została uwięziona; bo dusza nie wprzód opuszcza ciało, które ożywiała, aż się takowe rozłoży na pierwiastki, to jest, obróci się w proch. Przekonałem się o tem w owej chwili; byłem bezwładny, nieruchomy, nie żywy, a jednak byłem przytomny; słuch i wzrok mój były obostrzone i natężone, widziałem i słyszałem wszystko, co się działo w całym domu. Dziwnym zjawiskiem, którego sobie wytłómaczyć nie mogę, rozumiałem nawet myśl, czytałem w duszy każdego kto się do mnie przybliżał. Widziałem i słyszałem jak weszło kilka osób do pokoju, jak poklękali wszyscy i zaczęli odmawiać pod przewodnictwem kapłana modlitwy za umarłych, jak prosili u Boga wiecznego odpocznienia dla mnie i ażeby światłość wiekuista mnie świeciła; widziałem rozpacz Olesi i jej łzy, zajrzałem w jej serce i duszę i tam znalazłem żal i smutek. Ach tak! Ona mię wówczas żałowała. Potem zostało tylko dwóch służących: ci ubrali mię jak do grobu; postawili na środku pokoju tapczan, przykryli go dywanem, położyli poduszkę i zanieśli mię na ten zaimprowizowany katafalk, i związali mnie ręce jak do modlitwy, i wetknęli w nie obrazek mojego Patrona. Potem jeden kazał drugiemu pójść do kościoła po lichtarze i świece woskowe, i po xięży, którzyby mię pilnowali i śpiewali pieśni nad umarłym. Potem wszystko się uciszyło i ja zostałem sam jeden.

Sądżicie może, że uchylę przed wami zasłonę wieczności, że rozwiążę przed wami wielką zagadkę śmierci. Mylicie się; choćbym i chciał, tego uczynić nie mogę; gdyż dusza moja nieuwolniła się jeszcze z więzów cielesnych; była wprawdzie swobodniejszą, niż wówczas kiedy ciało moje było ożywione, słowem, miała tyle władzy, co we śnie magnetycznym; lecz nie mogła, a nawet nie starała się przeniknąć tajemnic pośmiertnych. Zanadto jeszcze była przykulą do ziemi.

Razem opanowała mię myśl straszliwa: czy nie za karę czasem moja dusza została uwięziona w ciele i na jak długo; może na lat sto, może na sto tysięcy; cóż znaczy taki przeciąg czasu w porównaniu z wiecznością?— jedną chwilkę. Uspokoilem się jednakże, dusza moja czuła, że tak nie jest; wkrótce przyszła mnie myśl dowiedzieć się, co robi Olesia. Nie dziwujcie się temu, była to moc nalogu. Ach tak przywykłem za życia myślą przenosić się do niej, tylu marzeń moich ona była przedmiotem, że «nie mogłem zapomnieć o niej i umarły!»

Spojrzałem więc oczyma duszy mojej do pokoju Olesi. Znalazłem ją na w pół leżącą na sofie, — oparła twarzyczkę na rękę: dwie łezki czyste i lśnące jak brylanty drżały na jej rzęsach; ach, jakże mnie wydała się piękną! Ona po mnie płakała; płakała po mnie chociaż już było więcej dwóch godzin, jakem umarł. Chciałem poprzestać na tym widoku, — lecz nie poprzestałem. Wyteżyłem wzrok mojej duszy i widziałem myśl Olesi; ta myśl była taką: szkoda chłopca, mogłabym pójść za niego za mąż, bo Pan Cezary, kto wie czy o mnie szczerze myśli, coś nadto często dojeżdża do Państwa Podkomorznych, a tam Zosia, ... co zaś ten — to jestem pewna, że mię jedną tylko kochał, i że byłby się ze mną ożenił... może przyjdzie zostać *starą Panną*... A niech Pan Bóg bronii, i Matka Najświętsza!... trzeba zająć się szczerze Panem Cezarym....

Dalszy bieg myśli Olesi przerwał wejście Mamy, poczem nastąpiła następująca rozmowa:

M A M A.

Porzuć tylko wasanna te płacze, bo to nic nie pomoże, jego nie wskrzesisz, a sama tylko będziesz miała oczy czerwone i jak po jutrze pozbierają się na pogrzeb, to powiedzą wszyscy, że w nim się kochałaś. To odstręczyć może Pana Cezarego.

O L E S I A (*ocierając łezki*).

Ależ bo Mamo, ja istotnie jego kochałam i Mama nie byłaś temu przeciwną.

M A M A.

Panna zawsze powinna udawać przed kawalerami, że nikogo jeszcze nie kochała; gdyż Panna, która się już kochała, traci wiele w oczach mężczyzn; nie ma, jak oni mówią, *dziewictwa uczuć*. Co zaś do tego, czy byłam przeciwną czy nie, to jeszcze *na dwoje babka wrożyła*. Nie byłam przeciwną dopóki nikt lepszy wasannie się nie zdarzał; ale od czasu jak zaczął bywać u nas Pan Cezary, już nie bardzo chętnie patrzyłam na wasze romanse. Może to dla twojego szczęścia, że się tak zdarzyło; gdyż wątpię, abyś za nim była szczęśliwą. Tylko że nie godzi się ogadywać nieboszczyków, a powiem ci, że była to głowa pusta, chociaż napałkowała rozumem z książek. Co za porównanie z Panem Cezarym! — to człowiek porządny, oszczędny gospodarz, ma rozum i wieś, na przyszłe sejmiki może zostać deputatem do wódki, ot będzie i urząd, a jak dostanie kwalifikacją to będzie mógł zostać sędzią i prezydentem w sądzie powiatowym, a ponieważ oszczędny i powiększa fundusz to kto wie, z czasem może zostać Marszałkiem w Powiecie. Wszakże nie święci garnki lepia i niewielkiego ro-

zumu na to potrzeba aby być Marszałkiem, dość jest mieć kwalifikacją. A zresztą Pan Cezary chłopiec nie głupi—posłuchać jego, gdy zacznie mówić o koniach, albo o polowaniu! Był nawet w Petersburgu.

O L E S I A.

Kilka tygodni...

M A M A.

Ale za to ma o czém rospowiadać przez całe życie; a zresztą jak sobie chcesz moje dziecię, jak się pościesz tak i wypisz, nie będziesz miała skaptować Pana Cezarego, to zostaniesz starą Panną, bo nikogo więcej na widoku niemasz.

O L E S I A.

A niech Pan Bóg bron! Co też mama powiedziała; daj Boże żeby nie w zły czas *(zaczyna płakać)*.

M A M A.

No, no uspokoj się moje dziecię, da Pan Bóg, że do tego nie-
dojdzie. No, przestańże płakać, ot idź lepiej i pomódl się za u-
marłych; wszakże on tobie dobrze życzył.



IV.

POCALUNEK.

Kto swe losy za życia połączył z kobietą,
Ten ujął gałąź bluszczu nad przepaścią zwita,
Urywa ją i ginie jeden wśród kamieni,
A na górze bluszcz bluszczem znowu się zieleni.

A. Hr. Fredro.

Po chwili Olesia weszła do pokoju, gdzie były złożone moje zwłoki i uknęła modlić się. Widziałem łzy w jej oczach; o dla czegoż miałem dar nieszczęsny czytania w jej myśli i sercu! Dla czegoż w nie zajrzałem?! Dla czegoż przekonałam się że te łzy były wylewane na samą myśl zostania—panną starą, a nie z żalu po mnie! O łzy krokodyle!

Jednakże tą razą Olesia szczerze płakała—prawdziwie lękała się zostać starą Panną. Usta jej istotnie wymawiały modlitwę za moją duszę,—lecz serce jakże mały brało udział w tej modlitwie, a myśl—o, ta była daleko! W myśli przebierała chłopców, za których mogłaby pójść za męża.

Niewiem jak długo trwałaby modlitwa Olesi, gdyby nie wbie-

gła pokojówka też sama, która przed kilką godzinami zesłała nas w altanie.

—«Panienko, panienko, mówiła z pośpiechem, dla BOGA co panienka tu robisz? Pan Cezary przyjechał!»

—Doprawdy, zawołała Olesia, dajże mi prędko zimnej wody i ręcznik: usłużna pokojówka w moment przyniosła jedno i drugie, Olesia umoczyła ręcznik w wodzie i wytarła oczki, potem stanęła przed zwierciadłem, przyglądała włosy, poprawiła chusteczkę i zapytawszy Justynki: «czy mi tak dobrze?» na jej potwierdzającą odpowiedź, wyszła na przyjęcie gościa.

Tą razą nie udało mi się myślać za Olesią, dusza moja postanowiła nie zaglądać więcej w myśli i serca ludzkie; zraziła ją widzieć obłuda Olesi. W tej chwili weszło kilku służących, a między nimi i mój poczciwy Marcin. Jeden z nich przyniósł z kościoła lichtarze i świece i ostawił nimi mój katafalk, drugi zakadził w pokoju, mój zaś Marcin ukląkł i zaczął odmawiać: «*Anioł Pański*» Po skończeniu modlitwy wstał, westchnął i te tylko wyrzekł słowa: «szkoda, a dobre było Panisko.»— «Szkoda! dodał drugi, bywało każdą razą jak wyjeżdża od nas, da ludziom kilka złotych na piwo.»

Rozmowę tę przerwało wejście kilku osób, to jest: Państwa X***, Olesi i P. Cezarego. Wcisnął się także mój wierny wyżeł Kastor; według zwyczaju skoczył do mnie i zaczął lizać moją rękę; lecz widząc że nieodpowiadam na jego karessy, powąchał mnie i zapewno przekonawszy się że nieżyję, zawył przeraźliwie, i skoczył do mojej twarzy, zerwał chusteczkę, którą miałem twarz przykrytą i zaczął mię targać za odzienie, chcąc zapewno ocucić. Pan Cezary chciał go odpędzić, lecz poczciwy Kastor burknął na niego i Pan Cezary odskoczył przestraszony. Poczem Kastor położył się przy katafalku i spoglądał ciągle na mnie.

—«Niech Pan da pokój, mówiła Olesia, to zły bardzo pies, go-tów ukąsić, on nikogo niestucha, jak tylko, bywało, nieboszczyka.»

—O Olesiu! Olesiu! pomyślałem w duszy; mego wiernego Kastora, którego sama lubiłaś niegdyś pogłaskać, i który przeczuwając myśl moją tak się tobie zawsze przymilał, teraz nazywasz złym psem, za to że o mało co nieukąsił mego rywala!

—«Uważasz Asindziej, odezwał się Pan X*** do Pana Cezarego, to jest wierny pies i bardzo przywiązany do swego Pana; podobno także staje do bekassów, a ponieważ jesteś myśliwym, możesz go więc wziąć sobie, bo co ja, to innych psów nie trzymam jak tylko do bydła.»

— Jak to, pomyślałem, więc wszystko com najbardziej ukochał w życiu ma dostać się mojemu rywalowi? Nie tylko Olesia ale i Kastor, mój wierny pies, mój wierny przyjaciel! O! ta myśl zdolna była poruszyć mię umarłego prędej niż galwaniczny aparat. Tą razą uczułem, że można po śmierci znosić męki piekielne, nie będąc w piekle, nie będąc smażonym w smole; ani też rozciągany na *madejowem łożu!* Kochany mój Marcin uwolnił mię od tych przykrych myśli.— «Niech Pan nie turbuje się o Kastora, powiedział on do P. X***, gdyż nieboszczyk zapisując mnie wszystko, co się przy nim znajduje, zapisał przez to i Kastora, a ja nie oddam go nikomu. Pójdź tu Kastor!»— i pocziwie psisko schyliwszy głowę i spuściwszy uszy wyszło za Marcinem.

Pozostali przypomnieli nareście, że wypada zmówić modlitwę za moją duszę, i zaczęli modlić się ustami. Nie słuchałem ich modłów, ani zazierałem więcej w ich myśli, zamknąłem się w sobie i zacząłem myśleć o tém co się stanie z moją nieśmiertelną duszą, kiedy ta odłączy się zupełnie od ciała.....

Po kilku chwilach znowu spójrzałem (zawsze oczyma duszy), aby dowiedzieć się, co się dzieje w pokoju. Olesia i Pan Cezary byli sami.

—«Jak to, mówił on kończąc zapewno wprzód zaczęłą rozmowę, więc Pani Dobrodzika nie kochałaś jego? Tu wskazał palcem na mojego trupa.

—«Co za pytanie! A jużciż że nie kochałam.

—«I niemówiłaś jemu nigdy, że go kochasz?

—«Jak mamę kocham, że nie.

—«I to mnie pierwszemu Pani Dobrodzika powiedziałaś, że kochasz?

—«Istotnie, Pańskie zapytania obrażają mię.

—«Ach Pani Dobrodziko przebacz, gdyż do mojego szczęścia potrzebnem jest przekonanie, że to ja jestem pierwszy, którego Pani Dobrodzika kochasz.

—«A więc powtarzam Panu, że Pan jesteś pierwszym którego kocham.

—«Ach Pani Dobrodziko, widzisz we mnie najszczęśliwszego z ludzi, nigdy w życiu mojem nie byłem tak szczęśliwy, nawet wówczas kiedym bawił w Petersburgu. O pozwól Panno Alexandro Dobrodziko aby usta te, które wymówiły do mnie słowo: «*kocham*» dopełniły miary mego uszczęśliwienia. Pozwól Pani Dobrodzika złożyć na nich pocałunek jako dowód naszego kochania.» I jedną ręką objął jęj kibić, przyciągnął ją do siebie i usta ich spotkały się. Przyznać jednak powinienem, że Olesia niby broniła się.

Mówiła: «daj mnie Pan pokój, co Pan robisz? A jak kto nadzieje, co na to ludzie powiedzą, ja na to nigdy się nie zgodzę,»— i mówiąc te słowa pocałowała go. Ale Pan Cezary niechciał przedko zakończyć tój zabawy, tak że Olesia musiała wyrwać się z jego objęcia i zaczęła uciekać; Pan Cezary dawaj gonić i tak oboje jedno za drugim zaczęli biegać koło mojego katafalku. Powywracali palące się świece, nareście Pan Cezary zaczepił się nogą za dywan przykrywający mój katafalk, wyrzucił go, sam upadł i ja zleciałem.

W tój chwili ocknąłem się.

Był to sen.

* * *

Leżałem przy swoim łóżku na ziemi. Zerwałem się,— dotknąłem prawej ręki— była zdrową,— na wskazującym palcu był jak i wprzód parolik dany mi przez Olesię. Ach, więc cała ta scena była snem. Altana, Olesia, «kocham ciebie» Ślimień, ukąszenie, testament, spowiedź, śmierć, sąd o mnie, Pan Cezary, Marcin, Kastor, pocałunek i wszystko to było we śnie, nie na jawie.

Pierwszą moją myślą było podziękować Bogu, że się wszystko tak, a nieinaczej skończyło. Potem, siadłem na łóżku i zacząłem wołać Marcina. Kiedy'm się nareście go dobudził, kazałem zapalić świece. Poczciwy Marcin wypełnił to wszystko, gderając na mnie swoim zwyczajem.

—«Doprawdy, niewiedzieć co się Panu stało,— wszyscy śpią o tój porze, taćto już godzina druga albo i więcej po północy, doprawdy, że Pan nie dasz człowiekowi zasnąć i w nocy: chyba że Panu źle, to co innego, ja nastawię samowar.»

— Nie potrzeba Marcinie, jestem zdrów zupełnie; ale bo nie-wiesz jaki miałem sen dziwny (Marcin wierzy w sny). Ty mi zawsze swoje opowiadasz, pozwól-że niech i ja ci choć raz swój sen opowiem.

—«No, to niech Pan opowiada, bo i tak już wybiłem się ze snu.»

Opowiedziałem mu mój sen ze wszystkimi szczegółami. Marcin słuchał uważnie; kiedym zaś skończył, opowiadanie, wstał wyszukał kalendarz i podał mi go mówiąc: «niech Pan z łaski swojej obaczy jaki to dziś dzień mamy?»

—«Dobrze, obaczę, dziś mamy.... Ponieważ powiadasz, że już po północy, a więc dziś mamy zaraz.... 25 Listopada, Piątek....»

—«Dobrze, odpowiedział Marcin, ale jakiego świętego dziś przypada?»

—«Dziś Świętej Katarzyny,— odpowiedziałem.

—«Świętej Katarzyny! I Marcin zamyślił się głęboko. Po chwili zbliżył się do mnie i spojrzawszy z politowaniem, mówił: Wszak Panisko ten parolik masz od Panny Alexandry?»

—«Ach tak! odpowiedziałem, mam go od Olesi! O! patrzaj Marcinie, w miejscu połączenia rąk jej cyfra, a dalej słowa: *jure l'amour et la fidelité!*»

—«Co to znaczy?»

—«To znaczy: przysięga miłość i wierność.»

—«Dla czego po francuzku?»

Na to nie umiałem odpowiedzieć.

—«Zrzuć Pan ten pierścionek, mówił dalej Marcin, nie noś go, bo z projektów Pańskich nic nie będzie.»

— Jak to, zawołałem, czy sądzisz, że ja przestanę ją kiedy kochać?»

—«O nie, Pan ją będziesz kochał do śmierci.»

— A więc ona?»

Marcin kiwnął ręką, poszedł i spać się położył.

Działo się to 1847 r. Listopada, 25 dnia.

W ROK PÓZNIÉJ.

Zgadł poczciwy Marcin: Pan Cezary zastąpił mię w sercu Olesi. Już szósty miesiąc jak zdjąłem z palca dany mi przez nią parolik.

Tu Pan Bogumił rzucił niedopalone cygaro, wstał, porwał za kapelusz i nie pożegnawszy się ze mną— wyszedł. Ja zaś usiadłem przy stoliku i opisałem wiernie wszystko, co mi Pan Bogumił opowiedział, nic nie ujawszy, ani też swojego niedodawszy, oprócz chyba następnej prośby do czytelnika:

Przeczytaj, zapytaj,

Jeśli można, sens schwytaj.

A i te dwa wiersze są niczem więcej jak nędznem przedrzeźnianiem nieśmiertelnego Baki, czy też jego kontynuatora.

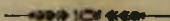
Juljan Horain.

Wilno.



WYJĄTKI Z POUFALEJ KORRESPONDENCJI

Do Wydawcy Pamiętnika.



RZYSTAJĄC z miłą ochotą do wezwania twego Panie Romualdzie, użyczenia zdań i opinij moich, dotyczących naszej literatury, do twego *Naukowo-Literackiego Pamiętnika*, rozpoczynam moją korespondencją i chętnie ci to przyobiecuję na cały czas trwania twego *Pamiętnika*, o ile tylko nie staną mi na przeszkodzie brak czasu, albo co gorsza, stan zdrowia mojego, które codziennie pomyka się ku upadkowi zbytnią zwałone pracą.

Zastanawiając się nad literaturą bieżącą, należy coś wspomnieć o dziennikarstwie, ale jak na dziś— jest to niepodobną wcale rzeczą; Athenaeum ustało, a mający ukazać się z jego popiołów nowy *Fenix* niewzleciał jeszcze dotąd i nie zaświecił światu płomieniem nowego życia. Sumienny jego wydawca przyobiecuje pracować sam nad siłą i wzrostem swego dziecięcia, ale nie objaśnił nam razem tego, co sobie założył, co odbić ma w odrodzonym już pod inną prassą, swém piśmie. Wiemy o substancji, niewiemy nic o duszy, o idei dającej życie i organizm, o intelligencji nadającej fizjonomji rozumny wyraz. Fizjonomji tej brakło właśnie dawnemu pismu; należało więc nadać nowemu stygmatą Chrztu z ducha, bo tamto z *wody* widać tylko było ochrzczone i nieraz zbytnią wodniostością grzeszyło. Jak powiedziałem, zapomniano o duszy dziś jak pierwiej; przyobiecano działać— a niewiemy, skąd wypływać

ma to działanie i dokąd ma dążyć; będzie tu więc życie zwierzęce bez samowiedzy, bez jedności idei. Czém jest myśl i dusza w organizmie, pięknie uczy nas tego wieszcz mysliciel:

Jest to stwórczytel śród ciała,
 Niebo, cud i wieczność cała;
 Świat wewnętrzny, niewidzialność,
Wszchemoc, światło, boska walność!

Ani czytelnicy nie wiedzą czego się mają spodziewać, ani też współpracownicy, do czego mają przyłożyć rękę i duchem przystać; jedna bowiem tylko idea pociąga massy i wiąże je w organizm, któremu nadaje życie; życie takiego pisma, powinno właśnie być tém zbiorowém życiem ducha massy, jego wyrazem i kwiatem. Ale tego tam niéma i być nie może; będą materiały, z których mógłbyś wznieść Pantheon, albo świątynie bożkiej Athenie, będzie może biały marmur iskrzący się iskierekami śniegu, będzie jaspis i porfir (bo któż może przewidzieć i zaręczyć?), ale nie będzie myśli twórczej coby wykuła kolumny i wystawiła je wedle zarysu powstałego w duchu, coby poprowadziła łuki wiążące je w sklepieniu, nie będzie jedném słowem— bożkiego Demiurga, coby wcielił w głazy prototyp wzniesiony w świątynicy ducha, z niebieskiej ojczyzny człowieka. Wydawca zdaje się wołać tylko do massy: *oto wybrałem miejsce, idźcie i murujcie!* Ale massa jest to rodząca w boleściach niewiasta; pracuje ona nieboga, ale nie myśli wcale o tém co wyda; massa jest egoistką; mając wydać coś wielkiego, myśli czasami o czémś bardzo małym. Potrzeba jęj więc organu, gdzieby się jęj samowiedza skupiła; potrzeba kogoś, coby wyszedłszy na górę, piętrzącą się po nad różnobarwnym motłochem, jak Mojżesz na górze Synaj, zawołał pionującym głosem: «oto Bóg, który żył w piersi waszej utajony i nieznanany wam dotąd— ten— co jest— był— i będzie— Je-ho-wah— jedném słowem, oto On objawia się mi dzisiaj widomie i wyraża wolą swoją. Oto prawa, które drzemały beczynninie w piersi waszej, prawa utajone jak Bóg sam, którego one są najświętszą wolą— oto zakon ten ryje on powtórnie na wiecznym głazie; oto jest upostaciowany Bóg i upostaciowane— bo wyrażone— prawo; jest ono to samo, co żyło w was dotąd; żyje ono dziś przedmiotowie za wami.” Potrzeba też— jak Mojżesz miał dar czynienia cudów,— potrzeba mózdz w razie potrzeby uderzyć laską w opokę i wyciągnąć z nięj potoki źródłu życia. Potrzeba, powiadam, koniecznie mieć w piersi swojej iskrę, któraby też w piersi ogótu zdolną była podobną iskrę rozpalić i wszczać płomień du-

chowój ekzystencji— jeżeli jój dotąd brakło. Pismo zbiorowe powinno być zwierciadłem zbiorowój dążności ducha, co tylko za wadzą samowiedzy może być dokonaniem.

O *Tygodniku Petersburskim* nie niéma do powiedzenia; dotąd możemy uważać tę gazetę za nieekzystującą i po niój nie można oczekiwać zmartwychwstania. W każdym roku wydawca piszący tylko same *przypiski*— objawia swoje *credo* i zasady, które chyba tylko można tak rozumieć, iż postanowił sobie brać pieniądze za literacką gazetę, a nieumieszczać w niój nic literackiego; ostatnie półrocze zeszłego roku i początek bieżącego, były puste jak to widział każdy; już nie było tam nawet kawałków kilku-tomowych romansów. *Tygodnik* jest rodzajem *Gubernskich wiadomości* i nic więcej. Przerzucił się do niego Kraszewski, ale zimno przyjęty pisze zimno, jak każdy *nieproszony*— *nie dziękowany*; do tego zraża jakaś gorycz dająca się uczuwać teraz pod Jego piórem; niektórzy widzą w tém stan chorobliwy i może mają racją. Zaczął jak najniezszczęśliwiej; potrzebaż było pisać recenzje nikogo nie zajmujących dzieł jak *Pamiętniki moich przyjaciół* albo *Złamanój łopaty*, co wszakże nie przeszkadza mu o nich pisać obszernie. Czyż nie było tylu dzieł pod ręką, o których *Tygodnik* w swoim letargu ani słówka nie powiedział, wszak *il vaut mieux tard que jamais*— mówi przysłowie. Są piękne powieści Wilkońskiej, *Hersylka* Felińskiej, sam *Zamek Krakowski* drukowany, lecz nieosądzony w *Tygodniku*, o którym radzibyśmy wszyscy wiedzieć zdanie autora *Zygmuntowskich czasów*. Były dzieła, o których niewiedzieliśmy wcale, a dzieła ważne np. *Dawną Polską* Adrijana Krzyżanowskiego. Tylko należy mieć także na uwadze to, że w *Tygodniku* nie o wszystkich i nie wszystko godzi się mówić, jest tam maksyma: *de amicis aut bene aut nihil, de inimicis vero, aut male aut nihil!* Jest jednakże tyle dzieł *Korzeniowskiego* dotąd nieocenionych, a które możnaby było powołać pod sąd krytyki nawet w *Tygodniku*, bo autor ich należy do partji neutralnej. Nie wiele wszakże może obiecywać pismo jakie pod redakcją takiego człowieka, dla którego potrzeba całego roku, dla uapisania nie nieznaczącego nawet artykułu; ztąd to owe próżnie, jeżeli niéma łaskawych kollaboratorów, ztąd to zamknięcie opozycji drogi do pisma, w którym gospodarzą Dobrodzieje i Kollatorowie. W pustkowiu *Tygodnika* poświstuje wiatr i łuczy próżnia, a tymczasem brak krytyki daje się uczuwać widocznie; kilka książek zbiorowych, po jednéj ukazujących się na rok, nie w stanie są temu zaradzić. Nikt dotąd nie wspomniął u nas o *Litwie* Kraszewskiego, o *Dziejach Litwy* Jaroszewicza, o

Litwie Ludwika z Pokiewia, lubo sama treść tych badań rozrabiana od kilku razem, wiele dawałaby do myślenia. *Dzieje Krzyżaków* nie miały tam swego recenzenta; *Tygodnik* wolał umieszczać wtedy dowcipne rozdziały *Światła i Cieni*, gdzie autor dla rozśmieszenia swoich znudzonych czytelników, użył bardzo nowego sposobu, bo wpakował burmistrza pod kanapę, gdzie w pośród dnia białego chciał się być ukryć poczciwiec przed gośćmi. Jaka naiwność!

Pan Kraszewski zapowiada publicznie, iż chce się zająć sprawozdaniem z bieżącej literatury, chce przyjąć na się oddział krytyki i przez to zapełnić ten brak ocenienia płaodów, jaki się uczuwał dotąd powszechnie. Przypominamy sobie, iż kilka lat temu Pan Kr... skarżył się w samym Tyg. na to, iż go nikt niechce przyznać żadnym— *tykiem*, bo ani za estetyka, ani za krytyka nie chcą go uznawać. Nie wchodząc w słuszość lub mylność zarzutów tych w owe czasy, zrobimy tu uwagę w ogóle o krytyce a w szczególe o kilku uwagach P. Kr..., które już mamy w Tyg. za rok Pański 1849. Sąd literacki, jak każdy inny sąd, musi koniecznie mieć pewną zasadę i stanowisko, z którego się zapatruje i na czém wyroki swe oprzeć jest w stanie; najgorzej jeżeli jedno i drugie od *widzimi się* tylko zależy, a to dziś jest tak powszechne. Ten mówi czarno, ten biało i zgadnijże tu prawdę kiedyś mądry; najprzyczrzejsza rzecz wszakże, iż podobnym ogólnikom zdanie i wartość krytyki lubią niektórzy przyznawać; mnieby się zdawało że jest to raczej pochlebiać, albo ogadywać— niż sądzić. Płaod każdy ma swą własną zasadę— ideę z której się jego cała istota, cały organizm rozwija; krytyk nasamprzód ma nam odsonić duszę utworu, objaśnić mechanizm i doskonałość— czyli sam cud twórczości woielenia, i to będzie najlepszy sąd pod względem estetyki, czyli sztuki— nadawania widomych kształtów pojęciom oderwanym. Potem może już krytyk wziąć ideę pod względem metafizycznym i moralnym, ale zawsze winien nasamprzód wyjaśnić i określić rzecz samą dokładnie, a potem może podprowadzać pod swoje określenie, fakt literacko-estetyczny. Tu przynajmniej będziemy wiedzieć dla czego chwali, dla czego gani, a to tak trudno poznać z krytyk u nas obecnie pisanych. Tyle o krytyce w ogóle.

Co się zaś dotyczy krytyki samego P. Kr. musimy wyrazić bezstronnie nasze zdanie, lubo cenimy jego powieścio-pisarski talent, zawsze jednakże tyle szanujemy prawdę, iż gwoli naszym sympatjom, niemyślimy nigdy przynieść jej na ofiarę. O wierzganiu P. Krasz. w krytyce na *Rocznik Literacki* nie wspomniemy nic— piszemy bowiem w książce jego wydawcy, pochwała więc lub nagana jego zbioru

zarówno mogłaby się wydać komuś nie na swoim miejscu. Z powodu zaś komedyjki *Złamana Topola*, zrobimy uwagę, iż P. Kr. niepomysłnie obiera dzieła dla swoich recenzij, mając bowiem podstatkiem wiele szacownych książek dla zdania z nich sprawy czytelnikom, bierze on, jak sam to wyznaje, dzieła pisane bez talentu i grammatyki a pisze o nich, jak gdyby do prawdy, podobnej wagi rzeczy mogły kogoś zajmować. Komedyjki tej nie czytałem, a mówię tylko na wiarę samego jej recenzenta. W zdaniu tém (nie jest to bowiem krytyka) zajęła mię głównie jedna rzecz, którą wyłożę tu bliżej; jest to uwaga recenzenta o treści dzieła. Treść taka. Stara się jeden fanfaron o pannę; krewni przyjmują go zimno, on udaje się do drugiej, gdzie, *comme de raison*, odgrywa rolę zakochanego; pierwsza, będąc przyjaciółką drugiej panny, odradza jej to zamęcie, mówi o fałszywości uczuć kawalera, nareście w znowie z oblubienicą, oświadcza kawalerowi, iż jest wolną wyjść za niego, że rodzice błogostawia zamęściu i kawaler uradowany, ogaduje przed pierwszym przedmiotem swój miłości drugą swą oliarę, która najcierpliwie słuca tych wszystkich zeznań podedrzwiami pokoju. Jak widzimy, rzecz ta nie nowa w komedji, i, jak na nieszczęście, bardzo nie nowa w życiu. Związek małżeński stał się dziś przedmiotem brzydkiego frymarku, i przyznać tu należy, że zrywanie zobopólnych zaręczeń, najczęściej bywa winą oblubienicy. *A bon chat, bon rat*, jak mówią Francuzi. *Wilkoński* napisał zabawną ramotkę, jak jechał raz do dłużnika, a zajechał do wierzyciela; mnie się zdarzyło gorzej; w Lutym bowiem byłem zaproszony na ślub dowcipnego chłopaka, ślub mający się odbyć w Maju, jechałem więc na ślub do dowcipnego, a trafiłem na ślub głupiego, który się odbył w naznaczonym terminie, ale, jak widzicie, zupełnie z kim innym; ten miał więcej pieniędzy, panna się przeważyla na jego stronę. Już to drugi przykład w tych latach w kole moich znajomych, a liczba ich wcale niewielka. Nie zważając na tak pospolitą intrygę, na jakiej się snuje komedyjka *Złamana Topola*, P. Kr. widzi w niej ukazanie na jakąś rzeczywistą historją i woła na zgorzenie za to, że krają żywe ciało towarzystwa, dla książek, co dowodzi, wedle niego, upadek społecności. Jabył widział upadek społecności w samych tych smutnych faktach powszechnej demoralizacji; wedle mnie, tu właśnie zgorzenie a nie w książce, która przedstawia bardzo powszedni w życiu wypadek. Dawniej, dobrodusznym staruszkóm, ojeóm i babunióm naszym, kiedy się dostała do rąk powieść jaka, którą one zwykle *Chistorją* zwały, to treść jej nieinaczej była uważana, jako za rzecz prawdziwą, którą ktoś

schwycił i opisał ku powszechnemu zbudowaniu; występkiem się brzydzili, nad prześladowaną cnotą spłakały się poczeiwe staruszki i na tém koniec. Dziś we wszystkiém widzą paszkwil i zgorzenie, i rzeczywiście tak jest i być musi, bo wierne odbicie zepsucia musi być zgorzeniem i paszkwilem, (ma się rozumieć paszkwilem na ogół, szczegół bowiem w takim razie *po imieniu się nazywa* inaczej, jednoście wchodzą w masę i stanowią ogólną charakterystykę towarzystwa). P. Kr... bierze tak żywo rzecz tę do serca, iż woła, że należałoby zamknąć domy swoje przed takimi panami, co się ośmielają opisywać nasze występki; o! tak najładniej! zamknijmy się w norach i liźmy tam rany nasze, a niech nikt nie waży się nam o nich wspominać; kiedy jesteśmy z sobą, prawmy sobie wzajemnie panegiryki, wynośmy się pod niebiosa, a po śmierci piszmy sobie wzajemnie do Tygodnika *rzewne nekrologi*, a jeżeli brud jaki wyjdzie na jaw i przemówią o nim, a nawet broń Boże! wspomną w piśmie jakim, jeżeli kto zawoła z oburzeniem na niegodziwą hipokryzję, wtedy rzućmy kamieniem na niegodziwca, i w niebogłoty wołajmy na zepsucie! Okropność!! O! nie krajmy ciała, póki można wyciąć tę bezecną ropiącą gangrenę; jeżeli cię oko twe, albo prawica twa gorszy, wyłup sobie oko, odetnij rękę, bo lepiej bez nich wejść do królestwa niebieskiego, niż wraz z nimi pójść na ogień wieczny,”— mówi nasz Boski nauczyciel, którego słodkiego głosu nikt nie słucha, chociaż jest wielu Faryzeuszów, gotowych językiem szermować za wszelką myślą, byle tylko sens jój prawdziwy lub przekręcony, mógł go do czegokolwiek doprowadzić... Nie prawdaż, P. Krasz.... że się mylisz? Wolno jest prześladować kretów podkopujących żywotność moralności i obyczajów społecznych,—nienazywając ich po imieniu—niemasz osobistości, jeżeli ogół pozna, to wina tych co głęboko zawinili, a przeciw których niemasz praw wyraźnych; społeczność poruczyła ukaranie ich prawości duszy obywateli i oburzeniu chrześcian, ale tego oburzenia nic już nie w stanie obudzić; *grzeczność* wygnała oburzenie, i—niech żyje *grzeczność* i *gładkość towarzystwa!!* Niemasz dzieła, któreby odbiwszy wiernie stan moralny społeczności, nie ściągnęło na się zarzutu osobistości; jeżeli jest w tém czyja wina, to tego, co upatruje podobieństwa i rozgłasza je, a rozgłasza nawet za pośrednictwem prassy, i to z tak błahych i słabych powodów, jak to uczynił, ku wielkiemu naszemu podziwieniu, *zawołany* Kraszewski!

Pod względem sztuki wierne kopijowanie jest złą manjerą, ale użycie życia jako materiału, ale pojęcie charakteru jakiego w jego idci i odtworzenie go w jego pełni idealnie, tu dopiero rozwinie się cała

potęga kunsztu; tu dopiero nastąpi zgoda pomiędzy realistami i idealistami; świat — materiałem, twórczy duch — budowniczym, idea — duszą!

Jeżeli się już rozgadałem w tym względzie, pozwól mi więc Romualdzie, abym ci dalej w tej rzeczy powiedział, dotyczy to naszych obyczajów, podstawy naszego moralnego bytu, a o tém zadość nagadać się nigdy nie jestem w stanie. Nasze towarzystwo jest bardzo *wyrozumiaste* na słabości ludzkie, a to jest główny punkt, po którym się poznaje upadek żywotnego ducha społeczeństwa; póki ciało jędrne i zdrowe, nie ścierpi ono nigdy w sobie jednej makuły zepsutej, natychmiast ją z siebie w postaci zgniłej ropy wyrzuci. Wyrozumiałość tę przykrywają zwykle maską chrystjanizmu, nieznośną jest bowiem rzeczą, iż wszelką niegodziwość i brzydotę muszą zawsze sprzęgać z czemś wysokim i świętym. Dopóki główną pieczę Chrystjanizmu były obyczaje, czystość myśli i serca, dopóty otwartość była najgłówniejszą wodzą życia; upominano błądzącego, wyłączano niepoprawiającego się z towarzystwa wiernych. Dziś należy na wszystko patrzeć przez szpary, słuchać obojętnie wystawianie z cnót ludzi, znanych powszechnie ze swego moralnego skażenia; należy patrzeć spokojnie jak niewinna dziewica łączy się z kobietą najbrzydszej konduity, a niegodzi się ją o tém przestrzedz, broń Boże! jeżeli to jest jej krewna, siostra lub ciotka... Wyganiano z miasta biednych trędowatych, osadzano ich w odludném miejscu, a trąd duszy nic nas nieobchodzi; jad jego wpija się w zdrowe ciało towarzystwa i niszczy jego świeże i zdrowe soki... Odstąpmy nieprawych, pokażmy im zasmucone serce; niech tam będzie pustynia, gdzie tylko się oni ukażą; niech tam kwiat więdnie i liść usycha; niechaj za dotknięciem się promienia ich wzroku, uśmiech znika z twarzy i wesele z oka... Ustąpmy się — zostawmy ich samych z ich występkiem i sumieniem; zostawmy winnego z jego surowym Sędzią — samotność moralna przestrachem napełni serce; jeżeli takiemu potrzebne jest towarzystwo, to zostawcie mu chyba towarzystwo spowiednika, surowego i prawego człowieka, ale nie żebraka, sprzedającego kadzidła za chleba kawałek, za chleb bogacza, coby wyżywił dziesiątki prawdziwych nędzarzy. Modlitwa, łzy i skrucza byłyby może owocem samotności; występki szuka światowego odurzenia, a świat gotuje dlań tysiące sposobów zapomnienia się.... Przystaję mówić dalej — wielu mają już pewno na ustach słówko *deklamacje!* Ulubione dziś słówko tych ludzi, którym mówią prawdę w oczy, słówko, które niewiem jakim sposo-

bem wyrwało się z ust autora *Świata i Poety*, gdy coś nagryzmołił o *deklamacjach* autora *Jordana*....

Kto patrzy na duch literatury naszej, ten spostrzeże w niej powstanie nowego kierunku, wyrażającego się w potężnej idei moralnej Chrześcijańskiej czystości i wysokiego udoskonalenia... Przed oczami wyznawców tój idei, boskimi kształty odbija się w przyszłości jakiś nowy porządek rzeczy, dla którego oni w głębinie serca swego najczystszy ogniem miłości pałają.... To— co jest dzisiaj, co było wczora, porusza ich najsilniejszym oburzeniem i pogardą; niemasz tak brzydkiego słowa, którémby oni nie nazaczyli tego skalania moralnego; oni wiedzą jak się rozkłada obyczaj wyhodowany średnio-wieczną wyrozumiałością, ale czują zarazem w sobie boskiego ducha Ewangeliji, ducha, co staje się konstrukcyjną ideą nowego społecznego życia. Wieki średnie, pomimo swych licznych klasztorów i fundacij duchownych, były epoką moralnego kompromissu; mnich brał na się pokutę, Rzym dawał indulgencje, przyjmował razem złoto, za które pobielał dusze,— Luter i Reformacja zaproteutowały przeciw złemu; zachodnia Europa szła swoim torem, wybitym klasztorną gawiedzią i przyszła nakoniec do stanu obyczajowego rozprzężenia, jakie przedstawił wiek XVIII. Kazania Lutra i sarkazm Woltera jeden miały przedmiot— lecz tam były dobre cele, tu wiał szatański duch skeptycyzmu, zaprzeczając wszelkiego dobrego pierwiastku w duchu ludzkim, bo sam ten pierwiastek, jako już wymazany, za śmieszność i oszukaństwo uważając. Sęsymoniści chcąc zapobiedz łamaniu świętości moralnego prawa, usiłowali nadać zepsuciu samemu sankcją prawa przez zniesienie moralnego obowiązku małżeństwa i familji. W Niemczech rozwijała się tymczasem idea reformacji; idea rozwijana racjonalnie, a złąd wysnuwająca wątek-filozoficznój myśli; jakoż filozofja niemiecka była jednym ciągiem religijnój idei od Lutra do Hegla włącznie. Pełną samopoznania ideę stoicko-chrześcijańskię moralności widziemy w systemacie Fichtego-ojca, ideę poznającą się jako samodzielna dźwignia moralnego istnienia człowieka, ideę wysnuwającą z siebie samej prawa, którym wola człowieka ulegać powinna, jako normie rozumnej istoty człowieka. Moralna filozofja Fichtego i Hegla przeszła już w filozofja prawa i tak być musiało. We Francji zwrót od Sęsymonizmu, wyraził się przedstawieniem brzydoty zepsucia, cichą, ukrytą protestacją przeciw normalnemu stanowi towarzyskięj moralności, rzewną tęsknotą za czemsiś utraconém, a do którego dusza w miłośnym zapale żąda powrócić, by tam mogła znaleźć swoje moralne zadowolenie. Poezja zaczęła użyzczać tym tęsknym życzeniom

anielskich kształtów sztuki, oddanych twórczym jęzuszem Żorż Sanda, w jej pięknych romansach. W pośród brzydoty i zepsucia widzisz tam postacie tęskniące za czemsiś, czego tu osiągnąć nie są w stanie, tęskniące za innem życiem, za innymi ludźmi, za innym światem!

U nas jedni idą wytkniętą drogą nieprzeczuwając, że ich samych owiewa duch wyższej moralności, duch XIX wieku; inni czują ducha co porywa ich serca i wiąże w towarzystwo, związane podług niebieskich planów. *Antoni Sowa*, należy do wieszczów, którzy przejęli się tym duchem ewangelicznej czystości; do-
tąd rzucił on w lirycznych ustępach swego dramatu (*Jordan*) wymowne, ogniste, a pełne oburzenia protestacje przeciwko temu, co nas otacza, protestacje, które podobało się niektórym *znawcom* nazwać *deklamacjami* (!!). Ja z mego ustronia szlę mu bratnie uściśnienie dłoni, na znak mojej dla niego serdecznej sympatji; jeżeli go znasz Romualdzie, pozdrów go odemnie. O! nie zapomnę nigdy tego wrażenia, kiedy w jego Jordanie znalazłem me własne oburzenie przeciwko powszechnemu zepsuciu. Jakże często w obec tego oburzenia przychodziło mi wołać:

O, jak wszystkie węzły święte
Człowiek dziwnie spodlić umie!
Niech się śmieją nizezmnicy,
Niechaj płacze, kto zrozumie:
Bo ta prawda upomina,
Że narodu treść, początek—
Jak szczep wielki z dźbła i z rostka—
Są zamknięte w każdej parze,
Jako w tysiącach secina,
Jako w secinie dziesiątek,
Jako w dziesiątku jednostka!
Że przed ludzkości ołtarze
Kłęknać mają wszystkie pary!
I że w ilu par miljonie
Żyje święta i miłości,
Tyle żyje święta w łonie
I narodu i ludzkości!

A kto swoje serce przeda
Dla widoków lub pieniędzy,
Został uczuć tandeciarzem,
Ten w bogatej żyje nędzy,

Ten duchowym jest Łazarzem,
 Co pierś swoją dal na zgniecie!
 Co się wyparł Boca w sobie!
 W najpodlejszym złożon grobie,
 W złotym grobie podle stęka.
 O! nie przyjdzie Pańska ręka
 Upodlone wskrziesić życie!

Bo co w trumnie egoizmu
 Raz złożone, nie powstanie.
 Śród spodlenia, heroizmu,
 Wazystkie dzieci takich związków,
 Jak robactwo w gnojnej ranic,
 Toczą łono społeczności!
 Stoczą prawa obowiązków!
 Ach! bo w grzechu są poczęte,
 Bo są dziećmi przedajności!
 Gdzie stargane węzły święte!

I wy nędzni mówić chcecie,
 W piersi miłość że żywicie—
 W nienawiści wzięte życie,
 Wy ostatni brud na świecie!
 Jakąż dacie cnót rękojmię?
 Kto najczystszą część istoty
 Swojej przedał, pojmież cnoty?
 Ten przedajnik— miłość pojmie?
 Jakąż miłość? świata! ludu!
 Komedjanci, głupiutency—
 O! przepraszam— lecz żal trudu,
 I nie powiem nic już więcej.
 Niech domówią reszty dzieje,
 Skąd są zdrajcy i złodzieje?...

*

Gdzie nie wyschły uczuć zdroje,
 Bracia moi, siostry moje,
 Którym jeszcze nie zdolano
 Zabić serca pozłacaną
 Kłamstw mamoną i próżnością,
 Zapytajcie ze szczerością
 Starszych siotr swych i rówieńnic,
 Tych zmienników i tych zmiennic,

Co kupili piekło w domu!
 W których piersi pokryjomu
 Bola serca tajemnicę—
 Gdzie sakrament obrażony—
 To nie męże, to nie żony,
 Ale to są— nalożnice!...

To salonów cudne czary,
 Piękne sale i kinkiety,
 Adamaszki i parkiety,
 I cudowne buduary,
 Kandelabry— złoto— złoto—
 Ale w piersiach— błoto-- błoto!

To niepięknie, to niegrzecznie,
 Grubijanstwo takie słowa;
 Lecz raz jeden musiał Sowa,
 Ten ptak nocy, piąć niegrzecznie.

Drugim dziełem, w którym odbiła się ta sama idea moralnego ideału, wedle ducha prawdziwie chrześcijańskiej nauki, są *Ideaty i Karykatury* Nowosielskiego. Autor przeprowadził tu kontrast pomiędzy światem a ideą Chrystjanizmu, którą wcielił w Rafaëlu. *Świat* i *Rafael* są to oddzielne sfery; Rafael był oczarowany po za wpływami rzeczywistości, tak iż żył wpośród niej jakby był zstąpił z jakiego innego planety; natchnięty duchem niebieskiej moralności śni on najpoetyczniejsze ideały, które spodziewa się w swem życiu napotkać kiedyś. Rafael, jak powiada autor, była to wzniosła platońska dusza, która przyszła na świat, jak gdyby do prawdziwej dziedziny Zbawiciela; był to charakter wyjątkowy, pod wyjątkowymi rozwinięty warunkami, charakter nigdy niedający się oswoić ze zwyczajnym życiem; najmniejsza plamka już razi jego oczy, trochę mocniejszy ton, słuch mu rozdziera, a przywary, egoizm, chciwość, ohydza, jednym słowem— cielesność wszelka, dłońią szatana pociąga duszę do dołu, krwawi, kaleczy mu serce! Człowiek ten utworzył sobie tysiące planów jedne od drugich dziwniejszych— mężczyźni byli tu prawi i mądry, kobiety dobre, niewinne i piękne tą pięknością, jaką nadaje ciału wyraz boskiej dobroci i czystości serca i myśli. Autor widocznie czuł niepodobieństwo, albo może miał tu inne cele wprowadzić ten swój charakter tyle oryginalny do życia czynnego; jak Szatan wyprowadziwszy Chrystusa na górę pokazywał cały obszar

świata, tak autor pokazywał swemu Rafaelowi świat ten zdaleka, sławiając w każdym rozdziale w sprzeczności jakąś myśl wymarzoną z faktem rzeczywistego życia. Pierwszą powieść (pierwszego szeregu p. t. *Idealy i Karykatury*) P. Nowosielski nazwał *Mara*; możnaby w jego powieści nie jedną a kilka mar ukazać;— przy końcu warto aby był umieścić wiersze Bohdana:

Gdzież są świetne twoje mary,
Cele twoje? tegoż wieńca
Łzy pragnęły zapalenca,
Łzy, płomienie i ofiary?

Bo zdradzieckoż, cud po cudzie,
W pół wędrówki go odbiegły,
I świat piękny, świat rozległy.
W sennież rozwił się uludzie....

Mara, jest naprędce malowanym obrazkiem, obrazkiem pełnym ironji, pełnym tęsknoty uczucia i głębokich zasad; nikt z czytelników nie dojrzał wielkiej żywotnej idei moralnej, jaką autor wprawił w te od niechcenia narzucane obrysy kilku karykatur, kilku idealnych postaci zła i wysokiego moralnego dobra. Wielu chciało widzieć tam te lub inne znajome sobie osoby, nieuważając, że tam zło było wyrafinowane idealnie, że u nas zło nieprzybiera tak powabnych, tak poetycznych kształtów. Powieść Nowosielskiego (jeżeli godzi się tak nazwać ten improwizowany zarys wielkiego niewypowiedzianego dotąd dramatu, — *Świata i Poety*) jest prawdziwą mieszaniną ideałów i karykatur, w których wielono typowe charaktery: picości— w rezonującym o wszystkiém *Fajeczce*, zepsucia— w pięknym ciełe przybierającej pozory miłości Laïs, pierwiastku wychowawczego zepsutego tradycją XVIII. wieku— w Półkownikowej! Charakter Księcia Ahasverusa wcale u nas nie-naturalny— jest to setne odbicie rozczarowanego don Huana-sy-baryty; może nie bez celu wyprowadza tu autor ten typ oddawna zużyty, jakby chcąc dać poznać światu, iż don Huan jest bliski skonu..... W całej książeczce pełno myśli, które nie są bez użytku i warto je nie raz jeden tylko odczytać.....

Lecz papier się kończy, żegnaj ciębie i t. d.

Ant. M.



DLA GOSPODARZY WIEJSKICH.

NOWA MACHINA ŻNIWIARSKA.



W JEDNYM z Zeszytów pisma rolniczego, wydawanego przez Towarzystwo Gospodarskie Kurlandzkie, jest umieszczony ciekawy protokół, zawierający wiadomość o nowo-wynalezionej Maszynie, którego osnowę tu przytaczamy:

«Na dzisiejszem posiedzeniu, w nieobecności Prezesa przewodniczył wice-prezes i zagał one, przedstawiając P. J. Wilson'a b. Oficera inżynierji, który celem przedstawienia Kurlandzkiemu Towarzystwu Gospodarskiemu projektów, dotyczących się maszyny żniwiarskiej jego wynalazku, pragnął być jako gość wprowadzonym. Towarzystwo oświadczyło swą gotowość przyjęcia tych projektów P. Wilson'a, przeto rozpoczął rzecz swoją ustnym wykładem, a obecni słuchający go z najwyższem zajęciem, wielokrotnie w tym przedmiocie czynili pytania, uwagi i wątpliwości. Ztąd powstały rozprawy, które przyczyniając się do usunięcia poczynionych zarzutów, jasne rzuciły światło na właściwość i naturę pomienionej maszyny, oraz wykazały wielkie z niej dla rolnictwa wypływające korzyści.

Machina ta, z równym skutkiem do żęcia zboża, jak i do koszenia trawy użyta być może.

W pierwszym razie potrzeba do niej trzech koni, jednego parobka, jednego poganiacza i trzech chłopców do posługi, w drugim zaś, dwóch tylko koni i dwóch chłopców.

Użyta do zboża, machina ta, żnie na sekundę 6 stop pol. szerokości, a 4 stopy długości: czyli przez 10 godzin roboczych 869,000 stop kwadratowych pols. (blisko 89 morgów pols.) Wykonywa zatem robotę, do której zwykle,— według miejscowości i rodzaju narzędzi do żęcia użytych, jako to: sierpa lub kosy,— 20 do 30 ludzi i tyleż kobiet potrzeba, zysk przeto w robociznie jest bardzo znaczny.

Machina działa w takich zawrótach jak orzą za granicą; a przez proste swe urządzenie, przewycięża bez szkody dla siebie małe zawady, jakimi są kamienie, kołki, korzenie i t. p. Oczywiście że wielkie kamienie, w niektórych okolicach na polu częstokroć natrafiane, omijane być muszą. Działaniu jej nie przeszkadzają również małe bródzy; tylko przy większych, przeszło stopę głębokich rowach, potrzebuje przejścia po mostku. Pochyłe równiny, wzgórza, płaskie pagórki, nie tamują jej wcale drogi, byleby nie wypadło, aby szła jedną stroną wysoko, a drugą nisko: lubo w tym ostatnim razie, kilka cali żadnej nie stanowią różnicy.

Machina żnie zboże i razem je zbiera, a nadto oddziela od słomy kłosa, które zgartuje w osobną zbieralnię. Z tego powodu następuje wielkie korzyści: kłosa bowiem z osobna mogą być łatwo przeniesione na klepisko; a po wymłóceniu, pozostałość dostarczy jeszcze wybornej paszy z ziaren, które dziś giną w słomie; słoma zaś niestargana zostaje. Oszczędzenie paliwa i zmniejszenie niebezpieczeństwa od ognia (tam gdzie w suszarniach przesusza się zboże), są widoczne równie jak i ulżenie w zarządzie gospodarczym; a stodoła, słomą dotychczas zaphana, na inny gospodarski użytek obroconą być może.

Zresztą, nie ginie tu ani jedno ziarno; co właśnie nieobliczonym staje się zyskiem; kiedy przy zwykłym żęciu, zwożeniu i t. p., samo najlepsze, najdorzalsze i do przyszłego siewu najwłaściwsze ziarno, uronieniu podlega, zkad po większej części pochodzi owa zwykła nieproporcja między wysiewem, wydatkiem pojedynczego kłosa i całym zbiorem.

Naostatek żniwo jest tu niezawisłem od pogody, co mianowicie przy zbiorze jarzyn nadzwyczaj ważny stanowi pożytek."

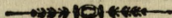
Po ukończonym wykładzie, P. Wilson złożył Towarzystwu pismo zawierające dokładne wyszczególnienie korzyści i pierwszeństwa, jakie ma wynaleziona przezeń machina do żęcia przed wszystkimi innemi podobnego rodzaju. P. Wice-prezes w imieniu Towarzystwa podziękował P. Wilson'owi za te naukowe i zajmujące objaśnienia, wynurzając przytém chęć dowiedzenia się pod ja-

kiemi warunkami członkowie Towarzystwa machinę takową nabyćby mogli.

P. Wilson oświadczył na to: iż podejmuje się za 450 r. sr. (podług kursu dzisiejszego około 730 zł. mon. kraj. licząc już w to i koszta przywozu) dostawić każdą z tych machin do Mitawy, byleby ich przynajmniej sztuk 20 zamówiono, że w takim razie przysze tu jedną machinę wprzód na próbę, a gdyby odbyte doświadczenie przekonało, iż wynaleziona przezeń machina, wszystkim co przyrzekł, warunkóm nie odpowiada, wówczas podpisujący i zamawiający onę, przyjąc ją nie będzie obowiązany.

Towarzystwo uznając przystępnymi te warunki, postanowiło ogłosić subskrypcją. jakoż przez obwieszczenie niniejszego protokołu, wzywa każdego z gospodarzy wiejskich, nie licząc członków Towarzystwa, ażeby przyjmując udział w tej subskrypcji, racyli nadsyłać listowne swoje w tém oświadczenie pod adresem: Do Redakcji Dziennika: «*Kurländische-Landwirthschaftliche Mittheilungen*», gdzie każdy przejrzeć może skreślony w języku francuzkim przez Pana Wilson'a opis szczegółowy tej maszyny i jej działania.

Pzy końcu posiedzenia P. Wice-prezes oświadczył w kilku ujętych słowach, iż wedle jego zdania, Towarzystwo rade będzie policzyć P. Wilson'a w poczet swych członków honorowych.



TREŚĆ TOMU I^{go}.

WE TRZECH ZESZYTACH ZAWARTA.



II.

POEZJA.

- A. Ed. Odyńca.** Listy poetyczne: do Eust. Hr. Tyszkiewicza,— Inwitacja, do przyjaciół.— Okolnik do Sąsiadów. Zesz. I. str. 1.— Aniół Stróż, legenda; do Aleksandry Kurnatowskiej; w Albomie Stasi Chodźkówny. Zesz. II. str. 1.
- Innocentego Staruszkiewicza:** Nowy bogacz, nowy Łazarz, nowa pieśń kantyczkowa. Zesz. I. str. 35. Lafirynda czyli Wieczór przed Balem, tekst światowy. Zesz. II. str. 31.— Wieczór Kawalerski czyli Zrzęda starego Stolnika. Zesz. III. str. 1.
- Władysława Syrokomli:** Bywało! gawęda z samym sobą. Zesz. I. str. 107.— Kradzione, przypowieść szlachecka. Zesz. II. str. 51.— Westchnienie majowe. Zesz. I. str. 109.— Do*** Z. II. str. 8.— Ochwale Bożej i chwale Królewskiej, gawęda z żebrackiego Żywota. Z. III. str. 137.
- **Przekłady poetów polsko-lacińskich:** Do Stefana Paca, na wytworne zbytki stroju Rycerstwa Polskiego, oda X. Mac. Kaz. Sarbiewskiego. Zesz. I. str. 50.— Wiadomość o Sarbiewskim. Zesz. III. str. 85.— Do N. Panny, Zesz. III. str. 91.— Dzielność Szlachcica polskiego, str. 92.— Do Rycerstwa polskiego po zwycięztwie Chocimskiem, 1621. str. 93.— Do Rycerstwa polskiego 1630. str. 95.— Do Niemiec wrzących wojną domową, str. 98.

- Leona Janiszewskiego** z Kaukazu: Trzy razy w życiu i raz po śmierci, poczęje nieboszczyka zebrane przez jego przyjaciela. Z. III. str. 59.
- Karola Słomskiego**: Białowieska puszcza. Zesz. II. str. 64.
- Antoni Sowa**: Było to dawno! Ballada, Zesz. III. str. 145.— Do J. D. w albumie. Zesz. III. str. 147.

Wybryki wesołego humoru.

- Ldwik Kdrtecz**. Co się przysni. Niewinnęj duszeczce. Expijacja pozapustna. Zesz. II. str. 54.
- **Gozdawa**: Do Rajgury. Zesz. III. str. 100.

2.

LITERATURA POWIEŚCIOWA.

- Powiatki z rękopisów *Hrabiny z Mniszchow Potockiej*: Ożenienie filozoficzne.— Panna S.— Zabytek dawniejszej belletrystyki polskiej. Zesz. I. str. 43.
- Przygody człowieka, który sprzedał swój cień, powieść fantastyczno-kalifornijska. Zesz. II. str. 9.
- Kilka wspomnień z czasów Uniwersytetu Wileńskiego. Zesz. III. str. 25.
- Noc w Wigilją Ś. Katarzyny, powiatka na sen, przez *Juljana Horaina*. Zesz. III. str. 159.

Obrazy Towarzystwa.

- Samojedy Salonowe, szkic satyryczny przez *Zoffę Jaskółkę*. Z. III. str. 9.

3.

H I S T O R J A.

- Rzut oka na Dzieje Wielkiego Księstwa Litewskiego, przez *Żegotę O'Nacewicza*. Zesz. I. str. 7.

Badania historyczne.

- Parę słów o historyczności puszczy Białowieżskiej, przez *Kapitana Dałmatowa*. Zesz. II. str. 59.
- O domniemaniach uczonych: z kąd pochodzą Cyganie? List *Wojciecha Osikowskiego* do Wydawcy Pamiętnika. Zesz. III. str. 141.

4.

B I O G R A F J E.

- Wiadomość o Karolu Mujschel, p. *Romualda Podbereskiego*. Z. I. str. 28.
- Jarosław Linowski, przez *Romualda Podbereskiego*. Zesz. II. str. 69.

K R Y T Y K A.

Historyczna Literatura we Francji i Niemczech, w ostatnich latach, przez
T. Granowskiego. Z. III. str. 103.

S Z T U K I P I Ę K N E.**M a l a r s t w o.**

Uwagi *Jana Moraczyńskiego* o malarstwie religijno historycznym. Zesz. II.
str. 41.

M u z y k a.

Rilka słów z powodu Kantaty *MILDA St. Moniuszki*, odegranej w Wilnie i
Petersburgu, przez *Antoniego Sowę*. Zesz. II. str. 137.

P O D R Ó Ż E.**Podróże za granicą.**

Cztero-miesięczny pobyt pomiędzy Kopaczami złota w Górnej Kalifornji,—
Dziennik podróży angielskiego Doktora, prowadzony na miejscu Z. II.
str. 103.

Podróże po kraju.

Podróż do Tyflisu, przez *Leona Janiszewskiego*. Zesz. I. str. 53.

H U M O R Y S T Y K A.

Kaleidoskop *Faustyna Wszędobylskiego*, o wszystkim, o wielu rzeczach i
o niczem (z notat podróży). Zesz. I. str. 69.— Marzec. Zesz. I.
str. 111.— Kaleidoskop (*ciąg dalszy*). Zesz. II. str. 132.

R Z E C Z Y S P Ó Ł C Z E S N E.

Nowe El-Dorado w Kalifornji, p. *Romualda Podbereskiego* Z. III. str. 127.

K O R R E S P O N D E N C J A L I T E R A C K A.

List *Alberta Gryfa* do Wydawcy *Pamiętnika*: o stosunku nauki z książek
do nauki z życia czerpanej. Z. I. str. 113.

List Wydawcy *Pamiętnika* do *Alberta Gryfa*: o celu sztuki. Z. III. str. 145.

KORRESPONDENCJA POUFAŁA.

List *Ant. M.* do Wydawcy *Pamiętnika*. Zesz. III. str. 177.

12.

KORRESPONDENCJA GOSPODARSKA.

O głębokości usiewu (z listu). Zesz. II. str. 125.

— Parę słów o wynalazku P. *Wielkopolskiego* pod względem rolniczo-przemysłowym. Zesz. II. str. 130.

— O nowój maszynie do żęcia zboża. Zesz. III. str. 189.

Portrety, Mapki, Widoki.

Przy 1-szym Zeszytcie: Portret Karola Muyschela.

Przy 2-gim, Widok w górnej Kalifornji i dobywania złota z rzeki El-Sakramento.

— Głowa Indjanina ze *Złotego Okręgu* w Górnej Kalifornji.

Przy 3-cim, Mapka *górnej i dolnej* Kalifornji, z dolinami El Sakramento i San Joakimo.

**OD REDAKCJI.**

Dla śpieszniejszego podzielenia się z czytelnikami naszymi tą obfitością materjałów jakimi nas ciągle z rozmaitych stron, wcale nieprzewidzianie zaopatrują, byliśmy zmuszeni odłożyć dokończenie rozpoczętych powieści do następnych Zeszytów, które regularnie jeden po drugim wychodzić będą i ostatecznie przed Nowym Rokiem ukończone zostaną. Teraz chcieliśmy tylko pokazać choć w części tę różnorodność i obfitość artykułów, jakich czytelnicy na przyszłość spodziewać się mogą, i że mamy zamiar z ogłoszeniem nowych *Poczetów*, rozszerzyć granice pisma naszego, jeżeli Publiczność względem przyjęciem ośmieli Redakcję do dalszych usiłowań w dziele przedsięwziętem.

Gdy liczba Prenumeratorów okazała się zbyt szczupłą i dzieło prawie własnym kosztem Redakcji wydane zostało, odkłada się przeto *Lista* ich do końca Tomu II-go.

Nie może wszakże Redakcja nie oświadczyć publicznie podziękowania za prawdziwie gorliwe i obywatelskie chęci i usiłowania

w podtrzymaniu tego pisma przez rozprzestrzenienie prenumeraty P.P. *Franciszce Salczemu Siedleckiemu* i *Janowi Bullerowi*, których najbezinteresowniejszą życzliwość z prawego serca pochodzącą, gdyby inni choć w części naśladować chcieli, wartość literacka naszych pism zbiorowych, wydawanych przez osoby prywatne, nabrałaby wcale innego znaczenia.

Półroczni Prenumeratorowie *Pamiętnika* proszeni są o zgłoszenie się po dalszy ciąg, natychmiast po odebraniu tego *Zeszytu*, jeżeli zechcą mieć to pismo na drugie *półrocze*, gdyż nie wielka tylko ilość egzemplarzy nad *Listę prenumeratorów* drukować się będzie, a po wyjściu *6-go Zeszytu* cena do r. sr. 7. podniesie się.

Pojedyncze egzemplarze nie sprzedają się.

Zeszyt 4-ty pod prassą.

Oprócz *dokończenia* lub *dalszego ciągu* powieści rozpoczętych, i artykułów zapowiedzianych przy końcu *Zeszytu 2-go*, w następnych zeszytach pomieszczą się dotąd niedrukowane *Listy o Syberji P. Buthakowej*, oraz: *Gerwazy Bomba*, jako krytyk;— artykuł z *Psychologii: Historia duszy*;— *Fenomena psychologiczne— Myśli o Gospodarstwie*;— o nowym instrumencie muzycznym wynalezionym przez Polaka w Petersburgu; nowe *Gawędy Wł. Syrokomli*; Powieści *Karola Dikensa*; kilka art. z dziedziny *Nauk społecznych*, i stosowanych i t. d. i t. d.





103 7 8



0.1.601

P.I. 601
1848
T. 1